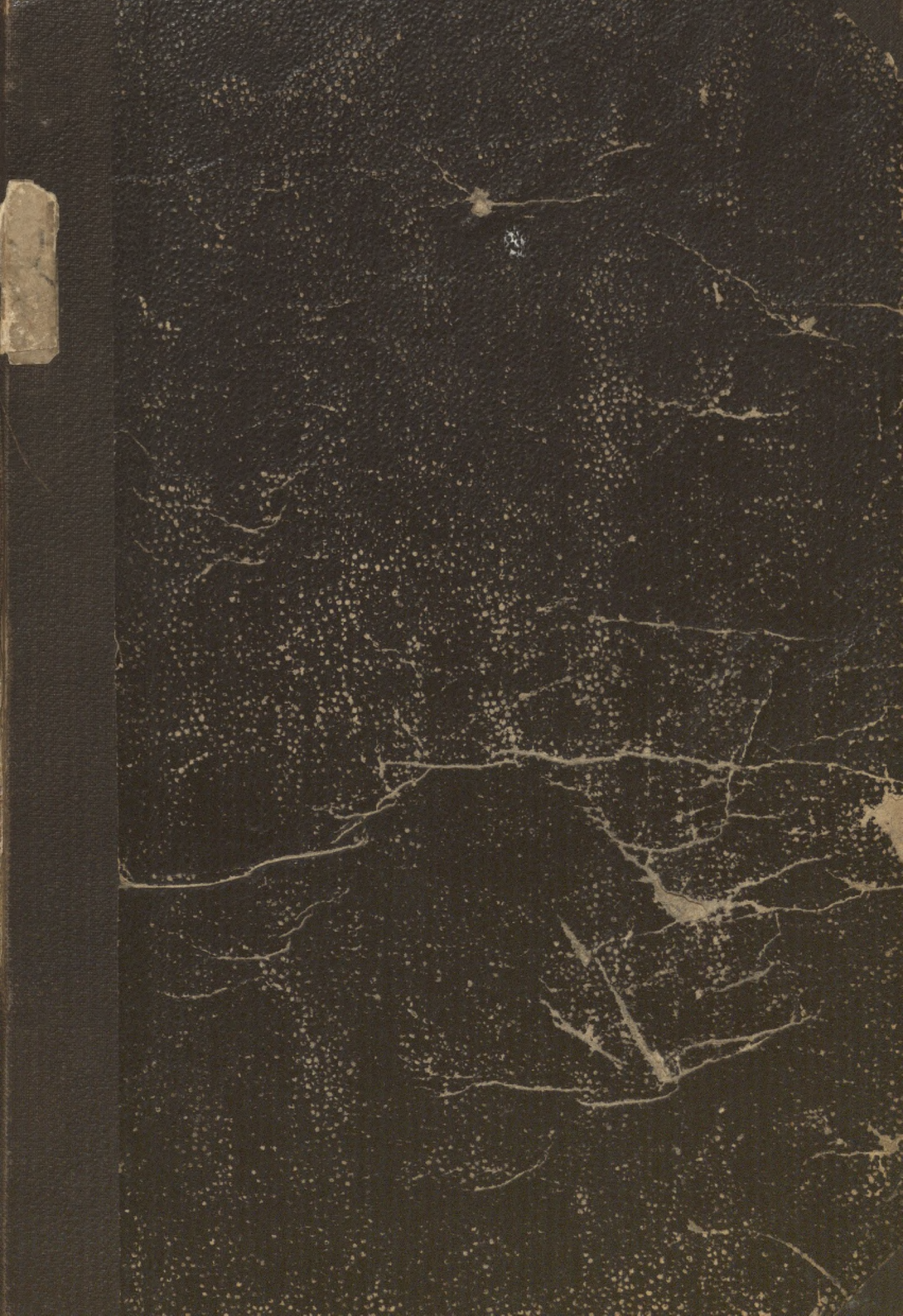






JAN KOCHANOWSKI

W CZARNOLESIE.

Obrazy z końca XVI wieku.

NAPISAŁA

KLEMENTYNA Z TAŃSKICH HOFFMANOWA.

GRÓDEK

Nakładem i drukiem J. Czańskiego

1890.



82(091)

KOCH.

1273

821.162.1(091) : 929 A/2

I.

Ale począwszy od stworzenia świata,
Aż po te nasze ostateczne lata,
Ledwie par kilka w dziejach opisano,
Które za prawe przyjaciół miano.

Jan Kochanowski, Księga I, pieśń 26.

Było to 1584 roku, w drugi Piątek po Wielkanocy; czas był nadzwyczaj piękny. Jakąś omyłką, czy pośpiechem natury, od samych świateł wiał ciepły wietrzyk. Słońce dogrzewało, trawniki się zazieleniły, niektóre kwiatki pokazywać się zaczęły, nawet kilka drzew łatwowiernych listki puściło. Korzystając z tej wczesnej, a przeto tem miłszej wiosny, Jan Kochanowski siedział sobie więcej niż od godziny, w obszernym, acz jeszcze bez cienia ogrodzie, i dumał. Z pogody wysokiego czoła, z jasności łagodnej twarzy, z uśmiechu, który i z pod gęstego wosa wyzierał, z wyrazu ciemnych oczów raz w około siebie, raz w niebo wdzięcznie patrzących, widać było lubie jakieś dumanie.

I ktoby zgadł? ale czegoż wybaczyć nie trzeba pobożnemu i serdecznemu poecie! oto matka śniła się mu tej nocy.

Dwadzieścia pięć lat minęło od dnia, w którym cnót pełna Anna z Białaczewskich Kochanowska, zasnęła

w Bogu, a zwłoki jej złożone zostały obok męża w Zwolenńskim kościele; przecież, ani syn o niej, ani ona nie zapominała o synu. On modlił się codzień za jej duszę, pamiętał na jej słowa; ona ukazywała się mu niekiedy przez sen, i to w taki sposób, iż ocknąwszy się, sam nie wiedział, czy we śnie czy naprawdę ją widział? a zawsze jej zjawienie się miał za dobrodziejstwo: jeżeli się trafiło w dniach trwogi lub smutku, uspokojenie mu przynosiła; jeżeli w dniach pomyślnych i błogich, zwiastowała mu nową pociechę.

W tej chwili szczęśliwy Kochanowski, chyba radości mógł się spodziewać, i właśnie dumał, z kąd i jaka to radość będzie?

W miłym acz skromnym Czarnolesie, wszystko również do pana swego się śmiało. Wioska, gniazdo i dziedzictwo ojcyste, pełna rodzinnych i młodocianych wspomnień, zamieszkała szczęśliwszym niż gdzieindziej kwieciami; dom dostatni i wygodny, własną jego ręką stawiany; gospodarstwo dobrze urządzone, sad i pola obiecujące, sąsiedztwo liczne, pokrewne i zgodne; a gdy bliżej jeszcze siebie, bliżej serca spojrzął, jakież miły widok wpadł mu pod oczy? Żona, zaena Hanna Dorota Podłodowska, młoda jeszcze i piękna, nadzieją siódmego dziecięcia poważna, siedziała o kilka kroków z najstarszą córką, hożą, czarnooką, Ewą; lat siedmnaście igrało na okrągłych i rumianych policzkach dziewczęcia, i na koralowych jej ustach; lat siedmnaście objawiała wykształcona i bogata kibić; obie z matką przędły na wyścigi len miękki i włóknisty, a ożywiona i wesola ich rozmowa tłumila wartkich kołowrotek brzęczenie. U

nóg ich troje dziewcząt od lat siedmiu do trzynastu: Dorota, Marychna i Hanna, wszystkie czerstwe i udane, siedziały nachylone nad przetakiem cukrowego grochu, z którego wyrzucały niekzemne i uschłe ziarnka; mimo gęstych żartów i głośnego często śmiechu pracowały pilnie; musiały się śpieszyć, jutro ze świtem miano sadzić groch w ogrodzie: jedna grządka była dla nich przeznaczona, i już im zawczasu chrupiały i smakowały zielone a słodkie strączki. Nieco dalej, pod ciennikiem chróstianym, którego chmielowa zasłona jeszcze nie urosła, kryła się druga z kolei córka Kochanowskiego; pobożna, jak ją zwano, Ludwina. Odzież jej czarna i fałdzista, dłuższa od powszechnie używanej, mogła była ją ukryć nawet przed wzrokiem ojca; ale świeciła z daleka nadobną bledością i świętym pokojem twarz jej, błyskały dwie białe rączki nawlekające starannie różańce z klekoczek; słychać było lekki szmer odmawianych półgłosem pacierzy. Nareszcie, na łące dzielącej miejsce posady drużyny od obszernego dworu, wśród młodzieczonej trawy i kryjących się w niej fiołków, biegało śpiewając dziecię, a raczej aniołek. Koszulka z krezą, jak śnieg biała, nie była bielszą od ciała, ciemno błękitny letniczek, błękitniejszy od oczów; ani krzyżyk złoty, co na piersiach wisiał, więcej złoty od włosów kręconych.

To też jakkolwiek Kochanowski obliczał pilnie i z lubością obywatelskie i domowe skarby swoje, jakkolwiek spoglądał z upodobaniem na budzącą się wiosnę, na żonę i na starsze córki, ku tej miłej dziecinie zwracał się najczęściej wzrok jego, wlepił się w nią,

i zdawało się że go oderwać od niej nie może. Nakoniec, patrząc tak długo, wstał nagle i zawołał z tryumfem, jak gdyby znalazł słowo trudnej zagadki: „Tak, on jej nie zna: on dziś przyjedzie.“

— Kto? kogo? — zapytała ze śmiechem sama Kochanowska. — Mężu kochany — dodała — jeżeli dumając już tak dawno na tej tam ławie, bawicie się ciachaczem złotą lutnią waszą, jeżeli układacie drugą „Odprawę posłów“, drugą Helenę uwolnić chcecie: powiedzcież i nam, ubawimy się przed innemi.

— Nie — odpowiedział Kochanowski — nie tworzę ja w tej chwili pieśni żadnych, ani się przenoszę duchem w owe sławne starej Grecyi wieki, nie ścigam sławy, ni muzy; o żyjące, o serdeczniejsze rzeczy tu idzie: spełnią się, da Pan Bóg marzenia moje, a wasza uciecha będzie stokroć lepszą od zabawy. Wszak mówiłem ci, Hanno, wstawszy rano, o moim śnie; od początku dnia szeptało we mnie: coś miłego, pożądanego ci się zdarzy; lecz nie wiedziałem co? teraz wyraźny głos zabrzmiał mi w duszy: — „Jakób dziś przyjedzie! kochany nasz Podkoniuszy“.

— Daj Panie Boże! — odrzekła Kochanowska. — I nie byłoby wcale nic dziwnego w przyjeździe pana brata; spodziewamy się go w tych czasach. Jużto blisko pięć lat jak do nas nie zajrzał, a kiedy pisał na Boże Narodzenie, wyjeżdżając do Carogrodu, zapewniał, że będzie z powrotem koło Wielkanocy; i bądź co bądź tej wiosny do Czarnolasu zjedzie. Mam nadzieję w opiece Matki Boskiej, iż się mu nie złego nie stało w tej dalekiej drodze, a wiosnę też już mamy i piękną.

— I on mojej szczebiotki, mego słowiczka wcale nie widział — mówił dalej Kochanowski patrząc znowu na dziecinę. — Nowa radość, którą ukochana matka zwiastowała mi dziś zjawieniem się swoim, nie może być inna: Przyjacielowi Orszulkę pokażę.

Kiedy to mówił, dziecina bawiąca się na łące rzuciła zbierane starannie trawki i kwiaty, i co tchu przybiegła, a patrząc ojcu i matce w oczy, pytała:

— Wołacie mnie: czy jest co na wasze usługi?

— Nie, pieszczoto moja — odpowiedział ojciec, biorąc ją na ręce i przytulając mocno do siebie — nie; ale powiedz mi, ty, coś z górnych krain niedawno na moje szczęście zesłana, z aniołami w częstych rozmowach być musisz, powiedz: przyjedzie dziś ten co go widzieć pragnę?

Z fiołków, które dziewczyna rwała i rzuciła na łące, jeden zaczepił się za bramowanie letniczka; dostrzegła go, wzięła, a zamiast odpowiedzi, rwąc ostrożnie po liście, jak to u starszych sióstr zapewne widziała, mówiła z kolei przechylając śliczną główkę i patrząc na ojca: „Nie przyjedzie, przyjedzie“. Właśnie ostatni listek urwać miała i wypadało pomyślne słowo: „Przyjedzie“ kiedy szczekanie psów, stąpanie koni dały się słyszeć, i wnet skrzypnęły ciężkie wrota od ogrodzonego podwórca, będącego po drugiej południowej i zajezdnej stronie domu.

— Ktoś cudzy przyjechał — zawołał Kochanowski — dziewczeczki! niech jedna z was pobieży obaczyć kto taki?

Na ten rozkaz wszystkie dziewczęta się porwały. Ewa rzuciła wrzeczono, mało dbając na to że przedzę zerwała; trzy młodsze przeskoczyły przetak i wysypała

się połowa grochu; Ludwina tylko na odgłos przybycia obcych osób skryła się głębiej pod ciennik, a Orszulka jak gdyby bojąc się utraty miejsca swojego, objęła szyję ojca rączkami, patrząc jednak pilnie wraz z nim w stronę, gdzie siostry pobiegły.

— To nikt — wołała z daleka a smutnie Ewa, wracając zwolna i ledwo co wyjrawszy za dom.

— Jakto nikt? — zapytała ojciec — kiedym przecie sam słyszał.

— To nikt, to pan Franciszek: oto idzie.

I pokazał się młodzieniec może dwudziestoletni, rośły, gruby, rumiany, z wielkimi wytrzeszczonymi oczyma, który szedł zwolna, jak gdyby miał cztery razy tyle wieku. Suknia jego cała futrem podszyta z kosztownego była aksamitu, ale dobrze powalana z przodu i nieco obdarta w około; szabla wlekła się za nim gdyby pożyczana, a pas, którego jak widać, bał się ścisnąć, zapewne przez wzgląd dla już szanownego brzuszka, spadać mu chciał, tak, że go co chwila musiał poprawiać; włosy jasne, dosyć rzadkie były roztargane, i gdzieś — gdzie pierze z nich wyglądało: zupełnie jak u człowieka co dopiero wstał z pościeli: bułkę chleba trzymał pod ramieniem, którą ofiarował Ewie mówiąc po mału:

— Udały się dziś zemły naszej starej Jagience i przywożę wam największą, cieplusienką: fraszka zemły... jak się nazywa...

— Wiślickie — dopowiedziała dziewczeczka kłaniając się z uśmiechem.

— Tak Wiślickie; zawsze zapominam: głowę coraz mam słabszą — dodał bijąc się w czoło.

— A czemuż dziś tak późno w odwiedziny, panie Franciszku? — zapytała uprzejmie Kochanowska, skoro gość usiadł na ławie wedle gospodarza, i pozdrowił go ściskając mu nogi — czemu nie na obiad?

— Okrutnie późno jadacie, pani Stryjenko — odpowiedział — a ja tak długo żadnem prawem wytrzymać nie mogę: natychmiast omdlewam.

I jał przyciskać ręką żołądek, jak gdyby mu się słabo robiło.

— Jeżeliście już dawno po obiedzie, możebyście co przekąsili — spytała się znowu — mamy jeszcze placzków i kołaczy wielkanocnych łaskę Pana Boga.

— Przekąsić jak przekąsić, chyba kromkę chleba i sera krajanekę, albo kawał piernika; wyśmienite wasze sery i pierniki! Alebym chętniej się napił. Dziś post święty; obiad był lichy, same ryby; dokładałem jak mogłem pirogami, grochem, śliwkami, kapustą surową, i jakoś mi to pragnienie sprawiło.

— A cóż pić chcesz? — zapytał Kochanowski.

— Cokolwiek, byle mokre: piwo, wino, miód, aby chleptać.

Ewa, która czekała na rozkazy matki, spojrzała jej tu w oczy, pytając co każe dać?

— Przynieście mu staropolskiego piwa i chleba naszego powszedniego — zawyrokował ojciec. Pan Franciszek za młody na wino i miód.

— Ja też tam niekoniecznie stoję o te gorące trunki, chyba z towarzyszami; wolę nawet piwo: więcej wlać go można.

— A nie pytamy się o panią bratową? — przerwała Kochanowska. — Jakże dziś jej zdrowie?

— Zawsze źle i nie będzie nigdy inaczej; ani je, ani pije, i tak rogata dusza u tego matczyska: jabym dawno umarł, gdybym tak żył powietrzem.

Tu pacholek przyniósł potężny dzban piwa i dwa duże kufle szklane i postawił na stole przed Kochanowskim; Ewa wróciła z bochenkiem chleba i z solą na gładkim talerzu cynowym. Pan Franciszek wnet spełnił swój kufel i drugi i trzeci, wreszcie przypiął się do dzbana i wysuszył co do kropli; Kochanowski ledwie usta w swoim kuflu umaczał; i nie uśmiechnął się nawet na dosyć komiczną figurę, jaką wystawiał młodzieńiec z owym dzbanem równie okrągłym jak on sam.

— A, Bóg wam zapłać! uraczyłem się — przemówił wesoło pan Franciszek, otrząsając się i ocierając usta rękawem — ale coś mi pan Stryj nie swój, zamysłony, smutny, bodaj czy nie... jak się nazywa?

— Kordyaczny — podała Ewa.

— Tak, kordyaczny, kordyaka; zawsze zapominam nazwiska tej plagi, bo też spodziewam się nie nawiedzi mnie nią Bóg: ona się boi dzbana. Pan Stryj może dziś z suchotami przy piątku? To licha warto. Pościć zgoda, ale przytem jeść co się zmieści.

— Ani ja z pokusy, ani z choroby, ani też z głodu takim jak mnie widzisz — przemówił Kochanowski z półuśmiechem. Owszem od godziny myśl moja w czystych przestworach buja. Karmię się słodką nadzieją, a przed chwilą jak gdyby raj mi się otworzył... ale jeśli ci mam prawdę wyznać, synowczyku, jakkolwiek zawszem

ci rad w moim domu, właśnie w porę kiedyś się pokazał, o kim innym my tu myśleli.

— O kimże takim? Któżto ma zjechać? Może pan jaki albo mędrzec: uciekam, ja się ich boję jak głodu i wojny.

— Nie uciekaj, brat to mojej Hanny, podkoniuszy królewski, nie pan ani mędrzec, ale dzielny żołnierz i mąż zacny, jakich nawet w naszej Rzeczypospolitej mało; więcej on bitew odbył, niż ty bratku czytał o nich; mój przyjaciel pierwszy, jedyny... bo tylko jeden być może przyjaciel prawdziwy, jak Bóg jeden, jedna żona, jedna matka, i ojczyzna jedna... Nie bez tego żebyś już nie słyszał między nami nieraz imienia Jakoba Podładowskiego, ale pewno nie wiesz; oto i te dziatki nie wiedzą i nikt wiedzieć nie może, krom Wielkiego Boga, ile między nim i mną jest stosunków i węzłów.

I tu Kochanowski zapominając zupełnie, iż przed bardzo cielesnym słuchaczem tajniki duszy swojej otwiera, tak wydał na jaw treść godzinnych dumań i lubych przypomnień swoich:

— Myśmy z Jakóbem pod jednemi znakami niebieskiemi, pod tą samą gwiazdą się rodzili. Ja, będzie temu wnet lat pięćdziesiąt cztery, w wigilią ś. Jana, w dzień wiele znaczący w tajemnym układzie wyższych rzeczy, przyszedłem na ten świat, w Sycynie, dziś brata Piotra własności, gdzie wtedy rodzice mieszkali, niedaleko splawnej Wisły; on zaś tego samego dnia i roku, o tejże samej godzinie, urodził się w Studzienicy na głębokiem Podolu, nad brzegami niepokonanego Dniestru. Obaśmy rośli o sto mil od siebie, niewiedząc jeden o drugim;

przecież wyższa i niedocieczona ręka, co biegiem gwiazd zjednoczyła na siebie nasze losy, sprawiła nasze połączenie na ziemi. Ojciec jego, żołnierz wielki i poseł na sejmy, niepospolitej śmiałości i wymowy, pragnąc syna widzieć człowiekiem, oddał go na dwór wielkiego hetmana Jana Tarnowskiego; mnie także matka i brat w jednym czasie tam posłali. Spotkaliśmy się i poznać zaraz można było, że przyjaźń nasza zapisana gdzieś wyżej od wieków, bo serca odrazu do siebie przystały, jakby jedno dla drugiego stworzone. Zaraz wtedy zaczęliśmy gorącą i na potem nigdy nierozrwaną przyjaźń, żyliśmy jako jedna dusza we dwóch ciałach, zachęcając się wzajemnie do enoty, do męstwa, do nauki. On mi pokazywał jak bronią robić, a ja jego czytać i pisać pouczyłem, bo nie w szkołach, ale w obozach młody wiek przeżywszy, wiele umieć nie mógł, a lubi nauki i uczonych. Jam go i w Wierze oświecił, a jak dziś pamiętam, kiedy nam przyszło pierwszą Wielkanoc przebyć razem, poszliśmy oba do spowiedzi, do jednego księdza, pożywaliśmy Świętości Pańskie u jednego stołu, przysięgliśmy przed ołtarzem być wiernymi sobie do śmierci, i nawet błagaliśmy Pana Boga ze łzami, żeby kiedy nas w jednym dniu na ten świat przysłał, żeby nas i o jednym czasie powołać do siebie raczył...

— Już co o tej młodocianej i prawdziwie dziecinnej modlitwie, to zawsze z trwogą słyszę — przerwała Kochanowska — nie wolno nikomu własnem życiem ani cudzem rządzić; a czasem w złą godzinę powiedzieć co można: jest wróg co miesza ludzkie rzeczy.

A choć żartobliwie mówić chciała, przebiegał prze-

cież smutek w jej głosie, i zaszły chmurą piękne czarne oczy. Ale Kochanowski nie zważając na słowa i na rozczulenie żony, tak mówił dalej z równą żywością:

— Od tej chwili losy rozmaicie mną miotały: najprzód, spokojny nauk wyznawca i dworzanin, byłem czas jakiś żołnierzem; dalej, żeglowałem przez morza głębokie, nawiedziłem Niemcy, Włochy, Francją; potem w królewskich komnatach bawiłem na świetnym i rozkosznym dworze; aż znowu, to ksiądz w rewerendzie, to młodzian w załotach; pókim nareszcie nie wrócił do pól piaszczystych i do czarnych lasów, na które rad patrzyłem w młodszych latach. Przemieniałem się wielokrotnie, gdyby Proteusz jaki, Bóg wie czegom nie kosztował; przecież ani na chwilę, ani ja dla niego Jakoba, ani on dla mnie się nie zmienił. Przygody, lata, przeszły nad przyjaźnią naszą, oto jak te białe obłoki po tym lazurze przechodzą: serce i niebo zostało jednakie. Rzadko kiedy się widzimy, gdyż on żołnierz nie dla popisu i sługa królewski nie dla płacy, a ja cichy i samotny ziemianin; ale posyiamy sobie wzajemnie gońców, i przysięgłbym na to, że jak ja za niego, tak on za mnie dnia nie opuści bez zmówienia serdecznego przecierza i dobrze pamięta na znowu jaką ma ze mną... Działki moje! — dodał obracając się do córek, które wszystkie, nawet Ludwina zbliżyły się do ojca, skoro mówić zaczął i słuchały go z uwagą — działki moje! każde z was gdy pożyje dłużej, pozna siłą władzę pierwszych związków. Młodość, wiosna to serca i życia: co w niej zasiejesz, wzrośnie. O! nie marnujecie uczuć waszych i myśli nie rzucajcie na wiatr; kto za młodu nie nie przy-

sposobi, ten w wieku dojrzalszym nie będzie miał po co się schylić!

— O, zapewne! — wyrzekł pan Franciszek głosem nieco przytłumionym i przerywanym, bo czy z roztargnienia, czy ze zwyczaju, to kracząc kozikiem, który zawsze przy sobie nosił, to skubiąc po kawałku bochenek chleba, spożył był prawie półwę — zapewne; ja zawsze sobie myślę; jak kiedy przywiozą bardzo dobre wino z tego... jak się nazywa... z tego miasta nad... jak się nazywa?

— Z Kazimierza nad Wisłą — dmuchnęła z niecierpliwością Ewa.

— Tak, z Kazimierza nad Wisłą: nazwiska nie się nie czepiają mojej pamięci; otóż tedy jak przywiozą dobrego wina z Kazimierza nad Wisłą, poproszę pani matki, żeby mi pozwoliła odstawić jedną beczkę, opasać ją łańcuchem, i nie tknąć jej się aż za jakie lat dwadzieścia. Toby to dopiero kapitalne wino się zrobiło! Nie wiem czemu nie przychodzi do tego; co wstawią beczkę do lochu, to się i wytoczy: muszę się poprawić. Ale dalipan, zaledwie mówić mogę, zadusiłem się tym suchym chlebem...

— Możeby bratanek chciał jeszcze popłukać? — spytała Ewa; a złośliwy uśmiech otworzył jej usta i ukazały się dwa rzędy zębów białych jak perły.

Pan Franciszek choć niekoniecznie bystry, dostrzegł przecież lekkiego wyrazu szyderstwa na twarzy dziewczyny i może pierwszy raz w życiu odmówił napoju. Lecz ta odmowa skróciła znacznie jego odwiedzin; wi-

dać dom mu zapachniał i swoboda jego: wstał z ławy i powiedział:

— Panie Boże odpuść, a wszakci to ja zapomniałem pocom tu dziś przyjechał. Panią matkę coś bardzo boli, czy kolano, czy bok; doprawdy nie pamiętam, ale boli: Jagienka naraiła jej lekarstwo i mnie przysłali po nie.

— Czemuż nie mówicie? — okrzyknęła się Kochanowska i córki.

— Wy podobno, pani Stryjenko, macie zawsze świeże, jak się nazywa? te czarne robaki?

— Pijawki — zawołały wszystkie razem.

— Tak, tak, pijawki: otóż pani matka prosi, żebyście jej przysłali, nie wiem tam wiele, trzy czy sto?

Ledwie dosłyszała tych słów Ludwina, natychmiast wzięwszy klucze, poszła do domowej apteki i niebawem wróciła z mędlem pijawek w szklanym słoiku Kochanowska dopytywała się tymczasem pana Franciszka o słabość jego matki, ale on jej nie więcej powiedzieć nie umiał, znać że i sam nie wiedział; widok zaś słoika przywiódł zapewne jego pamięci przypomnienie szklanki, i tego co w niej bywa, bo z niezwykajnym pośpiechem wziął pijawki, raz się tylko spytał, czy nie przebiła papieru i czy go nie ukąszą? pożegnał się i pojechał wraz ze swoim pacholkiem, któremu jednak dla większej pewności i wygody własnej, oddał słoik, skoro wyjechali za wrota.

Kochanowska patrząc za nim trząsnęła głową i zamysliła się smutnie; Ewa ruszyła ramionami, a nie mówiąc, jęła szukać wrzeciona w piasku; Kochanowski uśmiechnął się litościwie i powiedział półgłosem: „Pie-

szechoch! jednak!“ a splótłszy ręce z tyłu i nachyliwszy głowę, przechadzać się zaczął tam i sam po prostej ulicy prowadzącej do domu. Ledwo parę razy ją przeszedł, ledwo żona i córka zabrały się do przerwanych zatrudnień, kiedy znowu stąpanie konia, ale nierównie prędsze niż pierwszej dało się słyszeć. Już nie czekając rozkazu ojca, dziewczęta pobiegły. Kochanowski stanął rześko, wyprostował się i spojrzał wesoło na żonę, która skrecając len w palcach, już ani nogą, ani ręką ruszyć nie śmiała, tylko nadstawiając ucha, słuchała pilnie. Jakoż wnet rozległ się w powietrzu krzyk jeden, chociaż z kilku głosów złożony.

— Dobra wieść! dobra wieść! posłaniec od pana Podkoniuszego: jedzie, jedzie!

— Jedzie? — zapytali oboje, jakby własnym uszom niedowierzając — jedzie! byćże to może? A on sam z młodzieńczą prędkością pospieszył ku posłańcowi i pytał go się, czy to rzeczywista prawda, czy ma jakie pismo w dowód?

— Nie ma żadnego pisania — odpowiedział kozak ubrany w barwy Podlódowskich brunatną z czerwonym, dziarski i urodziwy młodzieniec, do dwudziestu czterech lat albo więcej, z pięknym czarnym wąsem i krótko przystrzyżoną brodą jak aksamit; lecz znacznie oszczędzony szerokim plastrem, co pół nosa i część policzka okrywał. — Mój pan to wam jedynie oświadczyć kazali, iż zdrowi są, i jutro da Pan Bóg, przed południem tu zjadą. Zostawiłem ich w Lublinie. Żeby wam czas do jutro zając i czekanie osłodzić, rozkazali wręczyć wam tę skrzynkę.

To mówiąc Kozak, postawił na stole spory koszyk,

jakich jeszcze dziś w Turcyi używają, mocno pleciony, powleczonej cienką skórą; gdy go Kochanowski otworzył, oczy młodszych dziewcząt patrząc weń ciekawie, obaczły z radością wyborne bakalie tureckie: daktyle, figi, rodzenki, których część znaczna wnet przy wesołych krzykach i płasach, przeszła w ich skupione dłonie; pod spodem były poowijane starannie różne wschodnie szacowności, jedwabne pasy i taśmy, hafty na skórze złotem i srebrem, przezroczyste zasłony, meszty i buty żółte, kindżały, pachnące paciorki, olejki, balsamy.

— To gościniec z pańskiej podróży do Carogrodu — powiedział Kozak. Daleka i niekoniecznie miła i bezpieczna droga, mil kto wie czy nie trzysta; dwanaście niedziel nam zabrała ze wszystkiem. Prawda żeśmy na miejscu prawie półtora miesiąca bawili, ale bylibyśmy i prędzej wrócili, gdyby nie różne korowody; bo trafiało się i złe i dobre w tej wyprawie, jak to zawsze na tym świecie; koni cudnych, prawdziwie tureckich kupiliśmy kilkanaście dla króla, lecz nie obyło się bez srogięgo krwi wylewu.

— Jakto? — zawołał Kochanowski — pan Jakób znowu się bił.

— A jakże; bił się i tego: po swojemu. Dalipam było tam gorąco i żwawo, gdyby pod Połockiem.

— Ale skądże znowu — przerwał Jan — przecież mamy pokój z Turkiem.

— Gdzietam, kiedy pokój w tych pogańskich krajach! Jużemy wszystko byli sprawili, a ujechawszy kilka mil od miasta, rozłożyliśmy się na noc w karawanserze, jak oni tam zowią; załedwieśmy skleili po-

wieki, aż tu napadają na nas zbójce; było ich daleko więcej niż nas, chcieli koniecznie i koni i ludzi pojmać, do blizkiego lasu gwałtem nas ciągnęli; ale się im nie powiodło, sami uciekać musieli z duszą, i to nie wszyscy zdążyli, bo trzech trupów wzięli z sobą.

— Nie ranny przecież pan brat? — spytała troskliwie Kochanowska.

— Byli ranni i ciężko w głowę; sroga śmierć już mu w oczy zaglądała; te łotry bisurmany szczególnie na niego zażarci byli: nie wiem czy przez zazdrość jaką czy co; gdyż trzeba wiedzieć, że w Carogrodzie Turcy bardzo się dziwowali jego osobliwej urodzie, i jak dzielnie z koniem umie. Udało się jednak przy Boskiej pomocy i śmierć i łotry odgonić. Teraz panisko, Bogu dzięki, rześcy, zdrowi, piękni, jakby nigdy nie; zdaje się co odmłodzieli: szramę przez głowę już włosy zaczynają pokrywać.

— Toście wy byli w tej potrzebie z panem Podkoniuszym? — spytała Ewa, której dziwnie się spodobała otwarta postać i śmiała mowa posłańca. Może i ta rana ztamtąd?

— Nieinaczej — odrzekł Kozak z uśmiechem — i chciał mówić więcej, lecz spotkawszy czarne oczy młodej dziewczyny, które uprzejmie na niego patrzyły, zamilkł nagle jak gdyby oniemiał.

— Ach, Jakób! Jakób! — wymówił Kochanowski odpowiadając myślom swoim — do bitwy jak głodny do obiadu; a kędy się obróci, wszędy boje i niebezpieczeństwa tuż za nim: zawsze kord w robocie.

— O! i będzie jeszcze, da to Pan Bóg, i nieraz —

odezwał się Kozak, któremu mowa wróciła. — Nie za dzisiejszego Króla miecz w pochwie doleży. Jeszcze my się pomścić musimy na tych pohańcach, i za tę naszą krzywdę i za dawne Rzeczypospolitej.

— Dochodziłże przecie pan Jakób tej napaści? byłaż to jaka zasadzka? — spytał Kochanowski.

— Dopominaliśmy się sprawiedliwości w urzędzie, i nie mało czasu na tem się zmitrężyło; ale kto z bisurmanem ładu dojdzie? Przysięgali na swego proroka, że to zbójców, łotrów leśnych sprawa, przeciw ich woli i wiedzy, i że skoro którego schwytają, dostawią go nam tu, żebyśmy mu sami głowę z karku zdjęli...

— Gdyby, broń Wielki Boże, nieszczęście było się stało — zawołał tu boleśnie Kochanowski — coby tysiące ich głów pomogły!...

A chcąc rozpedzić ściśnienie serca, które go zdjęło na tę myśl samą, przerwał rozmowę i powiedział Kozakowi:

— Wszak nie odjedziesz bratku i zanocujesz w Czarnolesie; my dziś nie wieczieramy dla piątku, ale tobie z drogi posilić się godzi. Ewo! każ niech dadzą w stajni koniowi miejsce i obrok, a człeku w kuchni łyżkę strawy, dzban piwa i świeżej słomy na posłanie.

— Byle koń był pod dachem, ja i na gołej ziemi pod niebem się prześpię; to łoże i namiot żołnierza — odparł posłaniec.

Kochanowski już nie dosłyszał tych słów. Mnogie uczucia objęły tkliwą duszę jego; była jeszcze chwila żalu, trwogi, bo on rzecz każdą, co serca dotykała, zwykł

był brać żywo, i głęboko; ale niebawem radość, wdzięczność, wszystkie inne wrażenia przemogła.

— Jakąż słodką pociechę uprosiłaś mi u wielkiego Boga, maiko kochana — zawołał, wznosząc oczy i ręce w górę. — Przyjaciół uszedł zdrowo niebezpieczeństwa i obaczę go jutro! W grobie jak za żywota czuwasz nad synem twoim; przez modlitwy, przez cnoty twoje Pan Bóg wygładzić raczył z pamięci swojej naganne młodości mojej postępkę, i błogosławi mi nad zasługi.

To powiedziawszy, siadł i zadumał się jeszcze głębiej niż pierwej; nie spostrzegł że powietrze ochłodło, że sam został; nie zobaczył nawet Orszulki, co siadła na ławce około niego i usnęła oparta o jego ramię. Pani Hanna, również szczęśliwa, ale na tę chwilę więcej czynna od męża, poszła do domu i układała sobie gdzie łóżko brata stawiać będzie, jaką mu da pościel, przypominała co on rad jada, chcąc same takie potrawy kłaść przed nim przez czas, co w Czarnolesie gościć będzie; przemyśliwała coby za przysmaki dziś jeszcze kucharzowi nakazać, żeby mimo sobotniego postu, uraczyć jutro ukochanego wędrowca. Ewa zaś ruszyła dopełnić rozkazu ojca; ale już ani pobiegła pędem strzały jak pierwej, ani nawet poszła sama. Słówkiem prośby wyciągnęła siostrę z pod chruścianego cennika, wzięła ją pod rękę i poszły obie zwolna.

Kozak poszedł tuż za niemi, oczy mając w dół spuszczone; zdawało się, jak gdyby się wpatrywał w ślad stóp dziewczęcych, odznaczających się z lekka na piasku, którym była wysypana ulica: ale dostrzedz ich trudno było, bo już zmrok zapadał.

II.

Jest kto na ziemi, coby żył prawdziwie
W bojaźni Pańskiej? taki niewątpliwie
Ma wodzem Pana, który go sprawuje,
Temi drogami co je sam lubuje.
Tam troski miejsca niewdzięczne nie mają,
Ale rozkosze słodkie przebywają;
Tam dziatek mnóstwo, podpora starości,
I pewny dziedzic pięknych osiadłości.

Psalm XXV.

— To widać jakieś wcale pocziwe paniska — mówił prowadząc dalej rozmowę z Czarnoleską czeladzią przybyły Kozak, siedząc na ławie pod oknem w izbie kuchennej, i dojadając ogromnej misy klusek z olejem — u was, dalipan, lepiej ludziom niżeli w naszym Podolu, chociaż tam znowu, bez waszej obrazy, gdzie piękniej i weselej; Tatarzyn tu podobno od Kazimierza Wielkiego nie plądrował; co u nas, dopiero dzisiejszego króla się uląkł, i to jeszcze czasami szczęścia próbuje; a co gorsze, bo częstsze, nahaj w bardzo gęstej robocie.

— Jużci i u nas jest batóg za pasem u włodarza i mole go nie jedzą — odpowiedział kuchcik zsiadły i tłusty, Pirożkiem przezwany, poprawiając ogień w piecu — kto co zbroi, rozciągają go na pieńku i okładają nie załując; soltys kmieciom nie szcędzi takóž ciągów, jeżli

który przewini: ale co samo panisko, rzadko kiedy biorą się do kija: pogrożą, zmarszczą czoła, najeżą czupryny, pokręcą wasa i koniec: z włościanami i czeladzią oni jakby z dziatwą.

— Wieleż tam jest tej dziatwy? — zagadnął Kozak.

— Bieliło mi się i mieniło dziewcząt kieby motylów na łące, skorom przyjechał; chłopakam żadnego nie widział.

— Bo go też i niema! — powiedziała z westchnieniem sędziwa już niewiasta stawiając na bliskiej kłodzie szafel czystej wody, w której płukała cienką bieliznę — już to takie moje szczęście. Miałam swojego chłopaka i umarł mi; wzięli mnie do dworu, do Studzienicy, bo ja Podolanka, na usługi wasze, i spodziewam się być tam raz jeszcze przed śmiercią; wzięli mnie tedy kiedy już pan Jakób gonił Tatarów, a nieboszczka pani Podłowska — co to jej na taki smutny koniec przyszło — była przy nadziei. Powiła wnet dziewczynę, naszą Czarnoleską panią; jam ją wypiautowała i mogę powiedzieć bez próżnej chwalby, winna mi życie, ni mniej ni więcej, jak pani matce i panu ojcu. Możecie o mnie słyszeli? jam Nastka Petrowna, wdowa po Ostafim Hołowatym; nie powstydzę się mego imienia: i młynarza i księdza mam w rodzie, a co także nie mała rzecz, jamto Hanulkę przed Tatarami ukryła! O! już nigdy mnie od siebie paniątko puścić nie chciało: Będziesz piastować moje dzieci, jak mi je Pan Bóg da“ — mówiła pieszczotliwie i głaskała mnie po twarzy; jużćić musiałam zostać, swojej krainy i krewniaków zaniechać! no! i proszę, i same dziewczęta sypią się nam kieby z rękawa. Sześć ich tego mamy, Panu Bogu i Matce Najświętszej na cześć

i na chwałę; ale dotąd tylko jednej za mąż się godzi, i będzie go miała, skoro zechce. Ona nie osiadzie na koszu, nie: rutki siać nie będzie.

— Jakto? mówicie jedna, — zapytał Kozak — przecież dwie panny dorosłe i urodziwe mnie tu przyprawdziły?

— Jedna Bogu poślubiona — odezwał się sam kucharz, blade i wywiędły Zubek, wbijając żółtka do ciasta, które wyrabiał w donicy. — Ledwie się urodziła, kiedy nasza pani zachorowała śmiertelnie, i pan ofiarował ją Bogu i Matce Najświętszej za życie i zdrowie żony. Rychło patrzeć, kiedy ją do klasztoru odwiozła: mężkiemu oku spojrzeć na nią wara.

— A któraż to ze dwóch? — przebaknął Kozak, folgując pasa, jakby go nagle ucisnął boleśnie.

— Poznać ci ją snadno — powiedziała stara piastunka — już na świętą patrzy: oczka spuszczone, twarzyczka szczupła, kieby Jezusek, palce splecione, zawsze do pacierza gotowe, suknia długa, płonista, czarna.

Tu Kozak odetchnął i uśmiechnął się mile.

— Jużćić nie dla czarnobrewej habit i welon — mówiła dalej Nastka, rada że napotkała ucho powolne gadaniu swemu; bo chociaż wielce była ważona w domu, i poruczone sobie miewała pańskie dzieci w szczególną opiekę, przecież już w całym Czarnolesie, tak we wsi jak we dworze nikt słuchać jej nie chciał — naszej Ewulce świat się uśmiecha i ona światu. Nie darmo ja w lubistku ją kąpałam co dnia od samego urodzenia; okrutne ma szczęście do ludzi dziewczeczka. Zobaczycie jak się jutro oblecze do pana Jakóba w tę oto bieliznę

— a tak mówiąc rozciągała wyjętą szatę — jak włoży na to swój modry kontusik, kwiateczków nakładzie w czarne włosy, nowe półbutki obuje, kieby łateczka wyglądać będzie. Jeżeli ją pan Franciszek zobaczy, wiem co się stanie.

— Co za pan Franciszek? — przerwał żywo Kozak.

— Synowiec naszego pana, dziedzic trzech wiosek i Policzny, gdzie jest nasz kościół piarafiálny, o pół mili drogi ztąd; syn jedyny ś. p. pana pisarza Kaspra, najstarszego z Kochanowskich, co go nasz pan i cały powiat miał za ojca: najbogatszy młodzieniec w tych tu stronach, do którego najurodziwsze dziewczki ząbki wyszczerzają, i złapać by go rade.

— I cóż ten pan Franciszek ma do waszej panny? — naglił przybysz.

— Ano poczekajcie, dyć wam powiem; to kozacka krew, to istna siarka, wszystko prędko, nagle, wtojczas. Otóż pan Franciszek zna naszą Ewulkę od pieluch; on oddawna ojca niema; matczysko zbiedzone, schorowane, pragnie jak zbawienia widzieć go żonatym; nasze państwo uważa go za syna, ile niemając dotąd swego. Choć tam jeden Bóg wie, co teraz jest w drodze; nasza pani prześlicznie wygląda, wszak prawda? Ja zawsze jej mówię: tym razem będzie chłopiec; i stręczę jej ziola i maści; mamy też i czarownicę we wsi, czarną Świtkę; nie z tych złych, broń Boże, a bardzo mądra i wielemożna niewiasta: ona zawsze szepce: „Gdyby jedno wasza pani słuchać mnie chciała, wnetbym w to pokurąla, żebyście mieli dziedzica;“ ale gdzietam, ani jej gadaj o tych rzeczach; na wolę Bożą puszcza to

zupełnie: któż temu będzie krzyw, jeżeli nam siódmą powije dziewczynę? a wtedy źle się stanie. Świtka mówiła mi wczora — czegom jeszcze jako żywa nie słyszała — kiedy białogłowa siedm ma dziewcząt jedna po drugiej, już nigdy chłopca nie urodzi.

— Mniejsza o to; ale pan Franciszek? — wyrzekł zniecierpliwiony Kozak.

— Otóż pan Franciszek był sobie z Ewulką od dzieciństwa jak brat z siostrą; trzy lata między nimi różnicy: nie wiem czy tam rodzice ułożyli co pomiędzy sobą dla nich czy nie, ale to wiem, że mnie to samej nigdy na myśl nie przyszło, choć mam już z dawna nos do tych rzeczy. Aliście jakoś w mięsopusty, była zabawa u Podstarościego w Policzny, bo tam lud dworski ze psuty robi co jeno chce; zoprosili i mnie, a Jagienka, piastunka pana Franciszka, co do dzisiejszego dnia czekałaby go i myśla, gdyby jedno się dał, powiedziała mi pod wielkim sekretem, że panicz ogniście rozkochany w naszej panience. Jam wierzyć nie chciała z razu; ale prawda, od tego czasu wyraźnie się zaleca, prawie co dnia tu przyjeżdża; bądź w wieczór musi być choć na chwilę; ta jego klacz bułana, jużby tu z zawiązanami oczyma trafiła; a zawsze musi Ewulce coś do zjadku przywieźć.

— A ona co na te zalecanki? — przerwał Kozak z widoczną niespokojnością.

— Ona, zwyczajnie jak młode: śmieje się i żartuje; jeśli co smacznego przywiezie, tę zje, a skoro usta obetrze, zapomni. Bóg Święty ją tam zna, czy go kocha, czy nie. Nie trudnoć przecie zgadnąć co z tego będzie?

Weselisko. Nasze dziewczątka wielkiego wiana mieć nie będą, trzeba im mężów zasobnych; a pan Franciszek znowu musi wziąć żonę z głową; bo należy wam wiedzieć bratkę — i tu stłumiła trochę głosu — taki to panicz jak się za dzisiejszych czasów nieraz trafia między szlachtą, ale u Kochanowskich to nowina, gdyż z nich każdy już jakby mądry się rodzi; on zaś ni książki, ni rusznicy, ni żadnej nauki ani roboty; duszy to jedno miło, co ciała smakuje; cały dzieńby jadł, pił, weselił się, a potem drzymałby na ławie nogi na piec założywszy. O Bożym świecie nie wie; w pole do gospodarstwa ani go napędzić; do jednej piwnicy co czasem zajrzy. Gdy broń Boże, pani Kasprowa zamarła, albo gdyby wstąpiła do klasztoru — jak oddawna zamyślała — majątek poszedłby z dymem; lepiej coby tych dostatków nasza Ewulka użyła, a warta ich. U naszego pana niczem wszystkie dziewczęta przy Orszulce, ale co u pani...

— Któż to Orszulka? — przerwał Kozak.

— Najmłodsza, cudowne dziecko nad wiek swój, bo to niedawno wywiązane z pieluch, i niedopiastowane jeszcze. Patrząc na nią, sądziłby można co ledwie gadać umie, a ona wymową swoją i rozumem nieraz starego zawstydzi; piosnki sobie już tworzy i śpiewa je sobie; aż człowieka strach często bierze, żeby jej nam kto nie urzekł; ja tam mierzę i odżegnuję dziewczeczkę co wieczór, kiedy ją do kołyski kładę, bo czort nie spi. Nasz pan za dziesięciu synówby jej nie oddał, ale co u naszej pani, to i panna Ewa nie mało znaczy; prawa ręka, drogie oczko matuni: będzie rada patrzeć na nią całe

życie. Ale bo też się i udała naszemu państwu dziewczeczka! — mówiła dalej Nastka, widząc że gość zadumał się czy zasłuchał. — I urodzie panny Ludwiny trudno co przyganić; owszem, w całym sąsiedztwie żadna się do niej nie umywała. Już wyższa od siostry, białe to jak mleko, gdyby z jedwabiu cała i z aksamitu, taka gładka i miłuchna, do ranyby ją przyłożyć; chodzenie jej ciche, mowa łagodna i rozmyślna; od samej kolebki pacierza pilnuje, dziecinnych zabaw i igrania się strzeże, nigdy w głos się nie rozśmiej, przy starszych milczy; pletliwe baśni i rozmowy płonne mimo jej uszu przechodzą; cała w postach, w dobrych uczynkach, nie wiem czem żyje, chyba modlitwą. Takiej pokory nikt nie widział, ona niczego nie godna, wszystko dla niej zadobre; gdyby jej przyszło chleb swój zarabiać na najprostszych usługach, byłaby najszczęśliwsza; a że Bogu dzięki zdrowa jak rybka, kiedy ją kto chwali, zawsze powtarza: „Ja wody nosić nie warta za moją Patronką.“ Ale tamta chorując całe życie, jak mi nasza pani opowiadała, nie mogła żadnym prawem tyle robić dobrego. Bez naszej panny Ludwiny nikt ani we dworze ani na wsi oddać ducha Bogu nie umie, ona własną ręką umarłym oczy zamyka; jak nad łóżkiem konającego usiadzie i z książki czytać zacznie słodziusińko, aniołowie zda się zstępują do izby, a czort zmyka gdyby oparzony. Będzie ona święta, będzie; ona bez żadnej zmazy jak dziecko niewinne. Wyśni się pani matce: jeszcze z nią chodziła, kiedy widziała przez sen, iż powiła śliczną córeczkę, którą białe panny w niebo niosły; dlatego też ledwie się urodziła, kiedy przyszło na myśl naszemu

Panu przeznaczyć ją do klasztoru, i dał jej imię owej świętej, której ciało oglądał gdzieś w dalekich niemieckich krajach. I prawdę rzekłszy, ona już dziś jakby święta; choć w czerni chodzi, jakaś łuna od niej bije: człek grzeszny nie ma nawet do niej śmiałości. Oto Banaszek, stróż dworski, co drzewo rąbie na podwórzu, jak ją spotka, żegna się kieby w kościół wchodził; w całej wsi kiedy kto kraju jej szaty się dotknie a pocałuje, myśli że odpustu dostał; a czarna Świtka ucieka przed nią jak zmyta. Co do naszej Ewulki, do tej każdy garnie się śmiało; pełno jej wszędzie: od rana po całym domu ją słychać; piosnki ciągle w ustach; to na tego się zaczai i nastraszy, to jużci w drugim końcu dworu dziewczkę którą wykręci, polechce. Dziwno mi, co jeszcze tego wieczora do kuchni nie wpadła; kurczątką tu ma za przegrodą, sama je hoduje, gotowa wstać jak kur pierwszy raz zapieje, żeby raz naraz jeść miały: bo choć do zabawy pierwsza, do roboty nie ostatnia; jej krówki zawsze najlepiej dojrzone, grządki w ogrodzie czysto wypielone, podlane; krzak rozmarynu co go sobie na ślubny wianeczek pielęgnuje, rośnie jak na drożdżach; w wieczory zimowe żadna prądka tutejsza, ba! ja sama jej nie nadążę: co jedno zobaczy, wszystko igielką misternie wyrobi; a jakie ciasta piec umie! niech się i nasz pan Zubek schowa — dodała pocichu spoglądając z ukosa na kucharza. To wszystko zaś jeszcze nic; królewskie serce u tego paniątka: duszęby oddała każdemu. Wszyscy we dworze, we wsi, przepadają za panną Ewą. Czy kto się rozniemoże, czy mu krzywda

jaka, czy co przewinił, zawsze do niej i przez nią. O! i teraz widziecie ją tam za wrotami?

Kozak spojrział ciekawie przez okno i dostrzegł Ewę i Ludwinę; w białych zawijkach, przy zmroku wieczornym zdały mu się obie, jak owi aniołowie, co niegdyś w gościnę przyszli do Piasta.

— Wraca ze wsi — powiedziała jeszcze Nastka — widzę dziś siostrę z sobą wzięła, lubo dzięki Bogu, nie mamy nikogo na śmiertelnej pościeli; w tej oto trzeciej chacie po lewej, Papisowej dziewczyna ciężko zapadła, ale jej nic nie będzie; po kilka razy na dzień dobiega z lekarstwami pańskimi; bo nasza pani zawołana lekarka; pewno była i u starego Kosika i poniosła mu co z obiadu: były gotowane śliwki i gruszki, dobre jadło dla dziada bez zębów. Ona wszystko rozda co jeno ma. Myślicie, bratku, zjadła sama dar dzisiejszy pana Franciszka? całą butkę oddała pielgrzymowi co u nas w stodole nocuje; a z owych bakalii coście przywieźli, ledwie parę rodzenków zakosztowała: wszystkim się dostało, i ja mam moją część — a tu wyjęła z zanadrza parę daktyl i fig w szmatce. — I ja ich takż nie zjadłam; schowałam dla mego chrzestnego Gryklikowej chłopaka; tego chłopak, nie uroczkiem, ślini się nieboże na zęby a szuka, szuka: wszystkoby jeno gryzł...

— Ależ blizkie pokrewieństwo? — zapytał Kozak, którego widać nie wiele obchodziły dzieci chrzestne sędziwej piastunki.

— Pokrewieństwo! — powtórzyła niechętnie — prawda. Pan Franciszek i nasza Ewulka idą od dwóch rodzonych braci, są sobie bratanki; powiadają ludzie, takim stadłom

małe dzieci mrą i należy mieć pozwolenie od kościoła; ale księża w to poradzą, jeszcze dla naszego pana, co wszystko może co jedno zechce. Wy nie wiecie, nasz pan był w Rzymie, z Papieżem gadał. A jacy to panowie, senatorowie, kapłani, zajeżdżają do naszego Czarnolasu; ba! nasz pan sam mógł być kasztelanem albo biskupem, jedno nie chciał. Posiedźno tu bratku z jaki miesiąc, a napatrzysz się i nasłuchasz. To czasem zjazdy jak na odpust, a goście sznurem ciągną kieby w cudowne miejsce; a Pan Bóg widzi, nie na żadne osobliwe biesiady i pijatyki się zjeżdżają; majątek szlachecki nie po temu; a nasze państwo rządne, o mało co nie skąpe; jedno tak przez wielki szacunek. Bo może i tego nie wiecie, co nasz pan księgi pisze, a to jeszcze wierszem, po polsku, po łacinie. Jak świat i długi i szeroki tak go znają wszędzie, w zamorskich nawet krajach; jego pieśni pobożne śpiewają ludzie Panu Bogu po kościołach; i choć tu zjeżdżają mężowie mądrzy, nauczani, przecież naszego pana za mędrszego jeszcze od siebie mają, i swoim ojcem, swoim księżęciem go zowią. Ja tam się temu zawsze dziwuję; prawda, mnieć to co innego! blisko od dwudziestu lat, dzień w dzień, twarzą w twarz na niego patrzę, i mam u niego łaski nie przymawiając; taki mi się wydaje szlachcic jak i każdy drugi; rozmówi się z każdym, rozśmiej się z lada czego, zna się na najmniejszej rzeczy, i najlepszy gospodarz w okolicy. Na nasz Czarnolas wszysej jak w tęczę patrzą z Policzny, z Grodka, z Sycyny, nawet z Jasieńca; z Janowca ludzie pytają: „A sieją tam już w Czarnolesie? a wypędzają bydło w pole? a cielęta czy odsadzone od krów?

a co tam pan Czarnoleski o urodzajach trzyma?“ I cokolwiek w całym powiecie, ba! w całym województwie się stanie, zaraz do niego jak w dym... Dla Boga Świętego! — zawołała tu porywając się za głowę — otóż i dzwonią...

— Co to znaczy? zapytał Kozak słysząc odgłos jakby kaplicznego dzwonu — cerkwim nie widział blisko.

— To nasza święta panna zwołuje na pacierze wieczorne; raz jeszcze tak zadzwoni. O! bo to już nie wszędzie tak jak u nas. Nasz pan nauczony a bogobojny, co rano i co wieczór na głos z dziatwą i czeladką się modli, do chwały Bożej dom swój przyprawując. Ot widzisz, bratku, dzwonek lepszy od miotły; żywego ducha w kuchni niema: jakby wymiółł. I ja idę. Zaraz, zaraz, dla Boga — dodała słysząc powtórzony odgłos dzwonka — jedno to giezłeczko dla Orszulki wyjmę; człowiek przy robocie rzadko przez dzień ma czas wspomnieć o Panu Bogu, dobrze choć w wieczór i rano pokłon Mu oddać. I rzecz to bardzo skuteczna, owa wspólna modlitwa; w okolicy okrutnie czort panuje; to dziecko wykrzywi, to krowom mleko urzeknie, to baby niemieją; bij, zabij, nie dogadasz się ani słowa, jakby usta zaszył: u nas przecie nigdy podobne nieszczęście się nie trafiło, choć jest we wsi czarownica. Modlitwy niewinnych dzieci najlepiej złe odganiają.

— A mnieżby tam pójść wolno? — zagadnął Kozak.

— I owszem. Państwo radzi temu będą jak was zobaczą; a co takiej drugiej Matki Boskiej jak nasza niema nigdzie chyba w jednej Jasnogórze; bo też to skapany onego cudownego obrazu konterfekt. Idźże zemną bracie.

Obaczysz oraz izbę pańską; jest druga daleko śliczniejsza, od wielkiego dzwonu, od gości; ta zwyczajnie codzienna.

W izbie obszernej o trzech oknach, z długim stołem dębowym w środku, na którego jednym rogu, białym obrusem nakrytym, leżał dzień i noc bochenek chleba z solą dla gościa, w izbie zastawionej ławami, szafami w okolo i rozmaitym sprzętem po kątach, przed wizerunkiem Najświętszej Panny Częstochowskiej, jarzącem światłem oświeconej, klęczeli oboje Kochanowscy; obok nich, po trzy z każdej strony, kolejną starszeństwem sześć ich dziewcząt: wszyscy razem, i rodzice i dzieci ze złożonymi rękoma, z oczyma wlepionymi w twarz Matki Miłosierdzia, służyć mogli za wzór jakiemu Dürerowi, do jego prostych ale wymownych obrazów. Za niemi byli dworscy i czeladź obojej płci, różnego wieku i stopnia, przybrani jak kogo dzwonek zastał, klęczący gdzie kto przypadł: to pod piecem, to przy ławie, to za stołem, to koło komina; włodarz i bakałarz, ten z batem za pasem, tamten z piórem za uchem; szafarz i piwniczny trzose kluczy mieli oba przy sobie, jeden trzymał jeszcze nóż stłuszezony w rękę, a drugi mokry lejek na palcu; kucharz i kuchciki, ów ubielony mąką, tamci zczernieni sadzą i węglem; pomywaczka ze ścierką, pokojowe to z zawijką, to z duchenką; pacholki i pacholęta z miotełkami, ze szczotkami; woźnica i parobki z zgrzeblem pod ramieniem, z barłogiem w czuprynach; stróże z siekierami, dziewczki z trawą w płachtach, a znajoma nam gadulska Nastka z zamydloną chustą przed sobą.

Zwolna milczenie ogarnęło izbę i Kochanowski za-

czął. Najprzód zrobił znak krzyża świętego na czole, piersiach i ramionach, a wraz z nim cała obecna drużyna; potem odmówił na głos Modlitwę Pańską, Pozdrowienie anielskie, Skład apostolski; akty wiary, nadziei, miłości; wyliczył przykazania Boskie i kościelne, siedm sakramentów, siedm grzechów śmiertelnych i wszystkie miłosierne uczynki; dalej zaśpiewał litanią do Matki Boskiej, a głosy grube i piskliwe, męskiej i żeńskiej czeladzi, i głosy pieszczone i dźwięczne żony i córek, w jeden głos złączone, odpowiadały mu w miarę jakby dzwon mówiący: „Módl się za nami! módl się za nami!“

Po skończeniu litanii w osobnej i krótkiej modlitwie polecił miłosiernemu Bogu całą Rzeczpospolitą, króla, królowę, kościół prawowierny, wszystkie stany, rycerski, duchowny, miejski i kmiecy, krewnych swoich, dobroczyńców, przyjaciela, braci, starego stryja, a nareszcie duszę nieboszczyka króla, rodziców, krewnych, a mianowicie duszę matki, brata Kaspra i księdza Macieja. Te trzy imiona wymówiwszy umilkł; wtedy pobożna Ludwina zanuciła słodko psalm ojca przekładu: „Kto się w opiekę podją Panu swemu“ a wtórowali jej wszyscy, gdyż już upowszechnioną była między ludem muzyka starego Gomółki, do której zastosował Kochanowski swoje psalmy.

Po tej pieśni wszyscy uderzywszy się w piersi, powstał prócz Kozaka, który w kącie przy drzwiach był ukląkł. Kochanowski idąc do sypialnej komnaty, spostrzegł go modlącego się gorliwie. Zdawało się jakby ślub jakiś potajemnie czynił, bo złożył na krzyż wskazu-

jące palce u obudwóch rąk, wlepił oczy w święty obraz, i coś mówił po cichu z głębokiem uczuciem.

— Dobrze bratku — rzekł Jan głaszcząc go po głowie — widać z jakiej jesteś szkoły; jaki pan, taki kram; i mój Jakób bić i modlić się umie.

Zerwał się Kozak, skłonił się do samych nóg i wyszedł.

III.

Ale gdy co komu miło,
Trudno wytrwać i czas mały.
Godzina tam jak wiek cały.

Ks. II, pieśń VIII.

Radość podobno snadniej od smutku sen z powiek oddala, może dla tego, że człowiek choćby też do liczby najszcześliwszych należał, mniej jest z nią oswojony. Lubo to u nas w kwietniu noc przespać nie sztuka, i słońce już nie leniwe, przecież Kochanowski wyprzedził słońce; rad był zacząć coprędzej ów dzień pomyślny, który go miał złączyć z przyjacielem po kilku leciech nie widzenia się. Wstał więc z jutrzeńką; już nie czekał żeby mała Orszulka, jak było jej zwyczajem, ruszyła się ze swego posłania i przyszła do niego w koszulce po paciorek ranny; wstał sam, podsunął coprędzej głowę i kark pod zimną wodę, która szła zawsze w izbie pod oknem za odwiedzeniem kurka w wielką miedzianą miednicę, obmył żwawo czuprynę, twarz, szyję i ręce, owiął stopy białemi onuczkaami, wciągnął długie skórznie, przywdział kozuch, przytrzymał go rzemiennym pasem, czapkę włożył i poszedł prosto do stajni nagadać się z Kozakiem, wypytać się jeszcze lepiej o ową zbójcką napaść, o tę ciężką ranę w głowę; dowiedzieć się do-

kładniej gdzie pana zostawił, którą drogą zjedzie, o jakiej godzinie? wreszcie zanieść mu parę groszy nowinego. Zdziwił się nie mało, nie zastawszy w stajni, ani konia, ani jeźdźca; a kiedy czeladzi się pytał, żaden nie mu powiedzieć nie umiał.

— To ranny ptaszek — pomyślał sobie — uleciał jak ptaszek. Zaprawdę, człowiek sam nie wie, jak o tem wszystkiem sądzić. Czy to sen jaki? czy urok? czyby psota czyja? Ależby się to nie godziło, żarty i krotofile z sercem niemilosierne i nieprzyzwoite.

I powtórzył swoje zdziwienie i domysły żonie i dwom starszym córkom, co także już wstały, a odziewszy się naprędce, wybiegły przed ganek patrzeć, jaką Pan Bóg dał pogodę na ten dzień radosny?

— Bo już ja mówiłam jeszcze wczoraj matce — powiedziała Ewa — jakiś to dziwny Kozak. Z razu podobał mi się, takiemu dorodnego i mownego młodzieńca w barwie jeszcze nie widziała; ale jak na mnie raz jeden spojrzał, coś mnie wskroś przejęło, i bałam się cały wieczór gdyby złego.

— Zły człowiek, albo w zмовie ze złem, nie mógłby się tak jak on, i nie śmiałby wpatrywać się w święty nasz obraz — odezwiała się ujmującym głosem Ludwina.

— Słuszną uwagę — rzekła Kochanowska — a druga rzecz, doszłzegłam w nim wielkie przywiązanie do pana brata, z czego takó¿ dobrze o nim trzymam. I zapewneć, z przywiązania nie z czego innego, zerwał się chłopczyśko z pościeli jeszcze pierwszej od nas. Chciał pana swego spotkać z pomyslną wieścią o zdrowiu naszym.

Uspokoiły Kochanowskiego te słowa; przecież już przez poranek cały nie szły mu jak zwyczajnie jego zatrudnienia i prace.

Wprawdzie odmówiwszy pacierze z działawą i z czeladzią, spożywszy czarę piwnej polewki, dosiadł był swego siwosza; pojechał jak codzień w pole gdzie właśnie dosiewano owsa i jęczmienia; postął trochę nad rolę, którą przekładali na len i na kapustę, ale wnet wrócił pędem do domu jakby w obawie, żeby tam Podłowski nie przyjechał w jego nieobecności. W stodołach młócili proso do siewu; zwyczajnie ostro przestrzegał, żeby dobrze plewę z ziarna obijali; lecz dziś na nie nie uważał, nikogo nie strofował. Pasterz przyszedł do niego i powiedział:

— Miłościwy panie, dobrzeby choć ze troje starszych cielątek od macierzy poodsadzać, byłoby więcej mleka.

— Jutro, jutro — odrzekł — dziś dajcie temu pokój; dziś nikomu i niczemu nie robić przykrości.

Kiedy wracał ku domowi, szanowny pan Łukasz Gupolski, bakałarz, w czarnej rewerendzie, z kałamarzem u pasa, zaszedł mu drogę:

— Paniątka uczyć się dziś nie będę, sama jej miłość mi to oznajmiła; mam czas wolny, mógłbym dokończyć oprawy dokumentów do relacyi z ostatniego sejmku, ale nie ułożone jak należy: może wasza miłość oświecić mnie raczysz.

— Idźcie dziś z wędką na ryby, panie Łukaszu — odpowiedział — albo ulówcie słowików i skowronków do rychłego śpiewania, jak to umiecie; a najlepiej róbcie co się wam spodoba: ja głowy nie mam, przyjaciela wyglądam.

W szkółce nad sadzawką zostało jeszcze kilka zimowych jabłoni do przesadzenia; mała winnica, która była na wzgórzu od południa, potrzebowała obrzezania gałązek, obwiązania macie; Franek ogrodniczek czekał na rozkazy pana; lecz i to mu nie szło:

— Zostawmy do jutra — powiedział — on mi pomoże.

Poszedł pod swoją ulubioną lipę. Stała ona odosobniona o kilkaset kroków od domu ku wschodowi, już dziad jego siadał pod jej cieniem, a on nieraz pacholęciem będąc, krył się w jej gałęzie, i tak całe przesypiał noce, budząc się dopiero z ptaszkami. Teraz, osobliwie też w późniejszej porze, kiedy gęstym liściem się odziała, albo pachnącym kwiatem się nastrzępiła, miał ją za muz świątynię; tam lutnia jego brzmiała najwdzięczniej, tam najswobodniej oddychał; ztamtąd także używał najpiękniejszego widoku, na jaki niewydatny Czarnolas mógł się zdobyć; ztamtąd było widać staw zwierciadlany i dosyć rozległy młyn, Dzbukiem zwany i cienisty lasek jaworowy, ręką rodziców jego sadzony, przez który czysty strumyk przebiegał. Ale dziś nie mógł i pod lipą dosiedzieć; jakiś dreszcz go przechodził, chociaż dzień był wcale ciepły i słońce mile dogrzewało.

Zwrócił się ku dworcowi; nie było gdzie się podziać, z kim pomówić; wszędzie nieład, wielkie uprzątnię: żona, córki, czeladź zajęte. Tu jedna dziewczka w ganku omiata z pajęczyny wyrzynane słupki, które daszek wspierają; tu druga w sieni okurza sterczące rogi łośie, jelenie i sarnie, zdejmując wiszące na nich opończe, kozuchy, czapki, trzepie skóry niedźwiedzie i wilcze-

przed progiem leżące. Tu Ewa z Dorotą i z Marychną ustawia ławy, stoły, stolki, kołowrotki, krosna; ściera półki, szafy w izbie już nam znanej, największej z całego domu, ale za to najwięcej uczęszczanej i najwięcej potrzebującej porządku, bo w tej izbie rano i w wieczór zebranie na wspólną modlitwę, trzy razy zastawiane jedzenie; w niej roboty samej pani i starszych córek, narady i rozmowy gospodarskie pana z włodarzem i z sołtysem, zwłaszcza kiedy słońce, albo zimno w ganku siedzieć nie pozwala; w niej przy ogromnym kominie, w długie wieczory pogadanka i przedśnięcie na wyścigi; w niej poufalszych gości przyjęcie, małych dziewczątek gry, zabawy, tańce i dwóch ulubionych psów domowych Brysia i Obala wieczne pod kaflowym piecem legowisko.

Po drugiej stronie sieni, Kochanowska z Ludwiną i z Nastką również są zajęte. Tam jest także obszerna izba, sala zwana, a w niej kram dobrany. Ławy z poręczami, stolki jaworowe skórą wybite, stoły osłonięte kobiercami tkanymi w Carogrodzie, szafy z czarnego dębu, jasne drzewem w wzorki układane; tam w oknie szachownica na czterech nogach i na niej olbrzymie szachy z hebanu i z kości słoniowej ustawione do boju jak gdyby na ówczesowych szachowych rycerzy na Fiedora i na Borzuję czekały; tam na półkach stoi pare skrzynek z perłowej macicy, kilka puharów srebrnych i czar szacownych: tam są i farfury rzadkie i konchy osobliwe. Na ścianach wisi broń kosztowna, wizerunki familijne, a nad kominem Zygmunta Augusta obraz w hiszpańskim ubiorze, jak na codzień zwykły był się nosić. Do tej izby dzieciom ani czeladzi wchodzić

samym nie wolno; klucz od niej wisi zawsze na kołku w sieni, i tylko czasami Kochanowska z jedną ze starszych córek, albo z zaufaną Nastką pył szanowny zmiata i sprzęt każdy stawia na miejscu, na którym już blisko od lat dwudziestu stoi. Nawet i z dwiema najmłodszymi dziewczátkami, z miluchną Hanną i z ukochaną Orszulką, nie może mieć zabawy Kochanowski: i one pracują. Leży przed gankiem stos świeżo wyciętego ze stawu tataraku; obie dziewczynki z polecenia matki napelniają zieleń swoje sukienki, a przytrzymując je jedną rączką, drugą rozrzucają długie i aromatyczne liście po sieni i po izbach; rzekłbyś dwoje aniołków z chóru tych co otaczają Niepokalaną Dziewicę, albo para owych co lecą zanieść palmę męczeństwa jakiemu wybranemu Pańskiemu.

— Pójdę na pokój — powiedział sobie Kochanowski — odebrałem też temi dniami kilka listów, trzeba je odczytać i odpisać. A otworzywszy drzwi skryte w kącie izby, zniknął; słyhać tylko było przez chwilę wolne stąpanie po schodach, a potem odemknięcie drzwi kluczem.

Nastał był od niedawnego czasu u zamożniejszych, a nadewszystko więcej myślących Polaków obyczaj, iż mieli w domach jedną izbę do uspokojenia, na ustroniu, o jednych drzwiach, gdzie zawsze cicho i samotnie być mogło; tę przezwali słusznie pokojem. Kochanowski stawiając sam dom swój, i chcąc go uczynić wygodnym, kiedy nie mógł wspaniałym, nie omieszkał opatrzyć sobie podobnego schronienia. Jeszcze ojciec jego w obawie ognia, zmurować kazał opodał od dawnego dworu, na suchej i wysokiej piwnicy, lamus czyli skarbiec czworokątny, i tam zamykał co miał droższego. Syn o tę

fundacyą ojcowską oparł swój dom nowy, drewniany, podniósł ją na całe piętro, a na wierzchu dał włoskim kształtem dach płaski czyli taras blachą wybity, kratą opasany, z kompasem na środku, z kądem w każdej porze, niebo na około mógł widzieć, wschód i zachód słońca uważać; wewnątrz zaś urządził sobie zacisze do pracy i do dumania, gdzie miał księżnicę i skład rękopismów, i od którego klucz był zawsze w jego kieszeni. W dnie zwyczajne, nad wielkim stołem stojącym w pośrodku, zielonem suknem okrytym, otoczony księgami, papierami, po kilka godzin przesiadywał z lubością, rzucając niekiedy okiem: to na obraz Zbawiciela, włoskiego pędzla wiszący na ścianie, to na dziewięć muz rozstawionych po pułkach: dziś, ni księgi, ni pióro, ni wizerunki, żadnego nie mają dla niego wdzięku. Klepsydra stała na stole: wziął ją, przewrócił, popatrzył czas jakiś na ziarenka piasku zwolna spadające; wstrząsnął nią mocno, nie pomny że tym sposobem ani rzetelnej, ani sztucznej godziny nie skróci: rozśmiał się sam z siebie, poszedł spiesźnie na taras. Tam, kiedy bywało w dzień wstąpił, i siadł na ławce samotnej, w górze trzymał i wzrok i duch swój, spiewał Panu z królem prorokiem:

Tyś niebo jako namiot rozbił ręką swoją;
Chmury Twój wóz, Twe konie wiatry nieścignione;
Duchy — posłańcy, słudzy — gromy zapalone.

A jeśli w wieczór albo w nocy poszedł, wpatrywał się w gwiazdy, gubił się w tym świetle tajemnic w myślach o ich Stwórcy, o biegu życia człowieka, tak ściśle złączonego, jak wówczas rozumiano, z biegiem planet. Dziś, jego oczy na dół są zwrócone, oderwać

ich nie może od strony, z kąd przyjaciela się spodziewa; zlorzeży pierwszy raz sosnowym lasom, otaczającym jego wioskę, które go może ukrywają; a długo nie dojrzeć nie mogąc, zbiega znowu na dół; zniecierpliwiony chce wyjść na drogę i iść póty, choćby też do wieczora, póki upragnionego gościa nie spotka. Już spał krótki piaskowy kontusz, szablę przypasał, czapkę na uszy nasunął, kosturek wziął w rękę, kiedy zabiegła mu drogę ulubiona jego Orszulka. Wystąpiła ją z umysłu matka, wiedząc dobrze, kto najlepiej ojcu czas skrócić potrafi. Śliczniejsza była niż kiedybądź, zawsze śliczna dziecina. Kochanowski rad popisać się z nią przed przyjacielem, zalecił był jeszcze wczoraj Nastce, żeby ją jak najstanniej ubrała, i właśnie w tej chwili po ukończonem rozrzucaniu tatarakowych liści, dokonano ochędostwa. Koszulka cienka biała, bryzowana, nowy letniczek pisany, co jej matka sama uszyła, paski złote, niedawno z Sandomirza przywiezione, a z włosków dwa uploty niebieską wstążką nad czołem związane.

— Ojcie, chodźcie ze mną na łąkę — powiedziała, biorąc go za rękę — kwiatów dla gościa narwać trzeba.

Poszedł, ulegając jak zawsze woli dziecięcia, mówiąc sobie:

— Potem na drogę wyjdę.

A kiedy ona, biegając i śpiewając zaczęła układać skromny snopek wiosenny, on jej się spytał:

— Szczebiotko! wiesz ty kto tu przyjedzie?

— O! wiem — odpowiedziała, jakby nie przerywając śpiewania.

„Przyjedzie tu rycerz,
Ojcu, matce drogi,
A ja te kwiateczki
Rzucę mu pod nogi“.

— Pieszczoto moja! — zawołał Kochanowski, siadając na trawie i otwierając ku niej ramiona, w które ona pędem wbiegła — i cóż mu powiesz?

— Oto mu zaśpiewam — a stanawszy przed ojcem, lewą rączką ujęła się pod bok, główkę przykrywiła, tupnęła nóżką zupełnie jak parobek w tańcu, kiedy przed grajkami stawa, i tak się ozwała:

„Nie znałeś Orszulki,
A ona cię kocha;
Poznałeś ją teraz:
Pokochajże trochę“.

— A za cóż ty go kochasz? — spytał jeszcze ojciec, odchodząc prawie od siebie ze zdziwienia, i jakby zapominając, że z dzieciną rozmawia, że może nadużywa władz rozumu budzącego się zawczasie.

Tu dziewczynka zadumała się nieco, uroczystym głosem wyrzekła:

„Tak Bóg przykazał,
Czyż tego nie wiecie?
Kto kocha ojca.
Tego kocha dziecię“.

— O! Bogowie! — zawołał Kochanowski w uniesieniu powstając i porywając dziewczynkę — jakaż cudowna śpiewaczka, Safo Słowiańska rośnie mi w tobie; chodź słowiczku mój, powtórz matce piosenki twoje, a nie zapomnij je tak samo zaśpiewać wujaszce.

— O! już zapomniałam — wymówiła zakłopotana dziecina — może inne przyjdą; tam jest lepszych siła — dodała, przytykając rączkę do wypukłego czoła — bie-

dują się często, a wyjść nie chcą, czy nie mogą; aż czasem boją. Ale, ojcze, patrzcie, co tam widać na gościńcu; coś błyszczy: rycerze jadą!

I dobrze widziała dziewczynka. Podlodowski jechał na dzielnym ukraińskim koniu; już nie młody ale jeszcze zupełnie ciemnego włosa i nadzwyczaj piękny i dorodny mężczyzna, był uzbrojony jakby na wojenną wyprawę; z pod szarej tatarskiej opończy z lekka na ramieniu wiszącej, widać było bekieszkę, ubiór wielce wówczas używany, przez pamięć na szlachetnego Bekiesza, szablę u boku, i kindżał za pasem. Obok niego młodzieniec hoży i gładki, także zbrojny i jeszcze suciej ubrany, harcował na cisawym tureckim dzianecie. Toczył się za nimi wóz ciężki czterokonny, dążyło dwóch pachotków na zwiniętych parepach czyli podjazdach, ale wczorajszego Kozaka nie było: znać się zminął z panem w drodze. Stanęli oboje Kochanowscy z córkami na ganku, wołając radośnie:

— Witajże nam, witaj! przyjacielu i bracie; witaj i z temi co w progi nasze wprowadzasz! — dodali, widząc nieznajomego młodzieńca.

Tabor cały wnet stanął na podwórzu: zaczęły się uściski, pokłony, pozdrowienia.

Czemu Ewa spłonęła rumieńcem, kiedy pan Podkoniuszy wyrzekł, pokazując na towarzysza swego:

— Oto mój syn, rotmistrz Filip Owadowski, herbu Łabędź; nie on-ci mnie, ja jemu winien życie; ale miłuję go jak syna i wy go za takiego mieć raczcie.

Czemu Ewa spłonęła? Niech to młode dziewczęta odgadną.

IV.

Służmy pocziwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spółnego pomoże.

I. 19.

Lubo Wielkanoc, owo prawdziwe święto zmarłych-wstania, od piętnastu dni minęła, tydzień świąteczny zaczął się w Czarnolesie. Dwaj przyjaciele, po tak długiem rozdzieleniu, gdyż pan Podkoniuszy dziesięć tylko dni bawić przyobiecał, nacieszyć się z sobą, nagadać, napatrzeć się wzajemnie siebie nie mogli. Jakkolwiek dzielny, rubaszny, sierzdzisty, poważny, niepospolitego wzrostu i siły, mężkiej i rycerskiej piękności Jakób, różnił się zupełnie obejściem i urodą od łagodnego, wdzięcznego spojżenia, słodkiego języka Jana, owego pieszczonego wychowanka muz, dworu i najoświecieńszych krajów, owego miłośnika pokoju i wioski jakkolwiek,

„Jednemu twardy szyszak docierał do głowy,
Drugiego skroń otaczał miękki liść myrtowy“ *);

przecież sercem zgadzali się i pasowali do siebie, tak samo w pośrodku życia, jak niegdyś w dniach bujnej młodości i w pierwszej świeżości uczuć. Jedna w nich była co dawniej miłość Boga, ojczyzny i sławy; jedna-

*) Elegia Kochanowskiego.

kowe zdania o wierze, o wolności, o poprawie rządu, jakich Rzeczpospolita potrzebowała koniecznie; jednakie zaufanie, że spełnić je potrafi Stefan Batory, król równie dzielny jak mądry, zwłaszcza wsparty radą, ramieniem i sercem kanclerza hetmana, przyjaciela i powinowatego swego, Jana Zamoyskiego.

Podlódowski nie był nawet bez wyższego usposobienia rozumu, bez delikatności w uczuciach; wprawdzie życie oddane ciągłym prawie bojom, teraz poświęcone mozolnym i niebezpiecznym podróżom w królewskiej posłudze, nie wiele miejsca zostawiało naukom. Szabla i rusznica droższe i poufalsze mu były od pióra, koń miłszy od książki: dwóch rymów nie znalazł, odkąd żył na świecie. Ale czyż tylko tych co czytają, piszą i rymują, zwać można poetami? Są poeci czynu, w ich życiu jest poezya. Z tych liczby był Podlódowski. Ze starożytnego domu, który oddawna przysługiwał się Rzeczypospolitej ludźmi mężnemi na wojnie, światłemi w senacie, syn zacnego i śmiałego ojca, dziedzica szerokich włości, urodzony w głębokiem Podolu, w owej krainie, męztwem Giedymina i Olgierda wydartej Tatarom, ale do której ta dzika tłuszcza ciągle prawa swoje mieczem i ogniem wznawiała, ledwie mógł broń udźwignąć, kiedy był już żołnierzem; obóz stał się dla niego domem, koń siedzeniem, żelazna zbroja odzieżą, bitwy z nieprzyjacielem tańcem, a życie i mienie o tyle szacowne i drogie, o ile dla ojczyzny i dla braci poświęcone być mogły. Jeszcze wtedy, właśnie w końcu panowania Zygmunta Starego, nie był wszędzie obmyślony żołnierz do ciągłego strzeżenia granic. Polska, przez którą barbarzyńskie ludy

wnijście do Europy miały, nie zasłonią od nich górami, nie przedzielona morzem, wstrzymywała ich przecież; lecz całe prawie jej bezpieczeństwo, cała spokojność ościennych narodów polegała na dobrowolnej i ochotnej waleczności rycerskiej jej dzieci; i było wielu, w zaślepionej ale poetycznej szlachcie, którzy stawianie fortec, obsadzanie ich regularnem i płatnem wojskiem, uważali za uwłóczenie męztwu stanu rycerskiego. „Piersi synów — mawiali — dostateczną dla matki obroną“. Nadstawiać więc trzeba było tych piersi i oba Podlódowscy tak ojciec jak syn wraz z Daszkiewiczami, z Lanckorońskimi, z Pretficami, Herburtami, Jazłowieckimi, Sieniawskimi, zasłużyli się dobrze Rzeczypospolitej i Chrześcijaństwu, w wstrzymywaniu wielokrotnem własnemi ludźmi i własnem ramieniem, srogich napadów tatarskich, w ściganiu ich i karceniu, gdy silniejsi albo podstępniejsi od nich, zapuścili na Podole, na Wołyń i na Ukrainę krwawe zagony swoje.

Jednak Podlódowski ojciec, widząc rosnącą z wiekiem dzielność syna, może i dumny z nadzwyczajnej jego urody, zapragnął dla niego wyższego ćwiczenia, większego świecznika. Gdzież go miał chętniej szukać i łatwiej znaleźć jak przy boku wielkiego hetmana Jana Tarnowskiego, z którym nawet powinowactwo go łączyło? W owym czasie taka była konieczna kolej wychowania męskiej młodzieży; każdy musiał się otrzeć między ludźmi, służyć, nim zaczął żyć na własny rachunek i rozkazywać drugim. Po odbytych naukach w domu, albo w szkołach, drobna szlachta oddawała synów do majątniejszej braci, majątniejsi do panów, panowie

zaś posyłali swoich na zagraniczne dwory, do cesarza, królów i książąt udzielnych. Ośmnasto-letniego Jakóba przywiózł tedy ojciec do Tarnowa i oddał w służbę hetmanowi; tam wnet przybył jak wiemy i nasz Jan, któremu matka wyjednała miejsce na tymże dworze, dla wykształcenia go w naukach, w pisaniu listów, w znajomości rzeczy krajowych; gdyż Tarnowski jak wszyscy nasi wielcy mężowie XVIgo wieku, był razem gromem bojów i muz miłośnikiem. Oba jednakże i Jakób i Jan rok tylko jeden spędzili na tym znamienitym dworze.

Nowy a okropny napad Tatarów na ziemię Ruską w końcu Września r. 1549 przerwał korzystne dla nich życie, wdziękiem przyjaźni ozdobne. Tak potężne było mnóstwo najeźdźców, iż żadne siły wstrzymać ich pochodu nie mogły; toczyli się jak powódź rozbukanej rzeki, padali jak śmy szarańczy na polskie kraje. Już Lwów pamiętny dawniej doznanych medoli drżał cały, kiedy hetman Tarnowski zaciągnawszy ku temu nieprzyjacielowi z licznym wojskiem koronnem i własnem, poraził ich na głowę pod Tarnopolem. I Kochanowski był w tej walnej bitwie; chociaż nie z powołania rycerz „przypasał się na ten raz do miecza“ *), jak sam o sobie napisał; nieodstępny od przyjaciela, przeto w największem niebezpieczeństwie, strzała tatarska w szyi mu utkwiała i była nawet chwila trwogi o jego życie. Lecz Podlódowskiego boleśniejszy jeszcze cios ugodził. Tatarzy naprzód spustoszyli brzegi Dniestru, pałac, siekąc, mordując, zabierając, cokolwiek okropną swoją oblawa

*) Księga IV. pieśń 24.

dosięgli. Wtedy sam książę Wiśniowiecki oprzeć się nie mogąc przemagającej sile, poddać się musiał z żoną i dziećmi. Stanisław Podlódowski także we własnej wsi, w Studzienicy, z nienacka napadnięty, a dobrze pohancom znany, bronił się do ostatka, aż zakłuty poległ. Żonę jego zasną białogłową, Ewę Biejkowską rodem, wraz ze wszystkimi jej kobietami, Tatarzy zabrali w niewolę i zaraz do hordy odesłali, zniknęła nawet dwuletnia córeczka Hanna z piastunką swoją; i nazajutrz po Tarnopolskiej bitwie, kiedy wszyscy w hetmańskim obozie w radości zwycięstwa byli, a ranni zapominali o bólach swoich, wierny kmiotek Studzieniecki przybył donieść młodemu Podlódowskiemu o całym jego nieszczęściu.

Pomścić ojca, wydobyć matkę i siostrę choćby z głębi Azji, te powstały w młodzieńcu chęci; a gwałt ich zrównoważył nieco w jego duszy żal srogi nad śmiercią ojca, żal, że nie był przy nim w tej chwili! Rzucił wielkiego hetmana, rzucił rannego przyjaciela, pędem wiatru poleciał. Odkopanego trupa ojcowskiego, zamordowanego licznymi razami, zaledwie poznał, ale za każdą ranę choć jednego Tatarzyna zgładzić ze świata poprzyściął; maleńkiej i jedynej siostry szukał to w Kamieńcu, to w Mohilowie, to w miasteczkach i wioskach okolicznych na drabnych wozach naładowanych porwanymi przez Tatarów dziatkami, które nasi ścigając ich, zdolali im odebrać, a które w takowych razach wożono do miast głównych, aby matki poznawały i odbierały swoje. Ale nie tam i nie zaraz znalazł ukochaną siostrę. Piastunka dwuletniej Hanny, owa gadatliwa lecz wierna i

roztropna Nastka, wyprowadziła była dla zabawy panienkę opodał od domu; w tem, znać dano o zbliżających się niespodzianie Tatarach, i wraz ich okropne krzyki rozległy się w powietrzu. Nastka nie wiele myśląc porwała dziecię na ręce i uciekła w przeciwną stronę, w stepy; już słyszała jak pohańcy je gonili; lecz ona skryła się w wysokich trawach, a blakając się długo, zaszła do jaskini, gdzie stary czerniec pędził resztę dni swoich w samotności i na modlitwie. Ztamtał dopiero po kilku miesiącach wyjść się poważyła. Podlódowski tymczasem przez Dniestr się przeprawił; z ludźmi, z pieniędzmi jakie mógł zebrać, zapuścił się w tatarskie kraje, żeby matkę wyzwolić, wykupić. Znalazł ją nareszcie, ale umarłą.

W mocy u jednego z Carzyków, który na Proroka swego przysięgał, iż najlaskawszego obejścia doznawała u niego, ale nie mogła znieść ohydnej niewoli; uciśnienie jej, łzy, modlitwy widział Bóg i ulitował się nad nią. Pograżony w ciężkim żalu syn, przynajmniej jej ciało wykupił, ze czcią do Studzienicy sprowadził, i własną ręką w grobie ojcowskim położył. Jedna pociecha czekała go za powrotem do domu, zastał już siostrę z wierną piastunką. Nie przewidując atoli dla niej ani pewnego ani przyzwoitego schronienia w nadgranicznej majętności, której tak młodo i nieżądanie został dziedzicem, i chcąc ją od niebezpieczeństwa wojny z pewnością uchronić, odwiózł ją sam aż do Sendomirza, miasta opasanego murami, zakwitłego w zamożność i handel, a które od czasów Kazimierza Wielkiego, dzięki jego przezorności, nie doświadczyło tatarskiej napaści. Tam do klasztoru ją oddał, zostawując przy niej pocziwą

Nastkę. Może też do wyboru tego miasta dla siostry, powodem mu była pamięć na rodzinną ziemię przyjaciela, i myśl że bezpieczniejszą będzie sierota mając dom Kocchanowskich w tem samem województwie. Nie przewidywał wtedy o ile się ścięsnia w przyszłości węzły jego z tym domem; chociaż braterstwo powinowactwa, mało co już dodać mogło siły braterstwu serca.

Stwierdził je wiek, mimo tak odmiennych przeznaczeń obydwóch przyjaciół.

Jak Jan nauki, tak Podlódowski obrał sobie zupełnie i dobrowolnie stan rycerski za powołanie. Należał on do liczby owych ludzi, co to nie żyją na wiatr, z dnia na dzień, ale którzy wcześniej kreślą sobie zawód, piękny cel znaczą i pracy nie szcędzą żeby dobiedz chlubnej mety. Kamienny i żelazny dla siebie i w ciele swoim, był czuły i litościwy dla drugich i w duszy. Wnet też pozbył się uczucia zemsty, które po stracie rodziców podzęgało jego ramię, chęć szlachetniejsza go ogarnęła, zapragnął być obrońcą ojczyzny, obrońcą wiary, zgoła żołnierzem chrześcijańskim.

Nie brakło mu na sposobności dogodzenia temu pragnieniu.

Przez całe panowanie Zygmunta Augusta, owego nie bez zalet, ale nie wojennego króla, ani opuścił Podola i Ukrainy, na krótką chyba chwilę żeby przyjaciela i siostrę odwiedzić; zresztą był jakby krzyżownikiem wiecznym, gdyż ciągle z niewiernymi walczył, lub do walki się sposobił. To lud Studzienicki ćwiczył na żołnierza, wzmaczał ich w broń i w konie, i układał z nich rotę dzielnych kopijników; to z sąsiedzkimi a śmiałymi

Kozakami w zмовie, wraz z niemi na Tatarów, jak na łowy dzikiego zwierza się puszczał. Często uganiał się za niemi aż do ich hord, tym samym szlakiem, którym ciało matki niegdyś przywiózł. Nieraz wielkie łupy na nich zdobywał, któremi bogacił kościoły i klasztory; zawsze spłoszył ich i odpędził, skoro na granice napadać chcieli, zawsze gromadkę jeńców zabrał, a potem osadzał je w wiosce swojej i do wiary chrześcijańskiej namawiał. To znowu z Jazłowieckimi, Pretficami i innymi troskliwymi obywatelami, układał jakby na Ukrainie założyć szkołę rycerską, ustanowić zakon krzyżacki według reguły św. Łazarza, któryby na całym zadnieprzu składał wraz z Kozakami mocne wojenne osady przeciw abunkom bisurmańskim.

I tak zbiegł wiek jego najpiękniejszy. Mógł być za tyle usług oddanych krajowi, za tyle dowodów waleczności, żądać tytułów, nagrody, owych starostw, po które wielu majątniejszych od niego a mniej godnych wyciągało ręce. Ale on nie starał się o nic. „Sama cnota sobie nagrodą, dosyć jest zasłużyć“, odpowiadał tym, co go namawiali o domaganie się łask królewskich, zawsze hojnie szafowanych. Lecz gdy Zygmunt August umarł, gdy ziemie Ruskie (wytrzymawszy raz jeszcze w czasie bezkrólewia po ucieczce Henryka okropniejszy niż kiedykolwiek napad Tatarów), zaczęły używać pokoju pod rządami bitnego Stefana, który zwyciężkim bułatem rzucił postrach na sąsiadów, Podlódowski wnet znalazł że nie ma co do roboty u siebie i przykrzyć mu się zaczął beczynny pokój.

— Kiedyśmy dziś z łaski dzielnego króla bezpieczni

u siebie — mówił do przyjaciela — kiedy wróciły dla Podola i Ukrainy jakby Witoldowe czasy; kiedy w domu jest sprawiedliwość, na granicach gotowość i siła, Tatarzyn wstrzymany, Kozacy w bojaźń i w karność ujęci, należy nam, szlachcie rycerskiej, otoczyć ojca narodu, i pomagać mu w tem wszystkiem, co on dla dobra i chwały Rzeczypospolitej przedsięwzie.

I czekał tylko pomyślnej sposobności; a skoro rozesłano wici na wojnę, stanął przy królu z wyborem własnych żołnierzy, zawinął się pod chorągwie Jana Zamoyskiego, który choć wtedy jeszcze nie hetman i prawie nie żołnierz, już wzbudzał wielki szacunek w dojrzałym wojaku.

Lubo w owej sławnej i zwycięskiej wyprawie, która Stefanowi Batoremu prowadzącemu ją osobiście, imię pierwszego wojownika owych czasów zapewniła; lubo mówię, tylu Polaków na wyścigi z ochotnymi Węgrami, z Niemcami ćwiczonymi dało dowody odwagi i poświęcenia się: przecież Jakób Podlódowski z rotą swoją potrafił zwrócić na siebie uwagę Zamoyskiego i króla. Widzieli go zawsze jako prawdziwego rycerza chrześcianina, w boju mężnym, w mowie rzetelnym, sprawiedliwym w sądzie, w radzie opatrzny, w zleceniach wiernym, w obyczajach uczciwym; widzieli że lud jego w posłuszeństwie żyje i ma go za ojca. Król Stefan tedy, ów prawy sędzia skromnej zasługi, zapytał go się kazał po skończonej wojnie, jakiejby chciał nagrody? On przejęty coraz większą czcią dla monarchy według serca swego, prosił o miejsce któreby go zbliżyło do królewskiej osoby, któreby zgodne było z jego

zdatnością i zwyczajami, nie odejmując mu przecież zupełnie wolności, gdyż chciał zawsze doglądać wojennego ludu swego i mieć oko na Tatarów i na Kozaków. I urząd Podkoniuszego dany mu został, a że był równie dobry jeździec jak dzielny żołnierz, przyjął go chętnie, i zaiste w owych czasach nie był to czczy tytuł. Koń ze wszystkich zapewne zwierząt najważniejszą odegrał rolę, bo on różnicę między ludźmi zaprowadził; początkowo szlachta w Polsce i wszędzie czemże była? takimi co na konia się zdobyli i dosiedli go, gardząc tym co szedł pieszo; długo też koń i szlachciec byli nierozdzielni; w wielu krajach nazwę swoją nawet wzięli od konia, od jeżdżenia, a wszędzie rodzaj koni z szczególnem upodobaniem był hodowany; każdy zamożniejszy wiejski właściciel musiał mieć kilka zdatnych do boju: cóż dopiero król, i król taki jak Batory, co kiedy wojny nie prowadził, lepszej nie znał rozrywki nad łowy.

Z upodobaniem też i czynnie spełnił swój urząd Podlodowski, a nie zaspokojony końmi krajowemi, jakkolwiek wtenczas polska rasa słynęła i słusznie, wybrał się był z początkiem obecnego roku aż do Carogrodu, żeby tam w zawołanych tureckich i arabskich dzianetach, na targi spędzanych, upatrzeć godnych stajni Batorego. Udało mu się. Kilkanaście koni co kupił, (a między niemi jeden szczególnie ciemno gniady, z gwiazdą na czole) tak były rzadkich zalet, że aż chciwość i zazdrość zbójców tureckich wzbudziły, i o mało co sam Podkoniuszy, w tyłu bitwach ochraniający, nie padł tych łotrów ofiarą. Teraz wyprawivszy ze Lwowa szacowne konie, pod strażą dwóch zaufanych i doświadczonych

dworskich swoich Marcina Lubienieckiego i Piotra Broniewskiego, prostszą drogą i wolniejszym pochodem do Grodna, gdzie król bawił, zboczył do Czarnolasu; a ponieważ w tem zboczeniu i w całym pobycie swoim u przyjaciela, nietylko miał własną przyjemność na widoku, ale szczęście osoby, którą więcej kochał niż siebie, miłe dnie i godziny pędził, i sam się dziwił jakim cudem przy spoczynku tak mu prędko czas zbiega?

I młodzieży kółko nie uskarżało się bynajmniej na leniwość godzin i na brak rozrywek. Filip Owadowski, syn przysposobiony Podlodowskiego, wnet zapoznał się i zaprzyjaźnił z dziewczętami, jak gdyby w rzeczy samej ich krewnym był się urodził. Nie było wtedy w obyczajach młodzieży tyle przymusu co dziś; większa daleko niewinność panien, mniejsze mężczyzn zepsucie łatwiejszy dawały przystęp uczciwej poufałości. Wielką był także pomocą w stosunkach towarzyskich język, który lubo dopiero się kształcił, bogatszym był niż teraz jest, gdyż wystarczał bez pomocy żadnego obcego potocznym potrzebom, a nadewszystko miał jeszcze w sobie owe wygodne i nieocenione wy, które my Polacy, podobno jedni ze Słowian wyrzuciliśmy z pokojowej naszej mowy, zostawiając je prostactwu, niewiedzieć kiedy i dlaczego. Sposób też życia nierównie prostszy i czynniejszy, ułatwiał wiele takowe stosunki. Nie było po domach szlacheckich osobnych pokojów dla gości na innem piętrze, albo w innem zabudowaniu; nie było wyznaczonych godzin i salonów do schodzenia się z gospodarstwem: zebrane towarzystwo zasiadłszy każdy w

innym kącie z założonemi rękami nie chciało się bawić samą jedynie rozmową.

Wówczas bywał trojaki rodzaj gości: pojedynczy, przelotny, który nosił ogólną nazwę pana Zagórskiego, bo zwykle niespodziewanie jakby z za góry się ukazywał; miał on już codziennie swoje miejsce zostawione u stołu; taki wstąpiwszy mimojazdem, jeśli w porę trafił, zjadł obiad lub wieczerzę; jeśli nie, przekąsił co lub przepił, powiedział nowin parę i jechał dalej. Potem były zjazdy spraszane a przynajmniej wiadome, zapowiedziane; dla nich przygotowana uczta i zabawa, jako to na imieniny, zaręczyny, wesela, chrzciny, albo też w Niedzielę i święta. Nareszcie byli goście poufali, krewni czy przyjaciele, co już na dłuższy czas przyjechawszy, odrazu stawali się domowemi. W izbie wspólnej, często nawet w komnacie sypialnej, jeśli panien i młodzieńców nie było, słano im łóża na każdą noc; od rana do wieczora siedzieli z gospodarstwem, którzy nie zadając sobie z niemi najmniejszego przymusu, nie przerywali wcale dla nich codziennych prac i zatrudnień, owszem, załatwiali je przy nich i najczęściej z niemi. I tak kiedy Podlódowski dzielił z Kochanowskim wszystkie jego sprawy, kiedy z nim jeździł w pole, koło gospodarstwa chodził, w sadzie pracował, sieci na ryby zarzucał, a nawet choć nie pismienny, nie jedną godzinę trawił nad księgami i papierami, dokumenta do wojny gdańskiej porządkując i bogacąc; Filip ze swej strony, drugiego dnia po przyjeździe, już znał każdą z dziewcząt nietylko z imienia, ale i z charakteru; już im się sprzeciwiał, już z niemi żartował, już Ludwinę uczył pieśni naboż-

nych, a jej sióstr dumek ukraińskich; już wszystkim pomagał w ich zajęciu koło domu i ogrodu, a wieczorem siedząc z niemi przy kominie, bo nigdy nie zawadził u nas ogień w Kwietniu, ledwie mógł nadążyć z opowiadaniem ciekawym dziewczętom na ich pytania o Podolu, o Turcyi, o Carogrodzie, o Tatarach, o Kozakach, a mianowicie o ostatniej wojnie, na której wiedziały że był z panem Podkoniuszym. Gdy zaś jął im opisywać tę wyprawę, pobożna Ludwina składała ręce, wzdychała serdecznie za dusze tylu ofiar ginących bez pomocy świętych Sakramentów, może w grzechu śmiertelnym; powtarzała z głębi serca swoje ulubione słowa: „Boże bądź im miłościw! Boże, bądź im miłościw!“ oczy zaś Ewy i jej sióstr iskrzyły się ogniem, czoło jaśniało jakąś dumą; a kiedy Filip opowiadał z zapalem o dowodach waleczności przybranego ojca, ze skromnością o własnych, i liczył ile mniej więcej oba nieprzyjaciół do grobu wtrącili, wielu zabili bisurmanów w świeżo doznanej tureckiej napaści, strwożona Ludwina odsuwała się od niego, zbierając w obie ręce płonistą suknię swoją, jakby z bojaźni, by jej krwią pohańską nie skałał; Ewa przeciwnie patrzyła śmieiej i uprzejmiej na młodzieńca, i żałowała pierwszy raz w życiu, że się nie urodziła mężczyzną, albo tego, że Filip nie był prawdziwym jej bratem, bo mogłaby rzucić mu się na szyję i wyrazić tym sposobem, ile jej się podoba jego duch rycerski.

Nie zawsze też Filip bywał „błogosławiony między niewiastami“ jak go Kochanowski nazywał; codziennie, według zwyczaju przyjeżdżał pan Franciszek i codziennie swoje smaczne zalotne przywoził, a zmiarkowawszy, iż

od czasu przyjazdu gości, obiady czarnoleskie daleko były lepsze od tych co mu w domu dawano, przetrąciwszy swój wcześniejszy, w południe przybywał do stryjostwa na drugi; jadł jakby nigdy nic, pił za czterech, a po obiedzie znużony snem, dosiadał wiernej Bułanej, która go drzemiącego prosto do Policzny donaszała.

Pan Franciszek Kochanowski, dobre chłopczyko w gruncie, był sobie próżniak, „warchoł“ jak wtedy mówiono; do niczego prócz do zmiatania półmisków i do spełniania kuflów. Polowanie na ptaszki już sobie miał za robotę, toż i łowienie ryb na wędkę, nad którym kiedy parę godzin posiedział i kielbika złapał, pewny był, że bardzo się spracował i wielkiego dokazał. Do zatrudnienia użytecznego a mozolnego miał wstręt zupełny, a to nietylko z natury, ale i z głębokiego przekonania. Znając się jedynakiem i herbowym, wiedząc że został po ojcu kawał pięknego majątku, którym matka zarządza, że jak jej braknie, znajdzie się włodarz albo podstarość, wreszcie żona, spuszczał się na to zupełnie; a treść jego zasad, które często rozpamiętywał leżąc zimą pod piecem, a w lecie na trawie, była następująca:

„Kiedy mnie Pan Bóg szlachcicem stworzył i chlebem opatrzył, którego nie przejem, choćby mi też w miłosierdziu swoim drugi był dał żołądek, byłbym głupi jak stolowe nogi, gdybym się czembadź trudził; pracę zostawić należy kmieciom, miejskim synkom, chołyszom, a naukę... jak się nazywa... bakalarzom i poetom. Panom stryjom winszuję ich mądrości, ale im nic nie zazdroszczę; gdybym ja miał nad książką dukwieć, po godzinach

gryźć pióro, i nocy nie dospać dla jakichś tam... jak się nazywa... rotułów, psalmów, Tassów, Wirgiliów, kazałbym sobie dać łoży. I niech mi kto powie, na co się to przyda? Panu Mikołajowi się zmarło, choć rotuły pisał; pan Jan ze wszystkimi pieśniami i z całą sławą, przez połowę tyle jeść i pić nie może co ja; pan Piotr ze swoją... jak się nazywa... Jerozolimą, gdzieś tam daleko poci się jak w łaźni, trawą żyje gdyby baran; pan Andrzej włóczy się ciągle za tym kanclerzykiem, także człowiekiem bardzo osobliwszym, nie mając i chwili spoczynku. Nie było im wszystkim tak zrobić jak ja? Skoro człowiek ma co jeść, co pić, w czym chodzić, gdzie się wyleżeć, czego mu więcej potrzeba? Pan stryj namawia mnie do rycerskiego rzemiosła; chce bym wszelką bronią władać umiał, a mnie poco? żebym jechał na wojnę. Nie głupim, na wojnie zabić mogą. Wreszcie jedzie tam tysiące braci szlachty, co ich skóra świerzbi i głowa na karku im ciąży, niech sobie jadą, i owszem; im ich tam więcej będzie, tem bezemnie prędzej się obejdzie: nie byłemci na ostatniej wojnie, bom też był prawie dzieciuchem, dobrze poszła mimo tego. Pójdą tak i inne. Ja tam pychę nie grzeszę, pokornego ducha. Pan stryj mówi jeszcze: „Jak tak nie będziesz nie umiał i wiedział, i bronią jak się należy nie władniesz, nie będziesz nie znaczył w kraju, ani na sejmikach, ani w czasie... jak się nazywa... elekcyi.“ Ja też tego bynajmniej nie pragnę. Co mi do kraju, kiedy ja mam Policzną; poco mi sejmików, kiedy ja i bez sejmiku w sąsiedztwie i w domu objeść się i opić mogę, a to bez guza i rany; bo ja mam rozum: skoro się upiję, nie kłócę się jak

„drudzy mędrsi, jedno spać idę. Elekcya! a mnie co do niej, czy Rdest, czy Gaweński, czy Batory, czy Badura królem polskim, mnie wszystko jedno; ani ten, ani ów nie będzie wiedział czy ja żyję czy nie, i ja go na oczy nie zobaczę; ani ten ani ów wioski mi ani da, ani weźmie, i dalipan więcej mnie obchodzi jaki kucharz, co w polickiej kuchni warzy, niż jaki tam król, co rządzi w onym starym zamku? „Wstyd, wstyd — mówi nie jeden — tak żyć“. Wstyd, wstyd, a przecież nikt się mnie nie wstydzi. Matka za mną przepada. Jagienka się przysięga, że nie mam równego sobie; i prawda, gdzie tylko pojedę, wszędzie mi radzi, wszędzie mnie karmi; i poją, panny się do mnie wdzięczą, i Jagienka powiada: miałbym żon z jaki tuzin, gdyby tyle żon mieć można. Ale ja tam innej mieć nie chcę, jeno tak jak pani matka pragnie, Ewulkę, śliczną Ewulkę. Najbliżej mi jeździć do niej, moja bułana już wie drogę, prowadzić jej nie mam potrzeby, sama idzie. Walna, czerstwa, zdrowa kieby rzepka, i gospodarne to, przysmaki różne umie; niechno raz się ożenie, będę przy niej opływał jak pączek w maśle: pieczone gołąbki będą mi szły same do gąbki, a ja tylko będę usta otwierał i smakował“.

A doszedłszy do tej ostatniej części rozpamiętywał swoich, pan Franciszek się oblizywał, ślinę tykał, i najczęściej na tem kończył, że albo co przejadł i przepił, albo dosiadłszy bułanej, jechał do Czarnolasu.

Nasze Kochanowską, jakkolwiek wysoko szacowała matkę pana Franciszka, a jego przyjmowała grzecznie, nie bardzo cieszyły owe zalecanki. Takiego mając męża

i brata, znając wielu godnych ludzi, życzyłaby dla córki ukochanej coś lepszego.

— Syn ci to jedyny, waszego dobrodzieja — mówiła czasami do męża — ale wybaczenie, to istny bałwan. Ewa nie będzie mogła żadnem prawem go szanować; dziewczyna w jednym palen ma więcej rozumu niż on w całej głowie; jejby prędzej kord przysłał, a jemu wrzeczono; cóżto będzie?

Kochanowski starał się uspakajać żonę, kiedy mu te obawy zwierzała.

— Jeszcze to nie dziś ani jutro owo małżeństwo się złączy — mówił jej — jam pani Kasprowej najrychlejsza rok naszą dziewczkę obiecał, i to jeszcze nie z zupełną pewnością. Musi ona koniecznie synalka pierwej między ludzi wysłać; myślę napisać do brata Andrzeja i z nim jako ułożyć, żeby mógł zabawić czas jakiś pod jego okiem na dworze kanclerza. To chłopczysko młode, rozpieszczone, nie nie zna, ale serce dobre i rozgarnienie jakie takie ma; jak się przekona, że „człowiek nie samym tylko chlebem żyje“, toć się może weźmie do czego. Nie lubię ja wprawdzie małżeństw między bratankami, i matka ich nie lubiła; kościół rzymski je zakazuje i musi mieć w tem jak we wszystkim słuszną przyczynę; aleć znałem i podobne stadła zgodne i szczęśliwe; sama pani Kasprowa była cioteczną swemu mężowi, a święta z kościołami niewiasta, uprosiłaby zapewne dla jedynaka błogosławieństwo boskie. Wreszcie, Hanno moja, kogo Pan tak hojnie jak nas dziewczkami obdarzyć raczył, ten w zięciach, jak w ulęgalkach przebierać nie może. Jedną Ludwinę naszą oddaliśmy świętobliwemu Panieństwu, i

Pan Bóg zdaje się przyjął mile tę ofiarę; dziewczę rośnie jak lilia wśród cierni: już ona mało co z nami, mocno w niebo się ciśnie; rozmyśla dzień i noc o Pańskim zakonie, nie znać nie chce jedno Jezusa, w Niego się obłoczy, z Nim chodzi; o Boga się pytać, w Nim się kochać, Jemu służyć, ta jest jej nauka; oczy ku ziemi ma spuszczone, serce już jakby w raju... Młodszym dziewczkom przeszkadzać nie będę do klasztorного żywota, skoro w nich ujrzę stateczne powołanie; rodzice w takowym razie nie swej świeckiej pociesze, ale woli Boga i zbawieniu dzieci swoich ulegać powinni; ale dotąd nie widzę w żadnej natchnienia Ducha Świętego; ojcowskie w nich się odzywa, lubią światek. Orszula moja jedna, ta aniołem leci w górę; ale tej pociechy, tej pieczy, nie dam ni Bogu, ni mężowi, ni komu. To moja, moja własna, moja Muza, Muza ojczysta, która gdzie szerzej i dalej niż ja i bracia moi, imię Kochanowskich rozstawi i innego już nie przybierze. Jakkolwiekby — dodał po krótkim milczeniu i jakby czytając z oczów żony jakiś strach, że on tak Orszulkę nad wszystko wynosi i ceni — jakkolwiekby, czterech zięciów nam potrzeba, moja pani, a choć to mówią: dziewczki bogobojne i wstydliwie wychowane, zawsze męża znajdą, przecież gdzie wiana nie ma, tam swatowie nie natrętni. Dobry przeto będzie i pan Franciszek dla naszej Ewy; on sam jeden tyle ma ziemi co my wszyscy; nie mała też zgotujemy sobie pociechę, zachowując na całe życie córkę pierworodną pod bokiem. Kiedy stanę w oknie mego pokoju i wyjrzę, serce mi nieraz zakolata z radości. Nie dosyć, myślę sobie, że widzę dom bratanka

Andrzeja w Grodku, grób rodzicielski w Zwoleniu, jeszcze i w Policzny, w jej modrzewim dworcu, da Bóg, dziewczkę naszą kiedyś ujrzę, i ona będzie mogła z komnaty swojej znaki nam dawać, wzywać nas w potrzebie... Jesteś w rodzicielskim sercu dla najstarszego dziecięcia jakieś właściwe, osobne przywiązanie, jakaś wdzięczna pamięć za tyle słodkich wzruszeń, które pierwszy raz, dzięki Jemu, serce nasze zaznało. Wierz mi, Hanno, gorzkoby mi było, gdyby naszą pierworodną jaki mąż, choćby najzaciejszy, wywiózł gdzie w głąb Litwy albo Podola.

— A mnież — odpowiedziała matka — mnie com ją urodziła i wykarmiła; mnie, której ona jest wyręczeniem, pociechą... — a głębokie uczucie nie dozwalało jej tłómaczyć inaczej, jak łzą drżącą, jak z całej duszy wtóruje mężowi.

I tak czas upływał i zaloty pana Franciszka uchodziły; lecz miały wnet okoliczności się zmienić: spiszek srogi się knuł przeciw owemu dobrodusznemu kochankowi.

Pan Rotmistrz, rzecz dziwna, chociaż było jasno widać, iż ugodzony w samo serce czarnemi oczami Ewy, i choć mu na wrodzonej śmiałości i odwadze nie zbywało, przecież więcej daleko rozmawiał z pobożną Ludwiną, nierównie był poufalszy z nią i z młodszymi jej siostrami, niż z najstarszą. Ledwie śmiał wymówić jej imię, dotknąć się jej sukni; nie ciągle nawet w gronie dziewcząt był widziany; często przysiadł się do Kochanowskiego i do przybranego ojca, mieszał się do ich poważnych rozpraw, skoro pozwolili; z Kochanowską zamieniał słowa pełne uszanowania, wypytywał jej się

o różne szczegóły, wychwalając bez przesady jej umiejętność; wspominał z uczuciem o własnej matce, którą go odumarała dwunasto-letnim chłopcem, pokazywał krzyż srebreny, co mu umierając na szyję włożyła, skarb jego najdroższy, tarczę od niebezpieczeństw wszelakich; mówił o siostrze swojej Zuzannie, jedynej już na tej ziemi krewnej. Jakie tylko mógł, takie oddawał przysługi pani Czarnoleskiej: to obracał kołowrotek, kiedy jej noga już się zmęczyła, to trzymał przed nią uważnie szerokie moty cienkich nici, i podnosił okrągły kłębek na wyścigi z usługną Orszulką, ile razy z rąk jej się wymknął i potoczył daleko; to w przyrządzaniu lekarstw, w ustawianiu apteki jej pomagał, a kiedy do ryb piątkowych brakło jej szafranu i imbiru, mimo zimnej sloty, na całą noc pojechał do Kazimierza, sam w małej łódce przez szeroką Wisłę się przewiózł, a przed śniadaniem stawiał się z tem, co potrzebowała.

Zataić tego nie można, że za każdą podobną przysługę nietylko z uprzejmych ust pani Kochanowskiej, ale i z pewnych czarnych oczów choć ukradkiem wyglądał nagrody; a jeśli one łaskawie na niego spojrzeć raczyły, zdawał się dumniejszy i szczęśliwszy od wszystkich mocarzów świata. Ale kiedy tego samego Piątku po obiedzie trafiło się, że wesół Ewa drzemiącego Franciszka dowcipną psotą obudziła, kiedy mu podziękowała mile za przywieziony w dniu tym kołacz z serem, i z poufałością siostry nazwała go po imieniu i wzięła za rękę, Filip, jakby chcąc sprawdzić przysłowie: „Miłość bez zazdrości, jak Polak bez wąsa“ w czarną wpadł rozpacz; uchwycił za rusznicę, poszedł do lasu niby na

łowy, a wróciwszy wieczorem bez niczego, przysiadł się do Ludwiny, i poraz pierwszy powiedział jej z rzetelną prawdą, iż zazdrości świętobliwego powołania jakie sobie obrała, i zaklął się, że byle przybrany ojciec pozwolił, on także szablę odpasze, kaptur włoży i mnichem zostanie; do czego pobożna Ludwina całem sercem go namawiała mówiąc: iż „dopiero wtenczas spokojnym i szczęśliwym będzie, gdyż na tym odmiennym świecie jedna tylko rzecz jest ważna i potrzebna; i wielka to łaska Pana Boga, kiedy komu pozwoli, aby z młodu dla dobra większego i pewnego, mniejsze a niepewne opuścił, za którą uciechę kupił sobie wieczne wesele, za śmierć i ubóstwo żywot i państwo bez końca“.

V.

Miłości! a kiedy i w niebie,
I na ziemi nikt nie jest bezpieczen od ciebie,
A twym strzałem trudno się pawężą zasłonić,
Ani uciekać, albo rozumem się bronić:
Proszę cię, miałoliby kiedy przyjść do tego,
Niechaj nie nie miłuję, co jest szkaradnego.

Dziwośląb.

Tydzień od przyjazdu Podlódowskiego już się kończył a zdawał się obudwóm przyjaciółom jak gdyby dzień jeden. Bitny rycerz nawet rad mimowolnie chwilowemu wypoczynkowi po długich trudach obozowych i po dalekiej podróży, może też przewidując pomyślny skutek dla najdroższych swoich zamiarów, przyznał sam, iż miło mu było zasypiać na wygodnem łóżku ręką siostry usłanem, z myślą, że nie obudzi go jutro ani trąba wojskowa, ani krzyk murzów tureckich; ha! ha! haj, ha! ha! haj! *); ale śpiew ptasząt witających już powrót wiosny, albo też odgłos dzwonu miotanego ręką Ludwiny, i zwołującego całą drużynę Czarnolesską na poranne modlitwy.

Przecież, sobotniego poranku, nie doczekał w łóżku ani śpiewu, ani dzwonu; jeszcze głucho i szarawo było na świecie, on już wyszedł z izby przed ganek, a zu-

*) Ma to znaczyć, Boże zmiłuj się!

pełnie ubrany, przy szabli, w czapce na lewem uchu, przechadzał się szerokim krokiem naokoło domu, wyglądał niecierpliwie, rychło się w nim kołatać zaczęła, i ledwie zobaczył Baraczka odmykającego ciężkie okiennice i podpierającego je drągami, natychmiast zastukał w szybę sypialni Kochanowskich, i prosił żeby niebawem oboje do niego wyszli. Kochanowska niespokojna co bratu się stało, porwała co tchu ranny kożuszek, włosy w nieładzie nakryła białą duchenką i wybiegła; pospieszył za nią mąż, i pytali oboje czego żądał, co mu brakuje, czy jakie złe wieści o koniach otrzymał?

— Pewno pan brat głodny — odezwała się litościwie gospodyni, która obyczajem polskim zawsze sobie wystawiała, jakoby jej goście nie mieli co jeść, obiad był lichy, wieczerzy nie było — przekąście co przed śniadaniem; jest wyborny lin na zimno, oblejcie wódką piołunkową i nie wam nie zaszkodzi: dziś też wcale ciepło na dworze.

— Ni jeść, ni pić nie będę — odpowiedział uroczyście Podlódowski — aż odmówię rzecz swoją.

— Mów więc — rzekł Kochanowski — schrońmy się do naszego ciennika chróścianego, tam ciszej będzie; tam nam nikt nie przeszkodzi.

I poszli, a ledwie zasiedli na ławkach z kory, Podkoniuszy tak zaczął:

— Założyłem ja był sobie, najmilsi moi, tu jadąc przetrwać do ostatniego dnia pobytu mego u was; dopiero na samem odjeźdźnym do Grodna wytoczyć przed wami całą sprawę, zostawić ją wam do namysłu, a potem za parę tygodni wrócić po odpowiedź; ale jak wi-

dzę, serce nie sługa: rozkazać mu nie można. Przychodzę tedy do was jako swat; a że krasnej mowy i dworstwa u żołnierza nie ma, szablę zowie szablą, a czapkę czapką, powiem odrazu: przychodzę prosić was o rękę waszej córki dla mojego Filipa.

Okrzyknęli się oboje Kochanowscy: bo chociaż nie bez tego, aby oboje nie spostrzegli widocznej skłonności pana Rotmistrza, nie mieli jeszcze czasu zastanowić się nad tem, co z niej wyniknąć mogło, ani też sposobności pomówić w tej mierze z sobą; ona więc szczególnie zatrwożyła się mocno tem nagłym oświadczeniem; dreszcz ją przeszedł od stóp do głowy; zadrżało w niej serce; Podlodowski zaś żądał usilnie, żeby mu nie przerywali, póki on w wszystkich okoliczności nie wypowie szeroko i jak się należy.

— Wiecie moi najmils! — mówił dalej — iż choć Pan Bóg dał mi kawał majątku i kęs urody, nie miałem i niemam ni żony, ni własnych dzieci; kościół, Rzeczpospolita, szabla i koń, te były od młodości jedyne moje kochanki, a tańce i zaloty z Tatarami, nie dopuściły innych słodszych i weselszych. Kiedy na wyprawę iść przychodziło, rad nawet był człowiek, że nie wieśza się mu u szyi żona zapłakana, że się nie czepiają szat i broni dzieci drobne, nie wstrzymują ręki, nie miękczą serca; w boju bywało się tem śmielszym, nie ściegała myśl zostawienia po sobie wdowy i sierot; ale za powrotem, zwłaszcza, z pomyślnych wycieczek, nieraz mi już przyszło żalować zajeżdżając przed dom pusty, że mnie nie wita szczęśliwa ze zdrowia mego żona, że mi nie padają do nóg dziatki chlubne mężnym ojcem, i nie

proszą, bym im ukazał blizny, opowiedział przygody, udzielił zdobyczy. Z wiekiem rósł ów żal, osobliwie, kiedy bywało, w co się lud wojenny mojej Studzienicy obróci, gdy przyjdzie po mnie jaki obcy dziedzic, a jeszcze nie rycerz! I kto wie czyby człowiek mimo tego, że już piąty krzyżyk znać, że się na bezżennego krzyżaka niegdyś chciał wykierować, kto wie, czyby nie był przełamiał ślubu? gdyby Bóg miłosierny nie raczył inaczej i na lepsze rzeczy obrócić. Właśnie wróciłem był od was do mojej wioski, lat temu pięć, a napałszywszy się przez cały miesiąc szczęścia waszego, zgodnego pożycia, miłych dzieciątek, dom wydał mi się pustszy niż kiedy; nie mogłem w nim się osiedleć, i pojechałem na Wołyń, w chęci odwiedzenia krewnego, Kruszelnickiego, z którym też miałem i dawną sprawę do załatwienia jeszcze po ś. p. matce mojej. Niechący trafiłem u niego na zjazd wielki, na huczne ucztę i zabawę; było to wesele jego syna, Pisarza grodzkiego Krzemienieckiego z panną Zuzanną Owadowską piękną i uczciwych obyczajów dziewczką. Rodzina jej, dawna szlachta i wcale zacna, zamieszkała była w Mazowszu, w wiosce dziedzicznej: lecz nieszczęśliwą koleją przyszło obojgu rodzicom majątek utracić, i własne województwo rzucić; dalej, pozbyli się i życia w młodym jeszcze wieku, i owa panienka wraz ze starszym bratem swoim, dopóki ją Bóg uczciwym mężem nie opatrzył, jedynie z przyjaźni ludzkiej miała przytułek. Podobają mi się srodze owa Zuzanka, i myślałem sobie: „Ot! gdyby mi Pan Bóg był taką sierotę nadarzył, wnetbym się jak pan Pisarz Krzemieniecki na opiekuna przedstawił.“ Ale

już klamka zapadła; panny Zuzanny, na sto koni nie dogoni, próżno było sobie głowę t^{em} zaprzatać. Atoli z owej przychylności ku siostrze, zacząłem się przypatrywać bratu i myśleć sobie: „Jeżeli w pięćdziesiątym roku za późno pojmować żonę, czas jeszcze przysposobić gotowego syna:“ a powiedzcie sami, najmilsi moi, któryżby ojciec nie życzył mieć dziedzica takiego jak Filip? Dorodny, dziarski, śmiały, otwarty, roztropny, z pokorną wiarą ku Bogu i kościołowi Jego, z gorącą miłością dla Rzeczypospolitej, z uszanowaniem dla starszych, z uczciwością dla p^{leci} białej. Młodzież obecna popisывała się tam jak to zwyczaj: piesze, konne, wyprawiała igrzyska; my starsi, na one sztuki i biegi patrzyli; on zawsze był najpierwszy: jego strzały, chłopcu, na celu trzymającemu rękę, bez obrazy pomiędzy palce przechodziły, albo gasiły przylepioną na czole świecę; oszczep zawsze najdalej dorzucił i utkwil go gdzie zapowiedział, podkowy łamał jak łątki dziecinne; w biegu wszystkich prześcigał, w pasowaniu się wszystkich zmocował; szalonego konia tureckiego mu podali, na którym nikt jeszcze nie dosiedział; dwóch pacholców trzymało zwierza za uszy: on do razu wskoczył nań, jak chciał tak nim rządził, i póty na nim harcował, dopokąd koń zmęczony nie stał się powolnym jak baranek. Kiedy raz ruszyliśmy wszyscy na wielkie polowanie na grubego zwierza, on w lesie ubił go najwięcej, a w izbie przed białogłowami najmniej się chwalił. I nie miałem go pokochać? i nie miałem mówić sobie: „Jemu, zacnemu młodzieńcowi, Pan Bóg odjął rodziców i mienie, ale tobie dał majątek a nie dał go z kim podzielić, komu bliskiemu po mie-

czu zostawić (bo wiecie, iż wszyscy żyjący Podludowscy dalekiemi są nam krewnemi, gdzieindziej osiedli, i nie mam z nimi zażyłości żadnej); powetujcież sobie te wasze wzajemne krzywdy.“ Lecz tailem w głębi duszy owe myśli; beczkę soli, jak mówią starzy, zjeść trzeba z człowiekiem, zanim się go pozna dobrze: strzeżonego Pan Bóg strzeże. Wtem przyszła do pana Kruszelnickiego wieść pewna o rychłej wojnie na Moskwę. Pisano, jako miłościwy Pan już jest w Wilnie, żołnierza jaknajwięcej zbiera; pisano, że uchylona dawna ustawa tyle zgubna, żeby wojsko Rzeczypospolitej granie własnych przejść nie mogło. W wieczór ta wieść przyszła; nie zmrużyłem powiek całej nocy; wiedziałem też o posłach tatarskich, którzy pokój zawarli z nami we Lwowie, bo król nasz od tego zaczął zwycięstwo, iż opatrzył, aby nie był zwyciężony; umyśliłem tedy ruszyć na moskiewską wojnę, a pierwej oczywiście jechać przysposobić się do domu. Ledwie dzień zaświtał, pożegnałem gospodarstwo i państwo młode i dosiadłem konia, zamiary moje względem pana Owadowskiego zostawując na dalsze czasy. We wrotach kiedy się oglądam, czy jadą za mną wszyscy moi ludzie? postrzegam tuż pana Filipa przy sobie, na owym szalonym Turczynku, co to go ujeździł. Z razu myślałem, że to dowód uczciwości gospodarza, który polecił powinowatemu odprowadzić mnie do pierwszego popasu; aż młodzieniec mi oświadcza skromnie ale stale, iż jeżeli na to przystanę, on chce być przy mnie, chce uczyć się wojować i ojezyźnie służyć.

— Nie nie mam swego — powiedział — prócz zdrowia i życia: oboje oddać pragnę krajowi i waszej miłości.

Rad byłem mu odpowiedzieć, ale jakoś słowa uwięzły w ustach; poznał jednak po mnie, że mi się spodobało co zrobił, i ruszyliśmy oba.

O tylem zabawił w domu, o ile było potrzeba do zebrania dwustu ludzi zbrojnych, tak z własnych jako z najętych, do wsadzenia ich uczciwie na koń, bom też nie chciał występować ladajako, i udałem się z nimi pod dowództwo zacnego Zamoyskiego. Znać wszystkie okoliczności tej pamiętnej wojny, nie tu pora opowiadania ich, ale tego wiedzieć nie możecie, i to wam winienem powiedzieć, jak się tam pięknie sprawował mój Filip. Powierzyłem mu naprzód dziesięciu, dalej dwudziestu, nareszcie stu ludzi; rządził nimi gdyby doświadczony: w ogniu, w wszelakich wycieczkach zawsze był przy mnie; mężnie swój żywot kładł i krwi nie żałował zyskując sobie własną zasługą tytuł Rotmistrza, który mu nadałem, a który sam Zamoyski, już wtedy hetman potwierdził. Kiedy skutkiem, podobno niefortunnych namów legata papieżkiego, zawarty został pokój, kiedy mówię nasz Pan miłościwy, w nagrodę moich usług Podkoniuszym swoim mianować mnie raczył, mój pan Rotmistrz zamiast jechać do siostry, pochwalić się przecie przed swemi, wolności, młodości użyć, odprowadził rotę naszą do Studzienicy; jeździł ze mną po całej Litwie i Koronie, wszelkie trudy dzielił i ośladzał. Nakoniec, w owej zbójckiej napaści za powrotem z Carogrodu, kiedym już grób swój widział i tylko Boga prosił, żeby nie pamiętał na grzechy moje, i na ową młodzieńczą złość naszą, on, którego właśnie srodze związano, zerwał pęta nadludzką siłą, przypadł do mnie

i wybawił mnie od pewnej śmierci. Rozpierzchli się zbójcy, ja głowę mając rozplataną straciłem przytomność; gdy przyszedł do siebie, obaczyłem go klęczącego nademną, dybiącego na powrót mój do życia. I dokonał tego co zaczął staraniem swoim; po trzech dniach spoczynku w miasteczku Biegarazar i opatrzeniu rany przez tureckiego lekarza, a mając wybornych, jużem prawie był zdrow, i puściliśmy się w dalszą podróż. W drodze myślałem sobie: „Przyszedł czas dokonania dawnego zamiaru“. Przyjechawszy tedy do Lwowa złożyłem w katedrze na ołtarzu Matki Boskiej część szczerolotą, jako votum za ocalenie moje, a w skarbcu kościelnym tyle srebra, ile najcięższa polska głowa zaważyć może; z poradą zaś mądrego prawnika napisałem testament, w którym co mam i co mieć mogę, zapisałem Filipowi, jako memu przysposobionemu synowi i wybawcy. Oto jest ten testament.

I tu wyjął z zanadru zwój pergaminowy; Kochanowscy oboje drgnęli na ten widok i zawołali:

— Schowaj! schowaj!

— Testament jeszcze nikogo nie umorzył — powiedział wojak z uśmiechem i tak dalej rzecz swoją prowadził.

— Napisawszy ten testament, któremu brak jedynie podpisu trzech świadków, zaczęło mnie korcić w duszy, iżem takowym zapisem skrzywdził was, pani siostro, na którą część mojego spadku przypadła z prawa po mojej śmierci; kiedy nagle przyszło mi na myśl, a może też to od Boga było natchnienie, żeby nagradzając tę niesprawiedliwość ożenić mego dziedzica z waszą pierwo-

rodną. Dzieckiem prawie była Ewulka, gdym ostatni raz był u was, ale już zwawa, roztropna, wdzięczna; droga mi wreszcie była od pieluch dla samego imienia swego. I powiedziałem to natychmiast memu Filipowi. Przypadła mu do smaku owa myśl; serce jego jak obóz opuszczony było do wzięcia; po mnie i po siostrze, konia Turczynka jedno kochał: mężczyźnie zaś w czwartej siódemce żona właśnie się godzi. Wyprawiłem tedy konie do Grodna, a sam tu postanowiłem zboczyć z Filipem. Gdyśmy dojeżdżali do Lublina, przyszła mi myśl może dziwaczna, alem nasłuchał się nie mało takowych przygód w bajkach tureckich, które mi rozprowadano gdym był chory, i powiedziałem Filipowi:

Wiesz ty co, przebierz się ty i odmień jako, i jedź do Czarnolasu w miejscu sługi, którego miał do pana Jana wyprawić. Obaczysz sam w rzetelnej prawdzie i dziewczkę, i rodziców i dom, pogadasz z czeladzią, a od niej sąd bywa o panach najlepszy. Jeżeli ci się wszystko spodoba, jeżeli dziewczka wpadnie ci w oko, będziemy rzecz forytować w przyzwoitym czasie i miejscu; jeżeli nie, damy wszystkiemu pokój: cały ten mój zamiar wpadnie jak kamień w wodę; bo ja nie dlatego ci zapisał co mam, żebym męża dla siostrzenicy kupił, ale dlatego żem cię ukochał jak syna.

Młodemu żołnierzowi do fortelów wojennych przyzwyczajonemu, musiała taka myśl trafić do smaku. Ubrał się w suknie starego Iwanuszki mego nadwornego kozaka, który pozostał w Lublinie, ja mu przylepił ów plaster okropny, jak gdybym go na szpiega do nieprzyjacielskiego obozu wyprawiał; przybył tu i wzbudził

waszą ciekawość, jakeście o tem już natręcali ze śmiechem parę razy, a jam was zawsze zbywał. Przybył, i od tego wieczora wasza dziewczka zajechała mu w serce; już przy pacierzu ślub uczynił przed Matką Boską, którą zdawna za Matkę sobie obrał, że jeżeli ręki Ewy dostąpi, w miesiąc po weselu zostawi ją, a sam pieszko, bez szabli i służby pójdzie do Jasnogóry; od tej pory dziewczę codzień bardziej, gorzej Tatarzyna na niego najeżdża, już nie tylko do Jasnogóry, do Carogrodu przez Bałchan poszedłby piechotą, byle kiedyś żoną mu być mogła. Nadarzyła się mu odrazu jej uroda, jej mowa, jej obejście; nadarzyli mu się rodzice, dom, wszystko: ale jak to bywa podobno zawsze przy prawdziwej miłości, zdaje mu się, że ona go nie lubi, że wy go nie chcecie; pan Franciszek solą mu w oku; wczoraj cały dzień chodził jak szalony, dziś całej nocy nie spał i mnie spać nie dał; u nóg mi leżał, prosząc żebym zakończył jego cierpienia; znieść niepewności nie może, i ja przy nim: wóz czy przewóz, czarne czy białe, chcemy wiedzieć wszystko odrazu. Jeżeli moje oświadczenie wam ku myśli, tedy powiedzcie; jeżeli nie, tedy i tego nie tajcie ani obwijajcie w bawełnę; ale nie weźcie nam za złe, jeżeli dziś natychmiast, pełni smutku odjedziemy. Ni on, ni ja, wcale żadnego wiana z waszą Ewą nie chcemy, jedno niej samej, jedno jak będzie można najprędzej. Gdyby się pobrali, niczego potrzebować nie będą oboje: dam im zaraz Studzienię, pani młodej tysiąc złotych wypłacę na śpilki; sam posłużę jeszcze z parę lat królowi, a potem osiadę przy nich: będą cieszyli duszę moję i ży-

wili starość, i da Bóg jeszcze ich syna gonić Tatarów nauczę.

Umilkł zmęczony i rozrzuwniony wojak, a Kochanowski, który w czasie całej jego mowy spoglądał często na żonę i rozmawiał z nią oczami, tak po chwili przemówił; żona zaś dopowiadała prawie każdemu słowu jego, to ustami, to skłonieniem głowy, to westchnieniem lub uśmiechem.

— Oświadczenie twoje, kochany bracie, jakkolwiek nagłe i przejąć nas z razu musiało, nie może być przecież jedno miłe i pochlebiające dla nas rodziców, ile że podaje sposobność ścieśnienia jeszcze mocniej przyjaźni naszej; jednak, zataić ci tego nie możemy: odpowiedzi prędkiej mieć nie będziesz, bo jest przeszkoda. Nie wspomnam ja wcale o tem, iż byłoby wielką boleścią dla sere naszych, pozbawić się tak rychło i niespodziewanie pierworodnej dziewczki naszej, która matce w gospodarstwie i w wychowaniu młodszych sióstr jest niepoślednią pomocą; matka i ojciec rodząc i hodując dziatki wiedzieć powinni, że nie dla siebie je rodzą i hodują, pomijam więc naszą acz ciężką ofiarę, ale jest ważniejsza okoliczność. Obiecaliśmy Ewę bratowej naszej pani Kasprowej dla jej syna jedynaka Franciszka; nie było wprawdzie zrekowin, uroczystego przyrzeczenia, ale zacna białogłowa widzi już w dziewczce naszej przyszłą synową, i na tych widokach całe szczęście swoje buduje. Nie możemy więc przyjąć oświadczenia twego, dopóki jej się nie zwierzymy i ona nas nie uwolni. Musimy także dowiedzieć się woli dziewczki naszej; boć rodziców

jest obowiązkiem obmyślić los dziatkom, im zaś wybór zostawić...

— Ależ wy sami — przerwał Podlodowski mocno zmieszany słowami przyjaciela — wy nie przeciw memu chłopakowi nie macie! Powiedzcież otwarcie: w tej chwili tego tylko chcę się dowiedzieć?

— Nie — zawołali razem oboje — nie, prócz tego żeby nam uwiózł daleko naszą dziewczkę; aleć to już takie rodzicielskie przeznaczenie.

— Tom już prawie pewny wygranej — zawołał z radością Podkoniuszy ściskając siostrę i przyjaciela — boć nie sposób żeby dziewczę przeciw nam było? Z przeproszeniem waszem, gdzie panu Franciszkowi z moim Filipem się mierzyć! Zawołajcież jej i spytajcie się zaraz; skoro waszej i jej dobrej woli pewni będziemy, łątniej nam przyjdzie poczekać na panią Kasprową.

A pomówiwszy jeszcze czas jakiś równie otwarcie i serdecznie, odszedł w głąb sadu, gdzie czekał na niego młodzieniec, rodzice zaś zawołali Ewy.

Właśnie co dokończyła była ubioru na ten dzień. Zimna kryniczna woda, którą oblała obficie twarz, szyję i ręce, nadała jej świeżość kwiatu skropionego deszczem wiosennym, wesołość i zwinność ptaszka, co się rannej rosy napił. Z wymuskanej świeżo głowy, rozjaśnionej, równym i czystym przyborkiem, spadały po obu stronach dwie krucze kosy splecione, związane u końca czerwoną wstążeczką; kabat cienki z gładkimi rękawami kształt foremny odznaczał, sute białe krezy osłaniały szyję łabędzią, czarne półbutki nogę ścisnęły. Przybiegła pędem jak zwykle na każde zawołanie ro-

dziców, a widząc ich pierwszy raz w tym dniu, skłoniła im się do nóg, pozdrawiając ich i oddając Bogu.

Opowiedzieli jej rzecz całą. Za pierwszym ich ustotworzeniem, nim jeszcze wymówili zwyczajne w takim razie słowa: „Już cię córko, dosyć u nas chleba najadła, dosyć lnu naprzędła, czas ci iść na swoje,“ ona już zgadła była, nie tylko o czym, ale o kim mowa, a wstyd panieński oblał jej jagody. Stała przed niemi, spuściła oczy, a kręcąc nielitościwie długie sploty, słuchała w milczeniu. Jak przyszło do okoliczności rozdzielania się rychłego i już na zawsze przeniesienia się w głąb Podola, trysnęły z jej spuszczonej oczów dwie duże łzy, ale się wstrzymały na długich czarnych rzęsach. Skończywszy o panu Rotmistrzu i nie bardzo nawet się rozwodząc nad korzyściami tego zamężcia i nad przymiotami młodzieńca, Kochanowscy powiedzieli córce: iż jakkolwiek jej o tem jeszcze wyraźnie nie wspominali, teraz wiedzieć powinna, jako i pan Franciszek pragnie również i od dawniejszego czasu, dożywotniej jej przyjaźni. Tu już szeroko jej wyluszczyli wszystkie przyjemności, jakieby dla niej i dla nich spłynęły z tak blizkiego sąsiedztwa, wszelkie zalety pani Kasprowej, wreszcie życie spokojne, dostatnie, pewne, jakiego żona dziedzica Policzny spodziewać się mogła; zapewnili ją nareszcie, iż jednakie błogosławieństwo rodzicielskie ją czeka, bądź tego, bądź owego wybierze; gdyż zasłużyła sobie na ich łaskę, karnością, posłuszeństwem, pracowitością i przywiązaniem.

Na te ostatnie słowa, Ewa rzuciła się do nóg ojcu

i matce, łzy długo wstrzymywane spadły, złożyła dłonie i rzekła:

— O! mój mocny Boże! czemuż to nie pan Filip w Policzny! — a to powiedziawszy zapłakała na głos.

Domyślili się rodzice co znaczyła owa uboczna odpowiedź, przecież zażądali wyraźniejszej, ile że ciągle płakała. Uspokoiwszy się cokolwiek i kryjąc twarz rękami, to im powiedziała w przerwanej mowie:

— Za pana Franciszka posłaćby, gdyby jej koniecznie rodzice kazali; i zna to dobrze, że Policzna blisko a pani Kasprowa żywy anioł, chociaż zdaje jej się w tej chwili, że wołałaby daleko pójść z Ludwiną do klasztoru. Co do pana Rotmistrza... to gdyby tylko kto ją zapewnił, że się potrafi odtęsknić, możeby się i odważyła... Bo ja i pana Podkoniuszego bardzo Kocham — dodała z pospiechem.

Pocóż o więcej dopytywać się miano? jasną było rzeczą, że przemówiło i jej serce, że budzić się w niem zaczyna uspione dotąd a najpotężniejsze uczucie, „co jedną wolę we dwóch osobach czyni“, co taką jest rekojmią szczęścia, kiedy prawe i przyzwoite małżeństwo uświęcić je może. Oboje tedy Kochanowscy już nie chcąc nawet dowiedzieć się więcej, zaleciwszy córce: żeby nikomu, ani Ludwini ani Nastce nie mówiła i słowa o tem co jej powiedzieli, żeby z panem Filipem starała się być jak przez tamte dni, i żeby dobrze o tem pamiętać, iż on bez zezwolenia pani Kasprowej nie będzie jej mężem, kazali jej odejść; a sami rozmawiali jeszcze chwilę o tej całej przygodzie, jak to małżonkowie zgodni

i kochający rozmawiać umieją, zwłaszcza kiedy o los dzieci idzie.

Ale wnet przerwała się ich rozmowa, ujrzeni skradającego się Podlódowskiego z synem. Młodzieniec padł plackiem do nóg; oni mu powtórzyli to co i bratu: objawionej skłonności córki lekko dotknęli, od pani Kasprowej wszystko zawisłem czynili; przecież nie mogli przeszkodzić temu, że najśłodsza nadzieja ogarnęła serce uszczęśliwionego Filipa, i że podczas rannych modlitw ponowił ślub przed tygodniem uczyniony i obostrzył go w taki sposób: iż obiecał Najświętszej Pannie pójść do Jasnogóry dwa kroki naprzód, a jeden w tył, suszyć w soboty przez całe życie, byle mu pomogła do rychłego otrzymania ręki tej którą kochał.

VI.

„A straciliśmy nie tak brata, jako właściwiej ojca“.

Przy pogrzebie rzecz.

— Tak, bratku — mówił półgłosem i półżartem Kochanowski do Filipa, siedząc z Podlódowskim i z żoną tego samego dnia pod wieczór w ganku — wiem ja dobrze, jaką to jest niewymowną uciechą służyć tej, która nam serce podbiła? ale nie dałem ci dziś iść z naszymi dziewczkami, pomagać im, a raczej przeszkadzać do siania owego lnu, bo wiem, żebyś nie wytrzymał i powiedział jakie niepotrzebne słówko Ewie, któreby ludzie usłyszeli; a ja powtarzam po raz dziesiąty: nie chcę, aby ktokolwiek w domu o naszych zmówinach wiedział, dopokąd się nie zwierzę pani Kasprowej, i nie otrzymam jej przyzwolenia; inaczej, wątpiłbym o błogosławieństwie Bożem nad wami, i nad sobą — przydał z uczuciem.

— Święta prawda! — domówiła Kochanowska, przestając prząść na chwilę z kądzieli, którą obyczajem podolskim wetknęła sobie za pas — co jednemu sprawia śmiech, to drugiemu płacz na tym świecie. Wasza dzisiejsza radość, panowie, będzie jak piorun z nieba na

tę zasnę białogłową; a jeszcze chore nieboże, od dwóch tygodni łóżkiem się bawi.

— Ja mam wielkie obowiązki względem tej naszej bratowej; wiecie dobrze, przyjacielu — mówił dalej Kochanowski — myślałem ciągle: „Ewą to wszystko spłaceć”; ale kiedy rzeczy niespodziany obrót biorą, kiedy w córce najmniejszej ochoty do zastawienia się za ojca nie widzę, kiedy przyjdzie ją zmartwić; starajmyż się przynajmniej nie obrazić jej, nie uchybić. Gdybyśmy jedno dali do poznania tu komu, o tem co dziś rano między nami zaszło, jeszcze przed nocą, gdyż znacie rychłość odniesień służebnych, pani Kasprowa wiedziałaby o wszystkim, i więcej niż my wiemy, bo o zupełnej pewności, o dniu zaręczyn i wesela; i gotowaby w cięższą zapaść chorobę. Rzecz wiadoma, złe wieści mają skrzydła. A pięknażby to była zapłata dobrodziejstw nieboszczyka brata, onego drugiego ojca... Bo trzeba ci wiedzieć, panie Rotmistrzu, a jak się dowiesz, dziwić mi się przestaniesz, lepszego brata, jak był świętej pamięci pan Kasper nie znalazłbyś, choćbyś przetrząsł całą Litwę i Koronę; chcąc przytoczyć wszystkie prawa jakie on ma do wdzięczności mojej, żywot mój cały opowiedziećby należało. Bo i o tem nie zawadzi żebyś wiedział, kiedy w naszym domu szukasz żony — i tu lekki uśmiech złagodził rozrzewnienie, jakie tamte słowa wzbudziły — Kochanowskim oddawna Bóg udziela błogosławieństw swoich w liczne potomstwo; i jeśliś pragnął kiedy w postanowieniu twojem majątności i skarbów, złość trafił, panie Rotmistrzu; u nas zawsze bywało wię-

cej dziątek niż wiosiek. Mój dziad wprowadzie, bo Kochanowscy oddawna rymują, tak był wymienił i opisał swoją chudobę:

Jasieniec — jak wieniec,
Na Baryczy — ryb nie zliczy;
Sycyna — da nam wina,
A Czarnolas — wyżywi nas.

Ale do tych czterech wiosiek było pociechy dziewięcioro, trzy córki i sześciu synów: Piotr mój ojciec, Jan, Wit, Filip, Tomasz i kochany nasz pan Dobiesław, co jeszcze dzięki Bogu doprzedza szanownej starości swojej w ojcowskiej Baryczy; i muszę cię zawieźć do niego, jeżeli już cię losy przeznaczyły na naszego zięcia. U moich zaś rodziców, jak widzisz u nas sześć dziewcząt, tak tam byliśmy sześciu chłopców; było wprowadzie i dziewcząt cztery, ale pomarły w panieństwie i jedna tylko zamężcia dostąpiła. Z owych sześciu chłopaków, Kasper był najstarszy, a ja zaraz po nim. Matka, która tam zapewne samem rodzeniem dziątek, według słów apostoła, zbawiona być musi, co jedno dziecko porodziła i wykarmiła, natychmiast Pan Bóg dawał drugie; rośliśmy koło rodziców, jak latorostki koło sprawiedliwego w Psalmie:

Ojciec siedział za swym stołem,
A dziateczki stały kołem;
By w bujnym sadzie zielone
Oliwki, nowo sadzone.

Ale Kasper ledwie miał lat dziewiętnaście, a Piotr najmłodszy jeszcze wisił u piersi macierzystych, kiedy po niedługiej chorobie umarł nasz zacny ojciec, nie mając więcej nad lat sześćdziesiąt siedm. Bym żył wiek cały, nie zapomnę tej chwili i okropnej boleści uko-

chanej matki. Tyle dziątek, majątność szczupła a zawikłana, gdyż były różne zajścia, nie ze stryjami, bróh Boże, Kochanowscy z dawien dawna żyli zgodnie między sobą, ale z ciotkami, a raczej z pociotami i z ich dziećmi. Dąbrowscy, Mysłowscy, Sienińscy, w które to domy powychodziły trzy siostry mego ojca, słuszne i niesłuszne rościli sobie prawa do majątku naszego. Spór był nierozstrzygnięty, a wszystko na karku niebogiej wdowy, która własnego żalu i kłopotów domowych miała wyżej głowy, i nad siły niewieście. Snadź, Bóg miłosierny natchnął duchem swoim naszego Kaspra i odział go męztwem. W kilka dni po śmierci ojca rzucił się do nóg gorzko płaczącej matce, i powiedział:

„Nie płaczcie pani matko, Bóg da, będę ja waszym i rodzeństwa obrońcą; jedno zasilajcie mnie radą i modlitwą waszą“.

Jak powiedział tak uczynił; stał się odrazu dojrzałym i doświadczoneym mężem; wszelakie trudności, prace i frasunki, co pospolicie na wdowę i na sieroty przypadają, wziął na siebie; użył czujności, niespania, mokołu, lecz tak dobrze wszystko sprawował, iżśmy za pilnością jego, żadnego uszczerbku nie ponieśli: nie tylko nam chudobę w całości zachował, ale i przyjaźń powinowatych i sąsiadów; obeszło się bez sporów prawnych, bez przysiąg, których kochana matka gorzej śmierci się bała; i do dziś dnia z jego łaski żyjemy zgodnie z licznymi pokrewnymi naszymi. Matka odtęskniwszy się nieco po mężu, mogła przy takim synu pędzić dalszy wiek spokojnie. Urodziwy, zacny, mając nie tylko laty, ale roztropnością, wymową, pierwszeństwo nad nami

wszystkimi, nie chciał on nigdy rzucić ni domu, ni powiatu swego, rodzeństwo forytował między ludzi, sam siedząc w ukryciu. Mnie szczególnie, którego kochał najlepiej i w którym upatrywał jakieś osobliwe dary niebios, mnie zapragnął njrzeć na świeczniku, i ku temu wraz z matką żadnych ofiar nie szczędził. Niedosyć było dla Janka szkoły wiejskiej, założonej przez dziada i ojca w Polieczny; nie dosyć na zacnym nauczycielu, księdzu Macieju z Zalesia, mężu głęboko uczonym w wierze, w łacinie i w poezyi, wyprawili mnie na dwór wielkiego hetmana i muz opiekuna, Tarnowskiego, gdzie się przyjaciela znalazło, świata trochę poznało...

— I wojaczki — przerwał z uśmiechem Podlodowski — a bitwa pod Tarnopolem, a strzała Tatarzyna?

— Zaprawdę — odrzekł żwawo Kochanowski — lubię wspominać sobie te dwie okoliczności. Kiedy słyszę o przykładach męztwa waszego i innej rycerskiej braci, miło mi przypominać sobie, że i moja krew płynęła w potrzebie za ojczyznę; ból w owym czasie tak srogi, dziś mi się wydaje jakby uciechą, ciężka strzała Tatarzyna, miłsza od niejednej złotej strzały miłości. Przypatrzno się, panie Rotmistrzu, jest ci jeszcze ślad oczywisty mojego męztwa, i dalipan, na poetę, to dosyć.

Tak mówiąc, wyciągnął krótką szyję, uchylił żupan, wyjął spinkę od koszuli i pokazał Filipowi znakomitą bliznę.

— Nie zgadlibyście tego, bratku! a gdyby nie przygody nieszczęśliwe pana Jakóba i odjazd jego do Studzienicy, byłbym mu ciągle nieodstępny i może tak dzielny żołnierzem jak on. „Ale do Koryntu przyjść,

nie każdemu snadno", inaczej chciały losy, inaczej chciał on brat poczciwy, co sobie i matce w głowę włożył, że ja nie tylko muzę polską wstawię, ale będę słupem i światłem kościoła, i szerzącym się nowościami w wierze silną stawię zaporę. Trzymali mnie tedy lat parę na Akademii krakowskiej, gdzie byli wtedy zawołani mistrzowie, do których i cudzoziemcy jeździli. Lecz właśnie w owym czasie, nauka z Niemiec i Genewskie kazania, zaczęły brać górę między Krakowskimi studentami, głośno już powstawali na papieżników, jak nazywali synów prawego kościoła. Matka i brat zlekli się tedy bardzo, by się we mnie nie zachwiała stara wiara; choć ja tam w życiu mojem siłam błdził, młodość i krew bujna nieraz mnie uwiodły i nie mogę się pochwalić, abym zawsze namiętności gasić w sobie umiał: alem zawdy się strzegł wywodów religijnych i nigdy nie tuszyl o własnym rozumie, abym miał prawo dosiąść głębokich tajemnic Boskich; com raz obiecał na chrzcie Panu Bogu, czego mnie ksiądz Maciej nauczył, com w domu rodzicielskim widział i słyszał, tegom się trzymać postanowił i tego się trzymać pragne, dopokąd duszy w ciele. Matka i brat nie ufali mi jeszcze tyle, a znając do mnie nie małą żądzę sławy, odznaczenia się między ludźmi, bali się, żeby mnie nie pobudziły do kacerstwa, jak wielu innych, owe podstępne pochwały: „Oto mi głowa, nie dla kształtu! oto człowiek nad ludzi! nie wierzy jak księża: nie ze panią matką pacierz“. I wysłali mnie własnym kosztem do Włoch, wytrząsnawszy dobrze pierwej wszystkie domowe wacki, mieszkki, garnki i kryjówki, tak że grosza nie zostało; rzecz też to była

na owe czasy bardzo rzadka: jeździli już wprawdzie do cudzych krajów synowie pańscy, jeździli i ubożsi wyższe zdatności mający, ale kosztem zamożnych mecenasów, albo też królewskim. Największymi ofiarami utrzymywali mnie przez lat siedm w Rzymie, w Padwie, w Paryżu. Jeźlim między temi dalekimi narodami, może oświeceńszemi od nas, ale też nierównie więcej zepsutemi, nie zboczył zupełnie z toru cnoty, nikomu jedno Kasprowi i matce tom winien. Ich listy i upominki przez każdą sposobność przesyłane, były dla mnie jakby głosem Boga, który mnie prowadził, wstrzymywał; a w to pani matka bez pana brata nie byłaby poradziła, nie umiała pisać; podawała więc tylko słowa pełne mądrości Kasprowi, a on je nadobnie układał. Wreszcie, i tom jeszcze mu winien, że śmierć tej najlepszej i nieodżałowanej dotąd rodzicielki, nie na¹⁶awiła mnie ciężkiej choroby. Spełniło się było to s¹⁶gie nieszczęście; już on ją złożył w grobie ojcowskim, a mnie tylko napisał iż słabą się czuje i wezwał mnie do przyjazdu. Czas też było wracać, ile że choć nieraz w twardym niedostatku, anim myślał o miłym do kraju powrocie. Gościłem wtedy w Paryżu, uwikłany w pętach szalonej miłości; jeden tylko przyjaciel, zacny Ossoliński ratował mnie od rozpaczki: Paryżanka piękna, wabna, uczona, zalotna... prawdziwa miejska Greta, chociaż jej Lidya było na imie...

— Nie bardzo tam o tem, panie mężu — przerwała z przymuszonym nieco uśmiejchem Kochanowska — nieboszczyk pan Kasper nie w tem nie miał, a panu Rot-

mistrzowi mówić takie rzeczy, niema żadnej koniecznej potrzeby...

— Dawne to już czasy, pani żono — odpowiedział Kochanowski — dwadzieścia lat i kilka, a trudno tych win zataić; ośpiewałem dosyć ową czarodziejkę Lidyą w moich łacińskich elegiach znanych całemu światu. Ja nie chcę uchodzić przed nikim, ani dziś ani potomności, za lepszego jak byłem, jak jestem... I wreszcie, cóż ja temu tak bardzo winien, że lubo matka i brat nakłaniali mnie do stanu duchownego, jam ani kęs powołania nie miał...

— I zawsze mnie licho ciągnęło do kościoła Ś. Adama, jak teraz mojego Filipa — wsunął wesoło Podlódowski — zbawiennyc to także zakon: bez niego ród ludzki by zaginął...

— I całe moje nieszczęście — odrzekł żywo zaczepiony — iżem odrazu mojej Ewy nie napotkał. Przecież — dodał po chwili poważniejszym już głosem — wróciwszy do kraju, zdjęty srogim żalem, iżem już matki nie zastał, chciałem na gwałt księdzem zostać i na wsi się zamknąć; zrobiliśmy dział majątku: mnie się dostał Czarnolas, a raczej ustąpił mi go kochany brat, widząc jak tę wioskę wysoko cenię: wyrobiłem sobie probostwo Zwolenńskie i chciałem samotnie życie spędzić niedaleko grobu rodziców, wśród ksiąg. Księdza Macieja z Zalesia, dawnego nauczyciela, uczyniłem moim wikarym przywdziałem rewerendę; a żem nagle wszystkich święceń nie wziął i tom jeszcze winien kochanemu bratu. On ciągle rodzeństwem zajęty, a dumny i uradowany mojem powodzeniem za granicą, sławą jaką mi wiersze moje

łacińskie zyskały, przyjaźnią Manucjusza, Karola Sygonjusza, a nadto poufałością z Myszkowskim, Ossolińskim, Radziwiłłem, Górnickim, Fogelwederem i innymi, którychto wszystkich w obcych krajach szacunek sobie zjednałem, namówił mnie żebym się nie zagrzebywał na wsi, żebym jeszcze ostatecznie księżej sukni nie oblekał, i żebym się dał poznać u dworu. Już mnie tam zapraszał Filip Padniewski, pod ten czas kanclerz koronny, biskup krakowski i wielki mój łaskawca. Pojechałem. Wtedy już pisma urzędowe zaczynało pisać po polsku, gdyż król nieboszczyk bardzo w języku ojczystym smakował; ale zawsze potrzebna była koniecznie w komorze królewskiej niepospolita biegłość w łacinie. Mogłem jej nabyć siedmioletniem obcowaniem z uczonymi całego niemal świata; zalecił mnie przeto Padniewski królowi, a wnet otrzymałem urząd sekretarza Jego Król. Mści, wraz z panem Łukaszem Górnickim. Wtedy dopiero przy boku i za łaską takiego pana, co i pieśń i wino i miłostki lubił, użyło się świata z Anakreonem w rękę, pisało się i robiło Fraszkii...

— I kochało się znowu — szepnął Podlódowski.

— I nie w jednej: nie stronił ja nigdy od białoszyjek. A dalipan, nie wiem czy kiedy na dworze polskim widzieć się dało tyle cudnych pań i panien dworskich, co na dworze nieboszczki królowy Katarzyny, i czy był gdzie snadniejszy przystęp a lepsza pogoda do grzechu. Król August już nie żył dobrze z tą świętą panią a trzecią już żoną swoją, nie miał wprawdzie do niej, jedno że bardzo otyła była i dzieci nie rodziła; zamyślał już o odesłaniu jej do Wiednia i o rozwodzie.

Niejedni tedy rodzice, pamiętni wyniesienia Barbary Gastoldowej, pod różnemi pozorami przywozili córki tam, gdzie król bawił; mnie samemu wpadła strasznie w oko jedna z panien dworskich królowej, kasztelanica sieradzka...

— I znowu — mruknęła Kochanowska — na jakież ziółko stąpiliście dziś mężu, co odgrzebujecie jakby z umysłu stare i zapomniane grzechy?

— Nie znałem was, Hanno moja, ani rzetelnego szczęścia — odpowiedział — to jedyna, wielu szaleństw młodości wymówka; a w żalu jaki ważniejsze we mnie wzbudzają, w otwartości z jaką pomniejsze wyznaje, jedyna nadzieja, że je Bóg miłosierny wygładził zupełnie ze swojej pamięci. Ale bo dalipan, owa Hanna Koniecpolska urodziwa była i nauczona białogłowa; szyja śnieżna, włos złoty, jako gwiazdy oczy; syrenabyś ją był nazwał, kiedy śpiewała przy lutni; Palladą, kiedy w niewieściej pracy cuda wyrabiała igłą: podbiła sobie zupełnie biednego poetę. Skoro szary szlachcie zacznie przestawać z bławatnemi pany, przyśniwa mu się łatwo, iż i on w złocie będzie chodził. Sławilem ją rzymskimi i słowiańskimi pieśniami, wieszałem wieńce u jej drzwi, wszędzie za nią chodził: i ona mile na mnie patrzyła, nieszczędząc słów łaskawych. Jużem tedy sądził, że nie wzgardzi niskim progiem moim, jużem jej śpiewał o starej lipie, co jej wygląda z za boru, i o innych Czarnolasu pięknościach. Właśnie biskup Myszkowski, następca Padniewskiego, u którego moja polska muza twarz dziwnie wdzięczną znalazła, wyjednał mi był probostwo poznańskie; pomyślałem sobie: „Zrezygnuję duchowne łaski, o świeckie prosić będę i ożenię się“. Aliści zalotna ka-

sztelanka, zwyczajnie dworka, odrzuciła ze śmiechem szczere ofiary moje; a kiedym jeszcze nad jej zdradą płakał, ona już oddała piękną rękę Czyżowskiemu kasztelanowi bełzkiemu, z którego nieraz śmiała się przedemną że brzydki, stary i głupi, ale pan i bogaty.

Takim trzeba ustąpić, bo przekłete dary
Przeważą winną pamięć i stateczność wiary.

Ustałem więc; a dostawszy takiego odkosza, w smutku i upokorzeniu mojem gdzież miałem szukać pociechy, jeśli nie u brata? On właśnie postanowiwszy braci wszystkich i siostrę, pojął był zacną pannę z sąsiedztwa, pokrewną naszą, i żył z nią szczęśliwie i użytecznie w swej Policzny, nie zawierając bowiem uczynności swojej i miłosierdzia we własnym rodzie, był opiekunem wdów i sierot całego niemal województwa, pozyskał sobie powszechny szacunek i urząd pisarza ziemi Sandomierskiej.

— Janie — powiedział mi po kilku dniach przypatrywania mi się i badania pilnego a smętnego — bo prawdę rzekłszy, lata spędzone u dworu szarpnęły mi były nie mało sił i zdrowia... Janie, krew Kochanowskich w tobie: życia spokojnego w ucziwej mierności ci trzeba. Jużes kosztował wszystkiego i nie cię nie zaspokoilo; pierwsza młodość uciekła, a szczęściaś nie znalazł. Ani zbyt wesołe życie dworskie, ani świętobliwy żywot kapłański nie dla ciebie; korcić cię też także muszą i bogate dochody, które bez prawa pobierasz: pozbadź się ich, zostań przy swoim. Zaniechaj królewskich i pańskich podwojów, weź żonę równego stanu,

oddaj się muzom i ziemianstwu; osiadź w ojcystym Czarnolesie, a będziesz zdrow i szczęśliwy.

Jakby mi kto bielmo zdjął z oczu, gdy te jego słowa usłyszał; zdało mi się jakbym się narodził na nowo, jakbym pierwszy raz prawdę zobaczył, jakby mi kto raj ziemski otworzył. Napróżno król nieboszczyk chciał mnie koniecznie zatrzymać przy sobie, roczną płacę mi wyznaczył, postarał się o to, by mnie opatem sieciechowskim obrano; najpierwsi i najzaciejsi panowie ciągnęli mnie na świecznik: słowa brata większą miały wagę, pewniejsze wróżyły mi szczęście. Za radą jego wystawiłem sobie ten oto dom obszerny i wygodny, i dałem mu za napis modlitwę, którą Bóg miłosierny spełniać raczy; potem zaś zacząłem myśleć o żonie. Brat mi przypomniał, jako zawsze równie kochany przyjaciel ma siostrę w wieku zamężcia; on mi ją zmówił, on był moim swatem, moim dziewosłębem; a skorom poznał ową prawdziwą bogdanę, skorom się z nią ożenił, przekonałem się, że jeśli do Lidy wiodła mnie miłość młodości, miłość zmysłowa; jeśli do Hanny Koniecpolskiej nęciła mnie miłość dumna i próżna, obcą była sercu mojemu trzecia a najlepsza miłość cnotliwa: ta jedna wieczysta i szczęście dająca, ta mnie spoila z żoną i coraz ściślej jednoczy. Ale gdzież jest owa ozdoba moja, podpora domu, towarzysz najlepszy? znikła...

I w samej rzeczy, Kochanowska przewidując iż przyjdzie kolej na te pochwały, odeszła przed chwilą; pozorów i przyczyn jako dobrej gospodyni braknąć nie mogło, ile że się zbliżała godzina wieczery, a od czasu

przyjazdu brata, za każdym zastawieniem stołu, nowy przysmak był podawany.

Kochanowski rad na ten raz nieobecności żony, z większą swobodą i tkliwością o niej i o szczęściu swym domowem mówić zaczął.

— Nigdy my z sobą — powiedział nakoniec — żadnych rozterek i niesnasków nie mieli; nigdy nikt nie słyszał, abyśmy się na dzień jeden, gdzie tam, na godzinę z sobą pogniewali. Nie wiem nawet, czy jej uroda w czem się odmieniła; zawsze mi się taka cudna widzi, jak w dzień ślubu, bo cnoty żony piękną ją czynią w oczach mężowych i wdzięczną w samej nawet starości... I widzisz, panie Filipie — dodał mocno wzruszony — ile to ja winien bratu. Ale czekajcie, nie dopowiedziałem końca. Skutkiem niedocieczonych Boskich wyroków, ów brat ukochany, młody jeszcze i tak na tej ziemi potrzebny, zapadł na ciężką chorobę i już z niej nie powstał. Mnie, umierając, zdał opiekę nad żoną i dziećmi; mnie powiedział: „Umieram spokojnie, zostawiam im ciebie“. I małeż to są obowiązki moje względem tej zacnej niewiasty, tej świętej prawdziwie wdowy, która do dziś dnia, po siedemnastu leciech, dochowuje wiary mężowi, i ani z myśli ani z ciała żałoby jeszcze nie zdjęła. Straciła wszystkie dzieci, jeden tylko Franciszek jej został, ani go też wypuściła z rąk; w trzecim ledwie roku odsadziła go od piersi, pieściła, dogadzała nad miarę, dawała jeść i pić co jeno chciał, a on też rósł i tył, gdyby w karmniku. Broń Panie Boże różgi, kary, nauki lub roboty jakiej; nic, tylko same igraszki, zabawy, a psoty i pró-

złniactwo. Gdy się mu na ósmy rok obracało i widziałem z żalem, iż mimo obietnic pani bratowej, żadna odmiana w jego wychowaniu nie zachodzi, pamiętam, powiozłem mu książkę piękną łacińską z abecadłem i z modlitwami, i powiedziałem, że przyjeżdżać będę go uczyć, albo też brać go będę do siebie. Nuże chłopiec w płacz i w krzyk, a biedna matka: „Dajcież pokój Franulkowi, będzie chorował“; co on też posłyszawszy, gdym go tylko do książki namówić chciał, wrzeszczał w niebogłosy: „Będę chorował, będę chorował!“ i tak się gracko wywijał, iż do dwunastu lat nie znał ani litery. Martwiło mnie to niesłychanie, i ilem razy wspomniał na zacnego ojca, ledwie nie płakał myśląc sobie, iż syn tak odmiennym torem idzie; gadałem matce co się zmieściło, chłopakam zawstydział przykładem moich dziewcząt: wszystko to było jak gdyby groch na ścianę miotał. Nareszcie gdy już młodzieniaszek zaczął rok szesnasty i zawsze był nieuk, a coraz gorszy żarłok, pótym klekotał biednej matce głowę, i gniewem Bożym ją straszylem, póki nie oddała go przecie do Lublina do szkół, i nie przyrzekła mi, że go tam na całe dwa lata zostawi. Ale cóż? tym co szkołę trzymali zaleciła, aby Franulko długo i miękko sypiał, wiele jadł, mało nad książką siedział, żeby różga na jego ciele nigdy nie powstała. Tak też uczynili; a ponieważ suto płaciła, suciej jeszcze wszystkiego dosyłała, jeli jej donosić, jakoby panicz bardzo dobrze się sprawiał, prześlicznie się uczył, a matczyisko rosło z radości. Tymczasem ja, który tym doniesieniom nie konieczniem wierzył, wybrałem się z umysłu do Lublina i zastałem, iż po roku nic się nie nauczył,

krom psot od chłopiąt szkolnych, i że się nawet z grubego nie okrzesał; odwiozłem go więc do domu. Ale ponieważ urósł, tego wyglądał, a zaraz pierwszy obiad nie jadł ale pożerał, matczyisko na wszystko mówiło: „Nie, nie, zdrów mój Franulko!“ i rada temu będąc, że już oglądała jedynaka, mało na to dbając, czy co umie czy nie, ani go chciała wypuścić od siebie. Teraz, kiedy już młodzieniec pod wąsem, kiedy synowie drugiej naszej bratowej, pani Mikołajowej z Jasieńca, wychodzą na ludzi, biedna matka uznaje niedostatki syna, choć nie wiem czy chce uznać przyczynę; tai je sama przed sobą, chciałyby ukryć przed światem, i pewna jest, że skoro Franulek się czeni, to się i odmieni. Pragnie tedy tego małżeństwa jak zbawienia, a w naszej Ewie widzi stworzoną dla niego żonę, która go przykładem swoim, namową, nauczy żyć i być człowiekiem. Widzisz przeto, panie Filipie, jaką jest konieczną potrzebą uprzedzić ją z wolna o tem, co zaszło między nami; przygotować ostrożnie i jakąś radę na pociechę upatrzeć.

— Uznaję to wszystko — odpowiedział pan Rotmistrz, który przez ten cały czas stojąc z uszanowaniem przed Kochanowskim, słuchał go pilnie — uznaję, ale czyżby nie można upraszać pokornie — i to mówiąc, skłonił się do ziemi i ścisnął palce u nóg przyszlęmu teściowi — czyżby nie można przyspieszyć tego rokowania. Gdybyś wasza miłość wiedział, jakim wiekiem dla mnie każda godzina...

— Jutro Niedziela — odezwała się na to Kochanowska, która wróciwszy przed chwilą, stała na progu we drzwiach i słuchała — pojedziemy jak zwyczajnie

do Policzny na nabożeństwo; gdyby się dało, możnaby coś wspomnieć..

— Zapewne — domówił Kochanowski — im prędzej tem lepiej; ja bym chętnie dziś jeszcze zbył z siebie ten przykry ciężar. Jutro więc dosiędę wcześniej siwosza, i jeśli się uda, sprawę wprowadzę; nadjedziesz żono, i może dobijemy targu, chociaż Bóg widzi, ani sobie wystawiam jak się to obróci?..

Młodzieniec uradowany obietnicą, objął kolana obojga gospodarstwa, całując je na znak dziękczynienia; ale nagle zerwał się jak gdyby wezwanie bojowe usłyszał i zawołał:

— Idzie.

Jakoż wracały córki gospodarskie z czeladnikami dziewczętami z roboty w polu, i wnet ukazały się u wrót, które już Filip na rozcież otworzył; szły zwolna nucąc smutną piosnkę, śpiewaną dotąd w Sandomierskiem przez dziewczki wychodzące na pańszczyznę, a w której były i te słowa:

Pan Starosta dziś był zły,
Żeśmy rano nie wyszły
Do tej roboty.

— Cóż wam się stało? — zapytał córek ojciec, kiedy przed gankiem stanęły — zwykle wracacie w skokach i z weselszemi pieśniami; słysząc was o kilka staj: Ludwina jedna, ta zawsze zostaje w tyle i cicho pacierze mówi.

— To Ewa nas tak wszystkich zasepiła — odpowiedziała Dorota z żalem — gdzie poważniejsza od Ludwiny Nastka zaśpiewała jej, jak na Podolu śpiewają:

Ondryni — ja lon sieju,
Skaży s kim zbierać budu.

A ona się rozplakała i utulić się nie mogła.

Ewa już mocno rumiana spłoneła bardziej jeszcze na te słowa, i prawie z gniewem przytknęła rękę do ust wielomownej siostry. Pan Podkoniuszy szepnął do przyjaciela:

— Raczek, nie zły to znaczek.

A Ludwina przysła z nieśmiałością i ze smutkiem do matki, i powiedziała jej do ucha:

— Boję się bardzo, czy Ewa nie chora; cały czas nie nie mówiła, chwytala się często za głowę, oddech ma ciężki, oczy czerwone, ręce gorące. Możeby jej bżowego kwiatu dać na noc? jeśli jest co złego, prędzejby wysypało.

— Nic jej nie będzie — odrzekła matka z uśmiechem. — Oto patrz, już mówi z panem bratem i śmieje się. Idźmy do wieczery: ryby się przestoją.

VII.

Cnoty swych dziattek starsi nauczajcie,
Te wychowanie synom waszym dajcie.
A niech nie będą nazbyt pieśczeni,
Niech nawykają spać na gołej ziemi.

Księga III, pieśń 3.

Dom w Policzny różnił się bardzo od domu Czarnoleskiego: tu był ruch, życie wesołość; tam cichość, milczenie, żałoba.

Pani Kasprowa Kochanowska straciwszy dozgonnego przyjaciela, przyjęła na siebie stan wdowi. Mówię stan, bo wtedy, kiedy większa pobożność była w sercach, większe oderwanie od rzeczy ziemskich; kiedy Pismo Święte znano gruntowniej, kiedy powołanie kobiety lepiej było zrozumiane i wyżej cenione jak dziś: wdowieństwo było stanem osobliwym, jak panieństwo, jak małżeństwo. Nie jedna białogłowa po śmierci męża sądziła, że jej się nie godzi, że jej nie przystoi być żoną drugiego mężczyzny, choćby też piękną i młodą była; ślubowała chować czystość, a straciwszy opiekuna i obrońcę, którego z rąk rodziców dostała, za jedynego opiekuna i obrońcę brała sobie Boga. Taka, modlitwą, postami, pracą ręczną, cierpliwością, ubóstwem dobrowolnem, jałmużną, dążyła do doskonałości; taka strzegła

się bliskiego przedstawiania z mężczyznami, zabaw, tańców, śmiechów, takiej ubiór nawet różny był od ubioru mężatek; smutny, prosty, poważny: taka nareszcie odchowawszy dziatki, im poruczała majątność swoją, a sama najczęściej zamykała się w klasztorze. Takie wdowy, „Chrystusowe“ zwane, w wielkim były u ludzi szacunku i miane prawie za święte; urzędnikom wszelkim zalecone było wyraźnie mieć je w szczególnej opiece, gdyż krzywda takowych wołała o pomstę do Boga, a dobro im uczynione ściągało błogosławieństwo. Zresztą, w owych czasach jeszcze nieco rycerstwem tehnących, wdowy taką powszechną obudzały względność, iż wziętość, jaką Stefan Batory uzyskał u narodu, prawie zaraz po wstąpieniu na tron, powodzenia jego późniejsze przypisywane były przez wielu temu, iż pierwszym jego czynem, jako króla, była sprawiedliwość wymierzona wdowie.

Pani Kasprowa w rzędzie „wdów Chrystusowych“ śmiało liczoną być mogła. Wszystko u niej barwę wdowią miało. Twarz bladą i wychudłą łagodny smutek powlekał, usta prawie ciągle odmawiały pacierze, ręce, jeśli nie zajęte robotą, złożone były nabożnie; wysoką i poważną postać, która wolnym krokiem suwała się tylko po ziemi, okrywała suknią długą i płonistą z czarnej rasy, z kapturem z tyłu, czapka na głowie czarna z branką białą wiązana pod brodą, a zamiast pasa, gruby sznur laiany, u którego wisiała koronka z granatów, z trupią głową z kości słoniowej. Dwór cały dosyć piękny i obszerny oddała synowi i czeladzi, sama zachowując sobie niewielką sypialną izbę, czarnym kirem wybitą. Łóżko wąskie i twarde, ławek i stołków parę, stół dę-

bowy, kołowrotek, krzyż wielki z wizerunkiem Zbawiciela, przy łóżku kropielnica, z święconą wodą, gromnica i dwie książki nabożne na półce: taki był sprzęt cały. Nawet obrazu męża w jego ślubnym stroju nie chciała, zawiesiła go u syna.

— Mnie tego nie trzeba — mówiła — ja go mam żywego w pamięci.

Przecież jakkolwiek oderwaną się zdawała od świata i od ludzi, i cała w Bogu, trzymała się jeszcze mocno ziemi, a syn był tym węzłem, który nietylko ją wiązał, ale i wikłał. Dla wszystkich miłosierna, dla siebie surowa, dla syna była słabą do zbytku. Jednego tylko mając, całe szczęście ziemskie w nim założyła; nie widziała większej pomyślności nad zachowanie go, większej niedoli nad jego utratę. O! zapewne, kiedy po śmierci ukochanego męża czwarte już dziecko złożyła w grobie, gdyby jej był kto zaręczył, iż przynajmniej ten jednak zdrowo się wychowa, przystałaby chętnie na to, żeby był nieukiem, koleką, nie wiem czem, byle żył. Te okoliczności, te uczucia stały się przyczyną rozpieszczonego wychowania pana Franciszka; i nie wiem, czyby wiele matek ośmieliło się rzucić pierwszy kamień na panią Kasprową.

Od kilku lat spokojna o zdrowie i życie syna, zaczęła znowu truchleć o szczęście jego tu i w wieczności; ale na obawę wynalazła dwie drogi ratunku: ożenienie go z Ewą, i poświęcenie się własne. Żona kochana i rozsądna miała zastąpić to wszystko, czego mu niedostawało, zrobić z niego człowieka; w miłosierdziu zaś Bżem pokładała nadzieję, iż On jej ofiarę przyjmie

jako okup za syna, jak niegdyś przyjął ofiarę Chrystusową za okup rodzaju ludzkiego. Nikt też nawet ani wiedział ani zgadywał, ile ona męki zadawała sobie za jedynaka: bo kryła się z umartwieniami swemi, jak drugie z rozpustą się kryją. On spał w pierzu i spał długo, ona nocy bez snu na pacierzach trawiła, i ledwie parę godzin spoczynku na twardej desce pozwalała sobie; on nosił wygodne i kosztowne szaty, ona włosienicę na gołe ciało oblekła; on jadł i pił co się zmiesciło, ona tylko tyle spożywała, ile koniecznie do utrzymania jej wycieńzonego ciała było potrzeba; on często to z lenistwa, to dla zabawy opuszczał nakazane nabożeństwo, ona modliła się prawie nieustannie, co tydzień przystępowała do stołu Pańskiego, codziennie w kościele obecną była ofierze ołtarza, a prócz tego jeszcze ślubowała Bogu, iż skoro synowi potrzebną nie będzie, natychmiast wstąpi do klasztoru, a to dobierając sobie zakon jaknajostrożniejszej reguły. Tymczasem do tych wszystkich zbieranych tajemnie zasług, dorzucała jeszcze widoczną zasługę ciężkiej pracy: od świtu do nocy nie spoczęła ani jej myśl ani ręka; całe gospodarstwo domowe, cały zarząd dosyć znacznego majątku opierały się o nią; zbierała pieniądze dla syna, odsuwała od niego wszelki kłopot, niepomna że tą zbytęczną dobrocią więcej mu szkodzi niżeli pomaga.

Jednak zaczynało już niekiedy przychodzić jej do myśli: czy to ona dobrze robi? a ta obawa, coraz więcej ją dręczyła. I właśnie tej Niedzieli, zakrywszy głowę i twarz kapturem, ażeby tem lepiej się odosobnić i nawet choęby ludzie przyszli nie widzieć ich, siadła w

swojej izdebce obok łóżka i dumiała głęboko. Chora przez parę tygodni, ledwie dziś rano zwlekła się z pościeli, żeby wejrzeć w gospodarstwo, i zaradzić owym nieporządkom i nieładowi jakie wszędzie i zawsze wsunąć się gotowe, skoro braknie oka pańskiego; skoro wreszcie liczna czeladź, niewieście tylko rządy czuje nad sobą. Zmęczona dreptaniem, a więcej jeszcze nieochybnym w takim razie gniewem, nie miała nawet pociechy usłyszeć podziękowań jedynaka, albo jakiego troskliwego słówka o zdrowie swoje, z ust tego, któremu to zdrowie poświęcała.

Pan Franciszek nie był zły i matkę kochał bezwątpienia, o ile tylko mógł kochać; ale wiek dziecinny rozpieszczony, życie dalsze nieczynne i prawie jedynie zmysłowe, tłumia w człowieku wszystko co duchowe, serdeczne i piękne; dusza kryje się pod grubą zasłoną, uczucie stygnie, myśl tępieje; kończy się na tem, że prawie samo zwierzę zostaje, a jeżeli wydostanie się z tej głębi jaka czułość, zwraca się do najbliższego przedmiotu, do siebie, czyli jak dawniej mówiono, do sobka. Pan Franciszek nie na świecie nie widział prócz pana Franciszka; nigdy mu nie przyszło na myśl cudzą przyjemność nad własną przełożyć; a jeszcze też przyjemność matki, do której poświęcenia przyzwyczajony będąc od piełuch, ani go cenił, ani nawet widział. Kiedy ona tedy dziś rano, chciała spróbować czyby nie mogła zacząć wyręczać się nim w gospodarstwie, i posłała wezwać go aby do niej przyszedł, on jej kazał powiedzieć, że się wyleżeć musi, gdyż ma drogę przed sobą. Odpust był bowiem w Zawadzie, dobra wyzerka u państwa My-

słowskich, na którą był proszony; a gdy w parę godzin potem przyszedł ubrany i do podróży gotowy, powie-dział jej:

— Co wy tam pani matko odemnie chcecie, zdrowiście już Bogu dzięki, to sobie radźcie jakeście dotąd radzili: mnie trzeba jechać do Zawady, bo się spóźnię na śniadanie.

A nie pytając się ani tłómacząc więcej, ruszył do Zawady.

Wielki Boże! — mówiła w sobie z goryczą matka patrząc za nim kiedy za bramę z dwoma pacholkami wyjeżdżał — czyż ja się nie łudzę, wmawiając gwałtem w siebie myśl, że mu koniecznie potrzebna, że onby się obejść bezemnie nie mógł? czyż nie grzeszę narażając szczęśliwą, niewinną, nie nie znającą dziewczkę, na dozgonną przyjaźń z człowiekiem, co o nikogo nie dba, o nie się nie pyta; któremu jadło, pokój, napój, zabawa, za wszystko stają? Żonażto prowadzić ma męża? nie zakazuje tego surowo Apostoł święty. A wreszcie jakżeby on żonie dał się prowadzić, kiedy on słów matki nie waży; skoroby pierwsze chwile minęły, nie dbałby o nią jak i o mnie nie dba. Nie, jemu podobno lepszy będzie mistrz surowy niż żona; mistrz, któryby zaczął z nim jak z dzieckiem, uczył go, prowadził, zmusił do pracy; któryby to zrobił dla niego, com ja matka, nie-stety! powinna była zrobić... A gdyby on żadną miarą nieznanemu sobie jarzmur uledez nie chciał, nie lepiejzeby jednego jeszcze spróbować sposobu i oddać mu cały majątek; niechby sam nim władał, niechby musiał sam myśleć o sobie... Pan brat zawsze mówi, że ja żyję za

niego, i już mu nie zostawiam do roboty: może dobrze mówi... A te wszystkie moje udręczenia—rzekła po chwili z podwojoną goryczą—te posty, pacierze, umartwienia, są one Panu Bogu przyjemne? Czyż nie grzeszę pychą za cudze poświęcając się grzechy? nie mamże ja dosyć swoich własnych? i będę miała dosyć czasu do pokutowania za nie?... O! już podobno sam Pan znaki mi daje, że już przyszła godzina własnych przewinień się kajać, uchylić się od licznych pokus. Oto i dziś rozgniewałam się, strofowałam ostrzej niż było potrzeba, może nawet posądziłam niesłusznie; już byłoby się czego spowiadać, a nie dawniej jak onegdaj ksiądz był u mnie... Żywot bogomyślny którego oddawna pragnę, do którego Bóg w miłosierdziu swoim wołać mnie raczy, potrzebuje zupełnego rozdziału ze światem i z zabawami jego; w klasztorze łatwym mi będzie: tam, miej tylko powolne i posłuszne starszym swoim serce i pokorną myśl ku nim, a już cnoty wszystkie masz; tu, ileż to trudniejszych usiłowań potrzeba, jakiegoż nieustannego bożowania! Już też i starość przysyła mi swoje pozwy; nie obeszlłam i połowy gospodarstwa, nie wejrzałam we wszystko jak należało, a nogi drżą podemną, serce mocno kołacze, ręce się trzęsą. Nie byłoby to najlepiej naradzić się z panem bratem, oddać synowi cały majątek, jego za opiekuna mu wyznaczywszy, a samej wstąpić niebawem do klasztoru i modlić się? „Panie Jezu Chryste ukrzyżowany dla zbawienia nas wszystkich—zawołała obracając zroszone oczy ku krzyżowi i wznosząc ręce—racz mnie oświecić co czynić mam. Ty na niebie mieszkając patrzysz litościwie na ludzkie troski,

sierotom opuszczonym Tyś jest ojcem, Ty smętnie opatrujesz wdowy, Tyś jest ich obrońcą, nie inny“...

A to powiedziawszy umilkła zalana łzami; wzięła potem koronkę wiszącą u pasa w długie i schudzone palce, a zatopiona w Bogu, schyliwszy prawie do kolan twarz osłonioną kapturem, posuwała co kilka minut paciorek po paciorku, a wtedy słychać było te słowa z głębokiem westchnieniem wymawiane: „teraz i w godzinę śmierci naszej, Amen“.

Kiedy zacna wdowa tak rozpamiętywała i modliła się, nasz Kochanowski przybrawszy kontusz święteczny, podgoliwszy starannie brodę i czuprynę, z karabelą ojcowską przy boku, z ugładzonym wąsem i w białej czapce z czarnym barankiem, już dojeżdżał do Policzny na swoim siwoszu; a mimo całej roztropności i znajomości świata zachodził w głowę z jakiej beczki on to zacznie, jakimi słowy rzecz wypowie, czem panią bratową pocieszy? Dla duszy pocziwej i kochającej, niema zapewne większej przykrości jak być posłańcem smutku do tych, którychby się rado otoczyć szczęściem.

„Możeć mi Bóg dopomódz raczy!“ powiedział zsiadając pomału z konia i oddając go pacholcowi, który go przywiązał u słupa za średnie srebrne kółko; w owych wiekach bowiem, przed każdym porządniejszym szlacheckim dworem stał na środku podwórza słup z trzema kółkami do przywiązywania koni: dolne z żelaza dla kmiotka i mieszczańska, wierzchnie z mosiądzu dla szarej szlachty, a średnie srebrne dla panów i urzędników; Kochanowski zaś był Wojskim ziemi Sandomierskiej; urząd ojcowski patryarchalny, o który on sam

prosił, odmówiwszy jak wszyscy wiedzą krzesła w senacie; bo Wojski musiał pilnować domu i obowiązkiem jego było mieć opiekę w czasie wojny nad żonami i dziećmi tych, co wyszli bić się za kraj. Pan Wojski tedy, nie mało zakłopotany, odmawiając „Zdrowaś Marya“ do Ducha Świętego o dobre natchnienie, wszedł nieśmiało do pani bratowej, która, lubo jej przerwał pacierze, i we łzach ją zastał, przecież uprzejmiej go jeszcze przywitała niż zwykle.

Nie mamy podobno potrzeby opowiadania szeroko, tego, co każdy już się domyślił. W usposobieniu umysłu w jakim się znajdowała pani Kasprowa, wiadome rokowanie łatwo pójść mogło, i poszło z nadzwyczajnem zadziwieniem Kochanowskiego. Obok szczerych powinszowań na jakie się zdobyła, ta prawdziwie chrześcijańska i miłująca dusza, postyszawszy o zdarzającym się losie dla Ewy; obok uwolnienia pana brata od wszelkich dawniejszych obietnic, i zupełnego rozgrzeszenia, od wymówek jakie sobie rad czynił; nie obeszło się jednak bez obfitych łez z jej strony, i ciężkich wyrzutów jakie robiła samej sobie: że nie słuchała dawnych a dobrych rad jego, że nie chowała tak syna jak wszystkie rozsądne matki chowają, jak byłoby nastąpiło gdyby jej kochany Kasper był żył.

— Jedyną moją pociechą — powiedziała nakoniec — jest ta myśl, iż jak ja się oddałam, i już bez przeszkody tylko modlić się za niego będę, on się pomiarkuje, a zostawiony sam sobie, będzie musiał się dźwigać. Wy wtedy, panie bracie, zasilajcie go waszą radą, a jeźli

da Bóg, stanie cokolwiek na nogach, może mu za jakie pięć, sześć lat, waszej Doroty nie odmówicie.

— Dalekie to jeszcze rzeczy — odpowiedział jej z wdzięcznym uśmiechem Kochanowski — i mnieby się zdawało niebezpieczna, zostawić tak pana Franciszka bez blizkiej podpory; gotówby paść i już się nie podnieść; ale tak uczynimy: powiedzieć mu że Ewa go niechce, bo poznała godniejszego; będzie mu to przykro, i wam słuchać takich uwag bolesna jest, lecz nie uraziwszy, nie ulecysz rany; wystawić mu przytem, że on póki takim będzie jak dziś, nigdy dobrej żony nie dostanie, chyba kupną, która nie nie warta; niech więc jedzie na jaki dwór pański, na przykład na dwór kanclerza, pod dozór brata Andrzeja, i tam niech się kształci. Wasza miłość zaś kiedy chcesz tak koniecznie zamknąć się w klasztorze, wypuścić w dzierżawę Policzną; oto pani Mikołajowa ma trzech synów: najstarszy Krzysztof na królewskim dworze jak wiecie; najmłodszy przy niej, ale średni Adam, co właśnie do domu powrócił, szuka zatrudnienia a obrotny chłopak. Możeby tedy jeszcze tego lata stało się waszej pobożnej woli zadosyć. I nasza Ludwisia bardzo już do klasztoru wzdycha; w domu, ma jednak równie jak i wy, przeszkody do nabożeństwa. Szesnaście lat na Nawiedzenie N. Panny skończy, pragnęłaby w ten dzień rozpocząć nowicyat, a my też z żoną dosyćbyśmy temu byli radzi, żeby na weselu siostry nie była. Czego znać nie ma, po co przed oczy jej stawiać? lubo dotychczas wszystkie przysmaki świata tego, nie ją nie wabia. Zaprawdę, równie jak w was, pani bratowo, łaska Boga w tem dziewczęciu, bo ta jej

świętość nie z ojca; z niegodnego rodzica święte dziecko się narodziło: wyszła róża z ciernia... Ślubowaliśmy ją do tego klasztoru, gdzie moja Hanna się wychowała; są to siostry łaskawe (Sorores Benignae), szlacheckiego rodu i nauczane; trudnią się dziećmi, kalekami i chorem: tam i święte wdowy przyjmują. Nie dałyżby się tak rzeczy ułożyć, żeby i wasza miłość do tego zawięła portu?...

Odpowiedź wdowy przerwało przybycie naszej Kochanowskiej. Zostawiwszy starsze córki i gości w ganku, szła sama do izby z wielką bojaźnią, niepewna nawet czy już przełamane pierwsze lody? Radość jej równa była zdziwieniu, gdy się dowiedziała, że wszystko ułatwione; ucałowała ręce i nogi pani Kasprowej. Przecież wśród tej radości, kiedy jeszcze schylona była u kolan świętej niewiasty, nagły jakiś smutek ją objął; błysnęła myśl i przeszła jakby strzałą jej serce: że to już nie żartem i nie długo córka jej się wymknie, że ją na zawsze z oczu straci, że ten Filip, co dziś tak doręcznym i porządnym zięciem się wydaje, i tak ogień się kocha, może później być złym i niewiernym mężem, a nieszczęśliwa Ewa nie będzie miała nikogo, żeby w łono jego wylać żal swój i męki. „Tuby zawsze mnie miała“ pomyślała sobie: i w ten moment, bo któż tajemnice serca macierzyńskiego odgadnie, możeby już była wolą wydać ją za pana Franciszka. Te wszystkie trwogi i żale uderzyły w jej serce, i gdyby się nie była wstydziła męża, pani bratowej i samej siebie, byłaby zapłakała gorzko.

Lecz nie było czasu na podobne myśli i na łzy.

Pani Kasprowa wyjść musiała do gości czekających w ganku; a choć bolesną i upokarzającą było rzeczą witać tych, co pozbawili jej syna spodziewanego szczęścia, przecież w chrześcijańskiej pokorze i w polskiej gościnności znalazła dosyć siły, żeby ich przyjąć mile, i zaprosić na śniadanie naprędce. Do nabożeństwa była jeszcze dobra godzina. Podłódowski i wychowanek jego, którzy z samej twarzy Kochanowskiego wyczytali pomyslny obrót sprawy, przesadzali się w okazywaniu względów dla gospodyni; a w chęci podobania jej się, zajadali smaczno i rozmawiali ochoczo. Sam też Kochanowski bywał zawsze dobrej myśli w Policzny; tyle rzeczy mu przypominała! Ukochana matka urodziła się w tym samym domu, i jej ta wieś była niegdyś dana w posagu; kościół murowany pod opieką św. Stanisława i św. Anny, założony był przez jej ojca Andrzeja Białaczewskiego, herbu Odrowąż, roku 1531; a dołożył się bardzo znacznie jak na owe czasy, Piotr ojciec jego; bo czterema tysiącami złp., co na dzisiejszą monetę wynosi 36 tysięcy złotych. Przy kościele, obyczajem dowodzącym wielką troskliwość dziedziców, i teść i zięć założyli szkołę.

— Dobrze ja tę szkołę pamiętam — wspomniał Kochanowski — a wychodząc z kościoła, muszę was do niej zaprowadzić, panie Rotmistrzu; nie masz tam ławy, nie masz kąteczka coby mi się nie dał we znaki; wójt brzeziniowy miał gęstą robotę z moją skórą; wszędzie i na każdym miejscu mnie bito; to rozciągano na pieńku, to nieraz przyszło uczyć się geometryi niekoniecznie wygodnym sposobem, to jest grzbietem mierzyć ziemię.

Bo wszyscy sześciu braci, ile nas było u rodziców, wszyscyśmy w tej szkole pierwsze nauki brali, a ja byłem psotnik całą gębą. Czy deszcz, czy pogoda, szliśmy codzień pieszko raniusieńko, po śniadaniu; w zimie, w baranich kożuszkach, w szłykach i w skórzniach; w lecie, w koszulach z szarego płótna krajką przepasani, w magierkach, najczęściej boso. Ależ mocny Boże! cóżto za wesoła droga bywała! Ani wiem gdzie zniknęły owe krzaki, owe kamyki, kwiaty, ptaki, motyle, co człowieka wtedy tak zajmowały i bałamuciły, że nieraz Kasper, zawsze najrozsądniejszy, spędzać nas musiał do gromady jak pies pasterski owce. Najprzód, przyszedłszy do szkoły słuchało się Mszy świętej, potem nauka a o południu już siedzieliśmy w domu u obiadu; i dalipan, wracając nie wałęsało się tyle co idąc, bo o kilka staj od Czarnolasu już pachniały barszcz z rurą albo kapusta z grzybami, a po tych przechadzkach, jak się to spało na gołej ziemi! lepiej niż dziś w puchu. Był w szkole Dominus stary, Kleofas się nazywał, czytać i pisać po łacinie i po polsku, i śpiewu kościelnego nas uczył; pamiętam go jak dzisiaj, siedział w szkółsku w czapce sukiennej na głowie, w ciżmach na nogach, w czarnej rewerendzie, bat u pasa, a przed nim leżały tablice kamienne, szyfer i gąbka do ścierania. Ale wnet sprowadził ojciec rektora zacnego i mądrego kapłana, który historii, logiki, poezji, i innych nauk nam udzielał. Był to ów ksiądz Maciej z Zalesia, o którym wspominałem wam wczoraj...

— A nie przyszło mi się też spytać o szanownego starca — przerwał Podlódowski — kiedyś był u was

ostatnim razem, odwiedzaliśmy go w Zwoleniu; jeszcze nam twoje dawne wiersze, Janie, dobywał a chwalił.

— Jakto, nie wiecie? umarł przed trzema laty — odpowiedziała Kochanowska, widząc że mąż się rozrzuwnił pamięcią dawnego nauczyciela.

— Umarł — powtórzył za nią ze smutkiem wdzięczny uczeń — i dotąd, nie wiem jak to zeszło; nie zebrałem się na położenie mu nadgrobka, a chcę żeby miał kamień obok rodziców moich. Nauczyciel pobożny i uczony, ojcem duchownym zwać się może; on z grubej gliny naczynie piękne, godne pańskiego stołu czynił. Księdzu Maciejowi dwa skarby życia mego winienem: niezachwianą wiarę i muzę moję. On wypiał ducha mego, oglądał go, pieścił, i poznał mnie gdzie pierw, nim ja sam siebie uznać umiałem...

— On wszystkie dziewczęta nasze wodą Chrztu św. oblał — odezwała się Kochanowska — prócz najmłodszej Orszulki.

— On mego Kaspra na drogę wieczności przygotował — westchnęła wdowa.

— On Ludwinę i mnie — dodała Ewa — katechizmu nauczył i pierwszy raz dał Komunię świętą.

— Panie! świeć nad jego duszą — szepnęła Ludwina składając pobożnie dłonie — a jakieżto były święte z nim rozmowy!...

— Bo to był ksiądz z owych zacnych i uczonych, na jakich prawemu kościołowi nigdy w naszej Polsce nie brakło — mówił dalej Kochanowski — mało znany, gdyż jak ty Jakóbie, o godności żadne się nie ubiegał, a niedawno też mamy takiego króla co sam zasłużył

nych szuka. Wyćwiczony w ~~naucze~~ wiary, nie samemi słowami, ale i przykładem pokonywał kacerzy. Kiedy tu osiadł, zagnieździły się były w okolicy religijne nowości; zacząwszy jak wiecie od najpierwszych panów, już balamucili i szarą szlachtę; pomieszkał czas jakiś, był wikarym w Zwoleniu, i już na całą parafią został jeden tylko kacerz Łukasz Gupolski; i ten w niedługim czasie do starej wiary wrócił, kształcił się przy nim, i dziś jest u mnie bakałarzem i przepisowaczem, gorliwy katolik, jak tego potrzeba. I mnie on, mogę to śmiało powiedzieć, utwierdził na zawsze w wierze. Zaprawdę miałem ja i mieliśmy wszyscy bracia zaszczerpioną pobożność w kolebce, wlaną z mlekiem. Wiele można jest na dzieciach przykład groźnego ojca, przed którym wszystko w domu drży, a tak działo się u nas, a który przecież sam korzy się przed Bogiem, kłeka przed Jego obrazem i wzywa Go na głos. Wiele także potrafią nauki matki, która bez ksiąg, bez pisma, ale przykładem, staraniem, kładzie w dzieci i jakby w żywą skrzynię pobożność i wiarę, a tak robiła nasza matka. Skoro jedno z nas cokolwiek rączyną władać umiało, rano i w wieczór znaczyła je krzyżem świętym, na pamiątkę tego, na którym Chrystus cierpiał; żadne smaku mięsa nie zaznało, dopóki za panią matką nie umiało powtórzyć wyraźnie całego pacierza. Ale, widziałem ja przecież wielu młodzieniaszków, również dobrze prowadzonych, którzy wszedłszy między ludzi zapominali tych bogobojnych nałogów; mnie zaś ani przebywanie tu i owdzie z różnowiercami, ani nawet bliska zażyłość z niektórymi, jako to: z naszym Modrzewskim, z Orze-

chowskim, i z tylą innemi nie zachwiała ani na chwilę, bom wszędzie i zawsze pamiętał na słowa księdza Macieja.

„Zaklinam cię Janie — powiedział on mi, kiedym już w świat się puszczał — zaklinam na miłość ukochanego ucznia Chrystusa, któremu podobne imie nosisz, strzeż się przez całe życie sprzeczek i rozpraw z kacerzami. Tobie Pan Bóg nie dał onego rzutnego spojrzenia, onej silnej wymowy, co to do razu postrzega, zwycięża; twoja wiara jest serdeczna, wierzysz bo kochasz. Zostaw Protaszewiczom, Solikowskim, powstającemu zakonowi Jezuitów, być młotem na odszczepieńców, ty bądź dla wszystkich przykładem. Niech każdy powie widząc pobożne a cnotliwe życie twoje: „Po co tu odmian i nowości, kiedy przy starej wierze prawym mężem być można.“

— I zawołanym poetą — dodał pan Podkoniuszy.

— Zapewne — odrzekł Kochanowski — jemu w części moje pieśni się należą, on sam biegły łacinnik, karmił mnie z młodu wybornemi ich poezjami; on mnie do pisania wierszy z dzieciństwa zachęcał; on i w braciach moich dar rymowania rozwinał. Mikołaj, co umarł dwa lata temu w Jasieńcu, układał bardzo piękne rotuły; namówiłem wdowę jego żeby je dała naszemu Andryszowiczowi do druku; drugi brat Andrzej co jest na dworze kanclerza Zamoyskiego tłumaczy wcale gładko; wziął się do Enejdy Wirgilego i udaje mu się nie najgorzej. A co trzeci najmłodszy, Piotr, ten kto wie czy mnie nie przejdzie; rozmiłował on się we Włoszech, i tam od kilku lat gości; rozmiłował się więcej jeszcze

w sławnym dzisiejszym włoskim poecie w Tassie; ale jakże on tego poetę żywcem w naszą polską mowę przelewa; przysłał mi niedawno dwie pieśni swojej Jerozolimy: dalipan, w niektórych miejscach wolę Polaka od Włocha...

— Jużto Kochanowscy powinni się pisać „z Parnasu“ — odezwał się tu z przyzwolitą skromnością Filip — bo już nawet lutnia u nich wybiera się iść po kądzieli. Wasza Orszulka jak dorośnie czemże będzie?

— Cudowne dziecko — podparł Podlódowski — nie podobnego jeszcze nie widział odkąd żyję na świecie; na wyjeździe złożyła nam naprędce prześliczne wierszyki..

— Nie przywieźliście jej dziś — powiedziała gospodyni z lekką wymówką do Kochanowskiej — ja tak ją kocham, żywy obraz mojej Jadwichny, którą Pan Bóg w jej wieku mi zabrał!..

— Owszem — odpowiedziała matka — jedzie z Nastką i z młodszymi dziewczętami drugim wozem; jam ze starszemi i z miłą bracią osobno przybyła. Pewno zajęchały progi przed kościół, podobno i na nas już czas.

— I wielki — rzekła pani Kasprowa — dzwonią po trzeci raz; alem nie śmiała zacnych gości wypraszać z domu.

Poszli wszyscy do kościoła, gdzie pleban czekał ze mszą śpiewaną i z kazaniem na kolatorkę, a tymczasem lud wiejski z Policzny, z Czarnolasu i z okolicznych wiosek zebrany i snujący się jak mrowisko, zalegał cmentarz, rozmawiał o siejbie, o zbyt wczesnej wiosnie, o zimnie jakiego należało się lada dzień obawiać, o oziminie jak się pokazuje, o domowych kłopotach lub po-

ciechach; dostało się i włodarzom i starostom, i sołtysom a nawet i samym dziedzicom; trochę pochwał i błogosławieństw, więcej nagan i skarg, bo świat był zawsze taki sam.

Jak rozmowy ludu tak i powierzchowność jego mało się różniła wtedy, od tego czasu czem dziś jest, zwłaszcza w równej odległości od miast stołecznych jak była Policzna i Czarnolas. Nasz chłop w owym XIX-tym wieku, tyle oświeconym i zbytkującym, tak mało zna i używa, iż trudno sobie wystawić, aby kiedy mógł znać i używać mniej. Owszem, kto wie, czy prócz chat kurnych wtedy niemal powszechnych, kto wie mówię, czy lud polski w XVI-tym wieku, od granic Tatarskich i Moskiewskich odległy, nie wyglądał lepiej niż dzisiejszy, czy nie był zamożniejszy i mniej się różniący od panów swoich? To pewna, że był ochędźniejszy i zdrowszy. Winni byli kmiotkowie te dobrodziejstwa dwom okolicznościom: najprzód, rzadszemu pijaństwu, gdyż gorzałka mało jeszcze gdzie była znana; szlachecka była rzecz wiele pić, chłopska wiele jeść; a panowie więcej dbający o sumienie niż o intratę, nie sadzali żydów po karczmach, nie rozpajali poddanych i tylko piwo lekkie przedawać kazali w gospodach; powtóre, kąpielom parowym; te były w powszechnem używaniu: każda wioska miała swoją łaźnię; parą, potami, chłostaniem się różgami, nacieraniem rozmaitem, pozbywali się wieśniacy nieczystości i chorób i rzecz jest dowiedziona przez uczonych lekarzy, że dopiero z początkiem XVII-go wieku, kiedy łaźnie zaczęły wychodzić z ogólnego zwy-

czaju, owa obydliva choroba ludu naszego, kołtun, zjawiała się w Polsce: dawniej wcale nie była znana.

Ale wracając się do Kochanowskich, skoro święta wdowa szanowana od wszystkich dla żaloby i pobożności swojej, ukazała się z gośćmi swemi, ucichła natychmiast gawiedź, zrobiono dla niej szerokie przejście, weszła do kościoła i klękała w małej ławce około ołtarza naprzeciw grobu jaki mężowi i tam wystawić kazała, a na którym Jan, następujący dał napis:

Kaspra Kochanowskiego tu schowano kości,
• Człowieka cnoty wielkiej i wielkiej godności.
Płaczcie ubogie wdowy i smętne sieroty,
Umarł ten, co na pieczy wasze miał kłopoty.

Do końca mszy, póki Pleban nie przyszedł jej podać patyny do pocałowania, klęczała jakby nieruchoma: życie i uczucie widać było po łzach, które niekiedy toczyły się jak perły po wybladłych licach. Goście jej zaś, zajęli dwie pierwsze ławki w samym kościele.

Wśród powszechnego nabożeństwa i oznaków jego w obecnej szlachcie, dobywaniem uapół szabli w czasie czytania Ewangelii, śpiewaniem łacińskich pieśni, w chłopstwie dotykaniem się prawą ręką obu policzków, biciem się w piersi, leżeniem nakrzyż, nie psuła ogólnego obrazu pani Czarnoleska z córkami. Wszystkie skromno i chędogo ubrane klęczały rzędem; trzy starsze modliły się na książkach, Ewa i Dorota na polskich, jedna na Godzinkach o Chrystusowym krzyżu, druga na Psalterzu Dawida przekładu ojca, a Ludwina na łacińskiej, bo jako przeznaczona do duchownego stanu, biegłęjsza była w tym języku od sióstr i od matki. Trzy młodsze miały w rękach

różance, roboty przyszłej Chrystusowej oblubienicy, a spuszczając po ziarnku odmawiały także paciorek ze czcią i z uwagą. Może ich słowa nie były zupełnie wyraźne; rozumiał je przecież Bóg, który na serce i na chęci patrzy. Alboż to i nas starszych zrozumiałe są zawsze modlitwy? Wiemyż my sami często o co gorąco prosimy? Lecz Ten, który wie lepiej od nas czego potrzebujemy, umie to wybrać i dać co z naszym jest dobrem, jeżeli przedewszystkiem i szczerze chwały Jego i woli pragniemy.

VIII.

Zona ucziwa ozdoba mężowi
I najpewniejsza podpora domowi;
Na niej rząd wszystek, swego męża ona,

Głowy korona.

Ona mężowym kłopotom zabiega
I jego wczasu na wszystkim przestrzega;
Ona wywabić troskę umie z głowy

Słodkiemi słowy...

— *Ks. I. pieśń I.*

Po skończonem nabożeństwie w Policzny, dziedzice i goście Czarnolescy pożegnali zacną wdowę i wzięli się do powrotu. Dwaj przyjaciele bez wielu słów rozmówili się, i Podłodowski przekonał się z najwyższą radością, że jedyna przeszkoda do spełnienia jego życzeń już całkiem usunięta. Mniej jeszcze czasu potrzebowali kochankowie do zupełnego porozumienia się, lubo ich sprawa była zawilszą, gdyż nie zdawała się wcale rozpoczętą. Dotąd nie mówili nigdy z sobą sam-na-sam, rozmawiali głośno o obojętnych rzeczach, dalecy byli od wszelkich układów, a przecież to szło o nich, i rzecz była dosyć wielkiej wagi, godna roztrząsania. Lecz któż nie wie, że między dwoma sercami, które Bóg rozpołowiwszy do czasu, na to stworzył, żeby się kiedyś ześły i jednym się stały; między prawdziwemi Bog-da-

nami, skoro im porozumieć się wolno, zachodzi odrazu jakaś zgodność, jakaś jakby odnowiona znajomość; któż nie wie, że dla zakochanych wzajemnie, jedno wejście, pół słowa więcej powie, niż długie innych wywody i rozmowy? Już idąc do kościoła, pan Rotmistrz zachęcony łaskawym żarciem Kochanowskiego, chociaż wszyscy szli razem i droga nie była daleka, znalazł porę i chwilę ofiarowania swojej dozgonnej przyjaźni pannie Ewie, wyrażenia srogiej bojaźni czy przyjętą będzie dobrowolnie? i niepojętego szczęścia, gdy poznał, że odrzucenia nie dozna. Nierównie dłuższego czasu i daleko więcej słów potrzebowała niewinna Ludwina, której matka i siostra, skoro wszystkie trzy wsiadały znowu do powozu, udzieliły całej tajemnicy. Nie chciało jej się to wcale pomieścić w głowie, żeby rzecz podobna mogła się zrobić tak nagle, i szczerze się rozpląkała nad myślą, że Ewa pojedzie tak daleko z obcym i młodym mężczyzną!

— O! jakże mi ciebie żal, siostro — powiedziała — ileż niepewności, niebezpieczeństwa w twoim losie! — a w sobie samej dodała z pokorą: Wielki Boże! zkażże mnie ta łaska Twoja, żeś mi odrazu port zbawienny ukazał i dał za oblubieńca samego siebie?

Przyjechawszy do Czarnolasu, zebrali się rodzice w pokoju Kochanowskiego, i tam przy czułych i radośnych uściśnieniach ułożyli, że skoro pan Podkoniuszy z Grodna wrócić zdąży, odbędą się uroczyste zaręczyny Ewy i Filipa; potem jaknajrychlej wesele, a w tydzień po weselu przenosiny do Studzienicy. Jutro zaś rano pojedą do Baryczy, do stryja Dobiesława po błogosławieństwo. Pan Dobiesław był najstarszy z żyjących Ko-

chanowskich; w owym czasie, kiedy powaga wieku więcej jeszcze znaczyła niż dziś, kiedy „młodzi powstawali przed siwą głową“, każdemu noszącemu to imię, zdawało się że on jego ojcem; i nie ważnego nie zaśzło w całą rodzinie bez jego wiadomości.

Po obiedzie wesoło i smaczno spożytym, nazjeżdżało się wiele osób z sąsiedztwa. Tak zwykle bywało w Czarnolesie co niedziela i co święto, zwłaszcza kiedy już piękniejsza pora i dnie dłuższe nastawać zaczęły. Bo trzeba o tem wiedzieć, Kochanowscy byli wzorem i światłem całej okolicy; nie nie przesadziła Nastka w opowiadaniu swoim w tej mierze. I może nie zawadzi przypatrzyć się im zbliżka, przypatrzyć się jakby na własne oczy, choćbyśmy też dojrzeć mieli nie nowych i już napomknionych rzeczy.

Przodkowie Jana z dawnego rzymskiego rodu Korwinów, zagnieżdżeni w Polsce od niepamiętnych czasów, kiedy inne gałęzie tego szczepu wyrastały bujnie i wysoko, trzymali się mierności, i zaślęnieli jedynie w swoim powiecie, a to najwięcej bogobojnością, zamiłowaniem enót domowych i pokoju, wstrętem do chciwości i dumy. Zawsze liczni a zgodni między sobą, od zajścia z sąsiadem, od sporów prawnych i przysiąg dalecy, do pojednań i przysług skłonni, słowem kochający i kochani, zasłużyli sobie na piękny Kochanowskich przydomek. Ale ponieważ ciche enoty, cichą tylko sławę za sobą niosą, lubo z początkiem XVI-go wieku kilkanaście wiosek było w ich imieniu, mało kto o nich wiedział, i dopiero Jan zajaśniał jak gwiazda między ludźmi. Matka, brat, nauczyciel odgadli w dziecięciu przy-

szłego męża, nie szczędzili starań i kosztów, i stało się, jak wiemy, ich szlachetnej chęci zadosyć.

Lecz ów Jan używszy świata i ponęt jego, syt podróży, zabaw, powodzeń, urzędów, zaszczytów, syt nawet miłostek, w najpiękniejszej dobie męskiego wieku zapragnął pokoju, żony i wioski. W skromnem zaciszu oddał się związkom i uczuciom rodzinnym, rolnictwu, przyjaźni: ale dlatego książki i pióra nie zaległ, ani obywatelem być przestał; owszem, umiał spoić w jedno to kilkostronne męczyzny powołanie i żywot jego nadobną harmonią zabrzmiał. Troskliwszego męża, ojca i pana, uprzejmiejszego sąsiada, lepszego gospodarza, miłośnika większego nauk, troskliwszego syna o dobro ojczyzny, a to nawet w rzeczach mniejszej wagi, z trudnościaby kto znalazł. I kto wie, czy Kochanowski nie jest winien owej nieprzeżytej, tak polskiej i popularnej sławy swojej, temu szczęśliwemu a rzadkiemu spojeniu, które przecież jest w mocy niejednego u nas.

Nie każdy zapewne dostał jak on dar pisania pięknych wierszy, ale czyż każdy polski ziemianin nie mógłby jak on ozdobić wiejskiego zacisza swojego enotą i nauką, a przytem pracować nad dobrem ojczyzny? Kochanowskiego życie pełniejsze było, użyteczniejsze i więcej ożywione w skromnym Czarnolesie, niż niegdyś za granicą u dworu. Dzień, który dla niego wcześniej się zaczynał, a nieraz późno się kończył, gdyż często nie dospał dla pisania, wiedząc że nie będą

. jego czułe nocy bez zapłaty;
A co mu za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy!

dzień, mówię, który większą część naszej szlachty nie wie jak zapelnąć i zabić; jemu, ledwie wystarczał na wszystkie zatrudnienia; on sam prowadził całe gospodarstwo rolne i zewnętrzne, prostego włodarza mając tylko do pomocy; on był doradcą i przewodnikiem żony, córek największą mądrością. Łukasz Gupolski nauczył je wprawdzie czytać i pisać po łacinie, ale nie więcej; z rzeczy wyższych to jedynie umiały co on im powiedział, te znały księgi, które albo sam napisał, albo z niemi czytał. Niekiedy w poobiednie godziny wołał starsze do swego pokoju. Tam mówił im o tem, co na szerokim świecie się dzieje, a najwięcej o tem, co w kraju; trzymali się bowiem ojcowie owego patryarchalnego zwyczaju opowiadania dzieciom, co wiedzieli sami z dziejów ojczystych, aby i one według słów króla Proroka, oznajmiły je synom swoim, i wiedział o nich rodzaj drugi*). Utrzymywał także obszerne związki listowne z dawnymi przyjaciółmi, szczególnie z Fogelwerderem, z bratankiem Krzysztofem, co był na dworze królewskim; z bratem Andrzejem, który bawił przy Zamoyskim; z bratem Piotrem, przebywającym od lat kilku we Włoszech; a kiedy teraz w tym oświeconym wieku nie jeden majątny i bez zatrudnienia szlachcic żałuje kilkunastu złotych, żeby mieć podobny skarb na własność, kiedy się leni wyprawić posłańca o pół mili do pocztowej stacyi; Kochanowski przy szczupłym swoim mieniu i przy innych pracach, niemal co tydzień wysyłał umyślnego z własnoręcznemi listami coraz w inną stronę Polski,

* Ps. 78. 5, 6.

mianowicie tam gdzie król bawił z dworem, gdzie sejm się zebrał, gdzie ważną sądzono sprawę. Poczta bowiem, jeszcze za panowania Zygmunta Augusta od Włochów Montelupich utrzymywana, była prawie wyłącznie rządowa i królewska; za granicą znała tylko jeden gościniec: z Krakowa do Wenecyi; w kraju z Krakowa do miejsca, gdzie król przebewał; po drodze zaś nigdzie się nie zatrzymywała, żeby prywatne przyjmować lub oddawać listy. Niedosyć na tem, Kochanowski inne jeszcze zadawał sobie prace, inne podejmował zachody i koszty, a w tem naśladował co widział u starego hetmana Tarnowskiego, i u tylu innych zacnych Polaków.

Naród, który sam o sobie stanowił, który od sejmu do sejmu, od elekcyi do elekcyi przyszłość sobie sam zakreślał, potrzebował mieć nieustannie pod ręką wierny obraz własnych dziejów. Drukowane księgi, aczkolwiek już więcej niż od wieku druk był wynaleziony i za owych czasów więcej było drukarni w Polsce niż dziś, drukowane księgi nie przychodziły mu bardzo w pomoc. Kroniki nasze z małym wyjątkiem ukazywały się opodal od chwili obecnej; Polak odważny w boju, zuchwały na obradach publicznych, zawsze był drażliwym na głos historyi własnej, wszystkie śmielsze dzieła zostawały w rękopismach. Naród sejmami stojący nie miał publicznych dyaryuszów. Wszystko to więc zastąpić należało domową skrętnością. I lubo niestety! teraz nie należymy do tych ludów, co najwięcej skarbów historycznych liczą, śmiało powiedzieć można, iż w żadnym kraju większej nie okazywano troskliwości na zachowanie pamięci spraw narodowych. Każda znakomitsza rodzina staropolska, na

wzór klasztorów, które mają księgi gdzie spisują z kolei dzieje swoje pod tytułem: *Historia domestica*, utrzymywała także domowe akta historyczne, gdzie syn po ojcu zapisywał, to osobiste przygody, to sejmowe, sejmikowe i trybunałskie wypadki, to szykował w rosnących plikach mnogie polityczne korespondencje monarchów zagranicznych, królów polskich, senatorów, ministrów, relacje wypraw wojennych, poselstw...

Kochanowskiego zbiory należały do najbogatszych; wszystkie cztery ściany jego pokoju zastawione były od góry do dołu półkami w przegrody, z których każda oddzielny w sobie skarb kryła. Żadna ważniejsza publiczna przygoda ujść jego wiadomości nie mogła; prawie każdą ośpiewać musiał, niefortunną oplakał, pomyślniej dodał chluby, a kiedy tego trzeba było, odzywał się głosem przestrogi i prawdy, rzucał nawet błogie ustronie swoje, żeby osobiście w zgiełku obradującej szlachty przemówić. Znaczniejsze prywatne zdarzenia, również wiadomości jego nie uchodziły; znać mu o nich dawano z całej Polski; żał po stracie rodzica, towarzyszek, lub syna zdawał się mniej dotkliwy sierocie, mężowi, ojcu, szczęście w zawieraniem małżeństwie pewniejsze, chwala z odniesionego zwycięstwa na wojnie większa, kiedy śpiewak z Czarnolasu nastroił złotą lutnię swoją i rozgłosił po kraju smutek, wesele czy tryumf. Zajmowało także mocno Kochanowskiego, cokolwiek się w Rzeczypospolitej nauk, jakby w tem jego państwie działo. O wszystkich tych szczegółach dowiadywał się nietylko z odbieranych listów, ale i z ust ówczesnych pisarzy, którzy mając go za pierwszego polskiego poety, odwie-

dzali go chętnie czasem w licznych zebraniach. Na przyjmowaniu tych gości i sąsiadów, na innych obowiązkach niemało czasu mu schodziło. W każdym położeniu są takie zabawy i trudności, iż człowiek swej wolności użyć nie może, i często ludzkim niewolnikiem być musi; on też dlatego opatrzył sobie ów kącik osobny, ów pokój prawdziwy, i rzadkim był dzień, żeby tam na czas jakiś się nie schronił, nie zamknął się sam w sobie; a w świat inny, w świat lepszy się przenosząc, nie spędził kilku godzin w owej błogiej strefie, która poeta łagodny i pobożny stwarzać w około siebie umie. Najczęściej nawet jego pracę modlitwą nazwać należało; od czasu jak mężem i ojcem został, zaprzestał zupełnie płochych i rubasznych fraszek; psalterz tłómaczył, pobożne pieśni składał. Kiedy też żona przysłała zakolać do drzwi i zaprosić go do stołu, lub donieść o jakiej domowej okoliczności, o przyjeździe posłańca czy gościa, on szedł natychmiast bez przymusu i gniewu, i wnet jego giętki i układay umysł, który do wszystkiego i do każdego sposobu się umiał, brał czynny udział w potocznym życiu, jak gdyby nie bujał gdzieś wyżej.

Żonie atoli jednej wolno było przyjść pod drzwi owego pokoju; nawet Orszulka nie považała się dotąd pójść ani razu na górę; żona wiedząc ile drogie i miłe są mężowi owe samotne chwile, ułatwiała za niego póki mogła różne sprawy; i wiedział on dobrze, iż jego Hanna nie zakolące do niego, chyba w rzetelnej potrzebie, nigdy dla widzimisie ani dla własnej przyjemności.

Bo też Bóg łaskaw na Kochanowskiego, wypełniając nad nim błogosławieństwo macierzyńskie, opatrzył go.

owym prawdziwym a rzadkim skarbem: dobrą, wierną, roztropną, rządzoną towarzyszką.

Hanna Dorota Podlowska tak nieszczęśliwie straciwszy matkę w pierwszym dzieciństwie swoim, wychowana była jak wiemy w klasztorze; i gdyby nie traf, który Kasprowi Kochanowskiemu przypomniał jej imię wtedy, kiedy doradzał bratu ożenie się, byłaby najpewniej została zakonnicą. Trwożył ją bowiem ten świat gdzie nie miała rodziców, z którego pamiętała tylko zamieszanie, tułactwo, żalobę; i sam brat, jedyny jej opiekun i blizki krewny, jakkolwiek go kochała, rycerz zawsze zbrojny i do boju gotowy, wzbudzał w niej pewną obawę. Nie miała przecież powołania do duchownego stanu, stworzoną była na żonę i na matkę. Żywa i wesoła, owego świata, który ją trwożył strasznie, była ciekawa i myślała o nim nieustannie; nieraz klęcząc przed obrazem Matki Najświętszej, zapominała naznaczonych pacierzy dla wpatrywania się z boleścią w Boskie Dzieciątko, i coś w niej mówiło: „I jabym dzieciątko piastować, rada“. Kiedy więc właśnie w porze gdy lat ośmnaście skończyła, brat do kraty klasztornej ją wywołał i spytał jej się: czyby nie miała wstępu do małżeństwa? zarumieniła się i rozśmiała w miejscu odpowiedzi; a gdy jej oświadczył jaki mąż jej się trafia, ona bez wahania się przystała na oddanie mu ręki. Gdy zobaczyła Kochanowskiego, nie pożałowała prędkiego namysłu. Miał on wprawdzie lat prawie drugie tyle co ona, nie był wcale tak piękny jak Podlowski, a życie może zbyt wesołe, przerzedziło włosy przed wiekiem, ale był przyjemny, a co wiele zawsze znaczyło w nie-

wieściach oczach, był sławny, okrzesany, dowcipny, rozmowny. Obyczajem owych czasów, w tydzień po poznaniu swojego bogdana, już była jego żoną, a na drugi tydzień panią w Czarnolesie. Złączona z mężem tyła węzłami, nowe, inne zupełnie życie rozpoczynając, pokochała dozgonnego przyjaciela całym sercem, wszystką myślą swoją. Przez niego prowadzona, oświecana, w świecie zupełnie jej obcym, uważała go za pana i mistrza, za prawdziwego „wodza młodości swojej“. Przyjsię z blizka cnotom jego, wziętości, widząc jak cząstka tego ludzkiego szacunku i na nią spływa, pojąć często nie mogła, za jakie zasługi Bóg miłosierny takim szczęściem obdarzyć ją raczył. Łzy pokory roniąc, modliła się gorąco żeby jej dopomógł do stania się godną tej łaski; i temu staraniu poświęciła życie, przyjmując cierpliwie, że nie powiem radośnie, wszelkie przykrości nieodłączne od powołania niewiasty.

Bo wtenczas kobiety mniej uczone, mniej oglądzone i wykwiłtne, może mniej powabne i zajmujące od dzisiejszych, więcej z najważniejszą umiejętnością z nauką życia i szczęścia obeznane były; i sprawdzało się na nich owo dawne przysłowie: „Nie kto co siła umie, ale kto co potrzeba, mądry“. Rzetelnie pobożnym i rozsądnym nie przyszło nigdy do głowy, żeby kto mógł być na tej ziemi zupełnie szczęśliwym. Podległość, bole, troski, trudy, prace, na które dziś weszło w zwyczaj gorzko i ostro narzekać, w ich oczach prostowidzących, należały do powołania kobiety, żony, matki, gospodyni, jak cień należały do światła, starość do wieku; zniesienie ich męzne, osładzanie cierpliwością i swobodą

umysłu, rachowały do koniecznych obowiązków tego stanu. Kochanowska byłaby posądziła o niewczesne żarty tego, coby się poważyl utyskiwać nad nią, lub dziwić się, że ona męża słuchać musi, że do spraw rządowych nie jest wzywana ani przypuszczana, że „nie jest poselkiną na sejm, wojsku nie hetmani“ *), że w zamian dzieci rodzi, a zatem cierpi i choruje; albo ktoby ją żałował, że karmiąc sama nocy nie dosypia, że trudniąc się córkami, gospodarstwem, rano wstawać musi, pracować, doglądać czeladzi, nieraz zmartwić się lub rozgniewać: że wreszcie prostą będąc szlachecianką nie używa tego, czego używają żony panów, niema takiego zamku ani dworu jak pani Firlejowa w Janowcu, albo pani kanclerzyna Zamoyska w Knyszynie.

Tak miesiąc była sobie swobodną, wesolą, szczęśliwą, nie, żeby w jej losie żadnych przykrości nie było, ale że je znosić umiała. Zapewne Kochanowski w utworze, w układzie pism swoich nie radził jej się, ani z nią rozbierał sposobów poprawy Rzeczypospolitej, ani też rozprawiał o wysokich naukach, o teologii, filozofii, nie, tego nie było, i podobno obeszło się: mężczyźnie uczonemu, pracującemu umysłem miłą jest zapewne żona, która go rozumie, ale milszą jeszcze i potrzebniejszą ta, przy której wypocząć może; ta, która wszystkie trudy potocznego, poziomego życia bierze na siebie, żeby ona swobodniej i bezpieczniej mógł się wznosić gdzieś wyżej.

Nie było jednak bez tego, żeby Kochanowska nie wiedziała o tem, co mąż pisze, żeby jej nie przeczytał

*) Łukasz Górnicki w Dworzaninie.

jakiej pieśni nowo ułożonej; psalmy zwłaszcza, które w wyższej myśli i z taką pracą przekładał, powtarzał przed nią i przed córkami skoro który wykończył, i były w ustach córek i całego domu, co więcej sam przyznawał, że zyskuje przy niej, że ona najlepiej w to radzi, iż

Sajdakiem uzbrojone dziecko,

Z macierzystych gałązek jemu wieniec plecie;

nieraz bowiem z jej opowiadania, z pieśni nabożnych i świeckich, które przy robocie śpiewała, uchwycił wyraz, obrot i tok słów, myśl nawet, bogacił tą zdobyczą wiersze swoje; a potem świat się dziwił skąd czerpie nowych ozdób, z kąd dobiera nadobnych i trafnych wyrażen? i jakim cudem pod jego piórem poezya polska tak długo gruba i nieokrzesa, godna się staje obok greckiej i łacińskiej stanąć?

Gdzie rodzice podobni są do obojga Kochanowskich, tam już prawie potrzeby niema pytać się o dzieci, choćby też ich i najwięcej było. „Jakie drzewo, takie owoce“. Bez wielkiego mozółu, jedynie ciągłym dozorem, dobrym przykładem, wpojeniem od pieluch posłuszeństwa i zamiłowania pracy, dobra matka prowadziła gromadkę swoją, jak biegły i troskliwy pasterz trzodę swoją gromadzi. Bojaźń Boska i bojaźń ojca, owego obrazu Boga na ziemi, całą były jej sztuką. Te proste słowa: „Pan Bóg na nas patrzy“, „Ojciec się dowie“ były prawie zawsze dostatecznym hamulcem od złego dla starszych, a z małemi, które jeszcze prawd moralnych nie rozumieją, a są najczęściej harde, uparte, kłamliwe, obcho-

dzono się też wtedy powszechnie bez dzisiejszych wytworności:

Rózczką dziateczki Duch Święty bić radzi,
Rózczka hynajmniej zdrowiu nie zawadzi i t. d.

Tej piosnki, choć podobno nieco później objętej rytmem, wszystkie matki się trzymały w najwyższych i najniższych stanach? a to równie bez złości, gniewu i uniesienia, jak bez spazmów i płaczów serdecznych. W dzieciach, ani póki dziećmi były, ani gdy wyrosły, nie powstawał z tej przyczyny żaden żal do rodziców. Plagi należały się tak młodym, jak rany i cięcia mężczyznom, boleści rodzenia białym głowom; uważane za rzecz konieczną i zbawienną nie martwiły ani obruszały nikogo. Wszak Kazimierz Jagiellończyk mawiał: „żadna muzyka nie jest miłsza uszom moim, jak kiedy słyszę chłostanie synów.“ Nie mówił tego z żadnej skłonności do okrucieństwa, bo był to król dobry jak cały ród Jagiellów, ale mówił tak, gdyż go cieszyło, że mistrze wybrani do prowadzenia królewiczów, nie pieszczą ich ani im folgują, i wykształcą ich nie tylko na książąt, ale na ludzi. Bo rzecz uwagi godna, że w owych czasach plagi nie poniżały, nie bydlęciły, że tak wyrazić się poważę; owszem, zdaje się dodawały hartu młodej duszy i przyzwyczajenia śmiałości. Nie wiem jak się to działo, ale każdy przyznać musi, że z pod tego bicia nie wychodzili podli i ślepo posłuszni niewolnicy.

Żadne dzieci najwięcej cackane, głaskane, naizw. nie pełniejszą wolność mające, podług najmędrszych przeczytań nowszych ksiąg prowadzone, nie mogą mieć rzadziej czci i miłości dla rodziców, od tej, jaką

dzieweczki Czarnoleskie; i żadne, choćby na łonie zbytku, wśród hucznych i wyszukanych zabaw, w jedwabiu i w złocie chowane, nie mogły być od nich weselsze, swobodniejsze, zdrowsze i szczęśliwsze. Była w prostym i surowym wychowaniu dawniejszem, korzyść wielka dla samychże dzieci; wszystko dla nich było wyborne i wszystko je bawiło; wcześniej i lepiej poznawały i pamiętały co złe a co dobre, co im wolno, czego nie wolno: ztąd postępowały rażniejszym i pewniejszym krokiem.

Najmniejsze dziecko, jeżeli tęgie plagi za jaką winę weźmie, nie dopuści jej się drugi raz, bo pamięta karę; po lekkim, choćby też częstem łajaniu, albo kiedy dziś za jedną rzecz jest napominane, a jutro mu ją przepuszczą, wraca się do niej, gdyż się zapomina albo nie dba; i wiecznie jest strofowane. Również przy dzisiejszej chęci niektórych matek, żeby ich dzieci były doskonałe, i przy ważności jaką im nadają w wielu domach, otacza je zbytnia troskliwość, która je nudzi, psuje i do rozwinięcia ich natury przeszkadza. W Czarnolesie nie było żadnej przesady, wszystko szło z prosta. Dziecię każde poczytywano za błogosławieństwo, ale żadna z dziewcząt nie wystawiała sobie, że jest jakąś ważną osobą; a wiedząc, iż rodzicom winna życie i wychowanie, raczej uważała siebie jako stworzoną dla posługi i pociechy rodziców, niżli rodziców stworzonych dla siebie. Każda ze starszych wiedziała też dobrze, iż zawsze wnet czas, kiedy ich porzuci, kiedy jak gałązka z małym zbiny od pnia odłączona, sama w drzewo mieja, a ona będzie musiała; śpieszyła się tedy z oka-

zaniem wdzięcznej miłości matce i ojcu, pragnąc za tyle łask odebranych oddać choć trochę.

Z tem przekonaniem i w tych uczuciach wzrosła i rozwinęła się Ewa; Ludwina znająca od kolebki przeznaczenie swoje i godna jego, poszła jeszcze wyżej; a za ich przykładem, jakto zwykle bywa, za starszemi siostrami rosły, rozwijały się i dążyły młodsze. Nie powstało w głowie ani ich ojca ani matki układać mądre plany ich wychowania, albo troskać się o ich umiejętność i talenta. Ów kłopot dzisiejszych rodziców, ów robak dzień i noc je gryzący, ówczesnem zupełnie był nie znany. Skoro dziewczę miało matkę, już rzecz była skończona. Edukacya, pensye, guwernantki, instytutu nawet z nazwiska znane nie były; język nasz nie miał tych wyrazów; sieroty albo panienki przeznaczone do duchownego stanu, oddawano do klasztorów, czasem zaraz z dzieciństwa, częściej później, jakto naprzykład Ludwinę; były także po dworach królowych i pań bogatych córki szlacheckie, najczęściej ubogie, pod dozorem poważnej mistrzyni; ale były to już panny odchowane, dorosłe, które po kilku leciech wydawano zamaż, dawszy im posag jaki taki; o mężów też daleko było łatwiej niż teraz, bo niemal wszyscy mężczyźni się ženili.

Nie była tedy kłopotem żadnym dla naszej Kochanowskiej, ani edukacya, ani przyszłość jej sześciu córek. Ona nawet, w dzisiejszem rzeczy rozumieniu, nie uczyła je niczego sama; i w tej mierze przyznać trzeba: ówczesne matki daleko mniej miały pracy od dzisiejszych, które często podejmują ciężar nad siły swoje, i dźwi-

gają go z własną i dzieci szkoda. W każdym szlacheckim domu, gdzie rodzice chcieli, żeby ich dziatki coś umiały, był i bakałarz, który je czytać, pisać, rachować i łaciny uczył, nauki wiary zaś nikt tknąć się nie ważył, prócz duchownych. To samo było i w Czarnolesie; ksiądz Maciej wyuczył dziewczęta tego, co głównem jest w katechizmie, i to w krótkich słowach, bo wtedy kobiety nie rozumowały o wierze, tylko wierzyły, a pan Łukasz wziął inne rzeczy na siebie. Kochanowska na swoje nauki nie miała godzin, i nie dawała żadnych, jak dziś zowiemy, lekcyi. Nauczyła pacierza każdą z córek, zresztą miała je zawsze przy sobie; a głównem staraniem jej było, żeby od chwili, kiedy dziewczę już sposobne do jakiegobądź zatrudnienia, żeby coś robiło zgodnego z wiekiem swoim i z siłami. W prostem wiejskiem życiu dla trzech, cztero-letnich już łatwo było o takowe zajęcie; postępując tak ciągle, z każdym rokiem coraz trudniejsze i cięższe zadawała im roboty, żądając zawsze rachunku z nich, i kończyło się na tem, że Ewa i Ludwina nie ucząc się formalnie, już to samo umiały i robiły co matka, i we wszystkim pomocą i wyręceniem jej były.

Lecz z czegoż to się składała owa ich umiejętność? Oto umieć chodzić koło nabrału, koło drobiu, koło przędziwa, koło ogrodu; umieć pięknie prać chusty, szyć w rękę i w krosnach; znać sekretów lekarskich, i przy-smaków kuchennych, i aptecznych jaknajwięcej. Wtedy prace ręczne i gospodarskie były powszechnem kobiet zatrudnieniem, zaczawszy od królowej Anny, skończywszy na najprostszej szlachejce; mało kiedy zajmo-

wały się piórem albo książką. Wreszcie, jakże to wówczas inaczej wyglądało czytanie jak teraz! Nie można było położyć się niedbale i wziąć się do niego z lenistwa, z próżniactwa. Należało zasiąść przed stołem, księgę położyć przed sobą na pulpicie i czytać z całym przyłożeniem uwagi, nie oczami tylko, ale najczęściej głośno po słowie. Wtedy, tak niedawno po wynalezieniu druku, nie było lekkich książek ani treścią ani wydaniem; z arkuszowej gockim drukiem, poważnego stylu, czytało się potrochu, jakby na lekarstwo; i gdyby kto był powiedział Kochanowskiej i jej córkom, że są kobiety co się nie znają ani na kuchni ani na gospodarstwie, co praść i szyć nie umieją, tylko cały dzień czytają i piszą, byłyby się więcej zdziwiły i zgorszyły niż my dziś, gdyby nam kto powiedział, że jakaś osoba wysokiego rodu i majątku czytać i pisać nie umie. Ale też tamtę i dzisiejszą porę lat blisko trzysta przedziela! Ciekawa rzecz co będzie za drugie trzy wieki? Mnie coś mile do ucha szepce, że i pół wieku nie upłynie, a udoskonalone kobiety nauczą się łączyć prostotę i pracowitość dawną z dzisiejszą oświatą; i znowu dziwić się i gorszyć będą, jak mogły być jedne tak niebaczne, co nie chciały łączyć zalet niewieścich z korzyściami, jakie postęp wieku przynieść koniecznie musiał; a drugie tak ciemne, co dla cząstkowych nadużyć potępić były gotowe wszelkie światło, i do dawnej już niepodobnej wrócić niewiadomości?

Ala ja wpadłszy na ulubiony sobie przedmiot, zapomniałam zupełnie o gościach Czarnoleskich. Czas do nich powrócić.

IX.

Ale wczas wiedźcie, że nie dzierzę z temi,
Którzy przyjaciół szukają pełnemi.

I 26.

Goście zebrani w dniu tym w Czarnolesie, byli wszyscy blizy sąsiedzi Kochanowskiego, a po większej części i krewni; równi jemu urodzeniem, może i wyżsi majątkiem, nie dochodzili go daleko wychowaniem, ogładą i nauką. Jednak lubo z jego poezyi najlepiej rozumieli i cenili Fraszki, lubo o nich to on myślał, kiedy pisał: że „prożen słuchaczy gra za płotem“ oni szanowali w nim wyższego człowieka i z równą chęcią i uszanowaniem wchodzili na jego niskie progi, jakby na najwyższe.

Owej Niedzieli jeszcze z większą niż kiedy pospieszyli ochotą, jakby pszczoły na kwitnącą tatarkę; różne ważne publiczne wieści krążyły w powiecie; obaczywszy więc pana Wojskiego w parafialnym kościele z panem Podkoniuszym królewskim, osądzili, iż niezawodnie dowiedzą się od niego prawdy, i że więcej jeszcze im udzieli nowin niż zwykle.

Dla całego swego sąsiedztwa, Kochanowski był chodzącym dyaryuszem spraw krajowych, gdyż nikt w okolicy nie miał tyle stosunków z dworem królewskim, z kanclerzem i z innymi panami rad; nikt tyle o wia-

domości się nie starał. Nie tajno tedy było nikomu, iż on wie wszystko najpierwej i najrzetelniej; a że ludzie niczego chętniej nie udzielają drugim jak nowin, wiedziano o nim i to, iż je rad rozpowiada, nie ukrywając przytem własnego zdania o rzeczach. Jakkolwiek wszystkie te względy pomnażały szacunek sąsiadów dla pana Wojskiego, nie można przecież przyznać, aby on był kompasem, podług którego nastawiano polityczne zegary w całym powiecie. Nie, trudna zawsze była sprawa z naszą polską szlachtą, i z niej urosło to przysłowie: „Co głowa, to rozum“. Mimo tedy wysokiego szacunku dla Kochanowskiego, mało w czem z nim się zgadzali. On uczeń starego Modrzewskiego, owego praojca Leszczyńskich, Konarskich, Kollatajów, zwolennik i wielbiiciel króla Stefana i Zamoyskiego, chciał poprawy Rzeczypospolitej, chciał silnej najwyższej władzy, porządku w elekcyach, stałych podatków i żołnierza; wołał na uciemiężenie kmiotków i mieszczan, na nadużycia panów i szlachty, złorzeczył owej wolności co tak często w swawolę się obracając niewolą groziła: nie mógł przeto znaleźć potakiwania u tych, dla których te wszystkie nadużycia były najdroższym przywilejem, którzy mówili, a raczej w nieszczęsnej godzinie bluźnili: „Lepiej aby nieprzyjaciół trzykroć Rzeczpospolitą przeszedł i zwojował ją; niżliby się co z praw naszych wykroczyć miało“. Lecz dla tej samej różności zdań, zjazdu w Czarnolesie były zajmujące: wyższe wychowanie gospodarza, znajomość świata, cześć jaką wzbudzał, oddalały nieprzyzwolite kłótnie i krwawe zatargi, gdzieindziej dosyć pospolite,

zachowując tylko sporom i rozprawom iskierkę owego ognia, który podochoceniem rozmowy nazwać się może.

Nie mogło też i braknąć wątku do gadania ludziom, co chętnie rzeczami publicznymi się zaprzęтали, tak przez przywiązanie do kraju, jako i z powodu owej wolności i sposobności, jaką miał każdy do ganienia tego co wyżsi robili. Zawsze też w każdej porze jest jakaś główna, krajowa albo zagraniczna okoliczność, która umysły zajmuje, ciekawość wznieca, krytykę budzi. Od czasu jak ludzie zebrali się w towarzystwo, braknąć na takich nie mogło; jedna tylko zachodziła zawsze różnica: mniejszy lub większy rozgłos nadany tej okoliczności; miarą zaś tego rozgłosu najczęściej traf rządzi; nieraz drobna ładajaka przygoda więcej się rozslawi od wielkiej, jeżeli przyjdzie sama; pamiętam, w Warszawie, o jakimś malowaniem oknie, o dwóch wierszykach, gadano i pisano przez kilka tygodni, w parę lat potem zjawiała się cholera, i mało kto o niej wspominał.

Rok 1584, który jest jak wiadomo rokiem bieżącym niniejszych obrazów, rok ten, ósmy od wstąpienia Stefana Batorego na tron, może się nie liczyć do najważniejszych i najpomysłniejszych z pamiętnego jego panowania; data jego nie została zapisana na podobnie ważnych ustanowieniach, jak trybunały dla Korony i Litwy, urządzenie Kozaków, akademii Wileńska: ale był to rok dosyć obfity w wypadki, a zatem i w wieści. Obecnie dwie przygody miały najwięcej rozgłosu w Sandomirskim województwie i w Polsce całej: jedna, śmierć Iwana Cara Moskiewskiego; druga, coraz większe zuchwalstwo Samuela Zborowskiego, wygnańca za zabój-

stwo od czasów króla Henryka, i skazanego na gardło, gdyby do ojczyzny wrócić się poważył; a który mimo tego ślaniał się po całym kraju z uzbrojoną zgrają, a jak słyhać było, z nieprzyjaciółmi Rzeczypospolitej miał zmywy, i knuł spiski na życie króla i Zamoyskiego.

Te dwie przygody, wszelkie ich skutki, gdyż pokój zawarty z Moskwą przed dwoma laty, dwóch tylko monarchów obowiązywał, a zuchwalstwo Zborowskiego albo jego życie albo powagę prawa na szwank narażało, te przygody, mówię, dostarczyć mogły treści do obfitej i żwawej rozmowy. I dostarczyły. Od godziny drugiej z południa do samej wieczery nie ustała ani na chwilę; a że u Polaków zawsze było łatwiej o głos niż o ucho, słyhać było silne gadanie, krzykliwe zdania na kilkanaście staj w około; każdy zaś z obecnych mało co od drugiego się nauczył i niezawodnie z takim samym zdaniem odjechał jak przybył.

Dzień był jeden z tych najcudniejszych, jakiemi w naszym kraju, wiosna na samym wstępie czasem nasdarzy, a które potem nieraz w Maju i Czerwcu mrozem i śniegiem odpokutować przychodzi. Powietrze było ciche, czyste i ciepłe; oddychając, patrząc na błękit nieba i na jasne słońce, zdawało się że ziemia jedynie przez zapomnienie, godową szatę swoją ledwo napół obkleła. Zamiast tedy zamknąć się w izbach, cały zjazd na dworze się rozgościł.

Przed domem Czarnoleskim był jak wiemy obszerny ganek, było i wielkie podwórze okolone płotem, zamknięte wrotami; na boku wznosiła się jak wszędzie studnia, nad nią na belce między dwoma słupami umoco-

wany krąg, po którym liną wciągano kubel; w środku słup wiadomy z trzema kółkami; z dwóch boków rosło kilka pięknych jaworów; pod niemi stały ławki; na podwórzu leżały, sterczały jak to w gospodarstwie, belki i tarcice, pale i kołki, które synowcom Kochanowskiego, a często i córkom służyły do ćwiczeń rozmaitych wtenczas w używaniu będących, do biegania, skakania, ciskania, trafiania. Każdy więc wiek, płeć każda znalazły tam dla siebie przyzwoite i dogodne zabawy i miejsce. Pan Wojski z panem Podkoniuszym i ze starszymi mężczyznami rozmawiając ciągle, zajął ganek; kazał stół wynieść, dzbany z piwem i kufle postawić, i zalecił piwniczemu żeby raz naraz pełne były. Nie popróżnował stary Marcin i chwili; i to nie do piwnicy chodził dzbany swoje nalewać: przezorny i doświadczony wystawił beczkę na podwórze, położył ją na ligarach, już z umysłu zawsze koło ganku stojących, i tak toczył a toczył piwo, póki szło klarowne. Kto wiele i żwawo mówi, temu w gardle zasycha: wiadoma i najmniej zaprzeczana prawda.

Koło prawego węgła domu, pod najstarszym jaworem, przy którym kilka ławek stało, pani Wojska zebrała sąsiadki przybyłe z mężami. Ewa i Ludwina przyniosły stolik, nakryły go białym obrusem, zastawiły ciastem, owocami smażonemi i suszonemi, nawet kilkanaście jablek sztytnek, zachowanych z zimy wynalazły; do były także z piwnicy butelkę syconego miodu, podały małe srebrne kubeczki. Szanowne białogłowy kosztując przysmaki, popijając je słodziutkim trunkiem, wcale nie mileżały; i one miały wiele do powiedzenia sobie; znając się oddawna i zbliżona, jeden rodzaj życia prowadząc,

podobne mając zatrudnienia, też same widując osoby, wszystko im było wspólne, wszystko zajmujące: rozumiały i uciechy i kłopoty wzajemne, oceniały trudy i prace. To jedna drugą pytała o młodsze dzieci pozostałe w domu, o słabość przebyłą lub spodziewaną; o czeladź, jak się sprawnia, o krowy, czy poprawiają się z mlekiem? to znowu o ogrodzie, o innym gospodarstwie była mowa. Jedna się chwaliła że już grządki w swoim wirydarzu zasiała pachnącemi ziołmi, róże nasadziła; druga, że ogórki posiała w skrzyni, także i melony; trzecia że z liliowych korzeni napaliła wódki do apteki; ta że już się jęła do bielenia płótna; tamta, że pokrzywy młode z otrębami pszenicznymi daje kokoszom, żeby jej się dobrze niesły; owa że już ma spore kurczęta, bo je pod własnem łóżkiem wyhodowała. To znowu opowiedziawszy sobie co już zrobiły, wyliczały co zrobić zamysłają; wszelkie obawy i nadzieje swoje; a w tej całej pogadance widać było, że i starsze i młodsze bardzo polegają na zdaniu pani Wojskiej, i nie mało o jej dobre słowo im idzie. Kiedy już o domu i sobie do woli się nagadały, nie ręczę czy na nieobecne sąsiadki jaka fatalna kolej nie przyszła; czy się tam czego nie dostało próżniactwu tej, rozrzutności owej, niedbalstwu lub kordyace tamtej; czy nie było mowy o snach, o urokach, o czarach, w które wtedy najrozsądniejsze wierzyły? ale to pewna, że im nie niewiele czasu zostało do tych pocisków, i do tych bajek, ile że przerywana była często i głuszoną ich pogadanka przez działość i przez młodzież.

Bo dwie gromadki, któreśmy tu opisali, uważać

tylko należy jako dwie podstawy zebranego towarzystwa; znajdowały się tam inne nierównie głośniejsze, ruchawsze, weselsze, które zdawało się że całość stanowią. Zaczniemy od bliższej.

Były to trzy młodsze Kochanowskie, a z niemi kilkoro dzieci sąsiedzkich. Trzymały się niedaleko matek, jak gdyby pod ich cieniem, i choć które odbiegło, wnet wracało i zawsze coś miało swojej do ucha powiedzieć. Prawda, że ich też wabiły niepomалу rozstawione tuż przysmaki. Dla nich nie postawiono ani ławki, ani stołu; murawa była im siedzeniem i nakryciem, jeżeli się zdarzyło, że które usiadło i chciało zjeść porządnie. Chłopcy rzucali w górę chwytkę, łapali ją zręcznie, puszczały cygę, pobudzając ją biczem kiedy się kręcić przestawała, wywracali kulki; dziewczynki wiązały trawę, ubierały sobie łątki, albo też która z figlarniejszych, siadała naprzeciw drugiej jak mogła najbliżej, wpatrywała się w nią oko w oko mówiąc:

Patrzajmy się,
Nie śmiejmy się:.
Kto gębą ruszy,
Tego za uszy.

A z tego zalecenia nieśmiania się, powstawały śmiechy tak wielkie, iż matki musiały aż strofować za ten zbytek, z bojaźni, żeby się dzieci nie zaniósły, albo kaszlu ze śmiechu nie dostały.

I druga gromada, już cały krąg podwórza zajmująca, doczekała się niekiedy strofowania poważnych białych głów, przynajmniej należące do niej dziewczynki, skoro która bez pamięci biegać i skakać zaczęła, albo

też dała się ciągnąć za ręce, szarpać za suknie. Prawda, że tam było najwesелей, najzabawniej, tam była młodzież, ta prawdziwa pani świata. Prócz dwóch córek gospodarskich, Ewy i Doroty, gdyż Ludwina świadkiem tylko bywała wszelkich igraszek, było jeszcze kilka młodych panien. Było i mężczyzn drugie tyle: Adam i Jędrzej Kochanowscy z Jasieńca, Mysłowscy z Zawady, Dąbrowski z Piastkowa, Sieniński z Stawczyna; zjechał i pan Franciszek z odpustu i z uczty, ale o ciężalszy niż kiedy, a nawet smutny, gdyż mu jakieś niespokojności przychodzić zaczynały, i jakby przewidywał że dostanie odkosza, przysiadł się do starszych, i niby słuchał czy dumał, a podobno drzymał; nasz zaś Filip, którego pobudzały miłość i szczęście, był na czele całego grona i coraz nowe wynajdywał zabawy, popisy, w których on zawsze wydał się najlepiej. To podzieliwszy się na dwie strony, grali w żołnierzy czyli w obóz: Adam Kochanowski był carzykiem tatarskim, pan Rotmistrz hetmanem koronnym; wraz z towarzyszami staczali wzajemnie boje; najzaciętsza jednak walka była o branki. W obozie nieprzyjacielskim stały smutne wszystkie dziewczeczki, odbić ich było trzeba; zaczaiwszy się misternie dotknąć się której z nich, a potem odbiedz tak prędko, że nikt dogonić nie potrafił. Nie łatwo to przychodziło; przecież Filip cztery uwolnił, a najpierwej tę, której sam był niewolnikiem. To znowu nasunawszy czapkę na oczy, zmrużkiem się ogłosił i krzyczał: z drogi, z drogi! biegał jak szalony, wszyscy uciekali przed nim, on nie widział, przecież zawsze Ewę uchwycił. To zachęcał do takich ćwiczeń, w których mógł dać dowody

zręczności lub siły, młodzieńcy na przechwał jeden przed drugim, ciężary niosąc na oszczepach, biegli do naznaczonej mety, rzucali do słupa, pociskiem, mieczem; strzelali do celu, jajka rzucali w górę i łapali je w całości, wskakiwali pędem na wysoko leżącą belkę, jakby na drewnianego konia, po wązkim płocie chodzili, broniąc się z całych sił, tym co zepchnąć ich chcieli.

Gdy w tej ostatniej zabawie przyszło do głośniejszego gadania, a nawet do lekkich przemówień między młodzieńcami, dziewczeczki cokolwiek zestrachane zbliżyły się do matek, i z młodszą gromadką bawić się zaczęły. Ewa, której nigdy wątku do zabawy nie brakło, i w której oczach śladu już nie było łez wczorajszych, wybiegła na chwilę, za drugi róg domu do kuchni, do Nastki, a wnet obiegając przez ogród, pokazała się dzieciom jak stara baba; schylona, kulawa, cała owinięta płachtą, trzymała w ręku kij, jakby wielką kądziel, także osłoniętą białą chustą. Oznaczyła kijem wielkie koło, powiedziała grobowym głosem:

— To moje państwo — i kazała wszystkim dzieciom usiąść w wieniec w tem kole.

Dzieci usłuchały chętnie, patrzyły na nią, a ona siadła w środku koła, i niby przedzie ze swojej kądzieli i drzymie. Nagle owa stara baba zrywa się, podskakuje w górę, spada z niej płachta, spada i chusta z kądzieli, i pokazuje się pęk świeżych pokrzyw wiązanych koło kija. Tą bronią miotając na wszystkie strony, goni za spłoszonymi dziećmi, wołając: Rusałki! Rusałki! ale jej władza za naznaczonym kołem ustaje, rzuca ze śmiechem parzącą broń, i znowu co innego wymyśla.

Oto do przepióreczki zwołuje i wabi; to także gra zabawna.

— Kto chce być przepióreczką? — pyta.

— Ja! ja! — odpowiada kilka głosów. Ona Dorotę jako domową obiera, stawia ją na miejscu jednym, a całej drużynie każe wziąć się za ręce, kręcić się koło niej i śpiewać:

Jako rybka tuż za rybką,
Jak jaskółka za jaskółką;
Tak dłoń w dłoni, rażno w kółko,
W płasach, w skokach, krążmy szybko.

Ale stojącej w środku dziewczeczce przykrzyć się zaczyna; jakkolwiek więzienie ruchawe, wesołe, zawsze więzienie; wreszcie drudzy biegają, śpiewają a ona stoi na jednym miejscu i milczy. Bieży tedy w tę i ową stronę, pragnie wydobyć się z żyjącego wienca; lecz napróżno! czy rozerwać chce trzymające się mocno ręce, czy przeskoczyć, czy podejść, wszędy wyjście zagrodzone. wszędy piosnka brzmi wesoła:

Fit, fit, przepióreczko,
Przepióreczko młoda, hoża:
Nie ucieczesz nam do zboża,
Nie ucieczesz kochaneczko.

Z rozpaczey dobywa siły, rozrywa koło, nizki płot przeskakuje i ucieka daleko; gonią za nią drugie, i przyprowadzają nareszcie zmęczoną, dyszącą, jak prawdziwą ptaszynę, kiedy ją strzelec lekko zrani i póty goni, póki nie schwyci.

Lecz nietylko sama Dorota, już cała gromadka zmęczona; Kochanowska zaleca Ewie, żeby poważniejszą grę wymyśliła.

— Grajmy w piekło i w niebo — odpowie Ewa — do tej gry i Ludwina należeć może.

Przyjęła wezwanie łagodna dziewczica, choć byłaby pewno wolała pójść samotnie w ogród dokończyć pacierzy; siostra dobrała jej w parę, gładką, wesołą, dziarską Justynę Mysłowską, i coś długo z obiema radząc i blagając Ludwiny prawie na klęczkach, postawiła je pod dwoma jaworami na dwóch kamieniach co za siedzenie służyły, i dała każdej w rękę koniec długiej rąbkowej tuwalni. Utworzył się tym sposobem łuk biały; Ewa stanęła pod nim i wyrzekła poważnym głosem:

— Oto droga żywota; na jednej stronie niebo, na drugiej piekło: idźcie i wybierajcie! — a zebrawszy sznurem po starszemu wszystkie dziewczeczki i dzieci, przeszła z niemi dwa razy pod łukiem, wielkie tworząc koło.

Kiedy już trzeci raz przechodziła, Ludwina z Justyną zatrzymały Orszulkę; która jako najmłodsza szła na samym końcu; zatrzymały ją spuszczaając pod jej nogi białą tuwalnię, i powiedziały:

Pierwsze przepustne,
Drugie darowane;
Trzecie: Do kogo chcesz?

Śliczna dziecina spojrzała i jednej i drugiej w oczy, a przyglądając się mile pięknej i łagodnej Ludwinie zawołała:

— Tu niebo — i przy niej stanęła.

Podobnie za każdym nawrotem pod łuk, dziewczeczki stojące zatrzymywały i pytały każdego; każdy obierał sobie jedną z nich, a większa połowa poszła za przypkładem Orszulki. Nakoniec gdy już z całego sznura

sama Ewa została, krzyknęła z całych sił wskazując na siostrę:

— Oto starosta piekielny: oto dyabeł — i przywiązała ją do drzewa białą tuwalnią.

Wesoła zaś Justyna zeskakując z kamienia mówiła z tryumfem:

— Ja wrotny niebieski, ja anioł!

Wszyscy potępieni strachem przejęci, ile że się tego bynajmniej nie spodziewali; uciekać, kryć się poczęli przed wybranymi, i musieli dać okup za swoje dusze. Jedna tylko Orszulka została przy Ludwinie; wcale jej się nie podobala ta gra.

— Matka zawsze prawdę mówić każe — powtarzała zachmurzona — Pan Jezus za kłamstwo się gniewa.

A całej siły swojej używszy wstąpiła na kamień, i wspinała się na palce, żeby uwolnić uwiązaną siostrę. Patrząc na tego białego aniołka i na tę dziewczę w czerni, jakby święte męczeństwo cierpiącą, i starszym zdawać się mogło: „Tu niebo“.

Ale szło teraz o odebranie okupu złożonego za dusze w ręce udanego anioła. Były to rzeczy nie drogie, przecież szacowne jak zwyczajnie u młodych: paciorki, wstążeczka, pierścionek, śpilka, medalik i t. p. Justyna usiadła na kamieniu, nakryła te wszystkie skarby chustą i pytała się na głos:

— Co ma ten zrobić, kogo fant trzymam w ręku?

Na to zapytanie zbliżyła się młodzieź męzka oświadczając że ona sądzić będzie, gdyż płci białej żadne urzędowanie nie przystoi; a na powtórne zapytanie Justyny, krotofilny Adam Kochanowski odpowiedział:

— Niech pokaże kolanko!

Padł ten wyrok na Marychnę, ale się nie strwożyła; wiedziała z dawniejszego doświadczenia, że w takim razie kolanko to łokieć.

— Niech nogi założy na drzewo—odezwał się także z uśmiechem pan Andrzej. I w tem nie było nic nieprzyzwoitego, bo to nogi od stołka.

— Niech węgiel żarzący przyniesie w uchu — wyrzekł Mysłowski.

Na małą Orszulkę ta kara wypadła; pobiegła do kuchni i przyniosła rozpalony węgiel w uchu od klucza.

— Niech pokaże sztukę — postanowił Filip Owadowski.

Dzieweczka której się to wykonać dostało, w wielkim była kłopotcie; ale wybawiła ją Ewa: zbliżywszy się do stolika, uderzyła weń drobną pięścią po kilka razy i zapytała się sędziego:

— A co, czy nie sztuka?

Sędzia uznał się zwyciężonym i poważyl się ucałować tę drogą rączkę, pod pozorem że stłuc się musiała, stukając mocno w stół twardy.

Lecz w ciągu tych i tym podobnych zabaw, gospodyni, która się była wymknęła przed chwilą z uwolnioną Ludwiną, stanęła w ganku i zaprosiła na wieczór. Na ten głos powstali poważni mężczyźni, obudził się pan Franciszek, panie się zbliżyły; ruszyła młodzieź po panny i wszyscy weszli parami do izby. W czasie, kiedy zajadali i zapijali smaczno, zajęły całe podwórze wozy, półwózki, osiodłane konie, wreszcie woźnice i pa-

chołki, którzy przez ten czas także się posilali z łaski gościnnych gospodarzy.

Po wieczerzy nie zatrzymywała nikogo Kochanowska, i męża prosiła żeby nie przedłużał pożegnań. Przyczyna tego niezwyczajnego postępowania, była chęć wypoczynku; jutro raniutko mieli jechać do stryja Dobieślawa: należało wstać przed świtem.

X.

Słuchaj, mogłeś na winnik chrustu nie żałować.
Ostatni wiersz Satyra.

— Pani żono, panno córko, nie mitrężyć; kwadrans czasu jedno pozwalam i w drogę.

Tak wołał nazajutrz w poniedziałek Kochanowski, wychodząc z izby do sieni; a wtórował mu pan Podkoniuszy, stojący w ganku i zupełnie gotów.

— Ot! gdyby białogłowy i dziewczki żołnierzami były — mówił z przekąsem — nieprzyjacielby uderzył, rozgromił, poraził, wszystką korzyść odjął, nimby się one ubrały.

— Matkę wstrzymuje dziatwa co zostaje w domu — powiedział ciszej Kochanowski — ale co Ewulka, to pewno przed zwierciadłem się mizdrzy i pyta go się, czy jej do twarzy? Panie Filipie, wasza w tem wina; dawniej, zaprawdę, rychlejsza była w swoim ubieraniu.

— Już przy śniadaniu nie pannie Ewie nie brakowało — odrzekł młodzieniec skłaniając głowę z uśmiechem — mnie się widzi, że pani matce pomaga i z siostrami się żegna.

— Nie ma lepszych rzeczników jak kochankowie — powiedział pan Wojski — ale źle robią niewiasty co

się nie śpieszą; konie wasze już strasznie niecierpliwe: patrzcie na mego, jaka powaga.

I w rzeczy samej, konie Podlódowskiego i Filipa, konie nieładzkie, przyzwyczajone do trudów, od jakiegoś czasu próżnujące, a na dobrym obroku, dziś tak wczesnie okulbaczone, wystawić sobie musiały, że ich rycerska wyprawa czeka; rżały, pienily się, nogą ziemię kopały, wydierały się wstrzymującym je pacholkom, aż Filip chodzić musiał od jednego do drugiego, głaskać je ręką, łagodzić słowem, zwłaszcza ulubionego sobie a zawsze żwawego Turczyńka; kiedy przeciwnie siwosz pana Wojskiego stał sobie spokojnie, a jakby na dopełnienie rannego obroku, skubał czubki młodych pokrzyw co pod płotem rosły. I trzy klacze zaprzężone do półwózka, którym Kochanowska z córką jechać miała, także bardzo cierpliwie owo czekanie znosiły, znać de tego nawykłe.

— Białogłowy już z zrządzenia Boskiego dom lubią — mówił dalej Kochanowski — i wielkiem to jest szczęściem. Ja tam prześladowuję i niby gromię panią żonę, ale w duszy rad w niej widzę to zamilowanie. Która męzatka chętnie i łatwo dom rzuca, za biesiadami chodzi, w towarzystwo różnych ludzi się wdaje, czyż nie otwiera drogi do tego, aby kto o jej stateczność się starał? a jak może działać się dobrze w domu, w którym gospodyni nie siedzi i sama wszystkiego nie opatrzy? Pani jest głową czeladzi, co ona czyni to i oni. Trudno żądać, aby słudzy lepszymi byli od panów. Jednak dziś chciałbym, żeby moja Hanna nieco prędzej się wybrała. Do Baryczy dwie mil drogi, a pan stryj gniewałby się

gdybyśmy późno przyjechali. Na godzinę przed południem jada, a skromnie żyje kiedy sam; nie mogłaby już stryjenka dodać jednego i drugiego półmiska do obiadu, i przykro byłoby staremu. Brońże mnie Boże w czym najmniejszym go obrazić: szanuję go jak ojca. Nie uwierzycie przyjacielu, co to dla mnie za wesele patrzeć na oną sędziwą twarz, co na moich rodziców patrzyła. On mnie dzieckiem znał, do chrztu podawał; on jeden już na całej ziemi Jankiem mnie nazywa: kiedy jestem w Baryczy, zda mi się, że o jakie trzydzieści lat młodszy... Wreszcie i skorzystam nieraz od zanego choć surowego starca; mego Satyra jam prawie z jego słów ułożył...

— A co się dzieje z jego synami? — zapytał Podlódowski — powiedzże mi: nie przystoi jadąc do ojca o synach nie wiedzieć.

— Zacni zawsze ludzie obadwa, zdrowi, i dobrze im się powodzi: pan Jan przeniósł się do ziemi Stężyckiej i jest podstarostą; pan Andrzej poseł na sejmy, stolnik sendomirski, mieszka zawsze w Gródku z żoną; nie widzieliście ich u nas, gdyż oboje pojechali do Lublina objąć jakieś dziedzictwo po Mysłowskich, a potrzebny im grosz, gdyż dużo łożą na wychowanie dwóch synów w Lublinie, i zaczęli już stawiać kościół w Gródku: chwalebnyć to cel, i stare stryjostwo zbiera co może, chcąc im w tym dopomódz...

— Poczciwy i bogobojny ten ród wasz — przerwał Podlódowski — mój Filip — dodał widząc młodzieńca zajętego ciągle końmi — nacieszyć się nie może, iż z takiego domu będzie miał żonę; wczoraj do północy

napadły — odpowiedział pan Jakób — toby nasza Nastka nie dopuściła do nich nic złego: ręczę za nią.

Skloniła się mu do nóg zasłużona niewiasta, a biorąc na ręce Orszulkę, zawołała:

— Osobliwie tego oczka pilnować będę.

— O, pilnuj! pilnuj! — zawołał już siedząc na koniu Kochanowski.

— A wracajcie rychło — powiedziała dziecina wyciągając do niego ręce. — Wy sami znacie, ojcze,

jak to licha

Dziecina zostawiona, do matki swej wzdycha.*)

Nie stulę oczków, póki was nie zobaczę.

W Kochanowskim już powstawała chętka wzięść ukochane dziecko z sobą; byłby ją w duszy przez całą drogę trzymał na koniu, ale nie była ubrana, wypadaloby czekać, a czas naglił. Ruszył więc z mężtwem i wszyscy za nim; mimo kołatu skaczącego półwózka po nientartej jeszcze zupełnie grudzie zimowej, mimo stąpania rączego dzielnych koni słyszeli jeszcze długo głosy pożegnań i błogosławieństw dzieci i czeladzi.

W drodze nasz Jan jadąc obok swego Jakóba rozmawiał z nim ciągle, Filip harcował koło półwózka. Rad on był słabości popisania się nie tyle z jazdą swoją, bo wtenczas wszyscy jeździć umieli, ile z ulubionym koniem. Wtedy koń dla młodzieńca polskiego był prawie tem samem, czem dziś jest dla Kozaka, dla Araba: towarzyszem, przyjacielem, bratem, jakąś częścią jego samego. Wtedy bowiem nie widziano mężczyzn, ni sta-

*) Ps. CXXXI.

rych ni młodych, rozpartych w rydwanach, zamkniętych w kolebkach; wszystkie powozy znane i używane, zostawione były kapłanom, niewiastom i chorym: szlachcic każdy musiał mieć konia, jak dziś nasi panieze muszą mieć kocz i zegarek, i pewno wyżyłby bez niego nie umiał. Filip, jak wiemy, całą duszą do swego był przywiązany, i przyznać należy, że pięknie im było razem; w dniu tym zwłaszcza, w swoim biegunie w swojej osobie, w broni i w ubiorze, połączył wszystko co wówczas było miane za najlepsze w rynsztunku młodzieńca:

Koń Turek,
Chłop Mazurek,
Szabla węgierka,
Czapka magierka.

I miło było na niego patrzeć. Wydało się to jeszcze lepiej, kiedy przestając wstrzymywać dłużej swego tureczynka, któremu nie bardzo był w smak jednostajny klus przy kołach, puścił mu cugle, klasnął i jak wiatr poleciał. Kochanowska krzyknęła i Ewa miała ochotę, i dumnem okiem ścigała za silnym i zręcznym jeźdźcem. Już zniknął przed jej wzrokiem, lecz wnet go ujrzała; nawrócił nagle w największym czwale, kilka szerokich rowów i wysokich płotów przeskoczył, a w samym pędzie, kiedy już zbliżał się ku niewiastom, zebrał cugle, zawołał stój! i w mgnieniu oka koń rozhukany stanął jak wryty: zdawało się że wszystkie cztery kopyta nagle wrosły w ziemię.

Lecz już dojeżdżali do Baryczy. Już widać było podwórze, słup dla koni, studnię z żurawiem i skromny

dwór państwa Dobiesławów, który mało co się różnił od otaczających go chat włościańskich; chyba tem, że był większy i miał komin murowany nad dach. Podobny i do dzisiejszych naszych dworów szlacheckich, zawierał w sobie sień, po lewej ręce kuchnię, gdzie czeladź, a często domowe zwierzątka i ptastwo przytułek miały; sporą komorę czyli alkierz, a po prawej ręce, dużą lecz jedyną izbę z piecem i z kominem, gdzie państwo oboje spali, jedli, gości przyjmowali, a załatwiwszy zewnętrzne gospodarstwo, trudnili się na przemiany, to ręczną pracą to modlitwą. Nam, inaczej przyzwyczajonym, wreszcie inaczej czas trawiącym, podobny układ mieszkania zdawałby się bardzo przykry; dawniejszym ludziom nie był wcale uciążliwy, jak i dziś nie jest nim dla prostego ludu. Nie mającym zatrudnień, któreby wymagały odosobnienia i cichości, taki układ jest wygodniejszy i przyjemniejszy; w jednej izbie cały dzień siedząc wszystko mają pod ręką, w zimie im cieplej, w smutku rażniej, w chorobie weselej. Nieraz na starego chłopka, parę lat przed śmiercią przyjdzie taka niemoc, iż prawie z łóżka ruszyć się nie może; coby on robił sam w jakim odsobnionym, choćby i najpiękniejszym pokoju? tak leżąc w wspólnej izbie jeszcze żyje, bo dzieli przygody rodziny, a nie tyle zawadza, gdyż usłużyć mu łatwiej.

Ale nie wchodząc w to dowodzenie, podobno zbyteczne dla czytelniczek moich, wolę je poznać z szanownemi mieszkańcami owej jedynej izby.

— Gości nam Pan Bóg prowadzi — przemówił do żony słysząc kolat powozu i tentent koni starzec naj-

mniej ośmdziesiątletni, prawie sążnisty, szlachetnej i pogodnej twarzy, oczu niebieskich, długiej siwej brody, w koszuli szerokiej i długiej do kolan, w szarawarach płóciennych, w giernaku z szarego sukna, rzemieniem opasany, w skórzniach za kolana krajką przytrzymywanych. — Ktoby to mógł być? Andrzej ze swoją w Lublinie, Jan był niedawno?

A dogadzając ciekawości swojej wstał z zydelka na którym siedział okrakiem, położył na stole kosz z rożkiciny którego doplewał, i zbliżył się do okna. — Żona może z jakie dziesięć lat młodsza, małego wzrostu i szczupła, w głębokiej czapce z futrem i z uszami, w kożusku baranim powstała z ławy pod piecem, mówiąc sobie:

— Nie czemu też to sroka skrzeczała dziś na płocie, i kot się głaskał rano? — a odstawivszy na bok kądziel z wełną, poszła także do okna; i wyjrżeli oboje oceniając sobie ręką osłonięone już oczy długiem patrzeniem na świat.

— Zaprawdę, mój to chrzestny Janek, ze swoją panną i dziewczuchą — zawołał radośnie starzec — pocziwie chłopczysko!

— Ale i obcy są panowie — dodała żona.

— Pomóż Bóg! nadarz Bóg? Witajcie w niskich progach naszych? — mówili oboje wychodząc spiesźnie przed sień; a Czarnoleska drużyna już na nogach, pozdrawiała ich czapkując im i ściskając za kolana.

Kochanowski przedstawił z imienia i z godności, przyjaciela i jego wychowanka, napomykając nieco o chlubnie odbytej przez nich ostatniej wojnie.

— Otóżto, otóżto — wołał pan Dobiesław — rad ci zawsze jestem, mój Janku, a dwojako kiedy mi przywozisz mężów rycerskiego rzemiosła.

— Siadajcież, mili panowie i bracia: rozgośćcie się, mówiła pani Dobiesławowa wprowadzając gości do izby, wskazując ławy pod oknami i pod piecem, i dwa skromne łóżka w dwóch rogach izby stojące, przedzielone oknem i stołem.

— Niech kto chce mówi — prowadził dalej stary skończywszy odpowiadać na troskliwe wypytania się przybyłych o zdrowie jego — niech sobie będą księża, panowie radni, nie przeczę iż potrzebni; ale u mnie nie nad żołnierza i jego zabawy; a proszę, czem tu lepiej skrócić młodego burzliwość, jak niespaniem, zimnem, wojenką? Możesz być co sprawiedliwszego a świętszego jak zastawić własne gardło na ziemi w którejś się urodził, dla domu w którymś wychowan, dla żony, dzieci, zgola dla całej Rzeczypospolitej i wiary ku Bogu? Jestże większe męstwo, jak gdy na ten cel gdzie z działa biją, żołnierz na miejsce zabitego następuje; wie, że najpewniej zginie, przecież na rozkazanie hetmańskie idzie, aby się rząd nie targał; i nie czyni tego dla pienędzy, ale z miłości sławy, ojczyzny i czci Boskiej. I nie bywaliż i Święci Pańscy żołnierzami? W Krakowie nie mamyż ciała Floryana rycerza? Kiedy król Kazimierz prosił papieża o jakie święte kości, papież bez namysłu wybrał kości rycerskie, bo wiedział co upodobały sobie na ziemi polskiej. A czemże, jeżeli nie wojną, owa nasza ziemia urosła, rozciągnęła swoje granice od morza do morza; i czemże przecie dziś jakby

z długiego snu otrzęsła się i zajaśniała? Gdyby mi się raz jeszcze rodzić przyszło, skarż mnie Panie Boże! niczemby nie chciał być, ni papieżem, ni cesarzem, jedno żołnierzem. Polacy póty chwalebni, póki bitni; a na innego króla się nie piszę, tylko na wojownika.

Podlodowski, któremu te słowa bardzo trafiały do przekonania, ścisnął starca za kolana; Filipowi zaiskrzyły się oczy; a na twarzy Ewy błysnęła żywa radość i jakby tryumf że męża wojennego serce podbiła: tytuł księżnej nie brzmiał tak mile w tej chwili w jej uszach, jak tytuł pani Rotmistrzowej.

— Dla was, panie Podkoniuszy — mówił jeszcze starzec — to z czem się tu popiszę, nie będzie żadną nowiną; ale ciebie dzieciaku, ciebie, na świecie nie było, a może i ojca twojego, kiedym ja tę zbroję przywdział i bił się w niej. Zaprawdę, były to czasy pomyślne i dla nas i dla Rzeczypospolitej, jakie już potem nie wróciły i podobno nie wrócą...

A to mówiąc silną jeszcze ręką wysunął z pod łóżka ogromną, długą, dębową skrzynię, podniósł ciężkie wieko i okazała się jakby olbrzymia postać leżącego rycerza. Filip drgnął mimowolnie: rozśmiał się starzec na głos.

— Żywego byłbym się, dalibóg nie przeląkł — rzekł pan Rotmistrz nieco zawstydzony.

— Myślałeś, dzieciaku, że to umarły? — domówił pan Dobiesław z uśmiechem. — Niedługo czekając, legnie w tej skrzyni umarły; śmierć wyciągnie do miary i wyprostuje członki skurczone dziś przez wiek; bo ta skrzynia, bratku to moja trumna, a ten ubiór towarzy-

sza pancernego, który nosiłem w najpiękniejszych latach mego żywota, będzie moim ubiorem śmiertelnym. Wam młodym, co wam mleko jeszcze po brodzie ciecze — dodał spostrzegłszy ile ten widok zaćmił smutkiem twarze obecnych — wam młodym, pojąć trudno jak można przed czasem grobem się otaczać; ale nam zgrzybiałym i śmierci blizkim, którym świat codziennie tańszym się widzi, słodko i zbawiennie mieć tu koło siebie, owo ostatnie mieszkanie. Człowiek wie wcześniej jak z jego cielskiem będzie, a tem goręcej Pana Boga prosi, żeby się okazał miłosierny dla duszy. Nieraz kiedy mi się trafi nie spać w nocy dla bólu albo kłopotu, i w cieplej pościeli miejsca sobie znaleźć nie mogę, myślę z radością o owem zimnem łożu, gdzie mnie nic dolegać nie będzie. I moja panna równie przezorna jak ja; jedno codzień Matki Boskiej proszę, żebym tego nie widział jak ją tam złożą. To synów i wnuków sprawa: jam starszy, ja pierwszy śmierci się stawię.

I tu wysunął drugą skrzynię, nieco mniejszą z pod łożka żony, otworzył ją, i ujrzeli w niej obecni ubiór zupełny zakonniczy!

— Co kto lubi — rzekł stary z uśmiechem — i co komu przystoi. Ja księży szanuję, ale ani za życia ani po śmierci mnichem być nie chcę; mojej pannie po ośmiorgu dziatek, mniszką być się podobało. Wolno jej. — To mi habit i paciorki — powiedział nachylając się znowu do swojej trumny. Patrz, dzieciaku, nie brak tu niczego: jest pancerz stalowy, jest misiurka, a z niej spuszczone kratka żelazna co nam zakrywała część twarzy, kark, ramiona i plecy; z ramienia przez pancerz

wisiała ta oto szabla, łuk, kołczan: dziś, leżą spokojnie; ale, swego czasu chlastały one, cięły, trafiały nieprzyjaciela Rzeczypospolitej... U pasa krucice, czarka do picia, sztuciec z łyżką, widelcem i nożem, boć bez pożywienia żyć i bić się trudno; kańczug na łotrostwo i kilka łokci sznura do krępowania jeńców: zaprawdę, tak uzbrojony żołnierz, jak dosiadł tego konia był straszny i śmiały. Dziś, słyszę, więcej na lekką jazdę rachujecie; piechota zaczyna wchodzić w komput wojska, a szlachta nawet nie wstydzi się służyć w piechocie. Za moich czasów mówiono: „Polska piechota, lichota“ była to rzecz endzoziemców najętych, kmieci i miejskich synków; szlachcic wzdygał się konia porzucić; jabym zda mi się nie uznał herbu pieszko.

— Ja sam — odparł pan Podkoniuszy — piechotę mniej sobie ważę, lubo przyznać należy, iż w ostatniej wojnie przy dobywaniu fortec tego się sprawiła; za żadne skarby świata, służyłbym w niej nie chciał ani dać syna; i uważam to za wielki dowód władzy naszego króla i wziętości Zamoyskiego, iż potrafili zebrać kilka tysięcy piechoty, ze szlachty; herbowych rzucić dobrowolnie z konia; ale chociaż mam największy szacunek dla ciężkiej jazdy, dla hussarzy i pancernych, chociaż wiem, że na niej polega największa siła i ufność wojsk naszych, i że „póki kopii, póty Polaków“ przecież lekką jazdę, jak ją zowiemy kozacką, wysoko sobie cenię. W naszych nagłych wyprawach i spotkaniach, ona dałipan najlepsza; ubiór lekki, nie kosztowny, koń szybki, do małych utarczek zwinny i zdatny, siodło i strzemie tak urządzone, że się na wszystkie strony obrócić można;

dzidy, łuku, szabli, rusznicy, z jednaką łatwością używać...

— Tak — przebąknął stary — boście już sami zdrobnieli i osłabli. Mnie cały ten wiek kark gniece, bom się urodził porządnie, 1500 roku a podobnom wyższy od was.

To mówiąc wstał; wyprostował się: i prawda, że lubo Podlodowski był jak wiemy z dorodnych, i także wstał i prosto stanął, dawny towarzysz pancerny o pół głowy go przenosił; takąż sama znowu była różnica między Podkoniuszym i młodym Rotmistrzem.

— Wszystko na dół idzie — rzekł smutnie pan Dobiesław — ze śmiercią starego króla i hetmana i Rzeczpospolita umierać zaczęła. To mi był król, to hetman, to czasy. Możecie tam sobie zwać panowanie syna złotym wiekiem dla nauk — dodał patrząc życzliwie na Kochanowskiego — równać go z onym niegdyś rzymskim Augustem; może i dzisiejszy król być dzielnym wojownikiem, sprawiedliwym mężem i mieć walecznych koło siebie; jużto przecież nie to co było za Wielkiego Zygmunta, za ojca jego i dziada, owych zacnych Jagiełłów, a cóż dopiero za owych mądrych Kazimierzów i przesławnych Bolesławów? Wówczas mało komu było dane znać tajemnice państwa; dziś każdy chce być głową, nikt innemi członkami ciała; każdy chce mieć więcej władzy i rozumu od monarchy i senatu: wszystko sobie chcemy wymyślać i nadawać sami, i wiarę i Króla. Oj! te elekcyje! wymyśl to dzisiejszy, który jeżeli się utrzyma, Panie! nie dosłysz słów moich! wtrąci Rzeczpospolitą do grobu. Albożto ja nie był już dwa razy świadkiem owych gorszących tumultów? Alboż nie widzę

jaką już odmianę zaprowadziły w sposobie myślenia, w obejściu się braci szlachty?...

— Panie Stryju — odezwał się tu nieśmiało Kochanowski — wszak od początku naród polski mianował sam sobie królów, a w żadnych konstytucjach nie wyczytacie, aby kiedy wyrzekł się tego prawa?

— Co mi tam, chłopcze, prawisz mądrze — odpowiedział z żywością starzec — co było, jak było, co napisano, co wycytano, nie wchodzę; to jedno wiem, że od starego Mieczysława, król następował po królu, syn po ojcu i nigdy go nie brakło jak teraz za waszych czasów. Dziadowie nasi, jeżeli chcecie, dawali, przysądzali koronę, ale pewno nią nie frymarczyli. Nie obiecywał ją jeden Francuzowi, drugi Niemcowi, a to nie patrząc bynajmniej, który będzie lepszym ojcem dla Rzeczypospolitej, ale który lepiej posmaruje mu łapę. Jestem szlachcie jeszcze od Rzymian, drogi mi każdy przywilej szlachecki; ale choćbym, czego broń Chryste Jezu, króla dzisiejszego przeżył, nie pojedę już na żadną elekcyą. Piękny mi przywilej spychać się z mostów, grabić mieszczan, i puszczać niesforną gawiedź wkoło panów rad?...

— Wybaczcie co śmiem wam przerywać — odezwał się tu Podlodowski — ale wielu braci szlachty dzieli wasze zdanie; sam król jasno tę rzecz widzi i niezawodnie mają być uchwalone porządne opisy elekcyi, które złemu dalszemu zapobiegną.

— Opisy! opisy! — zawołał trząsając głową starzec — młodzi jesteście niedoświadczony. Panie Podkoniuszy, wszystko ci się widzi różowo, łatwo. Albożto już nieu-

patrywano złego na sejmie Lubelskim, lat temu 15cie? alboż nie wołano o opisy? Dawał rozumną radę marszałek Czarnecki, popierał ją król, któremu także nie zbywało na łacińskim oleju. Wszystko rozpruł niecnik Drobojewski. Wszak ci to ów zuchwalec w moich oczach, w obec królewskiego majestatu, wśród koła starszej i młodszej braci, porwał się do kija na Czarneckiego, wszczął zamieszanie i wszelakie mądre myśli udaremnił... Gdybyć jeszcze wybierała króla starszyzna, ludzie rozumni, Rzeczpospolitą miłujący, od województw wybrani, byłoby może pół biedy; ale wybiera każdy który tylko do krwi szlacheckiej przypytać się może: chołota luźna, bezbożna, krnąbrna, jadąca na elekcyę jakby na obławę, byle zalać gardło i napętnić mieszk. A kto pierwszy ten obyczaj uchwalił, oto wasz pan kanclerz, hetman czy starosta, bo i niewiedzieć jak go nazywać, podobno najlepiej jak w Babinie „Totum-fackiem.“ Mądry to i zacny mąż, nie przeczę, miłuje Rzeczpospolitą, dzielnie jej służy, a nawet dobry żołnierz z niego; ale gdzież to kiedy słyszano, żeby taki co niedawno z teką do szkoły chodził, dziś już i pieczęć i buławę piastował. Znadto on bierze na kark swój, nadto ufa rozumowi z książki, zbyt techtliwe ma ucho na pochwały młodszej braci; dziś ma ją w kieszeni: będziemy zawsze mieli tego króla, którego on nam dać raczy; ale niech nie potakuje zbytecznie swawoli, bo nie zatrzyma on rozumem co rozumem rozpuścił, i sam tego pożałuje; a daj Boże, aby z nim nie pożałowała i Matka nasza Polska stara... Dalibóg, ile razy wspomnę o tem co po mnie będzie, gorzki smutek zalewa mi serce. Już jakbym wi-

dział, jako ta zagna Rzeczpospolita w niwecz się obróci. Radujecie się wyborem królów, wolnościami waszemi, a oto haracz pohańcom płaciecie. Kłóćcie się u siebie, upominacie się o własną najmniejszą krzywdę, a kiedy Tatarzyn pół Polski plądruje, wypędzić was przeciw nim nie można, grosza wydrzeć z gardła na broń, na konie. Bóg litościwy zesłał wam raz jeszcze, a bodajby nie ostatni, dzielnego i mądrego króla; ale wytrwał on długo przy żywocie, jeżeli mu tak dopiekać będziecie? Dobrzeć ona ma zęby, ależ trudno wszystkim się odgryzać. Wreszcie cóż on zrobić potrafi, kiedyście mu związali ręce? Wszakci to on w najnagłej potrzebie, jednego żołnierza bez zezwolenia Stanów zaciągnąć nie może; a oweż Stany kiedy się zwykle zbierają? Wstyd mówić: najczęściej wtedy, kiedy nieprzyjaciół wpadnie, splądruje i łupy uniesie. Dawniej hetmani wetowali przynajmniej straty w krajach najeźdźnika, dziś im za ledwie przez ćwierć roku pozwalacie szukać pomsty za granicą. Dawniej królowie i hetmani wojowali według prawideł rycerskiego rzemiosła, czy częstkami czy kupą; dziś, zabroniliście królowi rozdzielać was na części. Chcecie wszędzie chodzić kupą; oj! nie miłość to Rzeczypospolitej wami władza, ale obawa, aby nieukrócono w czem waszej swawoli.

Tu mocne wzruszenie przerwało mowę starca; ulżyły ciężkiemu żalowi dwie łzy, które stoczyły się gdyby perły, po białej jak śnieg brodzie, a których ślady obtarł coprędzej z twarzy połą giermaka.

— Ej — przemówił z przymuszonym nieco uśmiechem — po co ja się też rozrzewniam jak baba jaka;

po co wam to wszystko prawie i wymawiam, jakbyście temu co winni byli, wybaczenie staremu, co ludzi rzadko widuje, dużo rozmyśla, co lepsze czasy pamięta, kraj nad życie miłuje... Zapomniałem nawet przy onem gadaniu o przyjęciu was jak należy. Kachno, wódki, chleba, soli, co Bóg dał; nim obiad będzie, trzeba przepić i przegryść trocha.

Nie czekając na to wołanie męża, skrzętna gospodyni wraz z dziewczką służebną postawiła już na stole flaszkę z kminkówką czystej jak łza, chleb pytlowy położyła, świeże pachnące masło, kielbasy wędzone, szynkę odgotowaną, pierniczki, śliwki na rożenkach, różne owoce suche i w syropie.

— Wszystko to nie wytworne — powiedziała z pokorą — ale z dobrej woli wam ofiarowane.

— Wiemy zdawna — odezwiała się nasza Kochanowska — że u pani Stryjenki wszystko smaczne; jedno się uczyć, a oblizować palce.

— Ja zawsze mojej Hannie głowę susze, czemu jej wódka nie tak wyśmienita jak waszej miłości? — przemówił Kochanowski przyjmując od Podlódowskiego kubeczek wódki, który tenże jako gość z rąk gospodarza był już wychylił.

— Może pani Janowa włoszczyzn nie kładzie przepalając, ani surowego mięsa, jak my stare rabiemy wszystko to smak łagodzi i odtętn oddala.

— A cóż za doskonale konfekta! — powiedział Podkoniuszy — czy Kijowskie? a piernik bezwątpienia ruński.

— Kijowskie! Toruńskie! — powtórzył z uśmiechem

pan Dobiesław trzymając przy ustach najmniej łokieć kielbasy, z którego już ugryzł dobry kawałek — słyszycie Kachno? Wszystko co tu widzicie, mili panowie i bracia, Baryckie jest, nie kosztuje złamanego szeląga. I mogłoby bezpiecznie tak być w każdym szlacheckim domu, gdyby młode gospodynie równie były skrzętne a przemyślne jak stare; wtedy i w Rzeczypospolitej lepiejby się działo. Bo co dziś najwięcej nas gubi? oto zbytki, obczyzna, chciwość; bez pieniędzy ani wyżyć; trzeba ich co niemiara, na trunki, na sprzęt domowy, na szaty; a więc się sprzedaj, upodlij, kraj i duszę zastaw, byleś złota dostał. Dawniej, sami panowie chodzili w bławacie, obuwali safianowe buty; dziś ubogiej szlachcie to co domowe nie przystawa, nie smakuje. Ja zaś powiadam: ani jadła, ani napoju, ani rozumu, ani wiary, Polak z daleka nie potrzebuje; wszystko najzdrowsze i najlepsze co w domu: kuchenne rzeczy zkądiną przywozić, piwnice i spiżarnie napojem i pokarmem postronnym napełniać, izby zastawiać sprowadzonym z dala sprzętem, zda mi się istnem szaleństwem. U mnie wszystko po staremu: co dom ma, to jest; czego niema, bez tego się i obejdzie: tak nasi rodzice się obchodzili, a żyli długo i wesoło. Łyżką cynową, na drewnianym talerzu człowiek się naje, aby było czem. Nie zobaczycie też u nas srebrnych półmisków i złotych kubków; z glinianej miski jadamy, z czarki drewnianej pijemy...

— I rzetelnie — zapytał się z ciekawością Podlódowski — wasza miłość nic nie kupujesz?

— Ani na owinięcie palca — odpowiedziała jakby nieco obrażona pani Dobiesława — wstydzilibym się

jeździć po strawę do miasta, jatki i apteki zwiedzać, albo żydowi się spowiadać.

— Przecież: coś nie coś?

— Nie zgola — odpowiedział starzec, i pocóżby, pytam się? Albożto na wiosce, gdzie grzyby i ryby, łąka i mąka, brakować czego może? W naszej Polsce, jak wiadomo, jest z łaski Nieba, żyto do chleba, len do płótna, owca do sukna, stado do koni, kruszec do broni. Jak się raz z młodu w broń zaopatrzyło, to i czegoż szukać więcej?

— Ależ — dowodził Podkoniuszy — jakże stół dostatecznie opatrzyć, gdzie korzenie, wino?

— Wina nie pijamy — odpowiedział pokornie Dobiesław — i wybaczyć że go wam nie dam; nie widzimy wina inaczej jedno na oltarzu, przy Mszy świętej, a nie kosztujemy go chyba raz na rok w kościele, w dzień Niewiniątek. Niema się tego człowiek napierać co się w domu nie rodzi; kiedy Pan Bóg naszej Polsce winnych jagód nie dał, a te co gwałtem od czasów królowej Bony sadzą, kwaśne są, znać iż Polak może być zdrow i bić się tego bez wina. Piwo, miody, wiśniak, maliniaki, gorzałka, azaż to nie dosyć i do ochłody i do zagrzania żołądka? W miejsce imbiru, pieprzu i innych onych nieprzeliczonych korzeni, bez których jak słysze mało która kuchnia szlachecka dziś się obchodzi, mamy chrzan, gorczycę, jałowiec, kmin, anyż, majeran, szalwię, koper, rdest, nasionka wyborne, co go moja panna pieprzem polskim nazwała; mamy do smaku grzyby, cebulę. Za limonie stanie nam agrest i jabłka cienko krajane, za rodzenki wiśnie suszone, za migdały orzechy,

za cukier miód. Co nam po oliwach zamorskich, kiedy domowy olej z maku, dobrze, czysto wytłoczony, bardzo dobrze smakuje, równie tłusto omaści, i jeszcze od kurczenia się żołądka strzeże. O ryż nie dbamy, są natomiast rozmaite krupki. A co do tego czem stół zastawić, alboż to nie ma w ogrodzie jarzyn, alboż ja sobie wołu upaść nie mogę? a moja panna czy nie trzyma zawsze wieprza w karminiku? Są też i braki między owcami, i cielętą wszystkie trudno wychować; drób jest, w Boskiej oborze zwierząt i ptastwa dostatek, w stawach ryb bez liku; kury jaja noszą, krowy mleka dają, po sól jedno pojechać do Kazimierza: dalibóg ani wiem coby tu kupić? Przedać, to nie mówię; gospodarz winien grosza zbijać: trzeba mieć kilkadziesiąt złotych w zapasie, na chwałę Bożą, na podatek w czasie wojny, dla synów, na jaką nadzwyczajną przygodę własną lub braterską...

— Lecz przecież są jeszcze rzeczy konieczne do domu — badał dalej Podlodowski widząc że starych cieszy owa rozmowa — trzeba świec, mydła...

— Mydło moja panna sama robi, nawet białe, co go to królowa Bona ze swego Baru do nas zaprowadziła, a byłoby się i bez niej i bez jej mydła obyło. Co do świec; a kto w lecie o świecach słyszał? słonko do woli objaśnia; w zimie jest ci tęgi ogień na kominie, to i widno w izbie; są kagańce tłuste, dobrze postawione; jest też i smolne łuczywo, kiedy kto chce iść z miejsca na miejsce...

— I wybaczyć panie Ojcie — przerwała gospodyni — mamci ja i świece w zapasie; pani Janowa nauczyła

mnie je robić; są łojowe i woskowe; łój jest raz naraz z naszego bydelka, a wosku obficie pszczołki nam dają; sprzedaje się trocha i mam już w komorze stos kręgów odłożonych do kościoła, do Gródka, da Bóg doczekać, jak go pan syn wystawi.

— Wszystko to nie — odezwał się Kochanowski — i mojej Helenie przyznać to trzeba, że prócz korzeni i wina, których wychód nie wielki, i u nas wszystko co się pożywa, to domowe. Ale co dziwniejsza, pan Stryj i pani Stryjenka ani łokcia jednego materyi, ani jednej nitki nie kupują nigdy, a i zimą i latem, i oni i czeladź dobrze są odziani.

— Jeszczeby też! na to nikczemne cielsko wydawać! — odburknął się pan Dobiesław. Szaty wynalezione są dla wstydu i dla potrzeby, żeby nagość okrywały, od zimna i od gorąca chroniły, nie zaś dla zbytku. Jest swój len, swoja wełna, swoje konopie, a czegożby więcej trzeba? Nasz sam król i z braćmi, kiedy był chłopięciem, w szłyku i w baranin kożuchu chadzał; a starej szlachcie miałyby się chcieć bławatów? u mnie lnianka, parcianka, sukno, to czamlot, falendysz i aksamit; pani żona i dziewczki kądzieli pilnują; mamy dwóch tkaczy; przedrzeć niemożna szat i bielizny co oni wyrobią: ze skór kozłowych i cielących mamy obuwie, ze spożytych baranów i jagniątek kożuchy, ze złapanych lisów szuby, z ubitych wilków futra na łóżka. Przypatrzcie się naszym łóżom; zaprawdę, wygodne a nie kosztowne: tapczan w domu sporządzony, wór z własnego płótna, siano codzień się w nim przetrząsa, a odmienia co Sobota; mamy w Janowcu kuśnierzy; za parę korcezyków zboża

który z nich tu przyjdzie i co wypada zrobi: oto zeszłej jesieni wycelował tę wielką oponę z wilków; okrywa cały tapczan i na podłodze jeszcze kawał spory leży: ja na tych wilkach sypiam, i dalipan miękko staremu a ciepło. Do przykrycia się mamy koce wełniane, a na wierzach jeśli zimno, lisy. Poduszki pierzem nasypane, co go moja panna z gąsek swoich skubała i darła, nasypki i prześcieradła z domowego płótna. Za łózkami na ścianach, w miejscu waszych tureckich makat, są jak widzicie maty słomiane; uplotłem je własnymi rękami w zimowe wieczory, a od wilgoci i robactwa wysmienicie chronią. Łyżki drewniane, kubki sam strugam, koszę plotę, chodaki z łyka robić umiem, i wiele innych rzeczy co drudzy młodszy kupują. A na czemżeby człowiekowi czas zszedł inaczej? Wioska maleńka, większe synom się oddało; nieźle urządzona, wszystko idzie gdyby z płatka; jak wstanę ze słońkiem, trochę pochodzę, potem konia dosiędę, to i w parę godzin wszystko uławnione w gumnach i w polu: na resztę dnia cóż zostaje? pacierze i robota ręczna; gość u nas nie koniecznie częsty, do starych obcy nie rad zagląda, chyba synowie, krewniacy czasem przyjadą, albo mój pocziwy Janek, chrzestnego odwiedzi. Jeden nasz wydatek, to na garnki, na miski i na żelaztwo; dwa razy do roku jedno z nas do miasteczka wybrać się musi i zostawić tam kilka złotych; aleć się więcej daleko przywiezie, to za wełnę, to za miód, za wosk, za masło, i inne rzeczy, których w domu potrzebować trudno.

— Apteka i lekarze, Bogu dzięki waszego grosza nie widzą — podsycił znowu z uśmiechem Kochanowski.

— Uchowaj Boże! — odrzekł starzec. Wszystko to są nowe, obce wymysły, które się nie czepiają nas dawnych ludzi, cośmy chwała Bogu z granic Polski nie wyjrżeli, chyba ścigając nieprzyjaciela. Dobrze ja wiem, co „koń bez uzdy, Tatary przez Podole, pigułki przez brzuch, nigdy bez szkody nie przejdą“. Z owych Włoch, z owej Francji przyszły na Polaków z ich zbytkami, jakieś dziwne, beczne a nieznane choroby; z chorobami leki i lekarze, co jeszcze złe pogorszyli. Są ci i bywały zawsze od grzechu Adamowego bole i cierpienia na przemienne, dał Pan Bóg każdemu krajowi właściwe ziółka, i baby leczyć niemi nauczył. Oto i moja panna zna się na wielu i umie dziwne sekreta; kiedy naprzykład chce chorego przeczyszczyć, to bierze bzu polskiego: trzeba, żeby złe dołem poszło, to na dół skrobie korę: trzeba, żeby górą, to do góry; a jak da zażyć, zawsze jest oczekiwany skutek. Takie tedy i tym podobne mamy lekarstwa proste domowe na cierpienia przemienne: a co na śmierć nieodmienną, niema rady; nikt się od niej nie wybiega, czy król, czy hetman. Dla tego też w dawniejszych czasach, jak mi jeszcze ś. p. mój ojciec powiadał, sami duchowni byli lekarzami; choroby nie bywało: przyszedł do chorego, ulżył nieco ciału, a co ważniejsza duszę opatrzył... Ale mili panowie i bracia, rozgadaliśmy się do zbytku o starych i domowych rzeczach; powiedzcież, proszę was, co się tam na świecie dzieje, co nowego? możeć znowu Pan Bóg da wojnę! A ten śmiałek Zborowszyk długoż on tak gospodarować będzie po kraju? piękna mi władza króla i hetmana, kiedy jednemu młokosowi dać rady nie mogą? Lecz

wyjdźmy przed dom, mili bracia, siądźmy sobie na krokwiach co się tam suszą na podwórku, będą kiedyś służyć da Bóg choć na dzwonnice w Gródku, słonko dogrzewa, żywioł to starego, a nie było jeszcze kiedy nacieszyć się niem latoś; białęglowy zostaną w izbie: za nadto się dziś nasłuchały rzeczy poważnych.

— Z Panem Bogiem, i owszem — rzekła z udaną urazą gospodyni — za drzwi, co do wása; zostawcie nas same w izbie, nie braknie nam wątku do rozmowy i do roboty.

Poszli mężczyźni; nie ręczę czy pan Rotmistrz chętnie wyszedł i czy się nie obejrzał parę razy; co pan Dobiesław, toypytywał się o wszystko, i ganił prawie wszystko, w sposób jakiegośmy próbki już widzieli.

Tymczasem pani Dobiesławowa pogadawszy z synowicą i z Ewą, z pomocą dziewczek swoich, a nawet z pomocą gości, gdyż między krewnymi przymusu i tajemnie wtedy nie bywało, zajęła się obiadem i zastawą stołu. Do zwyczajnej domowej strawy dodała parę półmisków, i nie wyszło dwóch godzin, kiedy wezwała panów braci, przekomarzając się jednak z nimi: „iż możeby woleli, daleko od niewiast, rozmawiać do wieczora o poważnych rzeczach“. Ale oni, zdania pana Filipa na ten raz, nie chcieli słyszeć o dłuższym rozdziale; na świeżem powietrzu pamięć śniadania wywietrzała zupełnie, gotowi byli spałaszować obiad. Dobiesław nawet naglił żeby szli coprędzej, mówiąc:

— Stare ustawy, świeże potrawy, najlepsze.

Przed obiadem stanawszy za stołem przeżegnał się, krótką odmówił modlitwę, a potem rzekł:

— Proszę was goście mili, pożywajcie co Bóg dał z weselem i posilcie ciało wasze.

Obiad był bez wykwintu. Postawiono najprzód na środku stołu donicę krupniku z gęsiami dróbkami, pachniał koperkiem i grzybami, a ziarnka białej kaszy jak prawdziwe perełki w nim się uwijały; na drugie, była tuczna gęś smażona z cebulą i z jabłkami; potem dano groch żółty okrągły z jagłami i z wędzonką; dalej dwie ryby: łupkiego dwulokciowego szczupaka i ogromnego a tłustego karpia; z niemi aż cztery polewki czyli sosy w miseczkach; do szczupaka jeden biały z chrzanem i ze śmietaną, drugi żółty z krokoszem; do karpia jeden szary i kwaśny z miódwniku i z octem, drugi zupełnie czarny z powideł. Zakończył się obiad czterema kapłonami z różną, z których goście ledwie kości zostawili; a kapłony były nadziane tartym chlebem pszennym z masłem i z pietruszką. Kochanowski osobiwie zajadał ochotnie i jadł jeszcze choć już drudzy skończyli; stary stryj rad patrzył na niego, a trochę podniósłszy nad nim ręki, mówił:

— Boże daj ci na zdrowie!

Przy rybach hojnie zlewanych wytrawnym miodem i na końcu obiadu, pan Dobiesław raz jeszcze gości przeprosił że niema wina:

— Z dawna to tak bywało w Baryczy — powiedział — a inaczej w Sycynie, gdyż ś. p. brat Piotr lubił wino i miał go zawsze podostatkiem. Panowie bracia, o tem nie wiecie, a Janek może tej okoliczności winien swoją umiejętność pisania wierszy; pierwsze jakie zło-

żył, będąc jeszcze dzieciakiem, były z tego powodu: chowam je też dotąd.

To mówiąc wstał od stołu, wziął książkę łacińską od nabożeństwa, w czarną skórę oprawną, której kartki niegdyś białe, zupełnie żółte się zrobiły, i wnet wynalazł nieduży papierek wielkimi literami zapisany i także już dobrze pożółkły.

— Wróciłem był właśnie z wojaczki do mojej panny — ciągnął dalej — wyparliśmy byli z hetmanem Tarnowskim wojewodę wołoskiego z Pokucia, spoczywałem w domu, aż tu przyjeżdża posłaniec od pana Piotra z Sycyny, gdyż tam jeszcze w on czas mieszkał, z tym oto karteluszkim. Otwieram i czytam:

Dobiesławie!
W twoim stawie
Na Baryczy,
Ryb nie zliczy;
A Sycyna
Nie bez wina.
Złącz oboje,
Ryby twoje
Z dobra naszą
Wina flaszą.

Biegnę natychmiast do stawu. Bo trzeba wam wiedzieć, że od młodości byłem wielki stawiarz; po wojnie nie mnie tak nigdy nie bawiło jak rybołówstwo, i dotąd w porządek stawiański równie dobrze jestem opatrzoną jako i w żołnierski. Zarzucamy sieć na szczęście pana brata; połów okazuje się cudowny, prawie taki, jak on Piotrów w Ewangeli; szczupaki gdzie dłuższe od dzisiejszego, i karpie jak łopaty; dalejże na konia a ryby na wóz; zastaje w Sycynie zjazd wielki: było

to święto pani bratowej. Jedliżeśmy i pili, i dalipan nie znać było po mnie iżem wina nieprzyjaciół; dałem buzi węgrzynowi; a Janka wszyscy chwalili; ksiądz Maciej rósł jak na drożdżach, matka płakała z radości, a chłopak przy stole wyciął nam łańskie wierszyki.

— Jużto u mnie wtedy nie było nowiną — powiedział Kochanowski — wiersze sypały się jak z rękawa, łatwiej niżli teraz.

— Możeć przecież i dziś powiesz nam jakie, Janku? — rzekł pieszczotliwie starzec, głaszcząc poetę pod brodę — słuchać starszych trzeba — dodał, grożąc mu palcem na nosie.

— Radbym z duszy — odrzekł Jan poddając się pieszczotom stryja — ale nic nowego. nie przychodzi mi jak na złość do głowy.

— Powtórz stare — szepnął Podlodowski — te na przykład, coś dla mnie napisał: Sława jedna zostaje po człowieku.

— Nie — odparł Kochanowski — inne powiem, choć nie skończone.

Kto ma swego chleba
Ile człeku trzeba,
Może nic nie dbać o wielkie dochody,
O wsi, o miasta, o wysokie grody.

To pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swoim:
Kto więcej szuka, jawnie to znać daje,
Sam na się, że mu jeszcze niedostaje.

Siła posiadł włości,
Kto ujął chciwości:
Trudniej to przyjdzie niż Turki sokołować,
Albo waleczne Tatary wojować.

— A widzisz co się znalazły, i wyśmienite a prawdziwe — zawołał starzec — młodych pogłaskać nieco potrzeba, pogrozić trochę, i zrobisz z nimi wszystko.

— Młodych! a te nici srebrne w głowie, panie Stryju, co znaczą?

— Siwiejesz, Janku? być nie może; co się też to z dzisiejszemi ludźmi dzieje! A wieleż lat sobie rachujesz?

— Pięćdziesiąt czwarty kończę, na wasze usługi.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! mnie się zdaje, jakby nie było więcej nad tuzin lat od dnia, jakeś to przyjechał do mnie na pożegnanie... Janku, pamiętasz łaźnię?

— Pół kopy z górą, panie Stryju; ale i ja to pożegnanie pamiętam, jak gdyby wczorajszą przygodę — dodał poprawiając się na ławie.

— Mężu kochany — poprosiła nasza Kochanowska — opowiedzcie tę przygodę; młodym nie zawadzi słyszeć takie rzeczy.

A wiedziała że tem przypomnieniem i mężowi i stryjowi dobrej myśli przymnoży.

— Oto — zaczął Kochanowski spełniwszy kubek miodu, który mu stryj nalał — wiecie wszyscy, że nie dokończył nauk w domu, ale mnie wcześniej matka i brat wyprawili między ludzi. Jakkolwiek mnie cenili wysoko i za mądrego mieli, osadzili oboje, iż osmnasto-letniemu parobkowi wypadało dać na drogę staropolski upominek. Ojciec już przed rokiem był umarł; ksiądz Maciej chory na suche bole leżał w Policzny; w wigilję tedy mego wyjazdu z domu, matka wysłała mnie do pana stryja z listem, i kazała mu go oddać do rąk. Nie zam-

knęła go żadnym woskiem ni sygnetem, ale byłbym pewny, że ręka mi uschnie, gdybym się był ważył otworzyć go i przeczytać. Przyjeżdżam tu, oddaję, opowiadam jako już puszczam się w świat. Było to może na godzinę przed obiadem. Pan stryj przeczytawszy pocichu list, i pogadawszy trocha ze mną, pyta mi się: „Używałeś dziś łaźni, Janku.“ „Nie używałem“ odpowiadam w dobrej wierze. „To pójdź ze mną, pora po temu, zdrowo ci będzie.“ „Zgoda.“ Idziemy. Leżał tam stos chrustu w kącie, alem ja nań nie zważał. Alisci kiedy dobrze dodano pary i pot łać się ze mnie zaczął, pan stryj do chrustu a nie winniki to były takie jak nasze, panie Jakóbie, cośmy się dziś niemi głaskali: gałęzie grube a świeże, daj Boże zdrowia. Nuże, jak mnie zacznie z całych sił okładać, nie szczędząc przytem nauk, oczywiście jako chrzestnemu: jak się mam sprawiać na świecie, Pana Boga chwalić, starej wiary nie opuszczać, wstydu pilnować, matki nie zasmucać. Nie wiem czy słowa były przejmujące, czy cięgi skuteczne, alem płakał jak bóbr...

— A nie krzyknął i razu — przerwał strzec z rozczuleniem — a gdym skończył, padł mi do nóg.

— Jużim ja dobrze wiedział, iż tego dla uciechy ani przez gniew nie robicie, jedno na moje dobre i z polecenia matki. O! jadłżem też obiad potem dzielnie! pamięta pani Stryjenka; na koniu jednak długo przykro było siedzieć; dłużej jednak nawijał się suty podarek pana Stryja, bo po staremu ociąwszy, pogłaskał; po łaźni dał ścierkę, jak nasz Chrobry rabił. Do samych Włoch za wasz grosz dojechałem, jak wiecie...

Przy podobnej o dawnych czasach rozmowie, przy coraz nowym gąsiorku miodu, zesła jeszcze u stołu z jaka godzinka mile i wesoło. Wstawszy, po zwykłych dziękczynieniach Bogu, gospodarstwu i obecnym, Kochanowski wziął stryja na bok i opowiedział mu główny cel swoich odwiedzin. Ucieszył się starzec; wieść o dobranem małżeństwie zawsze była rodzinną radością; za panem Franciszkiem nie wstawiał się też nigdy, jak łatwo zgadnąć można. Żona jego już wiedziała o wszystkim od naszej Kochanowskiej; oboje tedy dali najchętniej i z głębi duszy błogosławieństwo swoje młodej parze klęczącej przed niemi. Gdy się to spełniło, pan Dobiesław szepnął coś swojej Kachnie do ucha, ona poszła do komory, i wnet przyniosła garnek natłuczony. Starzec trząść nim zaczął, ozwał się dźwięk kruszczu; z różnych sztuk złota i srebra, bitych za Jagiellów, zebrał złotych sześćdziesiąt, całą kopę, kazał Ewie nadstawić sukni i wsypał je.

— Masz to od nas, dziewczeczko, na gospodarstwo; na on nowy klasztor, do którego się zabierasz, wielu rzeczy potrzeba.

I zanucił piosnkę dotąd śpiewaną w takich razach pomiędzy naszym ludem:

Trzeba jej dać,
Nie żałować.
Trzeba jej na miskę,
Trzeba jej na łyżkę,
Trzeba jej na sitko,
Trzeba jej na wszystko.
Trzeba jej dać:
Nie żałować...

— A jak posłyszysz o naszej śmierci, Jewulku — dodała pani Dobiesława — westchnij tam za naszą duszę: Pan Bóg i z Ukrainy usłyszy.

Te ostatnie słowa zmieniły radość wszystkich w tęskne jakieś rozczenie, które zwiększyło się jeszcze, kiedy sędziwy Dobiesław żegnając się już z gośćmi swemi powiedział Kochanowskiemu całując go serdecznie:

— Nigdy cię jakoś tak nie kochał jak dziś, mój Janku, nigdyś mi tak ojca nie przyponinał; jakby coś we mnie mówiło: „Już go więcej nie zobaczysz, raz to ostatni.“ I nie dziwota, dla takiego dziada jak ja, któremu starość już trzecie wici okazuje, każdy dzień uproszony.

I rozjechali się; ani przyszło komu wówczas pomyśleć, że nie stary Dobiesław był z brzega.

XI.

A ja zaś tak rozumiem, że do ożenienia,
Nie stanu wysokiego, nie dobrego mienia;
Nawet ani gładkości tak wam szukać trzeba,
Jako wstydu a cnoty, darów przednich z nieba.

Dziewostąb.

Ów dzień poniedziałkowy nie tak wesoło się skończył jak zaczął. Ledwie drużyna Czarnoleska wróciła do domu, ledwie matka zdążyła powitać stęsknione córki i czeladź, a ojciec popieścić cokolwiek Orszulkę, która najpiersza zoczyła zdaleka wracających rodziców, zaraz pan Podkoniuszy oświadczył, iż jeszcze tego wieczora odjechać musi. Gorliwego królewskiego sługę korciło już mocno, że dla rodzinnych powinności i uciech, ukradł dni dziesięć obowiązkom urzędu. Przyjacieli i siostra nie śmieli go zatrzymywać, ile wiedząc, iż nie rad zmienia słowa. Wyjechał więc zaraz po wieczery na całą noc, nie tak suto opatrzony w żywność jakby gospodyni była życzyła, gdyż konno samotrzeć ruszył. Stanąwszy w Grodnie, po odebraniu rozkazów królewskich, miał natychmiast wyprawić posłańca i napisać Kochanowskiemu, kiedy będzie mógł zjechać na zaręczyny, ażeby oni stosowne porobili przygotowania.

Pan Filip bez żadnego przymusu, jednak z wyra-

żnego rozkazu ojca, który jakkolwiek nie znał prawie miłości, wiedział przecież, że o niej człowiek marzy całę życie, a używa ledwie chwil pare, został w Czarnolesie; na to jedynie pozwolił Podlódowski, żeby go o mil kilka na pierwszy nocleg odprowadził; i młodzieniec poradził sobie dobrze, żeby ani jednej chwili widzenia bogdanki nie stracić; na tę noc bez snu się obchodząc, wrócił do Czarnolasu ze świtem, a zdążywszy tylko wykąpać się w czystym stawie, jak miał codzienny zwyczaj, i przebrać się świeżo, stawił się wraz ze wszystkimi na odgłos dzwonu Ludwiny; na łóżko zaś Ewy rzucił nieznacznie wieniec z urywanych w drodze przez las pierwiosnków i przelaszek, oznaka miłości wówczas bardzo używana przy najskromniejszych zalotach. Ewa w dowód łaskawego jej przyjęcia, włożyła natychmiast wieniec na głowę i nosiła go póki nie zwiądł; bo od chwili powrotu z Policzny, nie było już nic tajnego w miłości Filipa; cały dom wiedział i mówił o rychłym zameżciu starszej panienki, a stara Nastka podwoiła dawną ważność swoje, gdyż rozgadywała wszędzie i każdemu: że „ona, nie kto inny wzbudziła ową miłość w sercu przebranego Kozaka swoim opowiadaniem w kuchni, że nawet poznała się na nim odrazu“.

Czy tak było, nie wiem; to jednak pewna, iż już nie jedno usłyszała dobre słowo z ust szczęśliwego młodzieńca, i nie jeden dostała podarek. Tak ujęta, przestała nietylko popierać pana Franciszka, ale i nie żałować go, że odkosza dostał, że go Ewa w grochowy wieniec ubrała. On zaś zaprzestał zupełnie uczęszczać do Czarnolasu. Kochanowski, którego charakter otwarty

i serce kochające nie mogły znieść żadnego udania, zwłaszcza z temi, co mu drodzy i bliscy byli, zaraz nazajutrz po wyjeździe Podlódowskiego pojechał do Policzny rozmówić się sam na sam z panem Franciszkiem. Został go jeszcze w łóżku pod pierzyną i dobrą miał porę zawstydzienia go i wymawiania mu tak gorszącego lenistwa.

— Nie dziwuj się, synowczyku — powiedział — że cię ubiegł w sercu Ewy taki, który dziś całej nocy oka nie zmrużył, mil kilkanaście cwałem ujechał, byle nie stracić jednej chwili oglądania swojej lubej.

I opowiedział mu wszystko, tak jak się był z panią Kasprową ułożył; biedny pan Franciszek aż zapłakał, ale nie umiał odpowiedzieć i bronić się. W tym stanie upokorzenia nakłonił go łatwo stryj, żeby przecie raz wziął się do czego, świata przewidywał, otrząsł się z tej gnuśności; a ukartowawszy wszystko z matką, posłali go naprzd do ziemi Stężyckiej, do syna pana Dobiesława, żeby tam się trochę przetał, nimby do dworu Zamoyskiego był oddany. Pojechał nie mówiąc, milczał jak baranek, zrobił wszystko co kazało, jednak do Czarnolasu nie chciał ani raz zajrzeć, nawet na pożegnanie.

— Rozchorowałbym się niezawodnie — powiedział.

Nasi kochankowie tymczasem słodkie dni i godziny pędzili, a im więcej poznawali się wzajemnie, tem się i lepiej kochali. Ale ich obejście się i rozmowy nie były wcale w dzisiejszym wytwornym guście, obrażyłyby i zgorszyły nie jedną wysokich uczuć damę; i jakkolwiek ich opisowi cały przeznaczyłam rozdział, lękam się, żeby

nie był bardzo krótki i nudny. Tak mało jest do powiedzenia obojętnym o niewinnej i szczęśliwej miłości. Oboje tedy mimo tego, że się kochali serdecznie, jedli, pili, spali wysmienicie; Ewa odplakawszy przez dzień jeden, czy obawę pójścia za pana Filipa, czy myśl zostania się z rodzicami, zaniechała łez, zapewne myśląc sobie, że dosyć będzie wtedy płakać, kiedy chwila odjazdu naprawdę już przyjdzie. Tymczasem zamiast coby się miała pokryć uroczą, księżycową bladością, zajmującym smutkiem, jeszcze była kraśniejsza, weselsza niż zwykle, bo rumieniła się i śmiała daleko częściej. Zamiast powłóczyć zwolna kroki chwiejące i przywozić obraz słabej i giętkiej rośliny szukającej podpory, raźniej jeszcze niż dotąd chodziła, biegła koło gospodarstwa; bo sporzej jej szły domowe zatrudnienia od czasu jak Filip na nią patrzył, jak jej pomagał, i dążyła z niemi jeszcze usilniej, żeby je pokonać, coprędzej, zasiąść do kądzieli albo do krosien, i rozmawiać z nim swobodnie.

Ale i te rozmowy jakżeby się wydały zimne, proste, gminne nawet, obok tych, z jakimi nas oswoiły terazniejsze obyczaje i romanse? Nie było w nich ani słowa o spojeniu dusz, o morzu uciech, o nieśmiertelności kochanka, o rozkoszy łez, o sile poświęcenia, o owych nadziemskich a przecież w gruncie bardzo cielesnych uczuciach, o niesmaku życia, o wstręcie jaki reszta ludzi wzbudza, i t. d. i t. d. Ani Filip, ani Ewa nie tyłkoby się zdobyć nie mogli na podobne rozmowy, ale nie zrozumieliby ich z innych ust. Wołają Boga przeznaczeni sobie, wołają rodziców zmówieni, wiedzieli, że chociaż podobało się jedno drugiemu nawzajem, przecież

dlatego jedynie wolno im się kochać, że wnet mężem i żoną się nazwą; o tej więc przyszłości mówili najchętniej, a ich czystych rozmów nawet dziewczęta Ludwina słuchać mogła. On jej rozповідаł o rodzinie swojej, o wychowaniu, o siostrze, o przybranym ojcu, za którego w każdej chwili gotów był dać życie; o wsi rozległej, co ich własnością będzie; wyliczał piękności i bogactwa zielonego Podola, szerokiej Ukrainy.

— To zupełnie co innego jak u was, inne niebo, inna ziemia; rola raz nawozem spulchniona, rodzić może przez lat dziesięć najwyborniejszą pszenicę; pod oziminę orzą dwa razy, pod jarzynę raz, i na tem cała uprawa się kończy; nie spracuje się tam ani człowiek, ani bydło; te krainy powinnyby zamieszkane być jak tu żadna, i należałoby się, żeby tam król przebywał i sejmy zwoływał, gdyż nie ma żadnej części Polski w tak dogodnym i pięknym położeniu. Obaczycie sama, da Bóg, że ja we wszystkim mam prawdę.

— Ja też we wszystkim wam wierzę — potakiwała Ewa.

— U nas w wielu miejscach nie ma potrzeby sadzić drzew owocowych, rosną same z siebie; wiśni, czereśni, tyle co chłopstwo ledwo przejeść je może; gruszki, jabłka, śliwki suszą, i całą zimę żywność zdrową mają; kawony słodkie i soczyste, większe od dyni waszych rosną na polu. Gospodarze skrzętni, gdyby na żart się zajęli sadem, wnetby najcudniejsze mieli owoce, prawie winogrona.

— O! ja się nauczę od ojca i nasadzimy winnice — dopowiadała dziewczyna — będziemy potem mu przysyłać

studzienickie wino. Tego i dziadunio Dobiesław skosztuje, bo nas nie kosztować nie będzie, krom trocha pracy.

— A jakie to łąki nasze i pastwiska! co za bydło! jakie konie! jaka woda kryniczna ze skał wytryskuje! Wasza Wisła szeroka i poważna, ale nasz szumny Dniestr, gdzie piękniejszy? wody jego czyste, zimne, bystre, dziwnie zdrowiu pomocne. Nasze pola dotykają lewej jego strony, każę wam rozbić namiot, cośmy w wojnie moskiewskiej zdobyli, i będziecie się kąpać bezpiecznie, z kobietami dobrze świadomemi miejsca. W łożysku Dniestru w górach ja sam znajdowałem kamyczki krzemieniem powleczone, w których ukrywają się drogie kamienie, czerwone rubiny i inne; w Łuczyńcu, niedaleko nas, jest głęboko w ziemi glinka miękka, mydlasta, która do prania płócien używaną być może; a jakie to lny u nas: dopiero prząść cienko będziecie.

Ewa słuchając tego wszystkiego otwierała wielkie oczy; już z pewną pogardą na piaski i na sosny Czarnoleskie patrzyła. Ziemią obiecaną było dla niej Podole.

— To tylko bieda — mówił jeszcze — że lud daleko ciemniejszy jak wasz: nie mówią po polsku, nie umieją radzić sobie, ni to jarzyn przechować przez zimę, ni płótna dobrze wybielić; prawda, że to po części wina panów: jest ich nie wielu, gdyż posiadłości ogromne, a mało który w nich siedzi mając inne dobra bliżej stolicy; druga rzecz, nie takie bezpieczne życie jak tu; oczywiście jak na pograniczu, jeśli nie od Tatarów to od Turków, a nie, to i Kozacy umieją dać się we znaki.

— Ani jedno, ani drugie nie mnie nie odchęca, ani straszy — mówiła Ewa — kiedyć mnie pan Łukasz wy-

uczył dosyć gładko łaciny, to wy mnie nauczycie daleko prędzej ruskiego bratniego języka; będę z kmieciami rozmawiać, będę ich tak odwiedzać jak naszych Czarnoleskich, będę ich uczyć różnych tajemnic gospodarskich, których mnie matka nauczyła, i zobaczycie, wnet zlagodnieją. Przy was, nie bałabym się żadnej napaści: wy mnie obronicie.

— I miałbym nawet gdzie was ukryć, broń Boże — jakiej straszliwej. W naszej rzece Ladawie, nad samym Dniestrem jest skała, do której my jedno z ojcem wiemy jak się dostać; gdzie już po kilka razy chowano co było najdroższego w domu: tam jest jakby cerkiew i trzy cele wykute, musieli tam przed wiekami Czerńcy mieszkąć. Ojciec niedawno kazał drzwi i okna porobić, samiśmy je osadzili; widok z nich pyszny i rozległy; opatrzyłbym tak, żeby wam i kobietom waszym na niczem nie brakowało, a skorobym pogodną chwilę upatrzył, zakradałbym się do was.

Na takie opisy Ewa widziała się już w owej niedostępnej skale nad Dniestrem, witając męża zwycięzcę; i kto wie, może i rada była w tej chwili, żeby znowu kiedy Tatarzy na Podole napadli.

— Za to — mówił jeszcze młodzieniec — nasze wieśniaczki ubierają się piękniej niż wasze (a właśnie kiedy to zaczął, przysła była do Ewy dziewczucha wiejska z jakąś prośbą, w grubej koszuli, w szarej ciasnosze, i w płachcie, którą i głowę i kibić nakryła); nasze Podole już niedaleko owej sławnej niegdyś Grecyi, i nasze kobiety przejęły coźkolwiek ze stroju Greczynek. Kiedy wychodzą z domu, zupełne namiotki kładą na głowę;

jak je rozpuszczą, całe są zasłonięte do samych stóp; a kiedy je zdejmą, widać koszulę płonistą, nieco otwartą na piersiach, krótką spódnicę, zapasek krótszy jeszcze, a na głowie włosy splecione, jakby korona, wieniec zielony, i wstążki w kilku barwach rozpuszczone z tyłu: zaprawdę, strój śliczny, ale bo też i kobiety nasze do-rodne.

Na ten raz nie podobał się jakoś Ewie ten taki szczegółowy obraz; nie powiedziała nic, lecz z większą jeszcze życzliwością niż zwykle dała odpowiedź czekającej, a suto szpetnej dziewczusze, Filip może bez namysłu, tylko z instynktu, dał już pokój kobietom Podolskim i strojom.

— Będę też was miał gdzie wozić, i różne osobliwości wam pokazywać — mówił — pod Jampolem, na Dniestrze jest poróg z kąd na jakie dwadzieścia stóp wysokości woda spada; rzecz to prześliczna, mianowicie kiedy słońce świeci, jakby dyamenty się toczyły, wśród śnieżystej kurzawy. Pojedziemy i do naszego Mohilowa; dziwne miejsce! tygodniem całym wcześniej w nim wiosna, a tygodniem później zima niż gdzieindziej; kiedy na górach otaczających miasto, jeszcze saniami jeździć trzeba, tam już drzewa kwitną.

— Czy i w Studzienicy tak? — zapytała już udo-bruchana Ewa.

Filip kłamać nie umiał, nie przyszło mu też na myśl słówko, którem więcej wprawny zalotnik byłby się wywinał: „że gdzie ona będzie, tam wieczna wiosna;” nie więc nie odpowiedział, tylko tak dalej mówił:

— Z Mohilowa pojedziemy przez wielkie, głębokie,

długie doliny do Kamieńca, mil blisko dwadzieścia. Może kiedy i do starego Kijowa zajrzemy, na ośm mil w około dawne mury się ciągną i pyszne są cerkwie. W pieczarach pełno jest ciał umarłych niegdyś za wiarę świętą męczenników, które się nie psują a są cielistej barwy, wcale nie czarne. Jest tam osobliwie ciało św. Barbary; ładnie a wdzięcznie patrzy, w długie i przejrzyste płótno odziana, z długimi i miękkimi włosy gdyby len... Wiele ona już serce nawróciła i nawróci ku Bogu, tem swoim wdzięcznem patrzeniem... Ten Kijów musiało to być wspaniałe miasto staremi czasy. Słyszałem sam od naszego księdza biskupa, Paca, iż do Kijowa aż ku Smoleńskowi są podziemne przechody, co nawet pod Dnieprem są prowadzone; przeznaczaby to była a prawie nadludzka robota. Będziemy też zwiedzać i miejsca cudownemi obrazami słynące: Tynnę, Latyczew, Grodek, Woukowce...

— A! i tam jest Grodek, jak tu nasz, co Stryj Andrzej w nim mieszka — zawołała zdziwiona Ewa. — Ale wy mnie coś bardzo bałamucić chcecie tak wielkimi podróżami? matka nigdzie nie jeździła, a ja ślubowałam naszej Matce Boskiej, że będę tak dobra jak matka; ojciec zawsze mówi: „Białogłowie domu pilnować należy. Biada tej co cudzych domów patrzy“.

— Jedno też w pierwszym roku, — zapewnił Filip — kiedy jeszcze nikogo do pilnowania nie będzie. Dalszych lat ja sam nie pozwolę.

Na tę uwagę Ewa uśmiechnęła się, ale wnet spłoneżała i spuściła oczy, Filip tak jeszcze powiedział:

— Bo nawet dla potrzeb gospodarskich po różne

rzeczy do miasta jeździć wypadnie; młodzi nie mogą dziś tak się obchodzić jak pan Dobiesław z żoną: należy tak robić jak inni. U pana ojca, jednego jest nadto, drugiego wcale, zwyczajnie jak tam, gdzie gospodyni od tylu lat niema. Jabym rad żeby u nas tak było jak u wszystkich rodziców; jeszcze żaden dom szlachecki tyle mi się nie podobał.

I tu dopiero rozpowiadać zaczynał szeroko Ewie, jaka to jest Studzienica. Jeżeli byli w ogrodzie, kreślił szablą na piasku gdzie stał dwór, gdzie stajnie, gdzie wieś, gdzie kościół udatny, który pan ojciec z bogactw na nieprzyjaciela zdobytych postawił, i coraz go ciekaw nowem zdoł; gdzie inne zabudowania; gdzie się odbywają ćwiczenia i gonitwy rycerskie; gdzieby ogród, gdzie sady najlepiej założyć? kędy nową drogę przeprowadzić? radził jej się o sprzęt domowy, o liczbę czeladzi, i o inne podobne rzeczy. A widać trudna musiała być rada, choć się nigdy nie spierali o sposoby bo rozmowy ich codzienną wznawiane nie wyczerpane były.

Kochanowska nie przeszkadzała im do nich bynajmniej. Wprawdzie sama poszła za swego męża nie przemówiwszy do niego więcej nad słów parę w obecności brata albo zakonnic, i była szczęśliwą; ale uważała to zdarzenie jako i cały los swój za traf nadzwyczajny, równie jak miała męża swego za nadzwyczajnego człowieka; w pospolitem życiu, z ludźmi pospolitemi, zgadywała że wielką musi być ulgą i pomocą dla dziewczki znać choć cokolwiek tego, któremu wnet całą siebie oddać przyjdzie, i ośmielić się do niego trochę. Już tedy jako prawdziwa matka wyzuwając się zwolna

z praw swoich do córki, mniej dbając o własną posługę i wyręczenie, nastęczała sama Ewie jak najczęstsza sposobność rozmawiania z Filipem, zawsze jednak pod swoim okiem.

— Słyszeć niemam potrzeby co bzdurzycie — mówiła do córki — wreszcie wiem że to powtórzysz; lecz widzieć nieustannie was muszę, i pamiętaj to sobie raz na zawsze, teraz dla siebie, później dla córek, jak ci je Pan Bóg dać raczy: panna uczciwa, nigdy pokątnych rozmów mieć nie powinna, już ani wspominam z obcemi mężczyznami, bo mi się to widzi płochosć zbyt wielka, ale nawet ze swoim bogdanem; do samego ślubu zawsze starać się ma, żeby ją na każdy moment oczy ludzkie widziały. Na taką pannę nigdy nikt nie złego nie powie, choćby też jakim przypadkiem zamierzone małżeństwo nie doszło do skutku. Zmówiny, to nie zaręczyny; narzeczony jeszcze nie mąż: i od ołtarza oblubieńcy się rozchodzą.

Dziwne też to były, za tego Batorego, matek nauki i bardzo nudne romanse, pomyśli sobie przeczytawszy ten rozdział nie jedna dojrzała światowa dziewczica; za tych dawnych czasów tak zachwalanych ani warto było być młodą i ładną. Młode zaś, niewinne i dobrze wychowane dziewczeczki powiedzą na głos w tem miejscu:

Mój Boże! jak też ten świat nie się nie odmienia! Matka nas tak samo przestrzega jak przestrzegano w XVI wieku, i my tak samo postępować chcemy.

Lube dziewczeczki, słusznie mówicie; na wszystko co dobre i piękne, przedawnienia niema; błogosławcie matkę i idźcie za jej radami, skromność wasza i sława

pewne; może nie tyle się nasłuchacie w oczy cukrowanych słówek, ale też was nie obmówią za oczy; może mniej użyjecie zabawy, ale więcej szczęścia; może mniej, albo wcale zalotników mieć nie będziecie, ale pewno mąż zacy wam się trafi. „Cnota hojnie płaci utraty dla niej podjęte“ powiedział mądry i pobożny pisarz.

XII.

Kto z gospodarstwa, a kto zaś z wysługi,
Zbierze dostatki i z kupiectwa drugi;
Jeśli się żona nie przyłoży ktemu:
Zginąć wszystkiemu!

I. I.

— Cóż dziś moja Hanna tak nas do pacierza zagania? — szepnął jednego wieczora Kochanowski Filipowi, widząc że żona, ledwo co usta po wieczerzy otarli, już każe Lndwinie iść dzwonić na modlitwę. — Pewno musiała coś arcy naglącego w swojej księdze wyczytać, i jutro chce wstać przed świtem. Ta księga, nie wiesz jeszcze bratku, to nasz statut Czarnoleski: wszyscy rządzić się według niego musimy, i ty się nie wybiegasz.

A wiedzieć trzeba, iż Kochanowska jako staranna gospodyni, miała prócz kalendarza Krakowskiego drukowanego, który oczywiście co rok się odmieniał, swój osobisty, pisany, wieczysty, czyli Pamięć robót gospodarskich w każdym miesiącu, zacząwszy od pierwszego Stycznia do ostatniego Grudnia. Zebrane tam było dokładnie i prawie dzień po dniu: „co i jak przez cały rok z kolei robić wypada“, żeby dom był zawsze zaopatrzony jak się należy, żeby czas się znalazł na każdą robotę. Był to sposób najlepszy niezapomnienia o niczem

i załatwienia każdej rzeczy w właściwą porę. Ta księga arkuszu, w treści swojej bardzo ważna, użyteczniejsza podobno dla ziemianek od sztambuchów i albumów, oprawna była w skórę, zamknięta na srebrną klamrę, i pisana na pergaminie wielkimi literami; każdą kartę przegradzał arkusz białego papieru, a to dla tego, że rok każdy nowe doświadczenie przynosił, i do nowych dopisków stawał się powodem. Znana i szanowana od dzieci, domowników i sąsiadek, leżała zawsze w pokro-
wie, na pulpicie, w oknie wspólnej izby, i nieraz zastać było można Kochanowską, dumającą głęboko nad nią, albo też odczytującą głośno wyjątki z niej córkom i czeladzi.

Dosłyszała pani Wojska słów nieco ucinkowych męża, a z przyrodzoną sobie wesołością odrzekła:

— Zapewne, zem wyczytała: jutro, wyjąwszy waszą miłość i wasz pokój, cały dom będzie w ruchu pod mo-
jemi rozkazami i znajdzie się i dla gościa robota. Maj za pasem, wszystko do samej Niedzieli wróży nam czas piękny; kalendarz obiecuje pogodę; jeźliby deszcz padał, to chyba strunami, jak pisze; słońce też jasno zachodzi, sól sucha, jaskółki wysoko latają, żaby rażno skrzeczą. Nastka dzwony Zwolenńskie dziś słyszała, co zawsze stała pogodę zwiastuje; trzeba przeto wziąć się bez zwłoki do roboty zapisanej w moim statucie na początku pią-
tego rozdziału. Wstąpiwszy, da Bóg, w przyszły miesiąc, wypadną inne zatrudnienia nieprzewidziane w tej księ-
dze — dodała z uśmiechem patrząc na Filipa — a co z głowy, to zawsze zyskane. „Co masz dziś zjeść, scho-

waj na jutro, a co masz jutro zrobić, zrób dziś: tak mawiali starzy ludzie.“

Nie przekomarzał się już więcej Kochanowski, ow-
szem, gorliwość żony i zamiar pochwalił; ona zaś praw-
dziwa kobieta, a zatem cokolwiek przebiegła, nie wy-
mieniła głównej przyczyny, dla której przyspieszała ro-
botę, zwykle w ciągu Maja odbywaną; oto rada była
zręczności popisania się od niechcenia przed przyszłym
zięciem, z dostatkami domowymi, i z biegłością swoją
i córki, w ich utrzymaniu.

Tą robotą bowiem był przegląd szatni i jej prze-
wietrzenie. Ale trzeba naszym dzisiejszym czytelniczkom
jaśniej to opowiedzieć.

W owych wiekach, kiedy ubiory męskie i żeńskie
trwały nie pare miesięcy jak terazniejsze, ale kilkanaście,
czasem kilkadziesiąt lat, po wszystkich pańskich domach
bywały izby, komory, często i budynki osobne przezna-
czone na szatnię, czyli na schowanie wszelkich szat, to
jest rzeczy należących do stroju, ubioru, odzieży, a do
których liczyły się i niektóre porządki domowe, jako
to: kobierce, makaty, obicia, pokrowce, pościel i t. p.
Dozorca szat pana, zwał się szatnym, miał kilku pachol-
ków pod sobą, i był uważany za jednego ze znacznie-
szych urzędników dworu; dozorczynią szat pani, była
panna wyprawna, czyli z wyprawą jej dana: rozkazów
tej panny orszak dziewcząt słuchał. Oboje odbierali po-
wierzone sobie skarby pod rejestrem, i przynajmniej raz
do roku przed wyższymi od siebie urzędnikami, albo też
i przed samem państwem liczbę ścisłą zdawać z nich
musieli. Zwyczaj ten bardzo chwalebny, który wiele

oszczędzał, do wielu zbytków i nadużyć panom i służącym drogę tamował, rozsądnej hojności dogadzał, był naśladowanym przez gospodarniejsze domy szlacheckie; i Kochanowska rządną białogłową, wprowadziła go i utrzymywała u siebie, z tą jedynie różnicą, że szatnia Czarnoleska nie była w osobnym budynku, ale w domu mieszkalnym pod dachem, nad bawialną salą, a ona sama była i szatnym pana i własną wypraw panna, naprzód z pomocą Nastki, a od lat kilku z wyręceniem się starszych córek.

Nie jedna dzisiejsza polska gospodyni, w której podróże i pobyt w obcych krajach, zabawy światowe, nie wytepiły zamiłowania ojczystego gniazda i niewinnych uciech, jakie kobieta tylko we własnym kraju i domu mieć i kosztować może; nie jedna, mówię, prawdziwa Polka (a staje mi na myśli kilka podobnych w tej chwili), z rzetelną przyjemnością byłaby przejrzała szatnię pani Kochanowskiej, i ściagała ją samą we wszelkich zatrudnieniach i pracach jakich wymagało utrzymanie tego składu, nie tylko w dnie przeglądu, który na wiosnę i na jesień się odbywał, ale przez ciąg całego roku. Poddasze było obszerne i długie przez całą głębokość domu, z dwoma oknami na przestrzał; w środku były stoły, pod ścianami szafy z grzędami, z półkami, skrzynie na krąglakach luzem stojące, żeby je zewsząd owiewało powietrze. Każda szafa, każda skrzynia, szczelnie zamknięta obejmowała odmienne rzeczy: tu były szaty Kochanowskiego, tam jej samej, owdzie córek; tu nie tylko futra, tam bielizna, tu znowu domowe porządki, albo nietknięte jeszcze zapasy: półsetki płótna, obrusy,

ręczniki, płócenka, drelichy, baje, sukna. Raz w tydzień zimą czy latem, owa szatnia okurzana i zamiatana była; wietrzona, o ile razy dozwalała tego pogoda. W każdy wieczór sobotni, Kochanowska przychodziła tam z koszami; dla córek ku domowej wygodzie, brała co na tydzień potrzebnem być mogło, do czego znowu na dole w sypialnej komnacie miała przyzwoite schowanie. Nic do szatni inaczej nie wracało, tylko czyste i całe; to czego już niepodobna było naprawić i nosić, odkładano w skrzynię osobną do głównego przeglądu i do ostatecznego wyroku; a zgadnąć łatwo, iż w domu nie mającym a oszczędnym, gdzie sześć było córek, nie jedna szata już leżąca w ukryciu czas jakiś, wychodziła znowu na jaw wyczyszczona, przerobiona, ale coraz mniejsza. Lecz do tego wszystkiego trzeba było zachodu, wiadomości, biegłości, i koniecznie należało zająć się tem parę razy do roku z gruntu.

Nie tedy dziwnego, iż jak już nadeszła pora owego zajęcia, gospodyni była czynniejsza jeszcze niż zwykle, i raniej wstać chciała niż codziennie. Muszę nawet wyjaśnić, że Kochanowska nie spała dobrze tej nocy, choć i mąż i wszystkie dzieci były zdrowiuteńkie. O północy zdało jej się jak gdyby mocny deszcz padał, wstała słuchać pod oknem; około drugiej, znowu się obudziła; przez serce wykrojone w okiennicy, promień księżyca do sypialni się wciskał, a ona myśląc że to już słońce, zerwała się i ubrała; a choć się przekonała że to jeszcze noc, bojąc się zaspać, od niechcenia już tylko na łóżku się położyła, i drzemała lekko do świtu. Skoro się uka-

zał, w moment jeden cały dom zbudziła a sama wyszła przed ganek.

Wszystkie wróżby pogody się spełniły: niebo było zupełnie czyste, czasem tylko lekki obłoczek, jak gołąb biały ukazał się na chwilę na błękitcie i zniknął. Zacierając ręce z radości, gospodyni zaczęła rozrządzać robotą i robotnikami. Już za dworem, ze strony sadu, w tak zwanym ogrodzie nie daleko ciennika chróścianego na łączce, gdzieśmy pierwszy raz Orszulkę poznali, parobcy wbijali kilkanaście rzędów pali wysokości człowieka; na tych palach, skoro opadła rosa zaciągniono sznury, a po rannym pacierzu i sutszem niż codziennie śniadaniu, zabrali się wszyscy do pracy.

Kochanowska rozpowiadawszy dobrze starszym córkom i Filipowi w jakim porządku wieszać i rozpościerać szaty, poszła z Nastką na górę, i przez dziewczki służebne posyłała suknie, futra, i inne rzeczy, dopóki ich stało. Schodziły obciążone kobiety z trudnością, głowy im nie było widać przed stosem ubiorów, ale za to wracały lekko i swobodnie wyprzedzając jedną drugą, i ochoczo nadstawiały plecy i ramiona po ciężar nowy. Gdy już wszystko w szatni wypróżniono, dziewczki z miotłami i ze szczotkami zajęły się wyczyszczeniem poddasza, szaf i skrzyń.

— Jeżeli pyłku kurzu i ani jednej pajęczyny nigdzie nie zostawicie — powiedziała im pani odchodząc — czółko z pięknymi wstążkami każdą z was czeka.

Zabrały się do roboty z podwójną ochotą, a ona zeszła na dół, pańskim okiem wszystko zobaczyć.

Już wszystkie sznury były zasute; niektóre nawet rze-

czy, jako to: kobierce, opony, makaty, sztuki całe rozciągnąć musiano na trawie, i piękny był widok tych szat rozmaitych i tkanin różnobarwnych. Rozjaśniło się czoło Kochanowskiej na widok tylu przyborów, a niektóre wzбудziły jej czułość. Tu wpadła jej w oko ślubna suknia ogoniasta, adamaszkowa biała z wielkim wzorem srebrnym, tylu tajemnych i rozmaitych uczuć świadek niemy. która już nieszczęsnej jej matce w podobny dzień służyła, wnet Ewie posłuży, i z nią na Podole wróci; tu znowu spojrzała na kożuszek jarmuszkowaty, tabinowy, popielicami obłożony z szerokimi rękawami, w jaki była ubrana, kiedy pierwszy raz zjechała do Czarnolasu, i obaczyła ten świat swój, gdzie miała żyć zawsze, i tak szczęśliwie. Tam dalej postrzegła kabat z aksamitu amarantowego, sobolem obłożony, który mąż jej kupił w Krakowie za pierwszą córkę; trzy razy go tylko miała na sobie, bo go chowa na dzień zaręczyn i ślubu dzieci swoich.

Na drugim sznurze wiszą męzowskie szaty: płaszcz rasiany, rewerenda falendyszowa, kołpak gładki aksamitny, jarmułka tabirowa, ubiór zupełny w którym zagranicą chadzał, kiedy się uczył w akademiach i księdzem miał zostać; nieco bliżej, strój czarny dworski jedwabny, trochę z hiszpańska, biret z piórami, krezy białe, bo Zygmunt August taki lubił i nosił najczęściej. Na obadwa niechętnie i niedługo patrzy Kochanowska; zawsze jej to przychodzi na pamięć, że kiedy je mąż nosił, jakaś tam Lidya, paryżanka, jakaś Hanna dworka panowały w jego sercu; woli przeto obejrzeć żupan jedwabny fijałkowy z wysokim kołnierzem, kontusz zie-

łony aksamitny z guzami koralowemi, pas złocisty, czapkę aksamitną białą sobolem obłożoną, bo ten ubiór jego słubny; woli przyjrzeć się starannie futrom rozmaitym, z których nie jedno kosztowne i rzadkie. Bo wtenczas Polacy i Polki nie zbałamuceni klimatem zachodnich i południowych krajów, zgadzali się z własną strefą i stosowali się do niej, korzystając ochoczo i wdzięcznie ze wszelkiej obrony przeciw zimnu północnemu, jakiej nam hojnie udzieliła Opatrzność. Zamiast się starać o blondyny, koronki i wszelkie robótki na przebój, dziś tak wzięte i przepłacane, a które i od wietrzyka letniego nie osłonią, dawne Polki w futra się zaopatrywały, futra były ich odzieżą i strojem. Zawsze na kołku przy łóżku wisiał dostatni kożuszek, u bogatych sobolowy, u mniej majątnych popielicami, lisami, wreszcie królikami, barankiem podszyty; niewieście zrywające się w nocy do dzieci, albo skoro świt do gospodarstwa, nieraz i w Sierpniu nie wydał się zbyt ciepłym; gdyż jak wiadomo tym co rano wstają, u nas „od świętej Anki, chłodne poranki“ a i przed świętą Anką nie tak wiele ciepłych.

Skoro zima nadeszła, już Polka futra z siebie nie zdjęła; miała lepsze, krótkie szaty niem podbite, do domu; ciężkie, długie do kościoła, czy w sąsiedztwo. Do stroju, na wielkie zgromadzenia, do dworów królewskich i pańskich, aksamitne, adamaszkowe i atlasowe jej suknie, pod samą szyję, z długimi rękawami, także futrem podszyte, a przynajmniej okładane były; naszych królewien najzamożniejszych wyprawy, niemal z samych futer się składały: im białogłowa była bogatszą, tem

ich więcej na sobie nosiła, uważając ciepłych szat niedostatek za dowód srogiego ubóstwa; wszak nawet owe krostki, które występują na ciele z zimna, w naszym logicznym a tak często poetycznym języku sierotkami się zowią. I zapewne, gdyby jaka matrona z czasów Zygmuntowskich obaczyła dzisiejszą polską elegantkę, z której w mroz trzaskający suknią koronkowa prawie do połowy ciała spadła, która do krótkich przed łokieć rękawów, ledwie się zdobyła na króciółkie do kostki rękawiczki i resztę gołej a zsiniałej ręki, jak może przezroczystą chusteczką osłania, nie poznawszy się na tem, że owa suknia kilka tysięcy, a owa chustka kilkaset złotych kosztuje, litowałaby się nad nią jak nad biedaczką i sierotą jaką, co niema czem się odziać; a gdyby jej kto z boku powiedział: że to bogata pani ale niewolnica mody, przeżegnałaby się zapewne z podziwienia, albo też wzruszyłaby ramionami.

Ale też matrony Zygmuntowskich czasów, owych dziwnych bólów i chorób rozmaitych, które dziś nasze Polki dręczą, nawet z nazwiska nie znały; żadna, ani hetmanowa, ani kancelarzyna, ani senatorowa, tembardziej prosta szlachcianka nie potrzebowała wód i lekarzy zagranicznych, włoskiego nieba: każda zdrowa, czerstwa, dzieci silne rodziła Ojczyźnie, później i szczęśliwej dochodziła starości.

Kochanowska idąc za powszechnym przykładem i za własnym rozsądkiem, największe bogactwo szatni swojej zakładała w futrach. I ona i córki miały pare kożuszków codziennych i jeden od święta, miały i czuchy czyli szuby, a na wielkie mrozy spódnice ich nawet

były futrem podszyte. Traciła może na tem kibić, ale zdrowie zyskiwało. Kochanowski miał także kilka futrzanych ubiorów zupełnych, delią, szubę; i ten był cel najważniejszy wiosennego przeglądu szat, żeby futra zimowe dobrze wytrzepane, ponaprawiane, ułożyć w skrzyniach, póki jeszcze robactwo łądz się nie zacznie, przekładając je smolnem łuczywem, przesypując pieprzem i różnemi ziołami, a potem owinione ściśle w płótna, zamknąć szczelnie aż do pierwszych dni Października, pory, kiedy je wydobywano z więzienia, żeby znowu do Maja służyły; miano bowiem wówczas za jedną z największych kalendarskich bajek owe słowa: „Zima się zaczyna 21-go Grudnia, a kończy 21-go Marca“.

Ucieszona Kochanowska widokiem domowych dostatków i pomyślnym stanem szacowniejszych rzeczy, równie dumna jak troskliwy dowódzca, kiedy przed nim sute i dobrane roty w porządku wystąpią, nie mogła na ten jeden raz oprzeć się pokusie; pobiegła do męża pokoju, zastukała do drzwi, chociaż wiedziała że on tam rozmyśla i pisze, i prosiła żeby koniecznie przyszedł niebawem, bogactwa ich zobaczyć. Właśnie pewien paru godzin wolnych, zdjął był z siebie zwierchnie suknie, odpasał szablę, usadowił się wygodnie, i rzucał na papier pieśń co sobie był w myśli ułożył, wracając dziś z pola; uderzył go był nagły postępowy wiosny, szeroką Wisłę widział z daleka, gdyż jeździł do wzywającego jego rady sąsiada. Tyle już był napisał:

Serce rośnie patrząc na te czasy!
Mało przedtem gołe były lasy,
Śnieg na ziemi wyżej łokcia leżał,
A po rzekach wóz najcięższy zbieżał.

Teraz drzewa liście na się wzięły,
Polne łąki pięknie zakwitnęły;
Lody zeszły, a po czystej wodzie
Idą statki i ciosane łodzie.

Teraz prawie świat się wszystek śmieje,
Zboża wstały, wiatr zachodni wieje;
Ptacy sobie gniazda obmyślają
A przededniem śpiewać poczynają...

Przecież chociaż dopiero był w połowie tak miłego i gładkiego utworu, na pierwsze zawołanie żony położył pióro a wdziwając na siebie złożony kontusz, mówił sobie:

— Należy mężowi brać uczestnictwo w pracach dobrego życia; ona nieboga cały rok się trzyma, i nie wymaga innej zapłaty nad dobre słowo moje.

Poszedł więc, a skoro spojrzał na ubarwioną łąkę, uśmiechnął się nadobnie i rzekł:

— Panie Rotmistrzu, nie zdaje się wam, żeście z ojcem jaki obóz tatarski zabrali, i w namiotach carzyka znaleźli moc dostatków. Pani żono! wy cichaczem musicie się bawić z działawą podobnemi wyprawami, bo ja, dalipan, tylu domowych przyborów nie pamiętam.

— Są ci tu i tatarskie, i moskiewskie i tureckie zdobycze — odrzekła Kochanowska, a to mówiąc pokazywała mężowi i Filipowi podarunki braterskie w rozmaitych czasach im przysyłane.

— Zaprawdę — powiedział poeta obszedłszy sznury na których szaty jego wisiały — jakby kronikę mego życia czytał! Ten kontusz piaskowy wytarty i taki szczupły, którego bym dziś ani dopiął, przerobiony z ojcowskiego żupana; miałem go na sobie kiedym poznał

drogiego przyjaciela; on był świadkiem naszej zmowy, on słyszał naszą przysięgę: Jakób przypominałby go sobie odrazu. A ów zagraniczny, ów dworski strój! o! dobrze co gadać nie umięją, miałyby wiele do powiedzenia... Ręczę, co tam w kieszeniach jeszczeby znalazł jakie wierszyki krotofilne czy miłosne:

Lubeż me wesele, lubeż me biesiady!

albo

Matko miłości!

Szafarko trosk i radości...

— Już ja zdawna wszystko wytrząsnęłam — przerwała Kochanowska nie bardzo rada przypominaniu tych czasów i wierszy, zwłaszcza przy córkach — mole najsmadniej w papier się wdadzą: rzecz niebezpieczna. Ale panie mężu, ja nie dla samej mojej uciechy was tu zwabiłam, musicie mnie dopomódz w jednej ważnej sprawie.

To mówiąc odprowadziła go cokolwiek na bok, a głos spuściwszy tak powiedziała:

— Przy Boskiej pomocy zdaje się być rzeczą pewną zameżcie naszej dziewczki; po zaręczynach wypadnie zaraz myśleć o wyprawie: niepodobna inaczej, jedno uczciwie córkę opatrzyć i dać z domu, a jeszcze najstarszą! Chciałam tedy za jedną drogą odłożyć co będzie można i z radą waszą.

— Zupełnie w tem na ciebie się zdaje, Hanno moja — odpowiedział Kochanowski — ty się na tych rzeczach lepiej znasz; rób przeto co jedno zechcesz, pamiętajac przecież, iż Ewa jakkolwiek pierworodna, nie jedynaczka;

i że da Bóg doczekać, cztery takie wyprawy, matko, będziesz miała do dokonania.

— Pięć, panie mężu, pięć — odrzekła z żywością — jedna święta nasza, co niczego nie potrzebuje i potrzebować nie będzie; jej najlepsza częśćka już się dostała: patrzy na te wszystkie kosztowności, jak drugi na błoto; ale co Orszulka, ta dostanie odemnie sutą, bogatą wyprawę, a choć najmłodsza, doczekam, przecie tego, że bym ją także do ślubnej łóżnicy w moim amarantowym kabacie zaprowadziła. Patrzcie sami, jak ona tu ciągle biega, śpiewa, chwali, śmieje się. Jak się przygląda teraz ciekawie owej zielonej bławatnej sukni z tureckim haftem: schowam ją dla niej... Orzulko! Orszuleczko! chcesz, życie moje, daruję ci tę sukienkę? — wołała na nią pieścizotliwie.

— A mnie na co? — odpowiedziała dziecina, i według swego zwyczaju poczęła sobie biegać i śpiewać rymując:

Te stroje
Wezmą siostry moje;
Orzulki szaty:
Gieźleczo i kwiaty.

Ojciec już zapominając i wierszy zaczętych w pokoju, i rad które miał dawać żonie, zajął się cały ową najdroższą pociechą swoją; poszedł z nią i długo bawił się jej słowy, jej wdzięcznymi żartami: to mu trafiała na ułkon pana Rotmistrza, to wyrażała wspaniałą postawę Podlodowskiego, to udawała obyczaje panien i dziewcząt, które były w Czarnolesie ostatniej Niedzieli; to jakieś bądź on jej powiedział wiersze, zatrzymywała je w pa-

mięci, jak gdyby na kamieniu się wryły; a co chwila obejmowała jego szyję ręczynkami swemi, jakby mu dziękując, że ją nie oddała od siebie, że jej pozwala z nim się nacieszyć. O, zaprawdę! dziwić się nie było można Kochanowskiemu, iż tak miłuje to dziecko, bo rzadkie to było dziecko, i z ранnego rozumu i z dawniejszej jeszcze dobroci i czułości, sprawdziło te słowa:

Iż ledwie się kiedy dziecko urodziło,
Coby łaski rodziców swych tak godne było *).

Tymczasem Kochanowska ciągnęła dalej rozpoczęte dzieło. Córkom rozdała roboty: Ewie zszywanie porozparanych futer, Dorocie wybieranie ze starej bielizny lepszych kawałków na onuczki, a była nie mała potrzeba płótna na tyle osób; dwom młodszym kilka szat do sprócia dla łatwiejszego przerobienia. Ludwinie zaś w takim razie dostawało się zajęcie zgodne z jej sercem, i naprzód się cieszyła na nie: jej było poruczone upatrywać i odkładać rzeczy, które już jedynie dla ubóstwa przydać się mogły, a które potem połatawszy, przerobiwszy własną ręką, rozdawała według potrzeby, to wieśniakom Czarnoleskim i ich dzieciom, to przecho-dnim żebrakom. Bo Ludwiny pobożność była razem orderwana i czynna; a jeżeli jej anielska dusza najczystszych rozkoszy używała w modlitwie, w rozmyślaniu, w czytaniu ksiąg świętych; jeżeli dla niej samej Bóg wystarczał zupełnie, lubiła żeby przez nią drudzy dóbr i pociech ziemskich używali i to było jej najśladzą u-

*) Tren XII.

ciechą. Kiedy ją kto chwalił z tego wyzucia się samej siebie, a wylania się całkowitego dla bliźnich, mawiała z głęboką, z rzetelną pokorą:

— Czego mnie chwalicie? ani ja się sama stworzyła, ani ja się sama wychowała: Bogu a rodzicom chwała.

I dla tego to wyższe jej usposobienie nie było nikomu natrętne, nie pokorzyło nikogo, ani też ją samą wbijało w dumę i w tę myśl, która tak często jest skropulem dla doskonalszych, więcej duchownych osób: iż są wyżsi nad sferę swoją, i marnieją w niej żyjąc.

Ale wróćmy do Kochanowskiej.

Po wielokrotnem obejściu sznurów i troskliwem liczeniu na pięciu palcach; po głębokim namyśle i długiej radzie z Nastką, odłożyła na bok część starszej córki do większej skrzyni, która już oddawna Ewy imieniem naznaczona była; zamawiając jednak u samej siebie, iż rozpatrzy się jeszcze w tych rzeczach za dni kilka, i wezwie do ostatecznego sądu nietylko męża, ale i brata, skoro wróci. Kiedy idzie o to żeby drugich dzieci dla jednego nie skrzywdzić, możeż dobra matka być nadto troskliwą? Suknia tylko ślubna bez żadnego namysłu i pytania się, odłożoną została dla przyszłej pani Rotmistrzowej, chociaż w całej szatni nie miała równej sobie; był to już przywilej starszeństwa, na który sarkac, młodsze siostry nie miały żadnego prawa; i Ewa podobnie, choćby jej Pan Bóg dał dziesięć córek, dla najstarszej zachować ją była zobowiązana.

Dokonawszy co było najtrudniejszego, już dalsza robota poszła Kochanowskiej jak z płatka. A chociaż

dopiero w sobotę przed wieczorem zdążyła uporządkować wszystko w szatni; chociaż przez te wszystkie dni prawie ciągle była na nogach, co w jej stanie mogło być z jaką szkodą na zdrowiu: przecież więcej daleko doznała uciechy niż zmęczenia. Nie brakło jej też na pomocy. Dwóch kuśnierzy i dwóch krawczyków sprowadzonych wcześniej z Kazimierza, co trudniejszego było podszyli, pocerowali, skroili, uszyli; córki pracowały także sercem całym: Nawet Orszulka, która już umiała pomódz do każdej roboty, która w posłudze rodzicom wszystkie sługi wyprzedzała, która nawet klucze matki często nosiła i wiedziała gdzie co znaleźć, jak do wszystkiego trafić. Pan Filip też nie dopuścił nikomu pierwszeństwa w dzielnym a ostrożnym trzepaniu futer kosztowniejszych i szat, w przyzwoitem i ścisłym układaniu ich w skrzyniach; uważano tylko, że skrzynię Ewy imieniem oznaczoną, bardzo tymczasowo pakował. Kropla deszczu nie padła przez te wszystkie dni, chociaż kilka razy wiatr się zrywał i niebo groziło; wyznać też należy, że młodsze dziewczynki w piątek rano wzięły dobrze różgą, żeby się lepiej modliły o pogodę. Słowem, Kochanowska, w wieczór sobotni odpoczywając w izbie przy kominie, kazała zapisać w księdze pamięci pod artykułem Szatnia, na białej karcie między kwietniem a majem następującą przestrozę:

„Pilnować odtąd, żeby ile możności przed końcem kwietnia odbyty był przegląd zwyczajny wiosenny, gdyż to jest pora najlepsza, jak mieliśmy tego jasny dowód latoś, roku Pańskiego 1584. Zaczęliśmy w Imie Boże,

w dzień pięciu Świętych Papieżów, a skończyli pomyślnie w dzień św. Witalisa. Panu Bogu niech będzie chwała i Matce Najświętszej. Amen.“

Czy jednak ta przestroga na drugie lata nie okazała się mylną, za to ręczyłbym nie śmiała? Tak rzadko kiedy rok do roku podobny, nietylko w pogodzie!

XIII.

Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie
 Jako smakujesz, aż się zepsujesz;
 Tam człowiek prawie widzi na jawie,
 I sam to powie, że nie nad zdrowie
 Ani lepszego, ani droższego.
 Bo dobre mienie, perły, kamienie,
 Także wiek młody, i dar urody.
 Miejsca wysokie, władze szerokie
 Dobre są, ale — gdy zdrowie w cale:
 Gdzie nie masz siły, i wiek nie miły.
 Klejnocie drogi, mój dom ubogi
 Oddany tobie, ulubuj sobie.

II 30.

Kochanowska uradowana pomyślnym skutkiem jednej roboty, wnet zebrała gromadkę swoją do drugiej. Deszcz jak gdyby tylko czekał na ukończenie przeglądu szatni, spadł był obfity; zrazu zimny, ocieplił się był stopniami, zajaśniało też potem słońce i maj przyszedł jak zawsze przychodzić powinien: zupełnie zielony i kwiecisty; ziół zbawiennych i kwiatów leśnych rozwinęło się mnóstwo. Troskliwa gospodyni nie mogła opuścić tej pory, ile że ją miała zapisaną wielkimi literami w księdze pamięci, przy śniadaniu więc, we wtorek, widząc męża dobrej myśli, zapytała się:

— Panie mężu! nie zechcecież nam dziś towarzyszyć na wielką pieszą wyprawę?

— Pani żono—odpowiedział — wiesz z dawna, że ja trzymając z moim Jakóbem i z całą bracią szlachtą, piechoty niekoniecznie szacuję. Weźcie pana Rotmistrza z sobą; chorągiew pod którą dziś służy, potężniejsza niż cała moc hetmańska i cała zręczność Urowieckiego; gotów więc pewno i na piechura; w razie zaś będziecie mieli lepszego odemnie obrońcę.

— Jużem prosił o tę łaskę i otrzymałem ją — rzekł z uszanowaniem młodzieniec.

— Aleby nam z wami jeszcze raźniej było — nalegała Kochanowska — i przy tej pięknej pogodzie pewnoby się jaka piękna pieśń urodziła.

— Poszedłbym-ci jaknajchętniej nie dla pieśni ale dla was, ale dalipan, mam wiele do roboty; miesiąc to najpracowitszy dla gospodarzy się zaczął, a rok ten dał Pan Bóg wczesny, wszystko jak na drożdżach rośnie: trzeba chmiel podpierać i zakładać na tyczki, winnych gałązek muszę nałamać i nasadzić, bo jedno patrzeć, rychło latorości puszcza papowie. Mam też i naszczepić kilkanaście płonek nad Dzbukiem; trzeba kazać przysposobić gliny, bo wiadomo, że ściany się nie padają, kiedy je w tym miesiącu lepić; zboże w śpičhlerzach należy przerzucać, o pszczołach pomyśleć; w tych dniach najlepiej smarować dziurki w ulach mlekiem owczem, będą się prędzej pszczoły roiły: zgoła, roboty jest co nie miara, trudno ją wszystką policzyć, cóż dopiero przerobić; wiecie także, iż nie ma się na kogo spuszczać, samemu dojrzyć najlepiej; wiecie i to, że śpieszyć się wypada, bo lada chwila zawita poślaniec z Grodna; już mnie nawet kłopotce, że do tej pory nie nadjechał..

— Pójdziemy więc sami — powiedziała przekonana Kochanowska, całując męża w rękę — waszym pracom szczęście Boże; a nie kłopotajcie się o pana brata: my dnie liczyli z panem Filipem wczora w wieczór, dopiero jutro spodziewać się należy wiadomości.

— Może i dobrze mówicie — odrzekł Kochanowski — ale ja się nie pytam dokąd i poco ta wasza piesza wyprawa?

— W pole, do lasu, po zioła i kwiaty ku potrzebom apteki, wanny i kuchni. Zwykle przez lato odprawiamy ich kilka, jeśli pamiętacie, ale wiosenna najszacowniejsza, gdyż wiele jest ziół póty skutecznych, póki młodziuchne...

— Dziwna rzecz co ta młodość niczemu nie zawadzi — odrzekł wesoło pan Wojski — wyjąwszy wina i wierszom — dodał obaczywszy przez okno nadjeżdżającego z daleka zakazanego wierszokletę Tomasza Bielawskiego, który jak wszyscy tego bractwa członkowie, lubił namiętnie czytać głośno przenuadne swoje płody, i jak mógł najczęściej do Czarnolasu zajeżdżał. — Weźcie go z sobą, ja z nim zostać nie chcę; zwój papierów ma widzę pod ramieniem; pewno już skończył swojego *Myśliwca*; przed pół rokiem czytał mi cztery obroty, a obiecał jeszcze dwanaście: nie głupim czekać; gdyby nalegał, gotówbym mu powiedzieć ową fraszkę, com dla Bączalskiego zrobił:

Nie przeto pytam, Piotrze, gdzie się chcesz przechodzić,
Abym się miał na jedną drogę z tobą zgodzić;
Ale gdziekolwiek ty chcesz, to mnie tam nie w drogę,
Bo twego głupstwa słuchać już dalej nie mogę.

I Kochanowski przywitawszy naprędce wchodzącego gościa, wymówił mu się grzecznie nagłemi zatrudnieniami i uciekł jak zmyty, a pan Bielawski posiliwszy się naprędce smacznem śniadaniem, musiał rad nie rad iść w pole. Nie rozstał się jednak ze swoim zwojem, lubo Kochanowska oddawna go znająca, groziła mu, że z tego papieru trąbki porobi, jak jej miejsca na zioła w koszach nie zostanie.

Lecz nie było tej obawy, wszystkie nasze dziewczęta, Nastka i dwie dziewczki kuchenne stawily się uzbrojone w koszałki, w kosze, a nawet i w wielkie płachty; było przeto gdzie mieścić, choćby najobfitszą zdobycz.

Ruszyli tedy wszyscy, Kochanowska na czele; Ludwina tylko została; uboga komornica umarła właśnie tej nocy; była przy jej skonaniu, własną ręką zamknęła jej oczy; a teraz poszła obmyć ciało, modlić się nad niem, pocieszyć, nakarmić, opatrzyć pozostałe dziatki.

Nasza družyna weselsza, ale zapewne nie więcej szczęśliwa od świętej dziewczeczki, pełna była żartów, piosnek i śmiechu, jakto zwykle bywa na wsi, na wiosnę, w rodzinnem i swoim gronie i na swojej ziemi. Nie zawadzał nawet i pan Bielawski, gdyż był z liczby owych dziwnych i wygodnych ludzi, co to śmieszni i nie mądrzy, ale pozwalają żartować z siebie, bo dobrzy w gruncie i pokorni, są tylko opanowani jakimś rodzajem manii czy lekkiego szaleństwa.

Tymczasem pani Wojska dobrze miejsce świadoma, zaprowadziła gromadkę swoją w pola napozór nieurodzajne, w odwieczne odłogi; lecz gdzie w zamian zboża,

na piasku, na kamieniach i wydmuchach, wśród jałowców i berberysów, w dolkach, na wzgórzach, wiele szacownych ziół rośnie. Rwali je wszyscy ochoczo, na wyścigi, każdy rodzaj kładąc osobno; a Ewa, która się najlepiej bawiła, najwięcej śmiała, zebrała przecież najwięcej, może i nie trudno odgadnąć przyczyny? Filip zawsze był przy niej i oddawał jej co znalazł. Poszli potem na brzeg lasu, a gdy słońce dobrze w górę się wzbilo, weszli w głąb; tam obfite zebrali żniwo kluczyków, inaczej zwanych pierwiosnkami, których kwiat żółty i pachnący, sparzony ukropem, wybornym jest napojem na uspokojenie krwi, a moczony w okowicie, suche bole skutecznie leczy.

Po kilku godzinach chodzenia, schylania się i pracowania, wróciła ochoczo drużyna z tak sutym plonem do domu, że pana Bielawskiego, który w ciągu całej przechadzki błagał na próżno, żeby gdzie siedli i posuchać go chcieli, już bardzo strach brał o jego papiery. Zaraz po obiedzie wzięli się wszyscy do dokończenia dzieła, to jest do oczyszczenia z piasku, z niepotrzebnych liści i trawek zerwane zioła, i do zrobienia z nich przyzwoitego użytku. Jednemi czysto oskubanemi, jakoto: kluczykami, piołunem, macierzanką, napełnione zostały próżne gąsiorki i nalane okowitą; inne, jak np. oman prawy, rozchodnik, przeznaczone zostały do usmażenia w tłuszczu, jako bardzo pomocne na rany; a najwięcej ziół zaniesiono na górę pod dach. Tam obok szatni była suszarnia, gdzie na stołach i półkach, jak wypadło, to zioła i korzenie, to krupy, maki, grochy suszyły się i wietrzyły, bo Kochanowska w tem jednym pozwalała

sobie, i na to mąż rozsądny i wyrozumiały bynajmniej jej nie żałował, żeby miała gdzie wygodnie się rozpostrzeć ze swoim gospodarstwem. Sama nie posiadała osobnego pokoju, komnata z nią była sypialnią i dla męża, i dla niej, i dla dzieci; w wspólnej izbie cały dzień siedziała albo w oknie, albo przy kominie, według pory dnia i roku; ale za to miała nie tylko szatnię i suszarnię, ale inne, jak wtedy zwano, komory. Miała na górze ogromną spiżarnię, skład główny krup, mąk, okras, grzybów, owoców suszonych i innych gębnych grubszych zapasów, a na dole pod ręką skarbczyk czy apteczkę, gdzie były smaczniejsze, kosztowniejsze rzeczy.

W tej apteczce całą jedną połać przeznaczyła szacownemu zdrowiu. Tam stały gąsiory z różnemi wódkami naciąganemi na słońcu albo przepuszczanemi przez alembik, na suche bole, paraliże, na słabości wewnętrzne; były tam wódki z szyszek młodych, z glist kopanych na wiosnę, a nawet z gadzin różnych. Tu znowu wody z konwalii od bólu głowy, z goryczki, z rzęsy od trzęsionki, z róży na zapalenie oczów, a nawet wody piękności: marcowe, poziomkowe, liliowe; owdzie octy zaprawne ziołmi, korzeńmi od mdłości. Tu jeszcze cudowne maści z żywokostu, z łopianu, pod któremi złamane kości się zrastały, a jad z ukąszenia gadów moc swoją tracił; tam ulepki z fiołków i z innych kwiatów na kaszel, na żołądek; w słojach pijawki, żaby, maiki; w słoikach rozmaite proszki: to korzeń liliowy utarty na słabości dziecinne, to raki suszone i utłuczone na miazgę od ukąszenia psa wściekłego; a w worach i trąbkach z papieru, w szufladkach ziółka, kwiaty, korzenie su-

szone na napoje, do nakadzania, do kąpieli. Każdy zaś szczególnie właściwym był napisem oznaczony po polsku i po łacinie, jakby w prawdziwej aptece. Dziś, chociaż sztuka lekarska nierównie więcej jest upowszechniona, niejedna troskliwa matka i dziewczka stara się mieć podobne zapasy u siebie, i nieraz okazują jej się bardzo przydatne i zbawienne; cóż dopiero w owym wieku, kiedy po każde lekarstwo jeździć było trzeba do większych miast, gdyż tam tylko znajdowały się apteki zasobne, i kiedy sami jedynie królowie i panowie lekarzy na dworach swoich trzymali?

Kochanowska zaczawszy już lekarskie nauki swoje w klasztorze, gdzie się wychowała, od zakonnic i od Nastki, zbogaciwszy się potem radami pani Kasprowej i kilku starszych sąsiadek, wiele także doświadczeniem i czytaniem, gdyż wówczas mieliśmy już niemało książek łacińskich i polskich o sztuce leczenia, Kochanowska, mówię, zrobiła się zawołaną lekarką, i tej wiadomości swojej udzielała za każdą sposobnością starszym córkom, to ustnie, to praktycznie, to wreszcie dając im do przepisywania różne sekreta.

— My białogłowy — mawiała do nich — mamy na pieczy zdrowie ludzkie, a to nie jedno męża, dziatka, czeladzi, kmieci, ale nawet gościa i ubożego przechodnia; nie dosyć zaś wiedzieć jak leczyć, trzeba umieć ochronić od choroby, zwłaszcza w czasach zarazy.

• Lubo też w owych wiekach grasowało po różnych stronach Polski morowe powietrze, Czarnolas zawsze uchodził szczęśliwie tej straszliwej plagi. Troskliwa gospodyni za pierwszym posłuchem o wrogu, kazała palić

około dworu i po wsi całej ognie z drzewek jasieniowych, jałowcowych; w domu podwajała schludność, chroniąc kątek każdy od wszelkiego zatęchnienia albo zgnilizny; rano nim jeszcze okna otworzono, kazała kadzić rozmarynem, jałowcem, mirrą, okna otwierała od północy i od wschodu, gdyż ztamtąd wiatr bywa suchy i zimny, a zatem najczystszy; nikomu z domu wyjść nie dała na czczo, musiał się napić, jeśli w dzień mięsny — polewki, jeśli w post — piwa grzanego, a jeśli z suchotami, zjeść choć skibkę chleba octem nakropioną; zakładała na szyję dzieciom i mężowi orzechy laskowe żywem srebrem napełnione; czeladzi gąbki kawałek umaczanej w occie, z przykazem wachania jej często; podłogi wysypywać dawała codziennie świeżem zielem, tatarakiem, piołunem, jednolną siekaną; ściany nawet, osobliwie nad łózkami, okładać kazała płachtami maczanemi w occie, dla zniszczenia wszelkich zarodków złego.

Wielką też były jeszcze pomocą, do oddalenia choroby, a razem i nowem polem do zachodów dla każdej gospodyni wspomnianie już łaźnie. Kiedyś każda wioska miała swoją, nie mógł się bez niej obejść i każdy dwór szlachecki. Zwano je potnikiem, suchą wanną; u panów były z wielkimi wymysłami, u uboższych proste ale czyste. W izdebce zupełnie odosobnionej, ogromny piec mocno rozpalony zlewano wodą. Osoba chcąc użyć kąpieli, a było wiele takich co używało jej codziennie, wstępowała zupełnie rozebrana na coraz wyższe stopnie, a ogarniona parą, coraz obficiej potniała. Wtedy kazała się sieć winnikami (miotką z brzoźowych różeczek z liściem) żeby się coraz lepiej pory otwierały, nacierała ciało

różnemi wódkami, a tak wszystko złe, cała nieczystość człowieka wraz z potem spływała, a smarowanie siły dodawało. W domu Czarnoleskim była łaźnia, a nawet cieplica, tak wtedy zwano dzisiejszą zwyczajną kąpiel. Kochanowska i jej córki używały częściej drugiej jak pierwszej. Przykład niezbyt dawny a tak smutny królowej Barbary, która, jak mówiono, najwięcej zaszkodziła łaźni, wstrzymała cokolwiek kobiety od tego zwyczaju, który też zawsze więcej był upowszechniony między mężczyznami. Łaźnia Czarnoleska, obok kuchni będąca, opatrzona była różnemi wonnemi olejkami, różnemi wódkami, ziołami, mydłem, bielizną; był zwinny i zręczny pacholek przeznaczony do usługi mężczyzn, łaźniebnikiem zwany; była dziewczka, łaźniebnica dla kobiet, a nad tem wszystkim miała główny dozór sama pani, gdyż każdemu gościowi skoro nocował, łaźnią codziennie ofiarowano, a gospodyni w tem zakładała swoje chlubę, żeby wszędy znalazł wszystko ochędoźnie, przyzwoicie i wygodnie.

Takiemi to i tym podobnemi staraniami Kochanowska stawiała się zupełnie duszą domu swojego; dni jej zbiegały szybko, mile i użytecznie. Nieodbita potrzebna u siebie, niedziw iż wyjeżdżać nie lubiła, choćby na kilka godzin. Od samego zamężcia nie trafiło jej się podobno dwóch nocy przebyć w gościnie. W owych wiekach, niewiasty były prawdziwemi domownicami, Hausfrauen, jak dobrze Niemiec je nazwał; najmajętniejsze siedziały zawsze u siebie i na jednym miejscu. Licznym dworem płci obojga otoczone były jak królowe na małą stopę, i znały to wybornie, że ich władza i znaczenie, wielkie

we własnej sferze, nikły za tym obrębem. Tem zamiłowaniem własnych śmieci, tem chętnem siedzeniem na temże samem miejscu, kobiety ówczesne, lubo daleko mniej uczone od dzisiejszych, więcej znaczyły i lepiej spełniały owo przeznaczenie Boga, które je „w pomoc mężom“ stworzył. Znakomici urzędnicy, kanclerze, hełmani, posłowie do obcych krajów, wreszcie ludzie ryccerscy, rzadko kiedy mogli siedzieć u siebie, zajęci zawsze to sprawą publiczną, to wojną; w cóżby się były obróciły liczne pańskie dwory męskie i żeńskie, owo źródło największej wziętości u szlachty, w co wszędzie wychowanie dzieci, rozpoczęte budowy, roboty, wreszcie cały zarządek majątku, gdyby nie zostawała zawsze w domu, żona, owa druga połowa, na którą zdawał władzę swoją, która w jego nieobecności rządziła, zawiadywała wszystkim z tem większą troskliwością, iż pragnęła za powrotem jego uzyskać pochwałę.

Nie wiem też, czy komu w spółczesnych kronikach i pamiętnikach zdarzyło się wyczytać, żeby jaka pani polska przenosiła się do Krakowa na zimę, albo jeździła za królewskim dworem. Jeśli się natrafi kiedy w dziejach na imię jakiej znakomitej matrony, jest to zwykle imię wdowy, która szukając sprawiedliwości u stóp tronu, sama dopominać się musi o skrzywdzenie na dzieciach lub na majątności. Dopiero, gdy z drugą połową XVII-go wieku zaczęliśmy mieć królowe francuskie gdy rosły coraz większe frymarchenia o koronę, kobiety okazały się potrzebne do intryg, i coraz więcej świecić się zaczęły na królewskim dworze i po stolicach.

Co do podróży za granicę, w zakładby pójść można

iż w owych czasach żadna Polka nie była widziana w obcych krajach, u cudzoziemskich monarchów. Badałam usilnie pierwszych śladów owych niewieścich włóczęg, dziś tak u nas pospolitych; znachodzić się dopiero dają w XVIII-tym wieku. Wiemy wszyscy, jakim pasmem błędów i nieszczęść był ów wiek dla Polski; wiemy także, iż niejedna z owych Polek zaniedbawszy dla obcych bogów domu i ojczyzny, za powrotem już nie zastała domu ni ojczyzny.

XVI.

A ty ojeze i matko! zacna krwi oboje,
Wesołem i chętnym sercem dzieci swoje
W rękę obcemu dajcie!

Błogosławcież im spólnie, zacne to są rzeczy,
Kiedy ojciec i matka dziatkom dobro rzeczy.

Epithalamium nu wesele Radziwiłła.

Cały dom Czarnoleski jeszcze pachniał wonnym zbiorom, jeszcze Ludwina z Nastką rozkładały skuteczne zioła w suszarni, jeszcze pan Filip prawił panie Ewie, że te liście i kwiatki ani podobne były do Podolskich; jeszcze pan Tomasz Bielawski nie przejechał granic Czarnoleskich i nie pokonał wstydu jaki muzę jego spotkał, kiedy stanął przed wrotami zmęczony posłaniec i wnet wręczył gospodarstwu list następujący od pana Podkoniuszego.

Najmilsi moi!

„Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi!“ inaczej się rzeczy obracają niżesmy sobie układali. Dojeżdżając tu, o mil dwie spotkałem się z ludźmi memi i końmi w dobrem zdrowiu, Bogu dzięki; jeden tylko kary zapada trochę na nogę, ale zda się nic mu nie będzie. Naza-jutrz rano, miałem posłuchanie u Miłościwego Pana, mówi że zdrów; zdawał mi się przecież zmieniony na

twarży, łaskawszy zaś niż kiedy; rad był nad zasługi i mnie i koniom, wszystkie chwalił, mianowicie białego Iwaszkę i siwego jasno jabłkowitego Greora; co zaś ciemno gniady, ulubieniec Filipa, i Miłościwemu Panu wpadł w oko, przezwał go Batorym, i powiedział, iż w czasie pierwszej bitwy, jaką Pan Bóg w sprawiedliwości swojej dać raczy, chce na nim siedzieć i zwyciężyć. Chłopaka Turka Kiziamusza, któregom wraz z końmi kupił i przywiózł, wyznaczył wyłącznie do jego posługi; mówiąc: „rzecz słuszną, kiedy Batory król ma, dwór cały, żeby Batory koń, miał choć jednego sługę“. Pan koniuszy koronny Kacper Maciejowski, i pan Jakób Piasecki koniuszy litewski odchwalić się także mego kupna nie mogli. Ale dosyć o koniach, trzeba już orzech zgryść i powiedzieć wam nowinę, która was zasmuci. Wczoraj Miłościwy Pan rozmówiwszy się ze mną sam na sam w komnacie swojej, rozkazał, abym niebawem do Turcyi znowu jechał, drugie tyle koni nakupił, zwłaszcza arabskich, jeszcze inne a ważne spełnił polecenia, które papierowi zwierzać, nie widzi mi się rzeczą bezpieczną. Nie do smaku mi ta podróż, jak miarkować możecie, ale powinność przedewszystkiem iść musi. Jutro ztąd wyjeżdżam; da Bóg we Środę nad wieczorem ujrzyście mnie: półtrzeciej doby jedno zabawię i pożegnam was. Miłościwy Pan radby, żebym w Sierpniu był z powrotem. Na mój rozum, miasto zaręczyn wyprawićby działkom naszym, poprostu tego Czwartku wesele. Juścić Ewulka miała czas się ułaskawić; kilka tygodni zna swego bogdana, mało której dziewce tak się uda; niechno zapyta pani matki jak z nią było? a cóż jej się złego

stało? Odjechałbym spokojny, gdybym mego Filipa już żonkosiem zostawił. Możebyście przechowali komorą państwo młode u siebie przez te pare miesiące, a za moim powrotem z Turcyi odbyłyby się przenosiny do Studzienicy; jabym ich tam przyjął, da Bóg! Zostawiam to zresztą mądremu baczeniu waszemu.

Wasz wierny brat i przyjaciel

Jakób Podlódowski

Podkoniuszy królewskie

P. S. Jedno dobre co się stało tak nagłym wyjazdem jest to, iżem prosił Miłościwego Pana o podpisanie mego testamentu; uczynił tem chętniej tej prośbie zadosyć, gdy się dowiedział że ten zapis obchodzi waszą córkę. Z wielkim a należytem jest zawsze szacunkiem dla ciebie, Janie. Wieczorem kazał nadwornym śpiewakom odśpiewać twoje Epinicion, wyborną a huczną muzykę dorobił nasz Klabon, aż krew mnie zawrzała, żeby znowu bić się; i wołałbym iść na Turka jak jechać do Turka, ale może przyjdzie i do tego“.

Dan w Grodnie w dzień św. Witalisa, 1584.

Odczytanie głośne tego listu przez Kochanowskiego, sprawiło wielkie a przykre zdziwienie w obecnych. Owa niespodziana podróż Podlódowskiego, owo albo naglenie albo odroczenie stanowczego aktu, nie mogły być nikomu na rękę. Jeden pan Rotmistrz powinien był się radować, widząc przed sobą podobieństwo do tak rychłego połączenia się na zawsze z tą co kochał, ale on owszem najsmutniej się zamyślił; a kiedy Kochanowski zapytał go, co o tem wszystkim trzyma, i zachęcił by zdanie

swoje wyjawiał śmiało, on tak odpowiedział z uszanowaniem:

— Wolno waszym miłościwym zrobić co się wam jedno podoba; moim obowiązkiem słuchać. I zaiste, nie byłoby dla mnie większego i mniej spodziewanego szczęścia jak gdybym tego czwartku nie narzeczoną ale żonę z rąk waszych dostał — a tu zbytek pomieszania prawie dech odjął rozkochanemu młodzieńcowi — a jednak — dodał — zataić nie mogę i nie powinienem, iż choćby przyszło prosto od ołtarza odjeżdżać, odjadę; gdyż ojca, dobroczyńcy mego, samego do Turcyi nie puszcze. Za nie byłoby mi wszystko, gdyby jemu w tej drodze nowe nieszczęście się stało.

Jeszcze nie dokończył tych słów, kiedy Kochanowski powstał i rzucił mu się na szyję. Matka z za łez spojrzała na niego z pochwałą; Ewa nie ruszyła się ze swego miejsca, spuściła oczy, ale jej serce napędlono się błogiem uczuciem i podwojonem przywiązaniem do swego bogdana; kobieta godna tego imienia, kiedy jej kochanek powinność nad nią samą przeniesie, w sercu szlachetnem nie ma ku enocie zazdrości. Już tedy ani mowy być mogło o weselu; wreszcie gdzież wyprawa? gdzież inne przygotowania? Na zaręczyny wszyscy się zgodzili. Matka zastanowiwszy się, nie bardzo się gniewała, iż parę miesięcy dłużej patrzeć będzie na pierworodną swoją. I Ewa, prawdę rzekłszy, najwięcej smutkiem Filipa smutną była.

Niewidzieć się przez czas jakiś, trochę później iść za mąż — myślała sobie — nie takie znowu wielkie nieszczęście, kiedy na całe już życie będę pana Rotmistrza.

i z nim... Owszem może nawet lepiej; kochanym rodzicom trocha dłużej posłużę, siostrami, czeladką, więcej się nacieszę; przypatrzę się cnotom świętej naszej, i może nauczę się ją naśladować choć w niektórych rzeczach; oswoję się bardziej z taką zupełną życia mego odmianą...

Ale Kochanowskiego, im więcej się zastanawiał, tem go boleśniej przejmował ten zawód; ścisnęło mu się serce, dreszcz go przechodził, jakieś przeczucie nieszczęścia go ogarnęło; zdawało się, jak gdyby księgę przeznaczeń ludzkich kto przed nim otworzył, i błysnęła nagle karta jego i przyjaciela z okropnym wyrokiem. Na domiar jeszcze tych trwożących myśli, kiedy odczytywał pociechu list swego Jakóba, i zatrzymał się nad temi słowami:

„Półtrzeciej doby jedno zabawię i pożegnam was“ dzwon żałobny dał się słyszeć w Policzny i uderzył o duszę jego. Nie było nic w tem dziwnego, chowano właśnie komornicę, której Ludwina w nocy pilnowała, ale jemu ten głos prorockim się wydał:

— I nam obudwom wnet tak zadzwonią — rzekł w duszy.

Przecież nie chciał wcale wyjawiać przed drugiemu tego co się w nim działo; jako człowiek wyższy od tego co go otaczało, nawykł on był wiele uczuć i wrażeń zamykać w sobie i wynurzać je tylko przed Bogiem; usiłował więc i teraz przewyciężyć się, zagadać, zagłuszyć samego siebie i zaczął radzić z żoną o tem co było do zrobienia. Filip i Ewa ze swojej strony radzili; on się martwił i narzekał, ona go cieszyła jak siebie

dopiero co; młodzieńcowi nie wpadały wcale do myśli te pociechy: wymawiał kochance jej obojętność, troskał się czy w czasie tak długiego rozłączenia nie wyjdzie z jej pamięci.

— Co z oczu, to i z serca — mówił — łatwo to zapomnieć o co kto nie dba.

Zgoła nieco zimny układ Ewy, i zimniejszy może napozór jak był w istocie, zasmucał Filipa, ale zwiększał jeszcze jego miłość, bo tak bywało za Batorego, jak dziś bywa: im mniej namiętnie mężczyzna kochany od kobiety, tem sam kocha namiętniej.

Już była późna godzina wieczorna, przeto prócz wspólnej narady, Kochanowscy mało co w tym dniu zrobić mogli. Ona tylko rozestąpiła na różne strony po kuczęta, po jaja, po raki, po zwierzyne jaką w Maju mieć się godzi; on zaś powiedział, że jutro skoro świt ruszy do pani Mikołajowej do Jasieńca, oświadczyć jej zameżcie córki, i zamówić na zaręczyny, oraz wezwie syna jej Adama jako najstarszego z synowców, ażeby w jego imieniu objechał liczne sąsiedztwo i krewnych, i zaprosił ich na czwartkową uroczystość. Jemu, urzędnikowi całej Sandomierskiej ziemi, mężowi już w wieku, i tak poważanemu nie wypadło samemu tego uczynić.

Wyobrazić sobie łatwo jaki był ruch w Czarnolesie przez dni następujące; warto o nim coś nadmienić. Ale naprzód powiedzieć należy, że smutek Kochanowskiego, który jednak przez całą noc go niepokoił, ustał w ciągu poranku. Właśnie wracał z Jasieńca, kiedy dojeżdżając do domu, napotkał Orszulkę z Nastką; naparła się koniecznie dziecina, żeby wyjść przeciw ojcu; chciała

pierwsza powitać go z drogi, i donieść mu drogą nowinę: pan Podkoniuszy w wieczór dopiero spodziewany, przyjechał. Ta radość przywróciła zupełnie swobodę duszy poety; ktokolwiek kochał, wie jakim jest dobrodziejstwem dla znękanego serca widok drogiej osoby: jak słońce ranne, wszystkie trwogi nocy niespanej rozpędza, tak twarz przyjaciela, ufność, bezpieczeństwo wprowadza. Jak się troskać miał nasz Jan, kiedy widział swego Jakóba zdrowym, wesołym, pełniejszym niż kiedydybądź, dobrej myśli; co do krajowych i własnych powodzeń? czego miał przewidywać jakieś nieszczęścia, kiedy Podkoniuszy królewski mu opowiadał, pokazywał z jakimi ostrożnościami wracać teraz będzie z Carogrodu, jakimi listami glejtowemi jest opatrzony, kiedy mu wyrachował czarne na białem i tak jasno jak dwa razy dwa są cztery, że na dzień Wniebowzięcia Matki Najświętszej na piętnasty Sierpnia, w Czarnolesie się stawi. Tak uspokojony Kochanowski, podzielił sercem całem z przyjacielem żywą radość, jaką w nim postępek wychowania sprawił; drożył się to niby przybrany ojciec z początku, ale przecież rad był ofierze; i po niedługim certowaniu się przyjął, gdy czuł w sobie iż w podobnym razie tak samo byłby postąpił.

Kochanowska, córki, czeladź cała, i sam pan Rotmistrz rzucili się do roboty. Na uroczystość tak znakomitą należało przyrzadzić dom, jadło, napoje i ubiory; było więc o czem myśleć, ile że czas był tak krótki. Jużto z domem najmniejsza była robota; prawda, „że wszędzie kwieciem straszono, wszędzie zawieszono wianki“ ale w izbach żadna inna nie zaszła zmiana. Jakkolwiek

pan Wojski oświadczył z wielką radością młodzieży, że będzie muzyka i tańce, nie było przecież żadnej potrzeby urządzania bawialnej sali w „salę balową“, jakbyśmy dziś w takim razie powiedzieli i zrobili. Ówczesny sposób ustawiania sprzętów, był zupełnie różny od teraźniejszego. Tylko na składach przedajnych, ławki, stoły, krzesła, sepety, kantorki stały w szereg, wzdłuż, w poprzek, i na środku izby; tam gdzie ludzie mieszkali, ruszali się, przechadzali, było przestronno, szeroko; konieczne, a przeto nie liczne sprzęty ustawiono rzędem pod ścianami, a że wąskie były, mało zabierały miejsca. Nie weszło też jeszcze w zwyczaj polegiwanie się, które dziś wymaga tyle kanap, sof, tatusiowych krzeseł, pościół; panny siadały na samym brzeжку ław i stołków; młodzież męzka rzeżka, zahartowana, i pełna uszanowania, nie tylko że się nie kładła, nie opierała w obecności starszych i białogłów, ale usiąść nie śmiała bez wyraźnego rozkazu; poważne zaś matrony i mężczyźni sędziwi, jeżeli czuli potrzebę wypoczynku, szli do łóżka. Mogła tedy zostać sala bawialna Czarnoleska w swoim dawnym porządku; podłogę tylko dębową zamieciono dobrze, umyto schludnie, żeby nic kurzu nie było, a Kochanowska przyrzadziła za piecem na murku gąsior wody pachnącej, zmieszanej napół z tęgim oetem, postawiła obok lejek, żeby wciągnąć tańców polewać niekiedy podłogę w używane dotąd esy i floresy, sposób arcy wyśmienity, gdyż i kurz w izbie opadał, i powietrze się odświeżało.

Większe były zachody około jadła i napojów, bo już to u nas i dawniej, i dziś jeszcze podobno po wsiach, najwięcej o papkę dbano, i dosyć ogólna była zasada:

„cała rozkosz człowieka tyle jest co zażyje.“ Mało szło szlachcicowi gdzie i jak gościa posadzi, byle go nakarmił i napił do zbytku. Miał być tedy obiad, podwieczorek, wieczerza, podkurek, czyli od południa do północy ciągłe jedzenie i picie. I matka i córki nie żałowały rąk w przygotowaniu różnych przysmaków. Zubek kucharz sadził się jak jeszcze nigdy; dom też był za-sobny jak wiemy; piwnice dobrze opatrzone, stawy rybne, apteczka pełna. Prócz tego, kmiotkowie Czarnolescy skoro się dowiedzieli o zaręczynach starszej panienki, znosić zaczęli rozmaite podarki. Nie było chaty w całej wsi, gdzieby Ewa z dobrego i hojnego serca swego znaną nie była; nie było też chaty, gdzieby w tym dniu nie myśłano o sposobie okazania jej wdzięczności. Papisowa przyniosła w koszu dwanaścioro kurcząt, co je pod własnym jej łóżkiem siwa kokosz jeszcze w styczniu wysiedziała; Ewa doglądała jej dziewczuchy w długiej chorobie jakże, jej nie miała oddać coby było najdroższego w domu? Kosikowa parę tucznych kapłonów wydobyla z pod ramienia: panienka pamiętała już od lat trzech o jej starym ojcu, co leżał ciągle w łóżku, powietrzem ruszony. Baranowa całą misę glinianą świeżych jajek przydzwigiała, a nie było ani jednego po czarnej kurze; kiedy Nastka jej syna podawała do chrztu, Ewa swoją ręką uszyła mu cały ubiór chrzestny! Gryklik, gospodarz i najlepszy łowczy we wsi całej, wziął rusznicę ze dworu, i na szczęście panienki ruszył w dalekie zarośla i bagna; ogromny pęk przyniósł cyranek i kurek wodnych: w zimie kiedy staczał z wozu sztukę drzewa przywiezioną z lasu, stłukł był sobie

nogę, stał aż do kości i ślimaczyła mu się okropnie; Ewa przez cały miesiąc naprzemian z Ludwiną opatrywała ranę i wygoiła zupełnie. I inni za tym podobne przysługi, a czasem tylko za prostą życzliwość, bo kmiołek często wdzięczniejszy za dobre słowo niżli za pogardliwy datek, znosili co tylko mogli: to kwartę manny uzbieranej, troskliwie przed wschodem słońca na łąkach, to tłustych serów kilka, to worek orzechów suszonych, to grzybów parę wianków, to raków ogromnych kopę; a każdy i każda za największą łaskę prosili, żeby panienka przyjęła mile ich skromne dary i żeby na uczcie zaręczynowej spożyte były.

Przy takiej obfitości, nie wypadało się już troskać, żeby czegoś brakło; zostawało jedynie ustanowić porządek w wydawaniu, gdyż nie pomoże i zbytek wszystkiego, kiedy ładu niema. I temu zapobiegła Kochanowska, a to najwięcej za pomocą Ludwiny. Święta dziewczka trzymająca się jedynie świata przysługami jakiego drugim oddać mogła, którą z dzieciństwa nikt ani do zabaw ani do tańców, namówić nie zdołał, najszcześliwszą była, kiedy jej pozwolono tam być, gdzie dużo było pracy a nie wydatności. Z najżywszą wdzięcznością podjęła się tedy zatrudnienia wydzielonego jej przez matkę, i otrzymała uwolnienie od pokazania się gościom. Pod jej zarząd oddane zostały podręczne zapasy: ciasta, wędliny, zimne mięsiwa, których według potrzeby używać miała; nauczyła ją Kochanowska kolei, w jakiej Zubek potrawy winien był wydawać; co należało dać na obiad, co zostawić na wieczerzę, co na podkurek: zgoda, jak to i dziś bywa u dobrych i przewidujących

gospodyń, z góry i wcześniej pomyślano, żeby w niczem ani szkody, ani wstydu nie było.

Ale i o ubiorach wypadało pomyśleć: Kochanowski przywdział swój ślubny, ozdobił go bogatym złotym łańcuchem, który niegdyś od Zygmunta Augusta był dostał, i całą postać przybrał godową; aniby nikt zgadł po nim onegdajszych smutków i niepokojów: mocno wszystko czujący, z całą pełnością serca używał radości ojca, dzielił szczęście przyjaciela. Kochanowska równie wesola a tem szczęśliwsza, że zapewniając pomyślny los córce nie traciła jej jeszcze z oczu, wystroiła się w ów kabat amarantowy, który za Ewę od męża dostała; głowę i piękne jeszcze ciemne włosy, ale których od zamężcia już świat nie widywał u dawnych Polek, przykryła niską czapką niebieską aksamitną z sobolem, z pod której wychodziła jakby siatka złota z perłami. Lecz oczywiście i matkę i całą pleć niewieścią domową zajął najwięcej strój oblubienicy. Wypadało jej być ubraną pięknie, a przecież nie kosztownie i do tańca. Biała barwa najprzystwoitsza, ale wówczas lekkich sukien, jak dzisiejsze balowe wcale w naszej Polsce nie znano; i niewieście, za Batorego, którejby chciano włożyć przezroczysty kabat, byłoby tak dziwno jak nam, gdybyśmy usłyszały o jakim mężczyźnie, że koronkowy frak nosi. Był rąbek, były tureckie i indyjskie muśliny, ale używano je tylko na zasłony i tak zwane zawijki czy rantuchy; na to miejsce jednak miano jedwabne materye na suknie, które prać się dawały: do ich liczby należał czamlet czyli kamlot. W taki więc kabat czamletowy biały, trochę mniej pod szyję niż codzienne su-

kanie, sznurowany z przodu złotą tasiemką, gdyż suknie z rozporkami z tyłu zwano wtedy nieskromnem ochędostwem, ubrała się nasza Ewa. Szeroka taśma jedwabna zielona, gęsto złotem i perłami przerabiana, prawdziwa turecka, podarek Podlódowskiego (a złożył ich nie mało dziewczęce i jej rodzicom w imieniu Filipa), odznaczała stan jej wcięty i składny; żółte półbutki na małej nóżce świeciły. Włosy długie powiązała w warkocz, krótsze skróciwszy rozpuściła w pierścienie, przyciskał je na czole wieniec z żółtych jaskierków barwinkowym liściem przeplatany. Był to także dar Filipa:

Włóż na piękną głowę twoją;
Tę rozkwitłą pracę moją

powiedział jej kiedy się ubierać zaczynała, od przysłego teścia pożyczając mowy; ale kwiatki i liście tego wienca na złotej łubce osadzone były i spinał je z przodu kosztowny szmaragd, w dyamenty oprawny. Ewa była śliczna w tym stroju; a choć jej siostra Dorota, zupełnie do rodu Podlódowskich podobna, daleko piękniejszą i wyższą być obiecywała; choć panny Mysłowskie, Sienińskie, Dąbrowskie i inne, które z rodzicami na tę uroczystość zjechały, były prawie wszystkie dorodne: ona, gdy między niemi stanęła, wydała się najlepiej. Nie była przecież piękna: średniego, prawie małego wzrostu, rysów twarzy nieregularnych, była raczej hoża, zgrabna, gładka, drobna i co dawniej nazywali wdzięczna. Jak gdyby na nią ojciec patrzył, kiedy napisał:

Co pocznie, gdzie się ruszy, wdzięczność ją sprawuje,
I wszędy niewidoma za nią postępuje.

Ale nie wyprzedzajmy i opowiedzmy porządkiem uroczystość owego Czwartku.

Dobrze przed południem zaczęli się zjeżdżać wezwani goście; żaden nie chybił, bo gdzież kiedy Polak do uczty się nie stawił? Skoro zbliżał się kto do wrót, na ten dzień na oścież otwartych, czy konno czy powozem, muzyka uszykowana w jednym rogu podwórza blisko domu, witała go huczno i z okrzykiem, aż się rozlegał odgłos radosny po całej okolicy. Bo już to wówczas żaden obrzęd, żadna biesiada nie obeszła się bez „gędzby“, tembardziej w domu Kochanowskiego, który za muzyką przepadał. Niedosyć majątny żeby mieć nadwornych grajków i jakiego Bekwarka, starał się przynajmniej, iżby niektórzy z jego dworskich i czeladzi grać jakkolwiek umieli, choćby nie z partesu. Woźnice, pacholki, ogrodnicy, stawnik, młynarz, dęli nieźle w trąby, bili w bębny, puzony ciągnęli; pasterze odzywali się dosyć mile na multankach i na piszczałce; włodarz gniótił dzielnie i nadymał dudy, a sam pan Łukasz Gumpolski w potrzebie uderzał wybornie w cymbałki. Służba też Podlódowskiego z samych Podolaków, Ukraińców i Kozaków złożona, owych muzykalnych ludzi, nie dała się zawstydzić w tej mierze Mało i Wielko Polanom. Jeden z teorbana a raczej z cytry dźwięki dobywał słodkie, drugi przygrywał pięknie na lutni, tamten na drumbli, ów na sałamajkach, a wszyscy głosy mieli donośne, rzetelne, czyste. Prócz tego, dwóch śpiewaków Serbów, z tych co wtedy po wszystkich krajach słowiańskich krążyli, zaszedłszy właśnie do Czarnolasu, stanęli na przodzie gędziebnej gromadki, pochyliwszy głowy cią-

gnęli długimi smyczkami po skrzypeach; zapominając na ten raz smutnych dum swoich, wtórowali nadobnie i wesoło śpiewom bratnim.

Niebawem zasiedli goście do obiadu. Ponieważ sam obrzęd zaręczyn dopiero po obiedzie miał się odbyć, i wieczerza uroczystą ucztą mianowaną była, nie siedzieli jeszcze narzeczeni przy sobie u stołu, i choć dosyć ochoczo szły kielichy, przecież ukradkiem tylko i pod pokrywką spijano ich zdrowie. Nasłuchiwała się jednak Ewa niemało żarcików i przycinków i „nieboraczka nie jednego spiekła raczka“, byli nawet tacy z młodzieży, co żale wynurzali swoje, zwłaszcza gdy wino zaczęło trochę rozgrzewać czupryny: byliby chętnie i Filipowi przypinali łatki, gdyby nie wysoki szacunek dla gospodarza i przekonanie że z panem Rotmistrzem Owadowskim żartować rzecz niebezpieczna. Nawet i panny, lubo nie tak wyrażnie, przecież miały jakąś niechęć przeciw biednej Ewie: „najmłodsza z nich i najmniej ładna, przy najmniej w ich mniemaniu, porwała im dziarskiego, majętnego, rycerskiego młodzieńca, ledwie co przybył w ich okolice; gdyby miał był czas przyjrzenia się trochę lepiej, byłby niezawodnie wybrał inaczej“. Bo jużto tak zawsze bywało i będzie, że skoro zejdzie się jaka para, wszyscy młodzieńcy i dziewice, co dawniej ani o niej ani o nim nie myśleli, roszczą sobie jakieś żale do nich obojga, zupełnie jak gdyby oni ich ubiegli, jak gdyby im wzięli ich własność. W takim zdarzeniu po gniewie męzkim, po zazdrości niewieściej, sądzićby można, iż tylko ten jeden młodzian i ta jedna panna na świecie,

a przecież zostaje jeszcze i jednego i drugiego, łaska Pana Boga.

Ale te wszystkie niechęci i żale, te wszystkie chmurki towarzyskie, które zarówno z chmurami powietrznymi nie zmieniały się i nie zmieniały do końca świata, rozpierzchnąć się miały, skoro ważne nastąpiło zajęcie.

W parę godzin po obiedzie, kiedy już trochę ostygły zagrzane czupryny, Kochanowski, który wyszedł był na chwilkę z bawialnej sali, wrócił w towarzystwie księdza, ubranego w białą komżę, za którym szedł organista z tacką w rękę i z wodą święconą. Był to sędziwy proboszcz z Policzny; zajęty obowiązkami pasterza nie mógł zjechać na obiad, lecz teraz przybywał poświęcić zrękowiny Ewy i Filipa. Dawniej żaden ważniejszy obrzęd nie mógł się spełnić bez uczestnictwa kościoła, dopiero wtedy nabywał wagi.

Wnet na stole białym nakrytym pod środkową ścianą zajaśniały dwie świece jarzące i okazał się między nimi wizerunek Zbawiciela z kości słoniowej na hebanowym krzyżu. Kapłan o ten stół się oparł i obrócił się twarzą ku obecnym; wszyscy powstali i umilkli: Ewa, która się bawiła wśród młodzieży, uciekła jakby pisklę przestraszone skryć się pod skrzydła matki. Filip bez trwogi i zwolna stanął obok przybranego ojca; Kochanowski zbliżył się do żony i oboje stojąc czekali z powagą. Nie czekali długo. Podładowski, którego niezwykłej urodzie w tym dniu stój rycerski i wykwintny nowego dodawał blasku, wziął za rękę również prawie dorosłego a piękniej jeszcze przybranego Filipa, stanął przed

niemi, skłonił się nisko i w krótkich słowach prosił o ich córkę dla swego syna.

— Nie wzdrygajcie się ani żałujcie — dodał widząc urzędową wstrzymałość na twarzy ojca, a łzy w oczach matki — zostanie z wami dziewczeczka wasza; obrzęd dzisiejszy jest jedno rękojmią, iż bądźco bądź się stanie, dacie ją za żonę, skoro czas pogodny nadejdzie, stojącemu tu przed wami rotmistrzowi Owadowskiemu; w zakład czego pozwólcie, niech w obliczu ukrzyżowanego Boga, w oczach tylu zacnych świadków, mój parobek i wasza dziewczka zamienią pierścienie, i niech je sługa Boży poświęci.

Kochanowski odpowiedziawszy stosownie, podał córce szacowny pierścień rubinowy, krwawy, jak dla rycerza przystało; ona wsunęła go, jak chciał zwyczaj na największy swój palec, ale spadał, gdyż był bardzo duży. Podlódowski ze swojej strony wręczył synowi pierścionek misternej roboty, z jasnym jak gwiazda i nieskażonym w kształcie serca dyamentem: młodzieniec wcisnął go na czubek serdecznego palca. Wtedy organista podał tackę oblubieńcom: złożyli na niej pierścienie, a prowadzeni przez ojców ziemskich, stanęli przed ojcem duchownym. On modlitwę zmówił nad pierścieniami, pokropił je święconą wodą i oddał dwojgu młodemu. Ewa z rozkazu ojca dała rubin Filipowi, a on bez rozkazu ofiarował jej dyament, a nachyliwszy się i ukląkłszy, najprzód błogosławieństwo kapłana przyjęli, potem padli oboje do nóg ojcom i matce i z pełności ich serca odebrali obfite i szczere błogosławieństwo. Nie wiele jednak słów słyszeli obecni: jakkolwiek nagoto-

wał się Kochanowski do długiej mowy, jakkolwiek w podobnych razach obcym prawie i śpiewać umiał, dla pierworodnej słów nie znalazł, i prędzejby się były łzy nastrezyły; ale wstrzymał się od nich, żeby nie rozczulić więcej już tak rozczulonej matki i córki. Nastąpiła więc chwila uroczystego milezenia. Przerwał ją wnet pan Adam Kochanowski, mianowany od stryja starostą całego obrzędu, zawołał wielkim głosem:

— Kielichem! kielichem!

Na to hasło, jakby na wystrzał bojowy, albo na pobudkę obozową, wszyscy w sali ruszyli się, przemówili. Świece zgaszono; Ludwina pod bocznymi drzwiami stojąca i modląca się serdecznie o szczęście siostry, którego ani pojmowała ani zazdrościła, odebrała ze cziłą z rąk matki wizerunek Zbawiciela i odniosła go do sypialnej komnaty; ksiądz zdjął komżę, organista wyniósł się ze święconą wodą, a gospodarz podniósłszy w górę szacowny rostruchan w kształcie kruka, który przed sześcią laty od Zamoyskiego był dostał za napisaną na jego wesele Odprawę Posłów, wniósł zdrowie młodej pary i kazał zabrzmieć stojącej pod oknami muzyce. Zaczęły się dopiero okrzyki, powinszowania, życzenia; rostruchan przechodził z rąk do rąk; a choć kwartę z górą trzymał, w mgnieniu oka był spełniany. Wino było dobre, wytrawne, tego wieku co narzeczona, gdyż według staropolskiego zwyczaju, w roku jej urodzenia wtoczono je do ojcowskiej piwnicy; samo się więc prosiło, jakto mówią o rzeczach smacznych. I zaiste, gdyby losy Filipa i Ewy tak mogły były iść po myśli, jak ów złoty trunek szedł gładko do gardła gości i domowych, ledwie

z imienia znaneby im były kłopoty, zawody i smutki. I w tej chwili stojąc obok siebie, trzymając ręce, pewno ani wąpili oboje, że będą zawsze doskonale szczęśliwi. I czyż mógłby się kto im dziwić? Kochali, byli młodzi. Spojrzawszy na nich, zdawało ci się, że widzisz uosobione szczęście i życie. Bo i cóż może być nadobniejszego i potężniejszego razem jak dziewczyna tkliwa, niewinna, co ledwie siedemnaście wiosen liczy, i młodzieniec zakochany, szlachetny, śmiały, któremu niedawno lat dwadzieścia cztery minęło, i którym pozwalają iść społem. Jeżeli ci nie myślą, że ziemia, przyszłość, szczęście, zgoła świat cały ich jest, a czymże on będzie?

Ale najsmaczniejszego wina i za najdroższe zdrowie pić ciągle nie można; wreszcie „kiedy grajki pod oknami a płec biała pod ścianami, lepsze tany od kielicha”. Skoro tedy rostruchan parę razy kolej obszedł między mężczyznami, i znikły ogromne farfury ciast rozmaitych i konfektów, któremi częstowały przy winie młodsze córki gospodarskie, pan Adam dał znak muzyce. Zagrała poważnie i huczno, i wszyscy mężczyźni, starzy i młodszy poprawiwszy pasa, szcęknięli karabelami, czapki pod lewe ramie złożyli, a chybotając się zwolna, stanęli przed paniami nachylając głowę. Każdego innego dnia gospodarz domu byłby się zbliżył do matrony najstarszej wiekiem i godnością; byłby przed nią kark nachylił, prawa dłoń jej podał i prosił, aby swoją rączkę w niej złożyła i w taniec z nim poszła; ale dziś przyszedł do Ewy choć do córki, i do najmłodszej, i z nią stanął uroczyście na środku sali. Gospodyni Filipowi znak dała żeby ją wyprowadził. Dziś Filip i Ewa byli najstarszemi, było

to ich prawdziwe święto. Kiedy już całe towarzystwo zebrało się w pary i muzyka pierwszą część tańca przegrała, pan Wojski tupnął śmiało w takt prawą nogą, lewą wysunął naprzód, a prawą do niej przysunawszy, znowu takt rozpoczynał tupaniem, i tak wybijając nogami i potakując głową, raz, dwa, trzy, obchodził jak największem kołem obszerną salę, a za nim wszyscy. Za drugą połowę tańca smutniejszego nieco tonu, skreślił pochód na drugą stronę, i to puszczał swoją parę, to znowu z nią się łączył, a co on robił, robili wszyscy. Nareszcie gdy tak obszedł kilkakrotnie salę, raz w gładkie koło, drugi raz w węża, a za każdą częścią tańca nową robił zmianę; pan Podkoniuszy, który z umysłu dotąd nie tańczył, stanął przed pierwszą parą, a klasnąwszy mocno w dłonie, żądał z grzecznością odstąpienia panny. I otrzymał. Kochanowski przeszedł do drugiej pary i odbił ją, Filip do trzeciej i tak dalej; panie na tem nie traciły, nowych tancerzy zyskiwały, źle tylko było ostatniemu: sam jeden został. Nie tracąc czasu odbił Ewę panu Podkoniuszemu; i trwały tak te odbijania i przemiany, dopokąd Kochanowski wszystkich par nie przeszedł i nie został z kolei sam jeden. Wtedy zawołał:

— Płec biała sama!

Wszyscy mężczyźni posłuszni rozkazowi, skłoniwszy głowy z uszanowaniem, odstąpili pań swoich. Szła tak płec biała, sama czas jakiś, drobną nóżką także silnie takt znaczyła, głową pomagała nóżce. Ale wnet sprzykrzyło się niewiastom tańczyć samym; Ewa dała przykład, wzięła sobie parę: wszystkie ją naśladowały, a

nie jedna panienka w tym wyborze na żart, zdradziła może prawdziwy serca wybór.

Ewa nie wybrała przecież Filipa; już on jej był pewny: podała rękę Podłodowskiemu i z nim tańczyła rozmawiając wesoło. Wyborowi dobrowolnemu płci białej przeszkadzać nie było wolno; po obejściu tedy parazy sali, panie dały poznać grzecznie, że już mają dosyć; pokłoniły się uprzejmie; mężczyźni wyjmując czapkę z pod lewego ramienia, podsunęli ją zręcznie pod rączkę pani, a złożywszy na tej ręczce pocałowanie, puścili ją; i tak się zakończył taniec pieszy, jak go wówczas zwano, taniec, który my dziś tańczujemy i zowiemy z cudzoziemska polonezem.

Lecz gdzie było młodych par kilkanaście, i gdzie obchodzono zaręczyny dwojga ludzi, co razem ich wzięwszy, ledwie lat czterdzieści mieli; tam na takim poważnem tańcu jak pieszy, kończyć się nie mogło. Nastąpiły zwawsze a wszystkie przeplatane śpiewkami: bo wtenczas nie było tańca skocznego bez pieśni. Filip, czego łatwo domyśli się każdy, rej wodził między wszystkimi i już bogdanki z rąk nie wypuścił. To stawał z nią na czele par innych, najprzód śpiewał przed muzyką i śpiewał do niej a potem wywijał się żwawo, wykręcał całą salę w takt: raz dwa, raz dwa obiegał, a za nim śpiewali, wywijali się, wykręcali się, obiegali drudzy trzymając się parami ramie na ramieniu. To znowu w innym zupełnie tańcu występował z nią samą jedną; naprzeciw niej jak mógł dalej stanawszy, tupał jakby z niecierpliwości, a potem okrążając salę, dziwy z wielkiej ochoty wyprawiał; jeśli w bok stanął i sko-

czył, zdawało się, że oknem jak wiatr wyleci; jeśli znowu przysiadł do ziemi, rzekłbyś, że się wczółga pod ławy, jakby gad jaki. Ewa przypiąwszy do białego kabatu zapasek zielony z kieszonkami, odpowiadała mu na każde jego wezwanie, tupała tyle razy co on, ale tańczyła zupełnie inaczej: drobne stawiała kroki, a choć nie były i one bez sztuki, przecież wydawały przyrodzoną pieśczętę płci jej bardzo przyzwoitą; czasem tylko jakby przez zapomnienie podskoczyła lekko: wtedy brzękały klucze w kieszonkach zapaska, a obecni winiszowali z uśmiechem Podłodowskiemu:

— Ot! jaka walna gospodyni będzie!

Po tych tańcach dziś jeszcze nam znanych pod nazwą krakowiaka i kozaka, wzięto się do rozmaitych, już teraz zarzuconych; były to: cenar, goniowy, gniewus, lipka, dorobuska i inne; galarda tylko i wyrwańca nie dozwoliła Kochanowska: pierwszego dlatego, że obcy; drugiego, że nieobyczajny; jakoż w tym tańcu, według wiarogodnych opisów, tancerz z tancerka ujawszy się z bliska, wodzili się niby za nosy, i zdawali się spowiadać sobie z popełnionych grzechów, a kręcąc się prędko i coraz prędzej, obracali się wkoło. Nie wiem, czyby dziś tak wzięty u nas walc, uszedł kłątwy pani Czarnoleskiej; mnie się zdaje, że on coś bardzo na wyrwańca zarywa.

Przed samą wieczszą, około naszej siódmej godziny (ale nie rannej tylko wieczornej), Filip coraz więcej rozochocony, wezwał do najweselszego tańca, i w którym, jako sobie rodowitym, nad wszystkie inne celował:

Hejże dalej do Mazura.
Podajcież mi ręce która.

śpiewał, podrygując w sali i uderzając piętą o pięte,
i wyprowadził Ewę na środek; a skoro inni młodzieńce
dobrali sobie podobnie pary i stanęli w wieniec, śpie-
wał do bogdanki i do drugiej będącej przy nim z lewej
strony dziewczeczki:

Podajcież mi obie ręce,
Niechże wkoło się wykręczę.

Tak i inni śpiewali ręce sąsiadkom podając i u-
tworzyło się wielkie koło; wtedy wszyscy trzymając
się mocno i tupiąc gęsto jakby w deptaku, kręcili się
wołając:

Hoc, hoc, na około
I obróćwa się wesoło.

A trzymając się coraz mocniej, tupiąc coraz silniej
i kręcąc się coraz żwawiej, krzyczeli:

Kiedyśwa się rozhulali,
Hopa! hopa! dalej, dalej!

Siedzącym pod ścianami matronom, stojącym we
drzwiach poważnym mężom, mogło się wydawać pa-
trząc na nich, czując wiatr od szat ich sprawiany, że
to jakiś wir nowego rodzaju, jakaś trąba osobliwsza,
które tak kręcąc się z wzrastającą szybkością i siłą, i
ich ogarną i porwą. Ale rozigrane koło wstrzymało się
nagle i podzieliło się parami, zawsze jednak stojąc w
wieniec. Niejeden tancerz, widząc swoją panią bardzo
zmęczoną, obrócił się ku niej, a machając czapką, wie-
rzykiem twarz jej gorącą ochładzał. Filip zaś z Ewą

wnet wystąpił; to kręcił się w kole, to skakał, to tu-
pał, bił chołupca, trzymając raz jej ramię, raz obie ręce
nakrzyż, a przytem tak śpiewał:

Kej Mazur tupnie nogami
I zakresze podkówkami,
Kej ma dziewcze jak anioła:
Oto mu chwila wesoła!

Inne pary tym przykładem zachęczone, tak samo
występowały i tańczyły z kolei, śpiewając co komu
przyszło do głowy; potem znowu zebrawszy się w
jedno wielkie koło, kręciły się do upadłego, wołając
ciągle:

Hoc, hoc, na około
I obróćwa się wesoło,
Kiedyśwa się rozhulali,
Hopa! hopa! dalej, dalej!

Kiedy tak hulali, Kochanowski stanął we drzwiach
sali z kielichem w ręku i zawołał:

Wiwat Mazur, Krakowiaki,
Wiwat dziewczki i chłopaki!

a spełniwszy duszkiem, wezwał do wieczerzy.

Chociaż prawie ciągle od obiadu za staraniem Ko-
chanowskiej i dozorem Ludwiny było co jeść i co pić,
przecież owo wezwanie do wieczerzy mile zostało przy-
jęte. Każdy tanecznik wziął pod rękę swoją panią, za-
prowadził ją do stołu i sam usiadł przy niej. Już teraz
i Filip miał miejsce obok Ewy, i to najpierwsze, i nie-
raz spełniono zdrowie ich obojga. Oblubieniec odwzię-
czał się zwyczajem męzkim, spełniając podany sobie
kielich co do kropki; Ewa dotykała się tylko ustami

naczynia i dziękowała skłonieniem głowy i słowem. Bo jakkolwiek Polacy w owych wiekach tego spijali, i często przy biesiadzie z ludzi w zwierzęta się zamieniali, od kobiet, czem niechęć przyznawali nam lepszą naturę niż sobie, nigdy nie wymagali wzajemności. Paprocki w swoich dziesięciorgu przykazaniach niewieścich napisał:

Pókiś panną, dosyć masz, abyś to wiedziała,
Gdy kto pije do ciebie, odpowiedź mu daj.

A cnotliwy Modrzewski wspomina ze zgrozą o kilku domach miejskich, gdzie się schodzili mężczyźni i białogłowy: mężczyźni pili za zdrowie łaskawych na siebie, a „białogłowy, czego nawet rzymskie niewiasty, acz poganki, nie pozwalały sobie, pełniły rzekomo, aby się nie zdały nie życzyć zdrowia onym, co za ich zdrowie przepoje czynią.“

Wieczera dostatnia i smaczna, kształtnie zastawiona i chędogo dana, trwała dopóki się nie ściemniło zupełnie; wtedy sala bawialna, sięń, zajaśniały jarzącym światłem, na podwórzu wzniosły się ognie ze słomy, kagańce rozpalone; zeszła się wezwana przez dziedzica Czarnoleska gromada; bo u prawdziwej polskiej szlachty, godnej tego imienia, niema uciechy, kiedy jej kmiotkowie nie dzielą: wie ona, „ziemia nie nasza ale Boża, tak pan jak chłopiec tylko gospodę ma na niej“. Wytoczono dla nich kilka beczek piwa, parę baryłek miodu, a dodano nierównie więcej w miarę mięsiwa, krup, jarzyn, sera i chleba; grajkowie również posileni odezwali się hucznie, i nowa ochota do tańca wszystkich przejęła: każdy tanecznik już nie czekając, żeby

zdzjęto ze stołu półmiski i obrusy, porwał za swoją panią i pospieszył do świeżo umiecionej i pokropionej sali. Najprzód według zwyczaju, całe zgromadzenie ponowiło taniec pieszcy, a potem przyszły z kolei wszystkie inne z tą różnicą, że jeszcze raźniej, weselej i głośniej niż pierwszej; jakto zawsze bywało i bywa po dobrej wieczery i przy dobrem winie. Ochota trwała późno w noc, dopóki się młodzież zabawą nie zmęczyła, dopóki starszym, którzy długo z natężonem uchem muzyki słuchali i pilnie na tańczących patrzyli, sen nie zaczął zamykać omdlałe oczy.

Ewa wytańcowwała się za wszystkie czasy i podobno na całe życie. Było jej pierwszy jak dziś zowiemy, bal, a kto wie czy nie ostatni. W owych wiekach huczne zabawy nie należały wcale do przeznaczenia kobiet; taniec nie był bynajmniej koniecznym i powszednim dla młodzieży chlebem; rodzice nie liczyli do obowiązków swoich dostarczania córkom sposobności bawienia się, i w wydania, jak weszło w zwyczaj mówić. Mężczyźni zjeżdżali się do miast, na pańskie dwory, jedli, pili, dokazywali, i w tem mieli zwykłe widoki obywatelskie; dla kobiet nie było innych zjazdów prócz z krewnymi, z przyjaciółmi, z powodu jakiego rodzinnego obrzędu: trafił się raz w parę lat, to dobrze; nie trafił się, nie miano to za żadną krzywdę. Często dziewczeczka do samego wesela nogą nie ruszyła, chyba na żart dla wprawy, dla ruchu z siostrami: w żadnym licznym towarzystwie ani powstała, a ślubna suknia była pierwszą jej strojną suknią: ale nie uważała się przeto za nie-szczęśliwą, a wydała się lepiej i prędzej niż dzisiaj-

sze panny. Rano wstając, wcześniej spać chodząc, cały dzień zatrudniona, z kąd jej było wziąć czas na nudy, z kąd pragnienia zabaw? Schadzki też mężczyzn z płcią białą po wieczorach i nocach jedynie dla tańców, dziś tak powszechnie przyjęte, wtedy jedynie po stolicach widzieć można było, a domy gdzie się odbywały, równano z najgorszymi. Mężatki i panny, co tam uczęszczały, w złej były sławie. „Bo będzież która — mówi jeszcze zacny Modrzewski — coby z podobnej biesiady lepszą do domu wróciła? któraż z takich schadzek odejdzie, odnosząc wolne serca od nagannego lubowania, chociażby też na ciele splamioną nie była? O! nieszczęśliwe dziewczeczki, które się w takowych schadzkach kochacie! O! nieszczęśliwi rodzice i mężowie córek i żon takich!”

Smutnie to a może niewczesnie, rodzajem kławy na tańce i zabawy rozdział o zabawie i o tańcu zakończyć; ale bo i któżby się ważył przyganiać młodzieży, kiedy się przyzwocie i niewinnie bawi? Sam Modrzewski o tem nie myślał; zbytek tylko, niestosowność uciech, ślepe ich zamiłowanie i pragnienie, jak gdyby człowiek do samej zabawy się urodził, tym zawsze i wszędzie przyganiać należy.

XV.

Bodaj szczęśliwie tę drogę odprawił.
I wszystko według myśli swojej sprawił.
Ks. 11. pieśń 7.

I przykrego zdarzenia nie trzeba, żeby po hucznej i wesołej biesiadzie dzień następny wydał się głuchy i ponury; cóż dopiero być musi, kiedy komu wypadnie prosto z tańca i od stołu zegnać się z ukochanymi osobami, puszczać się na dalekie przygody i prawie nieochybne niebezpieczeństwa? Tak przecież się trafiło Czarnoleskiej drużynie; i wyznać należy, iż nie zniosła tej przemiany bez srogiej serca boleści. Kochanowski osobliwie, gdy już wybiła przykra godzina rozstania, gdy konie zaszły, i wszyscy przed gankiem się zebrali, tkliwym się okazał aż do zbytku; może to był skutek wczorajszego wina, które jeszcze w nim pracowało; może jakieś okropne przeczucie, jak upornie utrzymywał; dosyć, że rzęsimi łzami oblewał twarz przyjaciela żegnając go, pełne smutku mówił mu słowa, o dotrzymaniu młodzieńczej zmowy upewniał, a w końcu uwiesił mu się u szyi, i nie chciał go wcale puścić. Do tego przyszło, że Podlódowski nie mówiąc, tylko ściskając ukochanego Jana za rękę, co zawsze bywało niemem świadectwem najgłębszych uczuć, oderwał się

od niego prawie gwałtem, wskoczył odrazu na konia, i ruszył za wrota czwałem, nawet nie oglądając się.

Filip i Ewa nie mniej zapewne uczuli żałości, lecz pokazywać jej tyle nie śmieli; pocałowanie ręki jedyną było wówczas pieszczotą dozwoloną narzeczonym, bądź w oczach rodziców, bądź za oczami; z trudnością też przyszło młodzieńcowi wypuścić z męzkich i szorstkich rąk swoich drobną i gładką rękę dziewczęci, a osobliwie owego małego paluszka, na którym od wczoraj błyszczał jak gwiazda zakład obiecaney wiary. Byłby rad wziął go z sobą jakim cudem, i dziwne rzeczy mu powiedział: „jak ma przypominać swojej pani wiernego i dozgonnego jej sługę, co jej mówić w wieczór i rano w jego imieniu, od czego strzedz ją i bronić“. A snadź nie Filip pierwszy i ostatni wpadł na myśl dziwną przybierania sobie podobnego powiernika; wszak do dziś dnia młode dziewczęta wiedzą pełno rzeczy niewiedzieć z kąd i od kogo? a jak ich się zapytać: kto to im wszystko powiedział „Serdeczny paluszek“ odpowiadają z uśmiechem. I Ewa ze swojej strony obracając się także do wczorajszego pierścienia, którego rubin szacowny, jak kropla krwi oprawny w dyamenty czerwienił się na palcu stroskanego Rotmistrza, przemówiła kilka słów rzewnych, jakichby może nie była się odważyła wyrzec wprost.

— Niechże cię jak najrychlej oglądam znowu, drogi pierścieniu i w całości — mówiła drżącym i pełnym łez głosem — tęsknić tu będę za tobą, a skoro raz wrócisz szczęśliwie, już cię więcej nie dam od siebie.

Pod ciężkiem zaklęciem przysiągł Filip, jako wróci

pierścień w całości, i wraz z nim ślać się będzie pod stopy pani, którejby nigdy oba porzucać nie radzi: „Raczej życie stracić niż ciebie“, mówił sobie w duszy, gdy ucałowawszy nogi przyszłych rodziców i odebrawszy serdeczne ich błogosławieństwo, wsiadł na swego Turczynka, i złoty znak przyciskał do ust.

Ruszył i on za przybranym ojcem, a choć się wielokrotnie oglądał, wnet go dopędził. Długo widać ich było obydwóch, długo migały się jak błyskawice dobyte szable, któremi znaki robili w powietrzu na pożegnanie, dłużej jeszcze z tarasu Kochanowskiego, na który wstąpiła cała rodzina, widać było obłok kurzawy wzbijany przez konie ich i licznej dosyć służby; ale nareszcie wszystko znikło, samo milczenie i smutek zostały, tem przykrejsze, że zaraz od południa czas się zmienił: ostry wiatr dąć zaczął, a choć to był początek pięknego maja, sprowadził wnet deszcz zimny napół ze śniegiem.

Kochanowski zamknął się u siebie i przez pare dni mało co się pokazywał; wyjeżdżał w pole, chodził około gospodarstwa, kiedy tego była konieczna potrzeba; najchętniej jednak osobności szukał: tam zagłębiał się w myślach, i jednej Orszulce wolno byle przerywać jego tęskne dumania. Luba dziewczynka skoro zobaczyła ojca siedzącego samotnie, skoro wpatrując mu się w oczy, dostrzegła na jego czole niezwykajnych śladów smutku, czepiała się jego sukien, siadała mu na kolanach, albo stanawszy na ławce obok niego, spinała się jak mogła; i póty czoło jego pocałowaniem gładziła, póki nie znikły zmarszczki pod jej różanemi ustami, jak

śnieg znikał pod wiosennem słońcem. Nieraz także własną jego bronią go biła i pokonywała; chodząc naokoło, piastując łątki swoje, nuciła jakby od niechcenia stosowne wyjątki z psalmów, jak na przykład:

Gniew Pana nie trwałszy piany,
A łaski, wiek nieprzetrwany:
Kogo w wieczór zafrasuje,
Tego rano umiłuje.

Albo też:

Użyję zwykłej litości,
Obrócę płacz twój w radości;
Zdejmiesz z siebie wór żałobny,
Włożysz na się płaszcz ozdobny, i t. p.

Kochanowska choć szczerze przejęta odjazdem brata i przyszłego zięcia, choć nie mniej wystawiająca sobie od męża wszystko złe, co ich w tak długiej drodze spotkać mogło, nie pozwoliła przecież ani sobie, ani tem bardziej córce, wzdychać, narzekać, usychać i smucić się w bezczynności. Wreszcie coby uszło kobiecie przy dzisiejszych wykwinniejszych obyczajach, nie mogło mieć miejsca obok dawnej prostoty. Dziś, panna na wydaniu, rodu i majątku Ewy, jakież zwykle ma zatrudnienia? oto czytać, pisać, grać, rysować, szyć na kanwie; choćby tedy przez pare dni jakowejś tęsknoty i zniechęcenia opuściła ręce, i nie ruszyła pamiętników czy romansu, choćby nie wprawiała się w etiudę, nie skończyła jakiego przerysu, i dała pokój zaczętemu haftowi, nikt o tem wiedzieć nie będzie, a przynajmniej nikt nie poniesie szkody; ale niech noby gospodarna Ewa nie była dojrzała krów, spiżarni, kuchni; niechby była grządek swoich nie podlała, złych ziół nie wypelła, kurczątek nie nakarmiła, nie odwiedziła chorych: wnetby

nieład był widoczny, i matka ostrem łajaniem byłaby wypłoszyła takie dziwne i kordyacyjne żale.

I te same żale, jakkolwiek powód do nich był słuszny, przy ciągłej a koniecznej pracy zwolnieć musiały; mimo tego ówczesne kobiety nie były mniej czułe dla drugich; ale wyznać należy: po większej części były mniej czułe dla siebie, niż częstokroć dzisiejsze.

Ewa pomagając matce, przewodząc siostrze do przywrócenia porządku w domu po ostatniej biesiadzie, do obrachowania już nie tego co wyszło lecz tego co zostało, nie zapomniiała bynajmniej o bogdanie swoim; nikt tego nie wymagał po niej: owszem każdy byłby jej pustą wesołość i obojętność za grzech poczytał. Wówczas wolno było pannie się kochać, może nawet jawniej, niż teraz; ale kochać się raz tylko jeden na całe życie, za wiedzą rodziców czy starszych, i w przyszłym mężu. Nie kryły się też panny ze swoją miłością, a z tej jawności rodziła się stałość; bo skoro o której wieść się rozeszła: „Zakochała się, trafiła na swego bogdana“, już dla tego samego miłowała go niezmiennie, żeby nie ująć za płochą i za lekkomyślną. Ewa tedy nie tracąc ani na chwilę Filipa z pamięci, choć już nie tak wesoła i figlarna jak dawniej, rozerwała przecież ciężki po nim smutek. Nie tylko rano i wieczór, daleko częściej spoglądała na swój pierścionek i przypominała sobie ostatnie pożegnanie; z matką, z Nastką, rozmawiała o panu Rotmistrzu, o jego rzadkich zaletach, o przyszłym z nim szczęściu; ale obok tego nie zaniedbała żadnego obowiązku, nie zapadła na zdrowiu, ani też nie nudziła ani siebie, ani nikogo narzekaniami i melancholią.

Następujących dni przyszła też nowa robota, którą zajęła się pilnie cała pleć niewieścia domowa, a która dla Ewy szczególnie miała wdzięk wielki, jak to pojma zapewne wszystkie panny idące za mąż. Tą robotą była wyprawa czyli gierada, jak wówczas niektórzy mówili.

Sądząc po tem, co dziś w takich razach w niejednym polskim domu się dzieje, wnosićby należało: iż zaczął się ten zachód od tego, że pan ojciec po długim targowaniu się i trząsaniu głową dobył worka, albo też co jeszcze częściej się trafia, pożyczył od kogo pieniędzy, a pani żona z panną córką zapisawszy różne cudności z za granicy i z za morza, ruszyły do stolicy, albo do najbliższego obcego miasta zakupić tam rzeczy i szaty pospolitsze, i wzięły z sobą choć jedną brykę pod owe towary? Nie, Kochanowski nie dał ani grosza, żona i córka nie napisały ani jednego listu, i nie ruszyły się na krok z domu; Nastka sama jedna pojechała do Kazimierza po jedwab, guziki, igły, taśmy i t. p. drobnostki i przybory; a ów kuśnierz i ów krawiec, co już byli w Czarnolesie podczas przeglądu szatni, teraz na kilka tygodni wezwanymi zostali. Dawniej, wyprawa panny nie robiła się tak, jak nam nieraz widzieć się przytrafia: na gwałt, na przepych, bez zastósowania do posagu, do dalszego życia i przeznaczenia przyszłej męzatki, której często nasprawiają takich rzeczy, jakich ona później ani włożyć może. Staropolscy rodzice jeżeli mieli pieniądze dla córki, woleli dać jej gotowizną pod poduszkę, a trwonili jak najmniej na tak zwane fatałaszkę. Myślano tedy o wyprawie kilkanaście lat przed

weselem, starając się opędzić ją ile możności tem, cōdom miał. W tem wcześnem obmyślanu, któreby dziś powodem było do żartów i do wróżb niepomyślnych, nikt żadnej śmieszności, ani próżnej chwalby nie widział; owszem, rozsądną przeczność. W owych czasach, więcej do natury zbliżonych, nie miano wcale za rzecz nieprzyzwoitą albo niebezpieczną myśleć o dorodnej i dobrze wychowanej dziewczeczce, że pójdzie za mąż i mówić jej o tem. Ukrywać przed nią to główne przeznaczenie kobiety uważano by za rzecz równie zbyteczną i dziwną, jak tać przed chłopcem, że kiedyś z Tatarami, albo z Turkiem rozprawiać mu się przyjdzie. Bo przy lepszych obyczajach i większej pobożności, nie było wcale, jak już wspomnieliśmy wyżej, starych panien świeckich; wszyscy niemal mężczyźni się żenili; rzadka zaś była rodzina, któraby choć jednej córki nie chowała na zakonnicę. Bez żadnej więc tajemnicy matka dziewczki przeznaczonej do świata, myślała o jej wyprawie niemal od kolebki; dziewczeczka od dzieciństwa pracowała w tym celu; siostry pomagały jej chętnie, a co wynikło z tych spólnych prac, składane było do osobnej skrzyni. Toż kiedy się trafiło panience dostać w darze od chrześtnych, od starszych krewnych nieco pieniędzy, sztukę bławatu, błam futra, przestrzegali ją rodzice mówiąc:

„Zbyteczne to teraz dla ciebie, raczej na wyprawę schować“, i moneta szła do garnuszka, a podarek do skrzyni.

Znalazł się w rzeczach matki strój, który poważnej matronie już nie przystawał:

— Zda się dla mojej dziewczki — mówiła, i strój szedł także do skrzyni.

Czasem, sztuka domowego płótna, obrus, ręczniki, pstry jakie płócienko dziwnie pięknie się udały:

— Żalby się tego Panie Boże na codzienne nasze obciążenie — wyrokowała gospodyni, odłożyć to dla naszej dziewczki.

I tym sposobem skrzynia się nappełniła, a kiedy mąż się trafił, nie było wydatków i korowodów, należało tylko rozpatrzyć się we wszystkim i urządzić jaknajlepiej.

I z wyprawą Ewy nie zaszedł żaden inny zachód. Otworzono wielką skrzynię jej imieniem oznaczoną, już nam znaną; do której, o czem zapomnieliśmy wspomnieć, pan Podkoniuszy niemało dorzucił w dzień, kiedy do Czarnolasu na zaręczyny zjechał. W owej ciężkiej bryce bowiem, co to za nim z Turcyi się przytoczyła, znalazły się atłasy, kitaje stambulskie, różne wschodnie i wełniane i bawełniane tkaniny, czabany podolskie, baranki krymskie, nowogrodzkie marmurki, syberyjskie sobole; a Podlodowski te wszelkie cudowności ofiarował Ewie. Kochanowska tedy wkrótce po odjeździe lubych gości, z trzema starszemi córkami i z wierną Nastką wypróżniła całą skrzynię; parę poranków strawiła w szatni, i wnet wszystko przyrządzono według następującego spisu; zostało tylko prawie przerobić używane już rzeczy: przykroić, uszyć, naznaczyć nowe, uprać bieliznę, i to co się prać dało.

Spis wyprawy Ewy Kochanowskiej.

Kożuszków codziennych sukiennych bielnią podszytych dwa.

Kożuszek brunatny teletowy, popielicami podszyty jeden.

Kożuszek turecki kitajowy zielony, krymskiemi barankami podbity jeden.

Czucha (szuba) od szarzenia sukienna szara z lisami.

Czucha od święta atłasowa karmazynowa, brzuskami nowogrodzkiemi podszyta.

Kabat ślubny biały adamaszkowy ogoniasty.

Kabat zaręczynowy biały czamlotowy.

Suknia czarna atłasowa sobolem obłożona, rozwartą na przodzie.

Suknia zielona adamaszkowa gronostajami obłożona.

Giermach jedwabny fiołkowy podbity bobrem.

Letnik tawtowy ceglasty białym kitajem podszyty.

Letnik pisany, płótnem żółtem podszyty.

Mentlików płóciennych pstrych, barchanem podszytych dwa.

Koszul wyszywanych i marszczonych z długimi rękawami i z kołnierzem, cztery tuziny.

Koszul bez kołnierza z długimi rękawami, dwa tuziny.

Obrusów różnej miary trzy tuziny.

Ręczników wyszywanych dwa tuziny.

Gładkich tyleż.

Ręczników tureckich rozmaitych tuzin.

Towalni jedwabnych sześć.

Spódnica jedwabna biała atłasowa.

Spódnica karmazynowa kitajowa.

Spódnica futrzana.

Spódnice wełniane dwie.

Spódnica czerwona.

Spódnice barchanowych trzy.

Prześcieradeł dwa tuziny.

Cztery poduszki puchowe z pochwami.
 Pierzynka pstra jedna.
 Kołder wełnianych dwie.
 Materacy drylichem w pasy pokrytych dwa.
 Łóżko żelazne z namiotkiem.
 Opona do przykrycia łóżka z materyi tureckiej.
 Opona futrzana.
 Kobierców na stół dwa.
 Kobierców wązkich na ławy dwa.
 Czepeców bogatych dwa.
 Czapka czarna z uszami i z barankiem.
 Czapka karmazynowa aksamitna z sobolem.
 Zasłona muślinowa turecka.
 Myczka białogłowska jedna.
 Duchenek nocnych cztery.
 Krez białych rąbkowanych karbowanych dwie.
 Forbotowa ze złotem jedna.
 Gładka jedna.
 Pończoch szytych par sześć.
 Pończochy czarne sukienne jedno.
 Pończochy czerwone sukienne jedno.
 Pończochy futrzane jedno.
 Trzewików kurdybanowych par dwie.
 Trzewików skopowych o dwóch podeszwach para.
 Skorzenki kunowe.
 Butów sakowych dwie pary.
 Pantofle kurdybanowe.
 Pantofle tureckie haftowane.
 Zarekawek futrzany.

Nie było na tym spisie srebra, klejnotów, jakie Kochanowscy dać mieli przy ślubie córce, gdyż jeszcze dział tych rzeczy na pięć równych części nie był sporządzony; wreszcie około kosztowności podobnych, żadnej nie było roboty: dosyć było czasu w dzień ślubu ofiarować je i do rejestru dołączyć. Kształt sztućców, czar, puharów, miednic, nalewek, nie zmieniał się wtedy co lat kilka, równie jak się nie zmieniała oprawa drogich kamieni; rodzinne, od dziadów pradziadów cyfry, kształt staroświecki, dodawały im nawet ceny, świadczyły tem samem: że już dawno są w domu, co za większą poczytywano chlubę, jak gdyby za pieniądze zakupuć coś nowego u złotnika i jubilera, choćby też w samej Wenecyi, w Norymberdze, albo i w Paryżu.

Wiemy jednak z dobrego źródła, że gdy już przyszło Ewie iść do ołtarza, dostała od matki:
 Łyżek srebrnych sześć z cyfrą i herbem Podlódowskich.
 Kubków srebrnych tyleż z napisami.
 Misę wielką srebrną z Turcyi przywiezioną.
 Puhar kosztowny, dar ślubny Białaczewskich.
 Czarę złocistą na Tatarach zdobytą przez ojca Podlódowskiego.
 Noszenie na szyję szmaragdowe z perełkami, po babce macierzystej Kochanowskiego.
 Pierścień z obrazem Matki Boskiej, po Janie Odrowążu, biskupie Gnieźnieńskim, 1454 roku zmarłym;
 a na drobniejszym złotym łańcuszku banieczkę w kształcie jabłuszka: była to balsamka, puszka kryształowa na rozmaite wonie w złoto oprawna, matce Kochanowskiego darowana niegdyś od jej chrzestnych.

Jakkolwiek wyprawa Ewy Kochanowskiej wyda się może niejednej mniej znakomitej od niej dziewczęce zbyt skromna, przecież ona nad dopełnieniem jej daleko więcej pracowała od wielu panien dziś idących za mąż, których przepłacone *trousseau* kilkaby zajęło arkuszy, gdyby warto było spisywać, gdyby nazwać można wszystkie składające go elegancje. W rozkładzie prac dostało się Ewie naznaczenie całej bielizny, wyszycie koszul z kołnierzem w rozmaite wzorki, i utkanie dwóch pięknych stołowych nakryć; te wszystkie zaś roboty nie szły tak łatwo jak dziś pójśćby mogły, takich pomocy nie było: wszystko należało wymyślić i wykonać samej, a każda ówczesna robotnica według słów późniejszego nieco poety Kaspra Miaskowskiego:

„Cienkie obrusy tkła rączkami,
Nadobne wzory kładła myślami“.

Prócz tego należało do koniecznych obowiązków panny idącej za mąż, zrobić coś bardzo pięknego przed ślubem własną ręką dla swego przyszłego. Ewa po długich naradach z matką, po namysłach z samą sobą, przedsięwzięła czaprak, zgadując, że ozdoba ulubionego Turczynka najmilej od pana Rotmistrza przyjęta będzie. Amarantowy turecki atłas nałożyła w krosienka, i szyła na nim kruki czarnym jedwabiem, łabędzie białym, obwodząc jedne i drugie i łącząc je srebrnym sznurowadłem; były to jak wiadomo Kochanowskich i Owadowskich herbowe znaki, a wtedy owe, „piętna szlacheckie“ kładziono chętnie, gdzie tylko się dało, nieraz z przesadą. Może ten wzorek nie ułożył się z doskonałym gustem, może ptaki nie były jak żywe, a kruki nieraz większe

od łabędzi; jednak wydawało się to wszystko razem wcale niezłe; cały dwór Czarnoleski, wszystkie sąsiadki i młodzi sąsiedzi uwielbiali zręczność panny Wojskiej, a ona tymczasem w tej pracy niepojęty wdzięk znajdowała. Rano wstawszy biegła zobaczyć jak się wydaje, czy dużo już zrobionego? rachować, za jak wiele tygodni będzie mogła być skończona? Z wszelką ważniejszą robotą jak najspieszniej dążyła, żeby mieć więcej czasu do ulubionej; a kiedy siedziała przy swoich krosienkach, owe ptaki które mimowolnie wyszywała zawsze parami, tysiączne słodkie myśli jej podawały...

Od wyjazdu Filipa, Ewa zarzuciła także zupełnie dawne wesołe piosenki swoje, polubiła smutne nucenie i wszelakie wiersze. Wiele poezji ojcowskich już było drukowanych, ale ona nie знаła i połowy; teraz odczytywała je pilnie, i bardzo jej było dziwno, że niektóre pieśni niegdyś zupełnie dla niej obojętne i trudne, teraz rozumie, pamięta, i nawet jakby siebie w nich widzi; ledwie parę razy którą pieśń przeczyta, już ją powtarza, i zdaje jej się, żeby taką samą, może jeszcze lepszą złożyć potrafiła; jak na przykład następująca:

„Jako ptak, kiedy towarzysza zbędzie,
Nigdy na różdce zielonej nie siedzie,
A między bory i pustemi lasy
Sam jeden lata po swe wszystkie czasy:

Tak ja nieszczęsna w jego niebytności
Muszę być zawdy w trosce i w żałości;
Chronię się ludzi sama nie wiem czemu,
Radam gdy świadka niemam płaczu swemu.

Troszczą mnie smutną srogię morskie wody,
Troszczą mnie wiatry i złe niepogody;

Troszcze mnie wszystko cokolwiek być może :
Tobie go ja tam poruczam, mój Boże !

I to mi czasem na myśl więc przychodzi
(Bo łącno gdy chce nieszczęście ugodzi)
Ze może serce próżno się frasuje
A on podobno gdzieindziej miłuje.

Zlećby mi płacił moje życliwości,
Bym miała doznać takiej niewdzięczności :
Bodajbym pierwszej ostatnia skonała
Niżli nowiny takiej doczekała.

Ale ja dufam jego szczerzej enocie,
Że mię nie będzie chciał mieć w tym kłopotcie ;
Będzie pamiętał i statecznie chował
Miłość i wiarę którą mi ślubował.

Usilne wiatry co morzem władacie
Jeżeli też kiedy to co miłość znacie,
Dodajcie mu tak szczęśliwego biegu
Że w rychłe stanie na ojczystym brzegu". *)

Często jednak Ewa ciężkie wymówki sobie czyniąc, iż wiersze świeckie umie i powtarza jak pacierz, że nie do kościoła ale dla Turczynka jej taka piękna i trudna robota, prosiła pobożnej Ludwiny żeby koło niej usiadła, i prym trzymała w jakiej świętej pieśni; a tak wtórując siostrze spokoila sumienie swoje; pan Filip zaś na tem nie tracił, bo robota szła jeszcze sporzej, a modły ofiarowane były za niego.

I Kochanowski po kilku dniach zaczął przecież otrzasać się ze smutku swego, i znajdować rozrywkę nie w samych pieśnyczkach Orszulki; najmocniej jednak zajął go i zwrócił myśli jego w innym kierunku, list synowca Krysztofa, najstarszego syna pani Mikołajowej Kochanowskiej z Jasieńca, który, jak się wyżej wspomniało,

*) Księga II, pieśń 11.

zostawał przy dworze królewskim. Umieszczony tam najwięcej dla zasług stryja, dotąd bez szczególnego urzędu i zatrudnienia, układu jednak i głowy wcale na dworaka, i jakbyśmy dziś powiedzili na dyplomata, uważał pilnie wszystko, brał nawet udział we wszystkim, i rozumiał nieraz że do wszystkiego należy; wypłacał się stryjowi za posadę swoją, w której wielce smakował, donosząc mu wiernie to co widział, słyszał, co się działo, i czego się domyślał. List jego był prawie w tych słowach; spolszczyliśmy bowiem łacinę, bez której ówczesne korespondencye męskie rzadko kiedy się odbywały.

„Wielmożny, mnie wielce miłościwy Stryju a panie !

Pierwsza miłość od siebie, donoszę przeto na samym przedzie Waszej Miłości, iż zdrów jestem dzięki Panu Bogu, i powodzi mi się po myśli. We trzy dni po odjeździe naszego pana Podkoniuszego (któremu mocno obowiązywał, aby wam oświadczył moje służby, ale nie wiem czy nie przepomniął z wielkiego pośpiechu) król, pan nasz miłościwy idąc do kaplicy na mszę świętą postrzegł mnie, spytał czy do Waszej Mości często pisuję, pozdrowić was rozkazał, a nazajutrz nasz pan marszałek *) zawołał mnie i oświadczył, jako skutkiem osobliwszej łaski królewskiej, policzony zostałem w poczet płatnych dworzan, jakich bywa najwięcej szesnastu przy Monarsze; a którzy, jak Waszej Miłości wiadomo, nie są wcale brani z szarej szlachty, gdyż Herburtowie, Niemojowscy, Kretkowscy, Gołuchowscy,

*) Stanisław Przyjemski.

są dziś między niemi. Pobierać będę jako i każdy z nich na sześć koni obrok, strawnego trzy złote co tydzień na chleb, piwo i wino, i czterysta złotych rocznych zasług; a co jeszcze lepsza, choć i tamto nie najgorsze, zbliżę się daleko więcej do majestatu, co jest dobrodziejstwem i szczęściem bez ceny; a będąc koło wielkiego ołtarza, będę mógł i sam korzystać, i Waszej Mości przysługiwać się jeszcze rychlejszemi i pewniejszemi nowinami niż dotąd.

„Nie czekając nawet dłużej, prosząc was tylko, abyście moje służby pani Stryjence i bratankom przelożyć raczyli, i pani Matce przesłali jak najrychlej przyłączone tu pisanie, opowiem wam dokładnie co tu u nas słyhać, co porabiamy i porabiać myślimy.

„Jużto — mówiąc między nami — nie bez przyczyny pan Podkoniuszy tak spiesźnie wyprawiony powtórnie do Carogrodu; do czegożby prosił tyle koni w królewskiej stajni, gdyby się nie miało na wojnę? Będziemy tedy mieli wojnę niebawem, śpiewając naszemu Stefanowi wraz z waszym Psalmistą i po waszemu:

Wsiadaj z dobrem sercem, o Królu cnotliwy,
I w dobrą godzinę na swój koń chętny;
Zajedź drogę śmiało nieprzyjacielowi,
A zastaw się o mój lud poganinowi. *)

„Tak, nie inaczej, ruszymy wszyscy na Turka, na ową potęgę co śmie grozić Chrześcijaństwu zagubą, co chce oblać ciemnotą swoją całą Europę; wiem dowodnie, że i w Rzymie i gdzieindziej, są dane tajemne

polecenia dowiadywania się: jakiejby chęci w takim razie król polski mógł się spodziewać od Ojca świętego, i od innych panów chrześcijańskich? Wiem ja, bowiem w ciemie nie bity, że i nasz pan Podkoniuszy nie po same konie pojechał; ma on tam przepatrować siły tureckie, stan wojska, i wierną zdać o tem sprawę; a królowi naszemu, choć tak za pięknymi końmi przepada, ręczę, że na tej wiadomości więcej zależy, niż gdyby mu ze stajni sultańskiej kilku uprowadził arabskich dzianetów.

„Skoro da Bóg, że owych potężnych wrogów pokonamy, nową chwałą się okryjemy, prawemu kościołowi się zasłużymy, skarbami zasilimy, wtedy snadno nam będzie wewnętrznym nieprzyjaciołom poradzić. Groźni sąsiadom, pewni pokoju, poprawimy ciężkie wady Rzeczypospolitej, ustalimy niepewność jej losów. Założą się szranki swawoli, ukróci się zuchwalstwo możnych, swobodom nada się trwałość, ustanowi się następstwo tronu, a przynajmniej sposób elekcji poprawiony zostanie. Jakaś istna kara Niebios, że nam z tem następstwem tak się rwie; bo chociaż Polakom z dawien dawna wolno obierać sobie królów, przecież naród nasz zawsze rad bierze brata po bracie, syna po ojcu; i nieodżałowana szkoda, iż po takim królu jak dzisiejszy nie wolno nam spodziewać się potomka. Jedna wada naszej Miłościwej Pani, te owe lat pięćdziesiąt z górą! Słyszałem ja niedawno od osoby, co wiedzieć takie rzeczy może (jedno mnie nie wydajcie przed nikim, na miłość Boską), iż dla tego jedynie Gryzelda Batorówna dana w małżeństwo Zamoyskiemu, dla tego rok właśnie temu, owo monar-

*) Psalm XX.

ehiczne wesele, tryumfy, igrzyska, rozrzucanie pieniędzy, żeby jeżeli nie on, to kiedyś syn jego, skoro mu go synowica królewska urodzi, był swego czasu królem. Lecz cóż? jakby o tym zamiarze posłyszała nieprzyjazna Fortuna. Pani Kancelerzyna, czego może Wasza Miłość jeszcze nie wiesz, gdyż nie koniecznie z tą nowiną się noszą, poroniła niedawno w Knyszynie, i według dworskich pogłosek tyle miała szkodować na zdrowiu, iż ani dalszego potomstwa, ani długiego życia lekarze nie obiecują. Kanclerz jakkolwiek nie wie i słowa o tym ich wyroku, przecież z razu bardzo wziął na serce to nieszczęście, zwłaszcza gdy się dowiedział, że dziecię było płci męskiej; przez pare dni płakał; czego od śmierci drugiej żony nikt po nim nie widział: niewiadomo jednak czy te łzy były za synem, czyli za królem? lubo Wasza Miłość znasz lepiej nawet odemnie, że on pragnie dzieci jak zbawienia, a korony wcale sobie nie życzy; a to nie tyle z bojaźni zawiści dawniejszych od siebie panów, o których bynajmniej nie dba, ile dla tego, żeby sobie nie zniechęcił szarej szlachty, o którą wielce stoi.

„Z innej strony powiadano mi znowu, jakby on sam namawiać miał Miłościwego Pana do wyjednania dla synowców indygenatu, i podania potem jednego z nich narodowi na swego następcę. Z tą powieścią nie zgadza się wcale niedawne wysłanie pana Andrzeja Batorego do Rzymu, poświęcenie go duchownemu stanowi, i staranie się dla niego o kardynałstwo. Tego ostatniego postępku Miłościwego Pana, któremu jak się zdaje bardzo sprzyja Kanclerz, całym swoim dowcipem nie pojmuję, lubom już nie mało głowy nad nim nałamał; a Jego

Królewska Miłość przywiązuje wielką wagę do owego kardynałstwa; jak przyjedzie z Krakowa poczta panów Montelupskich, najpierwej się pyta o listy księdza Dziekana Reszki, ochmistrza pana Andrzeja, i jakby tajemnego naszego posła w Rzymie. Co do mnie, jabym zacnemu młodzieńcowi raczej życzył korony niżli kapelusza; ile że w kilku okazjach, bawiąc przy naszym dworze, pokazał się dla mnie szczególnież życzliwy; na mój rozum, jabym go ożenił z królowną Szwedzką, córką nieboszczki królowej Katarzyny, takiej prawej Jagiellonki jak nasza Miłościwa Pani; po najdłuższem życiu obojga dzisiejszych królestwa, mielibyśmy znowu Batorego i Annę, coby się nam rozkrzewili jak niegdyś owi zacni Jagiellowie, a możeby przecie nie wygaśli tak rychło jak oni. Mówią niektórzy, jakoby królowna acz jeszcze młodziechna, i takiej świętej matki córka, zaciętą już była kacerką. Lubo to już teraz nie tak w naszym senacie i w całej Rzeczypospolitej jak było za nieboszczyka króla, jest jednak dosyć takich panów, coby dla tego samego radzi ją mieli na tronie; wreszcie Ojcowie Jezuici, których liczba i gorliwość codzien się zwiększa, wnetby ją prawemu kościołowi pozyskali.

„Mało kto jednak to mądre moje zdanie podziela, i ja też wiem dobrze przed kim z niem się otwierać; wielu z tych co Miłościwej Pani sprzyja, głośno się oświadcza za królewiczem Szwedzkim; rzecz to podobno ułożona od czasu jego urodzenia między dwiema Najjaśniejszemi siostrami, żeby go forytować na tron polski; i królowa Katarzyna przy śmierci miała zakląć o to naszą Miłościwą panią, na pięć ran Zbawiciela i na całą

miłość siostrzańską, jaka między niemi była zawsze tak serdeczna. Nie wiem atoli czyby ten Szwedzik był królem dla nas; ci co przyjeżdżają ztamtąd, prawią, iż on przy ojezynie zacięcie stoi i stać będzie, a jakkolwiek zacny ksiądz Warszawicki uczy go po polsku i nieustannie koronę polską mu przed oczy stawia, młodzieniec żadnej skłonności do matczyzny nie okazuje. Nie jest on bez pięknych przymiotów i wielkich zalet, ale raczej na księdza niżli na monarchę, a to jeszcze na polskiego; gorliwy katolik, wcale uczony, obyczajów prawie świętych; wszystkie pacierze i godzinki Jezuskie odprawia, jakby uczniem był sławnego Ś. Ignacego Lojoli; wizerunek nawet jego, niedawno przysłany Miłościwej Pani, wystawia go w sukience duchownej, kłęzącego z paciorkami w rękę, a ksiądz Warszawicki stoi za nim. Miarkując z tego malowania, Królewicz nie wydaje lat ośmnastu, szczupły jest i dosyć urodziwy; czoło wysokie, twarz ściągła, nos piękny, jedno kęś za duży. Ma być małomowny, poważny i zimny, ale roztropny; po modlitwie, malarstwo i złotnictwo najmilszą mu zabawą.

Nasza Miłościwa Pani od czasu, jak zawsze nosi przy sobie jakiś kamień Indyjski przysłany jej z Rzymu, dosyć jest zdrowa; w ostatnim liście, który tu pisał sekretarz jej Jędrzej Petrycy, donosił jako 24 zeszłego miesiąca, była w kościele św. Anny w Krakowie na mszy, z dworem swoim, gdzie idąc, na ofiarę zostawiła pięćdziesiąt czerwonych złotych. Po mszy gdy z kościoła wyszła, zastąpili jej na cmentarzu doktorowie i mistrzowie akademicy, i zaprowadzili do kolegium do wyższej

sali, gdzie ją witał mową Rektor Akademii, nasz Marcin z Pilzna, wyliczając jej dary i szczodroblewości jej przodków Jagiellonów. Odpowiadał od królowej Petrycy. Potem prowadzona była do biblioteki, ztamtąd do izby wspólnej, gdzie ją marcepany, cukry i konfekty częstowano. Oglądała też pamiątki po naszym błogosławionym Janie Kantym: ów obraz Matki Przenajświętszej, przed którym, jak wam wiadomo, zwykł był się modlić w nocy, kiedy kolegium było zamknięte; napisy świątobliwe na ścianach jego ręką kreślone; i rewerendę purpuryanową, w którą do dziś dnia oblekają każdego dziekana filozofii nowo obranego, w nadziei że wraz z suknią i mądrość wielkiego męża oblecze. Po tych odwiedzinach przysłała Miłościwa Pani Akademii precudny kubek złoty, który waży 135 dukatów. Wręczył go starszym kolegiatom, Kasper Sadłocha, aby został na zawsze ślad dnia tego. Owe względy królewskie dla Akademii Krakowskiej nie koniecznie idą w smak pewnym ojcom, którzyby już wszystko dla swoich zagarnąć chcieli; lecz są między niemi tacy, co zasługi tej starej matki naszej szczerze uznają, a na ich czele ksiądz Piotr Skarga, niegdyś jej uczeń, który coraz bardziej wymową i świątobliwością swoją słynie; teraz gości właśnie w Krakowie, i pracuje nad założeniem przy kościele św. Barbary, banku pobożnego na wzór włoskich: byłoby to wielkie dobrodziejstwo dla ubogiego ludu. Miłościwa Pani nad zamiar swój długo bawiąc w Krakowie, gdyż już blisko roku, niezawodnie wyjechać miała pierwszych dni bieżącego miesiąca na Skagę i Częstochowę do swojej ukochanej Warszawy; dokąd ją też powołuje kościół osierocony

odjazdem dziekana. Koniecznym sposobem chciałyby królowa JM. wyjednać u małżonka swego rychły powrót do Polski, księdza Reszki; ale Miłościwy Pan ani słyszeć o tem nie chce. Dziwny człowiek ten ksiądz dziekan; musiałby się napoły przedrzeć, gdyby chciał obojgu królestwu i wszystkim swoim obowiązkom dogodzić: są ludzie których na jedno aż nadto; są drudzy których na czworo za mało.

„Zborowszczyk zawsze po swojemu; mówią jakoby to z jego poduszczek, Kozacy Niżowscy zdobyli i spłodowali Bender, czem Turek bardzo się obraził i zemsty szukać obiecał; Miłościwy Pan wpadł w gniew srogi dowiedziawszy się o tej nowej psocie, ile że jeszcze nie pora bisurmanów obrażać, już do tego przyszło, że mało kto śmie wspomnieć w obliczu królewskiem imię Samuela, gdyż zaraz zapala się bardzo. Łotr tymczasem przejeżdża się po Koronie, jakby po swojej własności, głosząc że do Włoch jedzie, czemu jednak nikt nie wierzy. Ów spisek na życie pańskie w Niepołomicach, coraz większej jawności nabiera; Gosławski i Bokszyce, oba szlachta, wygadali się jako byli namówieni od panów Zborowskich, do zgładzenia ze świata Miłościwego Pana, skoroby według zwyczaju swego oddalił się od dworzan w czasie łowów. Bokszyca nieboraka już sprzątneli za długi język, Gosławskiego sam Kanclerz ma na oku. Ale, zapominam wam donieść, Kanclerz lada dzień w województwo Sandomirskie zawita; przemógłszy mężnie domowy smutek i własne sprawy nieco załatwiwszy, jedzie do Krakowa sądy Grodzkie odprawić; ztamtąd uda się do Lwowa, gdzie już na niego czeka po-

selstwo tureckie, z którem ma traktować w imieniu Króla i Rzeczypospolitej, o owe przez Kozaków wyrządzone krzywdy: ze Lwowa zjedzie do Lublina, dokąd i my zjechać mamy zaraz w drugiej połowie Sierpnia. Jam tej drodze bardzo rad, gdyż skoro obowiązki służby pozwolą, pobiegnę ucałować nogi najukochańszej pani Matki i Waszej Miłości; ale co nasz Pan, to zostałby tu daleko chętniej. Coraz więcej zda się lubić Grodno; jużto między nami mówiąc, woli on jednego swego Węgry Kiepsze albo Terensa od dziesięciu Polaków, a dziesięciu Litwinów od dwudziestu Koroniarzy. Panowie też litewscy Bogiem a prawdą, szczerzej go kochają i pomagają mu chętniej do spełnienia jego wielkich zamysłów. Z naszych możliwych, jeden prawie Kanclerz, co dla niego wylany duszą i ciałem; i słusznie powiedzieć się godzi: iż nie było nigdy dotąd równie rzetelnej przyjaźni między monarchą a poddanym, zawsze jakby jedna dusza w dwóch ciałach. Od lutego nie był u nas Kanclerz, ale w zamian ciągle jeżdżą posłańce z listami do Knyszyna i z Knyszyna; gdyby choć jeden taki list mieć w ręku, i gdyby go się godziło przeczytać, dopierożbym Waszej Miłości ciekawych a ważnych rzeczy naprawił.

„Miał też Miłościwy Pan ostatnią pocztą, mieli i inni, listy z Włoch od księcia Radziwiłła Sierotki i jego służby, o tych listach głośno i obszernie mówiono, a niektóre sam miałem w ręku. Już ukończył ślubowaną pielgrzymkę do Ziemi Świętej, i Wielkanoc odbył w Ferarze. Chorował mocno we Włoszech, ale już zdrowszy i ma tu zjechać z początkiem Lipca, złożyć dzięki na-

szemu Królowi za staranie jakie czynił koło niego prawie ojcowskiem sercem. Rozlicznych doznał przygód w tej podróży; ale może Wasza Miłość wiesz o tem wszystkim tyle co i my: znane przywiązanie Radziwiłłów do Was, a szczególnie tego książęcia i wdzięczność za tak piękne opisanie męztwa jednego z nich: nie dziwiłbym się wcale, gdyby jadąc z Krakowa do Grodna o Czarnolas zawadził.

„Kursowała tu niedawno nowa książka Fausta Socyna przeciw Paleologowi; Miłościwemu Panu nie podobła się z kretesem, i jakoś jej już tu nie widać; wystarać jej się muszę dla Waszej Miłości, który wszystko lubisz mieć w swojej księżnicy, eo jedno z pod naszych pras wyjdzie. Słysząc, że Socyn rad nie rad wyniesie się z Krakowa. Lepiej udało się naszemu księciu Sokołowskiemu. Wiadomo Waszej Miłości iż przestał już miewać kazania przed Królem, tylko spowiednikiem jest królewskim i pisze ile może; zdrowie niesposobne, ciągły ból głowy nie pozwalają mu większej pracy. Temi dniami złożył jednak Miłościwemu Panu, świeże pismo swoje przeciw kacerzom; Król mu odpowiedział: „Ojcie kaznodziejo, oba walczymy: ty przeciw nieprzyjaciołom wiary, ja przeciw nieprzyjaciołom Rzeczypospolitej“. — „Prawda, Miłościwy Panie—odpowiedział—a gdybym tak umiał władać piórem jak WKM. orężem, i jabym zwyęczał“. Jedno co nas tu martwi u dworu, to coraz większa wiara jaką Król daje owemu przybylcowi bezbożnemu różnowiercy Symoniusowi: gadatliwy, zarozumiały, a wcale niedoświadczony lekarz, i nawet jakiś niepewny człowiek się zdaje. Bukcella, który go Królowi polecił, już tego żałować zaczyna. Miłościwy Pan nasz ma tę słabość wielu za-

enym monarchom wspólną, że lekarzami otaczać się lubi; i radzi się wszystkich skoro o jakim sławnym posłyszysz. Zdrowej i czerstwej jest Bogu dzięki natury, dawnej choroby wcale nie cierpi; mimo zawsze ciekącej rany w nodze prawej, cały dzień gotów nie zsiąść z konia i nie widzi się zmęczony; żadnego też zbytku w niczem a niezem sobie nie pozwala; wody wprawdzie nieprzyjaciół, ale wina nie wiele pije; prawdziwy wzór wstrzeżliwości; szkodzi mu jedynie gniew a zgryzota; niestety: do obojga nie brakuje mu powodów. Między nami mówiąc, obawia się on też niepomału trucizny, tylu znając przeciw sobie zaciętych nieprzyjaciół; bardzo często jakies leki bierze chroniące od jej skutków, które, daj Wielki Boże, aby mu z czasem zdrowia nie zepsuły. Powiadał mi o tem nasz vere nobilis rotmistrz Sobocki, który ciągle w wysokich łaskach jest u Miłościwego Pana, i muszę wyznać godzien tego. Z nim on lubi rozmawiać poufale o obcych krajach, i przypominać sobie swoje dawne podróże. Co u stołu, to rad zawsze widzi pana Smolika, choć nierównie młodszego od siebie, bo i o wojnie mówić może i nieraz się rozśmiej z jego trafnych odpowiedzi i dwuznacznych wyrażen. Właśnie wczoraj zmówiło się o przebiegłości różnych narodów, pan Smolik rzekł: „Polaka Niemiec, Niemca Włoch, Włocha Hiszpan, Hiszpana Żyd, Żyda sam dyabeł oszuka“. Wszyscy jednogłośnie przyznali, iż jak najrzetelniej owe stopnie oznaczył.

„Ale jużem się bardzo szeroko rozpiął; tuszę sobie że Wasza Miłość nie zarzucisz mi lenistwa; zebrałem com jedno rozumiał godnem być Waszego zajęcia; po-

syłam Wam nadto trochę obrazków jakie zgromadzić się dało; ciekawy jeden wizerunek w Paryżu zrobiony, satyra na króla Henryka, wystawiająca Polaka co na Krakowskim rynku herby jego tłucze, i wizerunków rytowanych na miedzi kilka, Miłościwego Pana w koronacyjnym stroju, i Kanclerza naszego w hetmańskim ubiorze: przydadzą się do Waszego, jak zowiecie Sylva rerum. Przyłączam nadto dzieło pogrobne Stanisława Orzechowskiego: „Nauki dla panujących“, które Jakób Górski tylko co wydał i przypisał naszemu Panu, choć on dalibóg, nauk niczych nie potrzebuje. Dziwna rzecz z tym Orzechowskim; tyle wrzawy narobił za życia, a nawet nie wiedzieliśmy kiedy i jak umarł. Wszystko się zmienia na tym świecie. Rokuję przecież sobie i wszystkim Kochanowski, iż sława Waszej Miłości nigdy się nie zmieni; i niemasz prawie dnia, żeby mi nie wypadło chęcić się na głos że jest Waszym Synowcem. Żal mam też wielki do pana Franciszka; wszystkich nas w pole wyprowadził; ja sam ustąpiłem mu miejsca jako synowi najstarszego ze stryjów, aż tu on dał sobie włożyć grochowy wieniec przez przybyłego wojaka. Tak to bywa często: postronni mają lepsze szczęście od swoich. Z Franulem kłócić się nie będę, bo ani warto, ale Ewulce i panu Rotmistrzowi nie daruję; na kołacze weselne zjadę, i do białego dnia z panną młodą tańczyć będę.

Nim to nastąpi, racz Wasza Miłość przyjąć pokorne służby moje.

Wasz przywiązany synowiec i prawdziwy sługa.

Krzysztof Kochanowski Dworzanin królewski“.

P. S. „A muszęć przecie przysłużyć się jakim kwiateczkiem pobożnej bratance, może się w nim wróżba ukryła.

Piszą z Rzymu, jako Ojcowie Jezuici szczycą się bardzo zakonnicą Hiszpanką niezbyt dawno zmarłą, która żywotem swoim, śmiercią i pismami wielką cześć Kościołowi przynosiła, i zapewne w poczet świętych policzoną będzie. Jest to Teresa z Awila, jak ją zowią cudowna; była z zacnego i bogatego rodu Sanchezów, bardzo urodziwa, dowcipu ostrego, rozsądku dojrzałego. W pierwszej młodości lubiła świat, zabawy, towarzystwa, ale w 21-ym roku życia wszystko rzuciła, habit przyjęła, i mocno trwając, codzien do samej śmierci postępek w pobożności brała. Założyła dwa klasztory bardzo ostre: Panien Karmelitek Bosych i Ojców Karmelitów; cnót jej i darów Boskich jakie w sobie miała wyliczyć by trudno, równie jako i zrachować dusze, które przykładem, modlitwą, wymową, księgami pełnemi mądrości, Chrystusowi pozyskała. Umieranie jej tak było ciche jak głyby rozmyślanie odprawiała, i różne cuda działy się nad jej ciałem. Życie jej opisuje szeroko jej spowiednik i ona sama je opisała w dziele które zostawiła; tłómaczyć je ma z hiszpańskiego na łacińskie ksiądz Franciszek Ribera; wtedy nasza pobożna Ludwina będzie miała na co się zapatrywać. Teresa od siódmego roku już się zaprawiała w pobożności czytaniem ksiąg nabożnych; żywoty męczenników tak ją zagrzewały, iż dzieckiem będąc pragnęła męczenniczką zostać i wyszła z bratem z domu rodziców, chcąc się udać do Maurów między pogaństwo, żeby tam krew

swoje dla Chrystusa rozlać. Niechże Wasza Miłość pilnuje naszej świętej, żeby do Turków się nie wybrała.“

Pisano w Grodnie d. 6 maja 1584 r.
w święto męczeństwa Jana Chrzciciela.

XVI.

Gdzieś to piękne boginie tak łaskawe były,
Żebych ja ile chęci, tyle miał i siły
Służyć ojczyźnie miłej, a jej sprawom sławnym
Nie dopuszczał zamierzknać w ciemnym wieku dawnym.

Był to 11 maja, po kilku dniach zimna i słoty odmienił się wiatr i nastąpiła znowu ciepła, wonna pogoda. Korzystając z niej, Kochanowska kazała przeprać sztuki płótna, płócienka, drelichu, barchanu, obrusy, ręczniki i inną bieliznę przeznaczoną Elwie, żeby miększa i łatwiejsza była do krajania i do szycia; a chcąc te wszystkie rzeczy mieć pod okiem, przesuszyć w miarę, w samą porę wymaglować i wyprasować, dała je rozwiesić i rozpostrzeć około domu, na łące, na podwórzu: dostało się i chruścianemu płotowi i gałęziom starych jaworów, i belkom, i krokwiom, a nawet wrotom i słupowi z kółkami. Kochanowski, który kilkuletnim pobylem za granicą, nabył cokolwiek owego zmysłu porządku, niekoniecznie hojnie udzielonego Polakom, owego zmysłu, co to rad widzi zawsze rzecz każdą na właściwem sobie miejscu, i wstręt czuje do tych domowych zamieszkań, które w czasie pokoju, rabunek wojenny przypominają; Kochanowski, mówię, wróciwszy z pola, gdzie się przypatrywał z radością pięknie rosnącej pszenicy,

zgał żonie takowe rozpostarcie się z chustami wszelkiego rodzaju na samym widoku, jakby już w całym Czarnolesie innego miejsca prócz podwórza nie było; ale ona zamknęła mu usta i sprawiła, że czapkę nasunawszy na uszy, poszedł spiesźnie do swego pokoju, temi trochę uszczypliwiemi słówkami, które najlepsza, najłagodniejsza kobieta ma na doręczu przy każdej wielkiej domowej pracy; zwłaszcza, kiedy jej się wydaje, że mąż wchodzi w jej prawa i nie ocenia należycie ważności i potrzeby jej zachodów.

— Jędnęć tylko w życiu wyprawę córce się sporządza — rzekła sucho — można przecie raz nie żałować podwórza i płotu. Nie bójcie się, maluczko już Ewulka naprzykrzać wam się będzie; i ona i jej przybory zejda wam z oczu niedługo a na zawsze.

Tymczasem okazało się, że Kochanowski, jak się to często panom mężom nietylko w XVI-tym ale i w XIX-tym wieku zdarzyło i zdarza, miał zupełną słuszość w swoich naganach.

We dwie godziny po południu, kiedy w najlepsze całe podwórze zawieszone i zasute było, i nawet ścieżki nie zostawiono, żeby dójść z wrót do dworu, dał się nagle słyszeć tentent prędko stępujących koni; dworzanin suto przybrany z pachółkiem za sobą, stanął za płotem, a zobaczywszy przeszkodę do dotarcia przez ganek, wezwał Nastki właśnie około bielizny zajętej, ażeby zrobiła mu miejsce co rychlej, „gdyż inaczej roztrątuje chyba te gałgany, pilno bowiem rozmówić się musi z panem Wojskim, jeżeli jest w domu, i nawet zsiąść z konia mu nie wolno“. Nastka dogodziła co żywo tak

śmiało wyrażonej woli i pobiegła wezwać swego pana. Kochanowski wyszedł na ganek pozdrawiając przybyłą; ten zaś uchyliwszy czapki, tak mu powiedział:

— Miłościwy pan mój, Wielki Kanclerz i Hetman Koronny, w przejeździe swoim z Knyszyna do Krakowa, zatrzymał się o pół mili ztąd w gospodzie, gdzie popasa z licznym orszakiem swoim; mnie zaś tu przysłał dowiedzieć się, czy Wasza Miłość jesteś u siebie, gdyż zjadłszy obiad, chce zboczyć z walnego gościńca, a wraz z waszym bratem, panem Andrzejem, pozdrowić was w waszym domu, i zabawić jaką godzinkę; dłużej nie może, jadąc z wielkim pośpiechem na sądy swoje starościńskie.

Kochanowski przejęty i uradowany tak wielkim zaszczytem prosił dworzanina, „żeby oświadczył pokorne i życzliwe jego służby Kanclerzowi, i powiedział, iż czekać będzie z utęsknieniem spełnienia jego łaskawej obietnicy.“ Młodzieniec usłyszawszy te słowa, spiał konia ostrogą i chciał pędem odjeżdżać, kiedy Kochanowska nie wiedząc kto i pocią przyjechał, ale widząc ze swego okna obcych, wysłała co tchu Ewę z kuflem i z dzbanem miodu. Niepodobna było odmówić grzecznej dzieweczce: spełnił dworzanin kufel duszkiem, pacholek także słodkim napojem nie wzgardził, i ruszyli oba wołając:

— Bóg zapłać! najdalej za godzinę będziemy z powrotem i nieco liczniejsi.

Pojąć można łatwo, z jaką szybkością gruchnęła ta ważna wiadomość po całym domu.

— Wielki Kanclerz i Hetman koronny, starosta kra-

kowski, druga osoba w Rzeczypospolitej po Królu, za godzinę tu zjedzie.

Było czemu się dziwować zaprawdę, ile że od czasu jak Jan Zamoyski piastował te wielkie godności, i tyle spraw odmiennych miał na głowie swojej, nie widziano go w Czarnolesie. Same tedy słyhać było zewsząd wykrzykniki; jeden tylko Kochanowski nie zdziwił się tak bardzo, ani też bynajmniej nie stracił zimnej krwi swojej; znał on Zamoyskiego od jego pierwszej młodości, a jako starszy kilkunastą laty, nieraz u stołu Zygmunta Augusta wyżej siedział od niego, nieraz w trudnych przygodach dobrą radą go zasilił; wreszcie nawykły do poufałości nie tylko z panami, z wysokimi urzędnikami, ale z monarchami, równy im ogłada i nauką, nie mógł przeląć się podobnych odwiedzin; owszem rad temu jawnemu dowodowi szacunku i niezmiennej przyjaźni znakomitego męża, rad że brata uściska, odzyskał zupełnie przyrodzoną wesołość, i żartować sobie zaczął z żony, która jakby odszedłszy od przytomności, nie wiedziała czy się ubierać, czy podwórze uprzątać, czy dom zamiatać, czy podwieczorek przyrządzać? a z rumieńcem w plamy na twarzy, z oczyma zastraszonemi, z duchenką na bakier, i z mentlikiem rozwartym biegła tam i sam chwytając się to za głowę, to za suknię, i zaczynała wszystko nie nie kończąc.

— Pani żono! — powiedział jej z uśmiechem — a co, choćem zły, niegodziwy, bez serca ojciec, mąż bez żadnego względu i wyrozumienia, czy nie dobry miesiam nos?

— O! już na drugi raz słuchać was będę ślepo wa-

wszystkiem — odpowiedziała pokornie ściskając go za kolana — choćbyście i do moich garnków zaglądać chcieli. I na tę chwilę raczcie jeno rozkazać, wszystko co do litery wypełnię.

— Oto najprzód — odrzekł łagodnie i już bez złośliwego uśmiechu — wypij, moja dobra Hanno, kufel zimnej wody na uspokojenie, potem ubierz się coprędzej ochędoźnie a nie strojno; dziewczęta niech także się ogarną, wszakże w taki sposób żeby dociec nie można, czy to z umysłu czy z niechcenia; Orszuli mojej włóżcie letniczek nowy i paski złote, już ja pisałem nieraz o tej mojej Safo do Kancelerza i chcę mu ją pokazać. Nastka z czeladzią niech zbierze wszystko z podwórza co do nitki; Ludwina niech pootwiera okiennice i okna w bawialnej sali, niech kurz pościera, rostruchan z krukiem z puzdra dobędzie i na oku postawi; nagotować tam w kąciку na stole najlepszego naszego wina, węgryzna ojcowskiego i parę farfurek konfektów kijowskich; w izbie ciasta i pospolitego wina dla dworzan, jakoteż chleba, miodu i piwa dla służby. Niech stróże psy pozamykają a wody w koryto naciagną, żeby się i konie napiły. Zresztą na mnie się zdajcie, będę was ostrzegał kiedy co robić wypadnie: skoro wása pokręcę, będzie to znak, jako sam z Kancelerzem chcę zostać; a niech żadnej wzmianki nie znajdzie o stracie jaką poniósł, o spełnionem i odżałowanem nieszczęściu wspominać panom niemasz potrzeby: najlepiej udać niewiadomość. Przykazać także ostro dziewczętom i czeladzi, żeby żadnego głośnego gadania, trzaskania drzwiami nie było.

W każdym zamieszanu, kiedy rozsądny naczelnik ster i rządy weźmie, wszystko z nieładu wraca do porządku, a każdy wiedząc co ma robić, robi wczas i dobrze. Toż samo stało się tego południa w Czarnolesie; jeszcze nie ubiegła naznaczona godzina, a już pani Wojska zupełnie uspokojona stała ubrana w ganku wraz z córkami, i wszystko w domu było porządnie, cicho, jak Bóg i mąż przykazał.

Nadjechał też niebawem wyglądany gość; towarzyszył mu Andrzej Kochanowski, ten sam dworzanin co był dopiero, jeszcze takich dwóch i sześciu pacholików, tego zbrojnych. Rotmistrz Wybranowski z kilkunastu jazdy (część tylko orszaku Wielkiego Kancelerza i Hetmana) zatrzymał się podewsią, gotów na pierwsze zawołanie. Jan Zamoyski ubrany wspaniale, w ferezyi z szkarłatu długiej po kostki złotogłowem podszytej sobolem obłożonej, w krótszym żupanie z niebieskiego adamaszku, cudną dyamentową spinką spiętym pod samą szyją, w butach podkutych, z bogatą szablą przy boku, z kindziałem drogiemi kamieniami sadzonym, za kosztownym pasem, w białej czapce z kitką i z rubinowem spięciem, mąż czterdziestoletni, miernego wzrostu, nie wielkiej urody, ale pełen dzielności i powagi, zsiadł rączo z karego arabskiego konia w sutym złotym rzędzie i pozdrowił uprzejmie kłaniające mu się do kolan gospodarstwo z dziatwą.

— Sądziłem, że Wasza Miłość rad będziesz — powiedział z uśmiechem do Kochanowskiego — widzieć brata swego Andrzeja, a odjeżdżać mnie ani na chwilę nie chciał.

— Zawsze się starać będę — odpowiedział dwornie nasz Jan — mieć Kancelerza, Hetmana, a przynajmniej starostę krakowskiego przy braciach moich; jakoś człek nie źle na tem wychodzi. Dziękuję wam, panie Andrzeju — dodał ściskając brata — że mimo tak znakomitych prac i tyle pośpiesznej drogi, nie zapomnieliście o mnie. Przez tę pamięć waszą spotkała mnie wielka a niezasłużona cześć i pociecha. Ale oto żona moja i córki — przemówił już wprost do Kancelerza — pokorne służby Waszej Miłości oddają.

Dygały wszystkie nisko, jakby świece maczał, w czasie tych słów, a Zamoyski rzekł grzecznie:

— Dziwna rzecz, jak na tutejszej roli dziewczeczki pięknie się udają i rosną szybko; kiedym u was był po raz ostatni i połowy tych kwiateczków nie było.

— Brat Jan — odezwał się tu Andrzej — chce koniecznie jako poeta do liczby dziewięciu muz dostąpić

— Dałbyś temu Wasza Miłość pokój — przemówił Kancelarz — postarać się lepiej o Apollina.

— Możeć go i dadzą Nieba — odparł Kochanowski skazując nieznacznie na żonę.

— Winszuje z serca pani Wojska, wpraszam się w kumy i chcę mieć Jana — zawołał Kancelarz; ale gdy to mówił, lekka chmura zasępiła wysokie jego czoło.

— Czy do komnaty Wasza Miłość nie raczy? — spytała zarumieniona Kochanowska — spocząć należy po drodze i usiąść łaskawie w chacie naszej, żeby nam dziatki spały.

Poszedł chętnie i żywo, siadł na wysłanej ławie pod środkową ścianą, położył czapkę obok siebie, naję-

żoną czuprynę podniósł jeszcze palcami w górę, oparł się potem ręką na stole, gospodyni i obydwom braciom usiąść kazał, a dworzanom i służbie dał znak, żeby za drzwiami zostali. Kochanowska posiedziawszy trochę, doszłszy męża pokręcającego wąsa i nieznacznie wyszła; Kanclerz rozmawiający dotąd uprzejmie, ale dosyć leniwo, poufalej i obficie mówić zaczął.

— Cóż, panie Wojski? — rzekł — kiedy wam działki z łaski Boskiej szczęśliwie na świat przychodzą i w dobrem zdrowiu się chowają, nie daliżbyście się teraz namówić na kasztelanią? snadnoby przyszła, wakujące krzesło jest, a Król pan nasz rad je rozdaje takim co nie proszą o nie; co do mnie, zawszem Waszej Miłości życzliwy przyjaciel i służyć gotów.

— Uniżenie dziękuje wam, Miłościwy panie — odparł Kochanowski — trzymam się zawsze jednego, a moję mierność nadewszystko cenię. Takim mężom jak Wasza Miłość, do wielkich dzieł zrodzonym, radzić przystoi o rzeczy publicznej; mnie śpiewać za płotem i cieszyć się myślą wolną i zdrowiem.

— Jakież teraz pieśni Wasza Miłość składasz? oddawnam nic nowego nie czytał, a nie godziłoby się załagać pola; należy utrzymywać do końca, co przez lat tyle szło z taką chlubą. Panie Janie nie zasypiajcież na wawrzynach: bierzcie przykład z młodego brata: pan Andrzej szybko i pięknie Wirgilego przekłada.

Kiedy Andrzej za tę pochwałę, może nie zupełnie zasłużoną, ścisnął nogi Kanclerza, Jan tak się odezwał:

— Wasza Miłość śmiać się ze mnie będziesz: praca do której dziś się zabieram pójdzie może molom na po-

karm, albo na trąbki do apteczki, ale objęły mnie na starość jakieś przypomnienia Homerowskie, jakieś chęci bojowe:

Tuszę, że kiedyś w trąbę Aońską uderzę
I dawne w zgiełk marsowy powołam rycerze.

Już o niczem śpiewać nie chcę, jedno o swoich ojczy-
stych rzeczach: to jest moje dzisiejsze Omen, to mi
się zda moje właściwe rzemiosło; część moja od Boga
mi dana jak Waszej miłości i Królowi: Rzeczpospolitą
dźwigać, bronić, uzdrawiać. Orzechowski łacińską prozą
pisał swoje Turcyki, nasz Strykowski wyrymował nie-
dawno ciężkie na pohańców żale, jabym rad dobrym
polskim wierszem polską chrześcijańską epopeję utwo-
rzył; ośpiwam żywot i zgon Warneńczyka, owego syna

co ojca nie wydał,
Lecz ku sławie dziedzicznej i swą własną przydał;
Któremu grób, Europa — słup, śnieżne Bałchany,
Napis: wieczna pamiątka między Chrześciana.

a oraz chcę wydać na jaw niebezpieczeństwo, jakim
krzyżowi hardy półksiężyc grozi, chcę obudzić pobożnego
i wojennego ducha...

— Wybornie Wasza Miłość trafiasz, szczęście Panie
Boże — przerwał uradowany Kanclerz — dziwnieby się
narodowi naszemu a jeszcze w tych czasach przydała
taka epopeja, a to z ust ojca poetów naszych. Zróbcie
z Warneńczyka polskiego Achilla, wynajdźcie i Helenę
jaką, wszystko to będzie dobrze przyjęte; a we waszych
wierszach upominajcie lud młody do dobrego, sławcie
więcej piechotę nad jazdę, karność żołnierza przekła-

„dajcie nad samo męstwo: będą to zbawienne nauki dla braci szlachty i dla panów.

Musicie wiedzieć, panie Wojski, do jakiego już stopnia dochodzi zuchwalstwo panów Zborowskich i ich stronników Kazimirskich, Pękosławskich i tylu innych. Wszakci to kiedym z mego Knyszyna wyjeżdżał, Drohojewski starosta przemyski, Koniecpolski starosta wieluński, i inni jeszcze z ludźmi swemi zajechali mi drogę, i ofiarowali się towarzyszyć mi zbrojno, gdyż ów wartogłów Samuel za nic sobie ma moję starościńską władzę, i wszędy się przechwala: jako inną stroną, ale o jednej porze ze mną postanowił wjechać do Krakowa. Dziś zaś doszła mnie wieść, jako chce koniecznie bitwy ze mną, i ma koło siebie gawiedź dobrze uzbrojoną a liczną. Prawda, co od mego wyjazdu z Knyszyna zawsze tak swoje popasy i noclegi urządza, iż je odbywa najdalej o pół mili od miejsca kiedy ja się zatrzymuję z moim orszakiem, i różnemi sposobami wiedzieć mi daje, iż wziął łuk do ręki swojej i strzałę przeciw mnie już ma na cięciwie. Ja bitwy z nim nie stoczę, lubo mi suszy o to głowę mój Żółkiewski, ów prawy syn bogini Wenus i Marsa; broń mnie Boże postąpić sobie z tym nędznikiem jak z równym; ale jeżeli w jurysdykcją moję wjechać się poważy, uczynię z nim jako prawo każe; jużem go w tem wyraźnie, czarne na białem ostrzegł; spadnie głowa z karku panu Zborowskiemu, jakby spadła prostego kmiecia lub miejskiego synka, gdyby również zawinili: powinność i sam prawie gwałt wcisną tę ostateczność na mnie, lecz ja z sumieniem i z przysięgą moja igrać nie umiem. Nie darmo dochody

Rzeczypospolitej pobieram, malowanym starostą być nie myślę; sądów grodzkich zarówno jak spraw kancelarskich i hetmańskich pilnować chcę. Wiem, że od sześciu przeszło lat jak trwa zuchwalstwo pana Zborowskiego, żaden starosta nie odważył się wykonać dawnych ale zawsze obowiązujących królewskich rozkazów; wiem że panowie starostowie wyrządzanie sprawiedliwości w czas nakazany, nazywają nadto wielką fatygą swej pańskiej osoby; ja trzymam inaczej: w mojem przekonaniu ostatni nawet dech obywatela ojczyźnie się należy; a jakkolwiek ważne a przeciwne sobie urzęda piastuję, nikt przecież zarzucić mi nie może, abym uchybiał któremu: miłość dobra pospolitego umie mnożyć czas i siły.

Same prześladowania, potwarze, obelgi, nie zbija mnie z mego toru; byłem dobro publicznie powiększył, będę zawsze wołał: „Narodzie, prześladuj mnie, a słuchaj“, będę zawsze pocieszał się w sobie tem zdaniem: „piękniejsza nienawiść o enotę, niż o przewrotność pochwała“. Dopóki też panowie Zborowscy mnie samemu szkodzili, mnie z czei i sławy obedrzeć chcieli, na moje życie nastawali, dopótym był obojętny i patrzyłem przez szpary; ale powadze jaką mi Król i Rzeczpospolita nadali, władzy prawa uwlec nie pozwolę. Dam straszliwy przykład, skoro zajdzie jego potrzeba; ulękną się nim przecie, ci co wichrzyć pragną, co niweczą najlepsze zamiary. Bo zaiste, w tem wszystkiem co panowie Zborowscy knują, jest osobistość, jest zawiść; oni wraz ze mną książęcia siedmiogrodzkiego na tron polski wynieśli; lecz oni to zrobili dla tego, żeby ich wyniósł i ubogacił, ja dla tego, iżem w nim uznał prawego mo-

narchę. Żli tedy na króla że im się nie wypłaca, mnie przeszkodą swoją być mienia; szlachcicowi spanoszałemu zazdroszczą szybkiego wyniesienia, bogactw, urzędów, a nadewszystko poufałości królewskiej i blizkiego z nim powinowactwa. Chcieliby Węgra zrzucić z tronu i mnie zgubić, myśląc iż z Austryakiem lepiejby im się udało. Ale wierzajcie mi, w ich postępowaniu jest jeszcze coś więcej nad spór szlachty możnej z miernym niedawno szlachcicem, jest walka wyuzdanej swawoli z władzą i z prawem. I tak, już u nas moc wykonawcza jest słaba, moc prawodawcza mało czynna; oniby jeszcze osłabić je radzi, a to żeby sami mogli dokazywać i używać, dopóki nie wykopią grobu ojczyźnie i sobie. Słusznie mądry król mówi: „Temu narodowi potrzeba żelaznego ramienia“. Lecz o takowe między nami najtrudniej; znajdziesz wielu tyranów, pojedynczego, dzielnego męża nie nadybiesz; razem będą bezprawia wyrządzali, jeden, nie ośmieli się sprawiedliwości wymierzyć. Dałby nam jednak Bóg miłosierny więcej takich Królów jak dzisiejszy, a możnaby jeszcze śmiało rokować wielką przyszłość naszej drogiej ojczyźnie...

Iskrzyły się ciemne oczy Zamoyskiego, kiedy tak mówił, twarz płonęła żywym rumieńcem, ręka jedna uchwyciła za szablę, druga zdawało się że rozkazuje. Zatrzymał się nagle i rzekł:

— Folgujcie mi, panowie bracia, iżem się tak zapomniał; dowód to mego szacunku dla was: mało ja przed kim duszę otwieram.

Kiedy domawiał tych słów, drzwi uchyliły się zwolna, i stanął w progu inny znowu dworzanin, kurzawą okryty.

— Listy z Weneckiej poczty? — zapytał Kanclerz.

— Tak jest, Miłościwy panie — odpowiedział młodzieniec — ledwie Wasza Miłość wyjechałeś z gospody, nadeszły listy z Krakowa i pan Żółkiewski mnie tu wyprowadził.

Kanclerz wziął spieszenie paczkę z rąk dworzanina, stanął w oknie, rozdarł pieczęcie i czytał ciekawie. Dwaj bracia przez ten czas oddaliwszy się w sam głąb komnaty, nie śmiejąc usiąść kiedy znakomity gość stał, rozmawiali po bratersku, pół głosem, oparłszy się o ogromny piec kaflowy. Zwykli oni byli pisywać często do siebie i donosić wzajemnie o wszystkim; lecz któż nie wie, że kwadrans rozmowy lepszy od półrocznej korespondencji.

— List od księdza Dziekana z Rzymu, z 18 kwietnia, najświeższy i najciekawszy, będzie potrzebował odczytania — przebaknął Kanclerz przejrzawszy papiery, a dwaj bracia się zbliżyli. — Wiadomo wam zapewne, panie Janie, iż pan Andrzej Batory nie był kreowany Kardynałem — ciągnął dalej przechadzając się po komnacie — kiedy to niedawno Ojciec Święty kilku razem ich mianował; jam tego za złe nie uważał, i na mojem się stało: będzie niezawodnie mianowany osobno, co z większym będzie dla niego i dla Jego Królewskiej Miłości zaszczytem. Wielu się dziwi temu wyprawieniu pana Andrzeja do Rzymu i kierowaniu go do stanu duchownego — rzekł po chwili — nie wiedzą że Batorowie mają do zmycia z siebie wszelkie podejrzenie o kacerstwo, nie wiedzą że nam teraz więcej niż kiedy Rzym mieć po sobie, i z Rzymem trzymać należy. Rzeczpospo-

lita Polska winna być silna a katolicka; upokorzywszy wyznawców proroka, powinna stanąć dzielnie jak przegrada niezłomna i niezdobyta między szerzącem się niemieckiem kacerstwem i zawsze potężnym greckim kościołem... Taka jest tajemna polityka dzisiejszego Króla, zupełnie inna niż była nieboszczyka. Wielom się wydaje, iż szkoda pana Andrzeja! jakby to kapelusz zdjąć się nie dał dla ważniejszej ozdoby, jak gdyby nieraz zaszczyt nie spotkał rychlej tego, co niby o niego nie dba... Wreszcie, pan Andrzej nie jest jedynym krewnym królewskim... mogliby się trafić i inni następcy...

Tu Kanclerz zadumał się smutnie; Kochanowski miarkując iż już mówić poufale nie będzie, a chcąc przykre jego myśli rozerwać, zapytał się czyby nie pozwolił sobie czem służyć?

— Możebyśmy spełnili kielich węgryna — powiedział — za zdrowie ojczyzny, alboliteż za Królewskie i Waszej Miłości, bo to troje na jedno wyjdzie?

I to mówiąc wziął kielich i butelkę pleśnią okrytą, w kącie komnaty przygotowaną.

— Nie wzgardzę winem — zawołał Kanclerz, jakby otrząsając z głowy ważne i natrętne myśli — ile że wiem zdawna, iż się na tych rzeczach znacie. Czas nam też kęs pobłaznować. Spełnij Wasza Miłość kielich w moje ręce, jak mówiłeś, a ja do zdrowia Króla i Rzeczypospolitej dodam wasze, którem znowu pan Andrzej nie wzgardzi.

I tak się stało. Zasiedli pod ścianą jak pierwsi, a kielich z wytrawnym węgrynem krążyć między nimi zaczął; wypróżniły się wnet trzy i cztery butelki, zni-

kały konfekta z farfurek, choć Kanclerz się skarżył że mu słodczyce zęby przed czasem zepsują, że nadto ich jada. Sypały się z ust dwóch braci różne krotofilne słówka, gdyż wiedzieli, że Jan Zamoyski lubił żarty i zwał je zaprawą albo osłodzeniem życia ludzkiego, a szczególnie kiedy jadł i pił, zawsze rad bywał wesołej myśli, odkładając natenczas na bok wszelkie swoje trudy i kłopoty, z ową mocą i przytomnością umysłu, jaką posiadał w wysokim stopniu.

W liczbie różnych wiwatów wnoszonych dla gładszego spełnienia kielichów, musiała przyjść kolej i na płeć białą; ledwie Kochanowski wypił zdrowie pani Kanclerzyny, kiedy Kanclerz zażądał wypić zdrowie pani Wojskiej w jej obliczu. Poszedł tedy pan Andrzej wezwając bratową, a tymczasem nasz Jan oświadczył zaenemu gościowi rychłe a pomyślne postanowienie najstarszej córki. Ucieszył się bardzo tą wieścią Zamoyski, gdyż szacując wysoko Podlodowskiego, uważał był także i młodego Filipa; prosił więc żeby Ewa z osobna przedstawioną mu była. Kochanowska zaś wiedząc czem się mężowi podoba i rozmowę podsyci, przyszła z Orszulką na rękę. Namawiała ona już blisko od pół godziny dziewczynkę, żeby jakim wierszykiem powitała Kanclerza; dziewczynka jakoś nie zdawała się być przy poetyckiej ochocie, i powtarzała marszcząc czoło:

— Nie znam tego pana: boję się go.

Napróżno matka rozpowiadała jej różne rzeczy o nim: jaki on możny i bogaty jak nikt w całej Litwie i Koronie, jakie ma śliczne pałace i zamki, suknie złote, klejnoty, żonę księżniczkę; a taki dobry, tak dzieci kocha,

sam zaś niema ani jednego, a pragnąłby bardzo, osobliwie syna. Dziewczynka jakby tego wszystkiego nie słuchała, obiecała jednak matce być grzeczną, dać buzi wielkiemu panu, chociaż wcale nie taki ładny jak pan Podkoniuszy. Zaniosła ją tedy Kochanowska, a ledwie Kanclerz ją ujrzał, zaczął wymawiać obojgu rodzicom, że mu ją tak późno pokazują; a ujęty jej anielską pięknnością, wziął ją na kolana i pieścił się z nią czule. Ona mu długo w oczy patrzyła; potem nie mówiąc oglądała jego suknie, dotykała się drobną rączką drogich pierścieni i klejnotów jakie miał na sobie; a gdy jej się spytał: „Czy to piękne? czy jej się spodoba?“ ona już swoim obyczajem tak mu odpowiedziała:

Pięknie, cudnie i bogato,
Jak u nikogo na świecie;
Ale gdybyć Bóg dał dziecie,
Dałbyś pewno wszystko za to.

Kanclerz zdumiał, aż zbladł cokolwiek.

— Któż cię to takich wierszów nauczył? — zapytał z przymuszonym uśmiechem.

— Nauczył? — powtórzyła z zadziwieniem dziewczyna — nikt; ja sama tak z siebie zawsze sobie gadam.

— Tak, nieinaczej, sama z siebie — mówili za nią przestraszeni rodzice — jak nam Bóg miły!

A Kochanowskiej serce mocno bić zaczęło, gdyż zmiarkowała, że powieścią swoją narobiła tej biedy.

— Kiedy tak — rzekł jeszcze Kanclerz zdobywając się na powtórny uśmiech, i chcąc żartem zagoić bolesne choć niewinne dotknięcie niezagojonej jeszcze rany — to ja nie będę szukał innych dzieci, jeno sobie będę

miał Orszulkę; daruję twemu ojcu te wszystkie śliczności, a ciebie wezmę z sobą do Krakowa. Już moja Orszulka, już moja! — wołał i owijał ją w połę aksamitnej ferezy, i tylko jej śliczną twarzyczkę było widać otoczoną sobolem.

Ale ona wyrywając mu się i trzając główką, tak jeszcze przemówiła:

Nie, ja dziewczyna,
Tobie trzeba syna.
Mnie weźmie ktoś inny:
Aniołek niewinny.
I poproszę Boskiej Matki,
Dla ciebie o zdrowe dziatki.

Nie mógł już wytrzymać Zamoyski; zbladł jeszcze mocniej, łza zakreśliła mu się w oku, wstał, oddał pani Wojskiej dziecinę, mówiąc z uczuciem:

— Bez żadnej przesady były listy wasze o niej, panie Janie, to prawdziwie cudowne dziecko: oby jej słowa były prorockie! i oby ją wam Bóg uchronić raczył!

A spostrzegłszy teraz dopiero Ewę, która od chwili była w komnacie i stała nieśmiało w oknie, zapytał się:

— Czy to ta dorodna dziewczka, pana Owadowskiego narzeczona?

Otrzymawszy odpowiedź, rzekł głaszcząc Ewę pod brodę:

— Szkoda co godzina już upłynęła, mógłbym ci dzieweczko wiele miłych rzeczy o twoim bogdanie naprawić; widziałem go nieraz w ogniu: dzielny Rotmistrz z niego. Ale komu w drogę to i czas; jedno ci jeszcze powiem: możesz go serdecznie miłować, godzien tego.

Tak mówiąc nieco przerywanym głosem, zaczął po-

prawiać pasa, wykręcać ferezyą i parę razy przytknął rękę do szyi. Kochanowski przeląkł się znowu, czy skutkiem bolesnego a utajonego wzruszenia sprowadzonego słowami Orszulki, nie napadają Kanclerza mdłości, do których bardzo był skłonny; potwierdził się jeszcze w tej myśli dostrzegłszy, że z pewną żywością rozpina żupan. Już chciał stołek podstawić, wołać o wodę, o apteczne kordyały, kiedy Zamoyski obróciwszy się ku Ewie, podał jej cudną dyamentową szpinke, którą z kołnierza był wyjął, i powiedział z przymileniem:

— Sam twój ojciec gdzieś napisał:

Miłość w dyamencie ryje
Swe czułe obietnice i pod serce kryje;

weź przeto tę szpinke, noś ją na piersiach dziewczko, i niech ci przypomina jaką być winna twoja miłość dla przyszłego męża.

Jeszcze i Ewa i wszyscy obecni zdumieni byli przejmami słowy i szacownym darem Kanclerza, kiedy on całując w ramię gospodarza kłaniającego mu się do kolan, pozdrawiając wszystkich, wsiadł spiesźnie na konia wraz z panem Andrzejem, i kazał swoim dać znak umówiony. Wnet z dwóch stron nadjechały pędem dwa oddziały straży hetmańskiej ukryte podewsią; zabrzmiały trąby, zachrzęściły pancerze, zabrzękły szable, rozległy się krzyki obozowe, zatętniała ziemia pod jeźdźcami, wzniosła się kurzawa od licznych kopyt: ruszyli wszyscy ku Wiśle, a po chwili wszystko cichnąć zaczęło, aż nareszcie zupełnie ucichło. Nie ucichły atoli równie prędko rozmowy czarnoleskiej drużyny o tych odwiedzinach i wszelkich ich okolicznościach, a osobliwie pochwały Za-

moyskiego. Ewa pyszniła się z jego daru, który w rzeczy samej był wysokiej wartości, tak dla wielkości dyamentu, jako dla foremnego kształtu i żywego ognia; kiedy się weń ustroiła do kościoła, zwróciła wszystkie oczy na siebie, a młode sąsiadki podobno na ten raz zazdrościły jej jeszcze więcej szpinki jak bogdana. Kochanowski znowu pysznił się swoją Orszulą, chociaż w tej okoliczności dziecinna jej muza napędziła mu nieco strachu; myślał sobie, że nie oddałby tej drobnej dziewczki ani za buławę hetmańską, ani za wielką pieczęć kanclerską; co Kochanowskiej, to przy całej radości i dumie utkwiliły boleśnie w duszy owe słowa Zamoyskiego: „Oby ją wam Bóg uchować raczył“. Obracała je na różne strony w swojej głowie, a zawsze ją niepokoiły. Serce matki tak łatwo się zatrwoży.

XVII.

Kochanowski przejęty do żywego łaskawą poufałością i hojnością Kancelerza, dowiedziawszy się od kilku domowych i kmieci, którzy to na własne oczy w sąsiedzkich wioskach widzieli, na własne uszy słyszeli: jako pan Samuel Zborowski coraz nowych ludzi zgromadza i coraz głośniej się odgraża: iż napadnie znieścacka na Zamoyskiego i zabije go choćby własną ręką; Kochanowski, mówię, jeszcze owego 11-go maja, w parę godzin po wyjeździe Kancelerza z Czarnolasu, dosiadł swojego siwosza, objechał kilku bliższych pokrewnych i sąsiadów, do dalszych rozesłał gońców, z zaproszeniem: ażeby każdy, kto może, ruszył dobrze uzbrojony tej nocy drogą krakowską, a to w celu powiększenia orszaku Kancelerza i łatwiejszego pobicia i schwytania zuchwaleca Zborowszczyka, gdyby do krwawej walki przyszło. Pan Wojski Sandomirski w tym objeździe i obesłaniu swoim nie potrzebował wielkich namów, ani też okoliczna szlachta nie wybierała się długo. W owym czasie nie było pospolitszego w naszej Polsce, jak zatargi możnych między sobą, a wszelkie bojowe wyprawy, czy na obcych czy na swoich, żywiołem były rycerskiego stanu, najmilszem jego zatrudnieniem; w każdej zagrodzie był

zawsze w stajni koń rzeźwy z ucziwym rzędem, rusznica na ścianie, szabla przy boku; gotowość więc była wszelka do boju, gdyż i w chęciach i w możliwości. Dobrze tedy przed północą, z jakie sto koni tak z pannami, z ludźmi (według feudalnego sposobu mówienia) pędziło krakowską drogą za Kancelerzem do Ilży, miejsca jego noclegu; Kochanowski zaś zalecił synowcowi swemu Adamowi, który, jako zastępca stryja, został ogłoszony dowódcą całego zebrania: żeby w jego imieniu zameldował się Zamoyskiemu, „przeprosił, że dla niesposobnego zdrowia i ramienia, nie on sam przewodniczy tej garstce szlachty sandomirskiej, i żeby uprosił sobie pozwolenie towarzyszenia mu do samego Krakowa.“

Nazajutrz i dni następnych drużyna Czarnoleska była prawie w ciągłym ruchu. Wiadomo, czem jest dla mieszkańców wiejskich każda przygoda dziejąca się w sąsiedztwie; nieznajomy człowiek widziany w boru, zgłodniały wilk w kniei, już są ciekawym i zajmującym wypadkiem. Cóż dopiero podobne temu wydarzenie: rozprawa Zamoyskiego z Zborowskim! Była to zupełnie jak gdyby wielka żyjąca tragedia, która się odgrywała pod ich oczyma. Główna osoba dopiero co tu była u nich, i tyle łaskawą się okazała; przeciwnika także znał oddawna osobiście sam Kochanowski, a nie dalej jak wczoraj, właśnie kiedy Kancelrz gościł w Czarnolesie, pan Łukasz Gupolski wracający ze Zwolenia spotkał się z panem Zborowskim: siedział piękny młodzian na dzielnym ukraińskim koniu, z sukien jego złoto i srebro kapalo; pytał się o pana Jana Kochanowskiego, i здаwać się mogło, że także w odwiedziny do niego chce

zjechać, ale nasz bakalarz nie głupi; wiedząc żeby pan nie był rad takiemu gościowi, powiedział mu, że go niema w domu. Prócz tego każdemu było wiadomo, iż w tej rozprawie idzie o śmierć albo o życie, i że obadwa bohaterowie, przynajmniej do czasu, niemal równie są narażeni. Mógł Zamoyski bezpiecznie, dopóki w jurydykcyą swoją nie wjechał, paść ofiarą zdrady albo przemocy, ile że wiadano o Samuelu, że i sam śmiały i śmiałość drugich suto płaci; mógł łatwiej jeszcze Zborowski, gdyby się nie upamiętał i naigrawać śmiał do końca starościńskiej władzy, podać hardą głowę pod miecz katowski. Trzy dni rachowano jazdy do Krakowa, termin więc nawet rozwiązania tragedyi nie był daleki, i oprócz jedności miejsca, prawie zupełnie według reguł Arystotelesa. Nieustanne przeto były gadania, wieści, nowiny; chłopcy wracający około południa z jarmarku mówili, jakoby słyszeli nad rankiem mocne strzelanie, wnosili ztąd, że zapewne Zborowski napadł w nocy na Kanclerza i przyszło do krwawej walki; nad wieczorem znowu przywędrował dziadek po proszonym chlebie z tamtych stron, i przysięgał się, jako o żadnej bójce nie słyszał; mówił tylko, „iż ludzie po wsiach i po miasteczkach na gościńcu krakowskim są jakby w oczekiwaniu wielkiego wydarzenia; pan Zborowski rozsyła wszędzie swoich szpiegów, sypie pieniędzmi po drodze. Bóg wie co nie gada i nie obiecuje, a coraz mniejszy przedział miejsca jest między nim i Kanclerzem, tak; iż się zdaje, że lada chwila do jednej gospody zajadą i bez żartu się rozprawią“.

Ale im więcej oba przeciwnicy oddalali się od

Czarnolasu, tem rzadsze oczywiście dochodziły wieści. Nie pomagały nic pytania, wychodzenie na drogę, wyglądanie z tarasu, cała ciekawość i niespokojność; nie było innego ratunku tylko czekać cierpliwie wiadomości od pana Adama, a tymczasem mieć dosyć na wnioskach mniej lub więcej podobnych do prawdy.

W ciągu tych kilku dni wcale niemiłych, gdyż czekanie i niepewność wrogami są życia, trzeciego coś poobiedzie, kiedy rodzina Czarnoleska siedziała sobie w ogrodzie, niemal tak zajęta jak widzieliśmy ją na początku pierwszego rozdziału, Kochanowska przerwała na chwilę już nie przedzenie, ale szycie swoje, a widząc męża przechadzającego się tam i sam w zamyśleniu, powiedziała:

— Nie dumalibyście tak głęboko; Niech Pan Bóg radzi o swojej czeladzi: my w tem nie nie pokuramy. Jabym wam nastręczyła, panie mężu, cobyście mogli zrobić lepszego.

— Cóż takiego? — zapytał ciekawie stając naprzeciw niej.

— Oto wy co wszystko wiecie — mówiła z nadobnym uśmiechem — opowiedźcie nam rzędem tę całą sprawę pana Zborowskiego; od wyjazdu pana Adama dziewczęta mi się pytają a pytają, a ja ledwie piąte przez dzięsiąte owe przygody pamiętam, i nie wiem zgoła jak o tych rzeczach sądzić.

— O! prosimy! Ojcie, prosimy! powiedzcie nam jak to było — wołały dziewczęta ściskając go za kolana.

— A to istna tatarska napaść — mówił broniąc się — czego wam się też zacheiało!

— Znacie dobrze, drogi mężu — powiedziała jeszcze Kochanowska — jak my wszystkie rade słuchamy każdej waszej powieści, i miłość przecie i pożyteczna nie siedzieć we własnym kraju jak w rogu, jeno wiedzieć co w około się dzieje. A któż nas czego nauczy, jeśli nie wy?

— No, to już wam i powiem — rzekł po chwili — ale czy sobie sam wszystko przypomnę jak należy, za to nie ręczę. Bo wiecież wy, co już od lat dziesięciu ta sprawa się toczy.

— Od lat dziesięciu? — przerwała Marychna — taka stara jak ja.

— Właśnieś ty się urodziła dziewczeczko — rzekł Kochanowski głaszcząc ją po głowie — jakoś w pierwszych dniach Lutego 1574 roku, kiedy ona pierwszy początek wzięła, było to w czasie koronacyi króla Henryka.

— I pamiętam dobrze — przypomniała z wdzięcznością Kochanowska — nie pojechaliście wtedy do Krakowa, choć całe Sendomirskie jechało, żeby mnie chorej nie odjeżdżać.

— Otóż w czasie tej koronacyi — mówił dalej — odbywały się wielkie uczty, i w Poniedziałek zapustny mieszczanie krakowscy postawili nowemu królowi majestat w rynku, gdzie on też kilka osób pasował na rycerzy. Ztamtąd był na sutem weselu pana Andrzeja Zborowskiego; bo wiedzieć wam najprzód trzeba, że panowie Zborowscy zdawna byli i są wielce możni! Znamienitsza daleko ich rodzina niż Zamoyskich, ich przodkowie starego herbu Jastrzębia, już za Bolesława Śmiałego jaśnieli, a o pierwszym Saryuszu dopiero za Łokietka mowa. Ojciec dzisiejszych Zborowskich, Marcin

na Rytwianach, jak się pisał, podczaszy starego króla, był bardzo bogaty i rozrodził się wielce, z Anny Kornarskiej, z którą żył lat 40, zostawił ośmiu synów i ośm córek.

— To wesoło było w domu — wsunęła Dorota.

— Z tych dziątek czterech synów żyje dotąd: Jan kasztelan gnieźnieński, mąż rycerski i zaeny, na którym żadna wina nie ciąży i którego nasz Pan Miłościwy szacuje wysoko; Andrzej marszałek nadworny królewski, com to wspomniał o jego weselu; Krysztof niewiele wart, duszą i sercem Austryakowi oddany; i ten oto nieszczęsny a najmłodszy Samuel, o którym, jak tylko go zapamiętam, jeszcze za nieboszczyka króla zawsze zła była sława; strojno chodzić, hojnie u stołu używać, w samych igrzyskach się kochać, to były jego skłonności, a co gorsza, niepołamowaną miał pychę i do swawoli popęd: występnych lubił, a od towarzystwa dobrych uciekał, co najgorszym jest znakiem u młodzieńca.

— Inakszy mój Filip — pomyślała tu sobie Ewa, a ojciec coraz bardziej w mowę się wkładając, usiadł obok żony i tak już ciągiem opowiadał:

— Po śmierci rodzica znaczne odziedziczywszy majątności, Samuel w jednej ze wsi swoich, w Krupem, w Lubelskiem, postawił sobie zamek obronny, jeden z najmocniejszych grodów w naszej Koronie; otoczył go murami, basztami, rowami, ciemne porobił bramy tak, że ten gmach raczej do więzienia zbrodni był podobny, niż do mieszkania zacnego pana polskiego. Mówiono wtedy, że Zborowski zrobił to na przekor Janowi Zamoyskiemu, którego już wówczas nienawidził, a który

ma o półtóry mili od Krupego piękny zamek w Krasnym-stawie; ale mnie się widzi, co to zrobił więcej dla tego, żeby mieć na wszelki przypadek niedobrye schronienie; dopuszczał się też bezkarnie w tym zamku, liczną w nim utrzymując gawieź, szaleństw, rozpust, bezceństw, nawet prawa gościnności obrażał; żony, Zofii Jordánówny, córki wojewody krakowskiego, prawie gwałtem dostawszy, tam ją zamykał; sprzyjając kacerstwu wyrządał obelgi kapłanom naszym; zgola, gdyby to nie był pan zamożny, zdawna jużby głowy na karku nie nosił; ale bogaty, wysoko urodzony, piękny, wspaniały, waleczny, miał nawet wielki rum u niektórych ludzi i u wielu niewiast, i za staraniem to jego i braci Zborowskich, król Henryk na tron polski był wyniesiony, z czego, pożał się Boże, nie przyszło nic więcej Rzeczypospolitej, prócz wstydu i próżnych kosztów. Ale wracając się do uczt koronacyi, nazajutrz po weselu pana Andrzeja Zborowskiego były jak zwykle w takich razach turnieje, gonitwy na zamku krakowskim. Pan Samuel, młodzieniec dwudziestoletni, sławny z dzielnego jeźdźnia na koniu i używania kopii, wystroił się wspaniale jak lubił, i zapragnął popisać się z umiejętnością swoją. Postawił według przepisów kopią swoją w szrankach, wyzywając każdego, któryby chciał doświadczyć co on umie. A miał on oko na Tęczyńskiego kasztelana wojnickiego, z którym oddawna był źle, podobno jeszcze o żonę, gdyż zadzierał ze wszystkimi. Tęczyński, który się uważał za obrażonego i pogardził Samuelem, domyślił się zaczepki; ale nie przyjął dla siebie wyzwania, jeno wzięść kazał kopią słudze swemu; i to jeszcze ów

sługa nie był Polak, ale Charwat. Gdy się o tem dowiedział ognisty młodzieniec, wpadł w gniew, wyzwał Kasztelana na pojedynek, a ostatniemu ze sług swoich z Charwatem czynić kazał. Sługa tak dobrze Charwata ugodził, iż ten zmarł prawie na miejscu, i dlatego już więcej nikomu dnia tego nie dano się gonić. Pan Samuel jednak nie słuchając zakazu, nagotowawszy się, przyjechał na zamek i chciał czekać na Kasztelana, by się z nim zmierzyć; król Henryk jakkolwiek go miłował i był mu wdzięczny za tron, wyraźnie mu rozkazał ustąpić. Wyjeżdżał więc rad nie rad z zamku z ludźmi swemi, a nie szło mu sporo, bo się niepomścił.

Tymczasem Tęczyński posłyszawszy, że on na niego czeka na zamku, jechał śpiesznie zbrojno z przyjaciółmi, wając jeszcze więcej, jakto ludzie rycerzcy radzi czynią, cześć swoją niżli zakaz królewski: zetknęli się oba przeciwnicy w samej bramie zamkowej. Samuel uniesiony zapalczywością młodzieńca, porwał się pierwaj na Tęczyńskiego, a gdy w tak niespodzianym i bezprawnym napadzie Wapowski, kasztelan przemyski, towarzysz i przyjaciel tegoż rzucił się na jego obronę, rozjuszony Samuel uderzył go w głowę czekaniem, aż spadł natychmiast z konia, i w tej chwili też ktoś ze strony Tęczyńskiego strzelił. Czemu dosyć wydziwić się nie można, nikt na Zborowskiego się nie porwał; dano mu uciec wraz ze swemi, a tymczasem ów wystrzał umyślny czy przypadkowy wielkie zrobił zamieszanie w zamku; król Henryk pewny iż to spisek na niego i na jego francuzów, uzbroić się swoim kazał i sam się uzbroił; a gdy się do pokojów królewskich dobywano, dał otwo-

rzyć, chcąc wyjść własną osobą na buntowników, bo na waleczności jako francuzowi mu nie zbywało. Ale w miejscu buntowników pokazał się Tęczyński srogim żalem zdjęty, i słudzy jego prowadzący zbrozonego krwią Wapowskiego a już prawie bez zmysłów; wielkim głosem domagał się sprawiedliwości: król zaprzysiął ją wymierzyć, zakazując surowo obrażonemu szukać samemu zemsty; lecz tymczasem Wapowski tejże nocy, szóstego Marca umarł...

— O! już choćby za to jedno zabójstwo — przerwała Kochanowska — Samuel Zborowski godzien srogiej kary; taki zacny, taki znakomity pan kasztelan Wapowski; i została po nim wdowa, pobożna i cnotliwa pani, którą ja dusznie kochałam i kocham. Ona Maciejowska z domu, przebywała w klasztorze gdzie ja się chowała, bo miała tam ciotkę zakonnicą; prawie równego wieku zaprzyjaźniłyśmy się bardzo; nieboga męża swojego nad życie kochała, i gdyby nie dla syna, pewnoby śmierci jego nie przeżyła...

— A nieboga była właśnie w Krakowie w tej porze — mówił dalej Kochanowski — kiedy nazajutrz zawieziono ciało jej męża do króla na saniach, ubrane, jak miał zwyczaj nieboszczyk chodzić, przykryte sukniem i aksamitem; jechała i ona z synem i z krewnymi w siedmiu kolebkach żałobnych, wstąpiła do królowej Anny, na on czas jeszcze królowej; mimo ciężkiego żalu stanęła i przed królem. Pan Stanisław Maciejowski czynił od niej żałobę; przez trzy dni, tak jeździła ciągle, a żalność jej szczerą zapewne nie mało się przyczyniła do tego, iż więcej jeszcze powstawali na króla i na stany:

że Samuela nie schwytano, nie ukarano zaraz wtedy. Dano mu bowiem czas zemknąć zagranicę, a bracia jego takich sposobów użyli, by go od surowości prawa zasłonić, iż wytoczona mu sprawa ciągnęła się przez cały wielki post; a chociaż statut Starego Zygmunta był wyraźny: iż zabójstwo podczas sejmu lub przed królem popełnione, powinno być karane śmiercią na obecnym, a na zbiegłym wywołaniem i osądzeniem od czei i majątku: przecież z powszechną zgrozą, wyrok wydany na Samuela przełamał statut, bo go nie osądził od czei, a majątek jego oddano bratu, który go zaraz oddał synowi winowajcy; już bowiem wtenczas Samuel miał syna, a później przybył mu jeszcze syn jeden i córka.

— O biedne! dzieci! biedne! — przemówiły dziewczęta prawie razem.

— Z występku i bezbożności się rodzić — dodała półgłosem Ludwina — cóż to za nieszczęście! O Panie! bądź im Ojcem! — dokończyła ciszej jeszcze.

— Zborowski tedy — prowadził dalszą powieść Kochanowski — na wygnanie został skazany, jedno przecie i na to uważajcie, zabronione mu pod utratą życia wracać do ojczyzny; rozesłany został do wszystkich starostów całej Rzeczypospolitej rozkaz, aby za pokazaniem się jego w kraju do ich jurysdykcyi należącym, natychmiast był schwytany i ukarany śmiercią. On zaś przez czas kiedy się to działo, schronił się do ziemi Siedmiogrodzkiej, gdzie był właśnie księżęciem panującym król nasz dzisiejszy; ułożył się przed nim, jak to on dobrze umie, wyłgał, i ze wszelką ludzkością był przyjęty i podejmowany. Prawda, i podobno jedna ta dobra sprawa

udała mu się w całym życiu; prawda, on pierwszy podał Stefanowi Batoremu myśl starania się o koronę polską, gdy od nas uciekł tak haniebnie król Henryk; prawda, on przez braci swoich torował mu do niej drogę; prawda, wspaniały Stefan obiecał wszystko czynić co w mocy jego będzie, skoro dojdzie do tronu, żeby zdjąć z niego zapadły wyrok; prawda i to, że jadąc już do Krakowa, pozwolił mu doprowadzić się do samej polskiej granicy, do Stosowa, majątności Aleksandra syna Samuela; ależ król Polski nie mógł dotrzymać obietnic księcia Siedmiogrodzkiego: gdy raz się dowiedział jak się rzeczy mają, niechęć i wzgarda zastąpiły miejsce dawnej życzliwości, a doznali ich i bracia Samuela, wyjąwszy Jana. Pieczęci mniejszej i większej, buław, starostw, wszystkiego się domagali panowie Zborowscy od króla, a on wszystko Zamoyskiemu dawał; wreszcie w roku zeszłym synowicę mu poślubił; ztąd zawiść panów Zborowskich przeciw Miłociwemu Panu i Kanclerzowi, ztąd gwałty i bezprawia Samuela.

Bo choć on ma zaledwie lat trzydzieści, nagromadził już siłą przestępstw na głowę swoją: to co przed oczyma naszymi w tej chwili wyprawia, nie jest największą jego zbrodnią; on to w ciągu tych lat dziesięciu pobudzał Kozaków do buntu przeciw Rzeczypospolitej, a hetmaniał im; on w czasie wojny Moskiewskiej bawiąc w obozie naszym, nie bił się jedno wicherzył, i zarówno ze zdrajcą Ościem zaprzedał się nieprzyjacielowi; on w początkach tego roku knuł spiski na życie króla i kanclerza, a to w chęci wezwania na tron nasz, Iwana Moskiewskiego, który mu obiecywał wynieść go tak

wysoko jak Batory Zamoyskiego wyniósł. Własny jego chłopak Wojtaszek, niezły teorbant, przyniósł podkomorzemu królewskiemu, Filipowskiemu, list Krysztofa Zborowskiego, do brata, w którym to liście jawnie widzieć można było, iż chcieli zabić króla w Niepołomickim lesie. Kasztelan gnieźnieński prosił Miłociwego Pana ze łzami, żeby zbiegowi, ladaco chłopakowi wiary nie dawał; król dał mu listy i pieczęcie braci do rozpoznania, Kasztelan musiał przyznać że prawdziwe, odejść z gorzkim wstydem i zamilczeć: teraz stronnicy Zborowskich niewiedząc jak się bronić, głoszą że Wojtaszek czarnoksiężnik, że szatan mu pomagał do naśladowania doskonale pisma cudzego, że te listy na rozstajnych drogach sporządzone piekielnymi sposobami...

I byłaby może ta dziwna sprawa ucichła, gdyby nie wyuzdane obecne zuchwalstwo Samuela. Ale jakby ośmielony tą bezkarnością, podniósł jeszcze wyżej hardą głowę, i zdaje mu się, że Batory, Zamoyski, prawo, są niczem: on królem, kanclerzem, władzą. A co za serce w nim niewdzięczne, jakie zaślepienie! Pan nasz Miłociwy, pamiętny dawnej zażyłości i usług, nie przestawał przez te wszystkie lata dawać mu ojcowskich przestróg; napominał go przez braci, przez powinowatych; raz nawet kiedy Jan będąc marszałkiem, najwyższą władzę na dworze sprawował, pozwolił mu przyjść do królewskiej komnaty, to mu groził, to folgował; dopuszczał mu już mieszkania w Złotowie na granicy, byle eicho siedział; niecnota, na nic dobrego tej łaskawości monarchy nie użył, owszem coraz więcej zacina się w zbrodni, i zobaczymy dziś, jutro, na czem skończy. Nie

tuszę, aby dobrze skończył, i potrzebny ten przykład, Szkoła będzie szlachetnie urodzonego młodzieńca, szkoda ojca trojga dzieci, małżonka zacnej niewiasty; piękny młody, waleczny, nieustraszony, hojny; lecz cóż, kiedy te wszystkie dary Boskie na szatańskie dzieła obraca...

— I na życie dobrego króla, na życie naszego kochanego Kanclerza nastaje — zawołała Ewa spoglądając na spinę, którą według dobrej rady ciągle nosiła na piersiach — choć wielki pan, niegodziwy z niego człowiek; co bądź z nim zrobia, żałować go ani myślę: i wielka szkoda co pana Rotmistrza tu nie ma: onby go już dogonił i nauczył.

— O! gdyby to już wiedzieć można jaki będzie tego wszystkiego koniec — mówiła Dorota — jam strasznie ciekawa i nie gniewałabym się, gdyby pan Zborowski cały wyszedł.

— A ja Boga jeno proszę, żeby upamiętanie dać mu raczył! — szeptała składając ręce pobożna Ludwina — chętniebym trzy dni i więcej, suchotami pościła!

Nie przyjęło Niebo na ten raz pokornych modłów dziewczycy; w kilka dni potem opowiadaniu Kochanowskiego, w tydzień po odwiedzinach Kanclerza, zaczęła wracać zbrojna szlachta Sandomirska do domów, nie bez żalu, iż nie przyszło nigdzie do krwawej rozprawy, a stary Mysłowski przywiózł list Adama Kochanowskiego do stryja. Był prawie w tych słowach:

„Służby moje życzliwe zalecając pilnie w łaskę Waszej Mości, donoszę naprzód ową wielką nowinę: jesteście w Krakowie zdrowi, Samuel Zborowski schwytany, i już się podobno nie wybiega. Rzecz cała tak się

ma. Dogoniliśmy Kanclerza rano po wyjeździe naszym niedaleko Rży, i raczył przyjąć mile nasze dobre chęci. Jechaliśmy przeto z nim razem. Wierny temu co raz postanowił Kanclerz, znosił cierpliwie coraz bliższe dojazdy Zborowszczyka i coraz głośniejsze pogroźki; chronił się wszelaką mocą bitwy, choć wszyscy młodzi wrzaliśmy chęcią boju; przejeżdżał spiesźnie całe nasze województwo, o ile mu tego powaga dozwalała, spodziewając się, że ów zuchwalec nie odważy się wjechać w Krakowskie, że ujdzie z kraju, a tak zostaną całe, i przysięga urzędnika, i prawo, i ten co je pogwałcił. Wielu z nas także podobnie myślało, ale omyliliśmy się.

W Niedzielę stanęliśmy na nocleg w Proszowicach, już w jurysdykcji starosty krakowskiego; choć spokojniejsi od napaści, żaden z nas ani pomyślał o spaniu i o wypoczynku; koczowaliśmy pod gołym niebem, i zwawę były rozprawy, czy Zborowski zatrzyma się nad granicą starostwa czy wjedzie? Około dziesiątej godziny przybył nawet szpieg kanclerski z wieścią: że pan Samuel z ludźmi swymi zajął Podolany, wieś, jak wiecie, o milę od granicy starostwa, i tam noc ma przepędzić; kiedy ci którzy jego stronę więcej trzymali, już tryumfować cheieli, jeden z naszych na wywiady wysłany wrócił i doniósł z pewnością: że Samuel wjechał z towarzystwem w Krakowskie; towarzystwo swoje zostawił w Jakóbowicach, a sam z kilkunastą zbrojnych przyjaciół puścił się do Pieczny do pani Włodkowej swojej siostrzenicy, młodej i gładkiej wdówki, która, jak ludzie mówią, ma być z dawna na niego łaskawa. Zamierzał on wysłać połowę ludzi swoich naprzód do

Krakowa, żeby dojeżdżającemu Kanclerzowi zajechał drogę, a on sam z drugą połową miał mu wziąć tył, i tak zewsząd go ogarnąć; w Krakowie zaś rozpustna i próżnująca młodzież, na jakiej nigdy w wielkich stolicach nie zbywa, pobudzona przez stronników Zborowskich, (którzy Kanclerza zowią „Starostą piekielnym”) już była gotowa buntownikowi dopomódz. Były to wojenne a piękne fortele, które się przecież z łaski Pana Boga nie powiodły. Kanclerz dowiedziawszy się o wszystkim dokładnie, osądził w sobie, że już dłużej czekać się nie godzi; jako jednak przezorny jest i baczny, złożył pierwszej radę z tych co bliżej otaczają jego osobę był w niej i stryj nasz Andrzej i bystry Herbut, i wymowny Piskorzewski i nczony Heidenstein, bo wiadomo wam, że on bez mądrych ludzi nigdy się nie ruszy; był i śmiały Urowiecki, dzielny Żółkiewski i kilku innych. Wszyscy okazali się tegoż samego zdania co on. Wysłał tedy natychmiast poczet wybranego ludu z dzielnym Żółkiewskim na czele; wkrótce za nim Łukasza Sernego, Szymana Charlińskiego, Wybranowskiego i Mrocza, doświadczonych mężów w rycerstwie. Żółkiewski ze swemi podszedł cichuteńko pod sam dwór pani Włodkowej, i otoczył go pierwszej niż ktobądź usłyszał.

Zborowski bawił się spokojny u swojej przyjaciółki, czynił sobie dobrą myśl jakby co najlepszego zrobił, a jego ludzie po wsi byli rozproszeni. Pierwej jednak posłyszał jakiś niezwykajny hałas, zląkł się i niewiele myśląc zrzućwszy z siebie suknie wpadł do komnaty panińskiej i ukrył się w pierwsze łóżko jakie napotkał. Lecz nie pomogło to niewinne schronienie; Żółkiewski

wpadł do dworu, trafił na sypialnię i wywłókł go z pościeli. Nie porywał się na niego, jako na bezbronnego; pozwolił mu się nawet oblec w żupan, zarzucić ferezyą, szabli jeno mu nie dopuścił, ani broni żadnej, a ujawszy go mocno za barki, wsadził na swego konia i przed świtem stanął z nim w Proszowicach przed Kanclerzem. Nie mam potrzeby opisywać Waszej Miłości tego co się działo w całym obozie, jaki tryumf, jakie gadania, a razem i jakowyś strach! Ciekawość nas brała straszna wiedzieć jak się stawia Zborowczyk w obliczu Kanclerza, ale ani słówka dowiedzieć się nie mogliśmy; czterech ich tylko było w czasie rozmowy: sędzia, winowajca Żółkiewski i Urowiecki, i nie się nie wydało. Po tej rozmowie Kanclerz spędził godzin kilka na pisaniu listów, które rozesłał na wszystkie strony, a najpierwszy oczywiście do Grodna, do Miłościwego Pana; pisał podobno i do pani Wapowskiej, czyby nie miała woli dochodzić teraz zabójstwa swojego męża. Pojmanie Samuela, szybko jakby cudem w tej okolicy się rozniesło; nad rankiem już o nim wiadano w Krakowie, choć z Proszowie jak wiadomo pięć mil do stolicy. Ruszył też wnet i Kanclerz do miasta i my wszyscy z nim; jechała naprzód kolebka ściśle na wszystkie strony zamknięta, i mocną strażą otoczona, a w niej jak zgadnąć można, więzień niekoniecznie wesołej myśli.

Był w Krakowie właśnie zjazd wielki szlachty z powodu sądów grodzkich, było i wielu stronników Zborowskich. Wysypali się przeciw Kanclerzowi wraz ze znaczniejszymi obywatelami i z całą niemal ludnością; a ci którzy najwięcej dokazywać chcieli ucichli zupełnie

Kancelarz oddawszy więźnia pod straż Urowieckiemu jako podstaroście Krakowskiemu, sam pojechał na zamek, i tam stanawszy na ganku, miał mowę do licznej szlachty, co go aż na to miejsce odprowadziła; w niej przełożył zbrodnię Samuela i obowiązki starosty, z takim ogniem i przekonaniem, iż gdyby w ten moment był, kazał go wyprowadzić i ściąć mu głowę bez innego sądu, niktby nie był wyrzekł i słowa. Ale Kancelarzowi ciężko jest widzieć, nawet tak występny żywotem szafować, czeka przeto z wykonaniem prawa, odpowiedzi króla i senatorów. Odpowiedź ta przyjdzie najrychlej, na dwudziesty piąty bieżącego miesiąca, i wtedy niebawem koniec nastąpi. Skoro się to stanie, wnet Wasza Miłość ujrzysz mnie w Czarnolesie; lecz pierwszej odjeżdżać mi nie sporo; nie żeby Kancelarz mnie lub kogokolwiek potrzebował, jeno iżem wielce ciekawy rozwiązania tej tragedyi. Niektórzy tu zaczynają głosić, że powinien król darować życie Zborowskiemu; inni znowu zbierają się wykraść go, porwać z pod rusztowania, i odgrażają się bardzo. Wielu z naszych mniej ciekawych niżli ja, żegnało się już dziś z Kancelrzem, a on im dziękował uprzejmie za ich dobrą chęć; gdym mu oświadczył przez stryja Andrzeja że jeszcze nie odjeżdżam, ale wyprawiam posłańca z listem do Waszej Miłości, rozkazał mi czekać na swoją przysyłkę; jakoż przed chwilą jeden z dworaków wręczył mi małą krobeczkę, którą przyłączam, upraszając Waszej Miłości, abyś raczył przyjąć powolne me służby.“

Na krobeczce był napis: „Orszuli Kochanowskiej“ a gdy ją otworzono ukazał się krzyżyk rubinowy na

złotym weneckim łańcuszku; kartka była przy nim z temi słowami:

„Aniołku! uproś u Boskiej Matki,
Zdrowe dla mnie dziatki.“

Orszulka uszczęśliwiona z daru, oddała natychmiast Annie siostrze swojej, dawny złoty krzyżyk, który od urodzenia nosiła; nowy i cudniejszy włożyła na szyję i powiedziała, że go nie zdejmie póki życia; i widziano ją odtąd często jak klękała w trawie i modliła się trzymając znak zbawienia w złożonych dłoniach. Kiedy ojciec ją tak spostrzegł, cieszył się i przypatrywał jej się w milczeniu i z lubością; bo zupełnie zdawać się mogło, że anioł z najpiękniejszych, przelatując nad jego wiejską zagrodą spoczął w niej, i rozmawia z temi co zostały w Niebie.

XVIII.

Widziałem złego w szczęściu tak wyniosłym,
 Że był Libańskim równy cedrom rosnącym;
 Obejrzałem się, a już było po nim;
 Szukam: nie umiał nikt powiedzieć o nim.

Psalm XXXVII.

Cała niewieścia drużyna Czarnoleska, która teraz mimo wiosennej pogody częściej siadywała w izbie niżeli na dworze, z powodu wielkiej i ciągłej roboty koło wyprawy Ewy, zebrana była w przedostatni dzień maja. Już przy śniadaniu Kochanowski upewnił, iż według wszelkiego jego wyrachowania, los Samuela musiał być rozstrzygnięty przed trzema dniami, a zatem wieczorem należy się spodziewać powrotu pana Adama. Teraz zaś zjadłszy obiad w zamyśleniu i podumawszy chwilę na ławie pod piecem, poszedł do swego pokoju; a według zwyczaju jaki miał, skoro jakaś ważna sprawa toczyła się w kraju, porządkował dokumenta, które do obecnej przygody zebrać był potrafił, i rzucał na papier szczegóły, dotąd tylko po ustach krążące, dołączając do nich swoje wnioski i uwagi. Właśnie wszystko ukończył, właśnie zamyślił się nad tem, iż zapewne wnet znakiem krzyża świętego i słowami: *requiescat in pace* przypieczętować wypadnie ów zbiór cały, kiedy hałas

w domu zwiastował mu przyjazd obcych. Nie czekając żeby żona oznajmić mu przyszła kto przyjechał, zbiegł szybko na dół, i ledwie drzwi izby otworzył, zobaczył synowca a po jego twarzy spoważniałej, po smutku żony i córek, poznał nim słowo wyrzekli: że już po Samuelu.

Wszyscy w Czarnolesie wiedzieli przestępstwa Zborowskiego, wszyscy znali że zasłużył na karę, że konieczny był przykład sprawiedliwości; wszyscy sprzyjali Zamoyskiemu: przecież, gdzie jest serce, któreby się mogło oprzeć, uczuciu litości, kiedy się dowie, że głowa ludzka, głowa młodzieńcza, głowa znakomita, której brakło tylko dobrego kierunku aby zajaśniała użytecznie w ojczyźnie, i na długie lata ozdobą jej była, padła pod mieczem katowskim, jak pada głowa najpodlejszych zbrodniarzy. Sama Ewa co niedawno tak się odgrzała na żyjącego zuchwalca, teraz przez długą chwilę nie widziała wcale roboty swojej przed sobą, dla łez ciśnących się do jej oczów; wszystkie jedwabie zdawały jej się czerwonej barwy; tem przykrzej jej to było, iż jak wymiarkowała odrazu, śmierć Zborowskiego wypadła w dzień św. Filipa, 26 maja, w dzień imienin jej bogdana: ta wylana krew złą wróżbą jej była; i już przeczuwała zawczasu jak ścigać ją będzie we dnie i w nocy owa głowa ucięta i drgająca, ów kadłub, który krew toczy... Ludwina zaś czemsiś wyższem jak ziemią zajęta, nie czekając szczegółowego opowiadania tej okropnej przygody, wymknęła się z izby i poszła w głąb sadu; tam ukłękła pod kwitnącą jabłonią, na której korze, jeszcze dziecinną ręką wyręta była krzyż, i odmó-

wiła cały różaniec po dwa razy; ofiarując pierwszy raz za duszę winowajcy, drugi na odwrócenie wszelkiej kary od sędziego, gdyby się omylił jako człowiek. Wietrzyk wieczorny, jedyny służebnik tej kwiecistej kaplicy, okrywał listkami blad różowych kwiatów świętą dziewicę, otaczał ją ich wonią, i zanosił odgłos jej czystych modlitw chórom niebieskim.

Ostatni koniec Samuela Zborowskiego był taki: udzielamy go w krótkich słowach, odsyłając po dokładniejsze szczegóły i po dalsze skutki tego zdarzenia do społecznych pism i kronik.

Cały Kraków trząsł się przez te dni czternaście od pogroźek, poduszczeń i przekupstw Zborowskich i ich przyjaciół. Wielu z nich przychodziło do Kanclerza i nalegało śmiało, aby się wstrzymał do sejmu z wykonaniem wyroku przez króla Henryka na Samuela wydanego. Zamoyski nie wzbraniał się od tej łaskawości, byleby kto przyjął na siebie obowiązek stawienia winowajcy przed sąd sejmowy. Nikt tego podjąć się nie chciał, ani śmiał ręczyć za obwinionego. Wtedy powiedział: „Zrobię co Miłościwy Pan każe.“ Oczekiwano tedy niecierpliwie powrotu Grodzieńskiego posłańca; nadjechał 25 Maja i przywiózł wyrok śmierci. Król Stefan w liście własnoręcznym napisał między innemi te słowa: „Wściekły pies zabity nie kąsa“. Nadchodziły też ze wszech stron odpowiedzi Senatorów podobnej treści, i Kanclerz wszystko przyrzadzić rozkazał do wykonania prawa nazajutrz po odebraniu królewskiego pisma. Uprzedziwszy Zborowskiego o losie jaki go czekał, nad wieczorem poszedł do jego więzienia, w towa-

rzystwie kilku znakomitych osób i tam powiedział:

„Jako mu bolesno jest z całego serca, iż tak zanie urodzony młodzian spraw swoich nie wiódł inaczej; jako byłby mu z duszy życzył, żeby się nie był w owe sidła zaplątał, i ostrzegał go o tem po kilkakroć; ale on jakby na przekor samemu sobie laził oślep w zgubę.“

Kiedy Zborowski wymawiał mu ostro, iż to wszystko nie czyja jeno Kanclerska sprawa, i że gdyby nie jego osobista zawieść ku całej Zborowskich rodzinie, nigdyby do tej ostateczności nie przyszło: Zamoyski przeczytał głośno list i wyrok królewski. Złorzeczył długo i okropnie winowajcę, powoływał sędziów swoich na sąd Boski; ale nareszcie wąpić sobą zaczął, okazywać wcale niewłaściwą sobie trwogę, pytać się:

— Czyby to już żadnym sposobem rzeczy inaczej obrócić się nie dały? czy tak wiele królowi i Rzeczypospolitej na jego gardle stoi?

Z wielkiego żalu za życiem, gdy mu już śmierć straszliwa w oczy zajrzała, ów Samuel hardy i niesforne, wziął się do pokory i do upamiętania, i wyrzekł:

— Z Boskiego widzę zrządzenia dostałem się na to miejsce; tu w tym samym Krakowskim zamku, gdzie wylał niewinną krew Wapowskiego, tu i moja co do ostatniej kropli popłynie.

Pytany o zamachy przeciw królowi i o spisek ukartowany w Niepołomickim lesie, bez zająknienia się obwinił braci swoich Krzysztofa i Andrzeja; że oni wszystko układali, a jego mniej od nich uczonego a śmielszego do wykonania użyć chcieli. Zamoyski jakby wstręt mając do słuchania oskarżeń brata na braci, z umysłu

nie wypytywał się już więcej; radził mu tylko „aby kiedy już od ludzi nie spodziewać się nie może, pogodził się z Bogiem, i stał się godnym przez serdeczną skruchę, owego nieba, którego się wyrzekł sprośnemi sprawami: dodał, że co do niego, przebacza mu i zapomina wszelkie urazy“. To powiedziawszy wyszedł ze łzami w oczach i wnet przysłał na miejsce swoje spowiednika.

Nie zachowały nam dzieje imienia tego posłanika Boskiego; zważywszy jednak przestępstwa Zborowskiego, nieugięty dotąd charakter, błędy kacerskie w jakich trwał jeszcze, chęć szlachetną Kanclerza pozyskania Niebu duszy tego, którego zbawić nie mógł na ziemi, domyślić się można że dobierał mu troskliwie owego ostatniego przewodnika, a wybór jego może padł na księdza Piotra Skargę, który wówczas jak wiemy bawił w Krakowie. To pewna że spowiednik Zborowskiego wysłuchawszy całego pasma jego życia, po kilku godzinach wyszedł tak pomieszany, iż zdawało się niektórym iż utracił zmysły; pokutnik zaś po odejściu jego leżał do świtu twarzą ku ziemi, nie śmiejąc podnieść oczu: płakał tak obficie, że podłogę więzienia zwilżył swemi łzami, a te łyzy przecież ugasić jego żalu nie mogły. Skoro dzień zajaśniał, wyprowadzono go na miejsce kary zwyczajnym winowajcom przeznaczone, za bramę zamkową, i tam kat publicznie, ale przy zupełnem milezeniu ściał mu głowę. Ciało pod słupem zostawione wzięli krewni, zabałsamować kazali i przysięgli uroczyście nie dać mu pogrzebu, trzymać je u siebie, wozic przed króla, przed sejm, dopokąd sprawiedliwości nie uzyskają. Troje dziątek

jego ubrali w grubą żalobę i pokazywali ludowi dla pobudzenia go do zemsty.

— Panowie Zborowscy — mówił w końcu Adam Kochanowski, który to wszystko z większemi szczegółami opowiadał słuchającej go ciekawie rodzinie Czarnoleskiej — panowie Zborowscy mają swoich stronników, bo pieniędzy nie żałują; przecież między uczciwymi i rozsądnymi ludźmi, jeden jest tylko głos, że Samuel na los swój zasłużył; pospólstwo krakowskie z pewną nawet radością widziało pańską i znakomitą głowę pod mieczem katowskim; ulicznicy zawsze weseli a często dowcipni, śpiewają sobie:

Za króla Stefanka
Strach i na pana.
Kradnij, rozbijaj,
Ale Kraków mijaj!

Widziałem jednak sam i na własne słyszałem uszy nie jednego ze znakomitej szlachty, co całem gardłem wtoruje panom Zborowskim. W śmierci Samuela nie widząc słusznego wykonania prawa, ale nadużycie władzy jednego z pomiędzy siebie i powtarzają proste przysłowie: „Kto wyjrzy z korca, tego strychulcem w łeb“; zbierają świadków zadających ciężkie zbrodnie Kanclerzowi, twierdzą jako mają dowody, że chciał otruć Krysztofa Zborowskiego przez kuchmistrza swego Dzierżka. Pani Włodkowa ze swojej strony pozwać go chce za najechanie w nocy domu swojego. Zgoła na wielką zanoszą się burzę, i słyhać że przed sejmem będzie zabrana konwokacya w Lublinie dla osądzenia tej sprawy.

— A co najgorsza w tej całej przygodzie — dodał

Kochanowski ze smutkiem, wysłuchawszy synowca — to owa okoliczność: iż umysły rozjątrzone, prywatą zajęte, nie zechcą do spraw publicznych się przyłożyć; wszystka Rzeczpospolita zburzona; sejm jaki w tym roku być ma, znowu na niczem przeminie, i wielkie a zbawienne zamysły Króla i Kanclerza gotowe spełznąć bez skutku. Dziwny, pod niefortunną gwiazdą urodzony ów Samuel Zborowski: pierwaj, prawo publiczne nie mogło być względem niego zaniedbane bez największego kłopotu, teraz nie można było statutów wykonać bez najokropniejszych rozruchów. O! biada nam, biada! Kiedyż my słuchać się nauczymy! Pókiż swawolić będziemy! Kiedyż przestaniemy bezprawie zwać złotą wolnością!

XIX.

Cień ponury, jaki przygoda Zborowskiego rzuciła na Czarnolas, który już i tak od wyjazdu ukochanych gości nie był oczywiście tyle wesołym i ożywionym co dawniej, znikać zaczął pomału; została przecież całemu domowi jakaś poważna, łagodna, że nie powiem uroczysta barwa; złożyły się na nią dwie lubie przyjaciółki człowieka: praca i nadzieja. Każda z osób składających główną część drużyny Czarnoleskiej, posiadała owe dwa żywotne warunki szczęścia potocznego; u każdej, ręka była zajęta użyteczną, pilną robotą, a myśl bujała w miłej przyszłości. Kochanowski zachęcony przez Zamoyckiego, zagrzany chęcią napisania dzieła, któreby prócz innych korzyści i zalet pochlebiać mogło powołaniu i skłonnościom drogiego przyjaciela, nie zaniedbując prac około roli tyle ważnych w tej porze roku, zabrał się całą duszą do swego rycerskiego poematu, ujrzał się wnet w najmiłszej pisarskiej dobie: kiedy to autor, podobien matce nad kolebką syna, już widzi ów płód swego ducha dojrzały, ozdobny w wszelkie przymioty i wdzięki, przynoszący mu pociechę i chlubę, a jeszcze nie miał czasu i sposobności mozolić się, ślęczyć nad nim i doznać zawodu. Kochanowska zajęta z kolei to robotami nakazanemi w księdze pamięci, jakto: rozsada

kapusty, pieleniem ogrodów, zbieraniem i smażeniem ziół, paleniem wódek, bieleniem płótna, suszeniem ryb i t. d.; to znowu wyprawą Ewy, myślała z pobożną wdzięcznością o odmiennym, a przecież szczęście obiecującym losie, dwóch starszych swych córek; cieszyło ją równie zameęcie jednej, jak dziewictwo drugiej. Już widziała Ewę w czepcu białogłowskim, kochaną od męża, piastującą dziecię, pierwsze jej wnuczę! widziała Ludwinę pod zakonną zasłoną bliżej jeszcze Boga i już teraz, już prawie świętą; wspominała także z lubością na dziecię co nosiła w łonie; wszystkie kobiety we dworze i we wsi, a na ich czele Nastka i Switka, obiecywały jej syna; potwierdzały nadzieję dziedzica, i inne wróżby, pragnęła go całym sercem, gdyż sądziła że po Orszulce, syn tylko mógł być z rzetelną radością przyjęty od ojca, i ścieśnić nowem ogniwem zobopólne ich a tak drogie węzły.

Ewa i Ludwina bujały także w przyszłości; „młodość przestrono patrzy.“ Jednej przesuwaly się z kolei; powrót szczęśliwy bogdana, wesele, które rodzice jej obiecywali dwa razy sutsze od zaręczyn; owe kołacze „grunt wszystkiego“ co je Nastka upiec miała jak niegdyś dla swojej Hanulki w Sandomirzu; zupełna odmiana życia, nowe szczęście, nowe stroje, powaga małżeńskiego stanu, podróż, majątek, Studzienica. Drugiej znowu stały na pamięci uroczyste obłóczyny, ofiara dobrowolna owych pięknych jasnych włosów i całej krasy urody i młodości, które jej ciążyły; pożądana cichość i jednostajność klasztorna, pokorne ubóstwo, szczęśliwość życia poświęconego zupełnie Bogu, życia w którym jej się zdawało,

że nie będzie miała sposobności nigdy zgrzeszyć... Było więcej żywości, uroku, w marzeniach pierwszej, więcej spokoju, gruntu, pewności, w obrazach drugiej. I Dorota, którą już matka wprowadzać zaczynała do trudniejszych robót domowych, dumiała sobie także o chwili, kiedy będzie najstarszą panną w Czarnolesie, prawą ręką rodziców; a choć jej smutno było wspomnieć o odjeździe dwóch sióstr, znaczenie które nabyć miała, pocieszało ją niemal zupełnie. Dorota była z tych dziewcząt co raczej mężki charakter mają, lubiła być pierwszą, miała własną tęgą wolę, i łatwiej jej było dać sobie samej radę w trudnym nawet razie, niż usłuchać cudzej rady w najdrobniejszej rzeczy. Są na świecie różne charaktery i ułożenia, bo też i przeznaczenia różne. Aż do starej Nastki, choć to zwykle starym mało co od ziemskiej nadziei się należy, wszystkich w Czarnolesie opanowała owa czarodziejka. Kochanowska częścią z życzliwości ku dawnej i tak wiernej służce, częścią z troskliwości o córkę, przyrzekła jej, że ona odwiezie przyszlą panią Rotmistrzową do Studzienicy; a przytem, jak sobie tego oddawna życzyła, obaczy raz jeszcze przed śmiercią kraj młodości swojej, zielone Podole.

— Jeżeli ci tam dobrze będzie, to i zostań—mówiła do piastunki wdzięczna matka — hoduj moje wnuki; jeżeli nie, to wróć do nas.

Poczciwa kobieta pomagając ile jej sił starczyło do robót domowych, prawie ciągle tę podróż widziała przed sobą. Lat trzydzieści kilka zwinawszy zupełnie w pamięci, jakby ich nie było, wystawiała sobie krewnych, przyjaciół, tak jak niegdyś ich zostawiła; cie-

szyla się że ich powita, i że oni do niej się uradują. Czemużby pomrzeć mieli i odmienić się dla niej, kiedy ona żyje zdrowa i o nich pamięta? Z ruchomostek i pieniędzy jakie posiadała, a które teraz wspaniałością Filipa i Podlódowskiego znacznie się powiększyły, dla każdego jakiś gościniec sposobiła, a przechodząc myślą wszystko co jej się zebrało do opowiadania przez lat tyle, czuła już zawczasu wielką niespokojność języka, i całą czeladź Czarnolesską nudziła więcej niż kiedy swoją wielomownością.

W takich marzeniach i zatrudnieniach przerywanych, jak to bywa na wsi, to świąt uroczystych obchodem, to przyjazdem gości, to wreszcie odwiedzinami krewnych i sąsiadów, upłynął prawie cały Czerwiec; słowik ucichł, drzewa okwitły i spłwiała cokolwiek dziewczęta ich świeżość; trawy urosły i padły pod kosą, zboże się wykłosiło; dzień już się zmiarkował, przybywać go przestało, i zaczęły się mocne dosyć upały. Kochanowski uchodził często w cień ulubionej lipy swojej przed skwarnemi promieniami słońca, a z lutnią na łonie, przy „dzbanie zimnej wody“ dumal o pracy i Jakóbie swoim; tam właśnie siedział jednego poobiedzia, kiedy przybył pożądany i wyglądany posłaniec od ukochanych podróżnych i cały dom napełnił radością. Obiecali oni wyjeżdżając wyprawić z pod Bałchanu doświadczonego dworskiego kozaka, starego Iwanuszkę, żeby dać wieście o sobie i dotrzymali słowa.

Droga im szła pomyślnie; z razu służba im się rozniemogła, i oni sami trocha słabowali; ale jak pan Podkoniuszy otworzył obozową szkatułę apteczną, którą

i pani Wojska zaopatrzyła swemi lekarstwami, jak leczyć zaczął, uzdrowił ich zupełnie i siebie: odtąd wszystko im idzie według tego jak zamierzili i rozrachowali sobie. Przebywszy granicę Polski, w której wszędzie o niczem tylko o Samuelu mówiono, przejechali przez Wołoską ziemię, przez Bukowinę, owo miejsce smutnej pamięci, „gdzie za Olbrachta, poginęła szlachta“; potem, na Soczawę i Lopuczno dojechali do Kilii, miasta zamieszkałego już przez Turków, gdzie przez władze byli z wielkiem poszanowaniem przyjęci; gdyż Turcy, zwłaszcza pograniczni, wielką cześć niosą królowi Polskiemu; i mówią że „Batury Isztywan jest wybraną znamienitych mocarzów Chrystusowych, wlekącym poły wspaniałości i powagi, dzierżącym wodze spraw narodów chrześcijańskich“. Z Kilii jechali brzegiem wspaniałego Dunaju, pięknym krajem, do Jazu, gdzie łowią wyzinę. Z Jazu jadąc długo, zajechali do miasta Baby, dziwnie nazwanego, ile że te białogłowy co im się w niem ukazały, wcale nie były stare. Ztamtąd do Hałapapy, gdzie są wały i mury zburzone, i widać dawny gród znaczny. Minawszy Bazarczyk, Prowadyą, dotarli do wsi Ciengiej pod same stopy góry ogromnie wysokiej, pod stopy Bałchanu; tę górę nie przejechać ale objechać mieli we dwa dni, a ztamtąd na Haidosz, Kierglisz, Biegarazar i Bikulce, ruszyć już lepszą drogą do Carogrodu, gdzie spodziewali się byli stanąć z pewnością na 15 Czerwca. Z równą dokładnością opisywali dyaryusz powrotnej drogi, i wyrachowanie oczywiste, na trzechkrotnem doświadczeniu oparte: iż zabawiwszy dni kilkanaście w stolicy państwa tureckiego, stawia się niezawodnie w

Czarnolesie na wigilią święta Wniebowzięcia Najświętszej Panny.

„Wtedy, pisał w końcu listu Podlodowski, ujęci naszą rzetelnością i pospiechem, nie będziecie mieli serca, Najmilsi moi, odkładać długo wesela; i w tydzień, dajmy 22 Sierpnia, oddacie już na zawsze waszą dziewczkę memu parobkowi. Pobladł mi tu i schudł nieco z wielkiej tęsknoty; zdaje mu się że nie zasłużył sobie na miłość Ewulki, i że mu ją tam kto odmówi. Przyrzadźcież więc wszystko, żeby już żadnej zwłoki nie było: będę sobie uważał tę uczynność waszą za dowód rzetelnej przyjaźni i wdzięczność wam dochowam do grobu“.

Iwanuszkę kozaka, co z temi listami konno przyjechał, obladowali o ile się dało rozmaitym gościńcem, obiecując daleko szacowniejsze podarki, gdy już nie przez nieme listy, ale sami osobiście służby swoje złożą.

— O! niech nam jeno siebie samych całych a zdrowych przywiozą! kwituję ich z reszty — zawołał Kochanowski.

Ewa pomyślała to samo, chociaż miała kęs żalu do pana Rotmistrza, iż śmiał wątpić o jej wierze; a z rzeczy przysłanych w darze, gdy je matka rozwinęła i kazała wybierać co chce? wzięła sobie tylko sznurek paciorków różanych, które ponosiwszy przez kilka godzin na śnieżnej szyi, i widząc że jej w nich bardzo do twarzy i że pachną mile, zdjęła przed wieczorem i zawiesiła w izbie u obrazu Matki Boskiej.

— Nie chcę ich nosić bez Filipa — powiedziała w sobie — i ślubuję nie odpiąć aż 15 Sierpnia; niech wonieją do tej pory przed Najświętszą Panną, może ra-

czy uprosić u Syna swojego powrót pana Rotmistrza na wigilią dnia tego.

Kochanowski uradowany wiadomością o dobru zdrowia i powodzeniu przyjaciela, poszedł z listami do swego pokoju; zrzucił wszystko z zielonego stołu, księgi, papiery, klepsydrę, pióra, kałamarze, i rozłożył mapy jakie miał, Europy, Turcyi, Węgier i Polski, chcąc ścigać okiem ukochanych wędrowników i naznaczyć sobie ołówkiem ich drogę. Sztuka robienia map była daleka w owym czasie od dzisiejszej doskonałości i mnogości, były w wielu szczegółach mylne, a nierównie rzadsze i droższe niż teraz, ale przecież istniały; kreślili je i nasi Polacy, a każdy człowiek światlejszy, co nie ograniczał świata swego na zagonie który orał, co choć sercem jedynie przywiązany do ziemi co go zrodziła i pochować miała, myślą sięgał najodleglejszych: każdy taki człowiek starał się mieć je u siebie, żeby nie wychodząc z pokoju mógł świat znany objechać, i widzieć dalekie kraje oczyma imaginacyi. Kochanowskiego mapy były jedne z roku 1522, Polski, Prus i Litwy, wydane w Strasburgu przez bezimiennego; drugie z roku 1552 z wielkiego dzieła ułożonego po łacinie przez Sebastjana Munstera pod tytułem: Kosmografia powszechna; trzecie narysowane w Wenecyi przez Jakóba Gastolda Piemontczyka r. 1568, z napisem: Il vero disegno del Regno di Polonia; czwarte z r. 1570 wykonane przez Wacława Godreckiego, i innych wiele które pomijam. Znalazłszy na nich prawie wszystko czego szukał, nie mógł się wstrzymać od chęci podzielenia tej swojej serdecznej i rozumowej uciechy z żoną i córkami; za-

wołał kochanej Hanny i trzech starszych dziewcząt, i znaczył im miejsca w listach wspominane, mówiąc za każdym:

— Tu byli, tu może dziś są, tu wnet będą.

Nachylone wkoło stołu wszystkie cztery patrzyły pilnie, Ewa jednak z największą pilnością. Dawniej, ojciec nieraz opowiadał starszym córkom ciekawe rzeczy z map o Polsce i o innych krajach, Ludwina i Dorota słuchały uważnie, czarnobrewa dziewczeczka zaś mówiła sobie:

„Wolę ja z tarasu ojcowskiego patrzeć na Zwoleń, na Poliecznę, na Gródek i inne wioski których dojrzeć mogę; co mi tam po tych wsiach i miastach dalekich: żadnej w owem szukaniu nie znajduję przyjemności, i nie mogę żadną miarą się przekonać, żeby ów arkusz papieru, miał być świat, a owe napisy: kraje i miasta“.

Dziś, już inaczej myśli: duch jej sięga dalej niż zmysły; ów arkusz papieru, owe napisy przybrały dla niej wielkie znaczenie; te kraje zdają jej się niemal jak prawdziwe: każde miasto które widzi w liście, i na mapie czyta, pamięta, wystawia sobie, i oderwać wzroku swojego od Carogrodu nie może, gdyż tam właśnie według wszelkiego podobieństwa gości teraz Filip z ojcem. Matka przyglądająca się także ciekawie mapom, nasycałszy się jednak prędzej niż córka Tureckimi krajami, prosiła męża o pokazanie jej Podola i Studzienicy, i o wymienienie miejsc, przez które za parę miesięcy, pani Rotmistrzowa przejeżdżać będzie. Uczynił chętnie zadosyć jej woli Kochanowski; od Zwolenia, które na karcie

Godreckiego znalazł, wskazał jej wszystkie znaczniejsze miasta, a skończywszy tak powiedział:

— Dobrze też, cośmy od niechcenia do tej trocha uczonej rozmowy przyszli; podobno od środopostu nie było pory na takową, i możecie już zupełnie zapomniały dziewczeczki moje, to wszystko com zimowemi wieczorami nieraz wam opowiadał. Rozum człowieczy, zwłaszcza u płci waszej i w waszym wieku ślizki jest, snadno się z niego rzeczy umiejętnie wymykają; a przecież, kiedy Pan Bóg dotąd nie dał mi syna, radbym was widział nieco mędrsze od córek naszej szlachty: radbym w was wpoił to przekonanie, że im kto więcej umie, tem większy pan, gdyż tem więcej ma pod władzą swoją. Powtórzcież mi przynajmniej dziś rzeczy najważniejsze, ja was się będę rżędem pytał, wy odpowiadajcie śmiało a uważnie; różgi w moim pokoju nie ma, nie bójcie się więc; a która się najlepiej popisze, tej przywiozę z miasta szklanych paciorków i pszennych kukłów, skoro na kiermasz pojedę — dodał z uśmiechem.

Ręczyłoby trudno czy zupełnie temi słowami i równie gładko i odrazu szły odpowiedzi; to jednak pewna, że treść rozmowy dnia tego, ojca z córkami, była następująca:

Pytanie. Jaki jest początek narodu naszego?

Odpowiedź. Jako wszystkie niemal insze narody, baśniami więcej, niżli czem pewnem początków swoich dowodzą, tak i polski naród praojców swoich do tej doby nie jest pewien.

P. Jakichże mu przecie przodków kronikarze nasi podawają?

O. Scytów, Sarmatów, a nakoniec lud Słowiański, od którego już wprost iść mamy.

P. Czy sami jedni Polacy od Słowian pochodzą?

O. Nie, wiele innych narodów tenże ma mieć początek; bo owi Słowianie nie zatrzymali się nad Wisłą, ale przeszli Elbę, Dunaj, i aż nad morzem Adryatykiem osiedli, i był to wielki a zacny naród.

P. Jaki jest dziś los narodów co od Słowiańskiego szczepu wiodą początek?

O. Niektóre z nich jako to: Serbowie, Illyryjacy, Bośniacy, są w niewoli.

P. Który był pierwszym księciem Słowiańskim co go Polakom zwiemy?

O. Lech, panował około r. 550 po Narodzeniu Chrystusa; a musiał to być możny jakiś książę, gdyż później kilku książąt polskich, Leszkami się nazywało; jakby od wielkiego jakiegoś Lecha mniejsi Leszkowie za czasem się pokazali.

P. A imię Polaków z kąd?

O. Jedni mówią że od tegoż Lecha; to jest ludzie po Lechu czyli Polacy; przecież się zdaje, że owo imię Polak nowsze jest, i dopiero w tych naszych krainach urosło, od pola bez chyby; a jak jeszcze inni chcą, od polania na Chrzcie świętym.

P. A Ruś dlaczego nas dotąd Lachami zowie?

O. Od wiary Łackiej, to jest Łacińskiej, gdyż sami są greckiej; Polacy zaś od początku z Rzymem trzymali, i trzymać się go zawsze powinni.

P. Który był pierwszy książę polski co Chrzest przyjął?

O. Mieczysław, r. 969 za namową Dąbrówki księżniczki Czeskiej, żony swojej.

P. Od Lecha do Mieczysława, przez lat czterysta z górą, jakie są imiona książąt polskich godne pamięci?

O. Krakus co Kraków wystawił; Wanda, córka jego odważna i piękna, która ślub dziewictwa uczyniwszy bogom swoim, wzgardziła ręką niemieckiego księcia, i wrzuciła się w Wisłę; Przemysław co dostał korony fortelem; Popiel, co go myszy zjeść miały; Piast kołodziej, który od pług do tronu przyszedł, i syn jego Ziemowit wojownik.

P. Czy historia od Lecha do Mieczysława pewna jest?

O. Wiele do niej baśni domieszano, przecież znać ją trzeba, gdyż częste o niej wspomnienie bywa w księgach i w rozmowie; wreszcie musi być w niej i część prawdy; mogły Krakusa i Wandy wznoszą się dotąd około Krakowa nad brzegiem Wisły, a zatem Krakus i Wanda musieli żyć.

P. Kto był pierwszym królem polskim?

O. Bolesław Chrobry, król i wojownik wielki i mądry; on to prawdziwie Polskę zbudował, a zbudował potężną.

P. Czy byli jeszcze inni Bolesławowie?

O. Było dwóch: Śmiały i Krzywousty; a chociaż pierwszy splamił się zbrodnią, bo zabił świętego biskupa Stanisława, przyznać trzeba, że za Bolesławów Polska była prawdziwie wielką.

P. A Krzywousty jaki błąd popełnił?

O. Podzielił państwo swoje między czterech synów, czem na długo osłabił potęgę Polski, a może i podkopał na zawsze byt jej.

P. Wielu było Kazimierzów królami polskimi?

O. Czterech: pierwszy mnichem zwany, bo nim wstąpił na tron, miał być w klasztorze we Francyi; drugi sprawiedliwy, syn Krzywoustego; trzeci wielki, król chłopków, syn dzielnego króla Łokietka; a czwarty Jagiellończyk, syn Jagielly.

P. Kto to był ten Jagiełło?

O. Wielki książę litewski; ożeniwszy się z królową Jadwigą, wnuczką Kazimierza Wielkiego, przyjął Chrześ, wziął imię Władysława, i przyłączył Litwę do Korony.

P. Wyliczcie potomków Jagielly, którzy byli królami polskimi?

O. Bitny Władysław co zginął pod Warną; Kazimierz Jagiellończykiem zwany, co panował najdłużej ze wszystkich naszych królów lat czterdzieści pięć, i przyłączył Prusy do Polski; Jan Olbracht syn Kazimierza; Aleksander brat jego; Zygmunt, król mądry i wielce kochany, i Zygmunt August, ostatni król ze krwi Jagielly, który umarł dwanaście lat temu.

P. Po nim co się stało?

O. Wielka zmiana w układzie naszej Rzeczypospolitej; bo gdy nie było potomstwa po królu Zygmuncie Auguście, panowie polscy i szlachta postanowili, iż od-tąd wolnemi głosami, na otwartem polu, kogo chcą, obcego lub swego, na króla sobie obierać będą; i o tyle mu będą posłuszni, o ile on przyrzeczonych narodowi

obietnic, to jest zaprzysiężonych paktów konwentów dochowa.

P. Jaki był król pierwszy takim sposobem obrany?

O. Henryk Andegaweński, dzisiejszy król francuzki; po okropnem bezkrólewiu i długich kłótniach został naszym królem; ale na mało się przydał, bo po pięciu miesiącach uciekł do swojej Francyi.

P. Po Henryku kogóż obrano?

O. Annę Jagiellonkę, siostrę Zygmunta Augusta, dając jej za męża dzisiejszego króla naszego, Stefana Batorego, który od lat ośmiu chwalebnie nam panuje, i bogdajby panował jaknajdłużej.

P. Która z was pamięta pochwałę wierszem, najznakomitszych królów polskich, niech ją powie

Na to wezwanie ojca, Dorota się odezwała i powiedziała bez omyłki:

Ktoby cię nie znał Lechu Słowianinie,
Któryś najpierwszy zasiadł w tej krainie.
I opanował mężtwem swoim mocne
Brzegi północne.

Kraka, patrz jako siedząc tak wysoko,
Przecie ku miastu skłania swoje oko;
Wandę wydawa ubiór, bo z postawy,
Zda się mąż prawy.

Tu fortelny Przemyśl jest wniesiony,
I ten co dostał trefunkiem korony,
Dojrzawszy zdrady, gdzie koń przedkonogi
Biegł zawód drogi.

Bóg fałszu nie chce: o jako miłuje
Sprawiedliwego, Piast i dziś to czuje,
Bo mieszka w Niebie, a jego cne plemię
Rządziło ziemię.

Zimowit stoi wedle ojca, prawie
Z drugimi równo; to, wyżej Mieczysławie,
Którego sprawą chrześcijański zakon
Podan Polakom.

Tuż po nim widzę mężne Bolesławy,
Przez których dzielność i stateczne sprawy,
Polaka szeroko swych granic pomknęła,
I serce wzięła.

W tejsze jest liczbie on zakonnik święty,
Z cieniów klasztornych na królestwo wzięty!
Są dwa Leszkowie, jest król wzrostem mały,
Ale mąż śmiały.

Widzę Jagiełłę i dwu Kazimierzu
Dobrych tak w boju jako i w przymierzu;
Widzę i ciebie gwiazdzie równym prawie,
Cny Władysławie.

To też jest Olbracht, król serca wielkiego,
Tuż z Aleksandrem Zygmuntem, za którego
Polska zakwitła, a po długim boju
Wytchła w pokój.

Pogłaskał Kochanowski Dorotę za to, że tak dobrze jego wiersze utkwily w jej pamięci, i użył zapewne w tej chwili w duszy swojej najśłodszej pisarza pociechy; a zachęcony do dalszej rozmowy natężeniem i ciekawością, które się malowały w oczach dziewcząt i dumną radością ich matki, tak jeszcze powiedział:

— Dobrze co swoje rzeczy jako tako znacie, ależ-to nasza Polska nie sama jedna na tym wielkim świecie: wszak prawda?

— O! jest wiele innych krajów — odpowiedziały wszystkie razem.

— Będę was się pytał o znaczniejsze; a najprzód

wymieńcie te, co naszej Rzeczypospolitej są bliższe, i mają z nią stosunki; te znać rzecz najpotrzebniejsza: powiedzcie mi każdego: miasto stołeczne, imię panującego, wiarę i znaczenie.

— Najprzód na południe państwo Tureckie — odezwała się Ewa płonąc żywym rumieńcem — stolicą jego Carogród, po turecku Stambuł, a po dawnemu Konstantynopol. Panujący zowie się tam sułtanem czyli cesarzem, ma żon ile chce; dziś jest sułtanem Amurat III; kraj ten bardzo piękny a nieszczęśliwy, bo w niewoli i prawie w pogaństwie zostaje, dawniej był chrześcijański i miał chrześcijańskich cesarzów; od lat 130 zawojowany został przez Turków, którzy nie wierzą w Jezusa Chrystusa, ale fałszywego proroka, Mahometa. Mieszkańcy są tedy mahometańskiej czyli muzułmańskiej wiary; jest między nimi wielu dawnych chrześcijan, którzy są bardzo uciemnieni. Turcy stali się potężni i straszni; Wołochów, Mołdawian, Serbów i wiele innych ludów sobie zhołdowali; Ziemia Święta, Betleem, Jerozolima, gdzie Zbawiciel nasz rodził się i umarł za nas, w ich są ręku; i Bóg jeden raczy wiedzieć, dokądby już doszła ich władza, gdyby jej Polacy i Węgrzy nie wstrzymywali. Tatarów, którzy także na południu są Polski, dziś już prawie do Turków liczyć należy, bo jednej są wiary i z nimi trzymają. Dawniej byli oni straszliwi dla Polak, dziś nieco upokorzeni dzielnością króla i rycerstwa naszego.

Zadziwił się ojciec nad tem gładkiem opowiadaniem Ewy; nie przypomniał sobie, żeby ją kiedy równie wymowną słyszał; mówiła nawet rzeczy, o których on

dotąd nie wspominał córkom; ale po chwili zastanowienia roześmiał się w duszy i pomyślał; „Nie masz mistrza nad miłość.“ Nie wydając jednak domysłu swojego, z bojaźni zawstydyzenia dziewczęcia, zapytał się jej jeszcze:

— Czy nie wie o jakim wielkiem zwycięztwie, które niedawno panowie chrześcijańscy nad bisurmanami odnieśli?

— Wiem, wiem — odpowiedziała Ewa — pan Filip mi o niem rozpowiadał, żałując że tylko jeden Polak do tego tryumfu należał; było to gdzieś na morzu, przed trzynastu laty, chrześcijanie tak pobili Turków, że im spalili trzysta kilkadziesiąt okrętów, zabili do trzydziestu tysięcy ludzi i zabrali ogromne skarby; byliby może dobyli i samego Carogrodu, gdyby się nie byli pokłócili o łupy.

— Widzicie moje dzieci — przerwał tu Kochanowski — poganiec byłby już dziś wygnany z Europy, gdyby się nie była wkradła niezgoda o marne rzeczy pomiędzy chrześcijańskich panów. Tak to niezgoda ludzka udaremnia największe łaski Opatrzności. Dziś Turczyn już się odgryzł po tak wielkiej klęsce, znowu prawej wierze grozić zaczyna i bodaj czy obrona tej wiary nie spoczywa na samych Polakach i ich królu. Obyśmy nie powtórzyli tak gorszącego jak tamci przykładu!... Ale dosyć o Turkach, o których za powrotem naszych kochanych podróżnych, dowiecie się jeszcze więcej; niech nam Ludwina teraz powie, jakie jeszcze kraje leżą na południe i na zachód Polski, z którymi także blizkie mamy stosunki?

— Siedmiogród, Węgry, Czechy, Szląsk, Margrabstwo Brandeburskie — wyliczyła bez długiego namysłu; bo jakkolwiek w rzeczach świętych najbieglejsza, obejmowała z łatwością i świeckie; umysł jej wyższy do zastanawiania się nawykły, przejmował chętnie naukowe wiadomości; wreszcie w każdej upatrzeć umiała szczegół stosowny do tego, czem żyła jej dusza.

— Powiedzże nam słów kilka o każdym z tych krajów? — ponowił ojciec.

— Siedmiogrodu nasz król był księciem, dopóki na tron polski nie wstąpił — odpowiedziała — dziś panuje tam synowiec jego Zygmunt. Kacerstwem zarazona jest ta nieszczęsna ziemia; ale nadzieja w miłosiernym Bogu, że za staraniem pobożnych Batorych wróci do prawego kościoła. Z Węgrami niegdyś wspólnych mieszały królów: Ludwika, ojca owej prawie świętej królowej Jadwigi, która całą Litwę Chrystusowi zniewoliła; Władysława, króla męczennika, bo zginął młody bijąc się z pogaństwem z rozkazu Ojca Świętego. Stolicą Węgier jest Budziszyn. Czechy jednego z nami słowiańskiego rodu, dobrei braćmi nam się okazali, bo im winniśmy wiarę. I Węgry i Czechy dziś osobnego króla nie mają; cesarz niemiecki, książę Rakuski, Rudolf II. jest oraz ich królem; są też mniej wolni niż byli dawniej i mniej od nas szczęśliwi. Szląsk do śmierci Krzywoustego był jednym krajem z Polską, a choć dziś osobnych ma książąt, idą oni od syna Krzywoustego i polskiwi się zowią; lud mówi po polsku i wiarę prawdziwą wyznaje. Margrabstwo Brandeburskie nietyle szczęśliwe; kacerstwo tam okrutnie

góre wzięło, a monarcha jego Jerzy Fryderyk, oraz książe pruski i hołdownik Polski, pochodzi od Alberta, niegdyś mistrza Krzyżaków, który, o czem zgroza wspominać, zrzucił suknię zakonną i żonę pojął!...

— A na północy i na wschodzie Polski jakie są kraje które nas obchodzić winny?

— Szwecya i Moskwa. Żoną dzisiejszego króla szwedzkiego, Jana Wazy, była nasza królewna Katarzyna Jagiellonka, wielce pobożna pani; jej syn, Zygmunt Waza, będzie podobno panował nam kiedyś. Król Jan jest katolikiem, i radby, jak mówią, wszystkich swoich poddanych prawemu kościołowi przywrócić, bo Szwecya oderwała się od Rzymu, ale mu się to nie bardzo udaje.

— Jaki jest jeszcze kraj na zachód Polski położony, z którego mamy kupców, rzemieślników, i wiele rozmaitych rzeczy? — zapytał się Kochanowski Doroty.

— Niemcy — odpowiedziała. — Zwane są Rzeszą, czyli zbiorem wielu państw. Cesarzem a razem naczelnikiem Rzeszy jest wspominany król czeski i węgierski, Rudolf. Cesarze niemieccy noszą tytuł cesarzów rzymskich i mocno się trzymają prawego kościoła. Książęta Rzeszy poszli prawie wszyscy za nową nauką, mianowicie sascy. Cesarzów obierają wolno, tak jak my królów naszych z tą różnicą, że nie cała szlachta jak u nas, jenó książęta elektorowie.

— Co mówią o dzisiejszym cesarzu niemieckim?

— Że oddaje się bardzo astrologii, alchemii, a zaniedbuje spraw państwa; dlatego niekoniecznie go lubią Niemcy.

— A Niemcy czem dziś głównie zajęci?

— Kłótniami o wiarę; w Niemczech kacerstwo się urodziło i coraz bardziej się szerzy; kacerze piszą na katolików niestworzone rzeczy, i wszyscy mówią, że jeżeli Pan Bóg się nie zlituje, nie obejdzie się bez okropnej wojny.

— Jakież są dalsze kraje, do których my Polacy chętnie jeździmy, które i ja niemal wszystkie zwiedziłem, i często wam o nich prawię?

— Najprzód Francya — odezwała się Ewa. — W jej stolicy, w Paryżu, bardzo sławna jest akademja; panuje tam dziś ów Henryk, co go Polacy swoim królem obrali, nie wiem za co; nie szkoda, że nam królować nie chciał, bo jego Francuzy jenó nas obmawiali, a on sam rozpustny, słabego charakteru, a przytem okrutny. W duchu katolik a przecież z kacerzami się łączy, i Bóg wie na jaki koniec mu przyjdzie. Królowie francuzcy uważają się za starszych synów kościoła.

— A o Anglii kto mi powie? — zagadnął Kochanowski.

Ja! — zawołała Dorota — jest to państwo zamorskie, lecz przez handel w stosunkach z Polską, gdyż potrzebuje naszego zboża, naszego drzewa i pieńki. Panuje w niem białogłowa, Elżbieta, pisuje często do naszego Miłościwego Pana i wielki ma dla niego szacunek. Od niej to niedawno przyjechał do nas poseł Herbert. Mądrą ją mianują, ale to szkoda, że prawie tyranka; nie zważa ani na sejmy, ani na wolność ludu swojego. Mówią, że przepisuje nawet krój sukien, jakie powinni nosić jej poddani; pacholiki dworscy biegają po ulicach miasta stołecznego Londynu, i obcinają gwał-

tem zbyt wysokie kołnierze osobom przechodzącym. Aż trudno temu wierzyć...

— A co gorsza — przerwała ze smutkiem Ludwina — i ona i lud jej sprzyjają kacerstwu, katolicy srodze tam prześladowani; królowa szkocka Marya Stuart, któraby mogła mieć prawo do korony, więziona jest najwięcej dlatego, że prawej wiary opuścić nie chce; wróżą jej też, że niedługo koronę ziemską na męczeńską zamieni.

— O Hiszpanii pamiętacie com wam rozpowiadał? — zapytał jeszcze ojciec.

— Pamiętamy: to państwo bardzo potężne, naród rycerski — odpowiedziała Dorota — i nasi panowie jeżdżą tam, żeby się w sztuce wojennej ćwiczyć. Dzisiejszy król hiszpański, Filip II, jest podobno najbogatszym monarchą na świecie, bo ma w drugiej części świata, w Ameryce, zeszłego wieku odkrytej, pełne złota kraje; jest on gorliwym opiekunem katolickiej wiary; lecz niestety! okrutny, chciwy, może jej więcej zaszkodzi niż pomoże.

— Czy wiecie jaki kraj temi czasy Hiszpania zyskała, a jaki straciła?

— Zyskała Portugalią, straciła Niderlandy — mówiła jeszcze Dorota. — Król portugalski Sebastyan zginął niedawnemi czasy w bitwie z afrykańskimi muzułmanami, król Filip mianując się, prawem mocniejszego, najbliższym jego dziedzicem, ogłosił się królem Portugalii i przyłączył ją do Hiszpanii. Biedna Portugalia musi gorzko opłakiwać utraconą niepodległość; bo to wielkie dla kraju nieszczęście stracić niepodległość.

— Wielkie i bardzo wielkie, moje dzieci — powtórzył Kochanowski — Pan Bóg karze tym sposobem narody za długie i ciężkie grzechy, osobliwie za swawolę, zbytki, niesprawiedliwość, gnuśność i bezrząd. Ale powiedzcież mi, jakim sposobem Niderlandy oderwały się od Hiszpanii?

— Znudzone ciężkiem jarzmem króla Filipa, zrzuciły je z siebie parę lat temu, obrawszy sobie naczelnika, Wilhelma księcia Oranii.

— Cóż im najwięcej pomogło do spełnienia tak wielkiego dzieła.

— Zgoda, wytrwałość i posłuszeństwo — odezwiała się Ludwina — i napisali na swoim herbie te słowa: *Concordia res parvae crescunt* (przez zgodę małe rzeczy rosną).

— O! moja ty pobożna dziewczeczko — zawołał z uczuciem Kochanowski — módlże się codziennie, żeby i nasza Rzeczpospolita przybrała i spełniła to godło; tymczasem zaś powiedz nam jeszcze o kraju, o którym wiem co myślisz najczęściej i najchętniej... Prawda też, co i stryj Piotr tam ciągle mieszka...

— Włochy — odrzekła z lubym uśmiechem — to państwo złożone z kilku, a między innemi z Wenetów, handlowego i rycerskiego ludu nad morzem, jest w moich oczach najszcześniejsze, gdyż całe katolickie; a w jego stolicy, w starożytnym Rzymie, jest stolica kościoła, mieszkanie zastępcy Zbawiciela naszego, Ojca Świętego, Papieża. Dzisiejszy zowie się Grzegorz XIII. Panuje od lat dwunastu; choć jego państwo ziemskie nie wielkie wyższy on od wszystkich królów i cesarzy. Gorliwy

jest bardzo o rozszerzanie wiary prawdziwej, wysyła apostołów swoich w dalekie nieznane dotąd a pogańskie kraje: do Indyi, do Japonii; szkody jakie kacerze kościołowi prawemu, owej Matce naszej zadali, Ojciec Święty wraz z Ojcami Jezuitami stara się z innej strony nagrodzić, i Bóg miłosierny pomagać mu raczy.

Na tych słowach skończyła się uczona rozmowa Kochanowskiego z córkami; tyle się przekonawszy o ich pamięci i uwadze, już nie wypytywał się więcej, ani też tego dnia nie nowego udzielić im nie chciał. Wyraził im tylko ukontentowanie swoje, przyrzekł każdej gościniec z jarmarku i uczynił im uwagę: „o ile Polskę zwać należało szczęśliwszą od tylu innych krajów; w wieku sporów i walk o wiarę, ona była prawie zupełnie spokojna z tego względu, i zdawało się, że bez krwi wylewu, mimo chwilowego zachwiania się, za czasów nieboszczyka króla, zostanie już na zawsze przy prawowiernym kościele“.

Kochanowska zaś zstępując poważnie ze schodów i zasiadając do porzuconej przez parę godzin roboty, nie mogła uciszyć w sobie coraz silniejszej dumy, iż tak mądre miała córki; żalowała tego jedynie, że pan brat, że pan Rotmistrz nie byli obecni tej rozmowie, i z tej strony wcale jej dziewcząt nie znali. W rzeczy samej, w całym sąsiedztwie Czarnolesia, żadna szlachcianka tego wszystkiego nie umiała; równych wiadomości chyba w domach pańskich, senatorskich szukać wtedy u kobiet należało.

Panny dzisiejsze, nad którymi od pieluch rodzice i nauczyciele ślęczą, które dnie całe nad naukami trawia,

zapewne rozśmieją się z owej próżności macierzyńskiej i z owej mniemanej mądrości panien Kochanowskich; byłoby bowiem ciężkim grzechem wątpić na chwilę, iż każda z nich wie na palcach to, o czem tu była mowa; i każda o stanie dzisiejszym ojczyzny swojej i wiary, o tem, co się dziś na świecie w każdym kraju dzieje, wie nierównie lepiej i dokładniej, niż one wiedzieć mogły to, co za ich czasów się działo.

Dla lepszego jednak przekonania się o tej swojej uczoności, niech sobie podobne i zastosowane do obecnej chwili zadadzą pytania i odpowiedzi ułożą: badanie takowe nigdy nie zawadzi.

XX.

Tak rość, mały Michniku, jakobyś mógł sławnych
 Przodków twych dorósć, onych Radziwiłłów dawnych.
 Abyś nietylko imie i bogate włości
 Brał od nich, lecz dziedziczył w męztwie i w dzielności;

 Abyś u swych był wdzięcznym i miłym w pokoju,
 A pohańcom zaś srogi i straszliwy w boju.

Księga II, pieśń 29.

Jak Czerwiec się skończył, doroczne święto Sobótek i imieniny Kochanowskiego odbyły się przy dosyć liczny zjeździe, zbliżało się Nawiedzenie Matki Boskiej, dzień, na który Ludwina miała sobie przyrzeczone rozpoczęcie nowicyatu. Pani Kasprowa Kochanowska zajęta jeszcze ostatecznem urządzeniem dla jedynaka, i ciągle słaba, nie mogła jechać z synowicą do Sandomirza, by wraz z nią oblec suknię zakonną; ojciec przeto odwieźć ją był obiecał; ale im bardziej ten dzień stanowczy się zbliżał, tem mniej o podróży mówiono: rodzice z żalu, córka przez względność dla nich. Lecz że wtedy powaga słowa ojcowskiego była wielka, a starsi najwięcej na prawdzie i na stałości panowanie swoje i władzę domową gruntowali; rodzice oboje, jakkolwiek z bolem serca, postanowili pomówić otwarcie z córką, gdyby tego pragnęła koniecznie, spełnić natychmiast uczynioną obietnicę;

gdyby się zaś uprosić dała, zatrzymać ją jeszcze parę miesięcy.

Nie tyle własnej chęci, bo nie lubił Kochanowski zmiany raz postanowionych układów, ile słabości macierzyńskiej folgował w tej okoliczności. Jego Hanna acz rzetelnie pobożnej, a przeto mężnej i zgadzającej się duszy, nie mogła przemódz tego na sobie, żeby rozpocząć sama, dobrowolnie, rozdzielenie się z dziatkami. Znają dobrze matki jaka to uciecha, jaki tryumf dla nich mieć jeszcze w wyłącznem posiadaniu wszystkie dzieci swoje: panować nad niemi bez podziału, i módz na każdą chwilę zebrać je wkoło siebie, jak kokosz zbiera pisklęta swoje, chlubić się niemi, pieścić, osłaniać je. Prócz tego wspólnego wszystkim matkom uczucia, szczęśliwa Kochanowska nie utraciła dotąd żadnego dziecięcia, wszystkie wykarmiła sama i nigdy od żadnego rozłączoną nie była; nigdy jeszcze dnia takiego nie spędziła, żeby na każdej córce z osobna i na wszystkich razem nie spoczęło jej baczne oko; nigdy nocy takiej nie pamiętała, w którejby swoją ręką nie okryła, nie otuliła każdej, nie słuchała czy spi, jak spi? nigdy takiego poranku nie miała, żeby każdej nie wydzieliła pracy, nie zarządziła, że tak powiem, losem całego jej dnia: zgoła, była do tej pory wszechwładną królową, tego prawdziwego narodu swojego.

Nie wiem tedy, czy znalazłaby się tyle nieczuła albo tyle doskonała matka, bo ostateczności często się stykają, któraby za złe wzięła naszej Kochanowskiej, ów wstręt do rozerwania, nawet dla Boga, swego macie-

rzystego wieńca; któraby nie wtórowała jej słowom do męża:

— Tak mi słodko — mówiła mu — mieć je wszystkie koło siebie; pozwólcie, niech tak zostaną dopóki się da; skoro mi pan Rotmistrz Ewulkę zabierze, oddam natychmiast Ludwinę i razem je odpłacę; w moim stanie unikać należy ile możności rozkwilania się i utrapienia: mogłabym wam jakiego kordyaczego chłopaka urodzić. Jać wiem, że nasza święta w klasztorze bezpieczniejszą i świętszą będzie niż u nas, ale już ja na to patrzeć nie będę, już wszelkie prawo do niej utracę. Kiedyć ją Panu Bogu oddaję z serca na całe życie, wszak nie grzechem zatrzymać ją choć dwa miesiące? A właśnie tak mi jest potrzebna! Ewa już nie ta co była; już ona połową ducha swego w Studzienicy; Dorota jeszcze nie wprawna, a wszystkoby chciała swoją głową robić: tyle zaś w tym czasie kłopotu, w domu z wyprawą, na wsi z choremi.

Co do Ludwiny samej, łatwiej przyszło otrzymać od niej pożądaną zwłokę, niż rodzice sądzili. Jakkolwiek bardzo pilno jej już było rzucić świat, żeby się oddać bez żadnej zapory służbie Bożej; jakkolwiek pragnęła rozpocząć ów żywot klasztorny, cichy, jednostajny, żywot bez wczoraj i bez jutra, raczej bez żalu za wczoraj, bez zachodu na jutro; żywot błogosławiony, którego opisy zachwycające w księgach świętych czytała, o którym, jak wiemy, ciągle marzyła: przecież za pierwszym objawieniem chęci ojca i matki uległa im bez żadnego szemrania i zostać z nimi przyrzekła dopóki będą chcieli, dziwiąc się tylko, że ją prawie prosili, kiedy

rozkazać mogli. Ludwiny pobożność choć bardzo wznieśiona i niepospolita, była przecież prosta; gruntem jej była pokora i uległość; znała ona i pamiętała te słowa św. Jadwigi, księżnej polskiej: „Nie nie czyn, córko, bez dozwolenia starszych, bo wielką ma zapłatę u Boga posłuszeństwo.“ Nie tam przeto widziała wolą Boga, gdzie ją własna jej wola ciągnęła, ale tam gdzie ją prowadzili przełożeni; najlepszy uczynek pewną była, że jeszcze na doskonalszy zamieni, skoro go odstąpi z uszanowania dla starszych, z miłości bliźniego. I dnia tego, kiedy żądaniu rodziców uległa, i zwlekła chwilę upragnionej szczęśliwości, nikt nie ujrzał chmury na pięknej jej czole, ani łzy w błękitnym oku; nieco dłużej wieczorem pod swoją jabłonią klęczała, a kiedy za powrotem matka spytała jej się, czemu jej mogła wynagrodzić doznany zawód? ona rzuciła jej się do nóg prosząc, żeby jej wolno było godziną później się kłaść dla modlenia się, a w tygodniu dzień jeden więcej pościć.

Kiedy Kochanowska ze skrytem uwielbieniem, ale przecież nie bez upomnień i uwag uległa nabożnej prośbie córki, Ewa z Dorotą wbiegły do izby całe zadyszane z oznajmieniem, iż wracając ze wsi, gdzie do chorych chodziły z lekarstwami, spotkały pod Bożą męką przy drodze pielgrzyma. Usiadł sobie na kamieniu bardzo znużony, i powiedział im, że wraca z Ziemi Świętej, a dalej dla słabości iść nie może. One mu obiecały przynieść posiłek jaki a teraz proszą rodziców o nocleg dla niego. Bo wiedzieć trzeba, że gościnnym obyczajem ojców naszych była w Czarnolesie obok izby pana Łukasza Gupolskiego, izdebka ogrzana w zimie, chłodna w lecie,

gdzie na świeżej słomie zmęczony przechodzić mógł wygodnie noc przepędzić i odpocząć strudżonym członkom.

— Dziwny to jakiś pielgrzym — mówiły jeszcze dziewczęta — suknia jego szara bagazyowa, mocno wytarta, kosztur w rękę, sznur gruby zamiast pasa, przecież jakby jakieś państwo z oczu mu patrzy.

Kochanowski, który wszedł był do izby na te ostatnie słowa, usłyszawszy je, zawołał:

— O! pójść ja muszę do tego pielgrzyma, a wy przynieście co tchu dobrego wina.

Jakoż wzięwszy czapkę wyszedł z poспіechem. Żona i córki pobiegły za nim, domyślając się czegoś; nawet Ludwina nie została na ten raz w domu, gdyż słowa „pielgrzym i Ziemia Święta“ miały dla niej niepojęty urok.

Nieznajomy powstał, choć z trudnością, za ich zbliżeniem się, a Kochanowski ledwie nań spojrzał, rzucił mu się na szyję i zawołał:

„Księżę Sierotka!“

Zdumiały kobiety na ten widok, lecz wnet zrozumiały rzecz całą; znużony a nieco dziwny pielgrzym, był to ów sam, którego odwiedziny zapowiedział napół w swoim liście, pan Kochanowski dworzanin królewski: był to Krzysztof Mikołaj Radziwiłł, książę na Nieświeżu i Ołyce, wojewoda wileński, Mikołaja Czarnego i Elżbiety Szydłowieckiej syn, Sierotką zwany dla tego, że w czasie godów weselnych Zygmunta Augusta z Katarzyną Austriaczką, zostawiony był od matki w królewskich pokojach; Król idąc do sypialni swojej, zobaczywszy uśpione na ławie czteroletnie dziecko i same,

spytał się: „Cóż to za sierotka?“ i ten smutny przydomek mu został. Pełen wielkich nadziei i rychłych przymiotów, wychowany był w nauce kalwińskiej, którą ojciec wyznawał; ale za staraniem złotoustego Skargi, do kościoła Rzymskiego przeszedł, i wnet okazał się gorliwym katolikiem. W roku 1575 kończąc lat 26, potargawszy zbytkiem zdrowie, od natury wzięte całe i dobre, wpadł w ciężką chorobę okrutnych boleści głowy i innych przypadków pełną. W tej chorobie ślubował, iż skoro go Bóg dobrotliwy powróci do pierwszego zdrowia, on grób Zbawiciela w Jerozolimie nawiedzi, czasu jednak pewnego temu przedsięwzięciu nie postanawiając. Długo, dotkliwie cierpienia, podróże do cieplic niemieckich, dalej wojna Moskiewska, w której pułkiem własnego zaciągu z wielkiem męstwem dowodził, przeszkodą mu były. Nareszcie gdy pod Połockiem ciężko ugodzony kulą w głowę, i zrzucony z konia został, w ponownem niebezpieczeństwie życia, ponowił ślub dawny; a skoro pokój zawarto, napisał testament, urządził wszystko w domu swoim, jakby już nigdy się nie spodziewał wrócić do ojczyzny, a pożegnawszy się z królem Stefanem w Grodnie, 19 Września 1582 roku wyruszył z Nieświeża.

Wiedziała o tej jego drodze cała Litwa i Korona, wiedział lepiej od wielu Jan Kochanowski. Rodzina Radziwiłłów wówczas tyle znakomita i zasłużona, szanowała poetę wysokim szacunkiem; a on jej się odwdzięczał wierszami, które pewno równie długo jak Radziwiłłowie żyć będą. Księżę Sierotka wyrósł prawie w jego oczach; on to pieszcząc się z jego imieniem Mi-

kołaja, przezwał go jeszcze w dzieciństwie Michnikiem, pięknym rymem drobny jego wiek wślawił; nie dziw więc, iż książę pamiętny tych lubych wspomnień, jadąc z Krakowa do Grodna, oddalił się od gościńca i od służby, a jakby dopełniając ostatku ślubu swojego, zdjął bogate szaty, przywdział zszarżane pielgrzymkie, by się ukazać dawnemu przyjacielowi przy życiu i w owej szacownej sukni, w której miał zamiar leżąc kiedyś w grobie. Uszedłszy blisko milę pieszo, sam, z tłomoczkiem pod ramieniem, a jeszcze nieco osłabiony po odbytej we Włoszech chorobie, zmęczył się nadzwyczajnie, i możeby już zejść do dworu nie był potrafił, gdyby kielich wina, który mu Ewa podała, nie postawił go na nogi.

Radość Kochanowskiego na widok zacnego i tak ciekawego gościa, była wielka; nie wiem jednak czy wyrównywała troskliwość samej Kochanowskiej o zdrowie jego. Znikły z jej oczu tytuły, miliony, zaszczyty możnego Radziwiłła, widziała tylko chorego pielgrzyma. Z należytym przeto uszanowaniem, ale bez owej mimowolnej trwogi, jaką w niej zwykle wielcy panowie i senatorowie wzbudzali, wzięła księcia wojewodę pod ramie, i wraz z mężem poprowadziła go do domu; tam, sporządziwszy mu naprędce lekką a posilną wieczerzę, naznosiła sama pościeli do bawialnej komnaty, gdzie podobno dotąd nikt nigdy nie spał, usłała mu wygodne łoże, zmusiła żeby się wcześniej położył, nie dozwalając mężowi trudzić go, by najmniejszym wypytywaniem o jego podróż.

— Jutro, jutro — mówiła — jeźli Wasza Książęca

Miłość czuć się lepiej będziesz, to nam może co o Ziemi Świętej opowiedzieć raczysz; mam córkę któraby zawsze podobnych opowiadań słuchać rada; ale dziś, zdrowie pierwsze. Brońże Wielki Boże, aby tak Świętą a daleką odbywszy pielgrzymkę, w własnym kraju, i z drogi do Czarnolasu przyszło Waszej Miłości zachorzeć. I nastawiała jeszcze koło niego różnych wódek, kordyałów, napojów, żeby ciało natarł jednemi, drugie wypił, to dla pokrzepienia sił, to ku ochłodzie; i nie odeszła, póki nie przyrzekł że nazajutrz użyje łaźni, i że gdyby w nocy czego potrzebował, zawoła Nastki, która w przyległej izdebce całą noc czuwać będzie.

Przyjął z wdzięcznością książę Sierotka te wszystkie życzliwej przyjaźni oznaki, i usnął smaczno ze słodkim przekonaniem, że już jest na ziemi ojczystej, kiedy tak uprzejmej gościnności doświadcza.

Nazajutrz wstał zdrów prawie, a użyta łaźnia z aromatycznymi nacieraniami i dobre śniadanie nadały mu zupełną czerstwość. Dziękując serdecznie gospodarstwu, chwalił sobie, że już oddawna tyle rześkim się nie czuł; zasiadł z całą rodziną w ganku, pieścił się z Orszulką, żartował z Ewą i z Dorotą, rozmawiał świątobliwie z Ludwiną, a wciągnięty nieznacznie trafnymi pytaniami obojga Kochanowskich, nim przyjechała kolebka jego ze służbą, stosownie do rozkazów jakie był wydał odchodząc, opowiedział im w krótkości całą pielgrzymkę swoją.

To opowiadanie było prawie w tym sposobie:

„Nikt lepiej nie wie od was, panie Wojski, gdyż znacie mnie z dzieciństwa, ile zmarnować potrafiłem da-

rów od Miłosiernego Boga mi danych, i jakiej doznałem od Niego łaski. Wybawiony od dusznej i cielesnej śmierci, umyśliłem lat temu dziewięć, nabożną drogą do Ziemi Świętej i do grobu Zbawiciela, do reszty złe w sobie ukrócić, a gorętszą miłością ku Panu Jezusowi się zapalić. Przeszkód doznałem nie mało, znaleźli się też i tacy, co mnie od mego zamiaru odmawiali, strasząc trudnościami na ziemi i na morzu, niewolą turecką i najazdami. Jam się niczego nie uląkł i wyjechałem z Nieświeża blisko dwa lata temu, z liczną dosyć służbą; ze znaczniejszych a wam znanych, byli ze mną: Michał Konarski, Jędrzej Skorulski, Jerzy Kos, Piotr Bylina, Włoch doktor, Abraham Baro de Dona, którego wziąłem dla biegłości w różnych językach, i mój pocciwy kucharz Jeremi.

W dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny, której szczególnej opiece oddałem tę peregrynacyą moję, stanąłem w Wenecyi, w owem osobliwym mieście, gdzie ulicami są kanały, a wozami łodzie. Tam stanąwszy w klasztorze św. Franciszka, rozmawiałem często z gwardyanem, Jeremim de Boessa, który dwanaście lat w Ziemi Świętej mieszkał i bardzom wiele się od niego nauczył. Jadąc do obcego kraju, lepiej daleko rozmówić się z jednym rzetelnym człowiekiem, co w nim był i mieszkał, niż przeczytać dziesięć ksiąg. W Wenecyi bawiłem nad zamiar długo, a to najwięcej z powodu nieposobnego zdrowia; nareszcie otrzymawszy od Ojca Świętego pozwolenie i błogosławieństwo, dnia 17 Kwietnia 1583 roku, wsiałem w Imię Boże na okręt. Gdy lekki wiatr powiewał, i budynek nie koniecznie się bujał, prawie bez młodości i cierpień jechałem, i na drugi

dzień mineliśmy szczęśliwie odnogę Tergestyńską. Zastanowiwszy się, dziwnać to rzecz i bardzo straszna bujać tak na kilku zbitych deskach między bezdennem morzem a wysokiem niebem. Jak mi Bóg miły, wolę iść na wojnę: tam przynajmniej człowiek stapa śmiało. Koło wyspy Kandyi nagle wiatr gwałtowny się zerwał i okręt w wielkiem był niebezpieczeństwie; liny i powrozy się rwały, kotwica przepadła; ale uciekliśmy się wszyscy pod Matki Najświętszej obronę, wołaliśmy wielkim głosem do Tej Gwiazdy morskiej, i nastąpiła cisza, a wnet ujrzeliśmy Cypr, gdzieśmy ostatnich dni Maja wysiedli i wypoczęli nieco z wielką moją pociechą: dziwnie miły wydawał mi się stały ląd, po owem długiem kołysaniu się na niepewnej wodzie.

W Cyprze nająłem okręt nie wielki, który tam Karamuzem zowią, już jeno dla siebie i dla mojej służby; patronem jego czyli sprawcą był Arab, ale nie muzułman, dobry katolik. 1-go Czerwca, o godzinie wtórej, w nocy odbił od brzegu, i ku południowi, to jest ku Ziemi Świętej się obrócił; gdy mi to oświadczone, zdało mi się jakoby dopiero wtedy prawdziwie peregrynacyą moję rozpoczął i nie tęskniłem sobie na wodzie tyle co z początku, chociaż nie zatrzymał się tak rychło. Mineliśmy bowiem Cezareę, Ptolemaidę, Tyr, Sydon, owe wszystkie miejsca, których samo nazwanie świętą pamięć obudza, i nie wysiedliśmy aż w Tripoli. Tam widziałem pierwszy raz owe przesławne cedry Libanowe i miałem ochotę pokłonić im się; boć one są jakby wybrane między drzewami, takie częste jest o nich w Piśmie Świętem wspomnienie, i spór jest dotąd nie roz-

strzygnięty, czy nie z cedru był krzyż Zbawiciela?.. Wydały mi się wspanialsze od wszelkich drzew które widziałem, nieco podobne do naszych modrzewiów, jeno gęściejsze, ciemniejszej zieloności i nie gubią igieł swoich na zimę.

Z Tripoli opatrzywszy się w kilkunastu zbrojnych janczarów, gdyż tam drogi bardzo niepewne, puściłem się lądem, a przebywszy Liban, ujrzałem Damaszek, miasto rozłożone na pięknej równinie u samej krawędzi góry, dziwnie nadobne i w oko wpadające. Wielu rozumie, co Adam w tem miejscu stworzony został, i snadno temu uwierzyć, iż Pan Bóg obrał je na raj ziemski: nie wiem czy już gdzie piękniej być może: chyba w Niebie. Lecz w owym cudnym Damaszku źli ludzie mieszkają, i gdyby nie Janczarowie co nas obronili, byłbym rozszarpany i ze służbą moją.

Pragnąc jak dusznego zbawienia ujrzeć coprędzej Jerozolimę, z Damaszku ruszyłem konno, najprostsza droga, pojazdu, choć mnie na to namawiano, używać nie chcąc; mimo słabości zdrowia i pospiechu nie opuściłem żadnego miejsca wspominanego w Starym i w Nowym Zakonie, nawiedzałem każde; miałem wielce miłą i spokojną nad spodziw drogę, a spotykałem wiele karawanserów czyli gromad kupieckich z wozami, końmi i wielbłędami. Z niesłychanem wzruszeniem serca przybyłem nad Jordan, nad ową rzekę, której wody omywały niegdyś Święte ciało Zbawiciela naszego, i były pierwszemi wodami Chrztu; naczepałem sobie jej dużą flaszę: mętna jest Jordanowa woda, ale nie psuje się. Niemniej błogo było mi patrzeć na jezioro Tyberyady,

po którym żeglował Pan nasz; za niem zaczyna się Galilea, ojczyzna Chrystusowa, kraj dosyć wesoły, żyzny i pachnący; rozmaryn rośnie tam w polu jak tu jałowiec; hodować go nie trzeba, a niektóry w spore drzewka wyrasta.

Widziałem studnię starego patryarchy Jakóba, cofnąłem się pamięcią na jakie kilkadziesiąt wieków; byłem w Bestaidzie, miejscu rodzinnem św. Piotra. Niedaleko miasta Sichar, w granicach Sawaryi, spotkaliśmy sędziaka, a raczej księcia tureckiego, który wiódł z sobą stu Mameluków mężnych i bitnych. Nie było tam do rzeczy srożyć wasa i dobywać korda, choć była niezmyślona ochota, bo nam bardzo się stawił; zsiadłem przeto z konia z całą służbą, a zapominając na ten raz iżem Radziwiłł i lepszy książę aniżeli on, pozdrowiłem go zwyczajem pielgrzymów, chyląc głowę bardzo nisko. Ta pokora ubłagała sędziaka, i nie zrobił nam przecie nic złego; opłacić się jednak musiałem: kazał sobie dać po dwa cekiny od każdej głowy, a cekin znaczy dwa nasze złote.

Ziemia Judzka właściwa, w którą wjechaliśmy wtedy, podobala mi się dosyć z wejrzenia; są w niej liczne ślady dawnej uprawy i żyzności; mury winnic trwają jeszcze, owoców wiele rośnie samych z siebie, mianowicie daktyli; cięży na niej przepowiadane tyle razy spustoszenie... Ależ nareszcie doczekałem się chwili tyle pożądanej: dnia 25 Czerwca 1583 roku, ujrzelśmy miasto święte nad świętami, Jerozolimę. Padliśmy natychmiast wszyscy na kolana bijąc twarzą ziemię, a według zalecenia Stolicy Apostolskiej, każdy z nas od-

mówił na głos, jedno Ojcie nasz i jedno Zdrowaś Marya. Na półtóry godziny przed zachodem słońca wstąpiliśmy w święte mury.

Dopieroż tam zaczęły się nabożne stacye nasze, i pokłony Zbawicielowi; miejsca one, na których były ślady świętych nóg Jego, odprawa przedziwna zbawienia naszego, męki i śmierci pamiątki, całowałem wszystkie i oblewałem łzami. Kiedym przyszedł tam gdzie ukrzyżowany został Pan nasz, Jezus Chrystus, upadłem, i nieśmiałem podnieść oczu, pewny że Go ujrzę na krzyżu, a nie wiedziałem sam czy mnie przejmie żal srogi nad cierpieniem Jego, czyli też wdzięczna radość, że je podjąć raczył, aby nam niebo otworzyć... Z miejsc, które Ewangielia święta mianuje, tak w Jerozolimie jak w okolicach, nie opuściłem żadnego, wszystkiem oglądał, ale te najbardziej które się cudem jakim albo sprawą Zbawiciela wsławiły; wszystkiem zaś obchodził nie jazdą ale pieszo. Widziałem w Betleem miejsce gdzie się urodziło Boskie Dzieciątko, a to miejsce które Pan Bóg sobie obrać raczył na ten cud miłosierdzia i mnie dziwnie się upodobało; zbudowany tam jest kościół i kaplica wielkiej piękności. Byłem na górze Tabor, gdzie się stało Przemienienie Pańskie, byłem i na tej puszczy gdzie Pan Chrystus lud siedmiorgiem chleba nakarmił. Największą miałem trudność w dostaniu się do wieczernika Pańskiego, gdyż poganie Turcy z tej świętej gospody zrobili meczet, a przecież wszedłem i mogłem dziękować pokornie Bogu za ten dar cudowny, na tem samem miejscu gdzie go postanowił. W kościele grobu Pańskiego, czciłem owe kamienie, między którymi Boskie

Ciało leżało; widząc okropne zniszczenie tej przezacnej świątyni, zobowiązałem się za siebie i za następców moich, płacić wiecznemi czasy corocznie z sumy złożonej w Wenecyi, sto dwadzieścia pięć czerwonych złotych; dałem także dwa wielkie kielichy szczerolote, jeden tu, drugi do Betleem, szczęśliwy, iż czemkolwiek przyłożyć się będę mógł do uczczenia i przechowania tych najdroższych pamiątek, które widząc w srogiem zaniedbaniu, serce się kraje w człowieku... O! na zupełne tych miejsc świętych podźwignienie, trzaby znowu drugiej Heleny cesarzowej, która w Ziemi Świętej do trzechset kościołów niegdyś postawiła, trzeba nowej a pomyślnej wojny krzyżowej, nowego Godfreda Bulionusza... Widziałem też w Jerozolimie grób jego i Baldwina; przypomniałem sobie Tassa i brata Waszego, który tak pięknie go przekłada, a przez pamięć owego króla rycerza i towarzyszyów jego, zapragnąłem też i ja być uczynionym rycerzem grobu Pańskiego. Pasował mnie i sześciu tych co ze mną byli, Ojciec gwardyan Angelus Stella; pozwolił mi nosić krzyż i herby św. Jerzego, patrona rycerzy i mianował mnie prowizorem generalnym.

Przed ostatecznem rzuceniem Jerozolimy, poszliśmy na puszcze, gdzie św. Jan Chrzciciel mieszkał, i znużeni całodzienną podróżą, prosiliśmy o gościnność w klasztorze św. Sabby, niedaleko ztamtąd będącym; przyjęli nas zakonnicy wielce uprzejmie, i zabawne miałem w tym klasztorze zdarzenie. Kiedyśmy siedzieli przy stole jedząc skromną ale smaczną strawę, jam rozmawiał z memi sługami po polsku; aż tu jeden z mnichów odezwał się tym językiem wcale dobrze, i opowiadać nam zaczął, że

przed laty bywał w Litwie; pytał się o różnych panów; a między innemi o księcia Radziwilla co go Sierotką zwano, którego znał młodzieniaszkiem; ale Wasza miłość — dodał obracając się ku mnie, zapewne tam tak wysokich nie masz znajomości. Jam mu odpowiadał na wszystko i na to odpowiedziałem, nie wydając się wcale; cieszyło mnie bowiem kiedy mnie za prostego człowieka brano; słodko mi było uniać się na tej ziemi, gdzie Zbawiciel nasz tak się unżył.

Ósmego Lipca zaczęliśmy się wybierać ostatecznie z Jerozolimy, lubo mi żal było rzucić owe miasto na zawsze. Poszedłem sam do Kadego, żeby mi przydał straż na drogę; choć Turek okazał się dobry człowiek, i co rzecz osobliwa nie łakomy. Bo trzeba wiedzieć, że na owych wszystkich świętych miejscach, jakby dla pamięci że w rękę są pogan, wszędzie srodze okupować się trzeba. Najawszy muły i osły, wyjechałem dziewiątego Lipca z Jerozolimy; uwoziłem z sobą drogie pamiątki i relikwie, i spory kawałek słupa porfirowego, przy którym Pan nasz Jezus Chrystus biczowany był: własną ręką udało mi się go ulupać. Nie brakło nam przez długi czas miejsce świętych do nawiedzenia po drodze: byliśmy w Emaus, w Jope, i jeszcze w kilku. W Jope, pamiętam, miły traf mi się nadarzył. Spotkałem biskupa katolickiego, któremu Turcy zagrabili wiezione z Egiptu różne drogie rzeczy; bardzo rozpaczał nieborak: jam je zakupił potajemnie wszystkie od Turków, i kazałem mu oddać, nic mu nie powiadając zkąd; on też sobie wystawiał że pogan sumienie choć raz ruszyło, i jam go zostawił w tym błędzie.

Z Jope wyjechawszy bawiłem kilka dni w Tripoli, nagradzając sobie pierwszy krótki pobyt w tem mieście; trzydziestego Lipca najawszy dżermę, statek dosyć duży, wziąłem z sobą Janczara, Achmeta, który dobrze słowiańskie języki umiał, i popłynąłem do Egiptu. Najprzód dobiliśmy do Cypru, gdzie miło mi było znowu się znaleźć i wypocząć; tym razem zajęła mnie mocno na owej wyspie uprawa bawełny, i bardzo mi zasmakowały wina tameczne czerwone: szkoda jeno że zbyt tęgie: nie można pić do woli.

Z Cypru płynąc do Damiety, doznaliśmy zupełnej ciszy morskiej; jest to rzecz prawie równie okropna jak burza: zdaje ci się jakoby okręt twój wrósł w morze, jakoby wszystko koło ciebie skamieniało, umarło, i ty tak samo skamienieć i umrzeć będziesz musiał. Za gorącemi modłami naszymi, powstała z martwych natura, rozdał żagle wiatr pożądaný, i ósmego Sierpnia wypłynęliśmy we wrota Nilu, a w godzinę później w przystań Damiety. Ztamtąd mniejszą dżermą puściliśmy się Nilem do Kairu. Nieustannej przez tę drogę musieliśmy używać baczności, gdyż pełno tam jest rozbójników nurków, którzy wyskoczywszy z pod wody niespodzianie napadają przejeżdżających, odbierają im chudobę a często i życie. Tak są wprawni ci łotrowie, iż po kilka godzin pod wodą wytrwać mogą. Długo przed Kairem ujrzeliśmy owe sławne piramidy Egipskie, dawnych żydów, jak mówią niektórzy, ciężka i oślakana robota. Skorośmy przyładowali do miasta, Turcy mytnicy rzucili się do nas, myśląc że towary mamy; między niemi był żyd; skoro usłyszał moją służbę mówiącą między

sobą, zagadał do nich po polsku; odkryło się że jest rodem z Chełmna, że dziwnym sposobem się tu dostał i zamieszkał; i pókim tylko bawił w Kairze, służył mi gorliwie a natrętnie, jak to i nasze żydki umieją. Z porady konsula francuzkiego, męża wielce zacnego, nająłem sobie w Kairze gospodę i pomieszkałem czas jakiś. To miasto większe jest trzy razy od Paryża, lecz nie tak porządnie osadzone i murowane; powiadali mi jednak że ma domów do dwóchkroć sto tysięcy, a samych meczetów blisko siedm tysięcy. Ludność w całym Egipcie liczą siedm milionów, a samych żydów półtora miliona. Krajowcy Egipcyanie są oracze, gospodarze i rzemieślnicy, Turcy urzędnicy, Żydzi i Murzyni kupecy, a Arabowie rozbójnicy. Murzynów atoli mają za najgorszych, potomstwo to Chamowe bez wątpliwości żadnej; tak są okrutni, zli i zepsuci, i tak nieufni względem siebie, że mąż żony, pan sługi, na noc zamyka, bojąc się być od nich zabitym; a ojciec z dorosłymi synami jeno na ulicy rozmawia w dom ich nie wpuszczając.

Z owej wielkiej ludności Egipskiej, ledwie trzecia część ma zdrowe oczy; reszta wszystka choruje i prawie ślepa, a to dla wielkiego gorąca i kurzu. Okropne, niesłychane tam panują upały; wzdychałem za naszymi Litewskimi mrozami. We dnie piasek tak bywa rozpalony, iżem ja choć w trzewikach, ledwie pacierz wytrwać mógł ogniu takiemu; krajowcy zaś bosem nogami chodzą. Ośm tysięcy wielbłądów, każdy z dwiema beczkami skórzanemi, wnosi codzień wodę do Kairu; czego ludzie nie potrzebują, leją na ulice, ale to mało co wielkiemu kurzowi zapobiega. Przecież ta kraina

żywności jest pełna; winna jest dobrodziejstwom Nilu; owa rzeka oczywistym jest dowodem Opatrzności Boskiej i przemysłu ludzkiego; napatrzeć jej się i nadziwować dosyć nie mogłem, ile żem był świadkiem do rocznego otwarcia grobli Nilowych, co jest rzeczą prawie cudowną. Lecz cały ten kraj wielce jest ciekawy, zwiedziłem go ilem mógł; ta jedna szkoda, że ludzie zli: zbójców i złodziei siła, i wielu w ciężkiej niewoli żyć musi. Kilku tych nieszczęśliwych wykupiłem, rad byłbym wszystkim to samo uczynił, choćby na pokazanie tym pogańcom, czego to uczy nauka Chrystusa; i nieraz płakałem, iżem tego dokazać nie miał mocy. Wydało się też pieniędzy dosyć na różne ciekawości; zwierząt żywych nawiozłem, kozioroźców, lampartów, kota który piżmo czyni, dwa szczurki Faraonowe i inne zwierzątka rzadkie, jako i ptastwo, papugi zwłaszcza cudne; zakupiłem też i mumii kilka: jużem to wszystko posłał prostszą drogą do Nieświeża, i podobno nie jedna z tych osobliwości pierwszy raz w naszym kraju była widziana.

Zabawiwszy dwa miesiące w Egipcie, żaląc się nieraz w duszy nad tem iż tak wiele ludzi Chrystusa nie zna, dziewiątego Października wsiadłem na nawę francuzką, Saicyą zwaną, i ruszyłem z Aleksandryi. W drodze i od żywiołów i od ludzi mieliśmy strachu nie mało. W czasie wielkiej burzy, moim mumiom przyszło na koniec; przesąd jest głęboki między żeglarzami, iż okręt co mumią wiezie utonąć musi; dopatrzyli moich i musiałem wrzucić je w morze. Ścigała nas też i turecka armata, która gdy kogo spotka, w niewolę bierze. Lecz dozwolił Bóg miłosierny, uprosiła Matka Najświętsza,

ieżemy uszli tego nieszczęścia i przyплыliśmy do Kandyi. Tam gościłem aż czternaście niedziel, a lubo z wielką ludzkością przyjmowany, lubo odbierał cześć tak wielką, iżem jej sam unikał, przecież wyglądałem chciwie sposobności popłynienia do Wenecyi. Już mi strasznie było tęskno do ojczyzny, i już mnie nie bawiło, to com mógł widzieć ciekawego. Nareszcie przyплыła nawa a w niej dwóch Polaków, z których jeden Piotr Broniewski przywoził mi list glejtowy od Króla naszego, u cesarza Amurata wyrobiony. Powitałem ich jak zbawców, ile że mi zdrowie wcale nie służyło; trapiła mnie mocno febra z kaszlem. Szlachcic jeden handlujący oliwą miał mnie zabrać na swoją galerę, ale iż się bardzo nie-
sporo wybierał, upatrzyłem sobie inną niedawno przybyłą, Lorenza Prynlą, i w Imie Boże, wypłynęliśmy z wyspy Kandyi, czwartego Lutego, bieżącego roku.

Po szczęśliwej żegludze stanęliśmy na ziemi włoskiej i zdało mi się że własny kraj powitał. Nie był to jednak koniec utrapień moich. Jadąc z Baru, gdzie widział ciało starej królowej, które leży w zakrystyi niepochowane, a wierzeźnia warga już się psuć zaczyna, jadąc z Baru, mówię, napadli nas zbójce pod hetmanem Jakóbem de Montebrando; bo tam i szlachta tem pięknem rzemiosłem się bawi, a chcąc ująć ich napaści, trzeba mieć znajomość albo z nimi albo z ich krewnymi. Napadli mnie tedy, obronić się im nie było ani podobieństwa; zabrali mi pieniądze i kosztowności jakie miałem przy sobie, obdarli z kosztownych sukien: dobrze com ze służbą z życiem uszedł. Po tej przygodzie i innych które już pomijam, tak byłem zmieniony i do siebie

niepodobien, iż przyjechawszy do Ankony, gdym się stawiał przed rządcą miasta, wziął mnie za oszusta i za łotra; a choćem mu listy Papiezske i naszego Miłościwego Pana, gleit turecki ukazał, nic nie pomogło; nie chciał żadnem prawem uznać księcia w podartych sukniach, nie chciał dać żadnej pomocy: i pewny był że ja z ludźmi memi okradłem a może i zabiłem prawdziwego Radziwiłła i teraz samozwańcem się czynię.

Ledwie przedawszy kilka kosztowności, które rąk zbójceckich cudem uszły, zdołałem najać wóz czterokonny, i pojechałem do Ferrary; tam odprawiłem wielkotygodniowe nabożeństwo; we Wtorek wielkanocny przybyłem do Wenecyi, a padłszy na kolana, w kościele Grobu Pańskiego, dziękowałem Matce Najświętszej za powrót szczęśliwy. Tam wkrótce przybyła ta część służby mojej, ze świętami a drogiemi zabytkami, którąm był z Tripoli osobną nawą wyprawił; chorzałem czas jakiś w Wenecyi, i leczyć się musiałem; trzeciego Maja puściłem się do kochanej ojczyzny przez Trydent, a Dunajem do Wiednia; zkąd wyjechawszy przed dziesięciu dniami, oto tu dziś jestem, a skoro służba moja nadjedzie, ruszam dniem i nocą do Grodna, podziękować Miłościwemu Panu; dobę tam jedną zabawię, a potem jak najprędzej pospieszę do mego Nieświeża, zkąd mnie chyba jaka nowa wojna, usługa Rzeczypospolitej, lub rozkaz królewski poruszy. Tyle świata zwiedziwszy nie rzucę dobrowolnie gniazda swego, ani też póki życia za granicę polską nie wyjadę.

Dobrze jest podróżować, zbawiennie święte odbywać peregrynacye, ale odbywszy je, trzeba ziarno zebrane

daleko, we własnej ziemi zasiać i pielegnować. Dobrze jest ciekawości niewidzianych nazwozić, ale jeszcze lepiej przywieźć skarb myśli i zamiarów użytecznych, i do skutku je doprowadzić. Ja com jedno widział dobrego w oświecenijszych krajach, wszystko to chcę w moich dobrach naśladować. Będę włości lepiej urządzał i ozdabiał, drogi prostował, naprawiał, drzewami osadzał, żeby przecie znać było, że m zjeździł Włochy, Francją, Niemcy; będę zakładał nie jedno same kościoły, ale i szpitale, szkoły, domy dla ubogich sierot, w dowód że przybywam z Ziemi Świętej, że m się rozmiłował w Zbawicielu, który wszystkie niemoce leczył i dziatkom przychodzić do siebie kazał. Dał mi Bóg dostatek chleba abym i sam pożywał i swoim udzielał; niech mnie nie zowią Radziwiłł ale Rad-żywiłł, a zwłaszcza ubogich i potrzebujących. Muszę także podać do druku opis peregrynacji mojej. Chciałbym takim sposobem w dojrzałym wieku moim spełnić wróżby, które Wasza Miłość o małym chłopięciu składałaś; już się bywało „strasznym w boju“ teraz być należy „u swoich wdzięcznym i miłym w pokoju“.

Łatwo wystawić sobie jak szczerze i serdecznie Kochanowski podpierał i chwalił owe piękne zamysły; jak mu było błogo, że wierszyk jego utkwiał tak silnie w pamięci a raczej w sercu Książęcia.

Gdy służba nadjechała, rozstać im się przyszło z przykrością: poeta obiecał na rok przyszły zajechać do Nieświeża; a Książę nie odjechał, póki z owego tłumoczka, który z sobą był przydźwigał, nie dobył różnych świętych kosztowności i nie obdzielił niemi całą

rodzinę. Ludwinie jednak dostało się najwięcej; a między innemi flaszeczka poświęcanej wody Jordanu, i piękny turkusowy różaniec, przez samego Papieża pobłogosławiony. Modliła się też rzewnie dziewica za pobożnego Księcia i Bóg wysłuchał jej prośby, gdyż Krzysztof Miłkołaj Radziwiłł żył długo i szczęśliwie, spełnił wszystko co zamierzał, na chwalebną pamięć zasłużył, i może nie ma u nas dotąd z owych czasów więcej popularnego imienia nad Księcia Sierotki.

XXI.

A to węzeł jest mocny i nad inne trwały,
Który pięknej pamięci córki zawiązały.

Księga IV, pieśń 22

Parę tygodni upłynęło od odwiedzin księcia Sie-
rotki, i od tej chwili ciężkie panowały upały i zupełna
susza; rosy nawet skapo było: słońce jasne i gorące,
nie zakryte nigdy cieniem dobroczynnego obłoku, kró-
lowało samowładnie na czystym błękitnie, a w podo-
bieństwie do znużonego i opuszczonego despoty, kładło
się zwolna krwawe i bez promieni, a wstawalo smutne.
Stosownie do słów naszego poety: „ziemia spiekła się
prawie na popiół, świata nie znać było w kurzawie,
rzeki dnem uciekały, a zagorzałe zioła wołały dżdżu z
Nieba“. Kochanowski krwisty z natury swojej i do bólu
głowy skłonny, cierpiał mocniej jeszcze niż ktobądź inny
na owym afrykańskim spieku; często jakby z sił opadał
i do żadnej pracy nie był sposobny; upewniał że Muza
jego wyschła wraz z sadzawkami domowymi: przecież
jednego poranku przejęty widokiem ogólnego cierpienia,
wzniósł umysł swój tam, zkąd najłatwiej przyjść może
ratunek i natchnienie, i złożył następującą modlitwę:

Wszego dobrego dawco i szafarzu wieczny!
Tobie ziemia spalona przez ogień słoneczny

Modli się dżdżu, i smętne zioła pochylone,
I nadzieja oraczów, zboża upragnione.
Ściśnij wilgotne chmury świętą ręką swoją,
A one suchą ziemię i drzewa napoją,
Ogniem zjęte. O! który z suchej skały zdroje
Niesłychane pobudzasz, okaż dary swoje!
Ty nocną rosę spuszczasz, Ty dostatkiem hojnym
Żywej wody dodawasz rzekom niespokojnym;
Ty przepaści nasycasz i łakome morze,
Zkąd gwiazdy żywność mają i ogniste zorze.
Kiedy Ty chcesz, wszystek świat powodzą zatonie,
A kiedy chcesz, od ognia jako pióro spłonie.

W wieczór przy wspólnych pacierzach, Kochanowski
powtórzył rzewliwie modlitwę swoją z dziećmi i z cze-
ladką; i zaraz nazajutrz, jak gdyby w rychły skutek
tych prośb, wszystko od rana zaczęło wróżyć zmianę
powietrza i deszcz nieochybny: kury piałły w niezwy-
czajnym czasie, gęsi kąpały się w stawie, jaskółki la-
tały nisko i trwożliwie, kot się mył siedząc na ganku,
muchy nad obyczaj dokuczały, sól zwilgotniała, Nastkę
darło okrutnie po nogach. Jakoż w rzeczy samej, około
południa zaczęły się zbierać chmury; wychodziły jedna
za drugą ze wszech stron, a coraz czarniejsze, jakby
goście wezwani na stypę; zeszło się ich tyle, iż zda-
wać się mogło, że miejsca im braknie w przestrzeni, a
przeciążone niemi niebo spuści się na ziemię jak namiot;
dzień obłókł się prawie zupełnie w noc, lecz wnet błyskawice
rozjaśniać zaczęły tę ciemność; ozwały się da-
leką, niemal ciągłą grzmoty i zagroziła wielka straszliwa
burza, a Kochanowskiego mimowolnie strach tajemny
przeszedł: czy on nie nadto naprzykrzał się Bogu i czy
ukaranym nie będzie, jak się to często człowiekowi zda-
rza, samem wysłuchaniem prośb jakie składał.

W owym czasie nietylko nie znane jeszcze były konduktory, ale mało kto wiedział przyczynę grzmotów i piorunu; uważano je niemal powszechnie jako dowód gniewu Boskiego. „Pan zagrział Niebem! — mówiono — piorun, to słowo Jego karzące; zemsta Pańska pobudza okrutne na powietrzu trwogi!“ Jednak mimo tego przekonania, może było rzetelniej, szkodzącej zdrowiu, bojaźni grzmotów niż dziś. Ten sam Bóg co straszył, Ten i cieszył; z jednej ręki trwoga i uspokojenie spływały; chwila owej walki żywiołów była chwilą uroczystą, religijną: było to, że tak powiem, święto domowe do obchodzenia, które miało osobne obrzędy i modlitwy, o którym przez cały ciąg roku myślano. Najprzód z początkiem wiosny, w dzień św. Marka Ewangelisty, odbywała się w każdej parafii procesya w polu, już-to dla uproszenia urodzajów, już dla odwrócenia szkodliwych gromów i gradów; prócz tego pobożna gospodyni w wigilią Bożego Ciała składała wianki z ziół na ołtarzu, któremi potem w czasie burzy dom cały okadzała; gospodarz w oktawę tegoż święta zakopywał w czterech rogach włości swojej, cztery ewangelie; nareszcie w dzień Oczyszczenia Najświętszej Panny, wśród srogiej jeszcze zimy, każdy niósł z kościoła do domu poświęcaną świecę, gromnicą nazwaną; gdyż przeznaczeniem jej było oświecać izbę bladym ale łagodnym i jednostajnym światłem wtedy, kiedy na dworze ogniste a przemienne błyskawice rozparały chmury i raziły oczy jaskrawym swym blaskiem.

I w pobożnym Czarnolesie wszystkie te środki bezpieczeństwa i ochrony, i inne jeszcze wiernie były opa-

trywane i wypełniane. Skoro w letniej porze postrzeżono już zbliżającą się burzę, cała drużyna w cichej modlitwie podnosiła serce do Tego, który i gromu nie potrzebuje, ażeby w każdej chwili pozbawić nas życia; bo śmierć i żywot w Jego jest ręku. Za każdą błyskawicą widać było pobożne głów nachylenie i słysząc święte wyrazy: „A słowo stało się Ciałem i mieszkało między nami“. Kochanowska zapaliwszy gromnicę i okadziwszy dom cały poświęconemi wiankami, wychodziła przed ganek, a biorąc w rękę najszacowniejszą ze wszystkich relikwii, szczątek drzewa z owego krzyża, na którym wisiało Zbawienie ludzkie, zęgnąła nadchodzącą chmurę, wzywając miłosiernego Boga, aby ją odwrócić raczył od mieszkań człowieka, a puścił na bory, na lasy, na miejsce niedostępne; Ludwina zaś uzbrojona w dzwonek loretański, który Kochanowski niegdyś z samego Loretu przysłał był matce swojej, odziana w płaszczyk fijałkowy jedwabny, już z umysłu do tego sporządzony, obiegała po trzy razy dwór i gospodarskie zabudowania, błagając z pokorą opieki Bogarodzicy nad niemi. Nieraz już chmury rześystem deszczem lunęły, pioruny latały jak strzały ogniste, wiatr dął gwałtowny, dziewczeczka ufna w obronę Tej, która światu wszystkiemu jest obroną i ucieczką, w oczach której czystość i niewinność nieporównaną ma cenę, spełniała swoje postannictwo bez żadnej trwogi, a ktokolwiek z domowych lub włościan ją spostrzegł, albo jej dzwonek posłyszał, nabierał pewnej otuchy, że nie złego w całym Czarnolesie się nie stanie, skoro święta panienka czuwa nad nim i poleca go Bogu. Nareszcie jeżeli srogość burzy nie uśmierzała

się i coraz mniejszy był przedział czasu między błyskawicą i hukiem, wypędzano z domu wszystkie psy i koty, wszystkie nieme stworzenia, a ktokolwiek miał głos i mowę, wszyscy panowie i słudzy, starzy i dzieci klękali przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, i śpiewali, powtarzając prośbę każdy po trzy razy, ów hymn potężny, jeszcze od św. Ambrożego w pierwszych wiekach kościoła ułożony, a który u nas oddawna narodowym się stał:

Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny! Zmiłuj się nad
[nami!

Od powietrza, głodu, ognia, wojny i niewoli! Wybaw nas Panie!

Od nagłej i niespodziewanej śmierci! Zachowaj nas Panie!

My grzeszni Ciebie Boga prosimy! Wysłuchaj nas Panie!

Abyś nas do prawdziwej pokuty przyprowadzić raczył! Prosimy
[Cię Panie!

Abyś karanie Twoje od nas oddalić raczył! Prosimy Cię Panie!

I w dniu o którym mówimy, wszystko podobnie się odbyło w domu Czarnoleskim, a mimo trwożliwych przeczuć Kochanowskiego, mimo nadzwyczajnej srogości burzy, żadna szkoda się nie stała; uderzyło wprawdzie kilka piorunów niedaleko, ale dwa wpadły w staw Dzbukiem zwany, a jeden rozdarł na dwoje starą wierzbę przy drodze stojącą; deszcz zaś, który padał rześisty przez godzin kilka, ożywił całą naturę, ochłodził powietrze, opłukał, odświeżył ziemię. Miły to był widok patrzeć jak wszystko się budzi, powstaje, uśmiech prawie i dziękczynienia wznosi. Kochanowski nasycić się nim nie mógł.

— Tak będzie z stęsknionem i oschłym sercem mojem — mówił w duszy — skoro mój Jakób powróci, a zdrowiem swoim mnie rozweseli i o długim życiu upewni.

I chodził po ogrodzie i po sadzie, od kwiatka do kwiatka, od drzewa do drzewa, radując się nad każdym, winszując każdemu. Ledwie go żona zwołać potrafiła do wieczerzy, chociaż dobrze miarkował po wolnej głowie, po lekkości i rzeźkości całego ciała, że lepiej dziś jeść będzie niż we wszystkie dni poprzednie. Jakoż jadł smaczno, ile że cała wieczerza była na zimno; chłodnik litewski ze śmietaną, z ogórkami, z rakami i z boćwiną, pieczeń cieleca, szynka, ser, jagody, owoce świeże i w cukrze.

Kiedy tak Czarnoleski gospodarz z drużyną swoją ochoczo dar Boży pożywał, rozmawiając mile o minionem niebezpieczeństwie, i o tym nowym dowodzie Opatrzności nad niemi, wjechał człowiek obcy konno na podwórze, a wnet jeden z domowych pacholików wszedł do izby i oddał panu list.

— Umyślny z nim przyjechał — rzekł — uwiązał konia u żelaznego kółka i powiedział, że czekać będzie na odpowiedź.

— Doroto! — zawołała Kochanowska, która już używać zaczynała córki średniej do ważniejszych posług — ukrój chleba, nalej piwa i wynieś mu; widać sługa jakiś.

Wstała Dorota żwawo, a ojciec powiedział:

— Raczej go do kuchni zaprowadzić i dać wieczerzę; jak widzę na kopercie domagają się odemnie odpowiedzi na piśmie; ta czas zajmie, ile że najadłszy się, wcale mi się nie chce iść na górę i pisać.

A otworzywszy list i przeczytawszy go, zawołał:

— Ot! niespodzianie chcą mnie zajechać i uczyć!

Jan Kochanowski.

— Któż taki? — spytały się córki i żona.

— Bracia w Apollinie — odpowiedział z uśmiechem.

— W Babinie, w owej wesołej, jak wiecie, a niezbyt dalekiej od nas Rzeczypospolitej, zjechało się na sejm doroczny, czy też z innej jakowejś okoliczności, dziewięciu mężów piszących wierszem, lubo i proza nie jest im obcą. Tych tedy dziewięciu poetów, a jak piszą sami te dziewięć Muz w żupanach, szukają sobie Feba z wąsami, i chcą tu niedalej jak pojutrze na obiad zjechać i ruszyć z Bogiem przed wieczorem. Pytają się, czy pani Wojska nie ulęknie się tej napaści?

— Dziewięcią mężów piszących! — przebaknęła. — Wielki Boże! cóż to będzie mądrości!

— Ja ich się tam nie boję — odpowiedziała Ewa — pewno żaden z nich nie mędrszy od was, panie ojczy?

— Tego nie powiem — odrzekł Kochanowski — z niejednym mierzyłbym się nie śmiać, zwłaszcza po łacinie i w niewiązanej mowie.

— Czy to księża? — zagadnęła nieśmiało Ludwina, która nad ojca tylko duchownych widziała.

— Minęły już te czasy — odpowiedział — kiedy nauki były prawie wyłącznym przywilejem duchowieństwa; są przecie i dziś w naszej Polsce bardzo uczeni i wymowni księża; lecz między tymi co do nas się wybierają, dwóch jeno świętą sukienkę nosi.

— Powiedzcież nam, panie mężu, jak się zowią, co za jedni, żebym najprzód wiedziała, czy ich się mam lękać czy nie? może oni i byli już w naszym domu, boć do was każdy Polak sławny a mądry, czy pan czy

szlachcic, czy duchowny czy świecki, prędzej czy później zajrzeć musi.

— Niektórzy nie byli jeszcze nigdy, drudzy już bywali. Starego pana Reja naprzykład, że kolejną wieku zaczę, nie znacie wcale; on się mi obiecuje od lat dwudziestu i dopiero teraz mu przysła...

— Pana Reja! czy owego Reja z Nagłowiec — krzyknęła Kochanowska — owego wyuzdanego szatana, jak go zwali u nas w klasztorze, owego opilcy, obżercy nieumiarkowanego. Toż on jeszcze żyje?... Jam sądziła, co oddawna gdzie się zapił i zajał... Nie godzi się jednak przed nikim wrot zamykać; wołałabym jednak, żeby sobie był został w Babinie. To dla niego przyzwoite miejsce, tam mu być spowiednikiem albo kaznodzieją...

— Zwolna, zwolna, nie sroźcie się tak, pani żono, nie unoście się: upamiętał się on; za młodu do zbytku świątek mu smakował: dziś dobiegł siódmego dziesiątka, broda i czupryna biała, to i statek przyszedł ze starości szronem. Dużo też tego człowieka czernili; ba! i on sam siebie nie oszczędzał; prawda, co dawniej był sobie próżniak, warchoł, drugi nasz pan Franciszek, nieprzyzierając, bo go też rodzice kubek w kubek tak pieścili jak pani Kasprowa swojego; a że Pan Bóg dał dowcip i rozum, jak mało komu, i pieniędzy dosyć, to jak tak nienauczony puścił się między ludzi, zrobił się snadno z niego odstępca, rozpustnik: ale teraz, zapewniam was, wcale on inny, mówią nawet niektórzy, że i katolikiem został; jeno sobie zawsze wolny żywot prowadzi bez pracy i urzędu; w domu ani nigdzie miejsca nie za-

grzeje, i rad zjeżdża gdzie o biesiadzie posłysz. Je i pije co się zmieści, jakim go widział w zeszłym roku u Kanclerza w Knyszynie, silił się, żeby nas wszystkich młodszych przetrzymać, i dokazał swego; bo znacie, jako nie jeden szlachcic ma sobie za chlubę wepchać i nalać w siebie za dziesięciu chłopów: prawdziwie zwierzęca chluba!

Boć szkoda zwać człowiekiem, co bydlęco tyje. *)

A co prawie równie naganne, zawsze takowi ludzie chwalców i dziwowidzów znajdują...

— Co o jadło i o napój to najmniejsza — przerwała tu pani Wojska — pociechę owszem dla gospodyni widzieć gości zajądających smaczno; ale nie będzie on obrażał uszu naszych dziewcząt, nie będzie przeciw wierze świętej bluźnił?

— A pamiętacie „Żywot człowieka poczciwego“ — zapytał się tu Kochanowski — który wam nieraz czytuję zimowemi wieczorami, i tak rade słuchacie tej księgi.

— Pamiętamy — ozwały się wszystkie.

— Wszak on go napisał, a jestże tam co gorszącego? przeciwnie najzabawniejsze nauki i przykłady, a w niejednym miejscu jakby iskry wyższego światła. Otóż stary Rej, im starszy, tem pilniej się wpatruje sam w to swoje Zwierciadło, i radby w niem własne podobieństwo upatrzył. Jeśli chcecie, jest on sobie wesół, rubaszny, liehe wiersze i grube żarty sypią mu się z ust gdyby z rękawa; przy stole trudnoby w nim mędrca dopatrzeć; niema jednak w jego rozmowie wiele co gor-

szącego niż w rozmowie naszej pospolitej szlachty. Bo choć on z jakie pół kopy ksiąg napisał i jest pisarzem u nas najwięcej czytany, choć na zawsze należeć mu się będzie ta chwala, iż pierwszy zaczął pisać czystą polską mową, i o takich rzeczach, o jakich dotąd żaden człowiek świecki pisać się nie poważył, jest on sobie prosty szlachcic cała gębą. Co do mnie, mam dla niego wdzięczność osobistą: on pierwszy moje wiersze polskie publicznie pochwalił. Młody jeszcze i mało komu znany, posłałem był z Włoch pieśń jedną; na wielkim zgromadzeniu czytano ją, i czytano obojętnie; dopiero obecny tamże Rej wziął ją, rozebrał, pochwalił i wróżył, że go daleko w poezyi wyprzedzę...

— Jeśli tak, niechże przyjedzie; rada mu będę z duszy — upewniła Kochanowska — a inniż?

— Najznakomitszy majątkiem, godnościami, układnością, a może i nauką to mój dawny współpracownik w królewskiej komorze, Łukasz Górnicki, starosta tykociński.

— Tenże co „Dworzanina polskiego“ napisał.

— Ten sam, i rzec można śmiało, że był i jest żywym dziełem swego wizerunkiem; od śmierci nieboszczyka króla mieszka on na wsi z żoną i z dziećmi, i wiele rzeczy po łacinie i po polsku, wierszem i prozą napisał i pisze; ale podawać je do druku nie śmie, bojąc się obrazić: starszy on odemnie z jakie dziesiątek lat, lecz dobrze się trzyma i dworskiej grzeczności wcale nie zaniechał...

— Ja wiem, ja go znam — przerwała Kochanowska — był przecież w naszym Czarnolesie temu lat trzy, kiedy to dziewczeczki nasze i sąsiedzkie przedstawiały

*) I. 19.

wasze Sobótki; był wtedy i ten poeta z Lublina, co to ma złą żonę, zły urząd, ale gładko pisze, choć czasem złośliwie; ten co Flisa ułożył i tak lubi wszystkim prawdę mówić...

— Sebastyan Klonowicz — odpowiedział Kochanowski — przyjedzie i on. Ja wysoko cenię tego poetę, choć nieborak pod niefortunną gwiazdą się urodził; zawsze krucho koło niego, zaniedbany, narzekający i wcale dać sobie rady na świecie nie umie. Drugi także pisarz nieszczęśliwy, ale podobno w jego skargach więcej jest udania niż prawdy: to ksiądz kanonik Strykowski, kroniki polskiej i litewskiej autor, wielki bywalec i doświadczony człowiek, żołnierz, wędrownik, a nareszcie kapłan. Ostrzegam was, dziewczki moje, żebyście się, broń Boże, z niego nie roześmiały. Jemu się trafił dziwny przypadek w dzieciństwie; wpadł w wodę, wyciągniono go jako umarłego i już chować miano do grobu. Wtem huk dzwonów obudził go, powstał, ozdrowiał z wielką rodziców pociechą i żyje dotąd, lat już temu czterdzieści; wszakże od tego czasu bardzo się jąka. Każde kalectwo i ułomność każda od Boga są, równie jak wdzięki i uroda; kto tedy z nich urąga, Boga obraża. Ale ksiądz Maciej nie dlatego nieszczęśliwy, że jest nierychłego języka, tylko dla tego że ma wiele zarozumiałości i że go opanowała chęć wierszowania, a talentu Feb nie dał. Wielce też przekładam nad niego Bielskiego Joachima, którego podpis także tu widzę; gdy on dopełni i poprawi pracę ojca swego Marcina i wyda ją kiedy, dopiero będziemy mieli Kronikę Polską po polsku, a obok zalet pisarskich, ile on liczy cnót jako człowiek...

— Ja go znam dawniej niż was, panie mężu; on się ożenił z Borzechowską, moją powinowatą, i odwiedzali mnie jeszcze w klasztorze; prawda, lepszego syna szukałby napróżno ze świecą: sama Bielska mi mówiła, że to on tę całą Kronikę Polską wypracował, a chce koniecznie udać ją za ojcowską; bo stary Bielski był o kacerstwo posądzony, i jego Kronikę Świata katolicy źle przyjęli: syn radby tem drugim dziełem plamę pierwotnego zmazać. I mąż i ojciec dobry!...

— Nie dałabyś pewno takich pochwał, Hanno moja — przerwał tu Kochanowski — panu Bartoszowi Prockiemu, który także ma nas swoją obecnością uraczyć; z czegobym go chętnie pokwitował. Pracowity i obfity pisarz, ani słowa przeciw temu; o czem mało komu jeszcze u nas się śniło, zbiera z mazołem piętna czyli herby szlacheckie, chcąc o wszystkich znaczniejszych rodzinach polskich wspomnieć; objechał w tym celu Litwę i Koronę, zwertował publiczne, klasztorne i domowe archiwa; ale cóż, kiedy w tym człowieku rzetelności nie ma, a jest chciwość, próżność i zółć; ożenił się jedynie dla pieniędzy i dla imienia ze złą i starą białogłową; i już oddawna owdowiał, a jeszcze na całą pleć białą obelgi miota; a co gorsza, wielkie jest po nim podejrzenie że się zaprzedał nieprzyjaciółom Kanclerza...

— Gdyby tak było, nie przyjeżdżałby do Czarnolasu — odezwała się Ewa — musi przecie wiedzieć ile wy, ojczy, Kanclerzowi sprzyjacie?

— Alboż to ludzie na świecie ułożyć się nie umieją — odpowiedział Kochanowski — on mi tu gotów z jakim pochlebstwem w oczy wyjechać, lubo wiem do-

wodnie że mnie nie lubi. Lecz kto jest przyjacielem Kanclerza i moim, o kim wiem że pani Wojska rada mu będzie, to o pewnym młodzieńcu; nie starszy od pana Filipa, uroda rzadka i dowcip, a skromność większa nad te wszystkie zalety...

— Zgaduję, zgaduję — zawołała Kochanowska śmiejąc się — Szymon Szymonowicz, co przy boku Kanclerza bawi, listy mu czasem pisuje, i wierszami swemi go broni: co tu był kilka razy z panem Andrzejem: prześladujecie mnie nim jako chcecie, ja zawsze będę mówiła, że jego poezye są mi do smaku, zaraz po waszych. Pamiętam tej zimy, słuchając jego Sielanek, przy kominie w ciężki a mglisty mróz, zdało mi się że wiosna, żem w gaju, trzody i pasterze widzę... Ależ jak sobie uważam — powiedziała jeszcze rachując na palcach — już do dziewięciu owych Muz w żupanach, dwóch jeno brakuje...

— Rybińskiego Jana i Stanisława Grochowskiego — powiedział Kochanowski — młodzi oba, nie wiele jeszcze prac swoich podali do druku, lecz zwłaszcza pierwszy już wytrawny poeta; jego wiersze łacińskie czasem zdają mi się dzielniejsze od moich; a i Grochowski lubo jeszcze bardzo młody, już dobrze pisze i niepospolitą posiada naukę: zwłaszcza od czasu jak księdzem został i do nabożnych wziął się rzeczy, wcale pięknie mu się udaje. Ludwinie smakowałyby jego wiersze: jaśniej w nich czysta i słodka pobożność.

— Mój ojcie! — przemówiła tu Ewa, która od początku tej rozmowy ściegu nie zrobiła w krosnach, tylko trzymając igłę nieruchomą patrzyła się w oczy Kocha-

nowskiemu — wielu tam jest owych mężów piszących w naszej Polsce, kiedy tak naraz dziewięciu wytrząsnąć można, a każdy według słów waszych ma swoje zalety?...

— Moja dziewczeczko, nie skończyłbym ja do nocy, gdybym wam chciał wyliczyć tych wszystkich, których nauką, zdatnością do wiersza, piękną wprawą w prozie, szczyścić się nam godzi. Wiek dzisiejszy przeszedł wszelkie inne w tej mierze; wiek to prawdziwie ozdobny i wielki; mamy nie tylko grono ludzi znakomitych, Muzom przyjemnych, ale mamy i uczonych we wszystkich rodzajach: historyków, ludzi stanu, mówców, filozofów, lekarzy, astronomów, fizyków. Śmiało rzec mogę, dziś w żadnym kraju, wyjąwszy Włochy, nauki nie stoją równie wysoko jak u nas; mamy trzysta drukarni rozrzuconych w ośmiudziesiąt miastach, a każda ma robotę; a co najlepsza, język nasz ojczysty niedawno gruby i prosty w piśmie, sztukujący się czeskim, zostawiony białogłowom, dzieciom i domowym potrzebom, obecnie przeszedł wszystkie słowiańskie, wyścięgnął francuzki, niemiecki, i o mało co włoskiemu nie sprosta... Prawdziwie serce we mnie rośnie, tajemna дума powstaje mi w duszy, kiedy wyprzedzając wieki posunę myśl w przyszłe czasy, i niecielesnemi oczyma spojrzę na to co będzie u nas za paraset lat. Do jakiej doskonałości dojdą wszelakie nauki? czem stanie się język, który w młodocianej dobie już mężką okazuje dzielność, nieprzebrane odkrywa bogactwa. Ledwieśmy rozpoczęli pracę koło niego, a już się hojnie wywdzięcza... W tem nagłym i skutecznym hodowaniu mowy polskiej, dank się należy nieboszczykowi królowi; on wspierał ją i zachęcał jak żaden jeszcze

z monarchów; większy zaś jeszcze, starej Matce naszej, Akademii krakowskiej: tam my się nauczyli po polsku, i młodszy od nas pisarze, co zapewne nas przejdą, także są jeszcze uczniami... Lecz ja tu z wami Bóg wie o czem bzdurzę, a zapominam że człowiek czeka, a koń retoryki słucha; wybaczenie mi panowie Babińscy: już idę na pokój, i odpiszę wam jak najspieszniej, nawet wierszem, jeżeli się uda. Oni Apollina szukają — dodał list odczytując — przyznać się nie mogę do tej godności parnasowej. Raczej w ich gromadzie, gdzie i młodzieńców jest kilku, piękny Feb się mieści: mnie staremu i mieszańcowi lasów, słuszniejby Chirona imię przystało.

A tak sobie mówiąc i śmiejąc się sam do siebie, poszedł wesoło i spiesźnie. Pół godziny nie minęło gdy już wrócił z odpisem i przeczytał go żonie. Był w tych słowach:

„Jako Chiron ze dwojej natury złożony,
W górę człowiek, a na dół koń nie objeżdżony,
Rad był kiedy przyjmował do swej leśnej szopy,
Nauczonego syna pięknej Kalliopy;
Na on czas gdy do Kolchów rycerze wybrani,
Pławili się przez morze po kozuch barani:
Równiem wam i ja tak rad, znani Poetowie;
A jeżeli u Chirona eni bohaterowie
Przyjmowali za wdzięczne wieczerzę ubogą,
(Bo tam wszystka cześć była) mleko z świnią nogą,
Nie gardźcie i wy tem, co dom ubogi niesie,
Bo jako Chiron także i ja mieszkam w lesie.
Będzie ser, będzie szoldra, będą wonne śliwy;
Każecieli też zagrać, i na tom ja chciwy:
Owo, prosto będziecie mieć zemnie Chirona,
Tylko że ja nie włożę za sobą ogona.“ *)

Śmiech pusty i serdeczny nie dozwolił odczytać wyraźnie ostatnich dwóch wierszy; wtorowały mu wesoło żona i córki; całe zaś pismo opieczętowane i napisane: Do Poetów, oddane zostało posłańcowi z Babina. Gdy już pojechał, Kochanowski zaczął wypytывать się żony, czem przyjąć myśli tak zacnych gości?

— Na tobie, moja Hanno, podstawa rzeczy — powiedział — choćbym ja im zaśpiewał jak Horacy i Wirgili, jeżeli będzie głodno i na sucho, nie pójdzie im w smak. Obiecałem im wprowadzić w moich rymach nie wiele, to cośmy dziś na wieczerzę mieli; ale i to może za nadto, bo kiedyśmy jedli, tośmy i zjedli.

— Wiecie przecież, panie mężu — odpowiedziała z lekką urazą — że ja Bogu dzięki resztkami nie gonię, owsa z pudeł nie wytrząsam, i nie śpię do południa, bo są na grzędzie kury co nas budzą rano. Kiedyście wy odpowiedź waszą pisali, ja tu z dziewczętami radziłam o obiedzie. Jak wam się zdaje, byłby dobry taki: Dwie polewki, jedna, rosół krakowską kaszką zasypyany, w którym będzie kura, wołowina, para jarząbków, korzeni i włoszczyzny jak najwięcej; druga: barszcz zabielań z rurą, z uszkami, z pieprzem i kielbasą. Właśnie zabiliśmy wczora wołu, a dziś każę ciele zabić; postawię wam na pierwsze danie mostkową sztukę mięsa z chrzanem i z ogórkami i pieczeń przekładaną z cebulą; będzie do tego kopa ogromnych raków i trzy misy jarzyn: groch cukrowy z marchwią, rzepka młoda z baraniną, i kapusta kwaśna z wędzonką: choć przeszłoroczna, jeszcze całę dobra. Na drugie danie przyjdą potrawy: kapłony z kluskami, mostek cielecy na białe.

*) Księgi IV. p. 29.

z mózdzkiem, młode kaczkę z zielonym agrestem rumiano, tłuste prosie czarnym sosem podlane, zrazy z kaszą i flaki z szafranem po Sendomirsku; pospolite jadło, ale wy je lubicie, to i ujdzie. Dalej nastąpi pieczone: dwie gęsi, dwa indyki, paw, pieczeń cieleca, zwierzyna, jaka teraz być może; a ponieważ kilku z owych panów jako i wy we Włoszech gościli, dam wam i trawy różne: sałatę głowiastą, rzeżuchę wodną, chmiel młody. Na czwarte i ostatnie, uraczę was słodyczami: będzie ciasto wysokie przekładane migdałami, posypane maczkiem, zaprawione piżmem, które ja sama upiekę: Ewa z Ludwiną zrobią białkę i tortele z ryżem... a Nastce doskonale się zawsze udaje arkas i rosiały...

— Dobrze, wyśmienicie — zawołał uradowany Kochanowski — jedno znowu nie sądźcie się do zbytku, pani żono; chędogo, obficie, smaczno, a z prostą; tegoć od nas żądać mają prawo a nie więcej: wiedzą, że ja nie pan, że Kasztelana w domu nie chciał, żeby nie strwonił tego co zebrał Kochanowski; wiedzą i to że kucharza Balcera po nieboszczyku Królu nie przyjął, a Stanisławski dzisiaj zajmęty...

— I jać dobrze o tem wszystkiem wiem; przecież trzeba żeby było przyzwoicie i uczciwie: wszak prawda, pani mężu? Jutro skoro świt, wyślę Nastkę do Kazimierza; musi mi nakupić kilku rzeczy; muszkatołowej gałki i kwiatu, karuku, cukrowego maczku różnej barwy i piżma...

— Bez tego by się obeszło; nie trzeba wydawać pieniędzy, apteki zbogacać...

— Nie dam jej też więcej nad sześć złotych na spra-

wunki: ale już tego nie załujcie. Któż mnie to w pierwszym roku zamełcia nauczył owego przysłowia: „Przy gościach lepszy talar szkody, niż szeląg wstydu.“ O napojach sami jak zwykle pomyślicie; już to wasza rzecz i Marcina. Co do porządku stołowego i co do usługi, można być spokojnym; starsze dziewczki nasze tego dojrzą, i ja też rzucę okiem. Zresztą, cóż mi to za wielka osobliwość, obiad, gdzie tylko jeden Starosta i czternaście osób? Stary Zubek za nie siebie nie będzie miał tak małej liczby gości, boć więcej nas się nie zbierze, choćbym też i ja ze trzema starszemi córkami do stołu siadała. A dobrze, co mi na pamięć przyszło: miałam się was zapytać panie mężu, czy mamy zasiąść z wami? Raczcież powiedzieć.

— Myślę sobie — odpowiedział po chwili milczenia — że mężczyźni u stołu, zawsze wolniejsi bez płci białej. Zasiądź przecież z nami, ale z jedną Ewą, jako z pierworodną naszą i już narzeczoną; weźcie między siebie pana Reja, a obok, ty, pana Starostę, ona księdza Kanonika i miła Hanno moja — dodał z przymileciem — bądź gościom naszym rada jak to umiesz, a pewno wszystko dobrze przyjmą. Atoli skoro zbyteczna wesołość nastąpi, odejdźcie obiedwie pod jakim pozorem, albo i bez pozorów; wiecie że skoro mężczyźni sobie dobrze podchmielą, płci białej dosiadywać z niemi nie wypada.

I tak stanęło. Kochanowska zaraz nazajutrz zajęła się całem sercem, całą przytomnością umysłu, jak zwyczaj miała, przygotowaniem wszystkiego, na uczciwe podjęcie spodziewanych gości: nic nie ujęła z pierw-

szego planu obiadu, raczej dodała, dosypując do każdej potrawy korzeni i zapachów: znała ona bowiem obyczaje lepszych kuchni ówczesnych, znała męża swojego, i wiedziała, że i on jakkolwiek o prostocie, o mierności i oszczędności mówi i pisze, lubi przecież żeby w jego domu wszystko było jak najlepiej, osobliwie przed osobami, które niemal wszystkie po dworach pańskich i królewskich bywały i za granicą gościły. Gdy już nadzedł dzień naznaczony, dzień 22 Lipca i zbliżało się południe, sama ze starszemi córkami dopilnowała urządzenia izby i zastawy stołu. Do fontanny z kurkiem, w rogu pod oknem będącej, nalano świeżej wody, i nagotowano wiązkę haftowanych ręczników przy ogromnej miednicy. Koniecznie było albowiem wówczas i dla słusznych przyczyn, jak się poniżej wykaże, mycie rąk przed jedzeniem i po jedzeniu; a liczba i piękność ręczników stanowiły część zasobu domowego, dowodząc oraz staranność i zręczność gospodyni. Na licznych dębowych półkach, które, jak wiemy, osłaniały ściany izby, w szafach olszowych za drewnianemi kratami skłniły się stojące stosami i rzędem talerze i misy cynowe, flaszki, konwie z uszami, czary, kubki, puhary, rostruchany; w kominie, gdzie już przecie od trzech blisko niedziel ogień nie postał, rozpierały się na ligarach dwie ogromne beczki wystęłego dwurazowego piwa, a opodal stał rząd beczulek i gąsiorków z miodem, z wiśniakiem, dereniakiem, maliniakiem i lekkim węgrzynem; piec cały otoczono butlami lepszego wina, lubo najszacowniejsze i wiekiem i smakiem, kryło się jeszcze w lochu, unikając ciepła izbowego. Stół jaworowy na nogach to-

czonych, długi, a nie szerszy na dwa łokcie, wysunięty został na sam środek; Kochanowska pokryć go kazała kobiercem, a potem nałożyła aż czterema obrusami, z których najcieńszy a najmniej był na spodzie.

Zwyczajem to było w porządniejszych domach zdejmować za każdym daniem spluskany obrus, a odkrywać świeży; żeby zaś plamy nie przesiąkały; pod każdą misę podścielano tak zwane miśniki, czyli płoty okrągłe ze słomy, mniejsze zaś takowe miał każdy stołownik przy swoim talerzu dla oparcia srebrnej łyżki i żelaznego sztućca; odmiany bowiem sztućców za każdą potrawą nie znano wtedy, chyba na królewskich stołach, i srebrne widelce i noże nie były wcale upowszechnione. Jużto był znak dostatku domowego, kiedy się znalazły jak w Czarnolesie srebrne łyżki dla wszystkich; nie wszędzie nawet kładziono przed każdym sztućce: nie były koniecznie potrzebne, gdyż prawie każdy nosił z sobą własną łyżkę i nóż, i najchętniej niemi jadał. Jużto przyznać należy, iż w owych czasach, kiedy tyle u nas jadano, porządek polskich stołów szlacheckich nie był wzorowy, myślano o tem co dać, a nie jak dać; usługa także nie była wcale wyszukana i trudna: pacholcy nie mieli prawie innej roboty, jak stawiać i zbierać półmiski, nalewać kufle, kubki i szklanice, a w dniu ciepła oganiać gości z much, zawsze licznych i natrętnych; niejednen biesiadnik odbywał na jednym i tym samym talerzu cały obiad, choćby też z kilkunastu potraw złożony: kości podawał psom domowym, które wiernie stołu pilnowały, a sosy i inne resztki zmiatał sobie chlebem. Kobiety jedne, zawsze obyczajniejsze od męż-

czyzn, mniej i przyzwoiciej jadały; a podobno dopiero od królowych Francuzek i dam ich dworu, rozszedł się po naszym kraju zwyczaj serwet, dawniej zupełnie nieznan, i do którego niejednen prostaczek długo nawyknać nie mogąc, usiadłszy do porządnego stołu, kładł serwetę pod talerz, a usta obrusem obcierał. Dziś na eleganckich stołach, często zastawa przechodzi wartość jadła; dadzą jednego kapłona i dwie kuropatwy na dwanaście osób; ale jakże to wybornie urządzone, jak subtelnie pokrajane. Bez wątpienia, szlachcic polski z XVIgo wieku posłałby mieszkańcom piekła równie szczupły obiad, albo zjadłby sam co dla dwunastu zgotowano; lecz przyznać należy, iż jest w tym wstrzemięźliwym wykwiniecie jakaś cecha wyższości człowieka: już się nie pasie, nie rozpycha jak zwierzę, ale pożywa jako stworzenie z ciała i z duszy złożone, które je, bo musi, i tę konieczność zwierzęcą uszlachetnia ile może.

Ale wróćmy do naszych gości.

W dzień naznaczony, o umówionej godzinie zajęchali w dwóch sześciokonných kolebkach dostarczonych im przez pana Pszonkę, dziedzica Babina, a w których już nieraz bujały się równie dojrzałe a wesołe dzieci. W głębi pierwszej, aksamitem żółtym wybitej, w piękne kwiaty malowanej i dosyć suto złożonej, rozpierał się stary Rej zasapany i czerwony, w żupanie karmazynowym z adamaszku, spiętym na wielkie bursztynowe żołędzie, które przyszyte rzędem od szyi do nóg, coraz prościej sterczały, gdyż okrągły brzuch pana z Nagłowic, bogatym pasem podparty, wystawał pewno na ćwierć łokcia dalej niż biała i długa jego broda. Chociaż na

takiemże samem siedzeniu na przodzie, trzy osoby siedziało wygodnie, obok Reja ledwo się wcisnął i to bowiem sam jeden Łukasz Górnicki, także niezłej tuszy człowiek i latami poważny, ale jako dworak i bywalec, umiejący zajmować mało miejsca w potrzebie. Naprzeciwko tych dwóch mężów, których nawykliśmy wszyscy kłaść razem imiona i ważyć zasługi, siedziało tedy trzech, rozprawiali żwawo językiem i ramionami, i jeśli nie ostreimi słowy, to przynajmniej szerokimi rękawami, krajami ferezyi dotykali się często wzajemnie; był to: Bielski, Paprocki, Strykowski. Zaszła między nimi sprzeczka historyczna, każdy obstawał z zapalem za swoim zdaniem, mało słuchając argumentów drugiego: pan Joachim z przekonaniem, pan Bartosz bardzo i obficie, a ksiądz Kanonik, szybko i namiętnie, tylko że czasem w największem uniesieniu więzło mu słowo w otwartych ustach i dopiero po kilku sekundach, albo po silnem tupnięciu nogą w pokład powozu, wylatywało skwapliwie.

W drugiej kolebce nierównie mniejszej i skromniejszej, także pięciu mężów się mieściło; prawda, wszyscy szczupli i smagli, bo jeszcze młodzi, ale co dziwnego, najmłodszemu z pośrodku siebie tyle potrafili zostawić miejsca, iż żaden z nich nie dotykał się szerokiej jego kapy włoskiej z czarnego bławatu; zdawało się, jakby mu tym sposobem jaką cześć wyrządzić chcieli: jakoż suty złoty łańcuch, którym miał owiniętą szyję trzy razy i który do samego pasa mu spadał, coś cudzoziemskiego w całym układzie oznaczały osobę znakomitą obcą; i ledwie obie kolebki zajechały na podwórze, młodzieniec

ten wpadł zaraz w oko stojącemu w ganku Kochanowskiemu, ile że mu był całkiem nieznany, a twarz jego ściągła i blada, małemi tylko rumieńcami okraszona, żywe oczy czarne, ezoło wysokie i przedczasem poorane, okazywały umysł bystry i pracujący.

Jeszcze też Rej podnieść się i wygramolić z głębi kolebki swojej nie podążył, lubo mu pomagali Górnicki i Bielski, kiedy po pierwszych słowach pozdrowienia wołał na głos śmiejąc się:

— Otóż, panie Wojski, kiedyście Apollinem być nie chcieli, i jedno was stać na Chirona; przywozim wam młodego Feba, prawie że z Nieba. Już on świat swoim geniuszem zadziwił i imię polskie daleko rozślawił, poeta uwieczniony, Stanisław Niegoszewski...

— A! — odrzekł z widoczną radością Kochanowski — ów młody mędrzec, któremu uczony Aldo Manucci równego na całej ziemi nie widzi; co dziwem był Wenecyi, gdzie właśnie tej zimy tak nadzwyczajne odbył posiedzenie: zaszczyt dla mnie rzetelny mieć go pod dachem moim.

I podał rękę wysiadającemu młodzieńcowi, który uściskawszy ją z uszanowaniem, powiedział może z nieco udaną skromnością i w rzymskiej mowie:

— Trąby sławy często są omylne, zwłaszcza gdy odgłos idzie zdaleka; pragnąłbym jedynie Waszej Miłości kiedyś sprostać i żyć w pamięci ludzkiej tak długo, jak Jan Kochanowski.

— Jeno wróć do ojczyzny, bracie, a pisz po polsku, i po polsku rozprawiaj; Włochy bez naszego rozumu

się obejdą; łacina też już od Horacego dojrzała i wyrobiona.

Tak się odezwał najbliżej stojący młodzieńca, i sam jeszcze młody, a po prawdzie tych słów i po zanedbanym ubiorze poznać było Klonowicza.

— Wejdźcież do komnaty, panowie bracia — mówił gospodarz skończywszy powitania — niechże was przedstawię mojej Hannie i starszym córkom.

— To pani i paniątka w komnacie? — przerwał Rej — tam do licha, bracie:

Kiedy jejmość w izbie bawi,
Gość się czystą ślinką dławii.

— A biedny Mikołajek — dodał głaszcząc się po brzuchu — już od dwóch godzin nic nie dostał. Bo Wasza Miłość, która mnie pierwszy raz w życiu widzisz — powiedział jeszcze wchodząc do komnaty, u drzwi której stała Kochanowska ze starszemi córkami — może nie wiesz, że stary Rej nic nie umie: jedno czapkę zdjąć, dobry dzień dać i o jadło pytać.

— Godziż się obmawiać samego siebie — odrzekła z uśmiechem gospodyni — w „Żywocie człowieka poczciwego“, innego Reja poznałam i takiego tylko znać pragnę.

A skłoniwszy mu się głową, witała innych gości w miarę, jak ich mąż mianował, wyrażając im po prostu ale uprzejmie szczerą radość że tylu zacnych panów, naraz w domu swoim przyjąć może. Córki kłaniały się także, otwierając wielkie oczy i nastawiając pilne uszy, żeby i twarzy tylu sławnych osób się nauczyć, i jednego słowa z owych mądrych ust nie utracić. Kochanowski

tymczasem obnaszał się z flaszą anyżówki i ze srebrnym kubkiem, zachęcając do różnych przekąsek, które na stole na farfurkach leżały; a zapijając i zającując smaczno powtarzał Rej:

— Przeglądzenie najwdzięczniejszy przysmak żołądkom naszym; wszystko mi się tu nektarem i ambrozyą być widzi.

— Bo i jest tak — wymówił dwornie Górnicki — czyż bogiń nie ma? — dodał wskazując na matkę i na córki.

Rozmowa z początku na przysadny ton nastrojona szła dosyć kulawo, jak to zwykle na wstępie, kiedy wiele jest osób, a każdaby rada coś grzecznego i dowcipnego powiedzieć. Wysunęła się też wkrótce gospodyni z córkami, po niedługiej chwili ukazała się już z jedną tylko Ewą; a z nadobnem przymileniem wzywając gości na skromny obiad, podała rękę Rejowi. Pan Starosta podał swoją pannie Ewie, lubo już Niegoszewski ramię był wyciągnął w tej samej chęci. Paprocki ze Strykowski zetknęli się biodrami w progu i wtłoczyli się razem; inni certowali się przededrzwiami, prócz Grochowskiego z Rybińskim, którzy czekając spokojnie na boku, poszli w ostatniej parze do izby, gdzie stało czterech pachółków w porządnej barwie: Janeczek z wielką gałęzią lipową do much oganiania, Szymek przy kredensie dla podawania mis i talerzy; Jurek zaś i Gąsiorek wraz z starym piwnicznym pilnowali napojów, surowy mając od pana przykaz, żeby broń Boże żaden kufel, żadna szklanica nigdy próżne nie były.

Umywszy ręce u fontanny taką koleją jak przyszli,

i otarłszy je szacownemi ręcznikami, goście zasiedli do stołu bez drożenia się i wahania, gdyż gospodarz sam znać każdy miejsce. Rej tylko dopytywał się u silnie gdzie misa? I tam chciał siedzieć, mówiąc:

„Zawdy ci więcej jedzą,
Którzy bliżej misy siedzą.“

Ale mis jeszcze na stole nie było; kurzyły się w dwóch głębokich donicach z uszami, z pięknej gliny Iłżeckiej, korzenne i treściwe zupy; do wyboru rozdawane były dla każdego wielkimi chochlami cynowemi; lecz wszyscy za przykładem pana Mikołaja zjedli i barszcz rumiany zawiesisty i złotą polewkę.

— Barszcz ojciec, a polewka matka; mój żołądek do bry syn, oboje miłuje zarówno — tak się tłómaczył z tego apetytu.

Jeden przecież Niegoszewski poprzestał na samym rosole; ledwie pokosztował ciężkich mięs z pierwszego dania; a kiedy mu Ewa nałożyła, jak innym talerz pieczeni z cebulą zakreślił nosa, i wyjąwszy z zanadru jakąś flaszeczkę wachał ją nieznacznie: odstawił też był na samym początku obiadu kufel tęgiego piwa, a prosił o jakie lekkie słodkie wino, albo wodę.

To obejście się Kavalera Rzeczypospolitej Weneckiej w niesmak poszło panu Rejowi, który po dwa razy nabierał każdej potrawy, a za każdą wypróżniał kufel chmielowego soku, twierdząc iż to najlepszy sposób rychłego trawienia; mimo więc pełnych ust i mięsiwa i ogórków, przebąknął z przekąsem jakby sam do siebie:

„Włochy tem się chlubią że perfumy mają,
A też śmierdzieć nie mogą, bo cienko jadają;
Od Polaka perfuma, pieczenia z cebulą,
A potem konew piwa, aż się oczy stulą*.”

Mimowolnie wszyscy głośnym śmiechem parsknęli na ten wierszyk trochę gruby ale niespodziany, a zwany młodzieniec dobrze się znalazł, bo chociaż pokraśniały mocniej okrągłe jego rumieńczyki, przecież rozśmiał się także i rzekł:

— Racście mi folgować, panowie bracia; kilkonastoletni pobyt we Włoszech a może więcej jeszcze praca osłabiły moją naturę; żołądek zczudzoziemczał, ale serce zawsze polskie, wierzajcie. Zresztą możebym zwolna wrócił do dawnego, lecz teraz nieszczęsne losy chciały, aby wysiadłego z pocztowego woza panów Montelupich, skołatanego długą drogą z Wenecyi do Krakowa, synowiec pana Pszonki zdybał w Krakowie i natychmiast porwał do Babina, gdzie mi przez cały dzień wczorajszy gwałtem jeść, pić i śmiać się kazano, a jam był chory i tęskny. Podobny ów tryb rzeczy pogorszył jeszcze mój stan, i zupełnie nie swój, wcale nie taki, jakibym tu rad się pokazał, jakim zwykle jestem.

— Ale też Wasza Miłość tą kordyaką i niesmakiem zasłużyłeś sobie na urząd Wesołka i Żarłoka Rzeczypospolitej Babińskiej — przemówił ze śmiechem Paprocki — rzadsza nierównie godność, niżeli szlachcica i kawalera Rzeczypospolitej Weneckiej, bo jedyna.

— I od tej nominacyi jestem tęskliwszy i mniej jeść mogę niż przedtem, jakby na potwierdzenie słuszności mego patentu.

To mówiąc dobył z kieszeni zwój pargaminu z pieczęciami i podpisami, pokazując go Kochanowskiej i Ewie.

— Przyjmij ofiary Kanclerza, panie Stanisławie — przemówił prawie ojcowiskiem uczuciem Joachim Bielski — zostań z nami, a inne patenta i dyploma będziemy wnet widzieli w twoim ręku. Akademia Krakowska niebawem uczciłaby cię katedrą, a król zaszczytami.

Na te słowa młodzieniec szukał odpowiedzi ale mu nie szła; Kochanowski widząc to zwrócił rozmowę na tor dawny i zapytał:

— Długożście bawili w Babinie, panowie bracia, i bawiliżście się dobrze?

— Niechcący zjechaliśmy się jak nas tu widzicie w przeciągu trzech dni — odpowiedział Górnicki, i pan Pszonka nazwał ten nasz zjazd Sejmem.

— Mnie już zastali — odezwał się Klonowicz — wiecie, panie Wojski, że ja, jako blizki sąsiad dobiegam tam ile razy mogę, uciekając od urzędu i od żony...

— Chcieliśmy też gwałtem — przerwał Rej, który wypoczywał nieco, gdyż właśnie po zdjęciu pierwszego obrusa, pachołki drugie danie zastawiali — chcieliśmy wydać przywileje Babińskie panom Klonowiczowi i Paprockiemu i dozwolić jednemu dobrać sobie drugą żonę do żyjącej, a drugiemu wziąć aż trzy na raz; ale uciekali od płci białej jak dyabeł od święconej wody. Dała im się snadź we znaki. Pan Bartosz zwłaszcza z takim zapalem powstawał przeciw małżeństwu, i bluźnił temu Boskiemu wynalazkowi, iż ja sam go podałem na Dziewo słę b a Rzeczypospolitej Babińskiej; co pan Sebastyan,

ten został zausznikiem wysokich dygnitarzy i pierwszym myśliwym Rzeczypospolitej.

— Przecież nie tak już gładko idzie w Babinie — przemówił jeszcze Górnicki — lubo zawdy tego jedzą i piją, jak szło za nieboszczyka pana Sędziego. Kiedy stary Pszonka przewodził i był Starostą, a uczony Piotr Kaszowski kanclerzem, wtedy jaśniały złote czasy Babina, i już podobno się nigdy nie wróca.

— Snadniej to przekazać następcy wioskę i piwnicę, niż dowcip i wesołość — zawyrokował Klonowicz.

— Może się nam i tak wydaje, panie Łukaszu — powiedział Kochanowski — młodość wszystko krasi barwą swoją; wschodzące to słońce: przy jego promieniach czarne skały rumiane się widzą. Jakieżście tam jeszcze urzęda rozdali, i kto trzymał protokół na tym waszym sejmie?

— Ja — odpowiedział Strykowski — znacie co mnie łatwiej pisać niż mó-ó-ó-wić.

— A co się tyczy urzędów i godności — dokończył Paprocki — udało się nie najgorzej je porozdawać: panu Rejowi do dawnych zaszczytów dodaliśmy urząd *Postka* czyli *Suchotnika*; pana Joachima, który od wszelkiej cześci się bronił, pan Starosta przezwiał *Chamem*. I ksiądz kanonik z kwitkiem nie odjechał, ma patent.

— Ksiądz Kanonik — przerwał Strykowski — sam prosił o urząd *ora-a-a* — i minęło kilka sekund nim mu z ust wypadło leniwe — *tora*.

— I dowodzisz nam czarno na białem, bratku — powiedział tymczasem Klonowicz — iż nie żadną intrygą stał się ten wybór znających się na rzeczy Babińczyków.

— A mójże Szymon kochany — zapytał gospodarz lękając się żeby z tych żartów do grubych przycinków nie przyszło — cóż przecie dostał.

— Jako młodzianiaszka przepomniano go na ten raz — odrzekł Rej oblizujący właśnie palce w tej chwili po chrupiącem uszku prosięcia — ale co tych dwóch panów — dodał wskazując na Rybińskiego i na Grochowskiego — którzy tam tyle mówili co i tu mówią, ja sam podałem na *Gadułów* babińskich, i przeszło bez oporu.

— Trzeba przecie, żeby ktoś słuchał kiedy inni rozprawiają — rzekł na swoją obronę Rybiński.

— I na świecie i w klasztorze przy starszych młodszy milcza — przytoczył skromnie Grochowski.

— Panowie wracają ztąd do Babina? — zapytała gospodyni.

— Wracamy dziś jeszcze na całą noc, jakeśmy to w liście naszym powiedzieli — odrzekł Bielski — musimy odwiedzić panu Pszonce jego kolebki; u niego też zostały jakby w zastawie nasze konie i powózki, którymi każdy ruszy jutro wieczorem do domu; Waszą Miłość wiesz najlepiej, że kiedy luba żona i miłe dzieci czekają z utęsknieniem, trzeba wracać.

— Ja jutro skoro świt pospieszę do Krakowa — dodał Niegoszewski, mam tam niektóre sprawy, a czas mego bawienia się w Ojczyźnie krótki. Muszę się stawić w końcu jesieni w Wenecyi; na drugi publiczny popis, który spodziewam się lepszy będzie od pierwszego.

— Chciejże nam Wasza Miłość powtórzyć — odezwał się Górnicki — z czego to był złożony on pierwszy;

jako mieszkańca wsi wieść o nim niedokładna mnie doszła.

— Długoby o tem mówić — odpowiedział Kawaler — lecz dosyć będzie powiedzieć, że mając z przyrodzenia i z pracy łatwość wielką do tworzenia wierszów każdego rodzaju, przytem ogromną pamięć jak nikt podobno na całej ziemi, bom gotów tysiąc wierszy przeczytać i spamiętać, ogłosiłem na kika miesięcy naprzód: „jako w dzień Najświętszej Panny Gromnicznej, roku bieżącego, w kościele św. Jana i Pawła zacznę dowodzić wszelkie teologiczne twierdzenia i całą Arystotelesa naukę; na zarzuty zaś jakieby mi kto czynił, odpowiem wierszem, heksametrem i pentametrem; równie jak na bądź jakie w przedniejszych naukach zadanie lub zapytanie“. Zbiegło się ludzi uczonych i ciekawych pełno; dotrzymałem obietnicy, rozprawa trwała całe dwa tygodnie; wszyscy się pomęczyli prócz mnie jednego: byłem okryty pochwałami i zaszczytami; a chciałbym drugim razem zebrać ich jeszcze więcej, przeto wcześniej sposobić się muszę.

— Zadziwiająca rzecz prawdziwie — przemówił Kochanowski — tego rodzaju sławy nam dotąd niedostawało.

— Nie będzie ona jednak zupełna, póki podobnego ogłoszenia na rynku Krakowskim nie otrąbią — dopowiedział Bielski, i do kościoła Panny Maryi na polski popis nas nie wezmą.

— Bez wątpienia Polak winien siebie polskim rzeczom poświęcić — uchwycił Paprocki wyglądający z dawna podobnej sposobności — bierz ze mnie przykład, panie Kawalerze. Oto niesłychaną pracą i wielkim nakładem

napisałem dzieło, które ściągnie na mnie chmarę nieprzyjaciół; ale póki stanie szlachty w Polsce, to jest zapewne do skończenia świata, póty o Bartoszu Paprockim wspominać będą. — To mówiąc dobył z kieszeni księgę w czwórce, kosztownie oprawną. — Jeszcze prawie wilgoćna, przed kilkoma dniami wyjęta z pod pras Garwolczyka; godny przypis do Miłościwego Pana złożyłem nie dawniej jak szóstego bieżącego miesiąca; długom się wahał czy jego czy swój umieścić konterfekt, ale rytownik niecnota nie wygotował Bartosza, musiałem na Batorym poprzestać. Jak się wam widzi? podobnyż?

Kochanowski wyciągnął rękę po otwartą księgę i rzekł spojrzawszy na wizerunek królewski:

— Wcale podobny; jego brwi w łuk podniesione, jego wąs, broda przystrzyżona, czupryna niewielka, nos może ma nieco więcej zadarty, a tuszę mniej okazałą; ubiór, taki w jakim go widziałem raz ostatni; bekiesza z sobolem, żupan z złotogłowiu, guzy jakby konchy kamieniami nasadzane, czapka niska z piórkiem kapłoniem; jedna ręka w kieszeni, jak ma zwyczaj; ależ ducha gdzie szukać? owego mądrego a przenikliwego spojrzenia, owej bohaterskiej postawy: włoskiegoby pędzla na to potrzeba... Lecz zapominam patrzeć tytułu waszego dzieła: Herby rycerstwa Polskiego: dziękujemy wam, Panie Bracie.

— Podziękujecie spodziewam się jeszcze lepiej — odpowiedział pawiać się autor — obaczcie jedno stronicę 556.

— Domyślam się — wyrzekł Kochanowski spoglądając ukradkiem na żonę i zamykając księgę. Wszak już.

są raki na stole, Wasza Miłość chcesz, abym i ja stary raki piekł?

— To ja przeczytam — wniósł Górnicki biorąc księgę — wiem naprzód co tam nie nadto nie będzie: „Herb Korwin, ptak z pierścieniem. O klejnocie Korwin, który zkąd a jako dawno do Polski przeniesion, o temeś już czytał pod Ślepowronem, co za przodkowie tej familii jakiej zacności bywali. Tu w Polsce jakiej zacności, jakiego zawołania, jakiej ozdoby dom Kochanowskich, samego Jana imie daleko o tem znać dawa; z greckimi, z łacińskimi poety, które on wiek stary za najprzedniejsze liczył, porównał; w naszym polskim języku przed nim nigdy, a po nim trudno będzie o takiego, coby z nim porównać się miał“.

— A ja dodam jeszcze coś więcej do tej pochwały — przemówił Paprocki — wiersze które złożyłem w tej chwili:

Jan Kochanowski w Czarnolesie,
Wsi ojczystej mieszkając, takim wierszem śpiewa,
Jakiego i Helikon podobno nie miewa;
A śnaćby mieli mówić po polsku bogowie,
Jużciby z Kochanowskim przestali na mowie.

— Dosyć, dosyć — wołał Jan zasłaniając sobie twarz talerzem, z którego właśnie zmiotł był dobrą porcją ulubionej sobie potrawy — co tam chwalić czcze wiersze; oto lepiej jedzcie a chwalcie Sandomirskie flaki.

— Kapusta i flaki, dobry obiad taki — powiedział Rej podsuwając powtórnie swój talerz Kochanowskiej — smaczna potrawa mnie zawsze do powtórzenia wzywa. Ależ pani Wojska — dodał — u was widzę nie obiadek jakeście mówili prowadząc nas tu, jeno całą gębą

obiad: każdy wstawszy, jeżeli wstać podola, będzie mógł śmiało powiedzieć że się objadł.

— Wasza Miłość — odpowiedziała ze śmiechem gospodyni — zaraz by z bicia, z jednego słowa dwa uczynić umie.

— Bo jeno uważcie, moi mili — mówił dalej Rej — który mając już słuch nieco przytępiony niezupełnie słyszał co na drugim końcu stołu mówiono — uważcie wielki rozum naszych przodków w układzie języka, na którym my szaleńcy długo się nie znali, jaka to trafność w nazwaniu codziennego a rozmaitego jadła: śniadanie kiedy się je, na dworze jeszcze śniado; obiad, już wyłożyłem; podwieczorek, wieczera dosyć nazwać żeby wytłumaczyć; podkurek zaś, wielki mój przyjaciel, danym być powinien do łóżka o północy na zapianie kurka.

— Wy jednak pierwsi, panie Reju — odezwał się tu Górnicki — dopatrzyliście owych szczególności; wy pierwsi z Polską mową tak igracie.

— Taki gracie! pięknie, panie Starosto, wymyślać staremu; a pamiętajno Wasza Miłość coście i wy nie dzisiaj. A kto to mnie już blisko przed dwudziestą laty w jakowymś „Dworzanie“ o podobne rzeczy obmawiał? Zresztą może tam z młodu był kęs dowcipu w tej głowie, ale co dziś są nierównie lepsi odemnie, którym igraszka słów wypada z ust jak kamień z procy, z którymi ani się dogadasz. Naprzykład Vere nobilis, pan Smolik, młody jeszcze a już kuty w conceptach. Wiecie co powiedział tej zimy? Oto idącemu ulicą w Krakowie zaszedł drogę żebrak, i mówi do niego: „Pro-

sze Waszej Miłości na chleb“. A on mu na to: „Jedz bracie sam, ja wolę iść do księdza Biskupa, który mnie prosił na zraz pieczeni“. — On także kiedy go się niedawno pytano jak sobie uważa świętych, odpowiedział: — „U mnie najlepszy To-masz, a najgorszy Ja-dam“.

— Wybornie, udało się — mówili obecni śmiejąc się. Niech żyje Smolik i Rej!

— Lepszego pono od nas obudwóch spotkałem niedawno, zwłaszcza w sztuce odpowiadania na to, czego mu nie mówiono — prawił dalej rozochocony staruszek — a to prostego chłopca; kiedy zaś mówię prosty, nie to się ma znaczyć co nie krzywy, ale że zgola gbur. Kasztelan Międzyrzecki jechał tej wiosny na zaloty, i mnie obrał sobie towarzyszem. Przyjechawszy rano do Łek, pięknej wsi pod Krosnem, pytam się chłopca, bo lubię z niemi rozmawiać:

„A kto tę wieś trzyma?“

„Ziemia a płoty“ odpowiada mi.

„A któż tu panem?“

„Ten co ma najwięcej pieniędzy“.

„A któż tu starszym?“

„Jest tu baba co jej już przeszło sto lat“.

„A któż tu najwyższym?“

„Lipa nad kościołem, co ją oto widać“.

Zmiarkowawszy co już o wieś się nie dopytam, chciałem się dowiedzieć jaka pora: „Dalekoż południe?“ mówię mu.

„Nie szło tędy, miły panie, nie wiem jak daleko może być“.

Rozgniewany taką przebiegłością krzyczę na niego: „Ej! widzi mi się, chłopie, weźmiesz w gębę“.

„Nie wezmę, panie, bom nie pies; wolę w rękę jako człowiek“.

I to mówiąc nadstawia łapę; i dalibóg dałem mu złoty, bo mnie rozumu nauczył.

Teraz znowu będąc w Żarkach pytam gospodyni: „Bije tu zegar?“

„Zegaru niema, odpowie, ale pan tego bije“.

— Nasz lud ma swój własny, nienauczony, lecz wielki rozum — przemówił Górnicki gdy ustały śmiechy, temi conceptami wzbudzone.

— Tak, zwłaszcza kmiecie i pasterze pana Szymona — rzekł Klonowicz.

— Temu nie zaprzeczam — mówił dalej pan Starosta — właśnie bawiąc teraz parę tygodni w Krakowie, uczęszczałem oczywiście do Kancelarza, i pan Szymon w gronie uczonych, które zawsze tego wielkiego męża otacza, mówił nam najnowszą swoją Sielankę: Zalotnicy. Niech się schowa Teokryt i Wirgili.

— Czyby jej też usłyszeć nie można? — Ozwwała się zgodna a nalegająca prośba z ust wszystkich, nawet z niewieścich.

— Całej nie pamiętam i byłaby zbyt długa — rzekł z przyzwoitą skromnością młody poeta — ale kiedy tak łaskawa wola wasza, powiem drugą połowę; pani Wojskiej i pannie Ewie podoba się lepiej: w pierwszej Mopsus opiewał zaloty Amintasa do pięknej lecz leniwej i ospałej Neery, w tej Licydowe do mniej urodziwej ale dobrej gospodyni Likory:

„Wtenczas Likorys krowy w dojniku doiła,
Licydas sieczkę rzezał. „Zawsześ mnie żywiła
Ręko moja : kto Bogu dufa a pracuje,
Do ostatniej starości nędzy nie uczuje.“

Dziś sieczkę rzeżesz, sieczka nie rzeże się sama,
Likorys, przy tej ręce będzie dobrze nama.
Ręko moja, kto Bogu dufa a pracuje,
Do ostatniej starości nędzy nie uczuje.

Panem się nikt nie rodzi ; siła zostawiają
Dzieciom rodzice, siła dzieci utracają.
Praca skarb najpewniejszy, kto się spuści na nie
I za żywota ma chleb i po nim zostanie,
I ty Likory u mnie nie będziesz zebrała
Nie będziesz, gdy nie będziesz z mną próżnowała.
Ręko moja i t. d.

Widziałem cię u tańca, i tak mi się zdało,
Iść tamto igrzysko najmniej nie przystało ;
Lubo cię w płasy wzięto, lub do gonionego :
Trudno ciągnąć, kto niema umysłu do czego :
Piękniej ci u roboty, w tejeś przodek miała,
U robotys mi naprzód do serca przystała.
Ręko moja i t. d.

Pomnisz ? kiedyśmy byli pospołu na żniwie,
Pszenicę wtenczas żęto na siedzianej niwie
Zagon twój był wedle mnie ; tak ci tam służyło
Szczęście, że sierpa w ręku ledwie dojrzeć było.
Jeszcześ nam przyśpiewała ; przyznać ci się muszę,
Chcąc się tobie przeciwieć, siliłem się z dusze
I mówiłem do siebie : Boże ! jeśli zdarzysz,
Niech taki zawsze robi wedle mnie towarzysz.
Ręko moja i t. d.

Widziałem, pod kądzielą kiedyś siadywała,
Samać się do wrzeciona nic z palca puszczała,
Jedwab nie będzie taki ; u ciebie i spanie
Najpóźniejsze, u ciebie i najrańsze wstanie ;
Tobie czeladź nakarmić, tobie pochędożyć
Wszystko w domu i wszystko na miejscu położyć ;
Ława zawsze chędogo, pomyte naczynie ;
Mówiłem : komu cię Bóg da, z tobą nie zginie.
Ręko moja i t. d.

Jeżliś mi przyjacielem, podobno nie zgadnę ;
Gdyś chusty polewała onegdą czeladne,
Były też tam i moje, a iż w ręce były
Przyjaznej, przed inszemi jawnie to świadczyły,
Biało mię sobie nosisz, noś mię sobie biało,
Równemu z równym zawsze na świecie przystało.
Chędogo choć ubogo ; bodaj się świeciły
Ręce twe zakasane, bodaj memi były !
Ręko moja i t. d.

Dworniczko ! ty się teraz przesypiasz w południe,
Likorys krowy doi ; nie bardzo to cudnie
Spać we dnie gospodyni ; jeszcześ się nie dała
Snać czeladka ; śnać żeś jej mało doglądała.
Teraz masz wierną, potem nie wiem jaka będzie.
Jakobyś sama siadła, gdzie Likorys siedzie :
I kropla tam nie zginie, i nie zadojone
Cieleta, i mleka w skopce napełnione.
Ręko moja i t. d.

Koso, palec to ; czyli kto zaloty stroi,
Abo się zamyśliwa, a przy kosie stoi ;
Prędzej w palec zawadzi ? O ! moja Likory,
Wiesz ty, jakom cierpliwy i jakom nie skory.
Róbwa już raczej na sie ; służba nie na wieki :
Niech ja twej pewien będę, ty mojej opieki.
Ręka rękę umywa, noga wspiera nogi,
Przy wiernym przyjacielu żaden nie ubogi.
Więcej Bóg ma niż rozdał ; jest nasza u Niego
Cząstka też : nie opuszcza On człeka żadnego.
A kto w zakonie Jego prowadzi swe życie,
Wszystko się zdarza, wszystko płynie tam obficie.
Dufajmy Mu, a On nam niechaj błogosławi.
I kiedyż ten dzień będzie gdy nas obu stawi
Przed ołtarzem ? uspokój, proszę, myśli moje,
Wszakżeś i ty człowiekiem ; uspokój i swoje.
Tak śpiewał a już sieczki wielka kupa była,
I Likorys naumyślnie u krów się bawiła“.

Gdy skończył i powszechne zabrzmiały pochwały
gładkości wiersza, naturalności obrazu, czystej moralności

każdego zdania, a zwłaszcza zwrotki, Ewa powiedziała cicho do matki:

— O! gdyby to można uprosić tę śliczną sielanekę u pana Szymonowicza; nasz pan Łukasz by przepisał, a ja bym się nauczyła dla pana Filipa.

— Wartałoby coby każdy z was, panowie bracia w Apolinie — rzekł gospodarz już nieco podchmielony i nie słysząc wcale słów córki — podobnie nas uraczyć chciał jak zacny pan Szymon; jużesmy się piwa, miodu i lekkiego wina opili; czas się zbliża na lepsze, na alikanty, małmazye; na starego ojcowskiego węgrzyna; muzyka za oknem i do pieśni wzywa; trzecie danie na stole, pieczone i trawy: jedzmy co żywo; skoro zdejmą trzeci obrus i słodycze nam postawią, pora będzie najlepsza. Dalej Biernas, dobywaj pleśnią okryte butelki; nagotujcie kolejne puhary. A niech tu Nastka — rzekł obracając się do pacholka — przyprowadzi naszą Safo, dziedziczkę mojej lutni.

— Orszulkę! Orszulkę! ową nieporównaną dziecinę! — ozwali się ci wszyscy co już w Czarnolesie bywali i znali ją. Zaprawdę, godzi się nam pokazać to utajone bóstwo.

I wpuściła stara piastunka śliczną dziecinę, która już oddawna stojąc podedrzwiemi, prosiła się do uczonych gości. Prosto z otwartemi ręczynkami do szyi ojca pobiegła, a gdy ją postawił na swoich kolanach, wszystkim obecnym wdzięczne oddawała ukłony, przykładając różane swoje paluszki do ust koralowych, i tym którzy jej znani byli posyłała głośne i lube pocałowania.

— Żywy anioł z nieba — mówił Rybiński z Grochow-

skim. Istna cnej Wenery dziecina — powtarzali drudzy z Szymonowiczem.

— Słuchaj — powiedział do niej ojciec, gdy już trochę z pochwałami ucichli — ci panowie umieją składać wiersze, tak jak i ty składać zaczynasz; może który z nich powie nam co swego, może i ja co powiem, pomysł i ty i powiesz nam także.

— Zgoda — odpowiedziała głaszcząc ojca po wąsach — jedno, pozwólcie niech pierwszej trochę posłucham i napatrzę się.

I to mówiąc oczy jej ścigały różne ciasta i przysmaki, które pacholki znosili na farfurach i cynowych półmiskach i ustawiali już na ostatnim obrusie. Matka to spostrzegłszy dała jej kawałek piżmowanego ciasta, i ciało dziecięcia jadło, a duch widzieć było że uważa i myśli.

— Któż zacznie? — spytał Kochanowski nalewając szacowny puhar sędziwym węgrzynem.

— O! już wybaczycie, panie Janie, nie wszyscy mówić będziemy — przerwał Górnicki — ja zupełnie się wymawiam; minęły już owe czasy, kiedym składał rymy, kiedy to Wasza Miłość zwałęś lutnię moję Orfeową. Jenó w Babinie mogłem podpisać się poetą.

— I ja toż samo — odezwał się Bielski — moje wiersze w kole niewiast by uszły, ale nie w tem Muz siedlisku.

— Będzie mówił kto zechce, i komu co ślina do ust przyniesie — oświadczył gospodarz — przymusu żadnego, wolność i swoboda bez granic. Puhar obejdzie kolej; dawniej częstokroć na dnie znajdowało się natchnienie,

może tak i dziś będzie. Po starszemu na gałąź! Panie Mikołaju, wam wino i piosnka:

— Wiecie co ja nie poeta, jedno wierszokleta — odrzekł Rej, kładąc z pokorą lewą rękę na piersiach, a prawą wyciągając po kielich.

Jam prosty Polak, nigdzie nie jeżdżając,
Tum się pasł na dziedzinie jako w lecie zając;
Z granice Polskiej milej nigdzie nie wyjechał,
A z młodu bardzom długo nauki zaniechał.“*)

— Otóż i mamy wierszyk! — zawołał Kochanowski wesoło. Z Waszą Miłością sprawa nie trudna; spełnijcie puhar do kogo wola wasza: już z popisu kwitujemy.

Rej równie do wiersza jak do napoju ochoczy, spełnił duszkiem złote naczynie, i zawołał na Klonowicza:

W ręce wasze panie Sebastyanie,
Wiersze u nas latoś bardzo tanie;
Powiesz byle co: ita, fita, mita,
I juści kwita.

— Tem ci lepiej — przebąknął Klonowicz, i wysączył wino z puharu co do ostatniej kropli — ale choćbym chciał z czem wystąpić, bądź ladajakim, nie wiem zgola czy potrafię — dodał powłócząc oczami i głosem zmienionym a rozwlekłym.

Trunek kto zbyt pije, rozum w nim wygasza;
A kto bardzo dolewa — i duszę wystrasza.

— Dajcież sobie święty pokój z podobnie zdrożnemi prawidłami — okrzyknął się Kochanowski — komu głowa bardzo cięży, dalej go pod kurek oblać zimną wodą.

*) Ostatni ten wiersz inaczej jest wydrukowany w dziełach Reja, znać zmienił go do okoliczności.

I dał znak dobrze znany Szymkowi i Jurkowi, którzy wzięwszy Klonowicza pod ramiona, zaprowadzili go do fontanny; nie wzgardził ową ablucją, a kiedy tego zmaczany otrząsł się jak dziki żrebiec w kniei, i usiadł znowu do stołu żwawy i przytomny, kurzyło się z czarnej czupryny jak z kotła wrzącej wody.

— Ja tam — przemówił Kochanowski odpowiadając na dwuwiersz Klonowicza — wcale inaczej trzymam o trunku, i większy mam dla niego szacunek:

Jam nie dbał nigdy o złoto,
Alem tylko prosił o to:
Aby kufel stał przedemną,
A przyjaciół pijał ze mną;
A tymczasem robotnicy
Pieczę mieli o piwnicy.
To wszystko moje staranie,
To skarb, złoto i zebranie.
Ani dbam o Kasztelana
Trzymając się mocno dzbana“.

— Oto wierszyk gładki i uczony, choć pracy nie wiadać — wyrzekł półgłosem Rybiński — prawdziwy mistrz nasz pan Wojski.

— I chciano żeby przy tym stole my młodzi się odzywali — odpowiedział Grochowski.

— Panu Kochanowskiemu snadniej niżli wielu innym ofiary składać Muzom — rzekł tu Klonowicz — ma pokój w domu, i na własnym zagonie siedzi; ale zrób co przy uciążliwym urzędzie i przy złej żonie: dalipan, lepiejby sobie kamień u szyi uwiązać i cisnąć się w wodę. Nie raz w mojej ubogiej komórcie szukam wypoczynku, natężnienia, a tu wbiega żona zapłomieniona, siada mi na karku żebym jej dał pieniędzy na stroje, na wino. Le-

dwie jej się ciężkim kosztem pozbędę, i do pióra wracam z rozkoszą, wpadają pachołkowie miejscy wołając: „Sądź sprawę, wyznacz gospodę, wyszukaj konia dla służki pana Wojewody co z listem do pana Starosty jedzie“. Przyjdzie z nędzy i z rozpaczyny skończyć gdzie życie w szpitalu, a dalibóg, gdyby człowiek miał swobodę, pisałby i tworzył jako tako.

Ja kiedy się nad prosty gmin ku Niebu, na chwilę,
Do Febusa wychylę,
Wnet frasunek zazdrościwy jakiś wróg przytoczy,
Które mnie zaś w gmin wtłoczy.
Trzeba bowiem animuszu niezamarszczonego
Do wiersza uczzonego.
Kiedyby się nad rzeczka mogła włóka dostać.
Mogłoby się co sprostać.

— Piszecie wy i tak pięknie a niepospolicie — powiedział Górnicki — jeno zaczniście podawać do druku dzieła wasze; niech je świat pozna.

— Jeszcze nie tak rychło — odrzekł Klonowicz — ja lubię z niemi się pieścić samotnie, odczytywać, poprawiać, przepisywać, czytać temu kto mi się podoba; póki w tece, póki pisane, póty moje; a to mój skarb jedyny: Muzy całą moją pociechą.

— A któż z śmiertelnych, któremu wyższego ducha dali bogowie znajdzie ją gdzieindziej? czyżby u ludzi szukać jakiej ośłody? jeden cię nie oceni, drugi oczerni, trzeci okradnie.

Te dumne a gorzkie słowa wymówił długo milczący Strykowski, wymówił je zupełnie gładko, język jego bowiem miał tę własność że go wino rozwiżywało.

— Ja od dzieciństwa — ciągnął dalej, — z księgami żyłem, w nich się kochałem:

Małom darów Cerery — mogąc słusznie — użył,
Bo cnocie, sławie wiecznej, nie brzuchowi służył;
Częstom obiad przerywał usilnem czytaniem,
I rozmaitych rzeczy w mózgu rozmyślanem;
Częstom łyżkę porzucił a jak w zachwyceniu
Wziąwszy pióro, strawiłem wieczerzę w ćwiczeniu.

— Szczęście przynajmniej, co Wasza Miłość dziś ni łyżki ni szklanicy nie rzucił — przebaknął z lekką urazą Rej, który skoro była o brzuchu mowa, zawsze to brał za przymówkę do siebie.

— Ja się też bynajmniej nie zapieram — odpowiedział Strykowski żywo — iż z Bachusem potykam się często i chętnie; w rocie Sylena rzadko bywam, a ilekroć mnie płomienie Cypryjskiej pani chcą ogarnąć, helikońskimi zdrojami je gaszę.

Tu Kochanowska spojrzała nieznacznie na męża pytając go oczyma, czy jużby nie wypadało jej i córce wstać od stołu? ale on trząsnął głową. Orszulka jeszcze z niczem się nie popisała; nie dojadłszy pachnącego ciasta oparła czoło na ramieniu ojca, patrzyła błędnie, i prawie było widać myśli snujące się na tem czole.

— Słowiczku mój, odezwijże się nam — powiedział Kochanowski całując ją w głowę — cóż dziś tak długie usta twoje zamknięte? nigdy tego nie bywało.

A ona odpowiedziała poważnie:

Myślę, Ojcie. — Gości wiele,
Zda się kwitnie nam wesele!
A tu może już gdzie z boku,
Łza jest w sercu, łza jest w oku.

Kto wie czy za tą pogodą,
 Chmur czarnych wiatry nie wiodą.
 Jedna jest błoga kraina,
 Gdzie trosk niema ni goryczy;
 Tam tonie każda godzina,
 W źródle szczęścia i słodyczy;
 I znowu wypływa
 Słodka i szczęśliwa,
 Tam słońce wieczyste świeci
 Dla ludzkich dzieci;
 Bo wszelka człowiecza trwoga
 Ginie u Boga.

Zdumieli się wszyscy zacząwszy od ojca, może nie tyle nad wierszykiem, gdyż wiedzieli że dziewczę rymuje z taką łatwością jak ptaszki śpiewają, ile nad duchem wierszyka; lecz nikomu, nawet ojcu nie przyszedł w porę, nie przypadł do smaku. Kochanowski w którym przy wesołej biesiadzie odzywała się światowa żyłka i nałogi swawolnej nieco młodości, nie rad smutnym myśłom, tembardziej że mu zaraz stawał przed oczami oddalony przyjaciel; powstał żwawo, oddał Orszulkę matce, a już nie źle podpily, porwał pełny puhar, kazał po-
 otwierać wszystkie okna, muzyce grać huczno i wesoło, i jakby na kiel biorąc, tak się z Anakreonem odezwał:

Skoro w rękę wezmę czaszę,
 Wnet ze łba troski wystraszę;
 Więc iż mniemam że mam wiele
 Ztąd mi łącno o wesele
 Wieniec musi być na głowie,
 A fraszka wszyscy Panowie.
 Kto się chce bić — obuj zbroję:
 Ja przy kuflu przed się stoję;
 Bo tak mniemam iż upitym
 Lepiej leżeć niż zabitym.

Skoro taką nutę podał gospodarz, natychmiast Rej,

Klonowicz, Górnicki, Paprocki, Strykowski, wszyscy zgola-
 całem gardłem wtórować mu zaczęli: przemówił Rybiński
 z Grochowskim, bo któż przy dobrem winie w gronie
 wesołych przyjaciół nie rozochoci się; przyszła i łacina
 na stół; rozruchał się i kawaler Niegoszewski, któremu
 lekkie napozór bo słodkie wino, także w głowie zaczy-
 czyło. Zaczęły się snuć koncepta, dwuznaczne ucinki bar-
 dzo dowcipne i śmieszne; nie jeden z nich mógłby za-
 jąć przyzwoite miejsce między owemi fraszkami, któ-
 rych zacny Bohomolec nie wydrukował; ale skoro po-
 podobny tok rozmowa przybrała, a wina coraz natarczywiej
 wołano i dolewano, Kochanowska z Ewą i z Orszulką
 wyszła z izby. Nie zdziwi to zapewne ani rozgniewa
 nikogo, że i ja pójdę za jej przykładem.

XXII.

Błądziłem gdym trosk nie znał, dziś lepszy karany.

Psalm CXVII.

Ostatni to był dzień wesoły dla Kochanowskiego. Nie złota którą usłużne Parki przedły dla niego od lat tyłu, jakby zczerniała nagle w ich rękę, wróżąc zapewne rychłe całego wątku wysnucie; albo raczej chrześcijańskich używając wyrażeń: Opatrzność chciała tej pięknej ale jeszcze do świata lgnącej duszy nadać hart naizbawienniejszy, hart nieszczęścia, by doskonalsza i wyszczona powołać do siebie. Widzimy nieraz dotąd podobne przykłady. Człowiekowi zacnemu wszystko dobrze się powodzi; ma szacunek u ludzi; on w sobie, drudzy między sobą mówią: „Słusznie że tak jest, tak się należy, tak być powinno do końca“. Tymczasem niespodzianie gdyby nawałnica spływa na tego człowieka: tola: jak w wysokie i nad inne wybiegłe drzewo m po gromie uderza, i wnet pada wśród przerażenia tej okolicy, może sam jeden przygotowany do tego losu, i wzbudza w znajomych sobie tę zbawienną trwogę: „Kiedy jemu tak, cóż mnie?“

W kilka godzin po rozjechaniu się uczonych i podchoconych gości, po odmówieniu spólnych pacierzy,

na ten raz bez gospodarza, gdyż rzuciwszy się na łóżko tak jak był ubrany zasnął, jeszcze przed zachodem słońca; Kochanowska gdy się już wszyscy położyli i usnęli, wstała około północy i zaczęła według swego codziennego zwyczaju śpiącą działawę oglądać, patrząc czy której czego nie brakuje, czy dobrze i przystojnie leży? Otulając Orszulkę, która wszystko z siebie zrzuciła, dostrzegła w jej główce i rączkach wielkiego gorąca, i strwożyła się bardzo, jak zwyczajnie matka. Już nie wróciła do swego łóżka, nie położyła się, tylko zarzucając białą mentlik, to stała po całym kwadransie nad kołyską córki, a zasłaniając świecę ręką, wpatrywała się w nią, to znowu chodziła niepewnym krokiem po sypialnej izbie; i koila coraz wzmagającą się niespokojność mówiąc sobie:

— Ej! próżno się turbuję, jeszcze sobie zaszkodzić mogę... ona dziś tyle osób widziała, tyle słyszała rzeczy, sama u stołu na taki poważny wierszyk się zdobyła, jadła więcej niż codziennie, ciasta, słodczy, pokarmów niezdrowych, podobno i wina dał jej ojciec: niema nic dziwnego, nie strasznego w tej gorączce. Już jej tak nieraz bywało: ona miewa często główkę rozpaloną. Oto niedawno po odwiedzinach Kancelerza, pamiętam, takżem się wylękała; całej nocy nie zmrużyłam oka, a ona Bogu dzięki wstała nazajutrz zdrową i wesołą. Będzie tak i jutro, da Bóg. Muszę jednak prosić męża, żeby przez czas jakiś nie zachęcał jej do rymowania, do śpiewania; żeby się niepopisywał z nią przed nikim, żeby nawet psalmów swoich przed nią nie powtarzał. Muszę i Nastę przykazać żeby jej nie usypiała dumkami; innym dzie-

wczetom naszym to nie szkodziło, ale ona wszelką mądrość jakby piła, jakby brała z siebie: wybijała nadto, rozwinęła się za prędko, jak kwiatek zbyt szybko hodowany... kiedyś ona przed rokiem mówiła! żadne z naszych dzieci takie nie było... bo i kiedyż i gdzie, równie cudownem dzieckiem rodzice się chlubili... Pani Kasprowa zawsze mówi, że jej córeczka była podobna... nie dożyła też i trzech lat... Pan Bóg zabrał jak swoje.

A na to wspomnienie dreszcz zimny biedną matkę przechodził, krew jej cała zbiegała się do serca, serce biło prędko i boleśnie, najokropniejsze ogarniały ją przecucia, przerażało ją wskrós samo milczenie w okolicy panujące, przerywane tylko ciężkiem chrapaniem męża w alkuwie, za kotarą. Były już chwile kiedy usłyszawszy bolesny jęk Orszulki, dziwacznych słów kilka, albo przyspieszonego jej oddechu, chciała budzić jak najprędzej Ewę, Ludwinę, Nastkę i dom cały, użyć wszystkich swoich sekretów lekarskich i zapasów apteki; ale bała się znowu zatrwożyć ojca, może na próżno, zaszkodzić jego zdrowiu. On staropolskim zwyczajem utrzymywał, że kiedy niekiedy upić się stanie za lekarstwo, byle po takowej przeprawie użyć snu ciągłego najmniej przez godzin dwanaście, a potem przetrwać całą dobę o jednej misie czystego a kwaśnego barszczu.

Przebyła więc całutką noc Kochanowska nie śpiąc, nie kładąc się nawet i bledząc się sama jedna, dopóki pierwszy błysk zorzy wpadający przez okiennice nie obudził Ludwiny, która zawsze przed wschodem słońca wstawała, i szła do ogrodu pod jabłoń swoją albo do komórki na górę zacząć dzień z Bogiem.

Zwierzyła jej się matka z niespokojnością swoją, znacznie nawet pomnożoną, gdyż Orszulka zamiast ochłodzić nad rankiem, coraz była gorętsza. Pobożna a nie-doświadczona dziewczeczka mniej daleko się zatrwożyła od Kochanowskiej, uspokoiła ją nawet cokolwiek słowa swojemu, pełnemi jak jej dusza spokoju i świętej nadziei, a chcąc obecnością swoją matce ulżyć, i dać jej czas do naradzenia się z Nastką o sposobach ratowania prędkiego chorej dzieciny, nie wyszła już dla tego na swoją poranną modlitwę; usiadła przy kolebce i nie odstępowała jej na chwilę, dopóki Ewa i inne siostry nie wstały, a i wtedy zamiast się udać na ulubioną samotność, wołała dzielić trudy i zachody rodziny i całego domu.

Orszulki gorączka za każdą chwilą wzmacniać się zdawała, a nabrękle jej policzki ogniem pały. Około szóstej godziny obudziła się, zerwała i usiadła na posłaniu, ale rysy jej twarzy były zmienione, oczy obłąkane, słowa bez ładu. Zrazu ani matki ani Nastki, ani sióstr przybiegających do niej skwapliwie nie poznała, owszem odpychała je od siebie; widać było że mocno cierpi, a gdy jej pytano co ją boli? nie odpowiadała wprost; tylko jękiem mówiła:

— Kto mnie kocha, kto Jezusa kocha, niech mi weźmie głowę: spali się, rozpadnie; nie wytrzymam!

Poznawszy z tych słów gdzie było siedlisko choroby, Kochanowska przecuciem macierzyńskim wiedzioną, chciała koniecznie okładać część cierpiącą zimną wodą, lodem gdyby był; ale Nastka i inne służebne, z

których każda coś innego rała, nie dopuściły tego najlepszego w takim razie ratunku.

— Zabiłby panienkę jak muchę, sposób taki — mówiły ze zgrozą — kto zaś słyszał w gorącu oziębić nagle! a to śmierć gotowa; tu potów trzeba gwałtem, potów, a wszystko złe wyjdzie — i jedna po drugiej znosiły dziecinie tegie i wrzące napoje, przykrywały ją futrami, chcąc wzbudzić owe pożądane poty.

Kochanowska przerażona nie mając odwagi leczyć własne dziecko, ową nauką której tyle dla innych ufala, i wziąć jakby na siebie odpowiedzialność życia Orszulki, nie śmiała im się sprzeciwiać; otrzymała przecież, że jej pozwolili przystawić dziecinie po parze pijawek za uszami i gorczycowe plastry położyć na nóżki. Lecz mimo tych wszystkich środków, żaden znak polepszenia się nie objawiał; i kiedy Kochanowski przebudziwszy się nareszcie koło dziewiątej godziny, wyszedł z za swojej kotary; kiedy po zebraniu i krzątaniu się tyłu kobiet, po ich twarzach pomieszanych poznał zaraz, że coś się stało jego Orszulce; kiedy w całym nieładzie wczorajszego ubioru, z włosami najeżonemi od przestachu, z osłupiałemi oczyma stanął nad jej kolebką, i obaczył ją zmienioną i całą we krwi, zawołał okropnym głosem:

— Zabiliście ją, już po niej; już niemam Orszulki: ona umrze!

I w rzeczy samej, każda chwila jakby potwierdzała ów straszliwy wyrok. Śmierć gdyby cień kiedy noc się zbliży, zachodziła coraz wyraźniej na te wczoraj jeszcze pełne życia oblicze, trzęsła widocznie z coraz większą siłą ów owoc niedojrzały. Wszystkie używane domowe

i stręczone z całej wsi i z okolicy lekarstwa, żadnego nie robiły skutku. Napróżno Nastka i Świtkę przyzywała pokryjomu do dworu, a o północy wpuściła ją do sypialnej izby: nie nie pomogły wszystkie sztuki mniemanej czarownicy: odżegnywania, zaklęcia, mierzenia, smarowania, spluwania, na które Kochanowscy oboje patrzyli z daleka z pewnym wstrętem, ale przecież nie śmieli ich zabronić; dziecina ciągle pałała: zdawać się mogło że na węgiel spłonie, taki żar bił od niej, osobliwie od głowy, która jakby rosła w oczach patrzących, tak były mocne w niej bicia pulsów, tak silne bole.

Dzień i noc dziecko leżało w srogiej wewnętrznej walce i prawie bez zmysłów; rzekłbyś, że mdłe jeszcze i niedojrzałe ciało objąć już dłużej niemoże nadzwyczajnego ducha; że przerwała się nagle równowaga, która je czas jakiś w towarzystwie trzymała, i idzie w ziemię roztrzaskane śmiertelne naczynie, a anielski jego mieszkawiec leci w górę, zająć godniejsze między swemi miejsce. Głosiły tę walkę ducha z ciałem, rychły jej koniec i tryumf, słowa wymykające się czasami z ust dzieciny. Były w nich własne jej myśli i wyrażenia, były i zastosowane psalmy Ojca a w każdym z tych słów z niewypowiedzianą boleścią rodziców, którzy prawie ciągle siedzieli nachyleni nad jej kołyską, było oczywiste znamie: że coś w niej przeczuwa rychłą i nieochybną śmierć, że to już wyrok zapadły, niecofniony; że nawet, co wyrzec okropnie, ale czego zapewne niemal każdy z nas doznał przy łożu śmiertelnem ukochanej osoby, już i modlić się za nią zapóźno, bo już sam Bóg dekret śmierci podpisał.

Raz szeptała dziecina jakby sama do siebie:

Jam trawa, com nie czekała
Razu kosy siekającej,
Alem przed czasem niszczała
Ogniem plagi gorącej.

Drugi raz siadając nagle w kołysce, patrząc śmiało
w najciemniejszy kąt izby, wskazywała palcem i mówiła
mocnym głosem:

Śmierci! próżno mi grozisz,
Nic mi nie straszliwe;
Twoje strzały popędliwe,
Choć tu stoisz tuż przedemną:
Nie lękam się — Bóg mój ze mną —
Ustąp miejsca Aniołowi!

a to mówiąc wskazywała w drugą stronę izby pod okno,
gdzie Ludwina modliła się w cichości:

Widzisz go, jak układa ręce,
Słyszysz jak słodko on mówi:
„Przyszedł koniec twojej męce:
Wezmę cię na me ramiona,
Orszulko, będziesz zbawiona“.

I wznosząc oczy w górę śpiewała z Psalmistą:

Bóg nadzieja moja od pierwszego ranka!
Wisiałam u piersi drogiej matki mojej,
A już byłam w opiece, liche dziecko, Twojej.

To powiedziawszy wyciągała ręczyny, szukała wzrokiem matki; przykładła z uczuciem ręce jej do spiekłych ust swoich, a widząc ją napół żywą, wybladłą, łzami zalaną, odzywała się do niej już po swojemu, mową zupełnie naturalną, prawie wesołą:

Nie płacz, matko, proszę,
Ja idę do Nieba,

Na czyste rozkosze;
Mnie zazdrościć trzeba.
Twoja luba córka
Oblecze się w piórka,
Z aniołkami siedzie;
Matko! złeż ci będzie
Mieć swego aniołka?

I zdawało się po naglej zmianie jej twarzy z cierpiącej w swobodną, z ludzkiej w Boską prawie, że już jest owym aniołkiem, że już używa owej rozkoszy; głos czysty, silny, a słodki i nadziemski wypuszczając z siebie, śpiewała jak w niebie śpiewają:

Mój wiekuisty Pasterz mnie pasie,
Nie zejdzie mi nic na żadnym czasie;
Zawiódł mnie w pasze niepospolite,
Nad zdroje żywej wody obfite.
Wszystkim On łaskaw którzy służą Jemu,
Tak w małym wieku; jako dorosłemu.

A zaprzestając znowu i śpiewu i wiersza, jakby dla silniejszego przekonania rodziców, mówiła z powagą, nie jak małe dziecko, ale jak dojrzała święta mądrością osoba:

— Umrzeć! i co złego umrzeć? Jezusowi umrzeć, to wiecznie żyć.

I wpadając jakby w zachwycenie, klękała w kołysce, składała ręce i modliła się z zapalem:

— O! rychło pójdę? — wołała — rychło się ukaze Jezusowi memu?

I po chwili, jak gdyby już widziała spełnienie modłów swoich, mówiła z najwyższą radością:

O! idzie, idzie mój Jezus drogi!
Trzyma Go Dziewica w bieli,

Otaczają Ich Anieli;
Rzucę ja Im się pod nogi,
Przyjmie Dzieciątko dziecinę,
Przytuli Matka sierotę.

I w tem miejscu przerywając sobie nagle, jak gdyby na ów ziemski wyraz sieroty, coś ziemskiego odezwalo się w niej całe; zaczynała płakać do łez, przechodziła na chwilę zupełnie do siebie, poznawała wszystkich, wracała do dzieciennego rozumu, do dziecięcej tkliwości; wołała na siostry po ich imieniu, żegnała się z każdą z osobna, zwłaszcza z najmłodszą, z pięcioletnią Hanną; żegnała się z Nastką, z czeladzią, wołała nawet do kolebki psy domowe; kazała sobie przynosić łątki i zabawki swoje, i z niemi także się żegnała; matkę i ojca przyciągała do siebie, całowała ich ręce, głaskała po twarzy mówiąc żałośnie:

— Już ja wam służyć nie będę; już nie zasięde mego miejsca za wdzięcznym stołem waszym; już nie będę za matką z kluczami chodzić: muszę jechać sama w ciemną, w daleką i nieznaną drogę, muszę zaniechać waszego domu, na zawsze...

I prosiła, żeby okiennice i okna w izbie otworzyli, żeby się mogła jeszcze choć trochę napatrzeć światła słonecznego...

I w takim, w podobnym stanie trwała trzy dni i trzy noce w ciągłym ogniu, w ciągłym cierpieniu, przyjmując i biorąc chętnie wszystkie lekarstwa, znosząc bez szemrania wszelkie bólesci, dziękując za każdą usługę; nareszcie czwartej nocy, jeszcze dobrze przed świtem, wyrzekłszy wyraźnie i głośno te trzy święte

imiona: „Jezus, Marya, Józef!“ umilkła; mowa w niej ustała zupełnie, oczy się przewróciły i zamknęły napół, wzmogło się okropne robienie pierściami, zaczęło się granie w gardle: zgola nastąpiło ostateczne pasowanie się śmierci z życiem — straszliwe konanie.

Już od trzech dni w srogiem i prawie pewnem oczekiwaniu tego nieprześląganego gościa, rodzice na tak wyraźne objawienie blizkiego jego nadejścia, padli na środek izby na kolana bez siły; zbledli, skamieniali, ciężki żal, głośnie szlochania, trwoga, opanowały młode siostry umierającej Orszulki, sędziwą Nastkę i obecną czeladź domową; jedna tylko Ludwina zachowała przytomność, jak gdyby najwięcej oswojona z owym posłańcem wieczności, albo najmniej mająca przyczyn obawiać się go. Ona rozpałała gromnicę, wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela postawiła przy kołysce, wzięła święconej Jordanowej wody, pokropiła nią męczącą się dziecinę i wszystko co koło niej było; obrazek Matki Boskiej włożyła jej w rączki, a kląkłszy przy ogromnej świecy, zaczęła czytać z książki uroczyste a rzewliwe akty konających. Mimowolnie wszyscy poklekli i mówić za nią zaczęli. Matka odzyskała nawet tyle władzy i siły, że przyczołgała się do konającego dziecięcia swojego, a uniżywszy się przed Bogiem, zdobyła się na owe wielkie słowa: „Panie! stań się wola Twoja!“ I w tej samej chwili zatrzęsła się kołyska, głęboki jęk dał się słyszeć, dech lekki wionął, płomień gromnicy zadrżał, i nagle wszystko przestało: zrobiło się wielkie, głębokie uroczyste milczenie, a każdy poznał, że przyszła śmierć, bo takie milczenie, to mowa śmierci.

Nie mam siły, nie mam serca, a podobno i słów nie mam do opisanja tego, co działo się w Czarnolesie przez pierwsze chwile po tem spełnionem nieszczęściu. Żał matki któżby poważył się oddać? ktoby wysłowił ów ból jakiego doznawać musiała tracąc część samej siebie, umierając za życia, i musząc żyć mimo tej częstokroć śmierci swojej. I na odmalowanie żalu ojca nie łatwoby się odważyć; ale jak w tym razie niema żadnej potrzeby się silić, i byłoby rodzajem świętokradztwa, gdyby na wydanie uczuć Kochanowskiego po stracie Orszulki szukać słów innych, kiedy nam zostawił *Treny*?

Po pierwszych momentach osłupienia jakie ogarnia najczęściej po wielkiem nieszczęściu, po oddaniu ostatniej posługi „swojej wdzięcznej, niepospolitej dziecinie“ głęboka i czarna rozpacz objęła Kochanowskiego. Póki jeszcze była w domu jego Orszulka, póki leżała w trumienice na środku komnaty, otoczona świecami, okryta kwieciem; póki się mógł wpatrywać w tę twarz ukochaną, której śmierć wróciła anielską pogodę i uśmiech; póki mógł całować te rączki złożone, w których błyszczał ów krzyżyk rubinowy, dar Kancelerza; póki się nie zamknęło nad nią wieko grobowe, póki jej nie złożył obok matki swojej, nie przysypał ziemią, póty znał jeszcze jakieś granice w żalu swoim: ale kiedy wrócił ze Zwolenia i dom pusty zastał, przez kilka dni chodził jak obłąkany, albo też pogrążony w myślach siedział gdyby martwy po całych godzinach; o nic się nie pytał, nic nie słyszał, nie jadł prawie, nie spał wcale; sprawy gospodarskie, przyjmowanie życzliwych krewnych

i sąsiadów, którzy na odgłos niedoli zbiegali się do Czarnolasu, wszystkie trudy i zabiegi potocznego życia, wszystko to ciążyło na biednej matce, i może z rzetelnem jej dobrem; bo te konieczne zachody odrywały ją od jej żalu, albo też rozrzewniały do łez, co także ulgą jej było.

Kochanowski zaś czuł i okazywał zupełną oschłość i rozdrażnienie w smutku swoim; z gniewem, częściej z cierpką ironią odpowiadał na słowa pociechy przyjaciół, na zalecanie mądrości i pobożnego męstwa, na przytaczanie przykładów, jak ten lub ów karę Nieba wytrzymywał. Obrażało go kiedy dostrzegł w domu, że już tak wszystko idzie, jak szło za życia jego Orszulki, kiedy dosłyszał kogobądź mówiącego o czem innem jak o niej; spostrzegłszy raz w kącie na ziemi jedną z jej zabawek, obruszył się jakby na bezbożność jaką: pozbiierał sam wszystko co do niej należało, całe jej ochędostwo, wszystkie ubiory, zaniósł do swego pokoju, rozłożył na najlepszem miejscu i karmił tym widokiem wzrok swój, nie pozwalając nawet żonie dotknąć się najdrobniejszej szaty. I ta tkliwa dusza, znękana, pognębiona, nie ukołysała się cokolwiek, nie wróciła do siebie dopóki ręka nie uchwyciła pióra, dopóki spełnionych uczuć swoich nie wylał na papier. Dziesiątej nocy po śmierci Orszulki, siedząc samotny w swoim pokoju, tak kreślił swoje żale, a łzy z oczu mu płynęły:

I.

Wszystkie płacze, wszystkie łzy Heraklitowe,
I lamenty i skargi Simonidowe;
Wszystkie troski na świecie, wszystkie wzdychania

I żale, i frasunki, i ręk łumania:
 Wszystkie a wszystkie zaraz w dom się mój znoście,
 A mnie płakać mej wdzięcznej dziewczki pomóżcie,
 Z którą mię niepobożna śmierć rozdzieliła.
 I wszystkich moich pociech nagle zbawiła!
 Próżno płakać, podobno drudzy rzeczecie;
 Cóż przez Bóg żywy, nie jest próżno na świecie?
 Wszystko próżno; macamy gdzie miękcej w rzeczy,
 A ono wszędy ciśnie: błąd wiek człowieczy.
 Nie wiem co złej, czy smutku jawnie żałować,
 Czyli się z przyrodzeniem gwałtem mocować.

II.

Jeżlim kiedy nad dziećmi piórko miał zabawić,
 A kwoli temu wieku lekkie rymy sławić:
 Bodajżebych był raczej kolebką kołysał,
 I z drugimi nieważne mamkom pieśni pisał,
 Któremiby dziecińki noworodne śpiły,
 I swoich wychowanców lamentsy tuliły.
 Takie fraszki mnie zbierać pożyteczniej było,
 Niżli w co mię nieszczęście moje dziś wprawiło:
 Płakać nad głuchym grobem mej wdzięcznej dziewczyny,
 I skarżyć się na srogość ciężkiej Prozerpiny.
 O! prawo krzywdy pełne! o! znikomych cieni,
 Sroga, nieubłagana, nieużyta ksieni!
 Tak-li moja Orszulka jeszcze żyć na świecie
 Nieumiawszy, musiała w rannym umrzeć lecie?
 I nienapatrzywszy się jasności słonecznej,
 Poszła nieboga widzieć kraj ów nocy wiecznej,
 A bodaj ani była świata oglądała!
 Co bowiem więcej jeno ród a śmierć poznała?
 A miasto pociech, która winna z czasem była
 Rodzicom swym, w ciężkim je smutku zostawiła.

III.

Wzgardziłaś mną, dziedziczko moja ucieszona!
 Zdałać się ojca twego bardziej uszczuplona
 Ojczyzna, niżlibyś ty przestać na niej miała.
 To prawda, żeby była nigdy nie zrównała
 Z rannym rozumem twoim, z pięknymi przymioty,
 Z których się już znaczyły twoje przyszłe cnoty!

O! słowa, o! zabawo, o! wdzięczne ukłony,
 Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony!
 A ty, pociecho moja, już mi się nie wrócisz
 Na wieki, ani mojej tęsknicy ukrócisz.

IV.

Zgwałciłaś, niepobożna śmierci, oczy moje,
 Żem widział umierając miłe dziecię swoje;
 Widziałem kiedyś trzęsła owoc niedojrzały,
 A rodzicom nieszczęsnym serca się krajały.
 Nigdyby ona była bez wielkiej żałosci
 Mojej umrzeć nie mogła; nigdy bez ciężkości
 I serdecznego bolu, w któremkolwiek lecie,
 Mnieby smutnego była odbiegła na świecie:
 Anim ja już z jej śmierci nigdy żałociwszy,
 Nigdy smutniejszy nie mógł być, ani tęskliwszy,
 A ona (by był Bóg chciał) dłuższym wiekiem swoim,
 Siła pociech przynnożyć mogła oczom moim,
 A przynajmniej tymczasem mogłemy odprawić
 Wiek swój i Persephonie ostatniej się stawić,
 Nie uczuwszy na sercu tak wielkiej radości,
 Której równia nie widzę w tej tu śmiertelności.
 Nie dziwuję Niobie, że na martwe ciała
 Swoich najmiłszych dziełek patrząc, skamieniała.

V.

Jako oliwka mała pod wysokim sadem
 Idzie z ziemi ku górze macierzyńskim śladem;
 Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,
 Sama tylko dopiero szczupłym prątkiem wschodząc,
 Tę, jeśli ostre ciernie, lub rodne pokrzywy
 Uprzatając, sadnik ów podeciął ukwapliwy,
 Mdleje zaraz; a zbywszy siły przyrodzonej,
 Upada przed nogami matki ulubionej.
 Tak ci się mej najmiłszej Orszuli dostało;
 Przed oczyma rodziców swoich rosnąc, mała
 Od ziemi się zniósłszy, duchem zaraźliwym
 Srogiej śmierci otchniona, rodzicom troskliwym
 U nóg martwa upadła. O! zła Persephono!
 Mogłażeś tak wielu łzom dać upłynąć płono!

VI.

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo słowiańska,
 Na którą nie tylko moja częśćka ziemiańska,
 Ale i lutnia dziedzicznym prawem spaść miała!
 Tęś nadzieję już po sobie okazowała,
 Nowe piosunki sobie tworząc, nie zamykając
 Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając!
 Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym,
 Całą noc prześpiewa gardłkiem swem ucieszonym.
 Prędkoś mi nazbyt umilkła; nagle cię sroga
 Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga!
 Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami,
 I tę trochę teraz płacę sowicie łzami:
 A tyś ani umierając śpiewać przestała —
 I matkę ucałowawszy także żegnała:
 „Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę,
 Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasięde;
 Przyjdzie mi klucze położyć, sumej przez jechać,
 Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać,
 To i czego żal ojcowski nie da serdeczny
 Przypominać więcej... był jej głos ostateczny.
 A matce słysząc żegnania tak żałośliwe,
 Dobre serce, że od żalu zostało żywe!

VII.

Nieszczęsne ochędostwo, żałosne ubiory
 Mojej najmiłszej córy;
 Poco me smutne oczy za sobą ciągniecie:
 Żalu mi dodajecie.
 Już ona członczków swych wami nie odzieje,
 Nie masz, nie masz nadzieje!
 Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany!
 Już letniczek pisany,
 I uploteczki w niwecz, i paski złocone,
 Matezyne dary płone.
 Nie do takiej łóżnicy, moja dziewczko droga,
 Miała cię Mac ułoga
 Doprowadzić; nie takąc dać obiecała
 Wyprawę, jakąc dała.
 Gieźleczo tylko dała, a lichą tkaneczkę;
 Ojciec ziemi bryłeczkę

W główki włożył... Niestetyż! i posag, i ona
 W jednej skrzynce zamknięta!

VIII.

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
 Moja droga Orszulo, tem zniknięciem swoim;
 Pełno nas, a jakoby nikogo nie było:
 Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.
 Tyś za wszystkich mówiła, za wszystkich śpiewała
 Wszystkieś w domu kąciki zawdy pobiegała;
 Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
 Ani ojeu myśleniem zbytciem głowę psować.
 Teraz wszystko umilkło, szczere pustki w domu;
 Nie masz zabawki, nie masz rozśmiać się nikomu:
 Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje,
 A serce swej pociechy darmo upatruje.

IX.

Żaden ojciec podobno bardziej nie miłował
 Dziecięcia, żaden bardziej nad mię nie żałował;
 A też ledwie się kiedy dziecię urodziło,
 Coby łaski rodziców swych tak godne było!
 Ochędóżne, posłuszne, karne, niepieszczone,
 Śpiewać, mówić, rymować, jako co uczone;
 Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę,
 Obyczaje panieńskie umieć i zabawę.
 Roztropne, obyczajne, ludzkie, nie rzewliwe,
 Dobrowolne, układne, skromne i wstydlive.
 Nigdy ona pokarmu rano nie wspomniała,
 Aż pierwszej Bogu swoje modlitwy oddała;
 Nie poszła spać, aż pierwszej matkę pozdrowiła,
 I zdrowie rodziców swych Bogu poruciła
 Zawdy przeciwko ojeu wszystkie przebyć progi,
 Zawdy się uradować i przywitać z drogi;
 Każdej roboty pomódz, do każdej posługi
 Uprzedzić było wszystkie rodziców swych sługi.
 A to tak w małym wieku sobie poczyniała,
 Że więcej nad trzydzieści miesięcy nie miała.
 Tak wiele cnót jej młodość i takich dzielności
 Nie mogła znieść; upadła od swojej bujności,

Zniwa nie doczekawszy. Kłósie mój jedyny!
Jeszcześ mi się był nie stał, a ja twej godziny
Nie czekając, znowu cię w smutną ziemię sieję;
Ale pospołu z tobą grzebię i nadzieję.

X.

Orszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziała?
W którą stronę, w którąś się krainę udała?
Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wzniesiona.
I tam w liczbę Aniołów małych policzona?
Czyliś do raju wzięta? czyliś na szczęśliwe
Wyspy zaprowadzona? czy cię na tęskliwe
Charon jeziora wiezie, i napawa zdrojem
Niepomnym, że ty nie wiesz nic o płaczu moim?
Czy człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze
Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?
Czyli się w czyściu czyścisz, jeśli z strony ciała
Jakakolwiek zmazeczka na Tobie została?
Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwej była,
Niżes się na mą ciężką żalność urodziła?
Gdziekolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żalności,
A nie możesz-li w dawnej swej całości,
Pociesz mię, jako możesz, a staw się przedemną,
Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nikczemną!...

Tak wynurzywszy w nieśmiertelnym rymie żale
swoje Kochanowski, ulżył sercu, zmiękł, złagodniał, a
oparłszy się na stole, zawarł mimowolnie oczy i usnął,
sam niewiedząc kiedy; snął podobno pierwszy raz od
śmierci Orszulki: spał do rana, i co mu się już od kilku
miesięcy nie trafiło, matka mu się przyśniła: matka któ-
rej ukazanie się było dla niego, jak wiemy, zawsze do-
brodziejstwem: bo jeśli ją ujrzał w dniach szczęścia,
zwiastowała mu nową radość, jeśli w dniach trwogi lub
smutku, uspokojenie mu przynosiła. Ale poco i ten sen
jego, nieudolnemi opisywać słowami, kiedy są jego wła-
sne tak piękne:

Żalność moja. długo w noc oczu mi nie dała
Zamknąć i zemdlonego uspokoić ciała;
Ledwie mię na godzinę przed świtaniem swemi,
Sen leniwy otoczył skrzydły czarnawemi,
Natenczas mi się matka właśnie ukazała,
A na rękę Orszulę moją wdzięczną miała;
Jako więc po paciorek do mnie przychodziła,
Skoro z swego posłania rano się ruszyła:
Gieźleczko białe na niej, włoski pokręcone,
Twarz rumiana. a oczy ku śmiechu skłoniłone.
Patrzę co dalej będzie? aż matka tak rzecze:
„Śpisz, Janie, czy cię żalność twoja zwykła piecze?”
Zatymem ciężko westchnął i tak mi się zdało,
Żem się ocknął. A ona pomileczawszy mało,
Znowu mówić zaczęła. „Twój nieutulony
Płacz, synu mój, przywiódł mię w te tu wasze strony,
Z krain bardzo dalekich; a łzy gorzkie twoje
Przeszły aż i umarłych tajemne pokoje.
Przyniosłam ci na rękę wdzięczną dziewczkę twoję,
Abyś ją mógł oglądać jeszcze, a tę swoją
Serdeczną żalność ujął, która tak ujmuje
Sił twoich, i tak zdrowie nieznacznie twe psuje.

Czyli nas już umarłe macie za stracone,
I którym już na wieki słońce jest zgaszone?
A my owszem żywiemy żywot tem ważniejszy,
Czem nad to grube ciało duch jest *szlachetniejszy*.
Ziemia w ziemię się wraca, a duch z Nieba dany,
Miałby zginąć ani na miejsca swe wezwany?
O to się ty nie frasuj, a wierz niewątpliwie,
Że twoja najmilejsza Orszuleczka żywie.
A tu więc takim ci się kształtem pokazała,
Jakoby się śmiertelnym oczom poznać dała:
Ale między Anioły i duchy wiecznymi
Jako wdzięczna jutrzienka świeci, a za swemi
Rodzicami się modli, jako to umiała
Z wami będąc, choć jeszcze słów nie domawiała.

Jeźliże też ztąd roście żalność, że jej lata
Pierwej są przyłomione, niżli tego świata
Rozkoszy zażyć mogła: o biedne i płone
Rozkosze wasze! które tak są usadzone,
Że w nich więcej frasunków i żalności więcej;
Czego ty doznać możesz sam z siebie napręcej.

Ucieszyłeś się kiedy z dziewczki twej tak wiele,
 Zeby pociecha twoja i ono wesele
 Mogło porównać z twoim dzisiejszym kłopotem?
 Nie rzeczesz tego, widzę. Także trzymaj o tem.
 Jakoś doznał; ani się frasuj, że tak rana
 Twojej ze wszech najmilszej dziewczce śmierć zesłana.

Nie od rozkoszyć poszła: poszłać od trudności,
 Od pracy, od frasunków, od łez, od żalości.
 Czego świat ma tak wiele, żeby też co było,
 W tym doczesnym żywocie człowieczeństwu miło:
 Musi smak swój utracić przez wielkość przysady,
 A przynajmniej przez bojaźń nieuchronnej zdrady.

Czegóż płaczesz przez Boga? czegóż nie zażyła?
 Ze sobie swym posagiem Pana nie kupiła;
 Ze przegrózek i cudzych fuków nie słuchała,
 Że boleści w rodzeniu dzieci nie uznała?
 Ani umie powiedzieć, czego jej troskliwa
 Matka doszła; co większem utrapieniem bywa,
 Czy je rodzić, czy je grzeź? Takieć pospolicie
 Przysmak i wasze, czem wy sobie świat słodzicie.

W Niebie szczere rozkosze, a do tego wieczne,
 Od wszelkiej przekazy wolne i bezpieczne.
 Tu troski nie panują, tu pracy nie znają.
 Tu nieszczęście, tu miejsca przygody nie mają;
 Tu choroby nie najdzie, tu niemasz starości,
 Tu śmierć łzami karmiona nie ma już wolności.
 Żyjem wiek nieprzeżyty, wiecznej używamy
 Dobrej myśli: przyczyny wszystkich rzeczy znamy
 Słońce nam zawdy świeci, dzień nigdy nie schodzi,
 Ani za sobą nocy niewidomej wodzi;
 Twórcę wszech rzeczy widzimy w Jego majestacie.
 Czego wy w ciele będąc próżno upatrzacie!
 Tu w czas obróć swe myśli, a chowaj się na te
 Nieodmienne, synu mój, rozkosze bogate.

Doznałeś co świat umie, i jego kochanie,
 Lepiej na czem ważniejszym zasadź swe staranie.

Skryte są Pańskie sądy; co się Jemu zdało
 Najlepiej, żeby się też i nam podobało.

Tego się synu trzymaj, a ludzkie przygody
 Mężnie znoś, jeden jest Pan smutku i nagrody."

Tu zniknęła. Jam się też ocknął. Aczciem prawie
 Nie powiem, jeźli przez sen słuchał, czy na jawie.

ROZDZIAŁ OSTATNI.

Tak przyjaciela przyjaciel żałuje.

Psalm XXXV.

Od tego pamiętnego snu, od tego nowego zjawienia
 się drogiej matki, Kochanowski stał się zupełnie innym
 człowiekiem. Zdawało się, że dobroczynna ręka stargane
 jego myśli rozplątała, że rozwiązała ściśnione serce,
 wskrzesiła obumarłego ducha. Nieznośna jego żalność,
 czarna rozpacz, ostre skargi przybrały barwę łagodnej
 tęsknoty, pobożnego smutku. Płakał, ale rześiste łzy jego
 gasiły żal, bo płacząc zgadzał się, podlegał i modlił się.
 Najchętniej siadywał samotny to pod lipą swoją, to w
 pokoju, to na tarasie, ale już słuchał uprzejmie i z
 wdzięcznością słów pociechy sąsiadów i krewnych, roz-
 mawiał poufale z żoną, z Ewą, a podobno najpoufalej
 z Ludwiną. Dusza świętej, od ziemi oderwanej dzie-
 weczki, najlepiej przystawała teraz do jego duszy; bo
 i on widocznie dążył gdzieś wyżej, i u niego tracił
 cenę świat ten i sława jego, i on jawnie poznawać za-
 czynął, że wielkie a nienasycone serce człowieka dla
 samego „Boga jest uczynione, i nikt, jedno sam Bóg
 napęłnić go nie może“. Z zupełną rzetelnością, z głę-
 boką pokorą powtarzał z Jobem: „Pan dał, Pan wziął

według upodobania swego, niech Imie Pańskie będzie pochwalone". Zgoła, zrobił się takim, jakimby powinien być każdy chrześcjanin, gdyby każdy mógł się zdobyć na podobną doskonałość; zupełnie oddany woli Boga, przyjmujący z ręki Jego smutek, jak dawniej przyjmował wesele; gotowy na większe jeszcze ciosy, gotowy na śmierć i na życie, byle bądźco bądź łaskę Boga odzyskał, a odzyskaną zachował.

Wiecej niż w tydzień po owym śnie błogosławionym, właśnie w wigilią Wniebowzięcia Najświętszej Panny, Kochanowski wstał przed słońcem, oświadczywszy żonie że ani na śniadanie ani na obiad nie wróci: dosiadł swego siwosza i pojechał do Zwolenia. Tam oczyścił się wodami świętej pokuty, wzmocnił duszę chlebem żywota, potem objechał z kolei: Barycz, Jasieniec, Policzną, Grodek, wszędzie krótko zabawił, ale wszędzie dostał prawdziwą jałmużnę serca, łzę rzewną i błogosławieństwo; a wróciwszy na parę godzin przed wieczorem, zamknął się w swoim pokoju, i zaczął przeglądać swoje papiery. Lubo dzień był ciepły, wskrzesił ognia w kominie i większą połowę tych papierów spalił. Kiedy z wyrazem tajemnej radości patrzył jak ogień pożera owe świadki i dowody innych zapewne czasów i innych uczuć, żona zastukała nieśmiało do drzwi i wezwała go do wieczerzy. Przyszedł wkrótce zamyślony ale pogodny, jasność nawet biła z oblicza jego; zjadł nieco więcej niż zwykle, rozmawiał o krewnych u których był, a obiecując rychły powrót, poszedł znowu do siebie. Zdziwiło i ucieszyło bardzo to postępowanie i matkę i córki. Od rana rozmawiały między sobą:

— Dziś dzień naznaczony na nieochybny powrót kochanych wędrowników naszych; dawniej jeszcze przed tem nieszczęściem, ojciec tak często o tym dniu wspominał, tak go niecierpliwie wyglądał! Ile to razy on nam mówił, że skoro 14 Sierpnia zawita, ani zejdzie z tarasu, jedno od rana do wieczora wypatrywać ich będzie. Dziś, kiedy dzień ten nadszedł, wyjechał skoro świt z domu, jeździł w zupełnie inne strony, nie naprzeciwko nich, i zda się czy zapomniał, czy też całkiem dobrej jest nadziei.

— Panu Bogu za tę łaskę dziękować! — dopowiadała Kochanowska — więcej niż od tygodnia — mówiła ciszej — widzę ja w waszym ojcu zbawienną a wielką odmianę. Zrazu zdawało mi się, Boże odpuść, że on nie dosyć pobożnie skaranie Pańskie przyjmuje; poważylałam się nawet niejakię przełożenia mu czynić, ale teraz on mnie zawstydza poddaniem się a pokorą swoją. Prawdać, on mąż, ja niewiasta... matka.

— I jabym rada z duszy tyle być spokojną co ojciec o naszych podróżnych — odezwala się tu Ewa spuszczaając głowę w robotę swoją — ale choć najmocniej chcę, to jakoś nie mogę: zdaje mi się, że pan Filip nigdy nie przyjedzie.

A cienkim ręcznikiem który wyszywała, (gdyż czaprak już zupełnie był skończony) obcierała pokryjomu łzy spadające jak groch z jej oczów; wstyd jej było bowiem i bała się obrazić Boga i rodziców, płacząc niespełna w miesiąc po śmierci Orszulki, nad czem innem jak nad stratą siostry.

Patrząc jednak na rzeczy ludzkim okiem, uważając

je jak my ziemscy, po ziemsku, słuszniesze były łzy Ewy od pogody Kochanowskiego.

Ukończywszy wydzielone na ten dzień roboty, matka i trzy starsze córki siedziały sobie na około pieca, czekając rychło ojciec przyjdzie na wieczorne modlitwy; a gwarząc półgłosem, wystawiały sobie, już nie poraz pierwszy, jakie smutne będzie jego powitanie z przyjacielem; radziły także, czyby nie wypadało uprzedzić pierwiej jakim sposobem Podlódowskiego, a przynajmniej Filipa? Już miały zamiar wyprawić pana Łukasza Gupolskiego do najbliższej wioski, przez którą musieli przejeżdżać, żeby czatował na nich, i oznajmił im przytrafione nieszczęście, kiedy Nastka, której od śmierci Orszulki z dziesięć lat przybyło, jeszcze bledsza i więcej zapłakana niż zwykle, weszła do izby, a skrywszy się cokolwiek za piec, chciała nieznacznie wywołać Ewę. Lecz Kochanowska dostrzegła i pomieszanie jej i skinienie ręki; strwożona myśl jej, najprzód dwie najmłodsze córeczki Hanne i Marychnę objęła; ale siedziały obie w kącie izby zajęte układaniem i wiązaniem snopków z ziół rozmaitych, które jutro, jako w dzień Matki Boskiej Zielnej zanieść miano do Kościoła.

— Czy pan nie zasłabł! — zawołała porywając się ze swego stołka.

— Pan zdrow, w swoim pokoju — odpowiedziała stara piastunka — ale...

— Cóż ale! mów.

— Oto pan Rotmistrz przyjechał.

— Pan Rotmistrz! — krzyknęła Ewa biegnąc ku drzwiom a była radość w jej głosie; był wesoły pośpiech

w jej skoku, gdyż nie powstało w tej chwili w jej głowie, żeby mogło być nieszczęście, kiedy jej Filip przyjechał. I otworzyła na roścież drzwi od sieni i ujrzała swego Filipa. Ależ jakiego? Oczy kochanki ledwie go poznały: zbladły, przestraszony, schudzony, zaniedbany w ubiorze, ukazał jej się, jako gdy kto z trumny wstanie, albo gdy kogo krew uchodzi; nie rzucił jej się do nóg, nie przemówił słowa, tylko stał oparty o ścianę, jak zbieg, jak winowajca...

Filip wracał sam. Przeczucia Kochanowskiego przy żegnaniu się z przyjacielem spełniły się: Podlódowski już nie żył od miesiąca...

Cała podróż powiodła im się była jaknajpomyślniej; koni zakupili piękniejszych niż pierwszym razem, a samych arabskich; panu Podkoniuszemu udało się z nadzwyczajnem szczęściem zadosyć uczynić tajemnym a ważnym poleceniem Króla, przepatrzył całe wojsko tureckie, wszystkie ich siły, nzbierał wiadomości potrzebnych a pomyślnych niemało, i wracał rad i wesół. Sam Filip nie mógł więcej przyspieszać drogi od niego, nie mógł być szczęśliwszym, za każdą ujechaną milą zdawało się, że i na niego czeka wierna bogdanka.

Jakoż czekała, ale była to inna bogdanka, chociaż także wierna i słowna, bo nigdy żadnego człowieka nie minie. Podlódowski w pierwszej podróży swojej do Turcyi, zwrócił był na siebie oczy mężką urodą, wybornem jeżdżeniem na koniu, a okazywaniem pieniędzy wzbudził chciwość w łotrach, na jakich wielkim stolicom i okolicom ich nigdy nie zbywa. Napadli na niego, on obronił im się, jak wiemy. Ale tym razem do wyrażonych po-

wodów przybyły nowe: wyższe osoby zmiarkowały, w jakim celu przybył, jakie wywozi wiadomości, i zawyrokowały, że najlepiej będzie pozbyć go się. Użyto tych samych łotrów, ale im dodano ludzi i broni, i zbrodnia się udała.

Kiedy Podłodowski, Filip i służba ich już o mil kilkanaście od Carogrodu, wypoczywali koniom w noc piękną księżycową, a czuwając, rozmawiali mile o dniu wesela; nagle z kilku stron napadła na nich potęga ludzi zbrojnych; więcej niż po sześciu było na każdego: ledwie też dosiąść koni swoich potrafili, ale niepodobną się stało rzeczą obronić się albo umknąć. Cała służba Podłodowskiego legła; a pierwaj on sam, mimo nadludzkiego męstwa z jakim stawiał się napastnikom, mimo synowskiego poświęcenia, z jakim Filip go bronił. Nieszczęsny ujrzał na własne oczy głowę ojca odciętą od karku i schwytaną z okrzykiem tryumfu przez łotrów: tem jedynie uszedł śmierci, iż w tej chwili ugodzony kilkoma razami, z żalu, z bólu i z wielkiej utraty krwi padł jak bez duszy; i zapewne dla jakiegoś niespodzianego popłochu zostawionym był na placu bitwy, przez zbójców, którzy zabrawszy wszystkie inne ciała, bogactwa i cudności, na podarki ślubne zakupione, konie co do jednego, uszli w las i w ciemnościach jego przepadli.

Ocalony prawie cudem Filip, nad rankiem budzić się zaczął zwolna. Jeszcze osłabiona myśl jego nie zdolą objąć tej całej straszliwej przygody, jeszcze nie wiedział wcale gdzie jest, co się z nim dzieje; jeszcze powiek otworzyć nie mógł, kiedy postyszał zdaleka stą-

panie wroga. Przeczuciem utulił w sobie dech. Dwóch ludzi stanęło nad nim.

— Nie żyje! — odezwał się jeden z nich w mowie krajowej.

— Coś się tu okropnego dziać musiało tej nocy — rzekł drugi półgłosem — i nie napróżnośmy owe krzyki słyszeli z naszej jamy; legło tu więcej takich jak ten młodzieniec: krwi stoi kałuża, konie leżą pozabijane, szczątki obcych ubiorów i zbroi... uciekajmy, by nas nie schwytano.

— Zdjąłby mu jednak warto ten cudny pierścień — przemówił znowu drugi — to rubin wielce szacowny: ja się znam.

— Zgoda — dodał tamten — jedno żwawo.

I uchwycili bez oporu rękę Filipa. Ale ta ręka była stłuczona, zsiniała, opuchła, palce nabrzękle; nie było więc można ściągnąć pierścienia: bez żadnej narady nożem rzecz swoją sprawili, a porwawszy pierścień z ciekącym krwią palcem, uszli co tchu nie oglądając się, ile że usłyszeli jęk swojej wskrzeszonej ofiary.

Ból jaki Filip cierpiał w tej chwili, wystawił sobie łatwo; lecz większy jeszcze był żal za pierścieniem, który Ewa sama na palec mu włożyła, z którym żegnąła się tkliwie, który on pod ciężkiem zaklęciem przyrzekł złożyć kiedyś u nóg jej. Ten żal miłosny ocucił go zupełnie, ale oraz cała okropność większego daleko nieszczęścia padła mu na serce, stanęła przed oczami. Strata zakładu wiary kochanki znikła przed pamięcią owej głowy ojcowskiej, którą widział w ręku zbójców, która już odcięta, zdawała się jeszcze patrzeć na niego.

Zerwał się na nogi, chciał wołać, biedz, szukać zemsty, lecz sił mu brakło; padł znowu na ziemię, a na domiar boleści cóż ujrzał koło siebie? oto ulubionego Turczynka bez życia. Jak sobie w tej chwili przypomniawszy, biedne zwierzę pierwszej przed nim było upadło, a nawet dosyć daleko od miejsca, gdzie on w końcu bronił ojca stojący i oparty o drzewo; ale przyczółkał się snadź koń wierny, żeby skonać u nóg pana swego. Na ten widok łzy rzesiste oblały pokrwawioną twarz Rotmistrza i do reszty umysł jego rozjaśniły. Dwie chęci zajęły znekana jego duszę: domagać się sprawiedliwości za tak straszliwe zabójstwo ojca i dobroczyńcy, i przekonać się jaknajrychlej czy Ewa zdrowa, czy żyje, czy go kocha? bo w tej chwili taka ogarnęła go rozpacz, takie zwątpienie, iż pewny był że wszystko stracił odrazu.

Odzyskawszy nieco sił, zawlókł się do najbliższej wiejskiej osady, gdzie go przecie poratowano! Świadomy z pierwszej podróży jak długiego czasu potrzeba w Turcyi do otrzymania sprawiedliwości, wreszcie bez pieniędzy, następującymi tylko aktami rozpoczął sprawę: złożył u Kadego skargę, stawił świadków, którzy wraz z nim pobojuwisko zwiedzili, zostawił znalezione szczątki szat i zbroi, oświadczył, że król polski, wielki „Batory Isztywan“ poszukiwać będzie zbrodni, na jego urzędniku dokonanej; a to uczyniwszy obrócił się ku Polsce. O ile mu dozwoliły bolesne, choć nie niebezpieczne rany, o tyle dążył tam, gdzie mogło jeszcze być szczęście dla osieroconego serca, jeśli Ewa żyje, jeśli mu sprzyja. Przecież im więcej zbliżał się do Czarnolasu, tem spokojniejszy był o życie, o uczucia bogdanki, a tem sil-

niejsze dręczyły go wyrzuty: że się nie pomścił za ojca, że nie odszukał jego ciała, że bez tych drogich zwłok wracał, i dlatego stał w sieni jak winowajca, i kilka chwil minęło, zanim osłupiała Kochanowska i córki jej zrozumieć potrafiły ze słów jego co się stało.

Kiedy Filip te straszliwe rzeczy przerywano opowiadał, skaleczoną rękę pokazywał, a mowę jego głuszyły jęki i płacze niewieście i dziecinne; kiedy zacna Hanna zapominając własnej siostrzeńskiej boleści, wołała tylko:

— Ach, mąż mój! mąż mój!

Kochanowski stanął niespodzianie wśród nich, a o nic się nie pytając, wszystko odgadł. Nie wydał ani krzyku, ani jęku, jednej łzy nie uronił; zachwiał się tylko cały i oprzeć się musiał na stojącej najbliżej niego Ludwinie.

— Tego ciosu mi niedostawało i tegom się spodziewałem — rzekł z głęboką ale ze spokojną boleścią. — Pan jawnie przemawiać do mnie raczy; chce, żebym odrazu odżałował wszystkiego i gotowałem się na trwalsze rozkosze. Niech Imię Jego będzie pochwalone!

A usiadłszy na ławie, którą mu przysunęła żona, kazał powtórzyć Filipowi to, co już był niewiastom powiedział, i słuchał go długo w cichości.

— Zobaczmy się, Jakóbie! — zawołał nareszcie jakby odpowiadając tajemnej myśli i uśmiechnął się nadobnie. — Ale pierwszej — dodał rumieniąc się nagle i wstając — dopełnić muszę ostatecznego obowiązku, jaki przyjaźń na mnie wkłada; muszę otrzymać sprawiedliwość za tę niesłychaną zbrodnię, za to zgwałcenie prawa narodów:

alboż-to taka śmierć jemu się należała! nie było mu już zginąć tyle razy w obronie Ojczyzny?... Toż i ciała jego mam nie ujrzyć nigdy, nie ucałować tej wdzięcznej głowy... Młodzieńcze — rzekł obracając się do Filipa — trzeba nam niebawem wybierać się do Lublina; tam Król i Kanclerz zjechać mają w tych dniach, tam konwokacya dla sądzenia Zborowskich się zbiera; ja sam całą sprawę przyjaciela przedstawię Miłościwemu Panu: on jej wysłucha, on się pomści, on sprawiedliwy, on uczuje własną krzywdę, on szacował mego Jakóba... Należy jeno wszystkie okoliczności tej straszliwej przygody zebrać i wyłożyć jasno i dokładnie, należy je spisać, gdyż nie wiem czyby mi pamięć wiernie służyć chciała..

A według tego jak mówił tak i uczynił. Niepospolite okazując mężstwo, przez dni kilka prawie z zimna krwią wypytywał się Owadowskiego, o najdrobniejsze szczegóły pobytu i czynności przyjaciela w Carogrodzie, okropnej jego śmierci, a potem w nocy spisywał wszystko u siebie i obszerną a wymowną układał obronę. Po kilku takich dniach i nocach pożegnał żonę i córki, błogosławiąc je, wydał rozkazy co do gospodarstwa, jak gdyby długą miała być jego niebytność; o resztę radzić się kazał bratanka Andrzeja z Gródka i pojechał do Lublina, a z nim Filip, który mimo zawsze równego żalu za przybranym ojcem, dostrzegł w przyćmionych łzami oczach Ewy, usłyszał z pobladyłych ust jej, że może być jeszcze dla niego szczęście na świecie.

Ale dla Kochanowskiego zbliżała się już ostateczna godzina, przeczuwał ją; i ledwie wyjechał za wrota domowe, otwarcie zaczął mówić Filipowi o śmierci swojej.

— Nie wiem dnia i godziny kiedy nastąpi — powtarzał — ale wiem, że przyjaciel niedługo czekać będzie spełnienia młodzieńczej umowy naszej; zdawna ten wyrok podpisany gdzieś wyżej. Bóg nie opuści wdowy i sierót moich... Ty młodzieńcze będziesz synem mojej Hannie, będziesz bratem sióstr mojej pierworodnej i mego pogrobka. Pan w miłosierdziu swoim oświecił mnie niedolą: nie lękam się śmierci, raczej lękałbym się życia!..

I w takich uczuciach, wśród podobnych zwierzań się stanął w Lublinie; już zastał Króla i Kanclerza, już też i wiedziano o straszliwym zabiciu Podlodowskiego. Stefan Batory mocno zmartwiony stratą wiernego sługi, niemniej był obruszony na krzywdę majestatowi swemu uczynioną; przystał więc jaknajchętniej na żądanie przyjaciela i szwagra obżałowanego, który domagał się jak o łaskę, aby sam rzecznikiem był w tej sprawie: wyznaczył mu publiczne posłuchanie na 22 Sierpnia. Kochanowski lubo słaby, dlatego nie chciał uleść bynajmniej przedstawieniom młodego Filipa i synowca swego Krysztofa, którzy go namawiali oba, żeby wyjednał sobie u monarchy odłożenie tego stawienia się na dzień następny.

— Nie — odpowiedział — pójdę, iść muszę: dziś albo nigdy.

I zdawało się, że jakaś niewidoma siła ciągnie go do zamku królewskiego. Lecz zaledwie wstąpił w podwoje, zaledwie wszedł do sali, gdzie zebranych było kilku panów i urzędników dworu czekających przybycia Monarchy, a którzy wszyscy powstali, by zacnego poetę powitać, padł pośrodku nich uderzony apopleksyą. Prze-

rażenie i żal rozległy się w jednej chwili po całym gmachu; sam Król przyszedł do łoża, na którym złożono tymczasowo znakomitego męża; lekarzom swoim ratować go kazał; Zamoyski sam go ratował, sam trzymał obnażoną jego rękę do krwi upuszczenia, z której już krew iść nie chciała. Daremne były wszelkie starania, Kochanowski raz tylko na jedną chwilę otworzył oczy i podniósł je w górę, widać było że się modli; zawołał raz jedyny niewyraźnym głosem: O Boże! i oddał ducha na zawsze.

Zbyteczna żałoba okryłaby ostatnie karty tych obrazów, gdybym tu wystawić chciała żywy żal sprawiony tą nagłą śmiercią Jana Kochanowskiego, a to nie tylko w owym Czarnolesie, tak długo wesołym i szczęśliwym, ale w całej Polsce. Mało który człowiek z ówczesnych potrafił sobie tylu przyjaciół pozyskać, tyle wysłużyć sławy; mało który poruszył więcej łez, wzbudził więcej żałobliwych głosów. Bielski umieścił zgon jego w swojej Kronice; Szymonowicz, Klonowicz, Paprocki, Grochowski, Niegoszewski i wielu innych poetów pienia grobowe nad nim nucili. Ciało jego w wielkim pczcie panów, szlachty i prostego ludu odprowadzone zostało ze czią do Zwolenia i pochowane obok matki jego i wdzięcznej Orszulki, a strapionej wdowie każdy niósł słowo pociechy; choć ona nieboga już inne odtąd nie znała jak w Bogu i w dzieciach.

W parę miesięcy po śmierci męża powiła pożądanego i obiecywanego syna: pocziwa Nastka zdążyła jeszcze wypiać sama; trzymał go do chrztu Jan Zamoyski: dał mu ojca i własne imię. Wychował się

szczęśliwie ów pogrodek, „którego oczy ojcowskie nie widziały“, a gdy dorósł, próbował iść w ślady rodzica poety i wuja rycerza; takie mu przynajmniej daje świadectwo Twardowski w poemacie swoim „Władysław IV-ty.“ Wyliczając wodzów ciągnących na wojnę za młodym jeszcze królewiczem, mówi:

Dalej Jan Kochanowski, który cechowany,
W Helikonie z Muzami, dotąd się febową
Bawił lutnią, Korwinom zacnym swym nie nową;
Porzucił zakąt wiejski, teraz na pogany,
Od strun wdzięcznych do trąby, od pióra do piki,
Obok między drugimi stawa wojownicy.

A w tymże samym poemacie później opisuje, jako ów Jan w czasie walnej bitwy pod Cerkwią w takim był niebezpieczeństwie, że aż mu sam Królewicz na obronę przyspieszył.

Ewa miała czas i porę dowieść drugim i sobie, że jej serce godne było uczuć i wzbudzić miłość stałą i prawdziwą. Związek jej z Filipem Owadowskim doznał wielu przeszkód, i nie dla samej podwójnej żałoby odroczonej został; sprawdziło się na nim stare przysłowie: „Zwłoka w ożenieniu zawsze bywa szkodna,“ przecież doszedł nareszcie do skutku. Główną przeszkodą stał się testament Podlódowskiego, który choć ręką samego Króla stwierdzony, po długich prawnych sporach był uznany za nieważny; brakowało mu bowiem konieczniejszego warunku, ważności podobnego aktu: podpisu trzech, a przynajmniej dwóch świadków; ze wszelką tedy prawną słusnością dalecy i bogaci krewni Podlódowskiego rozdzielili między siebie znaczny jego spadek.

Po takim wyroku sądowym, Filip zupełnie ubog

chciał odstąpić ręki Ewy. Pan Franciszek do urazy nie skłonny, cokolwiek przekrzesany między ludźmi, a wstąpieniem matki do klasztoru, zupełny pan Policzny i dwóch innych wiosek, gotów był upomnieć się o dawne prawa swoje; odzywał się także zdaleka, choć ostrożnie pan Krysztof; oświadczał się przez pana Andrzeja z Gródka starszy Mysłowski, który zdawna wielki miał szacunek dla panny Wojskiej, ale ona ani słuchać o żadnym nie chciała.

— Ja nie Studzienicy i dostatkom pana Podkoniuszego, nie temu pierścieniowi, który Turcy tak okropnie porwali, jeno panu Filipowi Owadowskiemu oddałam serce i przysięgam wiarę; on żyje, on mnie zawsze żoną swoją mieć chce: ja za innego póki życia nie pójdę. Albo zakonnica, albo Rotmistrzową, to moja nieprzełamana wola: mam do jej dotrzymania dwóch ojców naszych błogosławieństwo.

Matka, mimo przedstawień przezornych przyjaciół sprzeciwiać jej się nie chciała; pobraли się więc Filip i Ewa w rok i sześć niedziel po Kochanowskiego śmierci; wesele było ciche, bez kołaczy, bez tańców, w szczupłym gronie bliższych krewnych; stary pan Dobiesław ze łzami w oczach zastępował miejsce kochanego Janka.. Już ułożono, że w Czarnolesie przy matce mieszkać będą, dopóki pan młody nie upatrzy sobie jakiego kawałka chleba; kiedy niespodzianie królowa Anna uwiadomiona o tej całej okoliczności, rada okazać szacunek swój zmarłemu poecie, nadała pierworodnej jego córce Ewie z Czarnolasu i Filipowi Owadowskiemu jej małżonkowi, na przeżycie cztery wioski w Radomskim, a poznawszy

blżej roztropnego młodzieńca, używała go do posług swoich. Całe szczęście jakie Ewa marzyła sobie w Studzienicy, znalazła w mniej malowniczym i spokojniejszym Jadowie; lubo brakowało obudwóch ojców, aby się niem cieszyli, przecież to jej szczęście nie było bez chmur, jakto zwykle szczęście świeckie, gdyż z licznych dziełek, jakimi ją Pan Bóg obdarzył, jedną tylko uchowała córkę: inne w dzieciennym wieku pomarły.

Ludwina na pół roku przed siostrą wyrzekła wieczne śluby swoje. W ostatnich czasach pobytu jej w rodzicielskim domu, Bóg zdaje się jakby z umysłu jej przedstawił wszelkie niedole i troski ziemskiego kochania, ażeby jeszcze tem silniej, tem ochotniej do Boskiego Oblubieńca dążyła. Kwiaty jej wieńca nigdy nie zwiędły, owszem rozkwiwały codzień z nowym wdziękiem, bo codzień rosła w pokorze i pobożności, codzień żywot jej ziemski ściślej się żenił z wiecznością; a kiedy pełna lat i dobrych uczynków skończyła tę doczesną wędrówkę, klasztor Sandomirski miał wielką ochotę starania się o policzenie jej w poczet Świętych Patronek polskich, tak wiele okazała wysokich cnót i dowodów łask nadprzyrodzonych.

Dorota w ośmnastym roku poszła za pana Franciszka, i znalazły się panny w sąsiedztwie co zazdrościły jej losu. Rozrodzili się bardzo ich potomkowie, tak po mieczu jak po kądzieli.

Pan Krysztof trzymał się ciągle posady swojej i nieźle na tem wyszedł. Obyczajem dworskim zgodził się i na „Szwedzika“ skoro go ujrzał w Koronie; umiał nawet pozyskać łaski jego. Posłował do Turek, niemało

królewsczyzn nagromadził, i tak dobrze kierować się umiał, że jeszcze względów Władysława IV-go doznawał.

Co do innych osób historycznych, wspominanych w tych obrazach, jako i o tem, w jaki sposób się spełniły, pożądane lub obawiane wróżby, dzieje krajowe najlepiej nauczyć mogą; chociaż niestety! smutniejsze jeszcze nastąpiły zmiany w Rzeczypospolitej niżli w Czarnolesie.

K O N I E C.

NEMEZYS

Romans współczesny

napisał

Catulle Mendès.



L W Ó W.

„Drukarnia Polska“ Jana Mittiga i Sp. ulica Sobieskiego 1. 28.

1890.

I.

Krótki dzień listopadowy ustępował miejsca szybko zbliżającym się cieniom wieczoru. Szare ołowiane chmury pelzły nisko ponad słomianymi strzechami wiejskich chałup. Na drodze prowadzącej przez wieś, nie widać było nikogo, tylko od czasu do czasu uchylały się drzwi jednej z chat, a na progu zjawiała się postać przygarbionej staruszki, która popatrzywszy się przez chwilę w posępne, zachmurzone niebo, wstrząsała smutnie głową i cofała się mrużąc: „Będzie śnieg w nocy“. Martwą ciszę jesienno-wieczorną przerywało krakanie wron i kruków, odlatujących do lasu na nocleg.

O kilkadziesiąt kroków od ostatnich zabudowań wiejskich wznosił się na tle lasu trzypiętrowy, murowany dom z oknami, opatrzonemi w kraty. Olbrzymia facjata w stylu klasztornym budziła myśl o wiecznem odcięciu od reszty świata. Dom miał pozór opuszczonej przez mieszkańców siedziby. Nad facjatą na granitowej tarczy występował wypuszczone hełm z roztrzaskaną przyłbicą.

Przed zaryglowanemi drzwiami zatrzymał się przechodzący drogą listonosz z torbą, przewieszoną przez ramię. Po chwili widocznego wahania ujął oburącz rączkę od dzwonka i pociągnął silnie. Wewnątrz nie się nie poruszyło. Listonosz zrobił taki ruch jakby zamierzał odejść, lecz po chwili namysłu zadzwonił powtórnie. W sieniach dały się słyszeć kroki nadchodzącej osoby i głos jakiś spytał przez zamknięte drzwi:

— Kto tam?

— Nikodem, listonosz.

Jedna połowa drzwi uchyliła się z wolna i na progu ukazała się postać starej, olbrzymiego wzrostu kobiety z lampą w ręku. Z pod białego czepka, zbliżonego krojem do kornetu siostry miłosierdzia, wyglądała żółkła, koścista twarz z niepomiarne długim

nosem i zadartym do góry podbródkiem. W szarej, wąskiej i gładkiej sukni podobną była do szkieletu owiniętego całunem.

— Dobry wieczór, Małgorzato — powitał ją uprzejmie listonosz, starając się ukryć zmieszanie pod maską poufalości.

— Czego chcesz?

— Przyszedłem z listem.

— Do kogo?

— Do ciebie.

— Mylisz się.

— Przeciwnie, list adresowany do ciebie.

— Mylisz się, powtarzam. Nikt do mnie pisać nie może, bo wszyscy umarli.

— Ależ ja przynajmniej żyję — odparł Nikodem, siłąc się na uśmiech.

— I tyś umarł, podobnie jak wszyscy. Zostaw mię w spokoju.

— Weźże list przynajmniej.

— A więc daj!

Stara zatrzasnęła drzwi. Głuchy łoskot rozległ się od tego stuknięcia po pustej sieni, odbił się echem od kamiennych schodów i zamarł gdzieś aż na strychu. Małgorzata weszła wolnym krokiem do obszernej, prawie pustej kuchni, postawiła lampę na stole i usiadłszy przed wygasłym kominkiem obracała w ręku list.

— Z Paryża — mruknęła, a po chwili dodała:

— Od pana.

Przedarła kopertę, wyjęła list, rozwinęła go i zaczęła czytać powoli, bez pośpiechu, jakby namyślając się nad czemś. W miarę czytania, wyszła jej twarz poczęła się okrywać trupią bladością. Dreszcz konwulsyjny wstrząsał starymi kośćmi; przeżegnała się, zerwała z miejsca, wyciągnęła w górę ramiona, dotykając prawie poprzecznej belki sufitu zaciśniętymi pięściami.

Przekleństwo i zgroza malowały się w nieruchomych, rozszerzonych żrenicach, w sinych, zaciśniętych ustach, w całej zresztą postawie starej kobiety, która się zdawała wpatrywać w nienawistne, a przerażające widmo. Przeżegnała się powtórnie, usiadła, lecz natychmiast usunęła się na kolana. Modliła się teraz, poruszając szybko ustami, składając pobożnie ręce.

Skończywszy cichą modlitwę, zaczęła się przechadzać po kuchni szerokim krokiem, a cień olbrzymiej jej postaci, włóczył się za nią krok w krok, jak widmo upioru.

Głowę trzymała wysoko podniesioną, a oczy utkwione w górę, nadawały jej rysom taki wyraz, jakby zapytywała o coś osobę znajdującą się po nad ziemią. Namyslała się i radziła zarazem kogoś niewidzialnego. Zatrzymywała się niekiedy przed listem, ciśniętym na podłogę, poczem rozpoczynała znowu przechadzkę. Uspakajała się widocznie, w końcu zawołała głośno: „Niech się stanie, jak się ma stać!“ I pogodzona z losem, wydała się niemal zadowolona.

Wzięła lampę ze stołu i wyszła z kuchni. Stukając opadającymi z nóg trzewikami, wchodziła na schody pierwszego piętra i po chwili znalazła się w ciemnym, sklepionym kurytarzu, gdzie światło jej lampy migotało jak błędny ogień. Ponury kurytarz, przypominał katakumby, a Małgorzata stąpająca po nim miarowym, automatycznym krokiem, podobną była do upiora, przechodzącego w nocy z jednego grobu do drugiego.

Otworzyła drzwi i weszła do pokoju, jaśniejszego białością, owianego tajemniczym urokiem spokoju. Ze stołu, okrytego koronkami, z drobnych krucyfiksów, porozwieszanych na ścianach i stojących we wstążki, dobywał się zapach kadzidła i różanego olejku. W jednym rogu pokoju stało coś w rodzaju kolebki, a w nie między poświęconą palmą i krzyżem spoczywała figurka z wosku.

Małgorzata uklęknęła przed kolebką. Ktoś widział Małgorzatę przed chwilą w kuchni po przeczytaniu listu, nie byłby jej poznał tak się przeistoczyła nagle. Ostry, ponury wyraz twarzy ustąpił słodkiemu rozrzwinięciu. W oczach świeciły łzy, usta otwierały się promiennym uśmiechem. Podobną była do matki, modlącej się u kolebki ukochanego dziecka. Znać jednak było po niej, że w obronie swego kochania potrafi walczyć z zaciętością nieubłaganą, z okrucieństwem tygrysy.

II.

W okolicy niewiele wiadano o starej kobiecie z opuszczonego domu.

Przed dwoma laty w pogodne popołudnie jesienne zatrzymał się przed bramą ponurego domu powóz podróżny. Z powozu tego wysiadł młody mężczyzna i piękna, blada pani. W podróżnym poznano syna dawnych właścicieli domu. Będąc dzieckiem dzielił on zabawy wiejskich chłopaków, następnie przyjeżdżał, jako dorodny młodzieniec, na polowanie w szpilkowych lasach, okrywających stoki gór. Po długiej nieobecności wracał on do stojącego pustką od śmierci rodziców domu. W towarzyszącej mu kobiecie domysłano się młodej żony. Służąca, którą przywieźli ze sobą, długa, sucha, ostrych rysów twarzy kobieta, wyskoczyła pierwsza z powozu, pochwyciła w silne ramiona młodą panią i wniosła ją pospiesznie do wnętrza domu.

Przyglądający się podróżnym wieśniacy nie zauważyli, że wąż, blada i smutna pani miała pozór wyniszczonej cierpieniem fizycznym i moralnym osoby — i cieszyli się nadzieją, że pańska siedziba, stojąca oddawna pustką, ożywi się teraz. Nadzieję tę spotkał kompletny zawód. Dom pozostał i nadal cichy, zamknięty, milczący jak grób. Okna, co prawda, otwierały się w słoneczne dni, ale z ramy ich nie wyglądała nigdy żadna twarz uśmiechnięta.

Służąca przychodziła codziennie z rana na wieś po nabiał, j ja i drób, o które targowała się zacięcie, ale nie zawiązywała nigdy rozmowy z ciekawymi kumoszkami. Ruchy jej były powolne, automatyczne, nie podnosiła głowy, nie patrzyła nikomu w oczy. Po załatwieniu sprawunków wracała w milczeniu, a ciekawe dzieciaki, które odprowadzały ją w pierwszych dniach aż do domu, słyszały zgrzyt zardzewiałej zasuw; drzwi pozostawały następnie zamknięte przez resztę dnia.

Niekiedy dawał się słyszeć turkot kół na drodze, wiodącej ku wsi i właściciel ponurej siedziby udawał się na stację kolei, oddalonej o dwie mile. Odwoziła go zwykle stara służąca, siedząca na koźle z nieruchomością i sztywnością posągu.

Nieobecność młodego pana trwała zazwyczaj krótko, wracał zwykle z średniego wieku mężczyzną, w czarnym ubraniu, z doktorem zapewne, który zabawiwszy kilka godzin odjeżdżał. W wiosce zaczęto w końcu mówić, że młoda pani jest beznadziejnie chora. Pogłoski te stwierdzało częste bywanie księdza proboszcza w zamkniętym domu. Na pytania wiejskich kumoszek ksiądz nie odpowiadał nic, tylko potrząsał smutnie głową. Nakoniec pewnej

nocy rozległy się w ciszy rozdzierające krzyki, podobne do wycia zranionego zwierzęcia. Krzyki te zlały się po chwili w jeden jęk przeciągły, nieprzerwany, ponury, przerażający.

Domysłano się, że to stara służąca tak płacze nad konającą, lub może już umarłą panią. Okropny lament trwał bez przerwy do wschodu słońca.

Na trzeci dzień odbył się pogrzeb. Za trumną postępowali mąż i służąca, dalej długi szereg włościan. Mąż szedł ze spuszczoną głową, ocierając częste łzy z oczu, chwilami piersią jego wstrząsało głucho łkanie. Służąca przeciwnie, głowę niosła wysoko podniesioną, oczy jej były suche, usta zaciśnięte, wyraz twarzy nieprzytomny. Można było odgadnąć, że gdyby teraz wyrwał się z jej piersi okrzyk, byłby on stokroć okropniejszy od nocnych jęków, zadźwięczało by w nim dzikie skomlenie wilczycy, którejby wypróbowano wnętrzności.

Gdy mogiłę zrównano z ziemią i wieśniacy się rozeszli, mąż i służąca skierowali się ku domowi. Szli obok siebie w milczeniu. On nie zatrzymał się przed drzwiami mieszkania i poszedł dalej drogą ku dworcowi kolei; pragnął widocznie uciec jak najrychlej z ponurego miejsca śmierci i rozpacz. Stara weszła sama i od tego czasu przestała się ukazywać oczom ludzkim.

Okiennice pozostały zamknięte na zawsze, jak oczy umarłej, śpiącej w cichej mogile za wzgórzem.

Pewnego razu, wkrótce po pogrzebie, kobiety wiejskie, zdjęte litością, przyszły odwiedzić pustelnicę. Spotkała je na progu takim wejrzeniem i giestem, że się cofnęły przerażone i odtąd nikt już nie zbliżał się do przekłętego domu.

Dla wszystkich było zagadką, czem się żywiła przez te długie miesiące. W piwnicy znalazły się zapewne jakieś skromne zapasy, które podtrzymywały nędzne jej życie, bo że żyła jeszcze świadczyło o tem światelko, migające od czasu do czasu wieczorem w szparach okiennic. Czem się mogła zajmować w tej samotności? o czem myśleć? Niewidzialna obecność starej wprawiała w pewien niepokój umysły mieszkańców wioski. Milczący dom wydawał się im straszniejszym od cmentarza, a żyjąca w nim i nie dająca żadnych oznak życia istota przerażała bardziej od poruszającego się trupa.

III.

Na drugi dzień po nadejściu do pustelniczego domu owego listu z Paryża, listu „od pana“ — jak się wyrażała Małgorzata — szalała w okolicy, przez całą dobę, burza ze śnieżycą. Po burzy — jak zwykle — niebo się wypogodziło, a zimny, jasny jego błękit iskrzył się milionami gwiazd.

Pociąg mknął szybko w cieniach wieczoru. Czerwony blask sygnałowych latarni wpadał na chwilę do wnętrza wagonu pierwszej klasy, a wówczas w fantastycznym oświetleniu migłała piękna i łagodna twarzyczka Zuzanny Norwaisis, śpiącej z głową opartą na ramieniu męża. Ale pociąg mijał szybko latarnie, w wagonie zapanowywał znowu zmrok, którego nie rozpraszała lampą, wiszącą u sufitu i osłoniętą starannie jedwabną firanką.

W zmroku twarz młodej kobiety wydawała się jeszcze bielszą i delikatniejszą; purpurowe jej uśmieczka rozchyliły się zlekka, złocist pukle włosów zsunęły się na czoło, a pod przymkniętymi, przeźroczystymi powiekami można się było domyślać jakichś gwiazd bardzo jasnych, bardzo szafirowych.

Zuzanna, czyli raczej Zuzia, bo spieszczone imię bardziej harmonizowało z figlarną twarzyczką młodej kobiety, zamężnej od kilku miesięcy zaledwie, spała ze spokojnym, poważnym nieco uśmiechem, właściwym ludziom bardzo szczęśliwym.

Edmund Norwaisis wpatrywał się w rysy ukochanej z wyrazem bezgranicznej czułości i rozrzewnienia, dziwnie odbijającego od męskiej, surowej nieco twarzy o gęstych brwiach i zawiesistym wąsie. Czarne, głęboko osadzone oczy i orli nos czyniłyby go może strasznym nieco, gdyby rycerskiego tego oblicza nie łagodziło jasne wysokie czoło i miękki zarys pięknych ust.

Szczególniej w tej chwili nie mógł się wydać nikomu ani szorstkim, ani strasznym człowiek, wpatrujący się z taką miłością w powiewną i wdzięczną postać kobiety, tulącej się z całem zaangażowaniem do szerokiej jego piersi. Podobny był co najwyżej do sokola, w którymby się zbudziło nagle czułe serce i któryby zapragnął otoczyć opieką gołąbkę.

Młode małżeństwo kochało się bezgranicznie. Do wspólnej skarbnicy uczuć ona włożyła całą czułość, jaką daje niewinność, a on całą potęgę, jaką daje miłość.

Wrażliwa, kochająca dusza młodej kobiety podnosiła się ku dumnemu sercu, które zniżało się ku niej i zlewając się z tem sercem, odczuwała szczęście i radość.

Zuzia nie uwierzyłaby zgola, gdyby jej powiedziano, że nie ma rzeczy wiecznych na ziemi. Ona nawet w śmierć nie wierzyła, a raczej nigdy się z nią nie zetknęła. Widziała z daleka wspaniałe kondukty pogrzebowe, ale szczęśliwej jej młodości nie zatrzymał żaden cień wspomnienia o bladej twarzy i bladych ustach, które już nie złożyła pocałunku na czole dziecka, o sztywnych, jakby z kości słoniowej, rękach, które już nie obdarzą nigdy pieczęcią.

Kto wie, czy długo trwające smutki, gorsze od krótkich wybuchów rozpacz, nie rodzą się ze wspomnień o obumarłym, bezmyślnym, w nic nie wierzącym spojrzeniu trupa? Tylko martwe zwłoki ukochanych mogą wzbudzić w nas pogardę życia, przeświadczenie o nicości. Pokutnicy i asceci wiedzieli dobrze co czynią, gdy się wpatrywali w nagie, bezwłose czaszki.

Zuzia utraciła matkę w parę tygodni po urodzeniu i nie o wiele była starszą, gdy ojciec jej, markiz Lilbonne, pożegnał się z tym światem, ztąd dusza jej była jasną i wesołą, jak ranek, którego świtanie nie omraczały chmury.

Z narady rodzinnej wypadło, aby sierotka Zuzia zamieszkała w Paryżu, przy ciotecznej swej siostrze, Izabeli Aveleyne.

Kuzynka Izabela należała do rzędu wielce oryginalnych osób. Nie czując żadnego pociągu do stanu małżeńskiego i pragnąc się pozbyć licznych konkurentów, zwabionych sympatyczną jej powierzchownością, a bardziej może znacznym posagiem, Izabela w trzydziestym roku życia ogłosiła wszem wobec i każdemu z osobna, że się uważa za starą pannę i że dała za wygraną wszelkim planom matrymonjalnym. Od tego czasu zaczęła zajądło pakować hiszpańską tabakę do niezmiernie zadartego noska, pragnąc mu nadać nieco powagi i pudrowała po kilka razy na dzień niesforne łoczki, otaczające drobną, ruchliwą, wiecznie śmiejącą się twarzyczkę.

Po śmierci ojca Izabela mieszkała stale w Paryżu. Pałacyk jej z różowej cegły, ozdobiony wieżyczkami i galeryjkami, otoczony ze wszystkich stron dzikim winem, wyglądał dziwacznie nieco, ale nie można mu było odmówić wielkiego wdzięku.

Część rozległego ogrodu, pokryta szklanym dachem, tworzyła olbrzymią cieplarnię, mieszczącą w sobie wszelkie rodzaje roślin i ptaków. Różnobarwnie opierzone papugi chwilały się na gałązkach laurów, kolibry połyskiwały w kielichach kaktusów blaskiem drogich kamieni, złociste bażanty dziobały owoce drzew cynamonowych, przed krzakami krwawo-pasowych róż białe pawie rozstaczały ogony, podobne do wachlarzy z śnieżystej, nakrapianej srebrzem mory. Gdy Izabela Aveleyn wchodziła do cieplarni w jaskrawej swej sukience, z ładną minką starej wróżki, setki różnobarwnych skrzydeł biły dokoła niej w powietrzu, setki ptasich okrzyków witały ją radośnie. Ona się śmiała, wyciągała ręce, nachylała głowę, a oswojone ptaki siadały na jej ramionach, szczebiocząc na zabój; rozpieszczony ulubieniec, różnobarwny kolibr, ośmielał się nawet chwytając dzióbkiem pasowe, jak owoc granatu, usta swej pani.

Mała Zuzia doznała jak najserdeczniejszego przyjęcia od kuzynki Izabeli i otoczoną została taką troskliwą czułością, jak gdyby była najdroższem, najukochańszem ptaszęciem w całej ptaszarni. Nieświadoma, dziecięco-naiwna dusza starej kobiety, przywiązała się od razu do czystego serduszka małej dziewczynki, która pomimo swych pięciu lat wyglądała niekiedy poważniej od ciągle śmiejącej się i pozostającej w wiecznym ruchu opiekunki.

Nie mogło być mowy nawet o posyłaniu dziewczątka na pensję, a tem bardziej o oddaniu jej do klasztoru. Izabela wzięła dla niej do domu nauczycielkę, zaprosiła do udzielania lekcji najzdolniejszych pedagogów. Chwile wypoczynku upływały sierotce rozkosznie w towarzystwie kolibrów, rozmownych papug i rajskich ptaków.

Zuzia wzrastała wśród pieczy i miłości, stając się dorosłą panną, podczas gdy kuzynka Izabela starzała się na prawdę. Spędzając życie w towarzystwie ptaków i kwiatów, dziewczę nie miało żadnego pojęcia o świecie i jego tajemnicach. Do pałacyku, będącego nawpół ptaszarnią, nawpół cieplarnią, nie zaglądał nikt z obcych, czasem tylko wróbel wpadał przez słuczoną szybę i znalazłszy się w tak niewłaściwym towarzystwie zmykał co rychlej. Zuzia więc była niewinną Lwą wśród raju, w którym brakło drzewa wiadomości złego i dobrego; brakło w nim również węża kusiciela.

A jednak w szesnastoletniem dziecku zaczynała się budzić zwolna kobieta. Niebieskie, łagodne oczy spoglądały w przestrzeń z wyrazem tęsknoty, pierś podnosiła się westchnieniem. Aż pewnego dnia Zuzia zwierzyła się w wielkiej tajemnicy kuzynce Izabeli, że do szczęścia nie wystarcza jej towarzystwo starych sług, rozmowy z papugami i zabawa z kolibami; że chciałaby mieć jaką młodą przyjaciółkę, być kiedy na balu, zajrzeć do teatru, podróżować i t. d. Życzenia Zuzi bywały zwykle spełniane natychmiast. Izabela, nie lubiąca świata, ale nie mająca żadnego powodu stonienia od ludzi, otworzyła dom dla nowych znajomych, pozawiazywała nowe stosunki, wyjeżdżała latem do modnych miejsc kąpielowych.

Zuzia bawiła się wybornie; nie utraciła jednak nic z dziecięcej swej nieświadomości i naiwności, podobną była zawsze do uroczego pączka, z którego później dopiero ma wystrzelić wspinały kwiat.

Pewnego razu, podczas pobytu nad brzegiem morza w Bretonji, Zuzia gonila w słoneczny poranek barwnego motyla, którym chciała wzbogacić piękną swą kolekcję. Kuzynka Izabela nie mogąc nadążyć, pozostała w tyle o kilkadziesiąt kroków.

— O Boże! — zawołało dziewczę.

Nie spotkało ją żadne nieszczęście, ale się przelekła i zawstydzila, potrafiwszy silnie jakiegoś nieznajomego pana, który się ukazał nagle z poza skały na skrócie drogi. Nie uspokoiła się nawet wówczas, gdy nieznajomy przeprosił ją grzecznie, ogarnął długiem, przenikliwym spojrzeniem. Poważny, niski głos jego przejął ją nieznaniem wzruszeniem; dźwięczała w nim — pomimo wyszukanej grzeczności, z jaką się wyrażał, surowa jakaś stanowczość.

— To ja powinienam była... — wyjąkała — pędziłam jak szalona... nie zauważyłam...

Mówiąc to podniosła na niego oczy i umilkła nagle. Wyglądał się jej bardzo strasznym, miał takie czarne, jak krucze pióra włosy, bladą twarz i płonące posępny ogniem oczy.

Na szczęście nadeszła kuzynka Izabela i Zuzia rzuciła się w jej objęcia, a nieznajomy odszedł, ukłoniwszy się grzecznie.

— Co ci się stało, kochanie? — spytała łagodnie staruszka. Dziewczę opowiedziało wypadek z wystraszoną minką.

— Uspokój się, Zuziu. Nie ma w tem nic tak okropnego. Czyś nie poznała tego pana? Jadł wczoraj obiad przy tym samym stole co my. Ma to być podobno jakiś bardzo przyzwoity i bogaty człowiek. Posiada majątek ziemski w Ardenach i pochodzi z arystokratycznej rodziny, dobrze zasłużonej krajowi. Tak przynajmniej opowiadały sobie na wczorajszym balu staruszki, które podobnie jak ja, skazane były na ziewanie pod ścianą podczas tańców.

— Masz słuszość, kuzynko — zawołała Zuzia. Przypominam sobie, że go już widziałam. Ale wczoraj wydał mi się zupełnie innym niż dzisiaj. Chodźmy stąd jednak, mógłby jeszcze wrócić, a upewniam cię, że się go boję!

Spotykała go odtąd codziennie, na spacerach, przy obiedzie, w kasynie. Zauważyła, że się jej nie kłaniał, nie chcąc zapewne przypominać spotkania na brzegu morskim. Czula dlań wdzięczność za ten dowód delikatności. Nie zapraszał jej również nigdy do tańca. Tem lepiej; byłaby umarła ze wstydu, opierając się na jego ramieniu i przypominając sobie, jak przy pierwszym spotkaniu padła mu prawie w objęcia z łaski tego niegodziwego motyla. Ile razy obejrzała się za nim, spostrzegala go zawsze gdzieś w pobliżu. Spuszczał natychmiast oczy, spotykając się z jej wejrzeniem, ale wiedziała z doświadczenia, że patrzeć będzie znowu na nią, gdy ona się odwróci. Nie wydawał się jej już tak strasznym. Nie mogła nawet pojąć dla czego się tak była wówczas przeraziła. Miał zawsze takie same czarne włosy i ogniste oczy, ale wyraz męskiej siły, bijący z jego twarzy i postawy, nie szpecił go wcale. Mężczyzna powinien być silnym i energicznym, powinien wyglądać jak zwycięzca i władca.

Takie to myśli i pojęcia roily się w głowie szesnastoletniego dziewczęcia, które przebywało tak długo w towarzystwie lękliwych papug i drobnych kolibrów.

Zuzia nie zdawała sobie sprawy z uczuć, jakich doznawała na widok pana Norvaisis, wiedziała tyle tylko, że spojrzenie jego, które ją ogarniało jak pieczęta, zdawało się ją zwalczać i bronić zarazem — sprawiało jej rozkosz niewypowiedzianą. Nie pojmowała źródła tej rozkoszy, zauważyła jedynie, że od pewnego czasu stała się niezmiernie ciekawa. Wpatrywała się niespokojnie w wyraz twarzy osób, mówiących o panu Norvaisis, śledziła ukłony i uściski rąk, jakimi go witano, gdy wchodził do salonu. Pragnę-

laby odgadnąć co o nim myślano. Gdy opowiadano o dowodach odwagi i zręczności, jakie składał p. Norvaisis jako nieustraszony pływak, znakomity jeździec i zręczny strzelec, doznawała uczucia radości i dumy niewypowiedzianej.

Czas tymczasem upływał. Kuzynka Izabela, stęskniona do swych ptaków i kwiatów, zaczynała myśleć na serjo o powrocie do Paryża, ale Zuzia zamykała jej usta pocałunkiem, szepcząc pieścizłotliwie: „Nic nie nagli, najdroższa! Tak mi tu dobrze przy tej cudnej pogodzie!“ Panna Aveleyne nie odpowiadała nic, ale spoglądała na mówiącą z lekkim zdziwieniem, od miesiąca bowiem padały ciągle deszcze. Zuzia widziała na niebie słońce, które świeciło we własnej jej duszy, rozkwitającej pod wpływem nowego, a potężnego uczucia.

Pewnego wieczora, podczas tańców, smutek głęboki ogarnął jej sercem. Pana Norvaisis nie było między gośćmi. Po raz pierwszy wchodząc na salę, nie spotkała się z jego wzrokiem, utkwionym w nią, widzącym ją tylko jedną z pomiędzy wszystkich. Upłynęła godzina, następnie druga, a on się nie ukazywał. Może odjechał? może był chory? Może przytrafiło mu się jakie nieszczęście? Niepokój rozdzierał serce Zuzi, sprawiając jej ból tak silny, że nie byłaby się zdziwiła, gdyby się krew ukazała na białym staniku jej sukienki.

Beztreściwe, banalne rozmowy, które się toczyły dokoła niej zaczęły ją drażnić i nudzić; pragnąc uniknąć konieczności odpowiadania na bezmyślne pytania, wysliznęła się niepostrzeżenie na balkon, zeszła na dół po kamiennych schodach i znalazła się wkrótce na wybrzeżu morskim. Czula się tak smutna, że gotowa była płakać.

Nie chciała początkowo wyznać sama przed sobą, że źródłem tego smutku była nieobecność na wieczorze pana Norvaisis; nie mogła jednak ludzić się dłużej, zeznawała, że gdyby on tam się znajdował, byłoby jej dziś tak wesoło, jak wczoraj, jak onegdaj, jak zawsze. Mój Boże, czyżby go miała kochać?

Po raz pierwszy pytanie to przemknęło jej przez głowę z jasnością błyskawicy, sprawiając ból i rozkosz zarazem. Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła rzewnym płaczem.

Pragnęła co rychlej znaleźć się w domu u siebie, w dobrze oświetlonym pokoju; pragnęła rzucić się w objęcia kuzynki, być

przez nią pieszczoną i całowaną. Samotność i cisza przerażały ją, czuła się jednak tak osłabioną, że musiała się usunąć na piasek i wpatrzyła się nieruchomie, bezmyślnie w połyskujące w księżycowych blaskach morze.

Szmer fal, miękka pieszczota promieni gwiazd i księżycza rozmarzały ją, kołysały jakby do snu. Wydawała się sama sobie małą, bezsilną; wobec bezgranicznych przestrzeni nieba i morza czuła się mikroskopijną cząstką całości, cząstką prawie taką, jak odłam skały, o który się wspierała, lub wiązanka miękkich porostów wodnych, rzucona tam przypadkowo niewiadomą jakąś ręką.

Nagle drgnęła; cień męskiej postaci wysunął się z poza skały i zarysował wyraźnie na białym piasku. W tej chwili dopiero Zuzia poznała miejsce, w którym się znajdowała; instynkt skierował bezwiednie jej kroki do skały, przy której spotkała po raz pierwszy p. Norvaisis, a cień, w który utkwiała rozszerzone źrenice, był jego cieniem.

On sam wydał się jej olbrzymim przy fantastycznym, nocnym świetle, otaczającym go ze wszystkich stron.

Nie poruszyła się, nie odwróciła wzroku, zniemczona pod wpływem obcej, potężnej, a zarazem łagodnej woli. Wpatrywali się w siebie oboje milcząco i nieruchomie, otoczeni światłem i ciszą, kołysaną monotonnym śpiewem fal.

W przepaścistych, czarnych jego oczach świecił wyraz zachwyty i niemal religijnej czułości. Głębokie jeziora miewają podobny połysk, gdy droga mleczna odbija się w ich falistej piersi. Oczy te zakłęte nieruchomością ekstazy, zdawały się wielbć i błagać, z głębi ich biła taka pokora, a zarazem potęga, że każda kobieta czułaby się wzruszona i porwana ich spojrzeniem. Zuzia czerpała z nich czar, który sama w nie wlewała. Patrzyli tak na siebie przez długą chwilę uroczystego milczenia, przemawiając jedynie uśmiechem, który otwierał ich usta, a w który wlewali całą duszę.

Śmiertelna bledź okryła nagle twarz Zuzi, dreszcz przebiegł jej członki. Ukochane rysy, w które się wpatrywała, wykrzywiły się nagle wyrazem wściekłej rozpacz. Usta jej otworzyły się gniewnie, jakby chciały kłąć, gryźć i szarpać. Kogo mógł tak nienawidzić? Komu tak groził? O, nie jej zapewne! Uspokoił się

po chwili, ale radość już nie zajaśniała na jego twarzy. Wściekłość ustąpiła na niej miejsca bezdennej tęsknocie. W oczach świecił żal, jakby po utraconym na wieki raju. Zdawać się mogło, że wszelka nadzieja zamarła w jego piersi, że rozstał się na zawsze z najdroższem marzeniem. Dwie ciężkie łzy spłynęły z wolna po męskiej jego twarzy, świadcząc o nie dającej się wytłumaczyć słabości silnego serca. Łzy te przerażały, zdawały się bowiem tak nieprawdopodobne na marmurowym obliczu tego człowieka, jak na obliczu brązowego posągu.

Zuzia, nie starając się odgadnąć źródła tej milczącej rozpacz, odczuwała ją, dzieliła i płakała z nim razem.

Norvaisis zbliżył się ku niej, przyklęknął, pochylił głowę i ucałował rąbek koronki, rzucającej lekki cień na białą rączkę dziewczęcia. „Żegnaj cię, pani“, wyszeptał i oddalił się z wolna, milcząco, kierując się ku zachodniej stronie, gdzie się gromadziły na niebie chmury, grożące burzą i nawałnicą. I ona również wstała i odeszła w stronę przeciwną, w stronę miasteczka i oświetlonego kasyna; nie odwróciła ani razu głowy, nie rzuciła ani jednego spojrzenia wstecz, po za siebie; zdawało się jej, że otrzymała jakiś rozkaz milczący i że powinna mu być posłuszną. Czuła tylko w sercu bezdenne smutek, graniczący niemal z rozpaczą.

Ani tego wieczora, ani następnych nie spotkała nigdzie pana Norvaisis i nie zdziwiła się wcale, gdy w kilka dni później kuzynka Izabela, wiedząca zawsze o wszystkim, zakomunikowała jej, że „najświetniejszy z gości“ odjechał. „Widzisz, małenstwo — dodała — wszyscy się rozjeżdżają i nam czas już wielki wracać do Paryża“. Zuzia, dziwnie poważna i milcząca od pamiętnego owego wieczora, nie sprzeciwiała się już kuzynce i obie kobiety odjechały do stolicy.

Panna Avelevne nie posiadała się z radości po pierwszych odwiedzinach w ptasznicy, bo przez czas jej nieobecności ani jedna papuga nie rozstała się z tym światem; wspaniałe bażanty przechadzały się jak dawniej pod oszklonym dachem, a w głębi kielichów egzotycznych roślin połyskiwały kolibry, podobne do rubinów i zmaragdów. Co prawda, wkrótce po powrocie obu pań do oryginalnie wytwornego pałacyku pewien ptaszek milczący, o ciemnych skrzydłach odleciał, ale nikt go nie żałował, nikt za nim nie tęsknił; ptaszkiem tym żalobnym był smutek Zuzi. Czyżby

miała zapomnieć o człowieku, który przez dwa miesiące towarzyszył jej wszędzie zdaleka jak cień? Czyżby miała zapomnieć o czarownej i niezwyklej chwili, spędzonej z nim w obliczu bezbrzeżnego oceanu przy księżycowym świetle? Nie, nie zapomniała, ale nie miała jeszcze lat siedemnastu i rozpacz nie mogła na długo opanować wszechwładnie młodocianą jej duszą. Jakiś głos szeptał jej uparcie, że pan Norvaisis pomimo uroczystego pożegnania wróci kiedyś i będzie znowu tak patrzył w jej oczy, jak wówczas. Marzyła nieraz z rozkoszą i smutkiem o tej chwili, a tymczasem poddawała się wrażeniom, jakich jej dostarczało życie. Bawiła się w towarzystwie ludzi i ptaków, szczebiotała z wesołą, śmiejącą się opiekunką.

Teraz właśnie cieszyła się niezmiernie nadzieją balu, jaki kuzynka Izabela miała zamiar wydać w swej cieplarnio-ptaszarni, ukrywszy orkiestrę po za wspaniałymi krzewami zakwitających róż. Tańce trwać będą zapewne aż do rana, a jak przesłicznie będą wyglądały te ptaki, trochę wystraszone, ale i rozbawione również, gdy będą się unosiły po nad obnażonemi ramionami tancerek, po nad wstążkami, perłami i brylantami! Co za szkoda, że nie można ich nauczyć aby śpiewały polki, kontredanse i walce! Jakby to było przyjemnie tańczyć przy dźwiękach orkiestry, złożonej z tych pierzastych muzykantów!

Pewnego popołudnia — w rok po wilegaturze na wybrzeżu morskiem w Bretanii — Zuzia rozmyślała właśnie o tym balu, gdy kuzynka Izabela przysłała prosić ją na dół do salonu, w którym sama lubiła przesiadywać z powodu bliskiego sąsiedztwa ulubionych ptasząt.

— Mój Boże! — zawołała Zuzia, wchodząc do salonu.

Spostrzegła tam bowiem kogoś, dobrze sobie znanego! Panna Aweleyne zmieszana, zakłopotana, pobladła, wołała pośpiesznie:

— Chodź-no tu, chodź! Nic nie wiesz, co się dzieje... coś niesłychanego, nadzwyczajnego, niepojętego!... Oto pan Norvaisis prosi o twoją rękę!..

Twarz Zuzi rozpromieniła się takim wyrazem radości, jak gdyby wszystkie róże, rozkwitłe nagle w ich sercu, rzuciły swój karmin na jej policzki, jakgdyby wszystkie zapachy róż uderzyły jej do głowy. Niewypowiedziane uczucie rozkoszy, a zarazem obawy

ogarnęło jej duszą. Nie będąc w stanie przemówić słowa, rzuciła się tylko w objęcia kuzynki Izabeli.

Miła staruszka rozplakała się. Zrozumiała, że ten człowiek, którego знаła zaledwie, i to dziecię, pieszczone i uwielbiane od tylu lat, kochali się wzajemnie i ukrywali przed nią swoją miłość. Myślała, że smutno jej będzie pozostać tak samej; nie czułaby się bardziej zmartwioną, gdyby burza potłukła okna w ptaszarni i rozprószyła naraz wszystkie jej ptaki.

Zuzia, wychodząc za mąż, zmieniła tylko jedno uroczne gniazdko na drugie, równie wykwintne i rozkoszne, ale trwalsze, lepiej strzeżone. Przeszła bez żadnego wstrząśnienia i obawy ze szczęścia w szczęście; tyle tylko, że teraz czuła się dumniejsza radością, jaką dawała. W każdym bowiem słowie, spojrzeniu i ruchu Edmunda Norvaisis mogła wyczytać wdzięczność i uwielbienie bez granic.

Zuzia, widząc się tak kochaną i pieszczoną, stała się odrazu bóstwem wielce wymagającym i despotycznym. Nie obawiała się już tych wielkich oczu, takich czarnych i głębokich, które niegdyś opanowały jej sercem. Co prawda, straszne te oczy, wpatrując się w nią, stawały się dziwnie łagodne i czułe. Wszechwładną panią była teraz ona i ten dumny, niezwykły człowiek, byłby się rzucił w ogień na skinięcie małego jej paluszka. Miewała tysiące najdziwniejszych pomysłów, zachcianek i kaprysów. Bawiło ją, że każdy jej rozkaz spełniany był natychmiast, bez najlżejszego oporu.

Edmund Norvaisis czuł się najszcześliwszym, gdy mógł sprawić jakąś przyjemność młodej swej żonie. Nie wymagał od dziecięcej jej duszyczki miłości, równej tej, jaką przepelniała jego serce, starał się nawet ukrywać przed nią swą namiętność; wiedział, że jest kochanym i wyczekiwał zupełnego rozwoju uczuć młodej kobiety, jak się wyczekuje rozkwitu cudnego jakiegos kwiatu.

A jednak w fantastycznej główce Zuzi zrodził się pewien kaprys, którego on spełnić nie chciał.

Opowiadał jej często wieczorami, które spędzali zdale od świata, wystarczając sami sobie jak najzupełniej, o dawnych swych podróżach po Chinach, Japonji, Egipcie. Zuzia lubiła słuchać o tych fantastycznych krajach. Dziwaczne nazwy miast, plemion, ludzi bawiły ją, jak nieznana muzyka. Opowiadania o polowaniach, niebezpieczeństwach, zasadzkach wydawały się jej równie zajmu-

jące, jak bajki o wrózkach. Niekiedy znowu robiło się jej smutno, że dawniej, kiedy jeszcze jej nie znał, był tak daleko od niej. „Wracaj, o wracaj!” szeptała przerażona i prosiła go, aby mówił o starym domu w Ardenach, w którym się urodził, gdzie spędził dziecięce lata; pragnęła wiedzieć co czuł, myślał i robił, gdy był małym chłopcem. Rozczulała się nad śmiercią ulubionego psa lub oswiżonego ptaka, śmiała się na głos z figla, zżęcznie wypłałanego staremu profesorowi, który przychodził na lekcje z sąsiedniego miasta trzy razy na tydzień. Aż nagle zbulzła się w niej chęć poznania okolic, w których ukochany przez nią człowiek spędził pierwszy okres życia, chęć obejrzenia domu, w którym się urodził i wychował. Pragnęła może, aby odtąd, myśląc o tych miejscach, na tle ich widział i jej po-tać.

— Zawieź mnie do swego domu — prosiła. — Zrobisz mi tę łaskę i przyjemność, nieprawdaż? Pojedziemy tam zaraz jutro.

Edmund zerwał się z miejsca gwałtownym ruchem. Był bardzo blady, a usta mu drżały febrycznie.

— Co ci jest? — spytała zdziwiona.

— Nic. Szalona myśl przyszła ci do głowy. Nie sądz jednak, abym miał zamiar spełnić to dzikie żądanie.

Zuzia patrzyła mu w twarz szeroko rozwartemi zrenicami. Nie przypuszczała dotąd nigdy, aby mógł się jej w czemkolwiek sprzeciwić.

— Przebac mi najdroższa — mówił dalej Edmund, uspakajając się — mozem być za gwałtowny względem ciebie. Ale skąd ci mógł przyjść taki dziki pomysł. Jeżeli pragniesz podróżować, to jedźmy do Włoch, Hiszpanji lub innego jakiego słonecznego kraju, ale nie do tej pustyni, gdzie nie zobaczysz nic, prócz śniegu i wilków.

Zuzia za całą odpowiedź tupnęła nóżką i zawołała głosem rozgrymaszonego dziecka:

— Pojedziemy tam jutro, koniecznie jutro!

Edmund próbował się sprzeciwić, tłumaczyć, ale młoda kobieta rozplakała się. Musiał więc uleść w końcu.

Pojechali. Pociąg pędził w ciemną dal, a on wpatrując się w uśpioną żonę, taką uroczą, śliczną i wątlą zapomniał o reszcie świata, zapomniał o trosce, która mu dotąd bruździła czoło.

Pociąg zaczął zwalniać biegu i stanął wkrótce. Konduktor zawołał donośnym głosem:

— Aubreville! Aubreville!

Wołanie to zbudziło Zuzię.

— O! — zawołała, zrywając się — przyjechaliśmy już! A ten szkaradny towarzysz podróży nie zbudził mnie nawet. Jestem przekonana, mój panie, że pozwoliłbyś, abyśmy minęli tę stację, nie ostrzegłszy mnie o tem. Domyślam się teraz, dlaczegoś nie chciał, abym zwiedziła miejscowość, w której przepędziłeś młodzieńcze lata! Musiałeś tu wyrobić sobie fatalną opinię!

I pochylając się ku niemu, szepnęła z nieźrównaną kokieteryją:

— Przyznaj mi się, czyś robił takie słodkie oczy do napotykaných pasterek, jak myśliwi na obrazkach?

Wysiedli z wagonu, minęli, nie zatrzymując się w niej, salę pierwszej klasy i znaleźli się po drugiej stronie dworca. Przed nimi rozciągała się bezbrzeżna przestrzeń, okryta lodem, śniegiem i szronem, czarodziejsko połyskująca w blaskach księżyca.

Zachwyt Zuzi nie znał granic.

— O, jakież to wspaniałe! jakie precudne! — wołała, klaszcząc w dłonie.

Edmund wyprzedził ją i zbliżył się do czekającej opodal nieco bryczki.

— Jak się masz, Małgorzato? — zwrócił się z powitaniem do olbrzymiej kobiety, siedzącej nieruchomie na koźle.

Małgorzata nie zrobiła najlżejszego poruszenia.

— A więc przyjechałeś pan naprawdę? — wyszeptała po chwili.

— Naturalnie.

— I tamta oto pani jest żoną pańską?

— Tak jest.

— I mogłeś pan przywieźć ją tutaj?

Edmund ściągnął groźnie brwi.

— Czyś otrzymała mój list? — zaczął, nie odpowiadając na ostatnie jej pytanie. — Czyś wszystko przygotowała na nasze przyjęcie.

— Na przyjęcie żony pańskiej?

— Tak jest.

— Przygotowałam wszystko.

— To dobrze.

— Zaczekaj pan chwilę — szepnęła Małgorzata, zniżając bardziej jeszcze głos. — Że, bardzo źle postąpiłeś, przewożąc tu swoją żonę. Wracajcie, skądście przybyli. O szóstej godzinie odchodzi pociąg do Paryża. Zaczekajcie nań na dworcu i wracajcie, proszę was!

Edmund ścisnął niecierpliwie ramionami.

— A więc rób pan, jak chcesz — zawyrokowała obojętnie Małgorzata.

— Zuziu — zawołał Norvaisis — spiesz się! mamy dwie mile drogi przed sobą.

Zuzia nadbiegła rozpromieniona, uradowana jasnością nocy, brylantami szronu.

— Czy to ta sama stara służąca, o której mi wspominałeś? — spytała po cichu męża.

Skinał głową twierdząco. Młoda kobieta zaledwie zdołała pohamować głośny wybuch śmiechu.

— Całkiem podobna do Don Kiszota, nieprawdaż?

— Siadaj, ukochana, i otul się dobrze futerkiem, żeby ci nie było tak zimno w drodze.

Zuzia przy pomocy męża wygramoliła się na twarde siedzenie z prostych desek, które miało dla niej powab nie zrównany, powab nowości. Edmund zamierzał pójść za jej przykładem, Małgorzata powstrzymała go.

— Panie — rzekła — pogoda bywa u nas zmienną w tej porze roku. Za chwilę możemy mieć śnieg. Wyciągnij pan, proszę, derkę z pod siedzenia, bo ja nie mogę odejść od konia.

Edmund obszedł naokoło bryczkę, ale zaledwie dotknął siedzenia, gdy koń spłoszony silnem smagnięciem, targnął naprzód i popędził w szalonym galopie, uwożąc nieruchomą, jak posąg, Małgorzatę i przerażoną, wołającą rozpaczliwie ratunku Zuzię.

IV.

Małgorzata nie przestawała okładać boków konia wściekłymi razami bata; powóz toczył się z szaloną szybkością przez ubrylaną pustynię.

— Edmundzie, błagam cię! Edmundzie, na pomoc!

Wszelkie wołania były nadaremne. Postać p. Norvaisis, nie mogącego dopędzić mknącego powozu, malała w oddaleniu i znikła wkrótce zupełnie. Zuzia zwróciła się wówczas do starej ko biety.

— O Boże mój, Boże! Jesteśmy zgubione! Co się to stało? Staraj się pani...

Urwała nagle. Nowe uczucie przerażenia ścisnęło jej sercem. W pierwszej chwili zamięszania sądziła, że stał się jakiś nieprzewidziany wypadek, że koń zaczął nagle unosić, ale teraz widziała wyraźnie, że stara przyspieszała dobrowolnie jego bieg, że okładała go razami. A więc istniała tu jakaś zмова, zasadzka. Chciano ją rozłączyć z mężem, uwieść, porwać.

— Pani — wołała z przerażeniem — za co się pastwisz nademną? Cóżem zrobiła ci złego? błagam cię, zatrzymaj konia! nie zabijaj mię!... ja się boję!

Małgorzata zdawała się nie słyszeć, nie rozumieć tego, co do niej mówiono. Pędziła przez kamienie, doly i wyboje z wzrastającą szybkością.

Wielkość niebezpieczeństwa, wśród którego się znalazła, przechodziła swym rozmiarem wszystko, co Zuzia mogła sobie wyobrazić. Nagle przyszło jej na myśl, że może tam na dworcu mordują w tej chwili jej męża. Myśl ta dodała jej męstwa. Rzuciła się ku starej kobiecie i chwytając ją oburącz za ramię zawołała z odwagą płaszczy, broniącej gniazda przeciwko stokroć silniejszemu napastnikowi:

— Zatrzymaj pani konia i odwieź mię natychmiast do męża. Czy słyszysz, natychmiast! Ja tak chcę! tak każę!

Stara odrzuciła ją w głęb powozu silnem pchnięciem ręki i pędziła dalej. Zuzi przyszło na myśl znowu coś innego. Nie, to nie było zasadzka i mężowi jej nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Ta stara kobieta jest po prostu warjatką, wszak Edmund jej mówił o tem, uprzedzał. Ale z największą nawet warjatką można sobie dać radę, byle się wzięść umiejętnie do rzeczy. Przysunęła się więc znowu do niej i zaczęła przemawiać słodkim i melodyjnym, jak muzyka, głosem. Tak jest, szybka jazda w taką przesłiczną księżycową noc jest arcy-miłą i ona, Zuzia, dziękuje za tę niespodziankę. Ale teraz ma już dość tej zabawy, a nawet obawia się

trochę, bo nie przywykła tak szybko jeździć. Czas by już było wrócić do p. Norvaisis, który musi tam być gdzieś bardzo niespokojny. Przemawiając w ten sposób, Zuzia głaskała delikatną rączką wyschły, jak pergamin, policzek Małgorzaty, starając się ją utłagodzić. Ale straszliwa kobieta nie zwracała na nią uwagi, pędząc wciąż na złamanie karku.

Zuzia czuła, że pozostając dłużej w powozie, naraża się na śmierć okropną, na śmierć niechybną. Widziała jedyną drogę ratunku w natychmiastowej ucieczce. Dreszcz przebiegł jej członki na myśl, że wyskakując połamie kości, zabije się może. Wyobraziła sobie rozpacz męża, gdy znajdzie ją na drugi dzień skrwawioną, martwą i przymknętą oczy.

Nie było jednak czasu do stracenia, nie było wyboru. Nagle w chwili gdy miała się rzucić w przestrzeń, silna ręka Małgorzaty uchwyciła ją brutalnie za gardło i cisnęła w głąb powozu tak silnie, że głowa nieszczęśliwej ofiary uderzyła z głuchym łoskotem o drewnianą ławkę. Stara usiadła wtedy najspokojniej na dawne swe miejsce i szalona jazda trwała dalej.

V.

Gdy Zuzia przysłała do siebie po długim omdleniu i podniosła z wolna powieki, ujrzała się w ponurym, obszernym pokoju, podobnym do kuchni. Pierwszem jej uczuciem była radość, że istnieje jeszcze na świecie bożym, że nie roztrzaskała sobie głowy o jakie drzewo lub kamień. Radość ta ustąpiła wszelako mirjsca trwode, gdy oczy jej spoczęły na Małgorzacie, wpatrującej się w nią z dzikim szaleństwem nienawiści.

Pomimo osłabienia zerwała się i rzuciła ku drzwiom. Były one, niestety, zamknięte. Zuzia zaczęła wówczas biegać po całym pokoju, szukając wyjścia, i nie znalazłszy go przypadła na podłogę w najciemniejszym kącie, z bijącym sercem, jak ptaszek zamknięty nagle do klatki.

— Posłuchaj mię, ty mała! — zawołała wówczas Małgorzata, zwracając ku niej błyszczące swe oczy. — Nie umkniesz złod, bom pozamykała starannie wszystkie drzwi, a klucze od nich mam w kieszeni. Napróżnobyś wołała ratunku, nikt nie usłyszy, nikt nie przyjdzie. Ha, pragnęłaś być w tym domu, a więc ciesz się: pra-

gnienie twoje zostało spełnione. Pan Norvaisis nie znajdzie na stacji konia i będzie musiał iść pieszo. Mam przelo dość czasu do opowiedzenia ci przed jego przybyciem, com chciała ci opowiedzieć. Sama nie wiem, co uczynię z tobą następnie. Bardzo być może, że cię zamorduję, albo też daruję ci życie. Namyszę się jeszcze nad tem. Zapyłam, poradzę się. Powiedziano ci zapewne, że jestem warjatką. To nieprawda; sama się przekonasz wkrótce, że jestem przy zdrowych zmysłach. Mam tylko wiele nienawiści w sercu, bom n egdys miała wiele miłości. Wytłótnacę ci tę zagadkę powoli, systematycznie. Pocóż niałabym się spieszyć? Wszak i teraz już obawiasz się i teraz cierpisz. Ale przedewszystkiem chcę ci się przypatrzeć z bliska, a dobrze.

Wzięła lampę ze stołu, podeszła do przerażonego dziecka i oddarła jej przemocą ręce od twarzy.

— Ha, ha! — zaśmiała się ironicznie zgrzytając zębami. — Jesteś piękna, bardzo piękna! Mogłabym prawie przysiądz, że cię w końcu zamorduję.

Odniosła lampę na dawne miejsce i przechadzając się po pokoju miarowym, automatycznym krokiem, zaczęła opowiadać:

— Nie wiem, kim jestem. Znalezione mię pewnego zimowego ranka pode drzwiami, owiniętą w łachmany, zbryzgane skrzepłem błotem. Mogłam mieć — jak przypuszczano — zaledwie parę dni życia, aleń już wówczas była bardzo chuda, bardzo długa i bardzo brzydka. Kobieta, która mię znalazła, wylewając pomyje do rynsztoku, służyła w pensjonacie, utrzymywanym przez angielski. Pensjonaty takie spotykają się dość często w Bretanji; angielski ucza się w nich po francusku, francuski po angielsku. Służąca włożyła mię do pustego szaflika i zaniósła do pokoju swych pań. Dowiedziałam się o tem wszystkiem później dopiero. Służąca, osoba bardzo złośliwa, opowiadała chętnie o tych wypadkach, żeby mi sprawić ból i wstyd.

Właścicielki pensjonatu wzięły mię na wychowanie. Uczyniły to bardziej przez wyrachowanie, niż przez dobroć serca. Miłosierne przygarnięcie biednej sierotki mogło im wytworzyć świetną opinię w okolicy, ściągnąć wiele wychowanek do pensjonatu.

Pierwszym faktem z owych czasów, o których wiem nie z opowiadania, ale z własnych wspomnień, było bolesne ukąszenie psa, którego poszczuły na mnie złośliwe dzieci. Odgrywałam rolę

żywej lalki wyglądem tych pięknych i bogatych panien, z tą różnicą, że nie strojono mię i nie pieszczono, jak lalki porcelanowe, lecz bito i szczypano, a gdy zaczynała płakać, szczypano jeszcze silniej. Większem wszelako udręceniem dla mnie od bólu fizycznego było ciągle naśmiewanie się z mojej powierzchowności. „Patrzcie, patrzcie — wołano — co za poczwara z Małgorzaty! nos ma zupełnie podobny do dzioba starej papugi, twarz koloru ziemi, a tak jest sucha i długa, jak słup wiorstowy.“ Sama wiedziałam, że nie byłam piękna, mówiło to mi aż nadto wyraźnie zwierciadło, więc ludzie powinni byli mieć trochę choćby litości nademną. Zdaje mi się chwilami, że mogłabym być dobrą, gdyby otoczenie moje było dobrem względem mnie. A zresztą nie mam żadnej pewności w tym względzie; bardzo być może, że się już urodziła z uczuciem nienawiści w sercu, jako dziecię wydziedziczonych i deptanych, jako wyrzutek społeczeństwa. Wiem tylko to, że wzrastając stawałam się coraz to gorsza. Nie mogąc wypowiedzieć otwartej walki tym, co mi dokuczali, starałam się sprawiać im ból i zmartwienie pokryjому. Nieraz wybuchałam głośnym śmiechem z radości, że mi przyszedł do głowy jaki nowy pomysł do udrczenia moich nieprzyjaciółek. Ślepa, dzika jakaś nienawiść do całego rodzaju ludzkiego wrzała w moich żyłach, czyniąc mię bardziej podobną do wilczycy niż do kobiety.

Oddawna nosiłam się z pewnym planem.

Przełożona pensjonatu lubiła się stroić. Najmilszym dla niej podarunkiem bywał zawsze jakiś przedmiot zbytku: wykwinny kapelusz, paryskie rękawiczki, wstążki, tiule, cenne koronki. Pensjonarki przeto, chcąc zaskarbić sobie łaski przełożonej, ofiarowywały jej kilka razy do roku rozmaite stroiki. Przyjmowała je zwykle ze łzami wdzięczności, nosiła z widoczną przyjemnością przez kilka tygodni, a później nagle przedmioty te znikwały niewiadomo dokąd. Pewnego dnia udało mi się odkryć tajemnicę tego znikania: przez uchylone nieco drzwi spostrzegłam pannę Arnoldson stojącą przed olbrzymią szafą, na której półkach połyskiwały wszystkie stroje, wszystkie błyskotki ofiarowane jej w ciągu dwudziestu kilku lat. Stara kobieta bawiła się tymi fatalaszkami, jak dziecię lalką, chwilami uśmiechała się do nich, zanurzała ręce we wstążkach i krepach, a dotknięcie miękkich puchów koronek, wykwinny szelest jedwabiu sprawiała jej widoczną rozkosz. Ta

kobieta, którą nienawidziłam bardziej jeszcze od innych, była szczęśliwą! Cofnęłam się ostrożnie ode drzwi i zbiegłam na dół. Miałam już cały plan osnuty w głowie; postanowiłam przy pierwszej sposobności podłożyć ogień pod szafę. Nie troszczyłam się wcale o to, że cały dom mógł się przytem spalić, chodziło mi o to tylko, aby pozbawić znienawidzoną starą kobietę przyjemności, jaką sprawiała jej posiadanie różnobarwnych gałganków.

Przez trzy dni nosiłam się z tym zamiarem, myśląc o nim ustawicznie i wyglądając sposobnej chwili do jego urzeczywistnienia.

Nakoniec pewnej niedzieli, gdy wszyscy prawie udali się do kościoła, wśliznęłam się na pierwsze piętro z pudełkiem zapalek w kieszeni i pękiem smolaków, ukrytym starannie pod chustką. W chwili, gdy miałam już podłożyć ogień, usłyszałam lekki szmer po za sobą i odwróciwszy się, ujrzałam młodzieńca, bo zaledwie dwunastoletnią pensjonarkę, niedawno przybyłą na pensję. Nie wyrządziła mi ona była żadnej jeszcze krzywdy, tem niemniej nienawidziłam ją z całej duszy za to, że była bardzo piękna, bardzo bogata i pobożna. „Po coś tu przyszła?“ spytałam groźnym tonem, jakim przemawiałam zwykle, gdy nikt z przełożonych nie mógł mię słyszeć. Drżąca i zmieszana nie odpowiadała mi, lecz pomimo obawy wpatrywała się we mnie wzrokiem tak smutnym, łagodnym i kochającym, że byłabym ją obila z pewnością, gdyby nie umknęła, widząc zaciśnięte moje pięści.

Po jej odejściu wahałam się co mam uczynić. Ta mała wiedziała mię z zapalkami w ręku, a więc mogła rzucić na mnie podejrzenie, albo nawet wprost oskarżyć przed przełożoną. Pokusa jednak była zbyt silną, nie umiałam jej stawić czoła i podpaliłam smolaki, ułożone między podłogą a dnem szafy, jak w piecu, a gdy pierwsze płomienie buchnęły, schroniłam się do piwnicy, wyglądając stamtąd powrotu domowników z kościoła.

Ujrzałam ich wkrótce, zbliżających się do furtki ogrodowej; widziałam, jak załamali rozpacznie ręce na widok płomieni, wydobywających się przez otwarte okna, usłyszałam okrzyk przerażenia pani Arnoldson, która się usunęła na trawę w omdleniu i uczułam się tak szczęśliwą, że postanowiłam uczcić tę chwilę! Pochwyciłam butelkę najlepszego wina, odbiłam szyjkę o mur i wypróżniłam ją prawie do dna, krwawiąc w pośpiechu usta ostrzem szkła.

W godzinę później zawołano wszystkich nas, domowników, do parloaru. Pani Arnoldson wyglądała tak cierpiąca i przygnębiona, że serce mi skakało z radości w piersiach.

Ułożyłam już sobie z góry, w jaki sposób mam się tłumaczyć, aby wykazać zupełną swą niewinność; czułam się przeto zupełną panią siebie, gdy z kolei zwrócono się do mnie z zapytaniem, w tej chwili jednak podniosłam oczy i spotkałam się ze spojrzeniem owej dziewczynki, która mię widziała z rana w pokoju przelożonej. We wzroku dziecka jaśniał wyraz takiej łitości i miłosierdzia, że byłabym ją udusiła z pewnością, gdybyśmy byli same. Przyprowadzona do ostateczności tem spojrzeniem, nie zdając sobie sprawy z tego, co czynię, zawołałam, wskazując na dziewczynkę: „Oto jest winowajczyni! Widziałam na własne oczy, jak podkładała ogień pod szafę! Wiem, że będzie się wypierała, że zapewne mnie oskarży o własną zbrodnię... Zamkną mnie do więzienia może na całe życie, ale będę cierpieła niesłusznie, bo winowajczynią jest tylko ona!“ Wszystkie oczy zwróciły się na dziewczynkę, która zbladła śmiertelnie, lecz nie spuściła oczu i patrzyła we mnie ciągle z tym samym wyrazem...

Pani Arnoldson zbliżyła się do dziecka. „Uspokój się, Klarciu — rzekła łagodnie — Małgorzata jest bardzo niedobrą kobietą i radaby wszystkim na świecie sprawiać ból i przykrość. Wiemy doskonale, że nigdy nie byłabyś zdolną do czegoś podobnego... Stokroć prawdopodobniejszem jest, że to ona sama...“ Mała wpatrywała mi się bez przerwy w oczy i żałosne wvrazy nie zdołałyby opisać bezgranicznego miłosierdzia, które zwilżało łzą rozrzewnienia jej powieki. Nagle pochyliła główkę i wyszeptała drżącym głosem: „O nie, pani, Małgorzata jest niewinna!.. Powiedziała prawdę; byłam rzeczywiście w pokoju na górze z zapalkami w ręku... Sama nie wiem, co się ze mną wówczas działo... Byłam nieprzytomna, szalona... przebac mi pani!...“

Słuchając tych słów, czułam, że działo się we mnie coś nadzwyczajnego... Doznawałam uczucia, o którym dotąd nie miałam pojęcia. W sercu mojem stopniały nagle ponure lody, a na ich miejscu wykwiwały róże... Światło jakieś, rozkoszne, a łagodne oświeciło ciemne zakątki mojej duszy. Byłam wzruszona i szczęśliwa po raz pierwszy w życiu. „Klarcia kłamie! — zawołałam donośnie — kłamie, jak święta, jak anioł! Zbrodniarką jestem ja,

a ona się oskarża, aby uratować tę, co chciała ją zgubić!“ Płakałam i śmiałam się zarazem. Usunęłam się na podłogę i czołgając się na kolanach zbliżyłam się do bohaterskiego dziecka, okrywając pocałunkami brzeg jej sukni, drobne nóżki i rączki.

Nie oddano mię w ręce policji, nie wypędzono nawet z domu: Klarcia potrafiła wybłagać dla mnie przebaczenie. „A więc są naprawdę szlachetne i dobre serca na świecie!“ szeptała n w upojeniu, wstydząc się dawnych swych grzechów, lecz czując zarazem pogodne ukojenie ducha, wypływające ze szczerej skruchy i postanowienia poprawy.

Od tego dnia stałam się pobożną, zaczęłam kochać Boga i ludzi. Klarcie uwielbiałam, jak świętą i starałam się spędzać z nią najwięcej czasu. Z rana przynosiłam jej czekoladę, którą sama gotowałam i czułam się niewypowiedzianie szczęśliwą, jeżeli jej smakowała.

Starałam się skończyć jak najrychlej robotę, aby móc z nią rozmawiać podczas rekreacji. Droga dziewczynka moja opowiadała mi cudowne rzeczy; słuchając jej o mało nie umierałam ze szczęścia. Powtarzała mi również wszystko, co słyszała w klasie, pragnąc uczynić ze mnie taką uczoną istotą, jaką była sama. Dobroć jej zawstydzała mię niejednokrotnie, bom się czuła jej niegodną. Miewała zawsze tysiące pomysłów, aby mię cieszyć i uszczęśliwiać coraz bardziej. Pewnej niedzieli przybiegła do mnie do kuchni i przez całą godzinę siedziała u mnie na kolanach, szczebiocząc i śmiejąc się. Chwil tych nie zapomnę do śmierci. Dawała mi często w upominku rozmaite drobiazgi, któremi przystrajałam nędzną swą izdebkę. Darowała mi również ogromną lalkę, otrzymaną od matki w nagrodę za pilność w naukach. Lalka była tak śliczna i strojna, miała takie karminowe usteczka i szafirowe oczęta, uśmiechała się takim słodkim uśmiechem, że zdawała mi się podobną do Klarcia. Lubiałam ją bardzo i nieraz w nocy budziłam się, żeby pójść na nią popatrzeć. Dzięki temu anielskiemu dziecku, stałam się dobrą i kochającą nie tylko względem niej, ale względem wszystkich ludzi; starałam się usługiwać i dopomagać, komu tylko mogłam, zyskując sobie tem coraz więcej życzliwości ludzkiej. Myśląc o tem, czem byłam dawniej, a czem się stałam, wylewałam izeradości. Wiesz Małgorzato — rzekła pewnego razu Klara ze smutną miną — odjadę ztąd wkrótce i już nie wrócę, bo rodzice

mają zamiar wydać mię za mąż w tym roku.“ Wydać ją zamąż? Oslupiałam ze zdziwienia. Nie rachowałam czasu, upływającego mi wśród szczęścia i sądziłam, że Klarcia ma ciągle jeszcze 12 lat. Ale nie; była śliczną i dorosłą panną, o której zamążpójściu mogła już myśleć troskliwa rodzina. Samo przypuszczenie, że mogę ją utracić na zawsze, sprawiło mi taki ból szalony, jak gdyby lysiące sztyletów przeszły mi serce, ale Klarcia ukoila mię natychmiast, mówiąc: „Tak jest, odjeżdżam ztąd, lecz i ciebie zabiorę ze sobą.“ Stało się rzeczywiście tak, jak obiecywała: rodzice pozwolili jej zabrać ubogą dziewczynę, która ją strzegła przez kilka lat, jak zrenicę oka, a narzeczoną, pan Norvaisis, nie miał przeciwko...

Stuk przewróconego nagle krzesła przerwał Małgorzacie. Zuzia stała przed nią, drżąc, jak liść osiki i jak trup blada.

— Co pani mówisz, na Boga! — zawołała dziko. — Musisz się mylić chyba: pan Norvaisis nie mógł być narzeczoną owej Klary...

— Pan Norvaisis był narzeczoną, a następnie mężem Klary Brezolles, swojej kuzynki. Małżeństwo to zostało ułożone przez rodziców obojga młodych, którzy się prawie nie znali i byli sobie całkiem obojętni.

Zuzia zapomniała o przerażeniu, jakie w niej wzbudzała Małgorzata i uchwyciwszy ją za ramię, wołała nieprzytomnie:

— To nieprawda! te fałsz! Edmund miałby się ożenić? Miałby za żonę Klarę?.. A cóż się stało z tą jego żoną? Czy może zobaczę ją tutaj? Odpowiadaj mi, pani, odpowiadaj natychmiast.

Małgorzata uwolniła się z łatwością z uścisku młodej kobiety i odepchnęła ją silnie od siebie.

— Nie mam potrzeby spieszyć się. P. Norvaisis przybędzie tu najwcześniej za godzinę dopiero, a ty cierpisz już teraz, jestem zadowolona i mogę zwlec z zadaniem ci ostatecznego ciosu. Co do żony twego męża, to ją będziesz mogła zobaczyć, jeżeli pragniesz tego: tak jest zobaczysz ją z pewnością.

Ciche łkanie było jedyną odpowiedzią na te okrutne wyrazy. Małgorzata mówiła dalej, przechadzając się zwolna po pokoju:

— Po ślubie państwo młodzi zamieszkali w Paryżu. Nie odstępowałam ani na krok mojej pieszczoszki. Wpatrywałam się nieraz godzinami w piękną, a tak smutną jej twarz. Bo Klara nie doznała szczęścia w domowym pożyciu. Nie kochała pana Norvai-

sis przed ślubem, lecz pokochała go później, a on pozostał względem niej zawsze równie obojętny. Spędzał większą część czasu poza domem, wracając nieraz z zabawy nad ranem dopiero. Widząc zaczerwienione od płaczu oczy młodej mojej pani, czułam rozpacz i wściekłość w sercu. Były chwile, żem chciała biedz do pana, znieważyć go, bić, udusić — miałam dość siły do tego, ale ona powstrzymywała mię zawsze i uspakajała mówiąc: „Edmund jest dobrym i szlachetnym człowiekiem. Pragnąłby mię kochać, ale sercu nakazać nie można. Nie jestem odpowiednią żoną dla niego. Bole, wieczory, rozrywki światowe, które się jemu tak podobają nużą mię i nudzą. Nawet uczucie moje dla niego, jakkolwiek silne i głębokie, ma charakter cichy, spokojny i nie potrafi go zadowolnić. Popelniłam wielki błąd, wychodząc za mąż, miejsce moje było w klasztorze. Byłybyśmy tam razem ze sobą, pędząc jasne i spokojne życie na modlitwie, poście i cichej pracy. Nie sądzę jednak, abym się czuła zbyt nieszczęśliwa: mam przecież ciebie, mam wiarę w bezgraniczne miłosierdzie boskie.“ Uśmiechała się przytem pobladłymi usteczkami, aby mię rozbroić i pocieszyć.

Był jednak pewien okres czasu, w którym pan okazywał wiele dobroci i słodczy względem młodej swej żony. Miało to miejsce przed dwoma laty, po powrocie jego z wycieczki nad morze. Dziwiliśmy się wszyscy zmianie, która w nim zaszła podczas parumiesięcznej nieobecności. Spojrzenie jego, takie dumne i ostre zwykle, złagodniało dziwnie, wyrażało smutek głęboki, graniczący z rozpaczą. Można było przypuszczać, że przeszedł przez jakieś okropne nieszczęście, które go złamało i uczyniło lepszym. Otaczał Klarę troskliwością i miłością, jakiej przedtem nie okazywał nigdy. Biedaczka uwierzyła w te łudzące pozory i była o tyle szczęśliwą, o ile zdolną była do szczęścia poważna jej dusza. Ja tylko nie mogłam uwierzyć jakoś w tę nagłą zmianę i z każdym dniem czułam silniejszą nienawiść do tego człowieka. Jakoż zmiana w jego postępowaniu nie dała długo czekać na siebie. Stał się znowu dumny, gorzkim, zimnym i posępnym. Nie wrócił, co prawda, do dawnego trybu światowego życia, nie spędzał ranków w sali fechtunkowej, a nocy w klubie, lecz zamknął się w swym gabinecie i nie przyjmował nikogo. Przechodząc koło jego drzwi, słyszałam nieraz taki łoskot, jaki sprawia uderzanie głową o ścianę.

Pewnego dnia zapowiedział nam wyjazd na wieś i przywiozł nas do do tego oto przeklętego domu!

Głos Małgorzaty zmienił się przy ostatnich wyrazach w głuche jakieś syczenie. Po chwili tak mówiła dalej:

— Pani przez całą drogę była spokojna, a nawet wesoła, cieszyła się widocznie wyjazdem z nielubionego Paryża. Przybywszy jednak na miejsce, doznała przykrego rozczerowania. Posępna okolica i posępniejszy jeszcze dom mieszkalny rzuciły cień smutku na anielską jej twarzyczkę. Drgnęła przed ponurą brama, jakby prze-czuwając po za nią łzy i żalobę. Osłabła nagle do tego stopnia, że musiała wnieść ją na rękach do domu, doznając sama takiego wrażenia, jak gdybym wstępowała do grobu.

Życie nasze w tem okropnem mieszkaniu nie różniło się niczem od życia klasztorowego. Pani urządziła sobie na górze kaplicę, w której spędzała większą część dnia na modlitwie. Śpiewaliśmy razem godzinki, ale cichy, poważny nasz śpiew nie przerywał ogólnego milczenia, nie wybiegając po za próg kaplicy. Pana widywałyśmy tylko podczas obiadu. Przychodził błądy, ponury, z drżącymi konwulsyjnie ustami. Tłumaczył się ze swego smutnego usposobienia jakąś dziedziczną a nieuleczalną chorobą. Przypatrywałam mu się bacznie, usługując do stołu. Niepokoiło mię szczególnie światło, które świeciło się w jego oknach nieraz przez całą noc. Nad czem ten człowiek tak rozmyślał po całych dniach i nocach?

Wkrótce pani zaczęła zapadać na zdrowiu. Nie należała nigdy do silnych, ale teraz rozchorowała się na dobre w tym pustym, wilgotnym i zimnym domu. Pan zaniepokoił się bardzo jej słabością, odwiedzał ją kilka razy w ciągu dnia, wypytywał troskliwie o symptomata cierpienia, a gdy na drugi dzień choroba nie ustąpiła, pojechał sam do Paryża po doktora. Nun go przywiozł, pani znacznie się już polepszyło. Doktor, którego odwoziła na kolej, uspokoił mię, zapewniając, że pani jest już całkiem dobrze i że cierpienie jej nie było nigdy niebezpieczne. Niestety, wróciwszy do domu zastałam ją znowu wijącą się w bolesnych konwulsjach, z pianą na ustach. Wzięłam ją w objęcia, ukołysałam jak matka chore dziecko, a gdy się uspokoiła i usnęła, złożyłam na łóżku i wówczas dopiero spostrzegłam pana, stojącego w rogu pokoju i gorzko płaczącego. Nie lubiłam go nigdy, ale

w tej chwili nie mogłam nie ulitować się nad bezmierną boleścią, która mu wykrzywiła twarz. Płakaliśmy nad śpiącą oboje razem, jak dzieci.

Od tego dnia cierpienie to dziwne wracało w nierównych odstępach czasu, nie pozostawiając po sobie innych śladów prócz zmęczenia, wywołującego długi sen. Pan przerażał się i niepokoił za każdą razą bardziej i albo sam leciał po doktora do Paryża, albo wzywał telegraficznie najznakomitszych lekarzy. Żaden z nich nie miał powiedzieć nic stanowczego o chorobie. I tak jakoś dziwnie się składało, że pani czuła się zdrowszą i silniejszą wówczas, gdy który z nich przybywał. Zaczynałam przychodzić do przekonania, że była niesprawiedliwą względem pana. Między on charakter posępny, szorstki i dziki nieco, ale braku miłości dla żony nie miałam prawa mu zarzucać, widząc jak bardzo boleje nad jej cierpieniem.

Pewnej nocy zbudził mię nagle odgłos kroków na pierwszym piętrze. Niewytłumaczona jakaś obawa, przerażenie jakieś instynktowne zamknęło mi usta: nie krzyknęłam, nie zawołałam pomocy, tylko się zerwałam z łóżka i cicho, bez najłżejszego szelestu wbiegłam po schodach na górę. W głębi kurytarza ujrzałam pana z przyemioną lampą w ręku. Zbliżył się do pokoju pani, uchylił ostrożnie drzwi i zniknął za niemi.

Powinnabym była uspokoić się zupełnie. Cóż mogło być naturalniejszego, że troska o cierpiącą żonę nie pozwoliła mi usnąć, przywiodła go do jej pokoju o tej spóźnionej godzinie? A jednak działało się we mnie coś, czego opisać nie potrafię. Nie wróciłam na dół, tylko się zbliżyłam do uchylonych drzwi i zajrzałam przez nie. Jednym rzutem oka objęłam ich oboje: ją śpiącą z uśmiechem anielskiej rezygnacji na ustach, i jego, pochylonego nad nią i wpatrującego się w bladą twarz chorej.

O tak, zai-te, musiał kochać ją bardzo, bo na twarzy jego malowała się macierzyńska niemal czułość, a z pod opuszczonych powiek spłynęły dwie ciężkie łzy... Mogłam odejść: skarb mój znajdował się pod wierną strażą miłości, pod opieką najbliższego człowieka, męża; a jednak nie odczuliłam i dobrzem zrobiła zostając, bo...

Małgorzata urwała nagle, a po chwili zawołała dziko:

— Czy słuchasz mię, kobieto? Czyś nie zemdlala lub nie

umarła? Ha, nie! słuchasz mię strwożonem i rozdartem sercem! Ja to czuję i cieszę się, i jestem szczęśliwa! Otoż w chwili, gdy miała odejść spostrzegłam, że p. Norvaisis wyjął z kieszeni mały flakonik i wlał jego zawartość do tyzanny, przygotowanej dla chorej.

Okrzyk straszny, bolesny, rozdzierający wyrwał się z piersi Zuzi, która osunęła się bezwładnie z krzesła na podłogę i ubryła twarz w dłoniach.

— Ha, ha! — zaśmiała się szatańsko Małgorzata — domyślałaś się o co chodzi? odgadłaś co to były za krople? Tak jest: twój mąż, twój ukochany, człowiek, który cię przywiózł tutaj, jest zbrodniarzem, trucicielem... usiłował oddawna otruc własną żonę!.. O powtórz, że mię rozumiesz, żeś słyszała o tych kroplach trucizny, które wlewał do napoju chorej!..

Zuzia nie podniosła spuszczonej główki, jak kwiat nagle podcięty kosą; nieruchome, szeroko rozwarte jej oczy podobny były do nieprzymkniętych jeszcze oczu trupa.

Małgorzata kręcąc się znowu po pokoju, jak hijena po klatce, mówiła dalej:

— Pierwszą moją myślą było rzucić się na tego człowieka, udusić go lub zmusić do wypicia trucizny. Siły wysarczyłoby mi do uskutenienia tego zamiaru; przekonasz się wkrótce sama jak wielki zapas jej posiadam. Ale szamotanie się nasze mogłoby rozbudzić Klarę — któraby umarła z przerażenia, gdyby się dowiedziała o zbrodniczym zamiarze swego męża. Pozwoliłam mu więc wyjść z pokoju. Nie zabłam, nie ugryzłam nawet truciciela, gdy mijał mię w korytarzu. Przytulona do zimnego muru zrozumiałam nagle wszystko: wiedziałam już teraz dlaczego przywoził za każdą razą innego doktora, wiedziałam dlaczego wyrzuty sumienia nie dawały mu usnąć i dlaczego zamieszkał w tej samotnej okolicy zdala od oczu ludzkich... Dawał początkowo Klarze nieznaczne dozy trucizny do wypicia, aby osłabić jej organizm, wywołać cierpienie i aby później nagle jej śmierć w paroksyzmie, spowodowanym większą ilością zabójczego płynu, nie zadziwiła nikogo, wydała się naturalną. O Boże, któż mi zaręczy, że nie wybrał dzisiejszej nocy na dokończenie swego szatańskiego dzieła!

Rzuciłam się, jak sprężyną ruszona do pokoju chorej. Klara już nie spała; uniosła się zwolna na posłaniu i rozglądała po

pokoju, słabo oświetlonym noeną lampką, jak gdyby się chciała przekonać, że ktoś, co tu był przed chwilą, już odszedł. Wzrok jej zatrzymał się wkońcu na filiżance z tyzanną. Wpatrywała się w nią smutnie, lecz łagodnie i jakby przyjaźnie, a po chwili wyciągnęła z pod kołdry bladą rączkę... — „Nie pij, nieszczęsna, to trucizna!“ — zawołałam rzucając się ku niej, ale było już za późno: ujrawszy mię, podniosła filiżankę do ust z błyskawiczną szybkością i wychyliła ją do dna. Krzyknęłam w przerażeniu, ale ona przyciągnęła mię ku sobie z siłą, której nigdy bym nie była w niej przypuszczała i zaciskając mi usta dłonią: „Milcz! — zawołała — ani słowa więcej, jeżeli mię kochasz choć trochę. Proszę cię o to, żądam, rozkazuję!“ — „Puść mię, pani! — bełkotałam nieprzytomnie. Wypiłaś śmierć, ale może czas jeszcze szukać ratunku!..“ „Jeżeli powiesz komukolwiek choć słowo o tem, coś widziała, przysięgam ci, że cię przekinę umierając!“ Pochyliła się nademną; ujrzałam wówczas twarz jej cudną, a zarazem straszliwą, jak twarz obrażonego anioła, któryby zstąpił z nieba dla ukarania bluźniercy. Pochyliłam przed nią czoło w pokorze: „Przebacz mi, pani — wyszeptawałam — będę ci posłuszną“. Usunęłam się na kolana przy jej tóżku i milczałam, jak tego pragnęła. „Małgorzato, biedna moja Małgorzato — zaczęła łagodnie — wiem, że cierpieć będziesz bardzo, gdy umrę, a nastąpi to już wkrótce, gdyż napój dzisiejszy miał smak daleko, o daleko silniejszej goryczy niż innych razy. Mąż mój ulitował się zapewne nademną i postanowił położyć koniec cierpieniu“. Zerwałam się z klęczek, oszalała rozpaczą. Poskromiła mię spojrzeniem i mówiła dalej: „Nie trzeba wyzywać losu do walki, bo to bezskuteczne. Opowiem ci wszystko i jestem pewna, że mi przyznasz słusność, że mię pochwalisz i że modlić się będziesz ze mną razem nim umrę, a później będziesz się modliła sama“. Straszliwych rzeczy dowiedziałam się wówczas.

Klara wiedziała oddawna to, o czem ja się dowiedziałam tej okropnej nocy przypadkiem. Wiedziała od chwili, gdy pierwsza kropla trucizny została wlaną pewnego wieczora do herbaty, którą piła. Myśl o śmierci, zadanej ręką męża, przeraziła ją na razie. Chciała uciec przed niebezpieczeństwem, bo rozstanie się z życiem w kwiecie wieku musi smucić każdego. Następnie jednak widząc walkę wewnętrzną męża, jego rozpacz i boleść, ulitowała się nad występny, który zdawał się cierpieć więcej od swej ofiary. Ulito-

wała się nad nim, jak niegdyś przed laty ulitowała się nademną, gdy oskarżyła ją o podpalenie szafy.

Wyraz twarzy opowiadającej złagodniał dziwnie przy ostatnich wyrazach, a głos utracił ostre brzmienia, zdając się być echem dalekich, rzewnych jakichś tonów.

— Słuchałam słów Klary — mówiła dalej — z uczuciem rozpacz, nie dającem się wyrazić językiem ludzkim, a ona pomimo osłabienia i bólów, które wstrząsały wiotką jej postacią, starała się mię uspokoić i pocieszać. „Widzisz, Małgorzato moja droga — szeptała — byłam zawadą memu mężowi; nie kochał mię nigdy, bo nie umiałam pozyskać jego miłości.

Przed wyjazdem z Paryża słyszałam, że Edmund poznał w Bretanji w kąpielach morskich urocze jakieś dziewczę i nie umiał ukryć przed wzrokiem ciekawych wrażenia, jakie na nim wywarła. Od tej chwili sama pragnęłam śmierci, pogodziłam się z myślą o niej i wypijałam ze spokojną rezygnacją zatruty napój, który podawał. Pociesza mnie również nadzieja, że śmierć moja nie zacięży tak bardzo na sumieniu Edmunda, ponieważ będzie niemal dobrowolną. Ja będę wskutek tego mniej czystą przed Bogiem, a on mniej winnym. Edmund nie jest złym, upewniam cię, a tylko bardzo nieszczęśliwym. Przed chwilą przyglądałam mu się z pod przymkniętych powiek. Jakiż smutek, jakaż boleść malowały się na jego twarzy, a z oczu, utkwionych we mnie z bezmiernym żalem, płynęły łzy. Jestem pewną, że wybrał truciznę najłagodniejszą, sprawiającą najmniejsze bólesci. Pamiętasz, te konwulsje, które miewałam w początkach, nie sprawiały mi zbyt srogiego cierpienia. I teraz tak będzie z pewnością. Módl się tylko, módl głośno, abym cię mogła słyszeć. Zdaje mi się...“ Nie dokończyła. Dreszcz śmiertelny wstrząsnął całym jej ciałem, zerwała się z posłania i stanęła na niem, wyprężona, przerażająca... „Klaro — zawołałam ty umierasz!“ — Tak jest, ale nie wołaj nikogo, nie krzycz... Zbliży się. mam ci jeszcze coś do powiedzenia“. Z przerażająco rozszerzonymi żrenicami i zaciętymi zębami bełkotała coraz to niewyraźniej: „Byłaś mi zawsze wierną i kochającą przyjaciółką, spełnisz więc ostatnią moją prośbę. Otóż błagam cię i zaklinam na miłość twoją dla mnie, abys nigdy nie dała poznać Edmundowi, że wiesz o powodach mojej śmierci i abys nigdy nie próbowała zemścić się nad nim. Nigdy nie nie podejmiesz przeciwko niemu, pamiętaj!

Będziesz go kochała, zmusisz się do tego, aby go kochać. Gdyby ktoś chciał mu szkodzić, staniesz w jego obronie, będziesz nieprzyjaciółką jego nieprzyjaciela. Pragnę, aby ofiara moja nie poszła na marne, abys ty podjęła myśl moją i rozwijała ją dalej. Rozumiesz mnie? Wymagam, abys otoczyła pana Norvaisis czujną miłością, abys go broniła, gdyby był w niebezpieczeństwie! Przysięgnij mi, że wykonasz ostatnią moją wolę. Przynies mi tę lalkę, którą ci darowałam, tę lalkę, tak podobną do mnie“. Czulałam, że tracę przytomność. Spełniłam żądanie konającej, a ona mówiła dalej: „Przysięgnij mi na tę lalkę, na mnie samą, że nie uczynisz nic złego panu Norvaisis, przysięgnij, jeżeli nie chcesz, abym umarła z rozpaczą w sercu“. Podniosłam rękę ku niebu i przysięgałam. „Dziękuję“ — wyszeptała i usunęła się bezwładnie na poduszki. Rozpoczęło się konanie straszne, bolesne, długie... Jęczałam bezsilna i przerażona. Zdawało mi się, że ziemia otwiera się pod memi stopami...

Małgorzata zdawała się przeżywać ponownie okropną tę scenę. Podnosiła oczy w górę, wyciągała ramiona, z piersi jej wydobywały się dzikie okrzyki.

Zuzia oszala z przerażenia, tuliła się do muru, jęcząc z cicha: „Boże mój, Boże!“ Małgorzata usłyszała ją i poskoczyła ku nieszczęśliwej skokiem pantery.

— Ha! — zawołała zgrzytając zębami — święta moja umarła z twojej przyczyny! Pozwoliła się otruć, bo on kochał ciebie, bo pragnął się z tobą ożenić. I ty się ośmieliłaś przyjechać do domu, w którym ona skonała?! Ale mylisz się gorzko, jeżeli sądzisz, że pozwolę ci odejść stąd bezkarnie. Wobec niego, wobec zbrodnia-rza jestem bezsilna, bom przysięgła bronić go i strzedz, alem nie przysięgła oszczędzać ciebie! Jesteś bezbronna i należesz do mnie, do mojej nienawiści!

— O pani! — zawołała Zuzia wyciągając błagalnie drżące rączki — jestem niewinna! Co zamierzasz ze mną uczynić?

— Nie wiem, nie wiem jeszcze! Muszę się poradzić tej jedynej mojej, ukochanej, która śpi tam na górze; ale zarznę cię jak najchętniej, jeżeli ona będzie tego chciała.

Mówiąc to podbiegła do szafy i wyjęła z niej długi, wyostrzony nóż, potrząsając nim w powietrzu.

— Ratunku! — zawołała Zuzia.

W tej chwili rozległo się gwałtowne dobijanie się do drzwi.

— Ha, ha! — zaśmiała się dziko stara — to p. Norvaisis! Musiał przyprowadzić ze sobą połowę wsi, ale to nie nie szkodzi: drzwi okute żelazem wytrzymają długo, a klucze mam tu w kieszeni. Będę miała dość czasu. Chodź ze mną!

Trzymając nóż w lewej ręce, prawą pochwyciła przerażoną Zuzię za długie warkocze i pociągnęła ją za sobą.

VI.

Młoda kobieta zdołała się uwolnić z rąk Małgorzaty wówczas dopiero, gdy znalazła się w znanym już nam pokoju, przypominającym swym urządzeniem kaplicę. Lampa zwierzająca się z sufitu rzuciła łagodne światło na białe ściany, na święte obrazki i posążki, na łóżko, na którym leżała owa lalka, darowana niegdyś przez Klarę Małgorzacie.

Przejście z ciemności do światła było tak nagłe, atmosfera przesiąknięta aromatycznym zapachem kadzidła podziałała tak uspakajająco na wzburzone nerwy Zuzi, że wszystko, co przeżyła w ostatnich paru godzinach, wydało się jej dziwnym jakimś snem i gdyby w tej chwili pan Norvaisis pochylił się ku niej i wyszeptał ze zwykłym sobie, łagodnym uśmiechem: „Obudź się zupełnie, Zuziu moja“, nie czułaby się całkiem zdumioną.

— Pytałaś, czy ją zobaczysz, ją, żonę twego męża, oto jest tam, spoczywa na tem łóżku, jak posąg grobowy. Nie sądź jednak, aby była martwą. Dla mnie ona żyje i żyć będzie wiecznie. Czego pragnie, co rozkaże oczami bez spojrzenia, ustami umilkłemi na zawsze, widzę to i pojmuję. Ona też rostrzygnie o twoim losie.

Zuzia wzruszona i złamana tylu gwałtownymi wzruszeniami gotowa była uwierzyć dziecięcą duszyczką, że matwy ten przedmiot zdolny jest przebaczać lub karać. Ze złożonymi rączkami osunęła się na kolana przed stojącą lalką i szeptała drżącymi ustami:

— O pani, któraś tyle przecierpiała, a dziś jesteś w niebie, ty wiesz, że jestem niewinną, że nigdy i nikomu nie wyrządziła żadnej krzywdy. Imię twoje usłyszałam po raz pierwszy tej nocy, skądże mogłam wiedzieć o twem istnieniu? Mieszkalam z kuzynką Izabelą i z mnóstwem ślicznych ptasząt. Miałymy przepiękne

kwiaty i byliśmy zawsze bardzo wesołe i bardzo szczęśliwe. Cóżem temu winna, że spotkała na drodze życia człowieka, który był tak okrutny względem ciebie. Szał mną ogarnia, gdy wspomnę, że mogła go kochać, przyjmować jego pieśczęty. Ale ty wiesz, że temu niewinna, ulituj się więc nademną i powiedz tej kobiecie, która kocha cię tak bardzo, aby mię nie zabijała, aby pozwoliła mi odejść stąd. Nie z nim, o nie, z nim nie chcę już być nigdy, ale samej. Wrócę do kuzynki, do ptaszarni i nie wyjdę już stamtąd nigdy, tylko się będę bawiła z papugami i kolibrami. Jestem niewinna, nie zasłużyłam na karę i tak bardzo się boję! Powiedz jej, aby mię nie zabijała, a przysięgam ci, że całe życie będę się modliła, abyś mogła być najszczęśliwszą z pomiędzy wybranych, a jak tylko wrócę do Paryża, zetnę wszystkie kwiaty w cieplarni i przysięgam je — uczynię to z pewnością — aby przystroić niemi twoją mogiłę i kaplicę.

Małgorzata słuchała uważnie dziwnej tej modlitwy. Na twarzy jej znać było wahanie. Pochyliła się nad lalką i wpatrywała się w nią uważnie. Co mówiły jej te szklane oczy, te malowane usta? Zuzia szeptała wciąż błagalne zaklęcia.

— Idź stąd, idź! — zawołała nagle stara, wyprostowując się gwałtownie. Przebacza ci, nie chce, abyś umarła! Ale strzeż się wrócić tu kiedykolwiek, bo wówczas nawet ona nie zdoła cię ustrzedz przed moją nienawiścią i zemstą.

Porwała Zuzię za rękę, otworzyła okno, następnie okiennicę i zwracając się do ludzi, dobijających się coraz gwałtowniej do drzwi, zawołała:

— Po nią przyszlście? po tę kobietę?

Uniosła wylękłe dziecko w powietrze i cisnęła je na dół przez okno.

— Masz, oddaję ci ją! — rzekła grobowym głosem.

I nie zważając ani na krzyk padającej Zuzi, ani na przekleństwa Edmunda Norvaisis, wróciła do łóżka, na którym spoczywała lalka, uklękła przed nią i pograżyła się w milczącą kontemplację.

Część druga.

I.

Edmund Norvaisis wpatrywał się w twarz uspionej żony.

Po okropnej scenie z Małgorzatą i kilkugodzinnej podróży, podczas której nie wymówiła ani słowa, leżąc jak martwa na kanapie w wagonie, Zuzia wróciła do domu, a wniesiona do sypialnego pokoju bezsilna i omdlała, spoczywała teraz na białych i koronkach wspaniałego swego łóża.

Rysy jej uspokoiły się i wypogodziły podczas długiego snu, a na zbłądłych ustach gościł przelotny uśmiech, wywołany jakimś marzeniem, które przyniosło jej zapomnienie przerażającej rzeczywistości.

Edmund patrzył na nią, i uspokojony wyrazem uspionej twarzy, odpędzał podejrzenia, które go dręczyły od wczorajszej nocy.

Co się tam działo w tym posępnym, milczącym domu? Co mogła jej powiedzieć Małgorzata? Nic ważnego zapewne, bo wszak i ona nie знаła ukrytej przed całym światem tajemnicy. Musiała zdziwiać i oszaleć, żyjąc w ciągłej samotności i wspomnieniach o zmarłej, którą tak uwielbiała. Widok drugiej jego żony podrażnił ją zapewne i popchnął do jakiegoś ekcesu, do obrazy, a może i krzywdy względem tego uroczego dziecka. Ale on potrafi zatrzeć w pamięci Zuzi wspomnienie tej fatalnej podróży, potrafi ją uspokoić. Młoda kobieta będzie się śmiała z przestachu, jakiego ją nabawił ten Don Kiszot w spodnicy, jak ją nazwała dowcipnie w pierwszej chwili. A później będą mówili o czym innym: o szczęściu swem, o miłości. Otoczy ją większą jeszcze troskliwością i przepychem, będzie odgadywał i uprzedzał każde jej żądanie...

Lekki szelest jedwabiu przerwał bieg jego myśli. Zuzia otworzyła parę razy oczy i przytknęła je, zdając się usypiać na nowo. Po chwili jednak uniosła się do połowy na posłaniu, rozejrzała się po pokoju i uśmiechnęła rozkosznie.

Edmund, który przy pierwszym jej ruchu ukrył się za firanką, uspokojony tym uśmiechem wysunął się ze swej kryjówki i pochylił się nad nią, chcąc pocałować ją w czoło. Ale ona rzuciła się

gwałtownie ku ścianie, drżąc i przerażona, jakby ujrzała nagle upiora. Śliczna jej twarzyczka wykrzywiła się nieopisanym wyrazem przestachu. Wyciągnęła rozkazującym giestem rękę w stronę drzwi i zawołała dzikim niemal głosem: „Idź stąd! idź precz!” Edmund pochylił głowę i uciekł z pokoju.

II.

Wbiegł do swego gabinetu, zamknął drzwi na klucz, jakby się obawiał pogoni i upadł na fotel. W strasznej próżni, która się wytworzyła nagle w jego mózgu, kołowała jedna tylko myśl: Zuzia była stracona dlań na zawsze, tak jest, na zawsze!

Nie mógł się spodziewać ani przebaczenia ani litości, bo nie zasłużył na nie: wszak był zbrodniarzem, trucicielem!

Upokorzenie i wstyd równały się boleści i rozpacz, rozrywających jego duszę.

W myśli jego przesuwaly się jeden po drugim okropne obrazy z niedawnej przeszłości. Przypominał walki, jakie staczał ze sobą przed wykonaniem zbrodni, nienawiść i pogardę dla samego siebie, rozpacz, z jaką tłukł głową o mur. Zwyciężył w końcu sumienie własne, ale wiedział, że nie zwycięży przejrzycie jasnej i czystej duszy młodej swej żony.

A jak on ją kochał, jak gorąco kochał! Napróżno po powrocie do Paryża z Bretanii, po uroczystym pożegnaniu z Zuzią, wówczas nad brzegiem morza, starał się wyrwać jej wspomnienie z serca, wskrzesić w niem choć iskrę uczucia dla Klary. Nie potrafił, nie zdołał tego uczynić. Świetlana postać Zuzi prześladowała go we dnie i w nocy, w marzeniu i na jawie.

Aż pewnego dnia, patrząc na Klarę, pomyślał: ona jest jedyną przeszkodą do mego szczęścia, do szczęścia tej drugiej, ukochanej.

Okropna myśl zaczęła mu świdrować mózg. Sądził że oszaleje. Starał się ją stłumić, odpędzać, wracała coraz uporezywiej, przybierając niekiedy straszliwe kształty bladego trupa lub uroczą postać narzeczonej, wstępującej w kwiatach i koronkach do płonącego od jarzących się świateł kościoła.

Piekło miał w duszy, gdy zaproponował Klarze wyjazd na wieś, do owego samotnego domu w Ardenach. Zgodziła się; a wó-

wczas rozpoczął się szereg dni okropnych. Pamiętał ile używał podstępów i wybiegów, aby wlać niepostrzeżenie kilka kropel trucizny do filiżanki żony, a później w przystępie rozpacz przyznawał się jej prawie do zbrodni. A ona blada i cicha wypijała przygotowany napój. Cierpienia jakich doznawała później, przyprowadzały go do rozpacz. Lecił do Paryża po ratunek i pomoc dla niej, a dostrzegłszy gdzieś zdaleka na ulicy Zuzię, pragnął sam umrzeć. Owej pamiętnej nocy, gdy wlał po raz pierwszy do napoju Klary dozę trucizny, dostateczną do przecięcia pasma życia nieszczęśliwej, miał zamiar sam ją wypić, ale promienna twarz Zuzi zarysowała się przed nim wyraźniej niż kiedy i uciekł przerażony, zamknął się w swym pokoju, nie wyszedł z niego nawet na okropne krzyki i jęki Małgorzaty.

I oto Klara, niewinna ofiara, została pomszczoną. Nieublagana nemezis wydarła mu ubóstwianą kobietę.

Przechadzał się teraz po pokoju gorączkowym krokiem, targał na sobie ubranie, gryzł do krwi usta i ręce. A w końcu usunął się na krzesło w bezsilnem wyczerpaniu rozpacz.

Noc ustąpiła miejsce światłu dziennemu. Wraz z promieniami wschodzącego słońca zażyła nadzieja po znużonej jego duszy. Małgorzata nie mogła przecie powiedzieć Zuzi o tem czego sama nie wiedziała, czego nikt zresztą nie wiedział. Ona musiała jedynie zakomunikować jej wiadomość o pierwszym jego małżeństwie, które w porozumieniu z kuzynką Izabellą ukrył przed młodą swą żoną, nie chcąc zasmucać dziecięcej jej duszyczki myślą o umarłej, o rywalce. Wiadomość ta przeraziła zapewne Zuzię. Ale on potrafił jej wytłómaczyć wszystko, poprosił ją o przebaczenie za kłamstwo i znowu odzyskał jej miłość i znowu będą spokojni i szczęśliwi jak dawniej.

Szereg tych myśli uspokoił go prawie zupełnie. Przebrał się pośpiesznie, oświeżył rozpalone czoło zimną wodą i skierował się ku pokojom żony.

W salonie spotkał służącą, która mu oznajmiła, że pani wyszła skoro świt do panny Izabeli.

Wiadomość ta zaniepokoiła Edmunda, po chwili jednak pomyślał, że nie ma w tem nic dziwnego. Zuzia po wszystkich wstrząsaniach ostatnich paru dni zapragnęła zobaczyć wesołą starszszą,

odetchnąć przyjemną atmosferą, wśród której upływały jej słoneczne lata dzieciństwa i pierwszej młodości.

Zbiegł pośpiesznie ze schodów, wziął pierwszego napotkanego siakra i kazał się zawieść do panny Avelayne.

W chwili, gdy położył rękę na klamce oszklonych drzwi, wiodących do oranżerii, będącej zarazem ptaszarnią, przystanął ucieszony i oczarowany widokiem Zuzi, trzymającej w próbnej ręczce olbrzymi bukiet świeżo zerwanych kwiatów.

Młoda kobieta przebiegając żywo od jednej rośliny do drugiej, ścinała wszystkie rozkwitłe kwiaty, wspinała się na paluszki, aby dosięgnąć wierzchołka kaktusów i wspaniałych amarylisów. Nad rozwianymi nieco puklami złocistych jej włosów unosiły się różnobarwne ptaki, witając ją, jak dobrą znajomą, wesołemi okrzykami.

Serce Edmunda było przyśpieszonym, radośnem tętnem. Jakże był szalony dzisiejszej nocy! Tragedja skończy się wesoło: za chwilę wbiegnie do oranżerii, porwie Zuzię w objęcia i nie będzie potrzebował słów, aby odzyskać dawne jej laski.

Drzwi od dalszych pokoi otworzyły się, a na progu zarysowała się postać kuzynki Izabeli w rannym szlafrocuku. Starszka miała minę nadąsaną i gniewną, jak rozłoszczona gołąbka.

— Co to znaczy, Zuziu? — zawołała — załedwieś przybyła, a już tak ślicznie się zachowujesz! O Boże, ani jednego kwiatka na krzewach! Może za jednym zachodem zechcesz podusić i moje ptaki?

I uchwyciwszy za rękę młodą kobietę, usiłowała ją odciągnąć od wspaniałej blado-niebieskiej passiflory, która miała z kolei paść ofiarą morderczych nożyczek.

— Puść mię, nie przeszkadaj — odparła Zuzia bezdzwicznym głosem, odwróciła się przytem ku drzwiom wchodowym i Edmund teraz dopiero ujrzał jej twarz.

Nie było na niej ani śladu uśmiechu, a bladłość policzków i zaczerwienione od płaczu oczy świadczyły o bezsennie spędzonej nocy.

— Nie przeszkadaj, Iziu — mówiła smutnie. — Uczyniłam votum. Wszystkie te kwiaty muszę odesłać nieboszczce.

— Nieboszczce? — zagadnęła ze zdziwieniem panna Avelayne.

— Tak jest — odparła Zuzia, wybuchając płaczem — nie-
szczęśliwej kobiecie, która poniosła śmierć z ręki ukochanego
człowieka.

Na te słowa Edmund przycisnął ręką serce, które biło mu
tak silnie, jakby miało pęknąć, stłumił okrzyk wyrwyjący się
z piersi i odszedł ze spuszczoną głową. Krysłały lodu, pękające
pod stopami, wydawały mu się szczątkami własnego serca, strza-
skanego piorunem losu, lecz polyskującego jeszcze wspomnieniem
utraconego szczęścia.

III.

Silne wstrząśnienie moralne, przez które przeszła, uczyniło
z Zuzi dojrzałą kobietę. Nie dziecięcym przeto, lecz kobiecym, świ-
domem swego cierpienia sercem bolała nad bezpowrotnie minioną
przeszłością.

Dłuższy pobyt w Paryżu, gdzie się obawiała co chwila ujrzeć
człowieka, względem którego czuła teraz tylko pogardę i nienawiść
stał się dla niej niepodobieństwem, temba dziej, że pomimo wszel-
kich starań nie mogła wydrzeć z pamięci wspomnienia przeżytych
z nim chwil, nie mogła zapomnieć o bałwochwalczej miłości, jaką
ją otaczał, o szczęściu, jakie jej dawał.

Postanowiła przeto opuścić stolicę, udać się w podróż, prze-
biegać z miasta do miasta, z kraju do kraju, byle być dalej od
miejsca, z którym się wiązało tyle okropnych dla niej wspomnień,
byle rzucić między sobą, a tym człowiekiem nieprzehyłą przestrzeń.

Panna Aveleyne zgodziła się chętnie na podróż pod warun-
kiem, że zabiorą ze sobą ulubioną brazylijską papugę, którą na-
zwiała Zulą na pamiątkę Zuzi.

W ciągu ośmiu miesięcy przebiegły Szwajcarię, Niemcy,
Włochy, zatrzymując się wszędzie krótko, dla wypoczynku raczej
niż dla rozrywki. Po raz pierwszy zdecydowały się na dłuższy po-
byt w okolicy, która przypadła niezmiernie do serca pannie Ave-
leyne z powodu rozkosznego powietrza, jakie jej zapewniało są-
siedztwo gór i lasów, powietrza nader zdrowego dla papugi.

Było to nad brzegiem rzeki Neckar, torzącej spokojnie i ma-
jestatycznie zielonawe swe wody przez malowniczą dolinę.

Podróżne nasze zamieszkały w pięknym szalecie, kryjącym się
śród zieleni pnących się roślin. Naprzeciw szaletu, na drugim brzegu
rzeki wznosiła się stroma góra, ukoronowana na szczycie ruinami
zamku z dwoma śmiało i lekko strzelającymi w niebo wieżycami.

Szcątki ob onnego niegdyś zamku nosiły w okolicy poetyczną
nazwę Jaskółczego Gniazda.

Ruiny w okolicach Schwarzwaldy posiadają tę właściwość,
że nieraz poza omszałymi i rozsypującymi się w gruzy murami
kryją wyrestaurowane i urządzone z książęcym przepychem siedziby
nowożytnych nałabów. Siedziby tego rodzaju przypominają wyra-
finowaną kokieterję młodych piękności, przywdziewających maski
staruszek.

Jaskółcze Gniazdo było jedną z takich właśnie ruin.
Od kilku lat zamieszkiwał je magnat skandynawski, Shelsea-Kalix,
spokrewniony z panującym domem.

Po nader burzliwym i awanturniczem życiu, skołatany na
ciele i umyśle, Shelsea-Kalix pędził życie odludka, oryginała i dzi-
waka. Nie posiadał on żadnej bliższej rodziny prócz jedynaka syna,
który wzrastał na łasce bożej bez żadnego dozoru i opieki.

Niespodziewany wypadek dał poznać mieszkankom szaletu
to dziecko natury.

Pewnego popołudnia Izabela siedziała w wygodnym fotelu
na balkonie, bawiąc się z ulubioną papugą Zulą, która w wędrow-
kach po obcych krajach wyuczyła się kilku języków i umiała kląć
nader elegancko po włosku i niemiecku. Nagle olbrzymi jakiś ptak,
sęp czy orzeł, zaszelecił skrzydłami nad balkonem, rzucił się na
papugę i zatopiwszy w nią szpony, zaczął wyrwać polyskujące,
różnobarwne pierze pięknej pieszczoszki.

P. Aveleyne, pomimo oczywistego niebezpieczeństwa, rzuciła
się mężnie ku obronie swej faworytki. Odwaga jej wszelakoż od-
niosła ten tylko skutek, że drapieżny ptak, uwolniwszy poturbowaną
papugę, zaatakował z niemniejszą zawziętością upudrowaną i ufry-
zowaną głowę kuzynki Izabeli. Bogi raczą wiedzieć, jakby się była
skończyła ta nierówna walka, gdyby w tej chwili głos młody
i świeży nie zawołał rozkazująco:

— Do mnie, Pirat! do mnie!

Dziecięce, lecz silne ręce uchwyciły się poręczy balkonu i oczom Zuzi, zwabionej hałasem, ukazała się dumna i piękna, pomimo wyrazu dzikości, twarz chłopięcia.

Posłuszny ptak opuścił swą ofiarę i usiadł na ramieniu pana, a kuzynka Izabela, zapominając o sobie samej, pośpieszyła do papugi, która usadowiwszy się na kółku, wyrzucała zapalczywie z okrwawionego dzioba wielojęzyczne przekleństwa.

Całe to zajście nie miało w sobie nic nadzwyczajnego. Syn skandynawskiego magnata, zapalony myśliwy, wracał z polowania z sokolem, którego zapomniał zakapturzyć i który dostrzegłszy w kulek tego jaskrawo opierzonego ptaka, zamierzył go porwać jako należną sobie zdobycz. Więcej w tem wszystkim było strachu, niż rzeczywistej szkody.

Podczas gdy panna Aveleyne okrywała pocałunkami poszkodowaną papugę, zaklinając na wszystkie świętości, aby posłano co rychlej po doktora, Zuzia przyglądała się ze zdziwieniem chłopakowi, który stojąc na koniu, wsuwał śmiałą, energiczną twarzą między sploty dzikiego wina i bluszczów, ocieniających balkon.

— Nazywam się Swen i jestem synem hrabiego Shelsea Kalixa — rzekł rezolutnie, zwracając się do kuzynki Izabeli. — Nie jestem winien, że sokół mój miał zamiar rozszarpać twoją papugę, ale w razie gdyby zginęła od otrzymanych ran, ofiaruję w zamian trzysta innych. A może wolisz pieniądze? Mógłbym ich wykraść wiele, bardzo wiele z biurka mego ojca i wynagrodzić stratę z lichwą.

Zaśmiał się, ale w tej chwili wzrok jego utkwil w twarzy Zuzi i nagle spowaźniał.

— Czy ta papuga należała również i do ciebie? — spytał.

— Tak jest — odparła Zuzia.

— Ha, w takim razie to co innego! — zawołał z przejęciem — Ty mi się podobasz wielce, bo jesteś bardzo piękna. Nie wiem tylko ile mozesz mieć lat. Co do mnie, mieszkam z ojcem tu zaraz naprzeciw, w Jaskółczym Gnieździe. Gdyśmy byli w Paryżu, ojca mego odwiedzała pewna piękna pani, która spiewała w operze, ale ty jesteś jeszcze piękniejsza od niej. Zaczekaj chwilkę.

Dziecięca twarz zniknęła z ramek bluszczowych. Młody myśliwy siedział już w siodle, ściągnął cugle i odjechał. Nieo-

becność jego trwała krótko. Wrócił z pękiem kwiatów i zieleni w ręku.

— Oto jestem — zawołał wesóło, zwracając się do Zuzi. — Przyniosłem ci niezapominajki i konwalje leśne. W ojczyźnie mojej dziewczęta plotą sobie z tych kwiatów wieniec i stroją się w nie do tańca. Twoja przyjaciółka niecierpliwi mię. Jak można tak rozczulać się nad jakimś tam ptakiem! Ale ty podobasz mi się coraz bardziej. Jesteś przesliczna, tylko za blada nieco. Może masz jakie zmartwienie? Jak urosnę to ofiaruję ci nie wieniec z kwiatów, lecz koronę z pereł i brylantów i ożenię się z tobą. Nie odmówisz mi swej ręki, bo w żylach moich płynie królewska krew. A teraz bywaj zdrowa. Wsłapię po ciebie jutro rano, aby cię zabrać z sobą na spacer do lasu. Ale, ale, jak ci na imię?

— Zuzanna.

— Nie podoba mi się to imię, jest zbyt pospolite. Będę cię nazywał Lidją. Imię to nosiła nieboszczka moja matka. Ona to nauczyła mię mówić po francusku. Od jej śmierci nikt mię nie uczył niczego. A wiesz ile mam lat? Jedenaście i pół. Bądź zdrowa! Wrócę tu jutro rano.

Mały jeździec i mały konik zniknęli już dawno na drugim brzegu rzeki, a Zuzia stała jeszcze wciąż na balkonie, wpatrując się po raz pierwszy w piękny krajobraz rozweselonym wzrokiem i myśląc, że dobrzeby było mieć takiego małego, rezolutnego i ślicznego braciszka. Tej nocy spała spokojniej niż zwykle i nie widziała okropnych, dręczących mar. Zetknięcie się z tą świeżą, dziką nieco, a tak szczerą naturą uspokoiło nieco zbolzałą jej duszę.

Od tego dnia widywała Swena bardzo często. Odbywali wspólnie dalekie spacery nad brzegiem rzeki, wdrapywali się na szczyty gór, biegali po lesie. Biedne dziecko zapomniane i opuszczone przez ojca, pozbawione pieczyoty matki, którą kochało namiętnie, przywiązało się sercem całem do ślicznej, młodej kobiety, która miała takie smutne oczy i taki słodki uśmiech.

Pewnego razu, spostrzegłszy kilka książek na stoliku Zuzi, Swen zawołał nagle:

— Nauczyłem cię wielu rzeczy, Lydjo; umiesz już nastawiać sidła na ptaki, puszczać sokoła, łapać ryby na wędkę. Pokazałem ci również najpiękniejsze zakątki w naszych lasach, najwspanialsze

skąły, najmisterniejsze gniazdko, ukryte w zaroślach. A ty w zamian za to wszystko musisz mię nauczyć czytać.

-- Jakto, nie umiesz jeszcze czytać?

— Nie, mama zaczęła mię uczyć, ale umarła, gdym umiał zaledwie sylabizować.

Od tego dnia rozpoczęły się regularne lekcje. Swen stał się bardzo pojętnym i pilnym uczniem bardzo łagodnej i umiejącej nauczycielki. Lubił, zawsze polować, wdrapywać się na niedostępne skały i na szczyty najwyższych drzew, pozostał zawsze równie śmiałym, nieustraszonym i oryginalnym, jak dawniej, ale stał się lepszym, czulszym, posłuszniejszym. Nieraz okrywając pocałunkami ręce młodej swej nauczycielki, wołał z uniesieniem: „O, mama nie umarła, ty jesteś moją mamą!” Zuzia uśmiechała się słodko na te słowa i przyglądała się pieszczotliwie wijące się pukle jego włosów. Szczere przywiązanie tego dumnego dziecka, które wobec niej stawało się potulnym i łagodnym, jak baranek, sprawiało jej przyjemność, wywoływało promień szczęścia w jej oku.

Szczęścia? miałażby zapomnieć o przeszłości? Rok zaledwie upłynął od owej strasznej nocy, czyżby wspomnienie tego, czego wówczas doznała, zatarało się w jej pamięci?

Nie, zaiste! ale dusza jej młoda i pełna sił żywotnych otrząsała się z wolna z konania rozpacz. Zuzia mogła już teraz myśleć bez wstrętu i nienawisci o Edmundzie.

Nie o tym Edmundzie wszakże, którego jej ukazała Ma'gorzata, jako truciela i zabójcę, o nie! Ten był potworem, od którego myśl jej odwracała się z przerażeniem; ale o Edmundzie szlachetnym, pięknym i dobrym, którego знаła przed tą fatalną podróżą; o Edmundzie, który należał nie do Klary, lecz do Zuzi, który był jej mężem!

Początkowo próbowała walczyć z widmem przeszłości, ale stopniowo uległa urokowi wspomnień i siłą woli odepchnęła wszystko, co mogło rzucić na te wspomnienia jakikolwiek cień.

Obrazy z przeszłości przesunęły się tłumnie przed rozbudzoną jej wyobraźnię. Widziała Edmunda, stojącego w oknie kasyna bratońskiej miejsciny i patrzącego na nią jedną tylko, dostrzegającego ją jedną tylko w tłumie. Bała się początkowo tych głębokich oczu władcy, ale przypominała sobie o niemych, wielkich łzach, spływających z tych oczu w chwili pożegnania na morskiem wybrzeżu;

a później po wielu miesiącach nie zapomniał o niej, przyszedł prosić o jej rękę... O Boże, jakże się czuła wówczas szczęśliwą, z jakim uniesieniem rzuciła się w objęcia kuzynki Izabeli! Po ślubie rozpoczął się dla niej szereg dni jasnych, słonecznych. Edmund spełniał najdziwniejsze jej żądania, zgadywał jej chęci. Była wówczas bardzo samowolną, płochą, dziecinną, śmiała się ciągle, a nie trzeba tak bardzo się śmiać wówczas, gdy się jest tak gorąco kochaną. O, teraz umiałaby lepiej ocenić swoje szczęście, potrafiłaby być taką, jaką zapewne pragnął ją mieć...

Pewnego wieczora Zuzia, siedząc sama w swoim pokoju, pograżyła się tak głęboko w marzenia, że zapomniała, gdzie się znajduje. Zdawało się jej, że jest u siebie, w domu, w domu Edmunda i że on wyszedł tylko na chwilę i zaraz wróci. Usiadła przy niej na kanapie i zaczęła jej opowiadać, co robił i kogo widział na mieście, bo opowiadał jej zawsze wszystko. A później weźmie za rękę i spojrzy w oczy tem wyrazistym spojrzeniem, które przenikało ją do głębi... Ale jakże się spóźnił tego wieczora! Zrobi mu wymówkę: to nieładnie kazać młodej żonie tak długo czekać na siebie. Albo nie, nie będzie się gniewała, bo zatrzymano go zapewne dłużej wbrew woli i zaraz doleci ją z salonu ogłoszonych kroków.

Zuzia zerwała się z miejsca i przytuliła się do ściany wzruszona i drżąca... Usłyszała naprawdę znane sobie kroki na schodach. Usłyszała je nie w marzeniu tą razą, lecz w rzeczywistości...

Ale co znowu! musiało się jej chyba wydać. To zapewne kuzynka Izabela wracała z kasyna, do którego chodziła od pewnego czasu codziennie, zabierając ze sobą ulubioną papugę... Nie, to były męskie kroki, kroki Edmunda!

Z szeroko rozwartymi wśród ciemności oczyma przysłuchiwała się całym sercem i duszą.

O, jakże wolno wstępował na schody, jak ostrożnie przybliżał się! Chwilami przystawał, następnie się ośmielał i szedł dalej. Oto już jest na kurytarzu... Tak, nie omyliła się, nie mogła się omylić: Edmund stanie za chwilę u jej drzwi, a ponieważ nie zamknięte, wejdzie do pokoju spokojnie, łatwo, jak gdyby wracał ze zwykłego spaceru. I ona się znajdzie sam na sam ze zbrodniarzem, z truciela, z człowiekiem, który wlewał krople do filiżanki

Klary... Ujrzy go takim potwornym, okropnym, jakim się jej ukazywał w dręczących snach.

Kroki umilkły nagle u progu. Był tak blisko, że dość mu było nacisnąć klinkę, aby znaleźć się obok niej, a jednak nie otwierał drzwi, nie wchodził.

Długie chwile oczekiwania upływały jedna za drugą, a z zewnątrz nie dolatywał najłżejszy szmer i Zuzia zaczęła się uspakać. Musiała być igraszką halucynacji; te drzwi nie otworzą się nigdy!

Nagle usłyszała kroki człowieka, oddalającego się szybko, zbiegającego na dół pośpiesznie, a potem wszystko umilkło znowu.

— To nie był Edmund — wyszeptała młoda kobieta.

I skąd mogła jej przyjść do głowy taka dziwaczna myśl. Gdyby to był on, to drzwi otworzyłyby się z pewnością; wysadziłby je, gdyby nawet były zamknięte na klucz. Znała przecież zuchwalstwo, stanowczość, jego żelazną wolę, zwyciężającą wszelkie przeszkody.

Jakto? miałażby żałować, że to nie był ten truciciel, zbrodniarz, nikczemnik? „Zbrodniarz, nikczemnik!” powtarzała głośno jakby dla przekonania dosadniej jeszcze siebie samej, że takim był w istocie; a jednak z oczu jej spływały gorące łzy, ręce załamywały się rozpacznie.

Wmawiała w siebie, że przekonawszy się o płonności swych obaw powinna czuć się bardzo szczęśliwą, bardzo zadowoloną. Dla uspokojenia się wyszła na balkon, aby zobaczyć jeszcze choć z daleka człowieka, który wprowadził ją w błąd chwilowy. Byłto zapewne jakiś student, a może podróżny, nie znający dobrze miejscowości, który wszedłszy dopiero na schody dostrzegł swą pomyłkę. Spojrzała w stronę oberży: na drodze zalanej księżycowym światłem, nie było nikogo. Zwróciła wzrok na lewo i spotrzegła... Edmunda, uszczęśliwionego jej widokiem, wyciągającego ku niej ramiona. Okrzyk wyrwał się z jej piersi.

Byłto okrzyk radości.

Cofnęła się w głąb pokoju, ukryła twarz w dłoniach. Wstyd oblewał jej czoło rumieńcem; wołałaby była umrzeć.

Jak mogła wołać z radości na jego widok! W błysku uczucia zrozumiała nagle własne serce, kochała go, nie przedstawiała go nigdy kochać, a teraz kochała stokroć silniej, niż dawniej; uczucie jej nie było wesołą miłością dorastającej dziewczeczki, lecz głęboką,

świadomą swej potęgi namiętnością. Kochała go nie tylko takim, jakim wydawał się jej przed odkryciem zbrodni, ale takim, jakim go znała dziś. Ubóstwiała zabójcę, truciciela... O, co za hańba!

A jeżeli on usłyszał okrzyk radości, który się wyrwał z jej piersi, jeśli rozumiał jego znaczenie? Byłoby to okropne: wróciłby wówczas, wszedł do pokoju, porwałby ją w objęcia. Nie mogłaby stać się znowu żoną zbrodniarza, nie mogłaby i nie chciała. A jednak gdyby wrócił? Drzwi... zapomniiała zamknąć za sobą, ale uczyniła to natychmiast. Rzuciła się naprzód, ale w tej chwili na progu, w blasku księżycowego światła, które szeroką falą wlewało się do pokoju przez okno, ukazał się Edmund i Zuzia przytuliła się do jego piersi mdlejąca z zachwyty i przerażenia, łkająca pod pieczęcią płomiennych warg, których szukały jej własne usta.

IV.

A więc zdobył sobie jej serce po raz drugi; tulił do piersi tę najdroższą, jedyną, tę żonę i kochankę zarazem. Po roku niepokoju, zgryzoty i troski uczuwał takie szczęście, jakiego nie uczuwał nigdy — gdyby obdarzona była świadomością — kraina podbiegunowa, na którejby stopniały nagle śniegi, a lodowce ustąpiłyby miejsca zieloności i kwiatom, śmiejącym się do słońca.

Jakże rozsądnie postąpił, wyczekując zdaleka, cierpliwie, aż uczucie oładnie znowu potężnie i nieprzeparcie tem sercem, o którym wiedział, że — pomimo wszystko — należy do niego. Myśl samobójstwa, która mu przyszła w chwili, gdy usłyszał Zuzię mówiącą: „Ścinam te kwiaty, aby je przesłać kobiecie, zamordowanej przez kochanego człowieka” — odrzucił od siebie, bo nie mógł przypuścić, aby miłość ku niemu mogła wygasnąć zupełnie w sercu Zuzi. Trzeba było tylko czekać, aż pierwsze wrażenie osłabnie, zmaleje — czekać długo, cierpliwie. Czekał więc, jak gracz, który na jedną kartę ma postawić całe swe mienie, jak potępieniec, dla którego ma wybić kiedyś godzina zbawienia. Posyłał od czasu do czasu w ślad za nią ludzi zaufanych, którzy mu donosili, co robiła, w jakim mieście dłużej się zatrzymywała, dokąd się stamtąd udała. Wiedział, że nie czas jeszcze ukazać się samemu, bo odgadywał, przez jakie fazy uczucia przechodzić musiała dusza młodej jego żony. Początkowo doświadczała zapewne halucynacji,

które ją trwożyły, wyrwały z piersi okrzyki zgrozy i przerażenia; następnie zapragnęła uciec z miejsca, gdzie on przebywał; uczyniła to zapewne z bezwiednym żalem, bo przecież nie przestała go kochać. Musiała łudzić się sama co do uczuć, jakie miała względem niego: starała się zapewne wmówić w siebie, że go nienawidziła, że nim pogardzała. I byłaby go znienawidziła naprawdę, gdyby jej się był wtedy ukazał, trzeba więc było czekać.

Nadzieja jego na pogodzenie się z żoną wzmogła się bardziej jeszcze, gdy się dowiedział, że zamieszkała wraz z kuzynką Izabelą w dzikim niemal ustroniu; zbliżył się więc ku nim, przypuszczając, że chwila spotkania nadejdzie wkrótce. Podróż rozprasza myśli, rozrywa umysł; w samotności uczucia potęgują się i utrwalają. Jednostajność niczem nie zajętych dni będzie najlepszym jego sprzymierzeńcem. Zuzia nie mogąc czerpać żadnych wrażeń z teraźniejszości, zwrócić się będzie musiała ku przeszłości, którą miłość jego zapępiała tak niepodzielnie.

Ileż to razy ukryty na drugim brzegu rzeki za jakąś skałą lub krzewem, przyglądał się Zuzi, siedzącej na balkonie, lub udającej się w towarzystwie małego chłopaka na sosnowego lasu. Zdaleka nie mógł rozróżnić, czy była bladą, czy twarz jej posiadała wyraz cierpiący. Cierpienie uważał za pierwszy warunek powrotu do dawniejszego trybu życia. Pewnego wieczora krążąc koło domu, w którym mieszkaly obie kobiety, spostrzegł otwarte drzwi pomimo spóźnionej godziny. Czyżby to była chwila stosowna do ukazania się? czyżby tęsknota Zuzi doszła już do tego stopnia, że mogła pragnąć jego widoku? Zdawało mu się, że takby być powinno, zaczął więc wstępować z wolna na schody, ale przed drzwiami jej pokoju zatrzymał się pełen niepewności i wahania. A jeżeli to było zawcześnię jeszcze? jeżeli ani tęsknota, ani gorzka osamotnienia nie zwalczyły w jej duszy nienawiści i przerażenia? jeżeli go odrzucił gościem lub słowem, które raz wypowiedziane nie da się już nigdy zapomnieć? Oddałby chętnie połowę życia, aby mieć prawo wejść do pokoju, zobaczyć ją zbliska, zajrzeć w jej oczy... Potrafił jednak zwalczyć w sobie to pragnienie szalone: zbiegł na dół, wyszedł na ulicę i dopiero okrzyk Zuzi, okrzyk, w którym zadźwięczała nuta najwyższej radości, przywołał go napowrót. I oto teraz tulił ją w gorącym objęciu, a ona promieniejąca uśmiechem i zalana łzami, szeptała mu o tęsknocie i długiem oczekiwa-

niu, odpłacała pieśczętą za pieśczętę. Należała więc znowu do niego i teraz już na zawsze, a życie ich stanie się jednym pasmem szczęścia i rozkoszy.

W poczuciu zwycięskiej swej dumy ośmielał się myśleć, że będzie kochanym nie tylko pomimo popełnionej zbrodni, ale dla niej właśnie. Umarli przestają cierpieć, niepodobna więc boleć nad nimi zawsze, pamiętać o nich wiecznie i Zuzia będzie musiała w końcu zapomnieć o tragicznym losie Klary, a myśleć o tem tylko, że musiał ją kochać bardzo gorącą i silną miłością, jeżeli poświęcił dla niej życie pierwszej żony i nie cofnął się przed zbrodnią pomimo całej swej szlachetności, dobroci i wrażliwości serca... Jakże dziecinny i przesądny był wówczas, gdy wierzył w jakąś tam nemezys losu!

Ciche, nabrzmiałe niewymowną skargą i bólem westchnienie przerwało tęczowe marzenia Edmunda. Zuzia podniosła głowę i rozglądała się po pokoju nieprzytomnym wzrokiem osoby niespodzianie zbudzonej ze snu. Nagle cała groza położenia uprzytomniła się jej żywo w pamięci: nie mogła, nie powinna go była kochać — przepaści, która ich dzieliła, nie nie zdolała zapęlić... Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Edmund chciał zbliżyć się do niej, chciał ją przekonywać, uspakajając, lecz nie śmiał otworzyć ust, nie śmiał uczynić ruchu, aby jej nie przerazić bardziej jeszcze. Na widok ukochanej, wijącej się w boleści, zdjęła go trwoga, że nie przebaczy mu nigdy. Miałoby niewidzialne jakieś oko śledzić naprawdę czyny ludzkie, mścić się za niewinne ofiary i karać przestępców?

Zuzia przestała płakać; przyglądała pośpiesznie rozrzucone włosy, zarzuciła okrycie na ramiona, skierowała się ku drzwiom i znikła za niemi.

Edmund pozostał sam w pokoju, mówiąc sobie z rozpaczą, że wszystko skończone, że nie ujrzy już nigdy młodej swej żony.

V.

Zuzia biegła wciąż drogą przed siebie, nie zdając sobie sprawy dokąd zdąża. Może miała nadzieję spotkać wracającą z kasyna Izabelę, rzucić się do jej powozu i błagać dobrą staruszkę, aby ją zawiozła gdzieś daleko złąd, choćby na koniec świata. Tymczasem

uciekała ile jej sił starczyło od człowieka, do którego piersi przed chwilą tak garnęła się pieszczotliwie i który pozostał tam, w jej pokoju. Jakaż pogardę czuła ku sobie samej na wspomnienie, że dość mu było ukazać się, aby zapomniała o wszystkim, co nie miało związku z jej uczuciem! Uciekała coraz pośpieszniej, ale wiedziała, że to nadaremne wysiłki, że gdyby on jej nawet nie dogonił, to tem niemniej nie ucieknie od własnego serca. A serce to należało niepodzielnie do niego. Tak jest, ubóstwiała go. Pogarda, wstręt, nienawiść, które wmawiała w siebie, było to kłamstwo, kłamstwo i jeszcze raz kłamstwo! A nawet zatrzymując się na dłuższy pobyt w tem dzikim ustroniu, kryła w sercu tajemną nadzieję, że da tym sposobem Edmundowi możność odnalezienia jej, przyjechania do niej. Co za wyrafinowana hipokryzja z jej strony! Jeżeli to dzikie dziecię, Swen, podobało się jej, to dla tego jedynie, że wyobrażała sobie, iż Edmund w jego wieku musiał być takim samowolnym, odważnym, nieokiełznanym... Jego więc szukała wszędzie i zawsze, o nim myślała. Napróżno wmawiała w siebie, że w jej wspomnieniach królował obraz szlachetnego i prawego człowieka, jakim go знаła przed straszną opowieścią Małgorzaty. Nie, kochała go grzesznym i występny i gdyby w tej chwili zawołał na nią, rzuciłaby się znowu w jego ramiona, omdlewając ze szczęścia i radości.

Zboczyła z drogi i usunęła się zmęczona na omszony głaz, wznoszący się nad brzegiem rzeki. Fale toczyły się zwolna, dążąc w nieskończoność oceanu, a ona siedziała nieruchomo z twarzą ukrytą w dłoniach, pogrążona w posępne rozmyślenia.

Uwielbiając tak bezgranicznie truciela, stawiała się przez to samo do pewnego stopnia jego współniczką. Gdyby zapytano ją w tej chwili, czy pragnęłaby, aby Klara nie była umarła, ona odpowiadając szczerze, musiałaby wyznać, że nie, bo w takim razie Edmund nie byłby nigdy został jej mężem. Współdziałała okropnemu zamiarowi, którego rezultatem była śmierć ofiary; tak jest, współdziałała, bo nie odrzuciła od siebie zabójcy i nie byłaby go odrzuciła nawet obecnie, gdyby się zjawił przed nią. A gdyby kiedyś dawniej Edmund był ją naprawdę wtajemniczył w swój plan i rozkazał jej wlewać krople trucizny do napoju Klary, ona możeby mu była posłuszną.

Spojrzenie Zuzi zwróciło się ku rzece. Przejrzyste fale, osrebrzone blaskiem księżycowem, wywierały na nią wpływ magnetyczny, pociągający... Dlaczegożby nie miała szukać wśród nich, zapomnienia o wszystkich troskach, bólach i walkach? Śmierć zdawała się ją wzywać, wabić. A tak łatwo było umrzeć: dośćby było pochylic się nieco z glazu, na którym siedziała, a jużby miękka fala ujęła ją w swoje objęcia i uniosła przez skały i kamienie podwodne, aż tam do tej zatoczki, takiej cichej i szafirowej... Tak, trzeba raz już skończyć z tem wszystkim!

Zuzia przysunęła się na skraj glazu, podała się całym ciałem naprzód i już miała wypuścić z rąk krawędź skały, który jej ręce obejmowały jeszcze kurczowo, gdy nagle wystrzał z rewolweru wstrząsnął powietrzem i zamącił ogólną ciszę.

Zuzia cofnęła się od wody i podniosła ku niebu załamane dłonie. Diacze go ten wystrzał tak ją przeraził? Wszak słyszała niejednokrotnie od Swena, że myśliwi polują w nocy na głuszcze. O, bo ona przeczuwała po boleści, która ścisnęła jej sercem, że usłyszany strzał padł z ręki Edmunda, że mąż jej odebrał sobie życie.

W jednej chwili znalazła się na drodze i popędziła z powrotem. Jakże mogła nie zastanowić się nad tem pierwej, że gdy odepchnie go i pozostawi samego w rozpacz, to wówczas życie utraci dlań wartość? W piersi jej umilkły wszystkie uczucia, prócz bezgranicznego żalu i miłości. Wyobrażała go sobie leżącego na podłodze z krwawą plamą na białym czole — i pędziła coraz szybciej w nadziei, że może potrafi go jeszcze uratować. Ha, płonna nadzieja: on taki odważny, taki nieulekniorny, musiał mierzyć do brzo, a ręka nie drgnęła mu z pewnością.

Oto już spostrzega oberżę i dom, w którym mieszkała, a przed domem stoi powóz panny Aveleyne.

Cisza, panująca wewnątrz i zewnątrz domu, uspokoiła ją nieco: musiało się jej przesłyszeć, może to tylko ułamek skały stoczył się w przepaść i zbudził śpiące echo...

Ktoś wybiegł z domu. Był to stangret. Zwrócony w stronę sieni wołał coś po niemiecku, czego nie rozumiała. Podbiegła ku niemu.

— Co się stało? co się stało? — pytała z niepokojem.

Odpowiedział jej gościem, wyrażającym przerażenia i wskazał na drzwi, jakby zachęcając ją do wejścia. Weszła. Wbiegła na

schody, przeskakując po kilka stopni na raz. Do łuchu jej dolaływały przyciszone szept. Kto to mógł szeptać? Otworzyła drzwi, znalazła się w pokoju, usunęła kobiety, tłoczące się koło postania i ujrzała trupio bladą, zbroczoną strugą krwi twarz męża.

A więc nie myliła się, więc odebrał sobie życie naprawdę!...

Objęła go za szyję, uniosła nieco w górę i opuszczała znowu na poduszki, tuląc twarz do stygnącej już piersi.

Za jej plecami podawano sobie do ucha sensacyjne wiadomości. Biedna kobiecina — szeptano — to był jej mąż. Żyli w separacji i oto on nagle wrócił i zastrzelił się. P. Avelayne wróciwszy do domu o północy, usłyszała wystrzał i znalazła na podłodze trupa, a obok rewolwer. Przy pomocy stangreta zaniosiła go na łóżko. Co za nieszczęście! umarł już z pewnością, bo nie daje żadnej oznaki życia. Biedna pani — została wdową w tak młodym wieku!

Ale ona pod sercem swoim uczuła słabe bicie drugiego serca i zawołała:

— O, nie umieraj! nie umieraj! Ja ciebie kocham!

I całowała zamknięte oczy i zacisnięte, sine usta. Usta się poruszyły i odplaciły jej pocałunkiem za pocałunek; powieki podniosły się: z oczu strzelił promień radości, lecz zgasił natychmiast i ranny wydawał się znowu martwym i nieruchomym. Zuzia wszakże już nie płakała, nie rozpaczała.

— I czemuż tu stoicie bezczynnie! — zawołała, zwracając się do obecnych. Biegnijcie po doktora, pędźcie, śpieszcie!

— Po doktora trzeba jechać aż do Heidelberga — odparł właściciel domu.

— A więc jedźcie, powóz czeka na dole!

— Ale bo w nocy żaden doktor jechać nie zechce. Z Heidelberga do nas spory kawałek drogi.

Ranny westchnął. Zuzia rzuciła się ku niemu.

— Kocham cię! kocham!

— Dziękuję — wyszeptał i zemdlął.

Zuzia zwróciła się do otaczających.

— Jeżeli doktor nie zechce przyjechać do nas, to my pojedziemy do niego. Dopomóżcie mi.

Przemawiała głosem stanowczym, wymagającym absolutnego posłuszeństwa, czerpiąc w nadmiarze boleści siłę i energję.

— Nie mogę sama unieść go z postania. Dopomóżcie mi, proszę!

Dwie pokojowe i stangret zbliżyli się.

— Weźcie go za nogi. Tak. Ja przytrzymywać będę głowę.

Podniesiono go. Ciało jego posiadało nieruchomą sztywność trupa, a do sinych ust przymarł uśmiech, zdający się świadczyć o szczęśliwym skonaniu.

Zuzia przy pomocy służących umieściła rannego w powozie, wysłanym poduszkami i sama zajęła obok niego miejsce. Kuzynka Izabela usadła na koźle, trzymając w ręku klatkę z nieodstępą papugą.

— Do Heidelberga! — rozkazała pani Norvaisis. Jedźcie tylko zwolna, oszczędnie, aby sprawić mu jak najmniej bólu. A, prawda, podajcie mi wody.

Przyszło jej na myśl, że w drodze będzie mogła obmyć i opatrzyć tymczasowo ranę, myślała więc o wszystkim, straszny cios zdawał się zaostrzać jej władze umysłowe, budzić w niej coś w rodzaju jasnovidzenia lunatyczek.

Służąca podała butelkę z wodą i naprędce zrobione bandaże.

— A teraz jedźmy! — zawołała Zuzia.

Konie ruszyły. Czy dowiozą go żyjącego jeszcze, czy już tylko zimnym trupem?

Dolinę tymczasem zalewało blade światło księżycowe, otaczając tajemniczym jakimś urokiem pola, rzekę, oberżę i dom zamknięty, o zgasyłych oknach. Mgliste opary podnosiły się z ponad wody i przesycaly powietrze, blaski nieba odzwierciadlały się w rzece i płynęły z jej falą. Dokoła panowała niczem nie zakłócona senna cisza natury. Ani jeden listek nie poruszał się na krzewach, porastających stoki góry, na której się wznosiło Jaskółcze Gniazdo. Oł czasu do czasu wzbijał się tylko śpiew alpejskiego słowika, rozsypującego dźwięczne perły tonów. Obłoki zaczęły się zwolna spływać, łączyć w jedną chmurę, aż zasłoniły w końcu księżyc i całe niebo. Zdawało się, że niewidzialna, a potężna ręka zarzuciła na ruiny, pola, rzekę, na całą wreszcie dolinę lekką zasłonę z gazy. Natura spała cicho, bez snów, jak dziecię.

Ale oto zaledwie dostrzegalny odbłask padł na jedną z wież Jaskółczego Gniazda, a jednocześnie lekki powiew wionął od wschodu. Nie było to jeszcze ani światło ani wiatr, ale jakby

przecucie jednego i drugiego, jakby zapowiedź przebudzenia. Sosny drgnęły niespokojnie, różowe blaski zaigrały goręcej na szczycie wieży, szyby okien zapłonęły i skowronek wzbił się wysoko pod niebiosą, rzucając w przestworza pierwsze hasło dnia. Z poza usuwającej się jak firanka chmury wyjął promienne oko gwiazdy dziennej; na brzegu rzeki zadrżały badyle. Fala zaszemrała głośnie, ptaki zaświergotały, ale żaden się jeszcze nie ukazał. Nie jeszcze nie żyło, lecz wszystko pragnęło żyć. Powierzchnia rzeki okryła się złotem i purpurą, ale zgasła pod cieniem oparów, podnoszących się zwolna, jak zwoje wstęgi, z ponad pól, łąk i wąwozów, wieszających się na gałęziach drzew. Ostre powiew wiatru rozdarł i rozprószył lekkie te opony, a cietrzewie odezwały się w lesie, zwiastując tryumf nowego dnia. Potoki światła zalały dolinę, a dźwięki wesolej trąbki zbudziły echa górskie.

Swen z rogiem myśliwskim przy ustach zbiegał wesoło z góry. Jaskrawe pióro bażanta zdobiło jego kapelusz, stalowe okucia na pasku połyskiwały w blaskach słonecznych. Od czasu do czasu przestawał trąbić, a wówczas wybuczał wesołym śmiechem, ciesząc się z samego siebie i z cudnej, otaczającej go natury.

Stanąwszy nad rzeką, zbudził śpiącego jeszcze przewoźnika. przepłynął na drugi brzeg i pobiegł podskakując w stronę domku, w którym mieszkała Zuzia. Jaki? okiennice dotąd jeszcze zamknięte? A to dopiero śpioszka? Ale on ją zbudzi wnet. Zatrąbił na alarm tak głośno, że spłoszone wróble zerwały się z dachu. Na drugim piętrze otworzyło się okno, a w oprawie jego ukazała się zaspana trwarz służącej. „A, to pan — rzekła ziewając głośno. Robisz pan taki piekielny hałas i to tak wcześnie... Widocznie spałeś wybornie przez całą noc. Niepotrzebnie wszakże także się spieszy! bo te panie już odjechały.

— Odjechały!

— Tak jest, przyjechał do nich pan, który się zastrzelił. Odjechały z nim razem tej nocy. Dobranoc panu, idę się położyć.

Okno się zamknęło. Jaki? Zuzia miałaby odjechać, miałaby go opuścić bez słowa pożegnania? Nie, toby było niepodobnem... A on tak biegł, tak śpieszył, aby zbudzić ją o zwykłej godzinie, jak to czynił co dnia. Ale to nieprawda, ona jest tutaj. „Lydjo! Lydjo!“ — zawołał. Nie było żadnej odpowiedzi, drzwi i okna pozostawały zamknięte. A więc odjechała, o Boże! Upadł

na progu i ukrywając twarz w dłoniach zalał się rzewnymi łzami. A słońce wzbijało się coraz wyżej, złocąc ruiny, drzewa i powierzchnię wód, które muskała w locie długimi skrzydełkami czarna jaskółka.

Cześć trzecia.

1.

Okolo północy na balu u księstwa d' Echebrune lokaj zanonsował.

— Państwo Norvaisis.

W pierwszym salonie, w którym tańczono już od kilku godzin, zapanowało lekkie zamieszanie i oczy wszystkich tancerzy i tancerek zwróciły się z wyrazem żywej ciekawości ku nowo przybyłym. Usuwano się grzecznie, aby im zrobić miejsce, tam i owdzie szepetano sobie do ucha. Uwaga była ogólną, u jednych miała miała ona wyraźny charakter życzliwości i sympatji, u innych lekkiej zawiści.

Księżę pośpieszył na powitanie upragnionych gości, poczem odprowadził natychmiast Edmunda do pokoju, w którym grano w wista — a księżna zabrała Zuzannę do przybocznego saloniku, gdzie panie wypoczywały po tańcach.

— Jak to uprzejmie ze strony państwa — mówiła gospodyniemu, ściskając rękę pani Norvaisis — żeście przypomnieli sobie o nas starych. Jesteście tak wszędzie upraszani, tak rozrywani, żeśmy stracili nadzieję oglądania Was dzisiaj u siebie. Ale jakże cudownie piękną jesteś pani dzisiaj! — dodała, wpatrując się z nieklamany zachwytem w twarz młodej kobiety.

Piękną była rzeczywiście; panowie porzucali taniec i karty, aby móżdżek choć zdaleka popatrzeć na nią. Jaśniała całym przepychem w pełni rozwiniętych wdzięków. Gorące tony alabastrowej pleci odbijały harmonijnie od złotych warkoczy, purpurowych ust i szafirowych, jaśniejących szczęściem oczu. Wspaniałe biust i obnażone ramiona wychylały się wdzięcznie z czarnych koronek wyciętej sukni, przybranej bukietami pąsowych róż. Nad klasycznymi kształtów czołem młodej kobiety jaśniał dżadem z pereł najczystszej

wody. Nosiła go ze skromną dumą osoby, zeznającej, że ma niezaprzeczone prawo do królowania.

Rozmawiała wesoło i swobodnie, odpowiedzi jej iskrzyły się brylantami dowcipu, pozwoliła się zaprowadzić na chwilę do salonu, w którym grano modną jakąś komedijkę, ale nie dała się namówić do tańca. O, nie, ani jednego nawet turu walca. Oczekują na nich w ambasadzie szwedzkiej. Oto już mąż ogląda się za nią. Stał rzeczywiście we drzwiach buduaru, przesyłając ku niej wymowne spojrzenia.

— O mój Boże, odjeżdżacie już państwo! — mówiła rozżalona księżna, widząc ze smutkiem, że najpiękniejsza w całym Paryżu kobieta opuszcza tak wcześnie jej salon.

Zuzanna, wsparta na ramieniu męża, przeszła przez długi szereg salonów, odpowiadając lekkim skinieniem głowy na głębokie ukłony licznych wielbicieli. W przedpokoju Edmund wziął z rąk lokaja futro z niebieskich lisów i sam otulił niem troskliwie żonę i wsadził ją do karety.

W ambasadzie spotkano ich z głośnymi wybuchami zachwytu. P. Norvaisis bawił dłuższy czas w Sztokholmie w jakiejś misji dyplomacyjnej, wskutek czego żona jego uważana była niemal za Szwedkę, uwielbianie więc dla jej piękności było oznaką patriotyzmu. Cudzoziemcy nie krępują się zwykle w objawianiu swych uczuć: wyśpiewywano przeto głośno hymny pochwalne na jej cześć. Nikt tak nie umiał jeździć konno, jak pani Norvaisis, umiała dać sobie rady z najdzikszym nawet rumakiem. A jak celnie strzelała! Kilkadziesiąt osób może poświadczyć, że w Monako zastrzeliła dziesięć gołębi w jednym dniu. W Sztokholmie podziwiano jej talenta łyzwiarskie, żadna mieszkanka północy nie mogła równać się z nią w tym kierunku.

Zuzanna słuchała tego wszystkiego z obojętną grzecznością, przesyłając od czasu do czasu uśmiech i spojrzenie w stronę okna, gdzie mąż jej rozmawiał z ambasadorem o polityce i finansach. Szmer uwielbienia nie umilkł nawet wówczas, gdy oboje opuścili salony ambasady.

Oczekiwano ich jeszcze w kilku miejscach, gdzie obiecali swą bytność tego wieczora; godzina jednak była zbyt późnioną, aby mogli dotrzymać słowa.

— Wracamy do domu, nieprawdaż, Zuziu? — zagadnął Edmund, jak tylko znaleźli się sam na sam w powozie.

— O, tak, wracajmy.

Przez drogę nie rozmawiali ze sobą, ale trzymali się za ręce i uśmiechali do siebie, jakby nie mogąc dość się nacieszyć, że już nie patrzą na nich żadne ciekawe oczy.

Nakoniec znaleźli się w domu, u siebie, w pokoju, z którym wiązało się tyle wspomnień szczęścia.

Zuzia odesłała oczekującą na nią pokojową i przytuliła się pieszczotliwie do piersi męża.

— Znajdowano mię piękną dzisiaj. Czyś zadowolony? czyś dumny ze mnie? Pochwały całego świata są mi zupełnie obojętne. Pragnę abyś mię kochał. Czemu mi nie odpowiadasz, czemu milczysz?

Odsunął ją zlekka od siebie, aby móżdż lepiej jej się przyrzec. A gdy usiadła w fotelu, usunął się przed nią na kolana.

— O Zuziu — szeptał — jakaś ty dobra, jaka śliczna i jaki ja szczęśliwy! Dziesięć lat, spędzonych u twego boku, wydają mi się marzeniem uroczem, nieprześnionym snem o szczęściu! Kochaj mię zawsze, wiecznie!

— Wiecznie! — powtórzyła echowo młoda kobieta i usuwawszy z jego czoła bujne pukle czarnych włosów, połyskujących już tu i owdzie srebrną nitką, przytuliła usta do lekkiej, bladoróżowej blizny, znaczącej jego skroni.

Od dziesięciu lat najłżejsza chmurka smutku nie zamroczyła ich nieba. Posiadali wszelkie warunki szczęścia: bogactwo, władzę, szacunek i przyjaźń ludzką, a przede wszystkim gorącą miłość wzajemną, która zdawała się wzrastać z dniem każdym. Młode małżeństwa im zazdrościły, rodzice stawiali ich na przykład dzieciom.

A więc Zuzia przebaczyła i zapomniała, zapomniała zupełnie? Ależ ona nie pamiętała nawet, że miała coś do zapomniania i przebaczenia. Dziesięć lat spokoju i szczęścia są dość długim okresem czasu, aby wymazać z pamięci jakąś tam ponurą historję, opowiedzianą przez warjatkę, jakąś tam podróż bezcelową zdalą od niego wówczas, gdy była jeszcze dzieckiem prawie. A gdy nawet jakaś wina ciążyła wtedy na jego sumieniu, toć on ją przecie zmazał krwią własną. Czyż nie dostatecznie wycierpieli podczas

gdy Edmund z kulą w głowie, której chirurg przez długi czas nie umiał wyjąć, leżał bez ruchu i mowy, zwracając smutne wejrzenia w stronę płaczącej Zuzi. Spojrzenie to działało na nią magnetycznie, opanowywało jej duszą całą. Podczas powolnego powrotu do zdrowia męża miewała czasem chwile obawy i zgryzoły, myśl jakaś natiętna wracała jej często do głowy, sumienie szeptało, że będzie kiedyś srodze ukarana za szczęście, po które sięgnęła, ale Edmund umiał ją uspokoić, umiał otoczyć takimi warunkami życia, wśród których nie było miejsca na smutki. A zresztą może ta cała historia była tylko wytworem chorej wyobraźni starej warjatki! Byłaby szaloną dręcząc się nieustannie dlatego, że komuś się podobало ją nastraszyć. Ponure sny minęły bezpowrotnie, pozostała tylko słoneczna rzeczywistość. A rzeczywistość ta mówiła jej że Edmund jest najpiękniejszym, najszlachetniejszym z ludzi, że stara się uczynić ją dzisiaj szczęśliwszą niż była wczoraj, a jutro szczęśliwszą niż dzisiaj. Podczas wystawnych obiadów, na których musiała niekiedy bywać, na balach, gdzie zawsze królowała, myśl jej zwracała się z rozkoszą do chwili, gdy znajdzie się z nim zdale od tego tłumu, gdy będzie piękną tylko dla niego jednego.

Jeżeli Zuzia zarzuciła zasłonę absolutnego zapomnienia na przeszłość, to Edmund przeciwnie myślał o niej z uczuciem pewnego rodzaju dumy, z jakim wybrańcy nieba muszą myśleć o przebytych mękach czyścowych, którymi okupili sobie to niebo.

Los był dlań bardzo łaskawym: z każdej próby ogniowej dozwalał mu wyjść silniejszym i szczęśliwszym. A ileż to sposobności miała Opatrzność do zesłania na niego najokrutniejszej kary! Najpierw Małgorzata mogła go wydać, ponieważ znała jego tajemnicę. I oto dziwnym wypadkiem pomimo całej swej niewiści i zemsty, milczała jak wierna przyjaciółka, jak kochająca matka. Następnie Zuzia opuściła go, wyparła się, a bez niej byłby najędźnierczym z ludzi, żyjących na świecie, ale odzyskał ją znowu piękniejszą, bardziej kochającą niż przedtem.

Później jeszcze chciał odebrać sobie życie i oto kula natrafiła na jakąś twardą kość i nie zorała mózgu.

Wina jego pozostała nietylko nie ukarana, ale była nagrodzoną najwyższą, jaka istniała nagrodą. Nemezis losu jest przeto tylko marą, wylęgłą w chorych umysłach marzycieli.

II.

Shczęście bywa niewdzięcznem: państwo Norvaisis zajęci sobą, pochłonięci wirem światowych rozrywek, zapomnieli nieco o kuzynce Izabeli, która mieszkała w osamotnionym swym pałacyku z różowej cegły, oddając się z coraz wzrastającym zapalem hodowli ptaków i rzadkich roślin. Od sześciu już przeszło miesięcy żadne z nich nie zajrzało do dobrej staruszki, gdy pewnego popołudnia lokaj zaanonsował jej przybycie Zuzannie, oczekującej na męża, z którym miała jechać na spacer do Bulonńskiego lasku.

Panna Aveleyne wbiegła do salonu zwykłym sobie, drobnym i pośpiesznym krokiem. Białe jak śnieg loczki czyniły ją podobną do zestarzałej, ale nie pozbawionej wdzięku wieszczki.

— A, szkaradna bałamutko! — zaszczębiotała zaraz od progu zachrypniętym nieco głosikiem — więc to ja na stare lata muszę lecieć do ciebie, bo w przeciwnym razie zapomniałabym nawet jak wyglądasz! Rzuciła się w objęcia Zuzi, osupując ją pocałunkami.

— Ale, ale, zgadnij kogo ci przyprowadzam? Nie, nie zgadłabyś nigdy! Patrz!

Podbiegła do portjery, uchyliła ją. Na progu stał dorodny młodzieniec, onieśmielony i zmieszany, ze spuszczonei oczami.

— Swen! — zawołała Zuzanna, śpiesząc z powitaniem.

Poznała od pierwszego rzutu oka małego swego przyjaciela z doliny Neckaru, takiego dzikiego i kochającego zarazem, umiającego tak świetnie układać sokoły i nastawiać sidła na ptaki. Ucieszyła się niezmiernie jego niespodzianem zjawieniem się i byłaby go nawet uściskała, tego małego swego braciszka, gdyby... gdyby nie wyglądał na całkiem już dorosłego mężczyznę.

Swen, zajmwszy wskazane sobie miejsce, obracał w rękę kapelusz z zakłopotaną miną, a panna Aveleyne opowiadała w dalszym ciągu szczegóły spotkania.

Wysiadłszy z powozu spostrzegła hrabiego, stojącego przed pałacem. Nie miała dla niego nigdy zbyt wielkiej sympatji, to prawda, bo w głębi serca chowała doń zawsze urazę za poturbowaną Zulę, ale po dziesięciu latach można przebaczyć cięższą nawet zbrodnię, a zresztą zdziwiła się, że rysy jego twarzy nie uległy żadnej prawie zmianie przez czas tak długi. Po przywitaniu się Swen jej wyznał, że nie ma odwagi złożyć wizyty Zuzannie.

jakkolwiek od dłuższego już czasu bawi w Paryżu i codziennie bywa koło jej mieszkania. Wówczas ona, Izabela, ofiarowała mu się na przewodniczkę. Odplacała dobrem za złe tem łatwiej, że Zula nie zginęła wówczas w owych zapasach z sokołem, lecz żyła dotąd w dobrym zdrowiu, chociaż biedactwo postarzało znacznie. Jakie to smutne, że i ptaki ulegają prawom natury podobnie jak ludzie!

Podczas paplania staruszki Zuzanna przypatrywała się ciekawie młodemu gościowi. Zmienił się nie wiele, to prawda, rysy jego zachowały ten sam wyraz szczerości, dumy i odwagi, ale w żadnym razie nie można go już było uważać za dziecko: męska siła i stanowczość przebijały zarówno w spojrzeniu ciemnych oczu, jak w metalicznym dźwięku głosu i każdym ruchu.

— Toś dopiero urósł! — zauważyła — co do mnie, jestem już starą kobietą, nieprawdaż?

— Jesteś pani jeszcze piękniejsza niż dawniej.

— Ślicznie dziękuję za komplement. A pamiętasz, jaka to ze mnie była wówczas trzpiotka? Teraz za to jestem nader poważną matroną i pragnę wysłuchać szczerzej spowiedzi mego małego przyjaciela. Opowiedz mi więc szczegółowo, co się z tobą działo przez cały ten czas? jakim sposobem znalazłeś się w Paryżu? coś porabiał od chwili naszego rozstania?

Nie odpowiedział natychmiast, dopiero gdy kuzynka Izabela usunęła się nieco na stronę i zajęła gorliwie obrywaniem suchych liści z roślin, wyszeptał rumieniąc się:

— Myślałem o pani.

— To mi dopiero ważne zajęcie! — zawołała śmiejąc się Zuzanna. Ale ja również myślałam o tobie, zadając sobie niejednokrotnie pytanie: Co się stało z małym moim przyjacielem, Swenem? Czułam się zawsze jak najmocniej przekonaną, że się jeszcze spotkamy kiedyś ze sobą.

— Ale ja myślałem o pani ciągle, bez przerwy.

W głosie jego zadźwięczała smutna nuta. Zuzanna spojrzała mu uważnie w oczy. Tak, nie było to już dziecko, jakim go znała dawniej, lecz młodzieniec w pełnym rozkwicie sił i piękności. Czuła się nieco zakłopotaną i postanowiła traktować go z większą względnością. Niedługo wszakże potrafiła zachować przybraną maskę powagi. Wspomnienia dzieciństwa posiadają tyle uroku! Zbli-

żyła się doń ponownie z dobrym przyjacielskim uśmiechem na ustach. W tej chwili kuzynka Izabela spytała ją, czy może pójść do ogrodu obejrzyć kwiaty.

— Idź, idź, najdroższa — odparła pani Norvaisis, a zwracając się do dawnego ucznia dodała z koleżeńską poufałością:

— A teraz, kiedyśmy zostali sami, musisz mi opowiedzieć swe dzieje w kolejnem następstwie wypadków.

— Skoro pani rozkaże — zaczął nieśmiało Swen.

— Nie nazywaj mnie panią, tylko Lydją, jak dawniej, ponieważ to imię nosiła matka twoja, a ja przez pewien czas — jakeś sam przynajmniej utrzymywał — zastępowałam jej miejsce.

— Dzieje moje nie będą zbyt długie, ani zajmujące, Lydjo — rzekł młody człowiek z lekkim drżeniem w głosie i odetchnąwszy głęboko, jakby dla nabrania odwagi, zaczął opowiadać, nie podnosząc spuszczonej ku ziemi oczu.

Pewnej nocy ukochana jego mistrzyni odjechała nagle, bez pożegnania. Dowiedziawszy się o tem płakał gorzko i to nie tylko tego jednego dnia, lecz i wszystkich dni następnych! O świcie zbiegał zawsze z góry, przepływał przez rzekę i grał na trąbce pod jej oknami, myśląc, że może już wróciła tak niespodzianie, jak niespodziewanie odjechała. Ale okno pozostawało zamknięte, a ludzie żartowali sobie z niego. Błakał się następnie po lesie smutny i opuszczony, wspominając z żalem o wspólnych, wesołych wycieczkach. Polowanie i rybołówstwo straciły dlań wszelki urok. Wpatrywał się w wodospad, rozbryzgujący się w miljardy pereł i brylantów, ale nie dostrzegał już w kłębach spienionej wody słonecznie pięknych wrózek w różanych szatach, jak to miało miejsce wówczas, gdy ona stała obok niego. Jednem słowem czuł się bardzo nieszczęśliwym i godnem politowania dzieckiem, a nie przewidywał zgola, aby los jego mógł się kiedy odmienić na lepszy.

Ćwiczył się w czytaniu, bo wiedział, że zasłużyłby tem na pochwałę z jej strony, gdyby tu była. Sprowadzał książki z Heideberga, wiele książek, pragnąc posiąść wszelkie mądrości świata, aby dorównać jej wykształceniem. Przesiadywał często w pokoju, położonym na szczycie Jaskółczego Gniazda; przypuszczano, że jest chory, a on się uczył i myślał o niej. Towarzystwo, które się zbierało u ojca i dawniej już budziło w nim wstręt, bo widział

w niem zniewagę dla pamięci matki, zmarłej we łzach rozpaczy, obecnie zaś unikał go bardziej jeszcze, bo obecność tych osób wyrządzała krzywdę i plugawiła uczucia jego dla Lydji-matki i dla tej drugiej Lydji. Wspomnienie zmarłej i Zuzi zlały się w jego sercu w jedno uczucie żaloby tem głębszej, że podwójnej.

— Biedne dziecię! — szepnęła Zuzia.

Pewnej zimowej nocy hr. Shelsca-Kalix zmarł nagle po obfitej wieczerzy w gronie przyjaciół, przy której pił bardzo wiele wina. Swen w czternastym roku życia pozostał sam na świecie. Pierwszą jego myślą było odprawić służbę, sprzedać meble i klejnoty i udać się w świat na poszukiwanie Zuzi. Wszak obiecał jej ofiarować koronę z pereł i brylantów, gdy zostanie królem. W uskutecznieniu wszakże tych zamiarów przeszkodziło mu przybycie krewnych, którzy go zawieźli do Anglii i umieścili w zakładzie naukowym, aby mógł tam odebrać wykształcenie, odpowiednie swemu urodzeniu oraz stanowisku, jakie miał zająć kiedyś w świecie. W zakładzie uczył się bardzo wielu rzeczy, a przytem ćwiczył się w gimnastyce, fechtunku, jeźdźeniu konno, pływaniu. W wirze wesołego, studenckiego życia zapomniał nieco o Zuzi, obraz jej zatarły w jego duszy nowe i nieznane wrażenia. Trwało to wszakże niedługo: po chwilowym stłumieniu dawne uczucia i wspomnienia owdładnęły nim tem silniej. Wyobrażał ją sobie dobrą, piękną i uroczą...

— Taką, jaką pani jesteś naprawdę.

— A, co za nierozsądne dziecko z ciebie dotąd jeszcze! — zawołała Zuzia, pokrywając śmiechem wzruszenie, jakie w niej budziła ta szczerą, naiwną spowiedź. — Wdzięczną ci jestem bardzo, żeś nie zapomniał o naszej przyjaźni, żeś myślał o mnie. Upewniam cię, że i ja wspominałam nieraz z przyjemnością o naszych wycieczkach do lasu, o pogoniach za motylkami, konikami i o wielu innych drobnostkach. Ale lata dzieciństwa miły bezpowrotnie. Dziś jesteśmy dojrzałymi ludźmi i powinniśmy się zachowywać odpowiednio do naszego wieku. Będiesz bywał u nas bardzo często, będziemy tańczyli i bawili się bardzo wybornie, choć w odmienny niż dawniej sposób. Ale nie trzeba być takim zapaleńcem. Mówmy rozsądnie, mały mój przyjacielu. Więc od miesiąca bawisz w Paryżu i dotąd ani razu nas nie odwiedziłeś, a gdyby nie przypadkowe spotkanie z kuzynką Izabelą, to i dziś

jeszcze nie oglądałabym cię zapewne. Bardzo to nieładnie z twojej strony. Toteż gniewam się na ciebie serdecznie, bo serdecznie cię kocham. Czemuś nie przyszedł do nas wcześniej, byłabym cię zapoznała z moim mężem.

Swen zerwał się z miejsca i kierując się ku drzwiom, wołał niemal głośno:

— Dla tegom właśnie nie przychodził, aby uniknąć spotkania z twoim mężem. Dlaczegoś nie powiedziała dawniej, żeś zameżna? Krążyłem codziennie koło twego domu, ale nie byłbym nigdy przestąpił jego progów, gdyby panna Izabela nie zobaczyła mię i nie wciągnęła przemocą. A, jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwy!

— Swen! — zawołała zdumiona Zuzia.

Ale nie było go już w salonie.

Młoda kobieta wzruszyła niecierpliwie ramionami. Co za szkoda, że ten dobry, serdeczny chłopak jest takim szaleńcem i dziwakiem! Ale to się musi zmienić z czasem. Opowie o nim panu Norvaisis, a on z pewnością potrafi go uspokoić i przemówić do jego rozsądku.

— Cóż się stało z naszym małym rycerzem? — spytała wracająca z ogrodu kuzynka Izabela.

Zuzanna nie miała czasu odpowiedzieć. Na podwórzu się rozległ tentent kopyt konskich. Była to godzina, w której jeździła zwykle z mężem na spacer do Bulońskiego lasku; pan Norvaisis siedział już na koniu, czekając na nią; otworzyła okno i zawołała wesoło: „Będę ci służyła za mało chwilkę; biegnę włożyć amazonkę!” Wymknęła się pośpiesznie z salonu, prosząc kuzynkę, aby zechciała zostać u nich na obiedzie. W mgnieniu oka była już gotowa, a siedząc w siodle zwróciła się pieścizotliwie ku swemu towarzyszowi: „Co za przepyszna pogoda! Gdzieś bawił tak długo? Tak mi bywa smutno zawsze bez ciebie! Jedźmy!”

Przepyszne wierzchowce puściły się dzielnym kłusem. Przechodnie oglądali się za tą piękną parą, znajomi przesyłali im uśmiechy i ukłony. Oni jednak, zajęci wyłącznie sobą, mało na to zwracali uwagi.

— Ale, ale — przypomniła sobie nagle Zuzia — nie wiesz jakiego gościa miałam przed chwilą. Zgadnij!

— Jakżeby mógł zgadnąć...

— Wyobraź sobie...

Urwała nagle, bo przyszło jej na myśl, że mówiąc o chłopaku, którego poznała w tak bolesnych warunkach życia, musiałaby z konieczności potrącić o przeszłość, a nie chciała zachmurzać czoła ukochanego smutnem wspomnieniem.

— Wyobraź sobie — dokończyła — że kuzynka Izabela, której nie widziałam od niepamiętnych czasów, przyszła do nas z wizytą; uprosiłam ją, aby została u nas na obiedzie.

III.

W ciągu kilku dni następnych myśl Zuzi zwracała się od czasu do czasu do Swena. Żałowała, że nie chciał bywać w ich domu, lubiła bowiem tego małego rycerza, marzącego o królewskiej koronie, do której urodzenie nadawało mu prawo, z drugiej zaś strony obecność jego nadawałaby pewien urok oryginalnej nowości popołudniowym herbatkom i wieczornym przyjęciom, jakie urządzała u siebie co tygodnia. Pragnęła, aby pan Norvaisis zaprzyjaźnił się ze Swenem; posiadał on liczne stosunki w Sztokholmie i mógłby być mu pomocnym w niejednym kierunku. A jakby zabawnie wyglądał ten mały dzikus na tronie! zupełnie, jak jakiś królewicz z bajki! Ale ponieważ był uparty i dziwaczny, więc nie warto zaprzętać sobie głowy rozmyślaniami na temat jego przyszłości. Sam sobie winien! Po upływie paru tygodni młoda kobieta zapomniała już prawie zupełnie o wizycie Swena.

Nie mogła jednak zapomnieć o kuzynce Izabeli, która jej przyprowadziła tego północnego gościa. Czyniła sobie wyrzuty, że tak zaniedbuje dobrą staruszkę.

Panna Aveleyne nie odczuwała zbyt dotkliwie samotności w otoczeniu ulubionych ptaków i roślin, zawsze jednak wypadało odwiedzać ją od czasu do czasu. Biedaczka cierpiała na astmę i była już bardzo stara, zdzieciniała prawie, a na pielęgnowanie służących nie bardzo się można było spuścić. Zuzia poczuwała się do niewdzięczności względem dobrej krewnej, która się nią opiekowała niegdyś tak szczerze i kochała ją całym uczuciem, na jakie ją stać było, przenosząc śliczną dziewczynkę nad najbardziej nawet ulubionego rajskiego ptaszka. Pani Norvaisis mówiła sobie każdego niemal rana: „Pójdę dziś do Izabeli“, a jednak nie spełniała powziętego zamiaru. Rzecz dziwna: ogarniało ją niewytłuma-

zione jakieś wzruszenie na myśl o pałacyku z różowej cegły, w którym spędziła dziecinne lata. Pewnego popołudnia wreszcie, wracając ze spaceru, rozkazała stangretowi zawieźć się do kuzynki i weszła do ptaszarni.

Nie zastała tam nikogo prócz kwiatów i ptaszków, mieniających się różnobarwnie w złotawem świetle, przenikającym przez złotawego koloru szyby.

Bywała tak często przed wyjazdem z Paryża w oszklonym, egzotycznym tym ogrodzie, a jednak nigdy nie wydawał się jej takim pięknym, jaśniejącym. Zachwyciła ją i oczarowała oryginalna mieszanina podlatujących i szczebioczących kolibrów, purpurowych i zielonych papuzek, śnieżystych amerykańskich gołębi, podobnych do zwitków jedwabiu. Skrzydlaty ów światek przelatywał z gałązki na gałązkę, sadowił się na rozkwitłych kielichach kaktusów lub gardenji; tęczone barwy i dźwięki ptaków mieszały się z odurzającym zapachem kwiatów.

Z poza olbrzymiego jakiegoś krzewu wysunęła się niespodzianie kuzynka Izabela, zlekka pokaszlując. Rozwiane srebrne loczki, jaskrawe barwy rannego szlafrocza czyniły ją podobną do starej wróżki, królowej ptaków.

— A, to ty! — zawołała, rzucając się w objęcia Zuzi z lekkim szelestem jedwabnej sukni, podobnym do szelestu ptasich skrzydełek. Z szerokich, skrzydlatych rękawów wysuwały się drobne i różowe, jak łapki synogarlicy, rączki.

Pani Norvaisis w wytwornym, o przyémionych barwach stroju wyglądała wśród tego dziwnego otoczenia, jak dramatyczna artystka, która jeszcze się nie przebrała w odpowiedni kostjum dla odegrania swej roli w fantastycznym jakimś balecie.

Panna Aveleyne zaczęła wnet szczebiotać z taką werwą, że nawet nie można było marzyć o przerwaniu tego potoku słów. A ileż to rzeczy działo się w tej ptaszarni. Trudno sobie wyobrazić, jakie wypadki zdarzają się w królestwie ptaków! Ile to trzeba umiejętności, aby utrzymać zgodę między dzieciolami a sojkami; jest to rzecz najtrudniejsza pod słońcem, bo te złoŹniki wyrwywają sobie wciąż pióra: a te zięby bengalskie wielkości rubina, a hałaśliwe, jak terkotki, zwiększają jeszcze bardziej zamieszanie. Wszystko jednak dałoby się jako tako urządzić, gdyby nie sikorki, szczególnie młode, najbardziej zaczepne stworzenia na kuli

ziemskiej. Co do Zuli, to ta cieszyła się wybornym zdrowiem i doskonałym humorem, choć była już w bardzo podeszłym wieku. Przebywała stale w pokoju samej pani, która pragnęła jej oszczędzić bójkę z młodszymi, a wojowniczego ducha towarzyszami. Sypia na poręczy mego łóżka, a z rana, gdy się jej nie udaje zbudzić mię paplaniem, podnosi mi powieki zakrzywionym swym dzióbkiem. Najśliczniejsze to stworzonko, jakie tylko można sobie wyobrazić; Zuzia zobaczy ją zaraz; wpierw jednak Izabela musi jej pokazać gniazdko krzycuczków; tak jest, znajdując się w niem ślepe, nieopierzone pisklęta, które się pomyliły co do pory roku i przyszły na świat o parę miesięcy wcześniej niż należało. Wy-
padek ten jest o tyle zachwycający, o ile rzadki...

— O, co za wspaniały kwiat! — zawołała Zuzia, zatrzymując się przed kwitnącą rośliną.

— Zapewne, że wspaniały! — potwierdziła Izabela. — Jest to biała japońska piwonja, z gatunku tak rzadko się spotykającego, że wielu przyrodników uważa go za nie istniejący.

Przepyszny kwiat, podobny do płatka rozkwitłego śniegu, strzelał dumnie z tła zielonych liści. Pani Norwaisis wyciągnęła ku niemu rękę instynktowym ruchem kobiety, pragnącej się ustroić w piękny jakiś klejnot.

— Zaczekaj, proszę cię! — zawołała panna Aveleyne. — Zdaje mi się, że piwonja ta jest jedyną rozkwitłą, jaką mamy w tej chwili, a w takim razie nie chciałabym, abyś ją zrywała. Muszę się wpierw poinformować u ogrodnika.

— U ogrodnika? A tak, pamiętam tego dobrego staruszka.

— Mylisz się; tamten umarł, mam na jego miejsce innego, który jest zarazem moim ptasznikiem. Zobaczysz go za chwilę — mówiła panna Aveleyne, pokaszlując i śmiejąc się figlarnie, a zwracając się w stronę chińskiego pawilonu, zawołała dwukrotnie:

— Panie! panie!

Drzwi pawilonu uchyliły się i na progu ukazał się hrabia Shelsca-Kalix z doniczką kwitnących tulipanów w ręku. Na widok Zuzi twarz improwizowanego ogrodnika zajaśniała najżywszą radością, a doniczka wymknęła się z drżących jego rąk i rozbiła się w drobne kawałki.

Pani Norwaisis cofnęła się, powstrzymując lekki okrzyk zdumienia. Przypuszczała może, nie zdając sobie sama sprawy z swych

myśli, że kuzynka będzie z nią mówiła o Swenie, ale nie spodziewała się nigdy zastać go tutaj w charakterze domownika niemal. Czuła się tem nietylko zdziwioną, ale i niemile dotkniętą.

— Sprawiałam ci wielką niespodziankę, nieprawdaż? — śmiała się panna Aveleyne i nie zwracając uwagi na rozpaczliwe znaki, jakie jej dawał zmieszany młodzieniec, zaczęła opowiadać, że od trzech tygodni przychodzi do niej codziennie. Przy pierwszej wizycie przyjął go dość sztywnie, nie wiedząc, jakie wrażenie wywrze na Zulę widok człowieka, który o mały włos nie stał się przyczyną jej śmierci. Zula tymczasem powitała go bardzo życzliwie. Nie ulega wątpliwości że go poznała od razu, bo nie ma mądrzejszego od niej ptaka na świecie, ale przebaczyła mu widocznie w wielkiej dobroci swego serduszka. Izabela przyznawała, że była dawniej niesprawiedliwą względem Swena. Nietylko nie był wrogiem ptaków, lecz przeciwnie lubił je bardzo. Z drugiej zaś strony nikt nie znał się lepiej od niego na hodowli roślin. Pamiętał zawsze pouchylać liście w południe, aby słońce mogło lepiej przegrzewać pączki. Oprócz tego znał wszystkie nazwy najrzadszych nawet roślin i wpadł na szczęśliwy pomysł umieszczenia przy każdym krzewie kartki z wypisaną na niej łacińską nazwą tegoż. „Ma jedną tylko wadę: chciałby mówić ciągle i wyłącznie o tobie. Zadręcza mię pytaniami, jakies miała upodobania i nawyknięcia będąc dzieckiem. Muszę mu wskazywać lawki, na których sadzałaś zwykle swoje lalki, altanki w których lubiłaś się uczyć. Z dziecięcego twego pokoiku, tam na górze, pamiętasz? urządził coś w rodzaju dzikiego ustronia leśnego, zapelnivszy go doniczkami konwalij, wrzosów, paproci; spędza tam długie godziny przed zwierciadłem, jakby szukając w niem kształtów, które odbijało dawniej, a odchodząc, zabiera ze sobą zawsze jakąś gałązkę, lub kwiatek z tego pokoju. Jednem słowem podejrzewam go o wariację w pewnym kierunku. Nie przeszkadza to mu wszakże być bardzo miłym, uczynnym, uprzejmym.“ Staruszka czuła się zachwyconą nad wyraz codziennymi odwiedzinami młodego hrabiego i pomocą jego w pielęgnowaniu roślin i ptaków. A zresztą na razie chodziło o to tylko, czy można zerwać piwonję białą? On jeden miał prawo rozstrzygnąć ważne to pytanie, bo rzadka a piękna ta roślina była jego darem.

Panna Aveleyne szczebiotała tak bez końca. Swen stał ze spuszczoną głową, nie ośmielając się podnieść wzroku na panią Norvaisis, która oddaliła się nieco ze zmarszczoną brwią, podrażniona i gniewna.

Swen zbliżył się w końcu do piwonji, zerwał wspaniały, śnieżysty kwiat i podał go Zuzannie, przyklękając przed nią i podnosząc ku niej łzawe, marzące spojrzenie.

Młoda kobieta zawahała się. Gdyby kuzynka Izabela nie znajdowała się przy nich, nie byłaby przyjęła kwiatu i byłaby zrobiła przyjacielską wymówkę Swenowi. Ale wobec dobrej staruszki, nie pojmującej zgoła życia, nie chciała brać rzeczy poważnie i dziękując uśmiechem wzięła piwonję i wpięła ją do złocistych warkoczy.

— A teraz muszę śpieszyć z powrotem do domu — zauważyła zniecierpliwionym, rozgorączkowanym głosem. Mąż mój oczekuje mię zapewne z niepokojem, bo mamy dziś gości na obiedzie, a godzina jest już spóźniona.

— Mam nadzieję, że będziesz teraz częściej do mnie zaglądała — rzekła Izabela na pożegnanie.

— Tak jest, odwiedzę cię wkrótce.

Wybiegła z oranżerii tak szybko, jak gdyby obawiała się pogoni i wskoczyła do powozu.

Nie wróci tu więcej z pewnością. Ten mały stracił chyba do reszty rozum. Wszak ośmielił zakochać się w niej, zakochać naprawdę! Pozwalała mu pamiętać o dawnych zabawach i przechadzkach w sosnowym lesie, bo sama lubiła o nich wspominać i miała bardzo wiele życzliwości dla Swena. Ale to co miało miejsce dzisiaj przekraczało dozwolone granice. Ofiarował jej kwiat na klęczkach ze łzami w oczach! Nie krępuje się jak widać, wcale z wyrażaniem swych uczuć. Zuzia czuła się dotkniętą i obrażoną.

Co do kuzynki Izabela, to była ona skończoną warjatką. Pozwoliła młodemu hrabiemu zamieszkać prawie w swym domu, aby tylko mieć towarzysza w edukowaniu papug i polewaniu roślin. Powinna była przecie zwrócić uwagę, że dzisiaj jest on już dorosłym i bardzo pięknym, tak jest, bardzo pięknym mężczyzną, odmiennym zupełnie od rodowitych paryżan. Ale bo te stare panny nie mają o niczem pojęcia, nie domyślają się nawet, jakie błędy popełniają. Swen schlebia rozmaitym dziwacznym upodobaniom kuzynki, a ona mu w nagrodę pozwala przesiadywać godzinami

w panińskim pokoiku Zuzi. Jaki brak taktu, zastanowienia, a nawet poczucia przyzwoitości!

Co prawda całe to niemile zajście było w gruncie rzeczy zupełnie obojętne Zuzi. Nie byłaby nawet zastanawiała się nad nim, gdyby nie współczucie dla Swena, który czuł się zapewne bardzo nieszczęśliwym. Żałowała teraz gorzko, że nie pomówiła wcześniej o nim z mężem. P. Norvaisis byłby wykazał po przyjacielsku temu dzieciakowi całą jego niekonsekwencję, byłby go przestrzegł po ojcowsku i wytłómaczył Izabeli, że źle zrobiła, przyjmując hrabiego w swym domu. Czego jednak nie zrobiła dawniej, to może uczynić teraz. Wszak jeszcze czas. Co to znaczy: „jeszcze czas”? co za dziwna myśl przyszła jej do głowy? alboż nie będzie zawsze czas pomówić szczerze z Edmundem? A więc dobrze, opowie mu wszystko dziś jeszcze przed obiadem. Kto wie jednak, może to już było zapóźno? może teraz Edmund zdziwi się, a może zaniepokoi tem wyznaniem. Wyznaniem? skąd nasunął się jej na usta taki nieodpowiedny wyraz? Czy sama zaczynała tracić zdrowy rozsądek? Nie zdając sobie sprawy dlaczego, czuła, że nie mogłaby mówić dziś z mężem o Swenie. Spotykała ją słuszną kara za niewłaściwe kroki uprzednie. Była wielce niezadowolona z siebie samej i wściekała się na kuzynkę. Nie pójdzie już do niej nigdy. Staruszka nie była złą istotą, ale cóż kiedy posiadała mniej oleju w głowie, niż jej zięby bengalskie i papugi.

Zuzia wróciła do domu w szkaradnym humorze. Rozweseliła ją nieco wspaniała suknia przybrana koronkami i kwiatami, którą nadesłano z pierwszorzędnego magazynu podczas jej nieobecności. Piękna kobieta zapragnęła ustroić się w nią natychmiast, aby stać się jeszcze piękniejszą.

Następnie obiad udał się wybornie. Gości państwa Norvaisis należeli do rzędu ludzi uczonych, światowych i utalentowanych. Trzeba przyznać, że Edmund umiał dobierać sobie towarzystwo. Najbardziej jednak zachwycalo ją to, że mąż jej był najpiękniejszy i najwytworniejszy z pomiędzy wszystkich, pomimo kilku srebrnych włosów koło pamiętnej a drogiej blizny. Żaden zaś akademik nie umiał wymowniej i świetniej od niego przemawiać, chociaż pisanie i mówienie jest fachem akademików. Wśród tego otoczenia tak milego, ożywionego i inteligentnego Zuzia zapomniła najzupełniej o młodym entuzjastcie, podającym jej biały kwiat na kolanach ze łzami

w oczach. Nie przypominała sobie o nim tem bardziej wówczas, gdy goście rozjechali się koło północy, a ona została sama z Edmundem i wsparła na jego ramieniu twarzyczkę, zarumienioną nadzieją gorącego pocałunku. A jednak nazajutrz pojechała do kuzynki Izabeli i odąd bywała tam codziennie.

Przyszła bowiem do przekonania, że byłoby niesłusznie i okrutnie z jej strony mścić się nad chorą, zdzieciniałą staruszką za to, że staruszka ta upodobła sobie towarzystwo młodzieńca, który był jeszcze takim prawie dzieckiem jak ona sama. Co do Swena, to Zuzia postanowiła wyjaśnić od razu wzajemny ich stosunek do siebie, aby mieć już później spokojne sumienie. Zaprowadziła go więc za olbrzymi krzew pąsowych róż i powiedziała, że zabrania mu tak niewłaściwie zachowywać się, jak to miało dotąd miejsce. Po pierwszym śmielszym spojrzeniu lub słowie, którego nie powinna była słyszeć, poprosi kuzynkę, aby mu wymówiła dom swój na zawsze. Jeżeli przebacza mu to dla tego, że jest bardzo dobra i że ma wiele przyjaciół dla niego, ale musi jej dać słowo honoru, że będzie odąd bardzo spokojny, bardzo rozsądny, w przeciwnym zaś razie...

Swen słuchał tego wszystkiego zmieszany i drżący, jak dziecko pojmane na gorącym uczynku. Przemawiała doń surowym głosem zagniewanej matki! Obiecał spełnić wszelkie jej żądania i dotrzymywał danego słowa, jak tylko mógł najlepiej. Zuzia więc mogła oddawać się z całym spokojem przyjemności, jaką jej sprawiało bywanie u kuzynki Izabeli, do której zbudziło się w jej sercu żywsze niż kiedy przywiązanie. Uważała za święty obowiązek spłacać niedoleżnej staruszce dług wdzięczności, zaciągnięty wówczas, gdy sama była osieroconem i opuszczonem od wszystkich dzieckiem. Spędzała też u niej tyle czasu codziennie, że nawet p. Norvaisis zwrócił na to uwagę.

— Biedna Belcia starzeje się z każdym dniem bardziej — tłómaczyła młoda kobieta — byłoby jej nieskończenie smutno, gdybyśmy o niej zapomnieli teraz, pozostawiając na łasce obcych, płatnych ludzi.

— To prawda, masz słuszość, najdroższa jak zawsze i we wszystkim — odparł Edmund, okrywając gorącymi pocałunkami piękne rączki żony i czując się tak spokojnym, jak człowiek, który zbudował swój dom w dolinie, osłoniętej zewsząd niebotycznymi górami, zabezpieczonej od wszelkich burz i piorunów.

Zuzia nie ukrywała sama przed sobą, że towarzystwo Swena i rozmowa z nim sprawiały jej pewną przyjemność. Nie widziała w tem wszakże nic zdrożnego, ponieważ od czasu ostrej wymówki, którą mu zrobiła, młody człowiek nie przekraczał nigdy granic pełnej szacunku przyjaźni. Czyżby nie miała prawa mieć trochę macierzyńskiej czułości dla młodzieńca, który w jej oczach był zawsze jeszcze dzieckiem, a któremu zawdzięczała chwile ukojenia i pociechy w okresie życia bardzo ponurym, bardzo rozpaczliwym? Do okresu tego, zagrzebanego oddawna w pyłe zapomnienia, myśl jej zwracała się teraz od czasu do czasu. Co za szkoda? że Swen będzie musiał ożenić się w przyszłości z jakąś księżniczką! Gdyby nie to, byłaby się zajęła sama sercowemi jego sprawami i byłaby mu wybrała — nie teraz naturalnie, gdyż był na to jeszcze za młody, ale za lat kilka — piękną, rozumną i szlachetną towarzyszkę życia. Tymczasem spędzała z nim chętnie długie godziny w cienistej alei, podczas gdy kuzynka Izabela karmiła swe ptaki lub podlewała rośliny.

Bawiła ją zmiana wzajemnego ich stosunku do siebie: rola mistrza i nauczyciela należała teraz do niego. Zuzia podziwiała wielki zapas wiedzy, jaką posiadał. Musiał pracować i uczyć się gorliwie. Znał wszystkich starożytnych i współczesnych filozofów, historyków, myślicieli, poetów i umiał opowiadać o ich dziełach w sposób niezmiernie barwny i żywy. Pamięć posiadał fenomenalną: po baladzie Szylera deklamował pieśni Goethego lub poezje Wiktora Hugo. Głos jego o niskiem, metalicznem i pełnem brzmieniu nadawał się do deklamacji wybornie. Słuchając go, doświadczała zawsze radośnego zdumienia, wielce pokrewnego do uczuć niezbyt uczonej matki, której syn wydaje lekcję po łacinie. Lubiła jednak nadewszystko entuzjastyczne opowiadania młodego skalda o sagach i legendach skandynawskich. Natchnione słowa jego rysowały w jej wyobraźni niebotyczne góry, wiecznym okryte śniegiem, chłodne powiewy północnego wiatru i niezmierzone okiem przestrzenie podbiegunowe. Jakżeż to wszystko niepodobne było do czezej i bezmyślnej paplalniny salonowej! Nawet głos p. Norvaisis, który ją zwykle tak zachwycał, nie posiadał pełniejszych i rzewniejszych tonów. Z uniesieniem przeistaczającym opowiadacza w bohatera, Swen mówił o rycerzach, zakutych w srebrną zbroję, z orłem piórem u hełmu, udających się na oddalone wyspy dla zdobycia siłą oręża i męstwa

zaczarowanej królewny, śpiącej wśród skał i lodowców; opowiadał dalej o ucztach zaręczynowych i weselnych, o niebezpieczeństwach i walkach mężnych synów śnieżystej Skandynawji. Dość było zająć mu w płonące oczy, gdy opiewał niebezpieczne wyprawy, radości i bóle nagrodzonej lub wzgardzonej miłości, aby nabrać pewności, że stałby się sam jednym z takich rycerzy-zdobywców, gdyby żył w owej epoce. Zuzia nie dziwiła się teraz, że dzieckiem jeszcze będąc marzył już o słuchającej skinienia jego armji, o krwawych zwycięstwach i tronach, zdobytych błyskiem oręża. A jakby mu pięknie było w złotej koronie nad dumnem, bładem czołem.

Wiele dni i miesiące spłynęło w ten sposób.

Pani Norvaisis lubiła coraz bardziej pałacyk p. Aveleyne, a pewnego razu, wiedząc, że mąż wróci do domu później, pozostała w ptaszarni sama po odejściu Swena. Kuzynka Izabela zajęta była rozmową z Zulą, nikt więc nie przerywał samotnych dumań młodej kobiety, która się przechadzała z wolna po aleji w okryciu, zarzuconem na ramiona, jak gdyby miała odejść za chwilę. Nie odchodziła jednak: coś nieokreślonego budziło się, szemrało, śpiewało w jej duszy.

Różany zmrok pogodnego dnia opadał z nieba. Ptaki i kwiaty zaczynały usypiać; w powietrzu mniej było dźwięków, więcej woni. Tajemnicze cienie przedłużały aleje, usuwały mury, rozszerzały horyzont, oszklony park robił wrażenie lasu, dźwięczącego szczebiotem, napelnionego zapachem egzotycznych roślin. Duszno tu było jednak, jak przed burzą i Zuzia się zdawało, że powietrze oddycha z taką trudnością, jak ona sama. Czując się dziwnie znużoną, zsunęła się na ławkę bambusową i siedziała nieruchomie, zapatrzona w krzew różany, którego nie widziała. Nie myślała o niczem, nie czuła ani smutku, ani wesela.

Chwilami, gdy wracała jej świadomość siebie samej, zeznawała, że podobny stan ducha był dla niej całkiem nowy.

Ależ przeciwnie; doświadczała już podobnego rozproszenia myśli, zaniku woli, zlania się z nieskończonością. Było to przed dziesięciu laty nad brzegiem morza. Ale wówczas oczekiwała z lekką nadzieją ukazania się p. Norvaisis. A dzisiaj nie spodziewała się niczyjego przybycia, nie wyglądała nikogo.

Wkrótce nawet świadomość omdlenia i rozmarzenia znikła: Zuzia pogrążyła się zupełnie w nieokreślone, słodkie marzenia.

Nagle drgnęła. Zdawało się jej, że piasek zaskrzypiał pod jej krokami. Czyżby to miał być Swen? Nie, odszedł już przed paru godzinami. A więc Izabela? Bardzo być może. Nie podniosła głowy, nie obejrzała się, czując się zbyt znużoną. Pozostała przez długą chwilę nieruchoma, wśród wzrastających wciąż ciemności; nie wiedząc nawet, że istnieje. W duszy jej stopniowo budzić się zaczął pociąg do pochylenia się w lewą stronę; zdawało się jej, że niewidzialna jakaś przepaść magnetyzje ją i wabi... Otworzyła z wysiłkiem oczy i ujrzała Swena, kłęczącego o parę kroków i wpatrującego się w nią z uwielbieniem.

Zerwała się gwałtownie z okrzykiem:

— O nie, nie kocham ciebie! Wybiegła z ogrodu.

Wracała do domu piechotą, czując potrzebę ruchu fizycznego dla uspokojenia wzburzonych nerwów. W umyśle jej zarysowała się wyraźnie jedna tylko myśl: być jak najrychlej w domu, u siebie, w bezpiecznym ukryciu.

Odprowadziła niecierpliwym ruchem ręki służące, które się rzuciły ją rozbierać. Czuła się nieco cierpiącą, nie będzie jadła dziś obiadu lub też spożyje go w swym pokoju; nie pójdzie na bal dzisiejszy do ministra sprawiedliwości. „Powiedźcie panu, gdy wróci do domu, żem pozostała na cały wieczór u p. Aveleyne, która jest cierpiąca“. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że po raz pierwszy w życiu ucieka się do fałszu. Zostawszy sama w pokoju, zamknęła drzwi na klucz i osunęła się bezwładnie na otomanke. Robiła rachunek sumienia. Dlaczego pochyliła się w stronę Swena, którego obecność przeczuwała? Dlaczego uciekła z szalonym, rozpaczliwym niemal okrzykiem: „Nie, nie kocham ciebie“. Czyżby naprawdę... Wstała i zaczęła się przechadzać gorączkowo po pokoju. Nie miała odwagi zajrzeć w głąb zmęczonej duszy. Obawiała się ujrzeć tam straszne widmo. Widziała je. Wybiegi, do których się uciekała sama przed sobą od trzech miesięcy, napelniały ją wstrętem nieprzepar- tym. Bywała codziennie u kuzynki nie po to, aby pielęgnować i zabawiać dobrą staruszkę; bywała tam nie dlatego, aby rozmawiać z towarzyszem dziecięcych zabaw, lecz, aby wsłuchiwać się z rozkoszą w barwne, płomienne opowieści pięknego dumnego młodzieńca.

Ale nie, toby było zgoła niemożliwem! Starala się zagłuszyć wyrzuty sumienia. Kochała i kochać będzie zawsze tylko Edmunda,

któremu zawdzięczała dziesięć lat niczem niezamąconego szczęścia. Któż bardziej od niego wart jej miłości.

A zresztą, gdyby nawet zobojeźniała dla niego — kochała go! ubóstwiała! — to nawet wówczas nie przestanie być uczciwą kobietą, nie sprzeniewierzy się swym obowiązkom! Nigdy nie była kokietką, nigdy żadne hołdy, oddawane jej piękności, nie wywierały na nią najłżejszego wrażenia. Pogardzała światowemi paniami, które wedle przyjętej w salonach mody, lubiły się otaczać licznem gronem wielbicieli. Nie miała nawet prawa szczyć się z tego. Cnota była właściwością jej natury, darem wrodzonym. Nie mogłaby popełnić nieuczciwości, podobnie jak nie mogłaby zmienić złośliwych swych warkoczy na czarne.

Rozumowania powyższe uspokoiły młodą kobietę. Nie miała sobie nic ważnego do wyrzucenia, na przyszłość wszakże będzie się wystrzegała wszystkiego, co by mogło w niej zachwiać wiarę w wierność dla obowiązku lub miłość dla męża.

Kochała go przecie tak gorąco, tak serdecznie! Byli ze sobą tak długo i tak bardzo szczęśliwi! Gwiazda szczęścia nie przestanie im przyświecać aż do końca życia!

Z radością człowieka, zbudzonego ze snu, w którym się widział zbrodniarzem, klaskała w dłonie wołając wesoło:

— Byłam szaloną, naprawdę szaloną!

Przedewszystkiem nie powinna była już nigdy widzieć się z hrabią Schelsea-Kalix. „Gdybym też poprosiła Izabelę, aby mu wymówiła dom swój na zawsze? Ale w takim razie musiałabym wyjawiać jej powody, dla których nie chcę się z nim spotykać... Mam inny plan, lepszy!

Zadzwoiła na służącą i kazała podać sobie przybory do pisania.

Jednem pociągnięciem pióra napisała list do Izabeli, w którym powiadamiała ją, że p. Norvaisis zmuszony jest udać się w natychmiastową podróż, w której ona towarzyszyć mu będzie. Wyjazd ich następuje tak nagle, że nie ma czasu nawet pożegnać jej. Wróć dopiero na jesień, a wówczas pospiesz się do niej z powitaniem i wyściska za wszystkie czasy. I to była cała treść listu? Przeciwnie, dopisała jeszcze kilka słówek bardzo życzliwych, bardzo przyjaznych pod adresem Swena. Trzeba być przedewszystkiem sprawiedliwą: biedak nie był zgoła winien temu, co się stało i zasługiwał na słówko

pożegnania. Po zapieczętowaniu listu Zuzia uczuła się dziwnie uspokojoną. Wszystko się układało znakomicie: p. Aveleyne nie wyjeżdżała nigdy prawie z domu, nie mogła się przeto dowiedzieć o jej obecności w Paryżu. Co do Swena, to miał on prawo myśleć, co mu się podoba i pocieszać się edukując ptaki i zawieszając na łodygach roślin kartki z łacińskimi napisami ich nazw.

— Odeslij ten list przez lokaja do p. Aveleyne — rzekła zwracając się do służącej — i powiedz, aby nie czekał na odpowiedź. Spiesz się, bo masz mi jeszcze przyszykować balową suknię, tę, wiesz, ze stanikiem z koronki brabanckiej.

Tak jest, po obiedzie pójdzie się ubrać. Dlaczegożby nie miała pojechać z mężem na ów bal do ministra, ponieważ wszystko się układa tak wybornie? Wszak niema najdrobniejszego powodu do niepokoju, a z całego tego przejścia pozostała jej tylko lekka migrena, spowodowana zbyt silnym zapachem kwiatów. Pali ją jeszcze odrobinę w skroniach, ale to przejdzie niebawem.

Nigdy jeszcze Zuzanna nie pożądała tak gorączkowo rozrywek, nie bawiła się tak wybornie, jak w następnych paru tygodniach. Bywała na wszystkich balach, wieczorach, koncertach, operach, a na twarzy jej najbystrzejsze oko nie dostrzegłoby ani cienia smutku. Miewała znowu tysiączne fantazje, jak w pierwszych czasach po ślubie, gdy zachowała jeszcze była żywość i figlarność dorastającego dziewczęcia. Umyśliła sprzedać powozy i kupić na to miejsce inne. Z wierzchowców nie czuła się również zadowoloną, a chcąc je zamienić na najpiękniejsze, jakie Paryż posiadał, spędzała z mężem długie godziny w ujeżdżalni, przyglądając się rozmaitym koniom galopującym, idącym stępą, kłusującym. Najgorliwiej jednak zajęła się radykalną zmianą w wewnętrznym urządzeniu swego pałacu. Zakupywała nowe meble, obrazy, posągi. Zwiedzała wszystkie sklepy od najbardziej znanych do przedmiejskich, w których nieraz można natrafić na oryginalne i rzadkie przedmioty.

Po odpowiednim urządzeniu pałacu pani Norvaisis wydała bal, który zaemił wszystkie inne przyjęcia bieżącego sezonu. Na świetność zabawy złożyła się obecność wszelkich znakomitości, przepych toalet i salonów. Pani Norvaisis jaśniejąca królewską pięknoscią, wyższą po nad wszelkie współzawodnictwa przyjmowała hołdy i szmery uwielbienia z pobłażliwym uśmiechem władczyni, która wie, że to się jej z prawa należy. A jednak całe ożywienie zniknęło

z jej twarzy, gdy ujrzała wchodzącego do salonu konsula szwedzkiego w towarzystwie Swena. Nie mogła się zdobyć na zwykłą, banalną odpowiedź po przedstawieniu gościa, który zjawiał się po raz pierwszy w jej salonie, ochłonęła wówczas dopiero, gdy konsul cofnął się do grupy poważnych i udekorowanych krzyżami i orderami dyplomatów, pozostawiając — jak się wyraził — pupila swego pod opieką bogini piękności i cnót wszelakich.

— Dlaczegoś przyszedł tutaj? — wyszeptała Zuzanna, starając się zapanować nad wzruszeniem, które ścisnęło jej gardło. — Mogłeś przecie domyśleć się z łatwością, że pragnę zerwać wszelkie węzły, jakie nas łączyły dotąd.

Swen milczał, ona mówiła dalej:

— Mów, czego żądasz odemnie? A śpiesz się, bo wszyscy mają zwrócony wzrok w naszą stronę.

Obawa Zuzi z trudnością dałaby się uzasadnić: cóż mogło być zwracającego uwagę w tem, że jako gospodyni domu rozmawiała z dopiero co przedstawionym gościem?

Swen patrzył w nią jak w tęczę, nie odpowiadając.

— Po coś przyszedł? powtórzyła raz jeszcze p. Norvaisis.

— Po to, aby pożegnać panię, bo wyjeżdżam jutro do Algieru i obejmuję tam dowództwo nad pułkiem wolnych strzelców.

— A, jedziesz do Algieru? Opuszczasz Paryż? Będziesz się bił? Wszystko to bardzo piękne, lecz teraz możesz już — zdaje mi się — odejść stąd.

Mówiąc mu, aby odszedł, czuła, że coś pęka, zrywa się i płacze w głębi jej piersi, usta wszakże nie przestawały się uśmiechać: pamiętała o tłumie, który był jej gościem i który ją otaczał z kor-nem uwielbieniem.

Swen nie odchodził; czuła palące jego spojrzenie na swojej twarzy.

— Przed rozstaniem się na wieki muszę pomówić z panią.

— Jest to niepodobieństwem w tej chwili.

— A jednak nie odejdę, nim nie pomówię — odparł Swen smutnym, lecz stanowczym głosem.

— A więc siadaj obok i mów spokojnie, obojętnie, nie odnosząc na mnie oczy, jak gdybyśmy rozmawiali o balu, toaletach i tancerzach.

— Dziękuję.

Wśród muzyki, gwaru i śmiechu smutny głos Swena szeptał żałosną skargę:

— Postąpiłaś pani ze mną więcej niż okrutnie. Nie domagałem się niczego, nie rozliczałem na nic. Gdyby kuzynka Izabela nie była mié wówczas przemocą prawie wprowadziła do twego salonu, nie byłbym nigdy przestąpił progów twego mieszkania, pani. Podziwiałem cię i uwielbiałem zdaleka, nie szukając sposobności spotkania się ani zbliżenia. Znajdywałem pewne ukojenie i pociechę w przebywaniu w ogrodzie, w którym bawiłaś się, będąc dzieckiem. Najdawniejsze rośliny, najstarsze ptaki przyciągały mié szczególnie ku sobie, bom wyobrażał sobie w ich otoczeniu ciebie, pani. Byłem więc człowiekiem zrozpaczonym, to prawda, ale nie uskarżającym się i doświadczającym ulgi w swem cierpieniu. I oto pomimo że nikt cię nie wołał, nie prosił, przyszłaś sama. Widywałem cię od tej chwili często, codziennie prawie. Do szczęścia przywyknąć łatwo, jakkolwiek szczęście to wyobrażałem sobie na swój sposób: wiedziałem, że serce twoje niedostępne jest żadnemu grzesznemu uczuciu, że raz danej przysięgi nie złamiesz i kochałem cię bardziej jeszcze za to, żeś taka czysta i niedostępna. Cóżby ci to szkodziło, gdybym i nadal mógł widywać cię, pani? Odeszłaś i nie wróciłaś. Początkowo uwierzyłem, żeś wyjechała z Paryża, ale dzienniki podawały wciąż sprawozdania z balów i wieczorów, na których królowałaś. oczekiwałem codziennie ukazania się twego u p. Aveleyne. Tak upłynął cały miesiąc, długi jak wieczność. Straciłem w końcu nadzieję. Postanowiłem zastosować się do twego życzenia: odjechać stąd. Zabrakło mi jednak odwagi odejść bez pożegnania, bez powiedzenia, że nie spotkamy się już nigdy na tym świecie. Teraz bywaj zdrowa. Możesz być tak spokojna, jak gdyby rozłączyła nas śmierć.

Zuzia słuchała żałosnej tej skargi obojętnie na pozor, jakkolwiek każdy wyraz ranił ją i bolał. Trzeba było coś odpowiedzieć. Chłodząc twarz przepyszny wachlarzem z piór, tłumaczyła mu spokojnie, że bywała u kuzynki Izabeli przez przyjaźń dla niego. Nie mógł przecie brać jej za złe tej przyjaźni. Cofnęła się jednak następnie z obawy, aby nie wytworzył sobie mylnego pojęcia o charakterze jej uczuć. Nie chciała wprowadzać go w błąd i dla tego wołała nie widywać się z nim wcale; teraz wszakże, gdy odjeżdża tak daleko, gdy będzie się narażał na tysiączne niebezpieczeństwa w obcym, dzikim jeszcze prawie kraju, nie miała mu za

złe, że przyszedł się z nią pożegnać; przeciwnie była mu za to wdzięczna. Może być przekonany, że towarzyszyć mu będą jej najlepsze życzenia.

Wymawiała banalne frazesy, gryząc pióra, przyozdabiające wachlarz, z sercem ściśniętem rozpaczliwym bolem, hamując łzy, cisnąc się jej do oczu.

Jeden z tancerzy zbliżył się do niej, upominając się o walca, którego mu obiecała na początku wieczora. Wstała pospieszenie i wsparta na jego ramieniu zniknęła w tłumie wirujących par.

Tańczyła z uśmiechem obojętnym na ustach, nie patrząc w stronę, gdzie siedział Swen. Nie chciała go widzieć i przymykała oczy, ile razy przesuwali się w tańcu koło kącika, w którym rozmawiała z nim przed chwilą.

Orkiestra umilkła; tancerz odprowadził ją na dawne miejsce; nie podnosząc spuszczonej powiek, zadawała sobie pytanie, czy Swen znajduje się jeszcze obok niej? Może odszedł? wszak pożegnała go życzeniem wszelkiej pomyślności i szczęścia. Ależ nie, oczekiwał zapewne jej powrotu, jest tutaj...

Pomimowoli podniosła wachlarz do twarzy i spojrzała z poza niego...

Krzeseł było niezajęte! Jaki? odszedł? Zerwała się z miejsca, powtarzając w nerwowym drganiu ust; „Odszedł! odszedł!”

I pocóż zresztą miał zostawać? Cóżby mógł jej powiedzieć jeszcze? Zrozumiał zapewne w końcu, że obecność jego była dla niej uciążliwą. Tem lepiej: może być teraz całkiem spokojną.

Przesuwała się pośpiesznie przez wytworny tłum, przesyłając na wszystkie strony uśmiechy i ukłony z wyrazem twarzy, właściwym gospodyni domu, troszczącej się o to, aby wszyscy jej goście bawili się dobrze i byli zadowoleni. Rozglądała się przytem bacznie po sali. Czyżby szukała Swena? O nie; pragnęła się tylko przekonać, że odszedł naprawdę. Zadowolona była nie spotykając go nigdzie w tej wędrownicy z salonu do salonu.

Głuchy gniew zaczynał wrzeć w jej piersi przeciwko wszystkim tym ludziom, którzy rozmawiali, śmieli się, tańczyli. Co robili tutaj ci wszyscy głupcy: młodzi, starzy, kobiety, mężczyźni postrojeni, wyelegantowani? Kto ich prosił, aby siedzieli tu tak długo?

Niektórzy z nich tłoczyli się koło bufetu, pijąc szampan i żartując; uchodzili zapewne za bardzo dowcipnych w swoim kółku.

Jakżeby się czuła zadowolona, gdyby wicher powyrywał drzwi i okna, pogasił światła i zmiotł tych wszystkich natrętów. Bo czuła, że zaczyna jej braknąć sił i że może umrzeć, prawiąc grzeczności i uśmiechając się na prawo i lewo.

A gdyby mogła nie słyszeć tych wybuchów wesołości, nie widzieć tych światel i przepychu! Wyśliźnęła się niepostrzeżenie z salonu, minęła buduar, weszła na schody, znalazła się w sypialnym swym pokoju, oświetlonym łagodnym blaskiem nocnej lampki i ukrywszy twarz w dłoniach, wybuchnęła przeciągłym spazmatycznym płaczem.

Łzy płynęły z jej oczu tem obficie, im dłużej były powstrzymywane. Łkanie, które starała się tłumić, cisnąc do ust chusteczkę batystową, rozrywały jej pierś.

Po długiej chwili otarła oczy i przestała płakać. Siedział teraz bez ruchu, patrząc przed siebie takim wzrokiem, jak gdyby nie pojmowała, gdzie się znajduje.

Nie miała już sił, ani możliwości kłamać dłużej przed sobą samą. Dlaczego czuła się tak przygnębioną i rozdartą? Dlaczego tańcząc, nie miała odwagi spojrzeć w stronę Swena? Dlaczego następnie szukała go w tłumie z nadzieją i obawą zarazem? Dlatego, że go kochała. Kochała za to, że był taki dumny, piękny, szlachetny i prawy.

Zerwała się, załamując rozpaczliwie ręce. Czuła nienawiść i pogardę ku sobie samej. Nędzna istota! Zdrajczyni o przewrotnem sercu i ustach! Nie miała prawa od tej chwili nazywać się uczciwą kobietą! Ujrawszy swe odbicie w zwierciadle, miała ochotę pluwać sobie w twarz.

Stopniowo jednak nastąpiła reakcja w jej świecie wewnętrznym. Uczuła się silną i odważną. Nie była już młodem dziewczęciem, ulegającym biernie woli losu, lecz kobietą, świadomą swych obowiązków. Wyznanie tej miłości, która się zbudziła w jej sercu nie wyjdzie nigdy z jej ust. Nie zasługiwała na pogardę, bo zwyciężyła własne, a w przyszłości będzie się starała wyrwać z niego to nieszczęsne uczucie, aby myślał nawet nie z drogi obowiązku.

Poprawiła przed lustrem ubranie, przygładziła włosy. Musi przecie wracać co rychlej do sali balowej, gdzie dostrzeżono zapewne jej nieobecność. Skierowała się ku drzwiom, lecz nie doszła

do nich. Może lepiej robi, nie ukazując się ciekawym oczom ludzkim w stanie takiego podrażnienia i wzburzenia? A zresztą zabawa dobiegała już zapewne do końca! Dźwięki muzyki cichły coraz bardziej, gwar głosów dolatywał coraz rzadziej. Pan Norvaisis zęgnął prawdopodobnie ostatnich, odjeżdżających gości.

Czuła płomienie w mózgu, pulsa bily jej silnie w skroniach. Przysunęła fotel do okna, podniosła firankę, otworzyła je na oścież i usiadłszy w pół leżącej postawie, oddychała z rozkoszą świeżem powietrzem.

Niebo srebrzące się zlekka na wschodzie zapowiadało rychłe świtanie. Cisza tem głębsza, im prędzej się miała skończyć, wpływała uspakajająco na Zuzię.

Kto wie, może i w jej duszy, podobnie jak na niebie, zająśnieje jutrzeńka nowego dnia i rozproszy ciemności? Zaczynała ludzić się nadzieją, że się omyliła co do uczuć swych dla Swena, może też miała dlań tylko litość? Wydawał się tak smutnym, tak przygnębionym, odchodził z tak gorzkim żalem w sercu. Nie mogła być winną naprawdę, bo nie czuła w tej chwili żadnych wyrzutów. Była chyba szaloną przypuszczając, że kochać może kogo innego prócz męża. Wywoływała wspomnienia najdroższych, najszcześliwszych chwil, aby się niemi osłonić, jak puklerzem. Edmund przyjdzie tu do niej za chwilę, a sama obecność jego wystarczy, aby rozproszyc przygnębiające ją troski.

Gorące usta czyjeś dotknęły jej ramienia. Zerwała się z okrzykiem przerażenia.

— Co ci jest Zuziu? — pytał pan Norvaisis. — Czyś odeszła do siebie dlatego, żeś była zmęczona? Czego się obawiasz, najdroższa? wszak jestem przy tobie.

Drżała rzeczywiście z obawy, tuląc się do ściany. Twarz Edmunda pobiadła od zmęczenia, wydała się jej obcą, jakąś nieznaną, w szarem świetle świtającego dnia.

— O, nie zbliżaj się do mnie, nie zbliżaj, proszę cię!

On jednak podszedł do niej szybko zaniepokojony niezwykłym tem zachowaniem się i próbował wiaść ją za rękę.

— Odejdź ztąd, odejdź! — wołała wrywając rękę.

— Zuziu!

— Mówię ci, daj mi spokój!

Próbował ująć jej drugą rękę, zajrzeć w oczy, lecz ona się szarpnęła silniej, ciskając mu w twarz obelgę:

— Odejdź ztąd trucieliu!

Puścił jej ręce i cofnął się.

Wymówione słowo zdawało się przecinać serdeczny, łączący ich dotąd węzeł; spoglądali na siebie w milczeniu.

Trucieliu!

Usta Zuzi wymówiły okropne, dotąd niesłyszane przez Edmunda słowa. Stali zdala od siebie, ona w koronkowej sukni, przybranej bławatkami, on we fraku z orderem na piersiach. Po długiej chwili milczenia dopiero, Edmund załamał ręce, wołając:

— O Zuziu! dlaczegoś wymówiła ten okropny wyraz? Dlaczego przyszła ci ta myśl właśnie dziś wieczorem? Cóżem zrobił, aby się stać niegodnym twej miłości po dziesięciu latach szczęścia, aby utracić prawo do twego przebaczenia? Cofnij, błagam cię, cofnij to, coś powiedziała! albo nie cofaj, lecz zapomnij. Przypuśćmy, żeś była chora, żeś miała gorączkę... okrzyk jakiś wyrwał ci się z piersi pod wpływem halucynacji, ale już nie pamiętasz, co to było, a ja nie słyszałem go wcale! Nic nie zmieniło wzajemnych uczuć naszych dla siebie i nieprawdą jest, żeś się cofnęła odemnie ze wstrętem!

Ona czuła, że wszystko już skończone między nimi na zawsze. Jak mogła nie zauważyć dawniej, że z tych czarnych, płonących ocz wyglądało wspomnienie popełnionej zbrodni! Jak mogła zapomnieć, że uśmiech jego, był zawsze uśmiechem mordercy?

Przytuliła się do ściany ruchem takiej śmiertelnej trwogi, że Edmund zazgrzytał zębami w bezsilnej wściekłości i pochylony ku cudownie pięknej kobiecie w balowym stroju, z obnażonymi ramionami, syczał raczej niż mówił:

— Ha, oddałaś serce swoje komu innemu... czuję to, jestem tego pewny!.. Powiedz mi, kim jest ten człowiek? musisz mi to powiedzieć! wszak jestem twoim panem, należysz do mnie... do mnie jednego. Zdobyłem cię sobie za cenę zbyt wysoką, abym mógł wyrzec się kiedykolwiek!..

— Jeżeli zbliżysz się o jeden choćby krok jeszcze, zawołam o pomoc!

— Wołaj! krzycz!

— ...I powiem tym, co nadbiegną, żeś otrul Klarę de Brezolles!

— Nieszczęsna!

Spuścił głowę na piersi nie pod wpływem groźby, lecz pod piorunem niewymownej wzdargi, która strzeliła z jej oczu.

Teraz z kolei ona zbliżała się ku niemu z potarganym włosiem, drżącymi ustami i wskazując drzwi rozkazującym gięstem, mówiła dobitnie i wolno, akcentując każdy wyraz.

— Precz ztąd! otrułeś swoją żonę, wlewałeś kropla po kropli truciznę do filiżanki! Powtarzam ci raz jeszcze: idź stąd! Od tej chwili nie możemy mieć nic wspólnego ze sobą. Żoną twoją jest tylko ta, którąś zamordował. Idź do niej, do jej opuszczonego i zapomnianego grobu.

Edmund cofał się przed kobietą, która zdawała się wyrastać i przeistaczać w anioła mściciela, w cofaniu się tem napotkał drzwi, które się otworzyły pod naciskiem jego ciała, a gdy znalazł się za progiem, Zuzanna zatrzasnęła drzwi, wołając raz jeszcze: „idź precz, trucicielu!” obróciła klucz w zamku i — wyczerpana podwójną walką, upadła na podłogę z głuchym łkaniem.

Po chwili otarła oczy, uspokoiła się. Zerwała z mężem nie z powodu Swena, którego nie zobaczy już nigdy w życiu, lecz dlatego, że zbudziło się w niej uspione oddawna sumienie. Odżyła władzę nad sobą samą i ze wstrętem odeszła od splamionego ciężką winą człowieka. Dawniej, gdy była jeszcze dzieckiem prawie mogła uleść wspomnieniom pierwszej miłości, przebaczyć człowiekowi, który z rozpaczyny nad jej utratą chciał sobie życie odebrać; ale dziś umiała jasno patrzeć na rzeczy, umiała chcieć i chęci swe w czyn zamieniać, a najżywszem jej pragnieniem było nie mieć nic wspólnego z Edmundem. Nie umiała w żaden sposób pojąć, jak znosiła obecność jego w ciągu tylu lat, jak mogła być towarzyszką życia zbrodniarza. Rzucił chyba urok jakiś na jej duszę, lecz czar tego uroku prysnął na koniec i utracił władzę nad nią. Przyznawała, że prawość, szlachetność, uczciwość Swena wpłynęła na otwarcie jej oczu, na zbudzenie w niej poczucia obowiązku. Jaki? niewinna, kochająca i dobra kobieta padła ofiarą piekielnej zbrodni, a ona solidaryzowała się poniekąd z tą zbrodnią, ukrywając ją przed światem!...

Zdawała sobie teraz jasno sprawę, że powinna było nie tylko odjechać na zawsze od męża, ale zrobić coś więcej: wydać go w ręce sprawiedliwości. Hańba, którąby się okryła w oczach świata, jako żona występnego człowieka, byłaby stokroć lżejszą do zniesienia, niż pogardliwe wyrzuty, jakie czyniła teraz sobie samej za małoduszne zapomnienie obowiązku.

Szeregi myśli, przypuszczeń, przerażających obrazów przesunęły się z taką szybkością przez zmęczoną jej głowę, że czuła brak tchu w piersiach, zamęt w mózgu. Podniosła się, pragnąc odetchnąć świeżem powietrzem przy otwartym oknie, ale siły ją zawiodły w połowie drogi: wyciągnęła obie ręce, szukając punktu oparcia i nie znalazłszy go, usunęła się na kanapę w omdleniu, które przeszło w ołowiany sen.

Sen nie zawsze bywa wypoczynkiem. Zakłócają go często straszne marzenia.

Zuzanna śniła, że stąpa ostrożnie skradając się pod ciemnym sklepieniem kurytarza. Nie wiedziała na razie dokąd zdąży i w jakim celu, lecz uczuwszy, że prawa jej ręka ścisła kurczowo flakonik, zrozumiała wszystko... Zatrzymywała oddech w piersiach, posuwała się naprzód bez szelestu jak cień, aby Małgorzata śpiąca na górze nie usłyszała i nie nadbiegła. Drzwi otworzyły się przed nią same, a po chwili znalazła się w pokoju podobnym do kaplicy, w pokoju Klary de Brezolles. Przysunąwszy się do łóżka, ujrzała śpiącego na niem Edmunda. Oczy miał zamknięte, pierś jego podnosiła się równym, spokojnym oddechem: nie słyszał jej wejścia. Na stoliku obok łóżka stała filiżanka z napojem. Zuzanna otworzyła flakonik i zaczęła wlewać zielonawą jego zawartość kropla po kropli do tego napoju... Szelest dał się słyszeć za drzwiami. To zapewne Małgorzata... Wierna służąca widziała zapewne całą manipulację z kroplami i nie omieszka ogłosić zbrodni całemu światu... Zuzanna cisnęła flakonik i rzuciła się ku drzwiom, lecz w progu stała Małgorzata z wyszczerzonymi szkaradnie zębami, wyciągając ku niej długie i wychudłe jak u szkieletu ramiona... Zuzanna krzyknęła i rozbudziła się.

Światło słoneczne wlewało się szeroką strugą przez otwarte okno, w wykwiśniętym urządzeniu pokoju nic się nie zmieniło zgoła, tylko ona czuła się inną niż wczoraj istotą.

IV.

Mieszkali jeszcze pod wspólnym dachem, lecz nie rozmawiali ze sobą i spotykali się tylko przy gościach w salonie. Zuzanna zdawała się nie spozostęgać rozpaczy i przygnębienia człowieka, tak gorąco niegdyś kochanego, a marimurowo obojętny wyraz jej twarzy zamykał mu usta ilekroć ciał błagać ją o przebaczenie winy. Obojętność ta wszakże była tylko pozorną: w głębi duszy wrzał głuchy bunt na znienawidzone więzy. Bunt ów doprowadził ją do postanowienia częściowego przynajmniej odzyskania wolności. Posiadała w Pikardji zamek, odziedziczony po ojcu. Samotne i dzikie to ustronie, którego niejasne wspomnienie zachowała z dziecięcych lat, wydało się najodpowiedniejszym schronieniem w chwili rozbicia życiowego. Napisała przeto do rządcy, aby przygotował wszystko na jej przybycie, a sama zaczęła się natychmiast sposobie do podróży. Nie wtajemniczyła męża w swoje plany, powziawszy zamiar napisania doń już z miejsca pobytu z oznajmieniem, że nie wróci już nigdy do Paryża i nigdy nie zamieszka z nim pod jednym dachem.

Myśl o samotności, jaka ją czekała w głuchym, oddalonym od świata zakątku, nie przerażała Zuzanny: czuła się przeciwnie zupełnie spokojną i pogodzoną z losem, jak człowiek, który postanawia położyć koniec samobójstwem wszelkim męczarniom i walkom wewnętrznym i wie, że się nie cofnie.

Przed zerwaniem wszakże na zawsze z przeszłością, chciała zobaczyć raz jeszcze kuzynkę Izabelę, pożegnać i uściśnąć tę dobrą staruszkę.

Wysiadając z powozu przed pałacem p. Aveleyne, zobaczyła w oknie karetki, która jechała od dłuższego czasu za jej powozem, nieznajomą sobie twarz człowieka, zdającego się bacznie ją śledzić; twarz ta cofnęła się natychmiast w głąb powozu, jak tylko zauważyła, że została spostrzeżoną. Zuzanna ścisnęła pogardliwie ramionami. Niejednokrotnie przekonywała się, że pan Norvaisis wysyłał za nią aniołów stróżów. Ale cóż ją to mogło obchodzić? Było to zresztą całkiem naturalne: kto może zabijać, ten ma prawo podlić się szpiegowstwem.

Nie oglądając się, weszła spokojnie na podwórze i zawahała się dopiero wówczas, gdy stanęła przed oszklonemi drzwiami pa-

szarni. Obawiała się niemal znaleźć się wśród otoczenia, z którem wiązało się dla niej tyle wspomnień bolesnych i radosnych razem. Bawiła się tutaj będąc małą dziewczynką, marzyła — młodą dziewczicą, tutaj się schroniła, gdy pierwszy piorun uderzył w wierzące jej serce, tutaj słuchała dźwięcznego głosu Swena, deklamującego bohaterskie poematy, patrzyła w piękne, niewinne jego oczy... Ale po co te wszystkie wspomnienia? Alboż dla niej nie było wszystko skończone? Nie chciała żadnych wspomnień i nie miała do nich prawa. Otworzyła drzwi i przebiegła szybko oranżerję, plosząc po drodze ptaki, które się przed nią kryły w różane krzaki i pod podłużne, lśniące liście wanilli. W przedpokoju zastała dwie stare służące z zapłakanemi oczyma.

— Co się stało? — spytała z żywością — dlaczego macie oczy zaczerwienione od płaczu?

— O Boże! jakie to szczęście, że pani już wróciła! — zawoła jedna ze służących, podnosząc ręce ku niebu. Czy pani już wie?... Nie mogłyśmy uprzedzić cię wcześniej, bo nie wiedziałyśmy w jakich krajach podróżujesz... Panna Aveleyne mówiła, że wrócicie państwo dopiero na jesieni... A zresztą do wczorajszego dnia nie groziło jeszcze żadne niebezpieczeństwo, lecz dzisiaj w nocy... O Jezu, biedna nasza pani!...

Najbardziej zboleła nawet serce nie traci wrażliwości na cierpienia, a więc i serce Zuzi zabiło nową trwogą.

— Czyżby kuzynka Izabela zasłała nagle? — spytała nieśmiało.

— O pani, nie ma już dla niej ratunku... doktor odszedł zapowiadając, że już nie wróci, bo do wieczora wszystko będzie skończone...

Zuzia nie słuchała dłużej... Gdy wbiegła do pokoju chorej, zmrok panujący tam wskutek zapuszczonych ciężkich firanek u okien, nie pozwolił jej nic rozróżnić na razie. Po dłuższej chwili dopiero, oswoiwszy się z ciemnością, spostrzegła drobną, pomarszczoną twarz kuzynki, odbijającą woskową żółtością od bieli koronek i batystów. Piers chorej wznosiła się nierównym oddechem, głuche rżerzenie wyrывało się z nawpół otwartych ust. Zuzia upadła na kolana przy łóżku konającej, a tuląc blade jej ręce do ust, szeptała: „O nie umieraj, najdroższa! nie zostawiaj mnie samej na świecie! przemów do mnie, powiedz, że mię słyszysz. Panna Aveleyne nie

nie odpowiedziała, okrągłe jej oczka patrzyły przed siebie bez wyrazu, jak szklane oczy wypchanych ptaków.

Ciszę, panującą w pokoju, przerwał wesoły, wrzaskliwy głos ulubionej papugi Zuzi, która skacząc po poręczach od łóżka przemawiała w rozmaitych językach. Zuzanna chciała nakazać jej milczenie, lecz panna Aveleyne wstrząsnęła przecząco głową; w oczach jej, zwróconych w stronę ptaka, błysnęły iskierki świadomości; uniosła nieco głowę, aby lepiej widzieć faworytkę, po chwili jednak opadła zmęczona na poduszki. Wzrok chorej zatrzymał się z kolei na Zuzi, poznała ją teraz i wyszeptwała ze smutnym uśmiechem: „Przyszłaś... to dobrze... pocałuj mnie... widzisz... umieram... Okno... okno!...”

Zuzia zrozumiała ostatnie jej życzenie i pośpieszyła otworzyć okno na oścież. Światło słoneczne wlało się szeroką strugą do mrocznego przed chwilą pokoju, przynosząc ze sobą zapachy kwiatów i radośny świergot ptasząt.

Panna Aveleyne wpatrywała się i wsłuchiwała z zachwytem w blaski, barwy i wonie, które tak umilały jej życie. Podniosła w końcu z wysiłkiem drobną, wyschlą rączkę i wyciągając ją w kierunku klatki Zuli, szeptała:

Daj, daj...

Zuzia przysunęła klatkę, a chora dobywając reszty sił, wyjęła z niej kawałki sucharka, pokruszyła je w omdlewających palcach w stronę okna. W jednej chwili wszystkie ptaki różowe, szare, zielone, złociste, białe i różnobarwne zleciały się do pokoju i trzepocząc skrzydełkami wyrywały sobie wzajemnie okruchy z dzióbków, krzycząc i klócąc się. Śmielsze i łakomsze chwytali pożywienie z rąk chorej, muskając ją zlekka skrzydełkami, deptając drobne jej ciało wysmukłymi nóżkami, targając dzióbkami siwe loki, okrywając lśniącym, barwnym, ruchomym całunem całe łóżko.

Zuzia nie odpędzała skrzydlatych natrętów, bo w gasnącym wzroku Izabeli błyskał zachwyt, a usta szeptały:

— Śliczne, śliczne!... ptaszęta... drobne ptaszęta... śliczne! Za chwilę waju... aniołki nie będą... piękniejsze...

Nagle wyprężyła się cała, wyciągnięte naprzód ręce zdawały się chwytać powietrze, usta wykrzywiły się konwulsją konania. Zuzia stała przy łóżku, bez ruchu i głosu, drżąca i bezradna.

Strwożone ptaki rozproszyły się w pierwszej chwili po pokoju, ale gdy Izabela opadła na poduszki martwa, blada i uśmiechnięta, wróciły uspokojone, uwijając się nad ciałem swej karmicielki, otaczając ją śpiewną pieśczęcią, okrywając lekkimi skrzydełkami. Zuzia płakała z sercem ściśniętym niewymownym bólem.

Po upływie długiej chwili dopiero pochyliła się nad zmarłą ostrożnie, tak ostrożnie, że tylko dwie płochliwe sikory odleciały, i przymknęła jej powieki. Nie odchodziła jednak, chcąc popatrzeć na zmarłą dłużej po raz ostatni. Kilkakrotnie musiała przytem odganiać Zulę, która chciała koniecznie podnosić powieki swojej pani dziobem jak to zwykła była czynić, budząc ją z rana.

Pozbierawszy wszystkie okruchy, ptaki uleciały, wracając do swych gniazdek; Zuzanna zamknęła okno, spuściła firankę i usiadła przy łóżku.

Wpatrywała się w oblicze zmarłej, której drobnym rysom nawet śmierć nie potrafiła nadać wyrazu powagi, i nie ubolewała nad jej zgonem, gdyż chętnie byłaby się z nią zamieniła na los. Zastanawiała się natomiast nad dawno ubiegłą przeszłością, przypominając lata, spędzone w tym małym raju, w którym była wszechwładną królową dzięki tej dobrej wróżce.

Zmrok już zapadał, gdy się zbudziła z głębokiej tej zadumy.

Czas było zadzwonić na służbę, kazać umyć i ubrać trupa, pozapalać gromnice dokoła katafalku. Zuzanna zbliżyła się do kominka, zarzuconego rozmaitego rodzaju drobiazgami. Przez chwilę nie mogła dojrzeć taśmy od dzwonka, natomiast wzrok jej zatrzymał się z dziwną uporczywością na kopercie, leżącej na stosie różnobarwnych wstążek.

Dlaczego zwróciła uwagę w tak ważnej chwili na nic nie znaczący świstek papieru? Nie umiałaby na to odpowiedzieć.

Pochyliła się, przypatrując się baczniej kopercie. Nawpół zatarłe litery pocztowego stempla mignęły przed załzawionymi jej oczyma... List od Swena! Tak jest, od niego.

Biedne dziecko! domyśliła się, że nie ośmielił się pisać wprost do niej ale zapewne treść tego listu mówiła o niej, wyłącznie o niej jednej... Ogarnęła ją nieprzeparta chęć odczytania tego, co pisał ten dobry, serdeczny przyjaciel. Wzięła papier do ręki, nie śmiała jednak rozwinać go w obecności ciepłego jeszcze trupa. Zwróciła się w stro-

nę Izabeli ze złożonymi rękami, jakby błagając ją o przebaczenie. Łagodny uśmiech zmarłej zdawał się mówić: „Czytaj... nie będę ci miała tego za złe...”.

Zuzanna zbliżyła się do okna i zaczęła czytać z bijącym sercem.

Nie, list nie pochodził od Swena. Swen nie byłby tytułował ceremonjalnie kuzynki Izabeli „Wielmożną panią”. Zuzanna spojrzała na podpis. Nieczytelnie skreślone nazwisko niepodobne było do nazwiska hrabiego Schelsea-Kalix.

Niepokój ogarnął młodą kobietę; nie miała odwagi do rozpoczęcia czytania. Panna Aveleyne nie miała żadnych stosunków w Algierze, skądżeby ktoś inny a nie Swen pisał do niej z tej odległej krainy? Przeczucie nowego nieszczęścia ścisnęło jej sercem; teraz pragnęła odczytać jak najspieszniej list, dowiedzieć się prawdy.

Piszący źle władał francuskim językiem. Zuzanna z trudnością wysylabizowała następujące wyrazy: „Z ciężkim smutkiem... hrabia Schelsea-Kalix polecił mi w chwili...” dalej następował wyraz, którego przeczytać nie mogła, a którego znaczenia bała się zgadywać... Krople zimnego potu zrosiły jej skronie! Opuściła parę wierszy i czytała dalej: „Spełnił obowiązek swój, jak prawdziwy bohater... na czele dwunastu tylko ochotników walczył z całym oddziałem... odniesiono go do obozu zemdlonego...” Papier dygotał w ręku Zuzanny, która czytała dalej: „Dał mi adres pani i kazał przysiądz, że powiadomię ją...” Ależ, w takim razie... Zuzanna wróciła do pierwszego wiersza listu i teraz przeczytała ów zagadkowy wyraz: „polecił mi w chwili zgonu...” Swen! Umarł! Z piersi czytającej wyrwał się okrzyk tak dzikiej rozpacz, że służące usłyszały go na dole, wbiegły do pokoju i skamieniały w niemej zgrozie na widok zmarłej z uśmiechem na ustach Izabeli i Zuzanny rozciągniętej bez czucia i ruchu na podłodze, z twarzą bledszą od śniegu.

V.

Krótki dzień listopadowy ustępował miejsca szybko zbliżającym się cieniom wieczoru. Szare, ołowiane chmury pełzły nisko ponad słomianymi strzechami wiejskich chałup. Na drodze prowadzącej przez wieś, nie widać było ani żywej duszy, tylko od czasu do czasu uchylały się drzwi jednej z chat, a na progu ukazywała się postać

przygarbionej staruszki, która popatrzawszy przez chwilę w posępne zachmurzone niebo, wstrząsała smutnie głową i cofała się mrucząc: „Będzie śnieg padał tej nocy”. Martwą ciszę jesienno-wieczorną przerywało krakanie wron i kruków, odlatujących do lasu na nocleg.

O kilkadziesiąt kroków od ostatnich zabudowań wiejskich wznosił się na tle lasu trzypiętrowy murowany dom z oknami, opatrzonymi w kraty. Olbrzymia facjata, przypominająca klasztor, budzi myśl o wiecznym odcięciu od reszty świata. Dom miał pozór opuszczonej przez mieszkańców siedziby. Nad facjatą na granitowej tarczy występował wypukłe hełm z roztrzaskaną przyłbicą.

Od strony dworca kolejowego toczyła się wolno, podskakując po grudzie karetka pocztowa. Karetka stanęła przed zaryglowanymi drzwiami milczącego domu. Kobieta owinięta w ciemne futro, wysiadła z powozu i zwracając się do pocztyliona, spytała:

— Będziecie mogli poczekać na mnie tutaj i odwieźć mię z powrotem?

Będzie to zależało od tego, jak długo mam czekać.

— Godzinę lub dwie.

— W takim razie nie mogę, bo muszę być na kolej, gdy przyjdzie pociąg z Verdun.

— A czy znajdę we wsi inny wózek.

— Listonosz Nikodem, który jest zarazem oberżystą, trzyma konia i bryczkę.

— Dziękuję.

Karetka oddaliła się, podskakując po nierównej drodze, a podróżna skierowała się ku zamkniętym drzwiom, ujęła oburącz rączkę od dzwonka i pociągnęła nią silnie. Głuche milczenie było jedyną odpowiedzią; wewnątrz domu nic się nie poruszyło.

Listonosz Nikodem wracający do oberży z torbą przewieszoną przez ramię, przystanął, przypatrując się ciekawie podróżnej, której nie znał i która musiała przybywać zdaleka.

— Panie — zagadnęła go nieznajoma — czy stara kobieta, która mieszkała dawniej w tym domu, żyje jeszcze, czy może już umarła?

Ostatni wyraz wymówiła drżącym głosem.

— Zapytujesz pani o Małgorzatę?

— Tak jest, o nią.

— Bądź pani spokojna; takie stare baby jak ona, przeżyć potrafią nawet samego djabła.

— A więc nie mieszka już tutaj?

Podróżna wskazywała na szary dom.

— Owszem, lecz zwarjowała do reszty. Ludzie uciekają przed nią, jak przed upiorem, taka się zrobiła chuda i straszna.

Podróżna podziękowała skinieniem głowy za objaśnienia i zadzwoniła powtórnie.

— Małgorzata nie bywa nigdy w domu o tej porze, napróżno-
byś więc pani dzwoniła — tłumaczył Nikodem. Od pewnego czasu wychodzi o zmroku i wraca dopiero późno w nocy.

— Czy chodzi gdzieś w odwiedziny do znajomych?

— Gdzieżby tam! Przesiaduje na cmentarzu, położonym z samej strony wzgórza. Jest to stary, dziś już opuszczony cmentarz, na którym pogrzebano przed dziesięciu laty młodą panią, żonę...

— Wiem, wiem! — przerwała pośpiesznie podróżna.

— Otóż widziałem onegdaj wieczorem Małgorzatę klęczącą na grobie pani Norvaisis.

Podróżna drgnęła i cofnęła się o krok.

— Sądziłem z początku, że się modli — opowiadał dalej Nikodem — ale przyjrawszy się uważniej, dostrzegłem, że obejmuje ramionami wielki czarny krzyż i stara się go wyrwać z ziemi. Przy pierwszej sposobności uprzedzę o tem żandarmerję, gdyż prawo wzbrania znieważania grobów.

— A więc Małgorzata znajduje się w obecnej chwili na cmentarzu?

— Najniezawodniej.

— I wróci?

— Za godzinę lub dwie. Znam jej zwyczaje. Wracać będzie tą oto drogą od lasu.

— Dziękuję. Zaczekam na nią, bo mam do niej ważny interes

Nikodem nie okazywał najmniejszej ochoty do odejścia. Zacieka-
wiła go widocznie ta podróżna tak wytwornie ubrana i przybywająca z tak daleka dla rozmówienia się z warjatką.

— Uważam za swój obowiązek przestrzedz panią — zaczął spokojnie, że za chwilę będzie śnieg padał, a śnieg u nas wygląda inaczej niż w mieście. Możeby więc pani zechciała poczekać w mo-

jej oberży na Małgorzatę; droga, którą będzie wracała widoczną jest z okna gościnnego pokoju.

— I owszem — odparła podróżna — prowadź mię pan.

A sama do siebie szepnęła półgłosem.

— Tem lepiej; nie będę potrzebowała wstępować do domu, rozmówię się z nią w drodze.

Nikodem, wprowadziwszy tak niezwykle gościa do najpa-
radniejszego swego pokoju, okazywał widoczną chętkę do dłuższej gawędy, lecz podróżna pożegnała go z odcieniem niecierpliwości w głosie, mówiąc, że zawoła, jak będzie czego potrzebowała.

Nikodem odszedł nieco markotny.

Podróżna, zostawszy samą, przysunęła fotel do okna, usiadła na nim i utkwiała wzrok w stronę, z której miała wracać Małgorzata. Okolica nie była jej obcą, była tu już kiedyś w bolesnej, przełomowej chwili życia. Starła się jednak nie poddawać wspomnieniom, które mogły działać osłabiająco na jej wolę. Przybyła tu dla spełnienia obowiązku i nic nie zdoła odwieść ją od powziętego zamiaru.

Śmierć Izabeli, wiadomość o walecznym zgonie Swena pogrążyły jej duszę w grubsze jeszcze niż dotychczas ciemności, ale jednocześnie zbudziły w niej przekonanie, że powinna się zemścić nad mordercą Klary de Brezolles.

W obłądnie rozpacz uważała śmierć ukochanych przez siebie istot jako karę niebios za utajenie przed światem szkaradnej zbrodni. Ale teraz potrafi zmazać dawną winę, potrafi uczynić zadość wymogom sprawiedliwości, jakkolwiek sama nie odniesie stąd już żadnej korzyści. Tem lepiej: działanie bezinteresowne nadaje czynom naszym charakter niezaprzeczonej szlachetności, a Zuzanna gotowaby była przysiąc, że śmierć Swena nie wpływała zgoła na jej postanowienia, a tylko otworzyła jej oczy na konieczność ukarania mordercy Klary.

Młoda kobieta pogrążona w dumaniach nie zauważyła, że noc zbliżała się szybko, a z szarych ehmur zaczął sypać gęsty śnieg.

Tak, wyda człowieka, którego kochała kiedyś tak bardzo, w ręce sprawiedliwości, potrzebowała jednak wpierw zgromadzić dowody, znaleźć świadków. Świadkiem jedynym, wiedzącym o najdrobniejszych szczegółach, była Małgorzata. Oto dlaczego przyjechała do domu swego męża, w którym mieszkała stara warjatka. Miała nadzieję, że potrafi rozniecić miłość z jednej — nienawiść z drugiej

strony i zmusić ją do mówienia, zresztą stara musiała przechować jako pamiątkę filiżankę przesiąkniętą trucizną! Zuzanna nie miała już nic wspólnego z lekliwą i nieśmiałą dziewczką, jaką była przed laty, dziś czuła się pewną siebie, odważną, nieugiętą i nie obawiała się wcale Małgorzaty.

Śnieg przestał padać. Z za chmur wychylił się księżyc, oświetlając górski krajobraz, pokryty grubym białym całunem. Zuzanna drgnęła; na drodze, wiodącej z lasu, ukazała się postać niezwykle wysokiej i chudej kobiety. Od pierwszego rzutu oka poznała w niej Małgorzatę, trzymającą oburącz wielki czarny krzyż. Ramiona krzyża zarysowywały się na śnieżnej bieli tła żałobnie i ponuro.

Zuzanna drżała jak listek, wpatrując się w dziwaczną istotę, podobną raczej do widma niż do żywej kobiety. Może źle zrobiła przyjeżdżając tutaj? może lepiejby było cofnąć się, wrócić póki czas jeszcze?

VI.

Małgorzata pozostawiła krzyż w sieniach, wzięła lampę z kuchni i skierowała się do pokoju Klary, przypominającego urządzeniem swem kaplicę.

Niszczący zab czasu i tu pozostawił swe ślady: wstążki pobladły, obrazki się zakurzyły; karminowe usta ubóstwianej lalki straciły dawną barwę, emalia starła się z oczu, które wyglądały wskutek tego przygasłe i mętne, jak oczy umarłego; był to już tylko trup lalki.

Małgorzata podniosła figurkę z łóżka z taką ostrożnością, z jaką matka wyjmuje z kolebki chore dziecko, przytuliła ją do piersi i wyniosła do parku usłanego śniegiem, oświetlonego księżycowym blaskiem.

W cieniu czarnych, smutnych świerków czyjaś ręka wykopała podłużną jamę. Małgorzata uknęła na brzegu jamy i złożyła miłotnie na jej dnie lalkę.

— Żegnaj, żegnaj, najdroższe dziecko — szeptała drżącymi ustami. Będziesz tu spała na wieki tak, jakieś pragnęła, bom musiała w końcu zrozumieć, że ci się sprzykrzyło leżeć tam w kaplicy pomimo kadzideł i relikwii. Dlatego też usteczka twoje i policzki bladły z każdym dniem bardziej. Przez długi czas sądziłam, że

żyjesz jeszcze, ale w końcu przekonałam się, żeś umarła i że chcesz spocząć w grobie, jak wszyscy umarli. O jakże ci będzie dobrze tutaj, a jak spokojnie, jak cicho, jak w gniazdku! Zasypię drogie twe ciało miękką ziemią. Pragnęłabym wznieść nad tobą wspinały jakiegoś pomnik; byłoby ci przyjemnie, gdyby posąg klęczał lub leżał na twoim grobie, ale nie stać mi na to pieniędzy, bo jestem bardzo uboga. Z wiosną zato przyniosę ci wiele najpiękniejszych kwiatów a płaszki będą nuciły nad tobą słodkie kołysanki. Gdyby ci było czego potrzeba, zawołaj na mnie, choćby po cichutku, usłyszę natychmiast, bo będę zawsze w pobliżu, aby strzedz grobu twego aż do chwili, gdy się zmienisz w aniołka i ulecisz do nieba. Wiem, żeś dobra i że mnie zabierzesz wówczas ze sobą. A teraz śpij, śpij cicho, spokojnie, jak w gniazdku!

Umilkła, pochyliła się nad lalką, pocałowała ją w czoło i zaczęła zasypywać ziemią ostrożnie, powoli, aby nie uszkodzić drobnego ciała. Usypawszy spory wzgórek między świerkami, przyniosła krzyżyk, zatknęła go w przygotowany już pierwszej otwór, udeptała dokoła ziemię i uknęła się modlić.

Lekki szmer zbliżających się kroków zwrócił jej uwagę. Podniosła głowę i ujrzała zbliżającą się kobietę, owiniętą w futro. Obecność podróżnej o tej porze w samotnym parku nie zdziwiła jej wcale; zerwała się z klęczek i pośpieszyła z uprzejmem powitaniem:

— Dowiedziałas się pani zapewne, że to dzisiaj jej pogrzeb i przybyłaś ją pożegnać, nieprawdaż? Bardzo to pięknie z twojej strony. Byłaś zapewne jej przyjaciółką, a może koleżanką na pensji panny Arnoldson i musiałaś ją kochać bardzo... Wszyscy kochali moją Klarę, prócz jednego człowieka...

Zuzanna podniosła w tej chwili głowę... Światło księżycowe padło na jej twarz... Stara warjatka rzuciła się ku niej z dzikim okrzykiem i pierwszej nim Zuzanna mogła pomyśleć o obronie, obaliła ją na ziemię, przygniotła piersi kolanem i zaczęła napychać śniegiem usta nieszczęśliwej.

— Ha, pocios wróciła! mruczała z głuchą wściekłością — Mówiłam ci, że cię zamorduję, jak wrócisz... Teraz ona cię już nie uratuje.

Nagle myśl jakaś błysnęła w nieprzytomnych oczach starej.
— Pomnik! piękny biały pomnik dla mojej małej.

Pani Norvaisis chciała wołać ratunku, ale Małgorzata zapychała jej ciągle usta śniegiem i ziemią, ścisnęła za gardło i zrywała z niej ubranie. Rozebrawszy niemal do naga złożyła zdrewniałą i zziębniętą na świeżo usypanej mogile i skrepowała pasami z ubrania ręce i nogi nieszczęśliwej. Zuzanna nie mogła się poruszyć, nie mogła powiedzieć słowa, mając usta zatkane ziemią, a nad nią, podobna do straszliwej nemezys losu, stała trjumfująca Małgorzata, przyglądając się z upodobaniem jak gęsto padające płatki śniegu oblepiały stopniowo klasyczne kształty młodej kobiety, zmieniając ją naprawdę w białą posąg.

We dwa dni później p. Norvaisis powiadomiony przez jednego z agentów, którym kazał śledzić Zuzannę, o wyjeździe jej do Aubreville, przybywał w ślad za nią zaniepokojony tą tajemniczą wycieczką. Małgorzata przyjęła go z uprzejmością wielką. „Przyjeżdżasz pan dla obejrzenia grobu? Jest to rzeczywiście najciekawsza rzecz w całej okolicy. Pokazuję go chętnie turystom. W grobie spoczywa jedna pani Norvaisis, a nad grobem druga pani Norvaisis. Chodź zaprowadzę cię do tej osobliwości*. Nieprzytomny, z sercem ściśniętem okropnem jakimś przeczuciem poszedł za nią machinalnie i stanął skamieniały na widok zmarzniętego trupa Zuzanny, patrzącego nań szklanemi oczami...

Małgorzata nie zwracała na niego uwagi, może zapomniała nawet o jego obecności: mruczając niezrozumiałe jakieś wyrazy, krążyła dokoła po zamarzłym śniegu, jak duch opiekuńczy okropnej mogiły.

K O N I E C



1273

ANTYKWARIAT NAUKOWY
ANDRZEJ METZGER
KIELCE Warszawska 6

301855

30481

